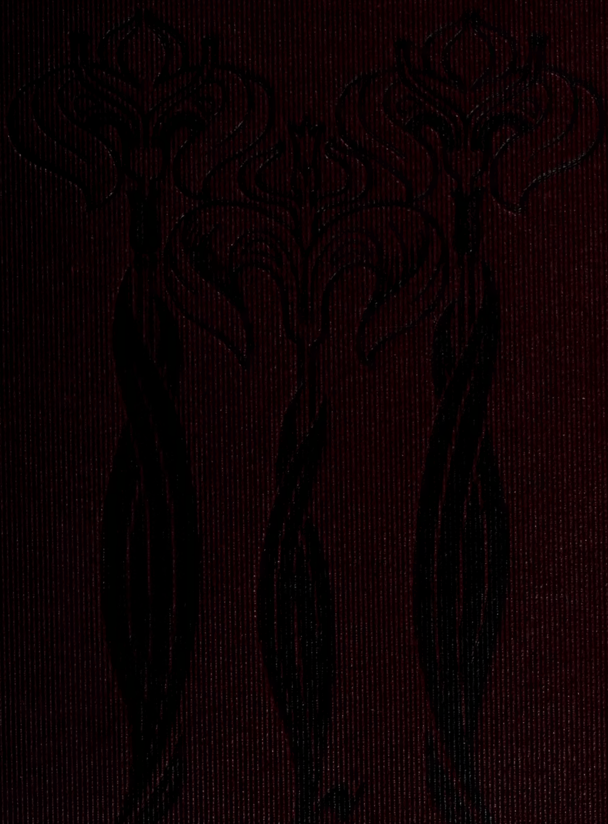
KOSYNIERZY

PRZEZ

A. DE LAMOTHE





WYDAWNICTWO SPÓŁKI NAKŁAD. POLSKIEJ W AMERYCE.

KOSYNIERZY

powieść z 1863 r.

przez

A. DE LAMOTHE.

Tłomaczył F. K.

TOM PIERWSZY.

CHICAGO ILL.
DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICTWA POLSKIEGO,
156 W. Division ulica.

1890.



Do broni!

PRZEDMOWA.

Czytając kilkanaście lat temu, w pisemku francuzkiem "L'Ovrier," powieści p. de Lamothe, z czasu ostatnich wypadków w Polsce, żałowałem mocno, że nie ma ich w przekładzie polskim. Myśl ta nie dawała mi spokoju. W końcu, bądź co bądź, postanowiłem sam zabrać się do tej pracy, i rozpocząłem ją w imię Boże. Ale, że tu szło o oddanie uczuć bohaterskich moich rodaków, że krwawy ten dramat odbywał się na ojczystej mojej ziemi, lękałem się, czy potrafię przedstawić te wypadki w takiem świetle i oddać uczucia takiemi, jakiemi Szanowny Autor pisząc to dzieło był przejęty; zawahałem się i zaprzestałem pracy. Dzisiaj, po dwóch blisko latach, wziąłem się znowu do rozpoczętej roboty i oddaję ją Szanownym moim Rodakom w Stanach Zjednoczonych, prosząc, aby mieli na względzie cel jaki mną kierował podczas tej pracy i małe usterki łaskawie wybaczyli.

TŁOMACZ.

I.

Magnus i Cezar.



końcu Lipca 1862 r., lekki wózek zaprzężony w dwa ukraińskie konie, czekał na stacyi w Piotrkowie, przybycia pociągu z Wrocławia.

Na koźle powozu z którego właściciel wysiadł, siedział stary ale jeszcze czerstwy wieśniak i paląc na krótkim cybuszku fajeczkę, dawał baczenie na swój zaprzęg.

Człowiek ten, ubrany w rogatkę i koszulę spuszczoną na wierzch spodni, zawiązaną pod szyją czerwoną tasiemką, a w pasie ściśniętą sznurkiem kończącym się węzłem, wyglądał na jakie 50 lat, chociaż już siódmy skończył krzyżyk.

Znano go na całem Mazowszu pod imieniem Magnusa Zucha.

Ten przydomek i długa szrama na twarzy były całą zdobyczą, jaką przyniósł z kampanii 1812 r,

W bitwie pod Berezyną otrzymał bliznę; lecz za to jednem uderzeniem lancy przebił huzara, który go nią przyozdobił.

Podobny los spotkał jeszcze wielu innych Rosyan, poległych z jego ręki.

Blizna ta, oprócz tego że była zaszczytną dla posiadacza, przedstawiała jeszcze wiele korzyści dla sąsiadów i przyjaciół, wróżąc 24 godzin naprzód o najmniejszej zmianie powietrza.

Spieszono się zbierać siano kiedy się zaczerwieniła, rozkładano je, kiedy stawała się białą; kosiarze po nad Pilicą nie mieli innego barometru. Co zaś do Magnusa, ten wprawdzie był dumnym ze swej blizny, lecz dumniejszym jeszcze z przydomku, który uważał jako tytuł.

I słuszne miał prawo do tego, bo jak zobaczymy, w istocie na niego zasłużył.

Wytrwać na straży, chociażby z narażeniem życia, nie tylko jako honor wojskowy ale jako święty obowiązek żołnierza uważał, i dla tego po dwa razy o mało co męczeńską nie przypłacił tego śmiercią.

Pierwszy raz było to nad brzegami Niemna. Na głębokiej i rwącej tej rzece nie było mostu; zniecierpliwiony Napoleon, chcąc prędzej rozpocząć kroki nieprzyjacielskie, rozkazał szwadronowi ułanów przebyć ją wpław.

Bez wahania się, bez robienia najmniejszych uwag, jak do parady wyrównani i dumni z narażenia się na śmierć niechybną pod okiem cesarza, dzielni Polacy, ścisnąwszy swoje szeregi dla dania silniej-

szego oporu bystremu prądowi wody, zeszli na brzeg śmiałym i równym krokiem.

Armia z uwielbieniem spoglądała na nich. A chociaż rwąca była woda i bałwany wrzały pod grzbietami ich koni, długi czas utrzymywali się bez złamania szeregów. W końcu prąd był silniejszym; ludzie i konie zostali nim porwani; lecz żaden z nich nie próbował wrócić do brzegu. Nie mogąc już dłużej utrzymywać się, tonęli zwolna z twarzą zwróconą ku wrogom, a ostatni ich okrzyk był: Niech żyje Polska!

Napoleon czynił co tylko mógł, aby ocalić bohaterów. Niektórych zdołano wyratować, a pomiędzy tymi, był i Magnus.

Zażądał, aby go umieszczono w drugim szwadronie, chcąc dalszą odbyć kampanję.

Pod Kownem o mało że się nie utopił, chcąc wytrwać na stanowisku, w Moskwie zaś, nie wiele już brakowało że nie zginął w płomieniach, z tejże samej przyczyny.

Stał na warcie w pałacu zajętym przez marszałka Neya, kiedy wybuchł pożar wzniecony przez Rosjan, z rozkazu generała Roztopczyna.

Silnym wiatrem podsycane płomienie, wkrótce ogarnęły domy z drzewa suchego i smolnego, a iskry padając na dach pałacu, zapaliły go.

Magnus stojąc na korytarzu poprzedzającym salon honorowy, zbliżył się do okna, wołając oficera-komendanta warty.

Nikt nie odpowiadał. Oficer i żołnierze wskutek rozkazu kapitana oddalili się tam, gdzie ich po-

moc okazywała się potrzebniejszą; a w pośpiechu zapomnieli o towarzyszu.

Widząc że jego wołania żadnego skutku nie odnoszą, zamknął okno przez które kłęby czarnego dymu wdzierały się, i stanął na wyznaczonem mu przedtem posterunku.

Z dachu płomienie ogarniając wyższe piętra jedne po drugich, niszczyły sufity i podłogi. Wkrótce groźny błysk oświecił salę, a szeroka płyta powały padając, odsłoniła rozhukane morze płomieni. Dym stawał się coraz więcej duszącym.

W mieście słychać było zamieszanie i wrzawę, a od czasu do czasu gwałtowny wybuch jaszczyków lub głuchy łoskot walących się domostw, przewyższał wrzask tłumu. Tu i owdzie spostrzegany błysk z odgłosem wystrzału, był znakiem, że podpalaczom szybką wymierzano karę: furgony w największym pędzie toczyły się po bruku wstrząsając kamienie; cała armja pracowała, ażeby parki z amunicyą, umieścić w miejscu bezpiecznem; nikt nie myślał o Magnusie.

W sali, w której go na straży postawiono, robiło się coraz goręcej; ogień ogarnął już wielki salon; płomienie biegnąc wzdłuż obić, lizały ściany; meble trzeszcząc gięły się, a kołyszące się lustra, złowrogie rzucały błyskawice.

Pot lał się strumieniem z czoła Polaka, więc oddalił się na jakie trzydzieści kroków od drzwi, przy których był postawiony.

Tam zatrzymał się, obowiązek nie pozwalał mu pójść dalej.

Pożar coraz więcej się wzmagał.

Naraz ogromne zwierciadło złowrogo zabłysło, płomień buchnął drzwiami, i oddychało się tylko żarem.

O kilka kroków były wielkie schody, spiesząc się, można było jeszcze wyjść z pałacu bezpiecznie.

Lecz Magnus, jako dobry żołnierz nie ruszył się z miejsca, a jako dobry chrześcijanin przeżegnał się, polecając duszę Panu Bogu.

A gdy złowrogie trzeszczenie usłyszał i uczuł pod nogami usuwającą się podłogę, wtedy, zwiesiwszy głowę na piersi zamknął oczy — gotując się na śmierć.

— Co tu robisz? bałwanie! krzyknął jakiś głos.

Żołnierz podniósłszy głowę spostrzegł na ostatnich stopniach schodów adjutanta, którego generał wysłał za późno po papiery, znajdujące się w jego gabinecie.

— Jestem na warcie, kapitanie.

Adjutant, chociaż młody i przyzwyczajony do stoicznego heroizmu żołnierzy wielkiej armii, zdumiał się.

— W imię generała zwalniam cię z warty. Chodź za mną, a szybko.

Magnus był posłusznym; biegnąc, zeszli na podwórze. Był czas po temu; podminowane przez ogień schody, zwaliły się natychmiast.

— A teraz kapitanie, gdzie mam pójść? zapytał żołnierz.

— Idź do djabła, jeżeli chcesz! a nie daj się drugi raz żywcem upiec! odpowiedział adjutant odjeżdżając galopem.

Dopiero wieczorem zdołał Magnus odszukać swój szwadron; nie pytano go zkąd przybywa, nie uważał też za stosowne o tem wspominać.

W kilka dni po rozpoczęciu odwrotu, marszałek, dowiedziawszy się od Adjutanta o bohaterskiem zachowaniu się ułana podczas pożaru pałacu, przywołał go do siebie.

Wystąpił z szeregu, z ręką przy rogatce.

— Jak się nazywasz? zapytał go marszałek.

— Magnus, mój generale.

— Dobrze! Skoro przybędziemy do Smoleńska, przypomnij mi Magnusie, że ci obiecałem krzyż za twoje piękne sprawowanie się.

— Spełniłem tylko obowiązek, mój generale, wyszemrał ułan zmieszany.

Uśmiechnął się na to marszałek, a ściskając dłoń żołnierza, rzekł:

Do zobaczenia, mój *zuchu!* przedstawię cię cesarzowi.

Od tego dnia zwano Magnusa zuchem i to całą było jego nadgrodą.

Armja nie zatrzymała się w Smoleńsku, a o przyobiecanej dekoracyi zapomniano.

Po rozpuszczeniu wielkiej armii wróciwszy do ojczyzny, ex-ułan wszedł w służbę swego dawnego porucznika Tadeusza Kirpowskiego, ten zaś, umierając, polecił starego sługę swemu synowi Włodzimie-

rzowi. Magnus przez szacunek dla pamięci swego dawnego naczelnika, najdrobniejsze rozkazy jego syna uważając jako wyrok święty i nie dający się roztrząsać, bez szemrania wykonywał.

Włodzimierz wysiadając z powozu rzekł do niego: zaczekaj tutaj. Otóż dla czego, gdy o dziesięć tylko kroków stał wspaniały dąb, a zielone jego sklepienie dawało cień i chłód, stary furman piekł się stoicznie na słońcu.

Niepokojone przez upał i muchy konie, nie pojmowały biernego jego posłuszeństwa; zniecierpliwione, zwracając co chwila łby jak gdyby chciały powiedzieć: posuńmy się trochę, ryły kopytami ziemię.

Stary furman zrozumiawszy niemą ich mowę, starał się im wyperswadować.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, moje koniki! wolałybyście chłód, ja wam wierzę, mnie on także byłby miłym, ale pan powiedział: zaczekaj tutaj, a tutaj to nie jest tam. Trzeba być posłusznym, Sokole wszak mnie zrozumiałeś, Iskro powiedział tutaj, tak tutaj.

A że Iskra i Sokół nie zdawały się jeszcze dosyć przekonane, furman głaskał ich czarne jak heban grzywy, tłómacząc, że wszelkie uwagi na nic się nie zdały; lecz być może, pomimo rozkazu . . .

Świst lokomotywy przerwał ich żale; zrozumiały że już długo nie będą czekać, strzygąc więc uszami, z drżącemi nozdrzami z niecierpliwości, z podziwem i strachem zarazem spoglądały na żelaznego potwora swego współzawodnika, który ciągnąc za sobą długą

linję wozów pędził szybko jak piorun, wyrzucając kłęby dymu.

W tejże samej prawie chwili, również posłuszny swemu konduktorowi zwalniał swój bieg, aż nareszcie zatrzymał się przed dworcem, wydając długie i żałosne jęki.

Pięć lub sześć osób wyskoczyło na chodnik asfaltowy, zniesiono walizki, uderzono w dzwonek i lokomotywa posunęła się naprzód ku Warszawie.

Magnus wsunąwszy fajkę za pas, wziął lejce do ręki; z dworca szedł służący niosąc na ramieniu ciężką walizkę, a w lewej ręce futerał na kapelusz, dwa floretý z maskami, skrzypce i parasol.

Za nim, w stroju polskim postępował Włodzimierz Kirpowski z młodzieńcem, którego blond włosy, niebieskie oczy i matowa bladość twarzy wskazywały rysy słowianina, z pewnej zaś niedbałości w ubiorze, z kroju sukien i szerokiego filcowego kapelusza, na pierwszy rzut oka, łatwo można było odgadnąć jednego z tych artystów malarzy z cyrkułu łacińskiego w Paryżu, którzy częściej przesiadują w knajpie aniżeli w Szkole Sztuk Pięknych.

Skoro pakunki włożono na bryczkę, stryj i synowiec zajęli w niej miejsca i konie ruszyły galopem.

Cezar Kirpowski, tak się nazywał nowoprzybyły, pomimo trochę orginalnego stroju, był dobrym i zacnym chłopcem. Wskutek usiłowań pełnego serca i męztwa ojca swego Władysława Kirpowskiego, emigranta z 1830 r., nie dosyć że otrzymał staranne wychowanie w Paryżu, ale był przejęty najgłębszemi

uczuciami miłości Boga i Polski, którą znał tylko z opowiadań.

Stryja Włodzimierza poznał w Paryżu.

Pierwszej jego wizyty nie pamiętał, za to już druga lepiej utkwiła mu w pamięci, bo liczył wtedy piętnaście lat; przypomniał też sobie dokładnie nie tyle stryja ile kuzynkę, nadzwyczaj miłe dziecko, którą na usilną prośbę już bardzo chorego jego ojca, stryj przywiózł do Paryża.

Ostatnie czasy tej wizyty były bardzo smutne; wróciwszy ze swoją siostrą stryjeczną ze cmentarza Montmartre gdzie stary wygnaniec spał już snem ostátnim, oddany został wkrótce do kolegium, gdzie zaledwie parę razy w rozmównicy widział Tadeę.

W cztery czy pięć lat później umarła mu matka. Był wtedy studentem w Szkole Sztuk Pięknych; rok poprzedzający śmierć matki, pracował z zapałem. Potem sam, bez przewodnika, bez rodziny, żyjący tylko dla siebie, stawał się miększym i opieszalszym w pracy, schodząc pomału na tę drogę próżniactwa, która każdego roku pozbawia zacności tylu studentów, należących do rodzin najbardziej chrześciańskich.

Szczęściem, miał szlachetne porywy, więc pomimo zgiełku i wrzawy hulaszczego życia, sumienie często czyniło mu wyrzuty, że zapomniał roztropnych rad ojca i tkliwych nauk czułej o jego los matki.

Niesmak i znudzenie wkrótce go ogarnęły.

Cudzoziemiec w Paryżu chociaż tam był urodzody, trapiony nieustanną tęsknotą, o niczem więcej nie myślał jak tylko o podróży do Polski, gdzie mógłby

znaleźć rodzinę. Niepewny co robić, wahał się jeszcze z wykonaniem powziętej myśli, kiedy naraz list stryja, doniósł mu o zaślubinach Tadei, jego siostry stryjecznej.

Wtedy powiększyła się jego tęsknota za rodziną, boleśniej uczuł swoje sieroctwo, i aby zapomnieć o swojem nieszczęściu, rzucił się na nowo w wir zabaw. Lecz i to żadnego skutku nie odniosło; bo w rozbujałej wyobraźni młodego tułacza, rozmaite powstawały projekta. Raz chciał zaciągnąć się do Legii Zagranicznej w Algieryi, i tam w walce z Arabami, bohaterską poledz śmiercią. To znowu marzył o sławnych awanturach składających się z samych bohaterskich czynów w pół-dzikich, nieznanych jeszcze krajach, o bronieniu misyonarzy nawracających pogan, o nieszczęśliwych murzynach w Afryce, i Bóg wie o czem jeszcze, aż znużony twardym snem zasnął.

Nad ranem trąbka wojskowa przygrywając marsza żołnierzom spieszącym na mustrę, zbudziła go z marzeń. Zerwał się z łóżka i otworzył okno. Ulicą szło wojsko w którego szeregach zamierzył umierać; żołnierze w krótkich kurtkach dążyli na plac Marsowy dla zrobienia trzech godzin sławnych ćwiczeń: raz, dwa, dwa, raz, dwa, prawa, lewa, lewa, prawa.

Inni, skromniej ubrani, wychodzili z koszar z koszykami po węgle i z workami na plecach po żywność a przy bramie szyldwach ziewający, oczekiwał jak rychło godzina jego warty minie.

To prozaiczne życie żołnierskie ostudziło zapał młodego bohatera, i nie myślał już więcej o swojem nieszczęściu.

Szczęściem dla niego, inni powiedzieliby nieszczęściem, po niejakiem czasie, znowu go znudzenie ogarnęło. Walczył przeciw niemu rok cały. W końcu czując się zwyciężonym, postanowił napisać do stryja, czyby nie mógł wystarać się dla niego o jakiekolwiek zajęcie w Polsce.

Włodzimierz wprost odpowiedział:

— Przyjedź a wielką nam sprawisz przyjemność; czekamy na ciebie w Atradzie. Przybywszy tutaj, będziesz miał czas postarać się o jakiekolwiek zajęcie lub o stanowisko według upodobania. Wolelibyśmy jednak, ażebyś pozostał z nami. W Paryżu kup bilet wprost do Wrocławia, ztamtąd weźmiesz drugi do Piotrkowa, najbliższej od nas stacyi. Pisz do mnie o dniu twego przybycia, a na stacyi będę czekał na ciebie. Do zobaczenia. — Twój, W. K.

Przeczytawszy list Stryja, natychmiast zaczął robić przygotowania do podróży. Nakupił rozmaitych drobiazgów dla siostr, funt tytoniu i fajkę dla Stryja, a dla braci stryjecznych Grzegorza, Michała i Adama męża Tadei, parę pistoletów i dwie doskonałe dubeltówki.

Potem, wziąwszy przekaz u bankiera na 100,000 franków na dom handlowy Sperling et Cie w Warszawie, wsiadł do wagonu pierwszej klasy.

Dziwnym jakimś przypadkiem pomiędzy towarzyszami podróży znajdował się rosyjski generał Błagurów tytułujący się księciem i jakaś rosyanka hr. B. Zalecali się oboje do młodego tułacza zapraszając go na śniadanie w Strasburgu, lecz Cezar, poznawszy

już nieraz podobnych ptaszków z tytułami w Paryżu, nie dał się złapać na wędkę. Naciągnęli też jakiegoś Anglika, pożyczywszy od niego parę funtów szterlingów na opłacenie doskonałego śniadania, wymawiając się, iż pani hrabina torebkę z pieniędzmi, przez zapomnienie, pozostawiła w wagonie.

Rozumie się, iż hrabina podziękowawszy pięknie, skłoniła się, i wyszła na chwilkę.

Magnaci rosyjscy nie wrócili już więcej do wagonu, pojechali do Baden, szukać szczęścia.... u innych.

Takie wypadki trafiają się czasem w podróży.

Lotem błyskawicy przejechał Cezar Prusy książęce, malowniczą Hessyę, Saską Szwajcaryę której cudne okolice artysta powinien pieszo z album w ręku przebiegać. Zwiedził Lipsk, ten wielki magazyn księgarń europejskich, i nie zatrzymał się aż w Wrocławiu, średniowiecznem mieście zbudowanem z czerwonych cegieł, w pośrodku niezmiernej równiny.

Tego samego dnia a raczej tej samej nocy, bo już była pierwsza godzina z rana, jechał do Piotrkowa, a w parę godzin zatrzymał się pociąg na granicy austryackiej dla zaawizowania paszportów i zrewidowania bagaży.

Czynność ta trwała dwie godziny; nareszcie podróżni za dosyć znacznym okupem uwolnieni, mieli prawo jechać do granicy rossyjsko-polskiej.

Po raz pierwszy w życiu znalazł się Cezar w obecności tej plagi rossyjskiej, którą zowią administracyą. Gromada brudnych, zatłuszczonych i gburowatych, drapieżnych i chciwych celników, rzuciła

się na jego walizki i na jego osobę. Wszystko było rewidowane, rozbierane, przewracane, ważone i otaksowane. Album widoków Paryża wzięte za plany fortyfikacyjne, zostały skonfiskowane jako podejrzane i pod pieczęcią odesłane do carskiej komissyi cenzury w Petersburgu wraz z romansem Waltera Scotta i dwóch czy trzech innych tomów, również zabronionych.

Na wyborną broń którą wiózł w podarunku, rzucili się czynownicy jak na pewną zdobycz; szczęściem, że Cezar będąc o tem ostrzeżony w Paryżu, wyrobił sobie specyalne pozwolenie w ambasadzie rossyjskiej; mógł więc za dosyć grubą opłatą wydobyć ją ze szponów tych patentowanych złodziejów, płacił bowiem za swoją osobę, za bieliznę, za klejnoty, za broń, za albumy, za parasol i za każdą choćby najdrobniejszą rzecz; nadto, musiał dać łapowe dopominającemu się grubemu generałowi o czerwonej i bezwstydnej twarzy; rozdać po rublu pomocnikom, po pół rubla brygadjerom, podoficerom, szpiegom i całej nikczemnej zgrai, ostrzącej zęby na jego kieszeń.

Było to oburzającem.

W końcu gdy pociąg ruszył, zaczął zastanawiać się Cezar nad tem, jak Rosjanie u siebie mało są podobni do Rosjan za granicą. Tych których poznał w Paryżu odznaczali się grzecznością i elegancyą, a przedewszystkiem byli tak uprzejmi, że widząc i słysząc ich, nie wierzył pisarzom nie bardzo pochlebnie o tej narodowości piszącym; a pana de Custine, utrzymującego wprost, że Rosyanie są tylko niedźwie-

dziami we frakach i w białych rękawiczkach pod pozorem ogłady, podejrzywał o przesadę.

Niestety! od pierwszego razu widząc ich we własnej skórze, uczuł wstręt do nich.

Szczęściem, żywego usposobienia i bujnej wyobraźni Cezar, wyszedłszy z komory celnej, wkrótce zapomniał o celnikach i nie myśląc więcej o nich, uwielbiał przyrodę.

Polak uczuciami i Polak wykształceniem, na widok ojczystej ziemi której po raz pierwszy przebiegał powierzchnię, wpadł w pewien rodzaj zachwytu i uniesienia.

W tym stanie umysłu znajdował kraj ten najwięcej wydziedziczony przez niebo tak cudnym, jak gdyby on był rodzinnem jego miejscem; ale odwoływać się w tej chwili do jego wyobraźni lub uczuć wrodzonych, byłoby daremnem.

Krajobraz jaki się przed nim rozwijał, był po prostu wspaniałym.

Mazowsze, ta pierwsza prowincya polska, przedstawiając się podróżnemu przybywającemu z Wrocławia, jest uroczym krajem; jest ona rodzajem Szwajcaryi w miniaturze, żyzna i malownicza zarazem.

Położona u podnóża niebotycznych i posępnych Karpat, zniżających się nieznacznie ku wschodowi do niezmiernej równiny, ciągnie się po ostatnich pagórkach do krańców Europy, jak morze bez końca.

To już nie góry, a także i nie płaszczyzna, ale harmonijne połączenie jednych i drugiej.

Jako góra ma swoje piękne i cieniste lasy; jodły, dęby, modrzewie i lipy raz o niebieskawych, to znowu o zielono-szmaragdowych liściach, które wydając woń rozkoszną, zachwycają oko widza; pomiędzy skałami toczą się srebrne strumyki, a w podskokach szumią posępne i tajemnicze wodospady.

Jako płaszczyzna, ma żyzną glebę skrapianą rzekami o zimnych i przezroczystych jak kryształ wodach, a jej pola i łany bujnem zbożem pokryte, kołysząc się za najmniejszem wiatru powiewem, tworzą jakby złociste fale w głębokiej zatoce, utworzonej przez symetryczne rozłożenie pagórków leśnych.

Oparty o okno wagonu Cezar, nie myślał o niczem — tylko patrzał; dla niego wszystko było nowem, niespodziewanem, zajmującem; z chciwością wpatrywał się na rozrzucone wioski, na chaty ciągnące się na pochyłościach wzgórz, na gromady kosiarzy w stroju narodowym, układających siano w stogi na łąkach skrapianych Wartą głęboko płynącą, pod osłoną wierzb i topoli, kąpiących się w jej nurtach; na niknący het w dali — w obłokach szczyt Karpat i porfirowy długi łańcuch Łysej Góry, wdzierającej się w Mazowsze jak gdyby przylądek, a kończącej się raptownie ogołoconym cyplem 1980 stóp wysokim.

W tej chwili słońce wydobywając się z za chmury, oblało światłem samotną górę, dolina zaś jej jodłowym lasem pokryta, pozostała w cieniu.

Na ten widok wspaniały, młodzieniec wydał okrzyk uwielbienia.

Jeden z podróżnych słysząc ten głośny wybuch podziwu, odwrócił głowę; dumna i smętna zarazem twarz jego, dziwny stanowiła kontrast z bezwstydną i hałaśliwą rozmową pięciu udekorowanych wyższej rangi oficerów, w rozpiętych mundurach, rozmawiających o koniach i innych głupstwach, paląc petersburgskie papierosy.

— Panie, jak nazywa się ta wspaniała góra? zapytał Cezar swego sąsiada.

— Swiętokrzyzka góra.

— Święta! a dla czegoż?

— Ponieważ na jej wierzchołku w 965 r. pierwszy nasz król chrześcijański, Mieczysław I, postawił znak święty naszego Odkupienia.

— Co za okazały pomnik! rzekł młodzieniec.

— Ale także co za sztandar! mówił dalej rozmawiający z pewnem wzruszeniem, z wierzchołka tej góry można widzieć okolicę na 70 mil w około.

— Powiedz mi, mój drogi, zapytał szyderczo jeden z oficerów, czy to prawda jak mówią, że Polacy mają dobry wzrok w tym czasie.

— Ja myślę, powiada drugi, zdmuchując popiół ze swego papierosa, że to raczej wskutek ich gorętszej dzisiaj modlitwy.

— Gdyby w miejsce tego krzyża postawiono szubienicę a pod nią buntownika z pętlicą na szyi, to byłoby pożyteczniejszem, rzekł trzeci. Czy nie prawda panie? zwracając się do smutnego Polaka, dodał zuchwale.

Polak zbladł na to obelżywe zapytanie, zapanowawszy jednak nad sobą, odpowiedział spokojnie:

— Jeżeli zechcecie wrócić ze mną za granicę, to wam odpowiem.

— A dla czego! czy może nie mam prawa zapytać pana co myślisz?

— Nie! ponieważ nie mam prawa wypowiedzieć tego co myślę.

— Panie, to jest napaść i żądam jej wytłómaczenia.

Polak wzruszył ramionami.

To panu nie ujdzie na sucho, znieważyłeś Najjaśniejszego Pana.

Cezar nie wiele co zrozumiał z tej sprzeczki; nie wiedział bowiem że Rosyanie uważając Polskę jako kraj zdobyty, napadają spokojnych jej obywateli i oddają ich w ręce policyi jako spiskowców dla tego, aby przedstawiać światu, że surowe postępowanie rządu moskiewskiego w buntującej się Polsce jest koniecznem. Również w podobnych wypadkach znaczne ciągnęli korzyści, mając sposobność do rabunku, do nakładania kontrybucyi wojennych i rozmaitych kar pieniężnych na obywateli.

Z oryginalnego swego stroju, uważany był Cezar za Francuza, i dla tego oszczędzono mu tego dnia sceny, któraby go mogła zaprowadzić do więzienia, a może i dalej jeszcze.

Podróżny zaś Polak, umiał się powstrzymać. Wyglądał oknem, nic nie odpowiadając.

— Jednakże ten człowiek nie ma fizyognomii tchórza, pomyślał sobie artysta.

Świst maszyny oznajmił zbliżanie się do stacyi. Pociąg zwalniał biegu, aż wreszcie zatrzymał się na przeciw małego miasteczka, zbudowanego nad brzegiem Warty, u podnóża kamienistego pagórka.

Klasztor poprzedzony kościołem o pięknej architekturze, zajmował cały szczyt góry.

Konduktor wykrzyknął nazwisko stacyi: Częstochowa.

Cezar uchyliwszy z szacunkiem kapelusza, zrobił znak krzyża świętego.

Z opisów, przypomniał sobie sławny klasztor Jasnej Góry i cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski i Pocieszycielki strapionych.

Oficerowie sądząc że to jest żart wymierzony przeciw Polakom, przyklasnęli.

— Panowie, rzekł Cezar zwracając się do nich, jestem katolikiem.

A to słowo wymówione było tak sucho i tonem tak stanowczym, że szydzący zamilkli.

Sądzili, że jest Francuzem.

Zresztą, gruby generał wiedział już z doświadczenia jak w pewnych okolicznościach płacą Polacy za gwałtowny wybuch śmiechu, wolał więc umilknąć.

Najmniejszego nawet ruchu nie zrobił podróżny Polak, lecz w zwroku jego Cezar wyczytał: Dziękuję, jesteś dzielnym, zobaczymy się.

W parę minut później pociąg przechodząc w okolicy górzystej leszczyny, musiał iść wolno, gdyż droga była w reperacyi.

— Pozwól pan, rzekł nieznajomy, wręczając swoją kartę młodzieńcowi.

I podniósłszy się raptownie otworzył drzwi wagonu.

— Oto moja odpowiedź! rzekł.

Cezar usłyszał szelest silnego policzka, wymierzonego ręką mistrza, generałowi rossyjskiemu.

Nieznajomy znikł.

— Zatrzymajcie tego nędznika, ryknął oficer rzucając się do okna.

Lecz Polak przeskoczył już barjerę i zmierzał w głąb lasu.

Na wręczonej karcie, Cezar wyczytał: W. C. Narbut.



II.

Kosiarze.



koro tylko pociąg zatrzymał się na najbliższej stacyi, oficerowie rosyjscy rozkazali oddziałowi złożonemu z 10 kozaków, puścić się w pogoń za Narbutem; żywego lub umarłego, mieli dostawić do Warszawy.

Wypoliczkowany gruby generał podejrzywał Francuza, że zna buntownika; nie śmiejąc jednakże zapytać go o imię, zadowolnił się dostatecznie obrzucając jego narodowość obelgami. Postanowił nawet sobie, dobrze go zarekomendować policyi.

— Uwidim! uwidim! Zobaczymy, zobaczymy, mruczał przez zęby, szukając czegoś..... przez roztropność, na swojej ławce.

Cezar nie obawiając się wcale tego gniewu, przyglądał się malowniczej okolicy.

Tak przybyli do Piotrkowa; tam pozbierawszy swoje manatki, skłonił się sąsiadom i wyskoczył na chodnik, gdzie go stryj oczekiwał z otwartemi rękami.

Skoro generał spostrzegł że Francuz całuje Polaka w stroju narodowym, podejrzenia jego zamieniły

się w pewność. Widocznie, ten młodzieniec musiał być strasznym spiskowcem.

— Padi suda durak! (pódź tu, durniu!) krzyknął ochrypłym głosem na kozaka, trzymającego wartę na stacyi.

Na to piękne wezwanie, spiesznie żołnierz przybiegł, a zdjąwszy machinalnie czapkę, stanął wyprostowany w postawie jak pies, który już nieraz doświadczał rózek i spodziewa się ich jeszcze.

— Jak się nazywa ten w kapeluszu śpiczastym?

— Nie wiem, Wasza Excellencyo.

— Nazwisko powinno być na jego walizkach?

— Powinno być, Wasza Excellencyo.

— A więc idź, przeczytaj.

— Nie umiem czytać, Wasza Excellencyo.

— Powiedz temu urzędnikowi, aby ci je wysylabizował, bałwanie!

Kozak oddalił się i prawie w tejże samej chwili powrócił.

— No, i cóż! pyta generał trzymając otwartą notatkową książeczkę i ołówek w ręku, jak się nazywa?

— Stacya Piotrków, proszę Waszej Excellencyi.

— Bydlę! ryknął oficer, ośla głowo! psi synu! powiedziałeś mi nazwisko stacyi a nie podróżnego, idź, popatrz na walizkę, jest tam coś więcej jeszcze napisane.

Kozak poszedł, lecz służący odchodził już z walizką.

— Do kogo należy ta walizka? krzyknął żołnierz biegnąc za nim.

Służący nie dosłyszał, Cezar zaś rozmawiając ze stryjem, odpowiedział po francuzku nie myśląc wcale o tem: *elle est a moi* (jest moją).

— Co pan mówisz? zapytuje strażnik wytrzeszczając oczy aby lepiej zrozumieć.

— *A moi* (a moa) powtórzył Cezar.

Zadzwoniono, pociąg wolno odchodził, nie mógł już zdążyć kozak, ale przyspieszając kroku, krzyczał:

— Amoa, Amoa, nazywa się Amoa.

Generał zapisał:

"Zawiadamiam policyę w Piotrkowie, że człowiek imieniem Amoa, jest niebezpieczny, nosi szeroki śpiczasty kapelusz i spodnie z materyi w kratki.

— Jednakże, ten łotr ma dziwne nazwisko, mówił zamykając swoją książeczkę.

— Musi być portugalczykiem, zauważył pułkownik Nizikow.

— Buntownik czy cudzoziemiec, pies czy polak, nie wymknie mi się, ja wam powiadam, panowie, zakręcając z wielką powagą wąsa, odpowiedział generał, i jeżeli w ośmiu dniach nie odszukam go, możecie powiedzieć że generał Swinin jest niezręcznym. No, kto chce pójść ze mną w zakład o ośm butelek szampana?

— Idę o dziesięć, wykrzyknął major palący papirosa w kącie wagonu; trzymam zakład.

— Grzegorzu, idziesz w zakład ze mną?

— Tak jest, zresztą i cóż ryzykuję? Wygram czy przegram, zawsze jestem pewny że za ośm dni będę pił dziesięć butelek szampana w kassyno oficerskiem Paszkiewicza o.... (spoglądając na zegarek) o w pół do drugiej.

— Zapłacisz! majorze, zapłacisz! śmiał się szyderczo generał; panowie, jesteście świadkami.

* * *

Po świeżo skoszonej łące toczył się powóz bez hałasu; Cezar i stryj jego mieli sobie wiele ciekawych rzeczy do opowiadania.

Z wielką uciechą Magnusa rozmawiali po francuzku, a chociaż biedak nie rozumiał z tego ani słowa, jednakże słuchał z widocznem zajęciem.

Na dźwięk tego przyjacielskiego języka, którego starzec od czasu kampanii rossyjskiej nie miał sposobności usłyszeć, czuł się młodszym, a wspomnienie wielkiej armii, przyszło mu żywo na pamięć.

Konie biegły kłusem z radośnym zapałem.

W pośrodku łąki wznosił się pagórek a na nim stało kilka krzyżów czarno malowanych.

Młodzieńca mocno to zadziwiło, że wjeżdżając w Mazowieckie, spostrzegał na drogach wiele krzyżów, raz odosobnionych, to znowu złączonych w grupy po kilka razem.

Przejeżdżając przed niemi, Magnus i Włodzimierz zdjęli czapki, oddając cześć tej Kalwaryi. Cezar również za ich przykładem uchylił kapelusza.

— Dla czego tyle krzyżów stoi w Polsce? zapytał stryja — nadają one okolicy nadzwyczaj smutny

charakter. Zimą przedewszystkiem, gdy wszystko jest śnieżnym całunem pokryte, musi to sprawiać smutne, żałobne wrażenie. Możnaby powiedzieć, że cała Polska jest jednym niezmiernym cmentarzem.

Smutnie uśmiechnął się Włodzimierz.

— Polska, moje dziecko, odpowiedział, nie jest takim krajem jak inne, jest ona jednym wielkim cmentarzem, ale cmentarzem poświęconym krwią męczenników. Ziemia którą depczesz nogami, jest świętą ziemią. Pewnego razu, po otrzymanem zwycięztwie nad poganami, kiedy posłowie naszego króla ponieśli Ojcu św. zdobyte sztandary, prosili Go o relikwie jakiego Świętego Męczennika, jako wynagrodzenie za ich bohaterskie czyny, Papież rzekł:

— Wy odemnie żądacie relikwii, wy, Polacy? Zbierzcie kości waszych ojców i weźcie garść waszej ojczystej ziemi. Cała Polska jest jedną relikwją!

Pięknie powiedział! zawołał młodzieniec.

— Aż do obecnej chwili, Rosjanie zabrawszy nam wszystko, wypędzają naszych księży, bezczeszczą nasze kościoły, ale naszych krzyżów zniszczyć nie śmieli. Są one jakby zakorzenione w naszej Ojczyźnie, a roztwierając swoje ramiona, protegują groby naszych ojców i kołyski naszych dzieci, dodał Włodzimierz.

Tak, mówił dalej, pomimo że jesteśmy zwyciężeni, pomimo że wszystko straciliśmy, pozostała nam jeszcze nadzieja i honor. A w ten sposób zwyciężeni, nie upadamy na duchu bez nadziei oswobodzenia, nie

zginamy karku przed wrogiem. Jeżeli ludzie opuszczają i zdradzają nas, jest jeszcze Bóg wysoko, Ten skruszy nasze kajdany. Krzyż oswobodził świat, krzyż zbawi Polskę; przyjdzie dzień, w którym ten symbol boleści i zarazem znak Zmartwychwstania, dla nas lub dla naszych dzieci, zamieni się w znak tryumfu i zwycięztwa.

Tak, moje dziecię, chociaż zobaczysz tak przerażające rzeczy, że na nie bez wzdrygnienia się nie będziesz mógł patrzeć, chociaż będziesz widział gwałty i okropności przechodzące pojęcie człowieka, i jakiekolwiek prześladowania cierpieć będziesz, a chociażby one zdawały się tobie straszne, wspomnij sobie słowa pewnego świętego księdza męczennika, przed rokiem zamordowanego przez naszych mongolskich katów:

„Wielu jeszcze Polaków legnie, ale Polska żyć będzie!"

Uroczysty ton, jakim te słowa zostały wymówione, do żywego poruszył Cezara. Wiele dotąd słyszał o okrucieństwach spełnianych przez kozaków, o zrabowanych kościołach, o nieszczęśliwych wysyłanych do Syberyi; ale dowiadywał się tego wszystkiego zdaleka i z gazet, które stosownie do okoliczności, przesadzały albo przekręcały fakta; nie dawał im też wielkiej wiary, ponieważ stryj w listach do niego pisanych, zaledwie kilka słów wspomniał o prześladowaniu.

— Więc bardzo wielkie są cierpienia Polski, mój stryju? z bolesnem zdumieniem zapytał.

— Przechodzą ludzkie pojęcie, moje dziecko, odpowiedział Włodzimierz, i dopiero zaczynają się one.

— Jednakże nic mi o tem nie pisałeś.

— Gdybym ci chociaż jedno słowo wspomniał, byłbym już na Syberyi. Żyjąc w ciągłej trwodze, pod ohydnym rządem, który nas gniecie, nie wolno jest ani pisać, ani mówić, ani nawet myśleć. Nosić żałobę po ofiarach jest zbrodnią, a płakać za niemi, jest czynem uznanym przez prawo jako czyn buntu, i karany jest rózgami i więzieniem.

— Biedna Polska! wyszeptał Cezar.

Powóz toczył się cicho po grubym zielonym kobiercu, a skoro przybył do kolana rzeki, Magnus zawrócił w lewo.

Dotychczas dosyć spory gaik, przed wzrokiem podróżnych zasłaniał tę część łąki, na którą teraz wjechali.

Z jakie pięćset kroków dalej, spostrzegł młodzieniec nowy pagórek, około którego stał szereg wozów naładowanych sianem.

Grupa 30 do 40 ludzi, opartych na kosach, których długie stalowe ostrza błyszczały uderzane promieniami słońca, otaczała śpiewaka stojącego pod stopami krzyża.

Młody wieśniak śpiewał hymn narodowy „*Boże coś Polskę*”, a po każdej prześpiewanej zwrotce przegrywał na gęśli, kosiarze zaś z odkrytemi głowami, uderzając w kosy, cichym głosem z nim nucili.

W chwili, kiedy bryczka wjeżdżała na łąkę, jeden z wieśniaków ukryty nad brzegiem wody, gwizdnął przeciągle.

Na ten znak, na wzgórku zrobiło się lekkie poruszenie, śpiewak tylko pozostał na swojem miejscu.

— Co to za ludzie? zapytał Cezar.

— Górale, których nająłem do sianożęcia, odpowiedział Kirpowski.

— Górale? sądziłem, że tylko mieszkańców gór tak nazywają.

— Oni są w istocie mieszkańcami Karpat; na bokach gór są rozrzucone liczne wioski odznaczające się czystością, lecz na płaszczyznach są opustoszone.

— A dlaczegóż to opuszczają je?

— Ziemia prawie jałowa bo kamienista, którą uprawiają, nie wydaje tyle, aby ich wyżywić mogła; po zasianiu więc, w pięknej porze roku, tysiące tych biedaków wychodzi w rozmaite strony na zarobek, jedni wynajmują się do robót w polu, inni zajmują się handlem albo stolarstwem, w którem są zręczni.

Za zbliżeniem się zimy wszyscy wracają do drogich swoich gór, niosąc trzosy naładowane pieniędzmi, a na ramionach worki napełnione zbożem, potrzebnem na wyżywienie swoich rodzin.

— Podobnie jak Owerniacy i Sabaudczycy we Francyi, z tą tylko różnicą, że tam jedni wychodzą ze swych siedzib latem a drudzy zimą.

—W zimie chyba żeby odgarniali śniegi, nie znajdą bowiem nic innego do roboty, gdy tymczasem w lecie, nie brak jest zajęcia naszym dzielnym kosiarzom

z nad Pilicy; dają im pracę ochoczo, ponieważ są niezmordowani, zwinni, zręczni, silni, dobrzy patryoci i przykładni katolicy.

— Co oni robią w tej chwili, siana przecież nie koszą?

— Jest to godzina odpoczynku, a ponieważ nadzwyczaj lubią muzykę, więc w wolnych chwilach śpiewają. Ale teraz, zamiast powtarzać swoje ludowe piosnki, słuchają hymnu narodowego, tak surowo przez Rosyan zabronionego.

„Świst, który dopiero co słyszałeś, jest znakiem danym przez czaty o zbliżaniu się obcego, bo u nas wszystko to co jest obcem, jest podejrzanem.

— Zaprawdę, nie uważam się jako taki, jestem Polakiem i dobrym nawet Polakiem, odrzekł Cezar, a podrzucając kapelusz w górę, krzyknął z młodzieńczym zapałem:

— Boże zbaw Polskę!

— Boże zbaw Polskę! silnym głosem zawtórował Magnus, wywijając batogiem jak szablą.

— Brawo! mój chłopcze, szepnął Kirpowski, byłem pewnym, że jesteś naszym; ale mówiąc prawdę, ten wieśniak ukryty w trawie sądząc z twego ubioru, mógłby się bardzo pomylić, co do twojej narodowości.

Cezar spojrzawszy na swoje piękne spodnie w kratki, zawstydził się trochę, zaczynały one być mu już nie miłe, miał nawet coś odpowiedzieć, kiedy Magnus wskazał ręką dwóch jeźdźców, nadjeżdżających galopem w poprzek łąki.

— Ach! Otóż Grzegorz i Adam, szepnął Włodzimierz.

— Moi bracia stryjeczni?

— Tak jest. Rozpoznaję białą klacz Chuski, wyjechali na twoje spotkanie.

— I tak szybko, mój Boże! Możnaby powiedzieć, że pędzą jak strzała.

— Kto mówi Polacy, mówi jeźdźcy, odpowiedział Włodzimierz. Nasi ułani są jeszcze sławni, a dawniej, gdy Polska wolna wybierała swoich królów, konno odbywano sejm na Woli pod Warszawą.

— Ja myślę, że również na koniach słuchali mszy św., a to z tej przyczyny, że nuncyusz papieski celebrował ją na polu, pod gołem niebem.

„A podczas ewangelii wszystkie wyloty kontuszów rozciągały się dumnie na siodłach szkarłatem i drogiemi kamieniami wysadzanych, bo Polacy wyciągając do połowy szablę, okazywali, że gotowi są umrzeć w obronie wiary i ojczyzny".

Pochyleni na karkach koni pędzących jak strzały, dwaj jeźdźcy w tym momencie złączyli się z bryczką, a zrobiwszy szybki zwrot, serdecznie uścisnęli wyciągniętą do nich dłoń nowo przybyłego.

Obadwa blondyni, wysokiego wzrostu, ubrani byli w elegancki strój mazowiecki, w aksamitne amarantowe rogatki z siwym barankiem i w sukienne czamary.

Chusko zdawał się mieć lat trzydzieści: poważna jego twarz wyrażała energię i moc charakteru, Grzegorza zaś była uśmiechnięta i otwarta.

— Doskonale zrobiłeś bracie, przybywając do nas, rzekł z miłym uśmiechem Chusko, Andrzej oczekuje cię z niecierpliwością.

— Andrzej? zapytał zdumiony Cezar, nie znam nikogo tego imienia, chyba Fedzio.

— To prawda! Zapomniałem ci powiedzieć, że nasz chłopiec nosi to imię.

— Czy zdrów?

— O tak, odpowiedział Chusko.

— Włodzimierz od dwóch dni nie widząc syna, zapytywał go o nowiny z Warszawy.

— Zawsze źle ojcze, obecnie mamy nowy ucisk pod pretekstem reguł policyjnych. Zabraniają mieszkańcom wychodzić po 8-ej wieczorem bez latarki, a po 10-ej trzeba mieć szczególne pozwolenie komisarza cyrkułu.

— Ażeby otrzymać takie pozwolenie, potrzeba zapewne bardzo starać się o nie, wtrącił Cezar.

— Ten rodzaj tolerancyi nie jest czem innem, jak tylko łapką urządzoną na ludność, aby szybciej zapełnić więzienia.

— Czy nie ma innych wiadomości?

— Ach! prawda, popełniono morderstwo na żonie i córce pewnego generała rosyjskiego.

— Przez Polaków! krzyknął boleśnie dotknięty Włodzimierz.

— Nie, ojcze, Bogu dzięki, przez czerkiesów ze straży namiestnika, i to bez żadnej przyczyny.

— Ci nędznicy są zawsze jednacy; każdego roku o tej porze, cierpią „*na gorączkę krwi.*”

— Być może, że teraz uwolnią nas od tych dzikich zwierząt, wtrącił Chusko, podczas gorączki są oni gorsi od wściekłych psów.

— Cóż to są za jedni ci czerkiesi i ta ich choroba? zapytał Cezar, nigdy nie słyszałem o czemsiś podobnem.

— Czerkiesi, odpowiedział Włodzimierz, są to kawalerzyści poganie i dzicy z pogranicza Kaukazu, z których car przez miłość malowniczą, utrzymuje swoim kosztem jeden szwadron jako straż przyboczną. Ich strój jest świetny, a zręczność w jeżdżeniu i kierowaniu koniem, znakomitą. Prawdziwe centaury, podczas parady, w największym biegu wykonywają fantazye w rodzaju arabskich.

„I to jest jedyną ich zasługą.”

„Nasz wyborny namiestnik wynalazł dla nich jeszcze inny rodzaj popisów; ponieważ znani są ze swych okrucieństw, więc ich używa jak złych psów rzeźniczych, wypuszczając na lud bezbronny podczas mniemanych zaburzeń. Wytresowani do posłuszeństwa, na najmniejszy znak swego naczelnika, spełniają jego rozkazy z sumienną akuratnością. Widziano jak rzucali się na tłum klęczący i bezbronny, bili lancami i nahajkami kobiety i dzieci, przewracali je piersiami swoich koni i to nawet w kościołach, deptali...“

— I rząd pozwala na podobne barbarzyństwa, nie ukarze surowo niegodnego namiestnika, winnego tych gwałtów?

— Rząd karze tylko ofiary, a katów wynagradza. W innych krajach, podobny namiestnik byłby osądzony i ukarany, w Warszawie, podano go w rozkazie dziennym i udekorowano, rzekł z goryczą Włodzimierz.

— Sąd należy do wszystkich ludzi i sprawiedliwość powinna być wymierzoną! wykrzyknął Chusko z energią. Jeżeli Rosyanie nam jej odmawiają, ha! to kosy zamienimy na lance; a pomiędzy ofiarami i katami, Bóg rozstrzygnie.

— Cicho! odparł Włodzimierz, jeszcze czas nie nadszedł.

Młodzieńcy smutnie spuścili głowy nie wyrzekłszy ani słowa.

Za zbliżeniem się podróżnych, górale skłonili się.

— Bóg z wami, moje dzieci! powitał ich Kirpowski.

— I z Polską! odpowiedzieli.

— Czy postępuje praca?

— Jeżeli Matka Boska nam pobłogosławi, to za dwa dni ją skończymy, odpowiedział góral najstarszy wiekiem. Potem obróciwszy się do robotników:

— Chodźmy! bracia, zawołał, już czas pójść do roboty.

— Mój stryju, powiedz tym dzielnym ludziom niech zaśpiewają, prosił cichym głosem Cezar.

Górale z kosami na ramionach, kierowali się ku wozom.

— Dzieci, zawołał Kirpowski, zaczekajcie chwilę, oto ktoś radby usłyszeć wasze piosnki. Zostańcie tutaj, a ty Szczepanie weź twoją gęśl.

Górale wrócili posłuszni.

— Jaką śpiewkę pan sobie życzy? zapytał Jan, naczelnik kosiarzy.

— Śpiewajcie co wam się podoba.

Jan zbliżył się do śpiewaka próbującego tonów na swoim instrumencie:

— Bądź ostrożnym, szepnął mu do ucha, to jest niemiec.

Młodzieniec nic nieodpowiedział, tylko splunął z pogardą.

Dla Polaków, niemiec jest prawie tem, czem moskal, nienawidzą obydwóch tych narodowości.

Chusko i jego brat spojrzeli na siebie z uśmiechem; ich brat stryjeczny, nic się nie domyślał.

Po krótkiej przegrywce, Szczepan miłym i smętnym głosem zaśpiewał rzewną piosnkę, ułożoną przez narodowego poetę Adama Mickiewicza.

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

* * *

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Zwrotka następowała po zwrotce; słuchacze jednakże nie zdawali się być piosnką przejęci; widocznie, w dzisiejszych okolicznościach, ten śpiew miłośny nie odbił się echem w sercach tej gorącej młodzieży.

— Głos jest piękny i sympatyczny, zauważył Cezar, ale do tak wdzięcznego przedmiotu jakim jest śliczny wasz kwiatek, rym ma w sobie coś smętnego.

— To jest trochę w charakterze polskiej muzyki, zrobił uwagę Włodzimierz.

— Wolałbym usłyszeć hymn narodowy.

— Ach! z pewnością, jest on przejmujący, a ktokolwiek go słyszy, nie może się wstrzymać od łez. Ojcze, pozwól że.....

Właściciel zrobił przeczący ruch głową.

— Mój stryju, błagam cię, wyszeptał Cezar.

— Ten śpiew surowo jest zabroniony.

— Łąka jest dosyć obszerna, ażeby uniknąć niespodziewanego najścia, zauważył Grzegorz.

— I warty są postawione, dorzucił Cezar.

— Dobrze, rzekł Włodzimierz, nie chcę odmówić pierwszej twojej prośbie.

A zwracając się potem do górali:

— Dzieci, powiedział, jesteśmy na pustyni, gdzie tylko jeden Bóg nas słyszy, wznieśmy więc do Niego prośbę za nieszczęśliwą naszą ojczyznę. Odmówmy wszyscy razem: „*Boże coś Polskę!*"

Zrobił się ruch pomiędzy góralami, pewien rodzaj zdumienia i wahania malował się na ogorzałych od

słońca twarzach, a wzrok pogardliwy zatrzymywał się na cudzoziemcu.

Kirpowski odgadł niemy ich protest; kładąc więc rękę na ramieniu Cezara, rzekł tylko:

— To jest Francuz.

— Francya jest siostrą Polski, niech żyje Francya! krzyknęło naraz 40-tu górali.

— Niech żyje Polska! odpowiedział Cezar.

I podejrzenia poczciwych ludzi wnet się rozpierzchły.

— Szczepan wiął znowu swoją gęśl do ręki. Za pierwszem uderzeniem w struny, Polacy z uszanowaniem odkryli głowy.

Pod stopami krzyża, z gołą głową, klęcząc na jednem kolanie w pośrodku swoich towarzyszy, młodzieniec śpiewał:

„Boże! coś Polskę przez tak długie wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją zasłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją chciały;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!"

Po każdej prześpiewanej zwrotce górale chórem, „Boże zbaw Polskę!" odpowiadali.

*
*   *

„Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem,
Walczących wspierał za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć jej męztwa świadkiem,
W nieszczęściach samych pomnażał jej sławę;
Przed Twe ołtarze, i t. d.

Gęśl jęczała pod palcami Szczepana, a śpiew jego stawał się coraz więcej przejmującym, żałośne tony w początkach, stawały się rozdzierającemi serce.

Krzyk jego towarzyszy gdy wymawiali te słowa: „Boże zbaw Polskę!” był podobnym do jęku, to już nie był śpiew, ale wylew niezmiernej boleści.

Dotąd Cezar stojąc słuchał głęboko wzruszony, ale kiedy kosiarz zaczął zwrotkę:

Wróć naszej Polsce świetność starożytną,
Użyźniaj pola, spustoszałe łany,
Niech szczęście, spokój na wieki w niej kwitną,
Poprzestań kary, Boże zagniewany!
Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże najświętszy! od którego woli
Istnienie świata całego zależy,
Wyrwij lud polski na zawsze z niewoli,
Wspieraj zamiary szlachetnej młodzieży.
Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże! którego ramię sprawiedliwe
Żelazne berła władców świata kruszy,
Zniwecz złych wrogów zamiary szkodliwe,
Obudź nadzieję w polskiej naszej duszy.
Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże najświętszy! przez Twe wielkie cudy
Oddalaj od nas klęski, mordy boju,
Połącz wolności węzłem Twoje ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju.
Przed Twe ołtarze i t. d.

Nie dawnoś wolność zabrał z polskiej ziemi,
A już krwi naszej popłynęły rzeki,
O, jakże musi być okropnie z tymi,
Którzy ojczyznę utracą na wieki!
Przed Twe ołtarze i t. d.

Gdy naród polski dzisiaj we łzach tonie,
Za naszych braci poległych błagamy;
By ich męczeństwem uwieńczone skronie
Nam do wolności otworzyły bramy.
Przed Twe ołtarze i t. d.

Jedno Twe słowo z ziemskich nieszczęść Panie,
Z prochów nas znowu podnieść będzie zdolne
A gdy zasłużym na Twe ukaranie
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne.
Przed Twe ołtarze i t. d.

Kosiarze wznosząc bezbronne ręce ku Ukrzyżowanemu, głosem rozdzierającym serce, wołali:

„Panie! błagamy Cię, zwróć nam Ojczyznę, zwróć nam wolność!”

Złamany niewypowiedzianem wzruszeniem młodzieniec, zalany łzami, padł na kolana powtarzając z drugimi:

— Boże! zbaw Polskę!

Włodzimierz widząc swego synowca na kolanach, kąpiącego się w szlachetnych łzach, uczuł dumą wznoszące się swoje serce; podniósł Cezara, przycisnął do piersi, i wskazując go wieśniakom powstałym w milczeniu, tryumfującym rzekł głosem:

— Dzieci! czy jeszcze myślicie że jest cudzoziemcem?

— Nie, nie, odpowiedzieli rzucając w górę czapki, to nasz brat, prawdziwy Polak. Niech żyje Francya! niech żyje Polska!

— Kto płacze z nami, godnym jest również walczyć w naszych szeregach, rzekł z uniesieniem Chusko prostując się dumnie na swojem siodle. Bracia! pokażmy mu, że jesteśmy gotowi chwycić za broń! Z dymem pożarów!

— Adamie! Adamie! co robisz?.... dzieci, zabraniam wam! krzyknął Włodzimierz.... co czynicie, nieszczęsni?

Lecz już było zapóźno; spokojni kosiarze w mgnieniu oka zmienili się w mścicieli; ugrupowawszy się w około krzyża jak żołnierze pod swoim sztandarem, w jednej chwili, i za jednem suchem a szybkiem uderzeniem młotka, kołki z ich kos wyskoczyły, a potem wsadzili ostrza na wspak tak, że kosy mogły być zarazem sieczną i kolną bronią.

Gęśl nie jęczała już więcej, ale huczała jak grzmot; kosiarze nie prosili, ale z czapką na głowie, z okiem błyszczącem i najeżonym wąsem wskutek gniewu, milczący i straszni, sformowali niedostępny czworobok, najeżony groźnemi lancami.

A Szczepan donośnym głosem, odrzuciwszy w tył długie swoje blond włosy, z okiem utkwionem w Adama Chusko pod którym biała klacz rwała się z niecierpliwości, śpiewał:

„I z archaniołem Twoim na czele,
Pójdziemy wszyscy na straszny bój,
I na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięzki Twój!”

— Hurra! za Polskę! krew naszych braci woła o zemstę, kosynierzy na śmierć, naprzód!

— Naprzód! krzyknęli górale schylając swoje długie piki, godzina sądu wybiła.

— Chusko! Chusko! co czynisz? zawołał boleśnie dotknięty Włodzimierz; nieszczęśliwy, czy pragniesz zniszczenia swojej ojczyzny?

— Chcę ją pomścić, chcę wrócić jej wolność! odpowiedział Adam stanowczo.

— Czy nie widzisz, że wszystkich nas wytępią? czy myślałeś o losie jaki spotka nasze żony i dzieci?

— Ojcze, dla czego ukrywać dłużej tajemnicę, odpowiedział Adam półgłosem, ja nie jestem organizatorem powstania, jestem tylko żołnierzem. Tyranii i zuchwałości naszych oprawców nie ma już granic; śmierć za śmierć, lepiej jest poledz jako bohater, aniżeli dać się pozwolić zabijać jak nikczemna trzoda.

— Nieszczęśliwą będziesz Polsko, skoro krew popłynie! jęknął Kirpowski.

— Ojcze już długi czas ona płynie, powiedział jeden z kosynierów. Na bruku przed katedrą warszawską, zamordowali modlącą się moją żonę, a głowę dziecięcia o bruk rozbili.

— Moja matka umarła na zbutwiałym barłogu w więzieniu, dla tego tylko, że jednego z moich braci ukryła podczas branki do wojska, rzekł Stefan.

— Mój ojciec jest przykuty do taczek w kopalniach Syberyi za zabicie kozaka, w obronie zgwałconej mojej siostry.

— Wydarłszy nam wolność, profanują nasze kościoły, wypędzają i wywożą naszych księży, znieważają nasz honor, z wściekłością depczą po trupach swoich ofiar i w tym samym czasie, przygotowują nowe ciosy bezwstydniejsze jeszcze jak poprzednie, odrzekł Chusko, lepsza śmierć jak hańba. Niedaleki już dzień, kiedy wskutek moskiewskich zbrodni, przeleje się czara gniewu, w ten dzień, na głos do broni, dziesięć tysięcy kosynierów jak jeden człowiek powstanie na równinach Mazowsza, ażeby bronić swojej religii, swojej rodziny i swojej ojczyzny.

Na te gorąco wyrzeczone słowa, kosynierzy uniesienia okrzykiem odpowiedzieli.

Kirpowski zrozumiał że roztropne jego rady nie ułagodzą wzburzonych umysłów, a mogą ostudzić zapał, który później, jak miał nadzieję, dodając im męztwa do walki lub cierpień za najświętsze ideje, będzie korzystnym dla Ojczyzny. Obecnie chciał ich tylko przywieść do cierpliwości i umiarkowania się.

— Więc rzekł, dzieci, niech was Bóg prowadzi i błogosławi waszym usiłowaniom; ale żąda On przedewszystkiem, ażeby nowe prześladowania jakie cierpimy, nie uniosły was tak dalece, żebyście mieli próbować wywołać powstanie w kraju, którego następstwa byłyby straszne dla naszej Ojczyzny. Lecz, jeżeli niebo zażąda ofiary z naszego życia, jeżeli wojna pomiędzy nami i naszymi prześladowcami wybuchnie, wspomnijcie sobie wtedy, że Włodzimierz Kirpowski i jego dzieci, są gotowi dać swoje życie i krew dla

Polski; walczyć zaś w bohaterskich waszych szeregach, będzie dla nich szczęściem i zaszczytem.

— I ja zamawiam dla siebie miejsce pomiędzy wami, rzekł Cezar.

— Niech żyje nasz pan! Niech żyje Francuz! wykrzyknęli naraz wieśniacy, bryczka tymczasem oddalała się w towarzystwie Grzegorza i Chuski.

Włodzimierz był zadumany, zięć zaś jego zakłopotany, obadwa milczeli.

Grzegorz próbując zawiązać rozmowę, zwrócił się do kuzyna:

— Przybyłeś chcąc być świadkiem chrztu, gdy tymczasem, sam dzisiaj zostałeś ochrzcony kosynierem.

— Bóg zdziała, że nie będziesz świadkiem pogrzebu twojej Ojczyzny, rzekł głosem wzruszonym Włodzimierz, i że twój chrzest dzisiejszy, nie będzie chrztem krwi.

A potem obróciwszy się do Adama:

— Jeżeli nie chcesz zabić twojej żony, zachowaj milczenie o tem co zaszło, rzekł, będziesz miał jeszcze dosyć czasu opłakiwać ją.

Adam zwiesił głowę; był blady lecz zrezygnowany.

Powóz toczył się wciąż lekko po łące aż do wzgórka gdzie na wierzchołku ujrzał Cezar w pośród wielkich drzew dworek pół-murowany, otoczony zabudowaniami gospodarskiemi, a w dole ze dwadzieścia chat, z których kilka groziło już ruiną, około drewnianego kościołka ugrupowanych.

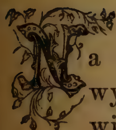
Ta wioska nazywała się Atradą.



„Boże coś Polskę" (patrz stronnica 43.)

III.

Dwie siostry.



Na skręcie u stóp pagórka, stryj i synowiec wyskoczyli z bryczki i poszli drogą przez wieś, prosto do dworu.

Od czasu sceny na łące, Włodzimierz i Cezar zachowywali głębokie milczenie: pierwszy marzył o Polsce, drugi o Tadei.

Dumał biedak jak ma się jej przedstawić, czy ma ją chłodno nazywać kuzynką, czy też przeciwnie, z całą otwartością pocałuje ją jak brat siostrę, tak jak było ostatnią razą w Paryżu.

A jeżeli ją pocałuje, czy w ramiona, czy w obadwa policzki?

Była to ważna kwestya, zdolna zakłopotać nawet starego dyplomatę. Męcząc się też nad jej rozwiązaniem, przewrócił dwoje czy troje dzieci w koszulkach przypatrujących się z bliska jego spodniom w kratki i spiczastemu kapeluszowi.

Gdyby nie był tak głęboko zajęty ciężkiem swojem zadaniem, widziałby, że wszyscy mieszkańcy

Atrady przyglądali się z ciekawością jego ubiorowi, zauważyłby nawet ze wstydem, szydercze uśmiechy dziewcząt, pogardliwe i niedowierzające spojrzenia gospodyń siedzących na progach domostw, i naiwne zdumienie szarych krów, prawie tak licznych jak dzieci, przypatrujących się uważnie temu dwunożnemu fenomenowi, który po raz pierwszy w swem życiu widziały.

Paryżanin tego nie widział; myśl jego była wyłącznie zajęta ową trudną zagadką, z której szukał sposobu do wyjścia.

Weszli wreszcie na drogę wydrążoną, przecinającą w prostej linii gościniec po nad wsią, a Cezar po raz dwudziesty zapytywał się co zrobić i jak ją pocałować? gdy naraz usłyszał tuż obok siebie jakiś głos świeży i nieco żartobliwy:

— Dzień dobry braciszku.

Zrobił szybki ruch w tył, ażeby nie zostać stratowanym, i stanął osłupiały z kapeluszem w ręku, z oczami utkwionemi w młodą dziewczynę od 18 do 20 lat, w pięknym stroju narodowym, kierującą z wdziękiem i śmiałością koniem maści hebanowej; ojciec i córka widząc jego zdumienie, głośnym wybuchnęli śmiechem.

Tymczasem amazonka lekko jak ptaszek zeskoczyła z konia i podała mu rękę.

— Nie chcesz powiedzieć dzień dobry twojej siostrze? zapytał Kirpowski.

— Ale tak, z pewnością tak, wyjąkał Cezar przypatrując się z przestrachem żwawej brunetce, która mu się tak nagle, tak niespodzianie przedstawiła; bez wątpienia tak. Dzień dobry Tadeo. . . . to jest, kuzynko, ponieważ, w istocie, nie poznałem cię.

— O, wierzę ci, ponieważ nigdy jej niewidziałeś, rzekł Włodzimierz.

— Ale przepraszam, mój stryju, widziałem pannę, to jest panią Tadeę w Paryżu w roku . . .

— I nie przypominasz jej sobie dobrze, to jest widocznem. Czy nie widzisz że to nie jest ona, ale Marta.

Mówiąc prawdę, Cezar nie mógł znać rysów Marty bo jej nigdy w swem życiu nie widział, myśląc zaś o Tadei, zapomniał zupełnie o jej egzystencyi na świecie.

Przyszedłszy jednakże do siebie, śmiał się ze swojej pomyłki, a całując kuzynkę, prosił ją o przebaczenie.

Udali się do dworu; krok w krok za nimi postępowała Strzałka, klacz Marty i duży, szarej maści chart; psisko zdawało się podzielać powszechne zdumienie widząc dziwaczny ubiór paryzki, bo z pewnem niedowierzaniem spoglądało na Cezara.

— Byłoby to pięknie, gdybym jej był przywiózł lalkę jak zamierzałem, myślał sobie Cezar, kuzynce, która prawie jest mego wzrostu, jeździ konno jak koniuszy i wcale nie ma miny nieśmiałej i zakłopotanej pensyonarki, wychodzącej z zakonu; tak; byłoby to piękne, bardzo piękne.

— Znajdujesz, więc Cezarze, mnie bardzo podobną do Tadei? zapytała dzieweczka z żartobliwym uśmiechem.

— Dwie siostry zawsze są trochę podobne do siebie, odpowiedział, i mówią nawet, że obcy, kładąc nacisk na ten wyraz, przedewszystkiem są uderzeni tem familijnem podobieństwem.

— Żartujesz sobie, przyznaj bracie, żeś trochę zapomniał Tadei.

— Ja, zapomniałem Tadei, z pewnością że nie.

— Jakiego więc koloru są jej włosy?

— Blond, prawie jasne.

Teraz, są one jasno-popielate, lecz mniejsza o to, a jej oczy?

— Blado-niebieskie.

— Bardzo dobrze. A jakiego jest wzrostu?

— Nie wiele wyższa od ciebie.

— O, o głowę jest wyższą odemnie.

— A więc urosła odkąd jej nie widziałem.

— To wierzę, nie miała wtedy jak 13 lub 14 lat, wtrącił Kirpowski. Zresztą, sam osądzisz, ponieważ spodziewam się, że jest w domu o tej godzinie.

— Pan Andrzej nie pozwala jej wychodzić, odpowiedziała Marta, ale czasami nie bierz twego siostrzeńca za jego ojca, dodała wesoło.

— Byłoby to trudnem.

— O, kto wie, spostrzega się tak dobrze najmniejsze podobieństwo familijne, kiedy się jest obcym.

— Szczęściem, wpierw widziałem Adama aniżeli jego żonę.

— Jakto, znasz już Adama?

— Dopiero od trzech godzin jestem w Polsce, i poznałem mego stryja, potem ciebie, potem Tadeę, potem Adama, potem Grzegorza, potem Magnusa, potem Stefana, potem . . .

— Potem, nikogo już więcej, tak myślę, przerwał Włodzimierz. I w istocie, lista i tak jest już dosyć długa.

— Prawda! ale mylisz się drogi stryju, poznałem kogoś, którego wy być może nie znacie, tak siostro, pewnego przystojnego i dzielnego młodzieńca, a na honor, ten nie wstydził się wypowiedzieć na swój sposób tego co myśli.

— I ten bohater nazywa się? zapytała ze śmiechem dziewczyna.

— Oto jego karta, wręczył mi ją w wagonie. Wzięła ją niedbale i nie czytając, podała ojcu.

— Co mówisz, był w wagonie z Rosyanami, rozmawiał z nimi, i pokazywał swoją kartę, wykrzyknął Włodzimierz zdumiony podobnem zuchwalstwem.

— Kto taki, ojcze?

— Oh! któż mógłby być inny jak nie Narbut?

— Narbut! wyrzekła blednąc okropnie. Co za szaleństwo! Mój Boże! mój Boże! o tej godzinie pewnie już jest w więzieniu. Mów więc Cezarze wszystko co wiesz, błagam cię. Ale mów-że! Czy myślisz że nie poznano go?

— Mówiąc prawdę, nie wiem, ale zdaje się, że siedzący blizko mnie generał, wyczytał jego imię na karcie.

— I ty mu ją pokazałeś? rzekła, gniewnie tupnąwszy nogą.

— Nie powiedział mi abym ją schował. Powstając, wręczył mi bilet, a w tym samym czasie wyciął uczciwy policzek generałowi za to, że powiedział, nie pamiętam wskutek czego, że Polacy są psami.

— Ach mój Boże! mój Boże! jakaż nieroztropność! Ale powiedz mi, kiedy go aresztowano...

— Nie aresztowano go, siostro. Dawszy w twarz generałowi, szybko przeszedł galeryę, wyskoczył z wagonu i zniknął w Rawanickim lesie.

— Och, mój dzielny Narbut! wykrzyknęła Marta, a oczy jej dumą zabłysły.

Cezar wzrokiem zapytywał Kirpowskiego.

Na to nieme zapytanie, starzec wzniósł oczy do nieba, a dwie łzy potoczyły się po męzkiej jego twarzy.

Ta odpowiedź oznaczała milczenie.

Nie pomylił się młodzieniec.

Kilka chwil wystarczyło Marcie przyjść do siebie ze wzruszenia. A śmiejąc się przez łzy, serdecznie uścisnęła dłoń brata stryjecznego, mówiąc:

— To mój narzeczony.

W tem pojedyńczem słowie, łatwo można było odgadnąć niezmierną dumę.

Teraz Kirpowski spojrzał na Cezara, nie wyrzekł ani słowa, ale w tem spojrzeniu było tyle boleści i

takie zdanie się na wolą boską, że młodzieniec uczuł ściśnienie serca.

Szli dalej pod górę. Marta z dziecinną gadatliwością mówiła o wszystkiem; dla rozpędzenia smutnych myśli pochylających czoło jej ojca ku ziemi, opowiadała najświetniejsze i najświeższe czyny Strzałki, mówiła o roztropności Nipa, swego pięknego charta, zapytywała kuzyna o wrażenia z podróży, wypytywała o zwyczaje Paryżan, pytała czy Sekwanna jest tak wielką jak Wisła, czy kobiety noszą jeszcze czerwone peruki, śmiała się, żartowała, a wszystko z tak gorączkową żywością i z udaną wesołością, pomimo, iż boleść przebijała się na jej twarzy.

I tak przybyli do Atrady. Zmrok już zapadał.

Milcząc przeszli podwórze, weszli po kilku schodach na ganek prowadzący na balkon okryty kwiatami, a potem do wielkiej sali służącej jako przedpokój.

W sąsiednim pokoju oświeconym lampą do połowy zakrytą, młoda kobieta śpiewając z cicha, przechadzała się z dziecięciem na ręku.

Właśnie układała je do snu w kolebkę, kiedy szmer kroków w przedpokoju zbudził maleństwo już do połowy uśpione, zaczęło też płakać.

— Kto tam jest? zapytała matka.

— Twój kuzyn i my, odpowiedział Kirpowski.

I wchodząc do pokoju, podniósł umbrelkę, mówiąc:

— Cezarze, chodź zobaczyć Andrzeja nim zaśnie.

Dziecię olśnione blaskiem lampy, schowało twarzyczkę na piersiach matki.

— A no, panie Andrzeju, powitaj grzecznie twego wuja, rzekła Tadea. Nie rób grymasów, paniczu; trzymaj się prosto i nie trzyj paluszkami oczów. A, tak, teraz bardzo dobrze. Czy nie piękny mój Andrzej?

— Zachwycający, prawdziwie zachwcający! rzekł Cezar trochę zakłopotany że kuzynka myśląc tylko o swoim chłopcu, zapomniała odpowiedzieć na jego powitanie.

— Trochę to jest nieładnie, pomyślał sobie; ojciec jest grzeczniejszym.

— Spojrzyj na jego oczy, mówił dalej Włodzimierz, na widok wnuczka zapominający o wszystkiem innem, są to wykapane oczy matki, nie prawdaż?

— Tak, w istocie oczy matki, powtórzył Cezar, patrząc z większą uwagą na piękną twarz Tadei. Tak, zupełnie te same, tylko trochę mniejsze.

— Oh! przepraszam, rzekła zgorszona.

— Ma racyę, rzekła Marta, twoje oczy są większe niż malca.

— Ale nie, z pewnością że nie, Marto prawdziwie, nie wiesz co mówisz. No, Andrzeju, pokaż twoje oczy.

Żądanie to było zbytecznem; bo dziecko widząc obcą twarz i dziwaczny ubiór gościa, wytrzeszczyło oczęta z widocznym przestrachem.

— Do kogo je znajdujesz podobne? ciągnął dalej Włodzimierz.

— Do Adama.

— A, widzisz ojcze, wykrzyknęła tryumfująco Tadea, wszak prawdę mówiłam, że to jest Adam w miniaturze. Ale, dodała, zwracając się do Cezara, gdzie widziałeś mego męża?

— Na wielkiej łące nad Pilicą.

— Ulubiona jego przechadzka, z wdzięcznym rzekła uśmiechem.

— A, zrobiłby lepiej chodząc tam rzadziej, wymówił Kirpowski surowo.

— Ach, Boże! trzeba przecież mój ojcze, aby mężczyźni mieli trochę zajęcia; żywego usposobienia Adam, nie mógłby żyć próżnując, lepiej jest, dodała westchnieniem, że się zajmuje polowaniem i rolnitwem niż polityką.

— Ja uważam przeciwnie, przerwała Marta, dumie podnosząc głowę, w czasach dzisiejszych, polityka jest szlachetniejszą aniżeli rolnictwo, wojna zaś rzedstawia więcej dla nas wartości niż polowanie.

— Ty jesteś żołnierzem, odpowiedziała Tadea ze mętnym uśmiechem, i nie zadziwi mnie to wcale, dy cię za parę dni zobaczę przebraną za polskiego łana.

— Kto wie? rzekła Marta; w 1830 roku hr. milia Plater dowodziła szwadronem ułanów polskich, tórzy po kilka razy rozbijał czworoboki starych renadyerów Paszkiewicza i zadecydował zwycięztwo.

— Broń Boże, ażeby te nieszczęśliwe czasy miały owrócić; lepiej jest cierpieć jeszcze prześladowanie k narażać się na niepewne losy strasznej wojny, której z pewnością musielibyśmy uledz.

— A ja mówię: lepiej jest umierać za wolność niż żyć w niewoli, odpowiedziała Marta, i jeżeliby Narbut nie myślał jak ja . . .

— To ty będziesz myślała jak on, przerwała Tadea, ale gdybyś była matką, być może zmieniłabyś swoje zapatrywania, dodała przyciskając dziecię do serca. I dla tego cieszę się, że Adam na wiadomość o gwałtach dokonanych w Warszawie, zamiast rozgrzewać się w towarzystwach sekretnych, spędza czas na polowaniu przebiegając mazowieckie bory i równiny Pilicy. To, przynajmniej, nie jest zadaniem spisku.

Cezar i stryj nieme, ale znaczące zamienili ze sobą spojrzenia.

Widocznie Tadea nic nie wiedziała. Zatem przebudzenie jej będzie okropnem.

— Jakoś Andrzej nie patrzy na mnie łaskawem okiem, rzekł młodzieniec, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Być może, bierze cię za spiskowca, odpowiedziała Tadea.

— Ja myślę, że raczej nie podoba mu się twój ubiór, zauważył Włodzimierz, bo z prawdziwym przestrachem spogląda na twój spiczasty kapelusz.

— Jako dobry Polak, lubi tylko strój narodowy, protestuje więc przeciw napływowi cudzoziemczyzny, odpowiedziała Marta. Prawda, Andrzeju, że ty nie lubisz ani Niemców ani Rosyan?

— Ale ja jestem Polakiem, wtrącił Cezar kładąc rękę na główce dzieciny.

To pojednawcze usiłowanie miało smutne następstwa.

Przestraszony tą pieszczotą Andrzej, uważając ją bez wątpienia jako zaczepkę, tak gwałtownie rzucił się w tył z wybuchem krzyku i płaczu, że Tadea aby go uspokoić, została zmuszoną wyjść z nim do sąsiedniego pokoju.

— Powiedz-że mi kuzynie, czy jeszcze mnie znajdujesz podobną do Tadei? zapytała Marta, która dopiero przed chwilą odzyskała wesołość młodej dzieweczki, nie troszczącej się o nic.

— Prawdziwie Marto, o ile mogę sądzić z tego co widziałem, daleko łatwiej jest mi teraz uchwycić stopień podobieństwa pomiędzy wami; ty jesteś brunetką i żywą, ona blondynką, cichą i spokojną; różnicie się również wzrostem i twarzą, jednakże, śmiej się jeźli chcesz, na pierwszy rzut oka, nie podobna jest nie poznać, że jesteście siostrami.

— Doprawdy?

— Zapewniam cię.

— To jest możebnem, rzekła Marta idąc do okna przy którem stał podparty jej ojciec, tak, bardzo możebnem i inni to samo mówili. Jednakże, jest to szczególniejszem, bo . . .

Zatrzymała się, a zwracając się do Kirpowskiego:

— Czy nie widzisz ich ojcze? zapytała.

— Nie, nie widzę ani ich słyszę.

— A przecież jest już dosyć późno.

— I powinniby pamiętać, że Cezar jeszcze dzisiaj nie jadł obiadu. Zapewne jesteś bardzo głodnym Cezarze?

— Bardzo głodny, nie, ale skłamałbym gdybym powiedział że nie zjadłbym czego z przyjemnością, skoro szósta nadchodzi.

— Szósta dawno minęła, teraz już jest w pół do dziesiątej.

— O, wierzę i zaręczam ci Marto, że nie patrząc na zegarek, nie wątpię o tem rzekł Paryżanin. Zwykle jadam wieczerzę o w pół do siódmej.

— Szczególniejsza godzina! wykrzyknęła Marta, tutaj objadujemy o drugiej a wieczerzamy zwyczajnie o ósmej.

— Zdaje mi się że słychać bryczkę, Adam i Grzegorz nie powinniby być daleko.

— Oh! z pewnością byliby przybyli wpierw aniżeli my, gdyby nie byli wyjechali na spotkanie Michała przybywającego z Warszawy, i obawiam się, żeby się jeszcze trochę nie opóźnili. Ale! ale! kuzynie, nie znasz Warszawy?

— Przeciwnie, doskonale, dwa czy trzy razy widziałem miasto i okolice.

— No, a ja myślałam że dopiero pierwszy raz jesteś w naszym pięknym kraju.

— To też ja nie w Polsce widziałem Warszawę.

— A, to dobre? Gdzież więc ją widziałeś?

— W panoramie, na polach Elizejskich, Marto.

— I ty to nazywasz widzieć?

— Z pewnością, kuzynko, złudzenie jest zupełne, widzi się tak, jak gdyby się tam przechadzało, ogród Botaniczny, Łazienki, wybrzeże Wisły, plac zamkowy, również można rozpoznać wozy przechodzące po moście na Pragę, ludzi w świątecznych ubiorach wychodzących z kościoła po sumie. . . .

Ach! widać tam ludzi w świątecznych strojach, Cezarze? powtórzyła z goryczą Marta. A więc, masz racyę, złudzenie jest zupełne, ponieważ jest to wielkiem złudzeniem wierzyć, że się widzi na ulicach miasta, ludność w świątecznym stroju. Warszawa, pod panowaniem terroryzmu jest wielkim cmentarzem, gdzie pomiędzy grobami błąkają się nieszczęśliwi, którym kaci zabraniają nawet zapłakać.

— Co za obraz, wielki Boże! wykrzyknął Cezar.

— Jest on jeszcze słabo określonym, tak, bardzo słabo określonym, powtórzyła z goryczą.

A zbliżając się do młodzieńca, rzekła doń prawie półgłosem, kładąc palec na ustach.

— Pojutrze tam pojadę, chcesz mi towarzyszyć? Ale cię ostrzegam, że tobie i mnie grozi niebezpieczeństwo.

— Dziękuję za pamięć o mnie, Marto, chętnie i z całem sercem będę ci towarzyszył.

— Serdecznie uścisnęła mu rękę szepcząc:

— Jesteś prawdziwym Polakiem, będziesz naszym.

— Zawsze, odpowiedział, nie wiedząc do czego się zobowiązał.

W tej chwili weszła Tadea niosąc uśpionego Andrzeja na ręku.

— Cicho! szepnęła Marta, podczas kiedy jej siostra dziecko układała w kolebkę.

Prawie w tym samym czasie Włodzimierz stojący zawsze przy oknie, odwrócił się mówiąc:

— Chodźmy wieczerzać; Bogu dzięki, otóż i oni.

— Obadwa? zapytała Marta.

— Tak jest, obadwa, odpowiedział tonem już wolnym od wszelkiej troski.

I przeszli do sali jadalnej.

Za chwilę, Chusko ze swoimi szwagrami wszedł do pokoju. Byli smutni i bardzo wzruszeni.

Michał serdecznie uścisnął Cezara. Po zaszłej scenie na łące nie był on już więcej obcym dla nich; duchem i sercem uważali go za swego.

— Powróciłeś bardzo późno, rzekł Włodzimierz tonem ojcowskiej wymówki do Michała.

— Nie mogłem wcześniej załatwić interesów, odpowiedział młodzieniec.

— Spodziewam się, że przecież nic złego cię niespotkało?

— Nie, nic ojcze, odpowiedział krótko.

— Z twej miny możnaby jednakże sądzić, że masz nam jakie złe nowiny oznajmić.

Michał spojrzawszy na siostrę z widocznem wzruszeniem, powiedział:

— Krążą pogłoski, które nic jeszcze pewnego nie dowodzą. Lepiej więc o tem zamilczeć.



Patrz str. 57—58.

— Jest coś, co się tyczy Zygmunta, wykrzyknęła Marta, ja to widzę, mów co wiesz?

— Mówią, ale to jeszcze nie pewne, że jest aresztowanym.

Była chwila przerażenia.

— Aresztowany i odkąd? kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

Marta odetchnęła.

— Parę godzin temu, widziałem go, wtrącił Cezar.

— Widziałeś Narbuta? naraz zapytali trzej młodzieńcy, z pewnem niedowierzaniem.

— Widziałem i mówiłem z nim.

— Czy jesteś pewnym, że się nie mylisz; już od kilku dni szukają za nim, i zapewniano mnie, że o tej godzinie teraz, znajduje się w cytadeli.

— Ten co cię zapewniał albo sam został zwiedziony albo ciebie chciał zwieźć, ponieważ jestem.

— Narbut! Narbut! ty tutaj, wykrzyknęli wszyscy razem.

— Ja sam w mojej własnej osobie, zaprosiłem się do was na wieczerzę, odpowiedział młodzieniec. Znajdzie się też miejsce dla mnie?

— O, tak, tak, siadaj pomiędzy Martą i nową twoją znajomością, rzekł Włodzimierz.

— Ach! wykrzyknął, śmiejąc się Narbut serdecznie, nie poznałem pana, albo raczej niewidziałem cię jeszcze. Jakże się miewa gruby generał?

— Ma zbolały policzek, a przez całą drogę wydawał rozkazy aresztowania pana.

— Co za nieroztropność, Zygmuncie! wyszeptała Marta tonem wymówki.

Znieważył Polskę, więc jak podłemu dałem w twarz, odpowiedział Narbut z zaiskrzonem okiem.

— I dobrze bracie zrobiłeś, rzekł Chusko.

— Adamie, jak możesz coś podobnego mówić? Uspokój się, błagam cię, prosiła Tadea.

— Teraz, mówił dalej Narbut, panowie kozacy przebiegają mazowieckie lasy; leśniczy Tołoko już zdaleka widząc ich przybywających, w sam czas uprzedził mnie o ich przybyciu. Ażeby nie zakłócić ich spaceru, wziąłem konia od wieśniaka, przebyłem w bród Wartę, i przyjechałem do was. Noc jest piękna, mogą więc spacerować do woli.

— Czy Tołoko wie, w którą udałeś się stronę? zapytał Włodzimierz.

— O, nie myślałem mu tego powiedzieć.

— I dobrze zrobiłeś, nie dowierzam temu człowiekowi, rzekł Kirpowski.

– A to dlaczego? Czy dla tego że służył w wojsku moskiewskiem?

— Nie, lecz jego twarz mi się nie podoba.

— Prawda, że nie jest ona bardzo sympatyczną, ale to nie przeszkadza być dobrym patryotą.

Kirpowski z niedowierzaniem wstrząsnął głową.

— Dobrze zrobiłeś nie zwierzając mu się, lubi pieniądze, a gdyby wiedział że jesteś u nas, a przedewszystkiem, gdyby wiedział że wydając ciebie może zarobić sto rubli, nie zadziwiłbym się wcale, widząc tu jutro rano kozaków.

— I przybyli--by napróżno.

— Jakto, chciałbyś już nas opuścić? zapytała Marta.

— Muszę. Oczekują mnie, a nieobecność moja, mogłaby zgubić przyjaciół.

— Gdzież więc teraz pójdziesz?

— Jutro ze świtem, będę w Warszawie.

— W Warszawie! krzyknęli wszyscy jednym głosem.

— Tak, w Warszawie, to was dziwi? Łatwiej jest ukryć się w tłumie aniżeli w lesie.

— Mają twój rysopis.

Narbut wzruszył ramionami.

— Chciałbym w kassyno Paszkiewicza zagrać w wista z generałem, i ograć go.

— Zygmuncie nie czyń tego szaleństwa, błagam cię, prosiła Marta, uderzając go po ramieniu.

— Nie obawiaj się Marto; jeżeli ty posiadasz prostotę gołębicy, to ja mam roztropność węża. A teraz, wieczerzajmy bez obawy, przy kolacyi przyszły mój kuzyn opowie nam o pięknej i dzielnej Francyi.

— Tak, tak, to prawda, rzekła Tadea, mówcie co chcecie, wyjąwszy spisków, kar i wojny; to wszystko do niczego nie doprowadzi, a burząc krew, sprawia bezsenność. Czy piłeś już kiedy miód Cezarze?

— Zdaje mi się, że już raz go piłem.

— Nasz jest fabrykacyi Tadei, rzekł Kirpowski, i mówią, że jest najlepszy w okolicy.

I napełnił szklankę młodzieńca przezroczystym złotawym płynem.

— Dawniej, mówił Zygmunt, poganie pili ten narodowy trunek z rogu nossorożca; taki roztruhan, złotemi obwódkami i drogiemi kamieniami ozdobiony, krążył z ręki do ręki dopóty, aż do ostatniej kropli został wypróżniony.

— W tych czasach, rzekł wesoło Adam, Polacy mieli reputacyę dzielnych pijaków.

— Ja sądzę, że piękny złoty kielich byłby przyjemniejszym aniżeli róg nosorożca.

— Tak, ale poganie nie dowierzając jedni drugim, przez ostrożność używali rogu. Sądzono bowiem, że róg nossorożca posiadał tajemniczą własność, osłabiania mocy, najdelikatniejszej nawet trucizny.

— Ha! wtrącił Cezar, zdaje się że w tej epoce ludzie sobie nie ufali.

— Chociaż było mniej powodów niż dzisiaj, rzekła Marta.

— Tymczasem, siostro, bez złej myśli, piję twoje i wszystkich twoich zdrowie!

I wstając trącił swoją szklankę o szklankę stryja i kuzynów, a niosąc ją do ust mówił:

— Boże zbaw Polskę!

— Kozacy! krzyknął służący wpadając przestraszony do sali.

Wszyscy zostali jak piorunem rażeni.

Nikt, nawet Narbut, który stał ze szklanką w ręku, nie ruszył się z miejsca.

— Gdzie są? zapytał Włodzimierz.

— Na podwórzu.

— Ilu?

— Dziesięciu i oficer, żąda mówić z panem.

— Dobrze, idę, powiedział Kirpowski. Do widzenia, moje dzieci.

— Do zobaczenia Ojcze! odpowiedział Narbut.

I nie spiesząc się, pomału wypróżnił swoją szklankę, mówiąc:

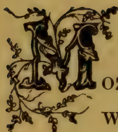
— Na zwycięztwo Sprawiedliwości!

Potem, pocałował Martę, uścisnął dłonie kuzynów, pocałował Tadeę w ramię i otworzywszy okno, które jeden ze służących natychmiast za nim zamknął, wyskoczył na balkon a z balkonu do ogrodu.



IV.

Krapułow.



Może w pięć minut po zniknięciu Narbuta, wszedł do pokoju Kirpowski eskortowany przez cztery osoby, to jest: dwóch kozaków o ogromnych wąsiskach, w kołpakach z baraniej skóry, z szablami przy boku, ładownicami na piersiach. w prawej zaś ręce trzymających nahajki o krótkim trzonku z plecionego gotowanego w occie syrowca dla nadania giętkości, gęsto i dużemi supłami ozdobionego.

Knut taki stanowi w części uzbrojenie kozaka. Jedno dobre nim uderzenie, wyżłobi głęboki rowek w dębowej desce; a lepiej jeszcze naznaczy twarz lub kość uderzonego nią wieśniaka.

Żołnierze na progu drzwi zatrzymali się sztywni, nieczuli i nieporuszeni jak statuy.

Dwie drugie osoby, weszły za gospodarzem domu; każdy z nich przedstawiał typ sobie właściwy.

Pierwszy, dziecko raczej niż młodzieniec, miał mniej więcej 15 lat, zaledwie od miesiąca podporu-

cznikiem, świeżo wyszedł z fabryki szlachetnych oficerów, którą nazywają Pierwszym Korpusem Kadetów w Petersburgu. Nie miał ani wąsów, ani brody, ale uniform jaskrawy, z fałszywego złota naramienniki, i nic więcej, jak trzy czy cztery dekoracye; miał również, włosy dobrze wypomadowane, brzęczące ostrogi, szkiełko i szpicrutę, którą uderzał po swoich szerokich z niebieskiego sukna kozackich spodniach.

Ten pan różowy i biały, wymuszony, wysznurowany i dostatecznie wykułakowany, udający coś, do najwyższego stopnia był grubijańskim i pysznym dla wszystkich, którzy go otaczali; ten, którego przez lat pięć smagali rózgami przynajmniej raz na tydzień, ażeby dobrze w jego pamięć wbić teoryę i praktykę, dzisiaj tak sobie upodobał tytuł excellencyi którym go mianowano, że nic sobie z nikogo nie robił wyjąwszy swoich przełożonych, którym jak pies wierny służył i aportował.

Towarzysz jego, człowiek cokolwiek skromniejszy i mniej światowy, był jak się należy . . . . w swoim rodzaju.

Nazywał się Iwan Krapułow i był członkiem szanownej policyi rosyjskiej.

Nie mając munduru specyalnego, a chcąc bezwątpienia zrobić honor eleganckiemu podporucznikowi, przywdział jakiś stary skórzany kask i rodzaj długiego surduta z wypustkami ciemno orzechowemi, które kiedyś były czerwone, i parę butów prawie nowych, które sławetny burmistrz zabrał pewnemu pijakowi, obierając go zarazem z pieniędzy.

Prawdopodobnie kask i płaszcz, mógł być nabyty w podobny sposób.

Krapułow pobierał małą pensyjkę, a że lubiał grać i pić, przedewszystkiem pić, nie zaniedbywał korzystać z każdej trafiającej się sposobności, ażeby powiększyć swoje zasługi. Dochód w ten sposób nabyty, nazywał *dochodem postronnym.*

— Jesteś sprytnym człowiekiem, powiedział doń pewnego razu, jego kuzyn, żandarm, z 200 rubli rocznej pensyi, żyjesz dobrze, jesteś rumiany i czerstwy jak burak, pieniędzy dosyć masz w kabzie, codziennie jesteś pijany, sprawiasz żonie i pięciu twoim córkom atłasowe suknie, i jeszcze rok rocznie od 1000 do 2000 rubli na bok odkładasz! Na brodę cara-batiuszki, jesteś sprytnym chłopem, i powinieneś mnie nauczyć tego sposobu.

— Ba! nie mam sposobu, mam tylko dochód postronny, odpowiedział skromnie Krapułow, a trochę także wygrywam.

Mówiąc prawdę, zasługi zacnego urzędnika nie były również bez jakiejś korzyści dla jego przełożonych, z którymi jako zręczny dworak, dzielił swój dochód postronny. Na piersiach miał zawieszonych przynajmniej ze dwa tuziny medali, krzyżów, cyfer, i innych jeszcze oznak honorowych blaszanych, z których rząd rosyjski potrafi ciągnąć bardzo dobre korzyści, każąc sobie płacić za każdą taką blaszkę po rublu, a która go tylko pół trzeciej kopejki kosztuje.

To zdzierstwo w moskiewskim języku, nazywa się podatkiem honorowym. Wielu odźwiernych

w wielkich domach, ma nie mniej jak 15 do 20 krzyżów, a z pewnością twierdzić możemy, że się o nie wcale nie starali.

Umiejętność robienia dochodu postronnego w Rosyi, dochodzi do ostatnich granic.

Włodzimierz nim przestąpił próg drzwi, rzucił wpierw szybkie spojrzenie po pokoju. Nic nie dowodziło odwiedzin Narbuta.

— Grzegorzu, rzekł do najstarszego ze swoich synów, daj mi listę naszych wieśniaków.

Posłuszny młodzieniec poszedł do gabinetu ojca po rejester, w którym takowa była spisaną.

Tadea wstała w tym samym momencie, ażeby pójść do swego pokoju.

— Nie odchodź pani z naszej przyczyny, rzekł Krapułow z uśmiechem, który starał się zrobić bardzo miłym.

I zbliżył się do stołu:

— Pozwolisz pani? dodał, biorąc bez ceremonii szklankę, którą z braku wódki, napełnił miodem.

Była to szklanka z której Narbut przed chwilą wypił za pomyślność Polski.

— Przepraszam pana, ta szklanka jest moją, wykrzyknęła Marta wyrywając mu ją gwałtownie. Podadzą panu drugą; z tej już pito.

— I obawiasz się piękna panno, ażebym nieodgadł twoich myśli, pijąc z niej.

— Nie lubię ażeby ktokolwiek pił z mojej szklanki, sucho odpowiedziała.

Spojrzał na nią z pod spodu swoich okularów, zacisnął usta, wziął drugą szklankę, nalał i powiedział z zamiarem.

— Piję za zdrowie naszego cesarza, ażeby go Bóg zachował dla szczęścia Polski!

Nikt nie odpowiedział; a Marta wstawszy, udała się do siostry.

Grzegorz nie mógł znaleźć rejestru, albo też mało dołożył starań, ażeby go wyszukać.

Co zaś do podporucznika, ten wyciągnął się na fotelu, gwizdał aryjkę z ostatniej opery i wybijał takt swoją szablą.

Krapułow więcej od niego zajęty szlachetną swoją misyą, popijając zwolna miód, bacznie przyglądał się twarzom trzech młodzieńców siedzących w milczeniu, w około stołu. Najwięcej zwracało jego uwagę, ubranie Cezara. Dostawca ludzi do więzień, wietrzył pewną zdobycz.

Najsłodszym więc i najfałszywszym głosem na jaki tylko mógł się zdobyć, przemówił do Kirpowskiego:

— Nie myślałem, że masz pan tak liczną familię?

— Mylisz się pan, odpowiedział zimno dziedzic.

— Bez wątpienia, zaśmiał się szyderczo policyant, bez wątpienia. A ten młodzieniec, czy przybył z zagranicy?

— Tak jest, przybył z zagranicy.

— Zapewne z Paryża?

— Z Paryża.

— Gdzie nie wątpię, był za pozwoleniem Jego Cesarskiej Mości, którego niechaj Bóg ma w swojej opiece.

— Nie potrzebował pozwolenia.

— Ach! czy w istocie niepotrzebował? powtórzył Krapułow, a oczy jego po za okularami zabłysły radością. Jest bez wątpienia jednym z waszych synów?

— Jest moim synowcem.

— Bardzo dobrze; pański synowiec, bez wątpienia przybywszy, zalegitymował się w policyi, i jego papiery są . . .

— Paszport jego jest w doskonałym porządku.

— Ja tak myślę, ja tak myślę. A jego książeczka legitymacyjna i karta pobytu są również w porządku, nieprawdaż?

— Jeszcze się nie legitymował.

— Coraz to lepiej. Wiesz pan bezwątpienia, że ktokolwiek przepędzi trzy dni w Polsce nie legitymując się, podpada 20 rublom kary; a po tygodniu, 60 rubli; a potem więzienie?

Bardzo dobrze wiem o tem.

— Doprawdy, lękałem się że nie byłeś pan o tem poinformowany. Jak się pan nazywasz, młodzieńcze?

— Nazywam się Cezar, odpowiedział nowo przybyły.

— Jak, Cezar?

— Cezar Kirpowski.

— Więc bądź pan łaskaw, panie Cezarze mówił policyant z szyderczą grzecznością, pokazać mi swój paszport.

Młodzieniec wsunął rękę do kieszeni, i wydobył z niej papier we czworo złożony.

— Zobaczemy, zobaczemy, mruczał Krapułow szukając wizy w nadziei, że może braknie jakiej formalności, a przedewszystkiem, że dzień legitymacyi będzie opóźniony.

— Ach! pan dopiero dzisiaj przybyłeś? wyjąkał z widocznem nieukontentowaniem.

— Dzisiaj właśnie.

— I pan jesteś . . . poddany . . . . francuzki . . .? dodał ze wzgardą.

— Jak pan widzisz.

Policyant z niecierpliwością obracał paszport na wszystkie strony, sprawdzał podpisy i datę, w końcu, przekonany że tą razą nie udało mu się zrobić dochodu postronnego, odsunął go mówiąc:

— Jest dobry.

A że właśnie w tej samej chwili, nadszedł Grzegorz z żądanym rejestrem, zwracając się do podporucznika, dodał:

— To zaczynajmy naszą robotę.

— Hę! co? z pogardliwą miną zapytał oficer. Ja nie mam tu żadnej roboty; przybyłem tylko dla dania wam pomocy wrazie potrzeby, ale do policyi się nie mieszam, tak, tak mój drogi.

I znowu huśtał się w fotelu, a zapaliwszy papierosa wypuszczał dym nozdrzami z pewną dumą i bardzo nawet słuszną, kiedy się posiada zasługę znamienitej wyższości.

Blizko godzinę podparty na stole Krapułow gryzł ołówek i tak już do połowy zniszczony, który według zwyczaju nosił za uchem, i przeglądał kartę po karcie listę wieśniaków w Atradzie.

Widząc że ta praca przeciągnie się noc całą, Chusko, jego szwagrowie i kuzyn, udawali się jeden za drugim na spoczynek, zostawiając agenta rządowego rozmyślaniom, i dwóch kozaków, którzy nawet jeszcze nie poruszyli okiem.

Podporucznik wypaliwszy kilka papierosów, spał jak każdy zwyczajny śmiertelnik.

O pierwszej po północy, Krapułow skończywszy zmudną swoją pracę, schował zabrudzoną książeczkę notatkową do również brudnej kieszeni swego munduru; wypił butelkę wódki którą mu przyniósł Magnus ze stajni, i runął nareszcie na dywan, chrapiąc jak niedźwiedź; w taki sposób kończył sprawy prawie codziennie w ostatniej szynkowni zaszczycanej swoją wizytą.

Szczęściem dla kozaków, że hałasem jaki sprawił padając, przebudzony oficer, rozkazał im połączyć się z towarzyszami, śpiącymi w stajni.

Nazajutrz skoro Cezar zeszedł do ogrodu kozacy byli już daleko, a Włodzimierz z przyjemnością sprawdził, że wyjąwszy kilku kur i kozy, nic nie ukradli.

Ten sposób postępowania przeciw swemu zwyczajowi, nikogo nie zdziwił prócz Magnusa.

— To byli fałszywi kozacy, powtarzał, zacierając ręce; ośm koni stoi w stajni tak jak stały wczoraj wieczorem. Tak, panie, to byli fałszywi kozacy.

Pomimo że nie zrabowali polskiego domu mając do tego sposobność, Kirpowski nie bardzo podzielał opinię starego sługi.

Być może, że przykład z pięciu czerkiesów skazanych na karę śmierci batogami, wywarł wpływ na ich teraźniejszą bezinteresowność.

Za dwa dni mieli w Warszawie na placu przed cytadelą ponieść srogą karę; Kirpowski i jego synowie nie wiedzieli jeszcze o tem, ale kozacy z pewnością to wiedzieli. Bojaźn pomiędzy żołnierzami armii nieregularnej, była zawsze początkiem roztropności.

— We Francyi, mówił Cezar, słyszałem że rozstrzelano wszystkich żołnierzy, którzy w czasie kampanii zostali złapani na kradzieży.

— Rosya na nieszczęście nie jest Francyą; tam, kradzież jest zbrodnią, potępioną przez opinię publiczną i prawem karaną. W Rosyi, tylko niezręczni i głupcy nie kradną.

— Czy przynajmniej jest wielu głupców i niezręcznych?

— Niestety! bardzo ich jest mało.

— Czy także i w wyższem towarzystwie!

— Przedewszystkiem tam. Mógłbym ci tysiące przykładów przytoczyć. Rząd rosyjski płacąc małą pensyę swoim urzędnikom, wie o tem bardzo dobrze. Wie nawet, że tacy ludzie jak Krapułow, którego poznałeś, biorą z kasy ich opiece powierzonej pieniądze, a potem wyciskają je na tych, którzy potrzebują od nich pomocy. Magnaci, nie płacą dostawców; dostaw-

cy oszukują kupujących i kradną robotników. Policya obdziera złodziei na swój własny rachunek. Pułkownik, ponieważ gaża jego nie wystarcza nawet na zapłacenie uniformu, bogaci się szybko na dostawach dla swego pułku przez częste zaciąganie pożyczek, na kuchnię żołnierzy; tanim kosztem posiada powóz i konie, dom na wsi i dom w mieście.

— Słysząc to, mój stryju dziwi mnie mocno, że żołnierze takie długie bo aż do pięt noszą płaszcze, pomimo, że od pułkownika aż do feldfebla wszyscy je obcinają. A cóżby było, gdyby ich przełożeni byli uczciwi? Żołnierze zamiataliby ulice ogonami swoich płaszczów, przynajmniej trzy łokcie długiemi, jak niektóre elegantki paryskie.

— Widzę, że nie bardzo temu wierzysz co mówię, ponieważ nie miałeś jeszcze sposobności przekonać się o tem, moje dziecko; ale za parę miesięcy, będziesz wiedział czego się trzymać. Jeżeli chcesz posłuchać, opowiem ci czyn, który miał miejsce nie tak dawno, bo podczas kampanii Krymskiej, a ten, da ci pewne wyobrażenie o zręcznej drapieżności wyższych oficerów w armii rosyjskiej. Uwiadomiono cesarza, że garnizon w Sewastopolu, źle jest żywiony. Rozkazał więc swoim generałom postarać się — chociażby nie wiedzieć co kosztować miało, o zapasy świeżego mięsa dla żołnierzy. Wyższej rangi oficerowie i intendenci, porozumieli się; trzysta wołów zakupiono w stepie i zaprowadzono do oblężonego miasta. W jakiś czas potem, raport szczegółowy, zawierający cenę kupna, koszta transportu, paszy,

kwatery i rzezi bydła, został przedłożony carowi. Car polecił ministrowi finansów ów rachunek natychmiast zapłacić, i sam własnoręczny list napisał do członków komisyi, wynurzając radość swoją wskutek ich uczuć patryotycznych.

— Ależ mój stryju, ja nie widzę nic zadziwiającego w całej tej historyi, z resztą chociażby nawet niektórzy generałowie byli bogaci, niemogliby przecież z własnej kieszeni zapłacić podobnych wydatków i....

— Doskonale mój chłopcze; ale w tym raporcie nie było nic więcej, jak tylko: rzeź bydła, siano, transport, stajnia i w końcu.... woły.

— Jak to, woły?

— Tak jest, mniemane woły nigdy nieegzystowały jak tylko na papierze, a żołnierze zajadali jak dawniej chleb czarny, gdy tymczasem ich oficerowie, pieniądze zaoszczędzone na żołądkach obrońców Sewastopola, schowali do kieszeni.

— To jest niemożebnem! wykrzyknął Cezar zdumiony.

— A jednakże, jest to faktem historycznym; o kradzieży doniósł Rosyanin książę Piotr Dołgorukow. Ale coś ważniejszego jest jeszcze.

— Ważniejszego?

— Tak jest, a jeżeli wolisz, haniebniejszego. W chwili, kiedy armie oblegające Sewastopol z największą siłą ataki swoje wymierzały, pewien bardzo zręczny chirurg został wysłany przez cara ażeby kierował służbą w ambulansach. Śmiertelność była

przerażającą pomiędzy rannymi, ponieważ z braku płótna, używano siana do opatrywania ran. Naczelny chirurg pisał do Petersburga prosząc o szarpie jako o łaskę. Tak z Rosyi jak i z Polski, mając już przygotowaną niezmierną ilość, wysłano paki natychmiast na pole bitwy. Pierwsze transporta nie nadeszły, a żołnierze rosyjscy jak przedtem, byli dziesiątkowani chorobą. Pyragrof żądał powtórnie. I znowu szarpie stosami zostały wysłanę. W Sewastopolu jednakże i tych nie otrzymano. Zrobiono nowe usiłowania. Wszystko napróżno; ranni będąc opatrywani sieczką, bezustannie umierali. Dopiero po skończonej wojnie wyznaczono kommisyę, której prezydentem był jeden ż wielkich książąt, dla zbadania tej sprawy. Po długiem i drobiazgowem śledztwie odkryto, że wyższej rangi oficerowie przez chciwość zwracali wszystkie przesyłki i sprzedawali szarpie fabrykantom papieru, w okolicach Odesy.

— Ach! nędznicy! wykrzynął Cezar, i nie rozstrzelano ich?

— Najwięcej skompromitowani, zostali wysłani do Syberyi, ale musiano okazać pobłażanie dla innych, ponieważ byli bardzo liczni.

— Biedna Polsko! westchnął boleśnie Cezar, jakim też ludziom oddaną jesteś na pastwę!

— Gdyby Europa wiedziała o tem, szepnął Kirpowski z niechęcią, ale Europa nie wie i nie może o tem wiedzieć. Może nas żałuje, ale myślę, prędzej nas gani. W jej oczach, jesteśmy narodem niespokojnym i awanturniczym. To pasmo gór, do-

dał wskazując na łańcuch Karpat, jest baryerą dzielącą nas od Zachodu. Pod jej podnóżem, kona w konwulsyach lud gnębiony. Potwarze tylko, rzucane przez naszych wrogów dostają się na drugą stronę. Tak Polacy są męczennikami i zarazem ofiarami oszczerstw miotanych przez prześladowców swoich. Bóg tylko jeden może się zmiłować nad nami.

— Ale w końcu, mój stryju, jeżeli tak rzeczy stoją, czemuż cały naród nie porwie się do broni?

— Czy nie widzisz, że właśnie tego chcą oni; czy nie widzisz, że chcą nas popchnąć do powstania ażeby mieć powód do zmoskwiczenia nas; prześladują i wywożą naszych księży jedynie w tym celu, ażeby zburzyć nasze ołtarze, obalić krzyże i wszczepić schizmę, symbol niewolnictwa, w miejsce katolicyzmu, którego istotą religii jest wolność! Powstanie, moje dziecko, — nie widzisz że to jest śmierć? Ich armie są gotowe, arsenały napełniają amunicyą, a działa nabite kartaczami gotowe do wystrzelania bezbronnej ludności, której przez ostrożność i pod pozorem rekrutacyi, porwą kwiat młodzieży. Wczorajsza wieczorna ich wizyta, nie miała innego celu. We wszystkich miastach i wioskach rachują naszą młodzież; z nieskończoną starannością, sporządzają listy proskrypcyjne. Styczeń, będzie sławnym w całej okazałości naszego nieszczęścia, najlepsze siły będą nam porwane, a gdy powstanie wybuchnie, ostatnia godzina dla Polski wybije! Dzikie, moskiewskie hordy są gotowe rzucić się na naszą ojczyznę, wymordować ostatnich jej obrońców, porwać nasze żony i dzieci,

a z naszej świętej krwią tylu męczenników zroszonej ziemi, zrobić niezmierną i głuchą pustynię; a resztę jej synów wywieźć do Syberyi, ażeby z ich kości usypane mogiły, były niememi świadkami śmierci bohaterskiego narodu?

— Narbut i Chusko nie widzą tak czarnej przyszłości, mój stryju; ich słowa tchną zapałem, a serca są pełne nadziei.

— Tak, tak, najżywszym patryotyzmem są ożywieni, tak jak i większa część naszej młodzieży. Nie dosyć są starzy, ażeby mogli sobie przypomnieć to, co my widzieliśmy. Wierzą w przyszłość, dlatego że niewidzieli przeszłości. Mając lat 18 sam byłem takim jak i oni. Twój ojciec, mężny i szlachetny był jednym z tych w 1830 roku, którzy pierwsi porwali za broń w imię narodu. Zdawało się, że Francya otworzy nam swoje ramiona.

,,29. Listopada, w dniu nigdy nie wygasłym w naszych rocznikach, o siódmej wieczorem podpaliłem stary browar na Solcu, blizko Belwederskiego pałacu. Był to znak umówiony. W godzinę potem dzielny Wysocki zdobywał wskazane drzwi, z odgłosem: Niech żyje Polska! a twój ojciec z 18-tu studentami, pierwszy przestąpił próg pałacu, ażeby uwięzić wielkiego księcia Konstantego. Nędznik ukrywszy się w apartamentach swojej żony, gdzie studenci przez rycerską grzeczność nie chcieli go ścigać, wymknął się z naszych rąk. Nazajutrz o świcie, pułki moskiewskie opuściły Warszawę.

,,Z radością powitaliśmy wschodzącą dla nas jutrzenkę wolności. Niestety! było to niczem innem jak tylko początkiem strasznego nieszczęścia. Moskale w krótkim czasie wrócili do naszej ojczyzny i zalali ją swemi wojskami. Blizko rok z rozpaczą opieraliśmy się ich atakom .... A jednakże, musieliśmy stopa po stopie ustępować im ziemi. Europa; pozostawiwszy nas na pastwę śmiertelnym naszym wrogom, opuściła nas. Ani jeden głos nie podniósł się w naszej obronie. Nieprzyjaciele postępując ciągle naprzód, wkrótce otoczyli nas kołem żelaza i ognia, które codziennie ścieśniało się.

,,W końcu nadszedł dzień 8. Listopada. Marszałek Paszkiewicz przeszedłszy Wisłę na czele tryumfującej swojej armii, wszedł do wyludnionej Warszawy. Szubienice stanęły, tracenia jedne po drugich następowały, oddziały patryotów, mężczyzn, kobiet i dzieci zakutych w łańcuchy, krwią i łzami znaczyły swój pochód na drogach Syberyjskich; bardzo mało tych nieszczęśliwych wycieńczonych głodem, pokrwawionych knutem, opadłych na siłach pod ciężarem kajdan, tam przybyło; a w pośrodku tej milczącej śmierci, porucznik carski śmiał napisać te smutne słowa:

Porządek panuje w Warszawie!

—,,O! moje dziecko, ci, którzy dzisiaj marzą o niepodległości Polski, nie widzieli tych dni łez i żałoby. Czas oznaczony przez Opatrzność jeszcze nie nadszedł. Panie, Panie, za tę chwałę, za którą nasi dziadowie zawsze dla Twego Imienia walczyli, oddal ten kielich goryczy od ust ich dzieci!

— Mój ojcze, rzekł głosem wzruszonym Chusko, wchodzący właśnie w tej chwili na ostatnie schody ganku, lepsza śmierć niż hańba!

I zbliżywszy się, uścisnął rękę Cezara.

Z pod czamary, spostrzegł Paryżanin kolbę pistoletu.

— Pst! szepnął, jak widzę, jesteś człowiekiem przezornym, Adamie.

— Tak jest, w samej rzeczy; ostrożność nigdy nie zawadzi. Kto wie, co się może przytrafić? w dzisiejszych czasach pistolet a nawet i dwa zawsze przydać się mogą.

— Więc rad jestem, że trafiłem do twego gustu Adamie, spodziewam się że przyjmiesz dość dobry karabin, który przywiozłem z Paryża, naumyślnie dla ciebie.

— Ciekawy jestem, w jaki sposób przebyłeś granicę z karabinem?

— Z trzema, ponieważ kupiłem po jednym dla każdego z braci.

— I nie skonfiskowano ci tego arsenału?

— Ale nie, nigdy w świecie, parę rubli dałem celnikom, ot i to wszystko.

— Ach! złoty klucz, złoty klucz, jakie cuda czyni, zawołał Chusko.

— A także, i twoje imię Francuza, bezwątpienia protegowało cię, dodał Włodzimierz.

— Mój Boże, nie wątpiłem o tem, i . . . .

— Gdyby wiedziano że jesteś Polakiem, nie przepusczonoby cię tak łatwo z bronią przez granicę, przerwał Chusko. Mnie, pod pozorem że bronie

surowo są zabronione, skonfiskowano scyzoryk. W istocie nie mógłbyś mi czem innem zrobić przyjemniejszego podarunku.

— Jakto, zabrano wam broń?

— O! tak. Zabrano broń wszystkim naszym wieśniakom, przynajmniej moskale tak myślą. Gdy tymczasem, wrazie potrzeby.... Ale ba! mają jeszcze swoje kosy, których ostrza.... A propos, jak ci się podobało nasze przedstawienie na łące?

— Nie widziałem jeszcze w mojem życiu nic tak wzruszającego, a przedewszystkiem, kiedy Szczepan....

— Piękną pogodę będziemy mieli dzisiaj, zauważył Włodzimierz, ściskając synowca za ramię.

— O, tak, bardzo piękną, rzekł Cezar trochę zdziwiony tą uwagą.

— Przedewszystkiem, kiedy Szczepan...

— I radziłbym ci pójść na przechadzkę po śniadaniu, przerwał Kirpowski, trącając go łokciem.

— Ależ z pewnością mój stryju, odpowiedział, nie mogąc zrozumieć tego sekretnego po raz drugi ostrzeżenia.

I odwrócił się, ażeby zobaczyć co się w koło niego dzieje.

O dwa kroki zaledwie siedziała na ganku Tadea, trzymając dziecię na ręku. Girlanda z kwiatów i liści, otaczała ich głowy. W istocie, zachwycający to był obraz dla zrozpaczonego artysty.

— Dzień dobry, Cezarze, rzekła matka swoim miłym i harmonijnym głosem, czy dobrze spałeś pierwszej u nas nocy?

— Bardzo dobrze, siostro, dziękuję ci. Ale i twój Andrzej ma piękną dzisiaj minkę; jest świeży jak pączek róży.

— Dla tego też jak widzisz, posadziłam go w pośród kwiatów, nie lękając się porównania z niemi.

— Ani z tobą siostro, w tych zielonych ramkach przypominasz mi piękny obraz, który kilka dni temu podziwiałem w Dreźnie.

— A jak się nazywa ten obraz?

— Matka-Jaśminu.

— Ładne jest imię.

— Niemiecki artysta dał swemu ideałowi blond włosy jak twoje, i podobnież jak ty, młoda kobieta schyla się nad bielutko-różowem dzieckiem, które śmiejąc się, podaje jej pulchniutkie swoje rączęta.

— Wszak także jesteś artystą, masz więc dobrą sposobność pokazać nam swój talent. A ja ręczę za cierpliwość Andrzeja.

Młodzieniec przeczący zrobił ruch głową.

— Do tego Tadeo, potrzebowałbym pendzla Albana.

— Dlaczego mówisz Albana a nie innych?

Dlatego, że Alban jest wybornym malarzem miłości i kwiatów.

— Jak Rafael aniołów.

— Nie mów mi o Rafaelu, on kocha się tylko w brunetkach.

— Gdy ty tymczasem?

Ja wolę dziewice o włosach złotych.

— Ha! ha! Cezarze, śmiejęc się przerwał Chusko, widzę żeś się we Francyi uczył grzeczności.

— Lecz ostrożnie, bracie, śmiejąc się także mówiła Tadea, bo Marta — brunetka może cię posłyszeć.

— Ja myślę że ona jest już w lesie, jak Dianna myśliwa, ze swoją strzelbą i wiernym Nipem.

— O, mój Boże! jak to dobrze znają mitologią w szkole sztuk pięknych, odpowiedział wesoły głos z pokoju. No, ale tymczasem Marta — mój dobry kuzynie, nie obrażając cię — zamiast pójść na polowanie, dokąd nigdy nie chodzi, jest zajęta bardzo prozaiczną pracą bo naprawianiem sukni, którą wczoraj w wieczór rozdarła. Widzisz więc, że to nie jest zatrudnienie bogini.

— To jest takie jak króla angielskiego, Jakóba Sztuarta....

— Och! kuzynku, miej litość dla naszej nieświadomości, i nie bądź tak mądrym, przerwała Marta, wysuwając głowę z za ramienia siostry.

— Już Cezar miał odpowiedzieć, gdy ktoś głosem nosowym i płaczącym, monotonnie wymówił:

— Niech Bóg Mojżesza i Aarona błogosławi szlachetnej familii pana Kirpowskiego.

— Dobrze, otóż i Abraham tutaj, wykrzyknął Chusko, wskazując nie bez pewnej pogardy małego staruszka, żyda, szczupłej postawy, w brudnej jarmułce, uginającego się pod niezmiernym tłomokiem towarów i niknącego w długim zabłoconym hałacie, którego ogromne kieszenie bujały w około jego bio-

der. Chodźmy Cezarze. Nie przeszkadzajmy damom wybierać z tego chodzącego bazaru.

— Panie, nim odejdziesz, czy nie raczysz rzucić okiem na mój towar; mam hafty, mam jedwabne ozdoby do czamary z Lewantu, pasy lite, mam . . . .

— Nic nie potrzebuję, przerwał Chusko, wzruszając ramionami.

— Dla tego młodego cudzoziemca, mówił dalej żyd, mam również przemycane chustki do nosa, prawdziwe angielskie, tanie rękawiczki, pomady jakim nikt nie ma podobnych, szpin . . . .

— Czy masz powóz i cztery konie? jest to właśnie to, czego żądam, przerwał Cezar, myśląc wziąść kramarza na kawał.

— Mówiąc prawdę, nie mam przy sobie, ale mogę postarać się panu. Powozik, jakiego pan nigdzie nie znajdzie, jest w nim sześć siedzień, lub dorożkę zupełnie nową, o czterech ressorach, i dwa konie, mój Boże, co za konie! dodał przymrużając oko i mlaszcząc językiem; a jeżeli życzysz pan sobie omnibusu, który . . . .

Marta wybuchnęła śmiechem.

— Jesteś więc bardzo bogaty? zapytał Cezar zdumiony.

— Bogaty! ja bogaty! Na sandały Mojżesza, nie ma nędzniejszego odemnie człowieka w Izraelu. Biedny jestem jak Job. Te towary nie są moje, a powozy są własnością pewnego pana, który mnie upoważnił do sprzedania ich, na zapłacenie rządowi podatku.

— To jest tobie zwrócić pieniądze, które mu pożyczyłeś, tysiąc za sto, łajał Kirpowski.

— Drogi Boże, miej litość nad biednym Abrahamem, mruczał żyd zdejmując swój tłomok, ja, pożyczyłem pieniędzy? a toż musiałbym je wpierw mieć.

— Wiesz co, kuzynie, powinieneś korzystać z odwiedzin tego bezinteresownego kupca, i polecić mu, ażeby ci postarał się o ubiór narodowy, bo twój jest za bardzo paryzki, zauważyła Marta.

— Jest to dobra sposobność, panie, zaraz odezwał się żyd, właśnie mam sukno w najlepszym gatunku, i prawie za darmo. Pozwól pan wziąść sobie miarę, dodał wyciągając z kieszeni kawał wstążki służącej mu za łokieć, znam pewnego krawca, któremu nie ma równego, już on wielu młodych panów ubrał bardzo przyzwoicie i elegancko. A ja za dobrą cenę, odkupię ubiór, który pan nosisz.

— Radabym wiedzieć co ty z nim zrobisz? zapytała Tadea.

— Och! wszystko się zużytkuje szlachetna pani, z denka mogę zrobić filtr dla aptekarzy, a ze skrzydeł będzie doskonała podeszew do pantofli.

— Ale ja potrzebuję ubioru na jutro, czy możesz mi go dostarczyć na trzecią godzinę po południu, w Warszawie?

— Będzie gotowy, panie, jaki pan sobie życzysz?

— Podobny do tego, patrz, rzekł Cezar wskazując na ubiór Chuski.

— Dobrze, jutro o trzeciej będzie gotowy

— A wrazie gdyby nie był gotowy, to ci go zostawię, czy zgadzasz się?

— Zgadzam się, panie.

— Hola! a cena? miej litość Abrahamie i oblicz skrupulatnie, mówił Kirpowski, ten pan jest moim synowcem, nie życzę też sobie abyś go obdarł.

— Żyd zrobił pocieszny grymas.

— Później zgodzimy się, błagalnym wyszeptał głosem.

— Nie, nie! teraz zgodzić się należy, znam cię za bardzo dobrze, abym ci miał zaufać ....

— Ach! panie, czy możesz pan tak mówić! pan, mój dobrodziej, mój ....

— Nie o tem teraz mowa, tylko o cenę.

— Zdaję się na szlachetność ....

— A więc bądź zdrów, nie mówmy więcej o tem, rzekł Włodzimierz ciągnąc za rękę Cezara.

— Panie, miej litość nademną! jęczał Abraham padając na kolana i całując połę czamarki dziedzica, sam pan postanów, ja nic panu nie odmówię; nawet za darmo zrobię, jeśli pan tego żądasz.

— Powiedz mi ile cenisz ten ubiór?

Żyd przyciśnięty do muru, rachował na swoich krzywych palcach, liczył, obliczał i dodawał, aż w końcu stękając na straszne zdzierstwa krawców, podał cenę cztery razy droższą niż się należało.

Ten pan da ci swój ubiór i pięćdziesiąt pięć rubli, rzekł Kirpowski, zmniejszając trzy części z żądanej przez żyda ceny.

Niezadowolony Abraham czołgał się u jego nóg, płakał, lamentował, rwał włosy z rozpaczy, nareszcie zgodził się za sześćdziesiąt rubli, zrobić żądany ubiór, na którym więcej jak połowę zarobi. Trzydzieści rubli odrazu! piękny to był dzień dla niego, pomimo tego nie przestawał lamentować jak gdyby ten handel zrujnował go do szczętu.

— Jutro o trzeciej będę u ciebie, rzekł Cezar, gdzie mieszkasz?

— Na Litewskiej ulicy, na Pradze, w domu Mirolarskiego; ach! panie, pańska szlachetność powinnaby jeszcze z pięć rubli dołożyć, byłoby to wielkiem dobrodziejstwem dla ojca biednej rodziny.

— Ma tylko jednego syna w ośmnastym roku, rześki chłopak, a bezwarunkowo bogatszy odemnie, rzekł Włodzimierz oddalając się.

— Czy chcesz Marto, spróbować karabin? zapytał Chusko; Cezar miał piękną myśl przywieźć mi jeden.

— Za chwilkę, skoro tylko obejrzę igły, przyjdę do was, odpowiedziała, każdy ma swoją broń na tym świecie.

— Igły? pani, mam właśnie to co pani potrzeba, spiesznie odpowiedział Abraham, prawdziwa stal angielska; moje igły nie łamią się, a nitka sama się nawleka, ale wpierw zobacz pani te nożyczki z Birmigham, te piękne mydełka, jedwab, i co za perfumy? tak przecudny jest ich zapach jak kadzidło Aarona, a prawie za nic, mniej niż za nic, za darmo prawie. Mam także aksamity, klejnoty, Lyońskie wstążki,

a dla tego pięknego panicza, dodał szukając w ogromnych swoich kieszeniach, mam zabawki, lalki, pastylki czekoladowe, flanele, proszki na przeczyszczenie, powąchaj pani tę paczkę. Otrzymałem ją z Florencyi, jednę już wielki książę odemnie odkupił.

— Co za naprzykrzony żyd! rzekł Cezar odchodząc.

— Prawdziwa plaga egipska w Polsce, odpowiedział Chusko, są to pijawki toczące nasz kraj, lud ich nienawidzi, pogardza nimi, maltretuje i nie może się bez nich obejść. Ojciec nie wyda córki za mąż, gospodyni nie sprzeda kury na targu bez pośrednictwa jednego z tych natrętnych żydów. Tadea i Marta, nie myśląc o tem że je okrada jak jaki zbój w lesie, wszystko od niego kupują, i ty także, chociaż dopiero dzień jeden jak przyjechałeś a już cię ma.

— Nie lubię targować się o cenę. Zresztą, mogę powiedzieć że jestem zupełnie obcy w tych sprawach, ale wy?

— My, mój drogi, mamy dwa powody kupować od nich: pierwszym jest zwyczaj, a drugim potrzeba.



V.

W Warszawie.



W dwa dni po odwiedzinach Krapułowa, przypadł termin do zrobienia deklaracyi w policyi, był to właśnie dzień oznaczony przez Martę, na wycieczkę do Warszawy.

Jeszcze się młodzieniec ubierał, kiedy usłyszał dwa lekkie uderzenia w drzwi swego pokoju.

— Kto tam? zapytał.

— Panie, konie zaprzężone, odpowiedział Magnus.

— A panna Marta wstała?

— Tak panie, czeka na pana.

Cezar ubrał się spiesznie, i wyszedł.

— Na ostatnich schodach ganku, Marta głaskała piękną głowę Nipa.

— Przepraszam cię siostro, jestem niezmiernie zmartwiony żeś na mnie czekała.

— Nie spóźniłeś się, odpowiedziała, podając mu rękę, dopiero szósta wybiła, tylko sam Magnus — może być tak akuratnym.

— Wyznam ci szczerze, Marto iż nie myślałem, że wstaniesz tak rano.

— Ach! szepnęła, jestem wieśniaczką i przyzwyczajoną być codziennie na pierwszej mszy św., już półgodziny jak z kościoła wróciłam.

— Jakto! wstajesz codziennie o piątej rano!

— W lecie o wpół do piątej braciszku, a zimą o szóstej. Nie jestem paryżanką, nie, powtórzyła, rzucając szydercze spojrzenie na ubiór swego kuzyna. Zajedź Magnusie.

— Po raz ostatni dzisiaj, widzisz mnie Marto w tym dziwacznym stroju, a za karę, pozwól mi być twoim koniuszym.

— Dziękuję, szepnęła, śmiejąc się, zanadto dobrą jestem polką bym potrzebowała twojej pomocy.

I zanurzając jedną rękę w grzywie Strzałki, a drugą podparłszy na siodle, jednym skokiem siadła na konia.

— Brawo! wykrzyknął Cezar z kolei siadając na konia, masztalerz w cyrku nie siadłby zgrabniej.

— Ach! ach! kuzynku, mówiłeś mi że nie jeździsz konno, a jednakże widzę iż jesteś dosyć zręcznym. To dobrze, teraz możemy być już spokojni o siebie.

— A jeźli pragniecie żebym i ja był o was spokojnym, to przyrzeczcie mi, że zachowacie się roztropnie w Warszawie, rzekł Kirpowski wchodząc na ganek.

— Przyrzekam ci ojcze, odpowiedziała Marta.

— Pamiętaj więc, Marto, być cokolwiek ostrożną, proszę cię, i ty także Cezarze, ja myślę, że nie byłoby ci bardzo przyjemnie skończyć pierwszą swoją wizytę w więzieniu; przedewszystkiem, bądź grzecznym z policyantami, chociażby oni grubijańscy byli dla ciebie.

— Nawet z samym Krapułowem, jestem zdecydowanym być bardzo uprzejmym, odpowiedział młodzieniec.

— Z kimkolwiek bądź, zalecam i proszę cię nalegał Włodzimierz. Do widzenia, moje dzieci, niech was Bóg prowadzi.

— Myślałby kto, że twój ojciec naprawdę wierzy, że nam grozi niebezpieczeństwo przenocować w cytadeli, szepnął Cezar.

— Kto wie? poważnie odpowiedziała Marta, wielu ludzi tam już siedzi miesiące, a tyle są winni co ty i ja.

— I wracajcie przed nocą, krzyknął za oddalającymi się kłusem, Włodzimierz.

Marta potwierdzający znak ręką zrobiła, i znikli po za płotami ogrodów.

— Jedźmy lepiej szosą, rzekła Marta, a prędzej staniemy w Warszawie.

— Masz więc tak pilny interes do załatwienia?

— Chciałabym ci trochę miasto pokazać, ale zaczynam się obawiać że nie będę mogła.

— Jest dopiero w pół do siódmej, a przybędziemy około dziesiątej.

— Ja myślę że wcześniej, bo o dziesiątej muszę być w kościele Bernardynów.

— Cóż to za święto jest dzisiaj?

— Nie ma święta, ale przyrzekłam być na ślubie mojej siostry . . . . .

— Twojej siostry! rzekł Cezar zdumiony.

— Tak, mojej siostry, odpowiedziała dziewczka śmiejąc się, córka mojej mamki wychodzi za mąż, za Stefana.

— Doprawdy? a przecież onegdaj kosił siano.

— Tak, a dzisiaj żeni się; czy co dziwnego w tem widzisz?

— Wcale nie, Marto, tylko sądzę, że jeszcze jest za młody.

— To prawda, ma dopiero dwadzieścia lat a ona szesnaście; rodzice radziby jeszcze zaczekać z ożenieniem ich, ale że konskrypcya za pasem, a spodziewają się, że żonaci będą od niej wyłączeni.

— Ja będąc na miejscu twojej mamki, pozwoliłbym mu zrobić siedm lat służby, ośmnaście i siedm, czyni dwadzieścia pięć, jeżeli się nie mylę, i . . . . .

— Rachujesz służbę wojskową jak we Francyi, ale w Rosyi, trzeba służyć czterdzieści pięć lat i to w najodleglejszych garnizonach, a częstokroć w lodowatej pustyni Syberyi.

— A więc żaden z nich nie ujrzy więcej domowego ogniska?

— Tak, są wyjątki. Nasz powiat Piotrków od 1831, do 1856 roku dostarczył do armii rosyjskiej 11,000 żołnierzy, a w całym tym czasie, tylko 400,

wróciło do domów, inwalidów, zupełnie niezdolnych do pracy.

— Jest to prawie to samo, co być skazanym do ciężkich robót.

— Z bardzo małą różnicą; również na liście proskrypcyjnej, zapisują imiona młodzieży, podejrzanej o uczucia patryotyczne.

— I myślisz, że Stefan żeniąc się, uniknie tego losu?

— Mam nadzieję, przynajmniej tak nowe rozporządzenie . . . .

— Zając! patrz siostro, zając przebiega nam drogę! wykrzyknął Cezar.

— Czy jesteś pewnym że to był zając? trochę niespokojna zapytała.

— Z pewnością, i mógłbym nawet przysiądz.

— A czy wiesz Cezarze, co to znaczy, kiedy zając przebiegnie drogę?

— To dowodzi że jest zwierzyna w okolicy.

— Jest to przepowiednia nieszczęścia, rzekła Marta.

Paryżanin serdecznym wybuchnął śmiechem.

— Myślałem, że jest bardzo przyjemnie spotkać to bojaźliwe zwierzątko.

— Być może, odpowiedziała, ale przekonasz się — że albo małżeństwo będzie nieszczęśliwe, albo nas dzisiaj jaki przypadek spotka.

— Jakto, Marto, byłabyś do tego stopnia zabobonną? ty, którą uważałem za nieustraszoną! Wszak dla katoliczki . . . .

— Wiem co chcesz mówić odpowiedziała, wiem również, że to nie jest rozsądnem wierzyć w podobne wróżby, ale nie mogę oprzeć się pewnemu uczuciu obawy.

Milcząc jechali zadumani, aż dopiero na łące spostrzegli że Chusko opuściwszy gromadę kosiarzy, przybywał do nich galopem.

— Otóż i Adam, wykrzyknął Cezar, mam chęć zapytać go o radę w przedmiocie tej wróżby . . . .

— Cezarze, jeżeli nie chcesz sprawić mi przykrości, nie wspominaj o tem nikomu.

— Niech mię Bóg broni, od sprawienia ci choćby najmniejszej przykrości, z powodu takiego głupstwa, czy chcesz ażebyśmy nadrobili czas stracony?

— Jedźmy lepiej naprzeciw Adama.

I zręcznie kierując koniem przeskoczyła ogrodzenie łąki.

— Co raz to lepiej, ale pozwól, że tą razą nie naśladując cię, poszukam sobie łatwiejszego przejścia.

— O dwieście kroków, znajdziesz dziurę w krzakach, rzekła z uśmiechem.

— Znasz swoją Strzałkę, siostro, ja zaś nie jestem pewny mego konia i w wątpliwości . . .

— Jesteś roztropnym Cezarze. Pódź–tu, Nip!

Nip, trochę leniwy, korzystając z małego przestanku wyciągnął się na słońcu; teraz zawołany przez swoją panią, spojrzał z pogardą na krzak i jednym susem go przesadził.

Chusko też nadbiegł galopem, a Cezar, z drugiej strony ogrodzenia, w przykrem znajdował się położeniu.

Wreszcie zawstydzony, — hop! krzyknął, uderzając konia szpicrutą.

Ależ w tej samej chwili, uczuwszy się gwałtownie podrzuconym w górę, spostrzegł, że nie tylko krzak, ale nawet Nipa, Adama i siostrę przeskoczył; o trzy kroki od niego stał koń, a o jakie dziesięć siodło leżało. Podniósł się szybko, lecz widocznie miał zabawną minę, bo Marta śmiała się serdecznie nie mogąc wymówić słowa.

Chusko zdjęty litością, poskoczył, nie dla tego żeby zatrzymać konia, stojącego spokojnie i zdziwionego upadkiem swego jeźdźca, ale żeby pomódz szwagrowi.

— Czy nie jesteś przypadkiem raniony, Cezarze? zapytał niespokojny.

— Doprawdy, że nie wiem, wszystko tak jakoś szybko się stało, że nie mogę zrozumieć podobnej niezręczności.

— Och! ocalony twój honor Cezarze, śmiejąc się rzekła Marta, twoje siodło wykręciło się, a najlepszy jeździec...

— Prawdopodobnie uderzyłeś konia, przerwał Chusko, i przestraszony, zerwał popręgi.

— Ale nie, sprzączka sama puściła, rzekł Cezar, podnosząc siodło.

— Jednakże to szczególniejsze, zauważył Chusko; o ile zapamiętam, to dopiero pierwszy raz coś podobnego przytrafiło się.

— Na prawdę? zapytała Marta.

— Mówię na seryo, i gdybym był zabobonnym, powiedziałbym że ktoś urok rzucił na ciebie.

— Ach! to pewnie ten przeklęty zając, co przebiegł mi drogę. Zresztą, jesteśmy wolni od przypadku tanim kosztem.

— Teraz niepotrzebujemy już lękać się, rzekła Marta tryumfująco, i czas stracony, powinniśmy odzyskać.

W mgnieniu oka osiodłano konia, i wszyszy troje puścili się galopem w poprzek łąki, drogą do Warszawy, ponieważ i Chusko chciał być obecnym na ślubie Szczepana.

Wesoły humor Marty rozweselił Adama, przyrzekł Cezarowi że mu pokaże miasto i zaprowadzi go aż do drzwi policyi; nie wejdę tam z tobą, dodał, bo jako Polak, mógłbym cię skompromitować.

W niespełna godzinę, jechali już po nad brzegiem Wisły.

Na widok tej wspaniałej rzeki o przezroczystej głębokiej wodzie, ozdobionej licznemi barkami, płyjącej majestatycznie ku morzu, zatrzymał się Cezar wzruszony.

— Nie prawdaż, że piękna jest ta nasza Wisła? zapytała Marta.

— Prawdziwie wspaniała, wyszeptał artysta, jakimś nieokreślonem przejęty uczuciem, zdjął kapelusz mówiąc:

— Witaj mi, święta rzeko narodu polskiego, witaj; ty widziałaś sławę naszych ojców i byłaś świadkiem bohaterskich ich czynów.

— Witaj mi, dodał Chusko, twoje fale były zaczerwienione krwią naszych męczenników, a wkrótce, na twoich brzegach wzniesie się okrzyk zemsty uciśnionego narodu, zrywającego kajdany w walce z tyrania.

— Cicho! rzekła Marta, tu jest nieprzyjaciel.

O pięć kroków zaledwie, po za brzozami, upiększającemi gościniec warszawski, usłyszano tentent kopyt końskich, a pomiędzy gałęziami mignęły długie piki kozackie.

Podróżni umilkli, mijając oddział kozaków, prowadzony przez oficera policyi.

— Szczęśliwej drogi, Padlecy! rzekł moskal, dosyć głośno, ażeby być słyszanym, kiedy przejeżdżał koło podróżnych.

Żołnierze śmiali się z dowcipu policyanta, Chusko zaś zbladłszy nic nie odpowiedział, ale wzrok jego mówił: nie zapomnę wam tego.

— Wszyscy są do siebie podobni, rzekł Cezar półgłosem, grubijanie i podli.

— Dzieweczka z pogardą wzruszyła ramionami.

Nastała chwila milczenia. Wkrótce nasi podróżni opuściwszy trakt, udali się drogą w poprzek.

Płaszczyzna dotąd pokryta murawą i polnemi kwiatami, stawała się nierówną i kamienistą. Okolica którą teraz przebiegali, składając się z nieprzerwanego pasma wzgórz i dolin, wznosiła się ciągle od strony miasta. Od czasu do czasu musiały konie przechodzić przezroczyste jak kryształ strumyki co szemrząc, biegły swobodnie po zielonym mchu i po kamykach,

niknąc następnie w nurtach Wisły. Wioski były coraz gęściejsze, a eleganckie dworki pod cieniem jodeł tu i owdzie wśród klombów z kwiatów i zieleni rozrzucone, przedstawiając malowniczy widok, zarazem oznajmiały podróżnym, że zbliżali się do wielkiego miasta. Mocniej jeszcze zabiło serce Cezara, kiedy Adam ze szczytu wzgórza wskazując ręką, rzekł;

— Warszawa!

Zobaczywszy Wisłę, młodzieniec zdjął z szacunkiem kapelusz; zobaczywszy Warszawę, wzruszony, nie mógł słowa wymówić, łzy wielkie jak perły zwilżyły jego policzki.

Warszawa! mój Boże! iluż widziałem Polaków na wygnaniu, płaczących na to jedno słowo.

A przecież nie byli dziećmi; nie skarżąc się, znosili głód, pragnienie i poniewierkę, sypiali w śniegu, mając głębokie blizny zdobyte w heroicznych walkach, widzieli padających w około siebie ojców, braci i dzieci, ich serca zahartowały się w cierpieniu; a jednakże, na to imię Warszawa, rzęsiste łzy płynęły po ich bronzowych, opalonych od słońca i prochu twarzach, płakali jak owi waleczni żołnierze wielkiej armii, co uniknąwszy zniszczenia w Moskwie, zalewali się łzami, kiedy na głos: Francya! ujrzeli w oddali niebieskawe góry swojej ojczyzny, których niespodziewali się więcej zobaczyć.

Widok Warszawy z pagórka na którym się zatrzymali, był rzeczywiście zachwycającym. Same miasto rozwija się w piętra na wzniesieniu, a pod jego stopami płynie Wisła w niezmierny łuk i otacza je

jakoby wstęgą, a potem płynąc ku morzu, użyznia pola złotym kłosem pokryte. Liczne dzwonnice, wieże klasztorów dumnie wznoszące się ku niebu, obszerne zielone ogrody zmieszane z ciemnym pokryciem dachów, niezmierna tarasa zamkowa wznosząca się dwieście sążni po nad Wisłą, ozdobiona prawdziwą kaskadą kwiatów, kolumny i pałace, nadają temu miastu cechę wschodnią, pełną wielkości i poezyi.

— Nigdy nie myślałem że to miasto jest tak wielkie i piękne, a tembardziej, że jest wesołe, wyszeptał Cezar. Ileż ma ludności?

— Sto tysięcy, nie licząc pięćdziesiąt kilka tysięcy żołnierzy rosyjskich, odpowiedział Adam, ale Warszawa mogłaby z łatwością trzy razy większą ludność pomieścić, ma bowiem sześć mil obwodu wraz z Pragą, którą widzisz po prawej stronie Wisły.

— Sześć mil! ależ to ogromna przestrzeń.

— Tak jest, ma 214 ulic, a prawie wszystkie szerokie; niezmierne aleje, pełno prywatnych ogrodów tak wielkich jak parki, podwójną linię wybrzeży, dwanaście placów publicznych i pole Marsowe na którem sto tysięcy ludzi może bardzo wygodnie robić manewra. Co zaś do tej zieleni i kwiatów które tak podziwiasz, bądź pewnym, że nigdzie one nie rosną tak pięknie jak na cmentarzu, a pod każdą ich osłoną, w Warszawie, znajdziesz krew, drogi Cezarze.

— Czy rozróżniasz tę niezmierną białą massę, wieńczącą górę na końcu miasta? rzekła Marta, wygląda ona jak wulkan bliski wybuchu.

— Jest to bezwątpienia cytadella.

— Tak, cytadella gniotąca więzienie całym swoim ciężarem; pod ziemią płaczą niewinne ofiary w cuchnących celach, a nad ich głowami — armaty, kule, żołnierze i kaci, gotowi skończyć swoje dzieło a raczej dzieło tego, który powiedział: „*za najmniejszem rozruchem, zbombarduję miasto, zniszczę Warszawę, a z pewnością ja jej nie odbuduję*".

— Przypominam sobie te słowa, były one wyrzeczone w czasie pokoju.

— W czasie *zaburzeń*, rzekł Chusko kładąc nacisk na ten wyraz, Moskale nie grożą, strzelają nawet wtedy, kiedy rewolucyoniści bezbronni, nie robiąc żadnych rozruchów, ośmielają się prosić Boga o miłosierdzie.

— A cóż to za gwiazda złota, błyszczy po nad drzewami tego pałacu?

— Jest to pozłacana statua z bronzu naszego starego króla Zygmunta III., jest ona dla nas gwiazdą nadziei. Zobaczysz ją zbliska, jeżeli ośmielisz zbliżyć się do zamku, dawnej rezydencyi królów polskich, a dzisiaj, ufortyfikowanej jaskini namiestnika moskiewskiego. Wznosi się ona jeszcze, na kolumnie z białego marmuru, a z okien swego pałacu, może widzieć naczelnik naszych katów, Zygmunta w koronie, z krzyżem w jednej ręce, a w drugiej z wzniesioną szablą, zdającego się powoływać żołnierzy do zemsty za śmierć dwóch bohaterskich pokoleń, poległych w walkach za Boga, ojczyznę i wolność. Ale chodźmy, Chusko pokaże ci nasze pomniki, bo mnie czas nagli.

— To mnie dziwi, rzekł artysta, z żalem odchodząc z tego miejsca, że Rosyanie wystawiwszy pomnik Poniatowskiemu i zniszczywszy pomnik Kopernika w Warszawie, oszczędzili kolumnę Zygmunta III.

— W chwili, kiedy Bóg zagniewany karał Izraelitów, pozwolił im jeszcze rzucić wzrokiem na węża ze spiżu, odpowiedział Chusko; Polakom również zostawił ten pomnik, jako symbol nadziei.

To powiedziawszy zjechali ze wzgórza i wkrótce puścili się kłusem po kamienistej drodze.

W pół do dziesiątej wybiło na wieży Bernardynów, kiedy zatrzymali się przed dwupiętrowym domem, na Krakowskim Przedmieściu.

Dom ten pół-murowany, nie miał nic osobliwszego, chyba to, że nad bramą wisiał ogromny bukiet ozdobiony wstążkami, jako oznaka wesela.

Przyległa szopa uprzątnięta z wozów i narzędzi rolniczych, została przeznaczoną na salę tańców, a podwórze według okoliczności przedzielono na dwie części, z których jedna miała być miejscem przechadzki dla gości, a druga tymczasową stajnią dla koni.

Na balkonie jakiś młodzieniec w krakowskiej sukmance przechadzał się wolnym krokiem, paląc na krótkim cybuszku fajeczkę.

Skoro spostrzegł podróżnych, szybko włożył fajkę za cholewę swoich butów z podkówkami, zdjął z szacunkiem rogatkę i szybko zeszedł na dół przyjąć gości, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, amen, odpowiedziała Marta.

I weszli do sali gdzie w podobny sposób powitano zgromadzonych gości. Marta poszła do sąsiedniego pokoju, zostawiając Adama i Cezara w pierwszej stancyi; natychmiast starszy drużba zbliżył się do nich ze szklanką w ręku, zapraszając do wypicia za zdrowie młodej pary.

— Nasz brat, rzekł Chusko, przedstawiając kuzyna obecnym, ponieważ cudzoziemski jego ubiór budził podejrzenie, przybywa z Francyi i jest naszym.

— Tak, to nasz brat, i dobry brat, powtórzył Szczepan góral, witając się z Cezarem.

Młodzież, będąc pewną że nie ma szpiega pomiędzy sobą, serdecznie uścisnęła jego dłoń, kończąc przygotowania do uczty.

Po obydwóch stronach dzieży pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, postawili dwa fotele, sami zaś, stanęli w drugim końcu sali, zachowując głębokie milczenie.

Wkrótce lekko zapukano do drzwi, i rodzice panny młodej zasiedli po obu stronach dzieży.

Następnie w towarzystwie druchn, weszła panna młoda z wieńcem na głowie; zasiadła na dzieży, a druchny śpiewając, dorzucały wstążek i kwiatów do jej toalety. Wreszcie, powstała Elżbietka, a klękając u nóg rodziców, prosiła o błogosławieństwo. Potem, całe towarzystwo udało się do kościoła OO. Bernardynów.

— Czy chcesz powrócić do domu państwa młodych, lub też zwiedzić miasto? zapytał Chusko Cezara, wychodząc z kościoła.

— Już niedaleko południe, odpowiedział Cezar. Ale powiedz mi, czy ty koniecznie musisz być na weselu?

— Nie, odrzekł uśmiechając się. O czwartej będę na obiedzie, ale teraz jestem wolny.

— A więc chodźmy zwiedzić miasto.

— Dobrze, odpowiedział Chusko, i biorąc kuzyna pod ramię, poszedł z nim Krakowskiem Przedmieściem.

— Piękne miasto, ale też i smutne, szepnął Cezar. Wygląda jak gdyby było szturmem zdobyte; domy zrabowane, sklepy pozamykane, a widzi się tylko patrole, żandarmów i policyę. Możnaby powiedzieć, że czuć ołów w powietrzu.

— Moskale to zowią panującym porządkiem w Warszawie. Ale cicho, nic nie mów tylko uważaj, przedewszystkiem, strzeż się szpiegów, bo u nas i ściany mają uszy.

W tej samej chwili jakiś młodzieniec przechodząc obok nich, ukłonił się i szedł dalej szybkim krokiem.

— To jeden z moich dobrych przyjaciół, powiedział Chusko; już dawno go nie widziałem.

— A dla czego nie mówiłeś z nim?

— Bo nas jest dwóch, a on, byłby trzeci.

— A czy to nie wolno?

— Tak jest, według ostatniego ukazu, pod karą więzienia, trzem osobom nie wolno jest razem iść ulicą. (Gazeta policyjna Warszawska z dnia 26. Stycznia 1862 roku.)

— Czy nawet w przypadku ognia?

— W przypadku ognia także. (Rozporządzenie dyrektora policyi, Muchanową w Styczniu 1862 r.)

— Jednakże na weselu dzisiaj tyle jest osób?

— Tak, ale to za osobnem pozwoleniem, i kosztuje ono mego teścia pięćdziesiąt rubli.

— Ależ to niegodziwe.

— Cicho, czy nie widzisz wieśniaka idącego za nami?

— To pijak: tłucze łbem o mury.

— Udaje pijanego; to jest szpieg.

— Żartujesz.

— Mój drogi, wiedz o tem że w Warszawie nie żartują, patrz tylko.

Trzech młodych ludzi z rękami związanemi w tyle, przeszło prowadzonych przez kozaków.

Jakiś wieśniak zatrzymał się, a pozdrowiwszy ich rzekł:

— Bracia, niech was Bóg ma w swojej opiece.

— Z drogi, psi synu, krzyknął naczelnik eskorty, uderzając go knutem po twarzy.

Poszli potem na rynek starego miasta, formalnie zapełniony policyą, a ztamtąd, udali się do katedry Św. Jana.

— To tutaj, parę miesięcy temu pomordowano naszych braci, rzekł cichym głosem Chusko; widziałem ten plac zbroczony krwią i zasłany trupami. Wejdźmy pomodlić się za męczenników.

Uklękli w ciemnej i cichej nawie kościelnej. Płonąca lampa przed ołtarzem, rzucała blade i niepewne światło na marmurowe groby kryjące zwłoki

dawnych magnatów. Parę tygodni temu, te groby były znieważone pod pozorem, że w nich jest broń ukryta. Przy tej samej okazyi, moskale zrabowali skarbiec katedralny.

Na stopniach ołtarza, młoda jeszcze kobieta w grubej żałobie, klęczała otoczona trojgiem drobnych dziatek. Boleść wyryta na twarzy tej biednej matki, była przejmującą. Widząc tę grupę, możnaby powiedzieć, to wcielona Polska w żałobie.

Za wizytującymi, wślizgnął się do kościoła jakiś człowiek o ohydnych rysach twarzy. Spojrzał ukradkiem, zbliżył się do wdowy i szepnął jej parę słów do ucha.

Zadrżała jak gdyby za dotknięciem jadowitej gadziny, a prostując się dumnie, rzekła z mocą:

— Nieszczęśliwi mają prawo nosić żałobę, a ja jestem wdową. Tutaj został zomordowany mój mąż, dodała wskazując na drzwi.

Uśmiechnął się szpieg, przejrzał nawę i wyszedł.

— Co za podłość! wyszeptał Cezar przez zęby. Jakto! szpiegi nawet w kościele nie dadzą spokoju, ach, to obrzydliwe, chodźmy!

Przebiegli główniejsze części miasta tak samo smutne jak i Krakowskie Przedmieście, przeszli koło domu towarzystwa oficerskiego Paszkiewicza, zwyczajnej schadzki oficerów wyższej rangi, gdzie właśnie major Nasikow już ósmy raz palił swoją fajkę, po ósmej szklance wódki.

— Ach! mój drogi, wykrzyknął dając kułaka w brzuch swemu sąsiadowi, trzeba przyznać że mam

szczęście iż Swinin zajęty jest dzisiaj, patrz, otóż i pan *Amoa*, z którym mieliśmy przyjemność podróżować pewnego dnia; przechadza się w prost naszych okien, jakby na umyślnie, abym przegrał dziesięć butelek szampana.

— Żebym był na twojem miejscu, majorze, odezwał się młody adjutant, który już od półgodziny przeglądając się w lustrze woskował swoje wąsy, wpakowałbym tego faceta na jakie ośm dni do więzienia, i wypuścił go dopiero po wygranym zakładzie.

— Czy chcesz żebym puścił za nim mego kozaka? zapytał kapitan. W dziesięciu minutach będzie siedział w cieniu wraz z swoim spiczastym kapeluszem.

— Ba! rzekł major, wygrałem od Kamerynowa pięćset rubli w gierłasza, a zresztą, to bydlę może być Francuzem, wiesz, jednym z tych co to piszą do gazet, a to mogłoby nam popsuć reputacyę. Co myślisz o tem, drogi Biriulewie?

– No, to i cóż z tego! odpowiedział zapytany, patrząc w lustro.

Cezar nie wiedząc o niczem, uniknął pięknej znajomości z cytadellą warszawską.

Zwiedzając dalej miasto, weszli do ogrodu Krasińskiego. Przechadzający się tam niektórzy oficerowie rosyjscy, zatrzymali się zdziwieni, widząc Polaka, zaawanturowanego tak blisko pałacu gubernatora.

— To musi być przewodnik tego cudzoziemca, rzekł jeden z nich,

— Prawdopodobnie niemca, mówił drugi.

— Ale, mój drogi, mylisz się, bo to jest Anglik.

— A ja bym myślał, że prędzej jest on Francuzem.

— Ach, Francuz. A gdzie-żeś to widział Francuza blondyna?

— Ale przeciwnie, mój drogi, wszyscy Francuzi są blondyni, a jeżeli nie wierzysz, zapytaj się jednej z pięknych tancerek w .... Jakże się nazywa to miejsce, Kusmink? Wiesz przecie dobrze, tam gdzie przepędzałeś całe noce?

— Ależ nie wiem, mój drogi. Już blisko rok jak nie widziałem Paryża, a od tego czasu stałem się dzikim w tej strasznej Polsce. Tutaj nie mają wyobrażenia o niczem. Wszak znasz Bagratiew, jedyną tancerkę z baletu? chciałem jej posłać klejnot, w tym celu obstalowałem sygnet rubinowy z dyamentem, pojedyńczy dyament z dewizą: Wszystką krew moją za jedną twoją łzę, a jubiler, Polak, padlec, odmówił mi to zrobić, mówiąc, że jego żona została wczoraj czy dzisiaj rano zamordowaną przez kozaka, i że przez trzy dni nic nie będzie robił.

— Ach! łotr. I nie kazałeś go wpakować do więzienia?

— Doprawdy, mój drogi, nic o nim nie wiem, zadenuncyonowałem go tylko jako buntownika i zaraz sklep mu zamknęli, ot i to wszystko.

Chusko ze swoim kuzynem byli już daleko. Zrzekając się widzieć z bliska statuę Zygmunta, skierowali kroki w kierunku placu marsowego, kiedy nadjeżdżający galopem pojazd, eskortowany kawale-

rzystami uzbrojonymi od stóp do głów, zwrócił ich uwagę.

— Prędko, prędko, chodźmy w boczną ulicę zawołał Chusko, namiestnik jedzie a nie chciałbym kłaniać się.

Puścili się w jakiś zaułek, który w jednej chwili zapełnił się Polakami.

Czerkiesi i kozacy pędzili jak wicher zupełnie pustą ulicą, w kierunku placu marsowego.

— Możebyśmy wrócili tą samą drogą, zaproponował Cezar, niechciałbym po raz drugi spotkać się z namiestnikiem.

— Lepiej jest pójść naprzód, generał Berg nigdy nie wraca tą samą drogą, a powóz jego zawsze pędzi galopem; jest to los wszystkich despotów, którzy chcą rządzić postrachem; żyją oni w ciągłej trwodze.

Wkrótce przybyli na plac, ale gdy Chusko spostrzegł że był zajęty przez wojsko, strasznie blednąc,

— Chodźmy rzekł, tu jest egzekucya.

Ale cofnąć się, już było zapóźno; ulice były zamknięte imponującemi siłami moskiewskiemi, a żołdactwo tych wszystkich, którzy w tę okolicę zapuścili się, pędziło na plac manewrów.

Czy było to wskutek ostrożności? czy też była to tylko trafiająca się sposobność dokuczenia? dosyć, że około pięciuset mieszkańców, którzy nie pragnęliby nic więcej jak tylko cofnąć się, zostało aż w sam środek placu wepchniętych i podwójną linią kawaleryi i piechoty zamkniętych.

Adam, nerwowym dreszczem porwany, z nadzwyczajną siłą ściskał rękę swego kuzyna. Sądząc że to będzie wyrok wykonany na nieszczęśliwych patryotach, czuł się złamanym.

Widocznie jeden z Polaków odgadł jego wzruszenie, bo uderzywszy go po ramieniu, rzekł głośno:

— Bracie, jeszcze nie jest nasza kolej, dzisiaj czerkiesi umrą.

— Nim ciebie powieszą, co niezwłocznie nastąpi, brutalsko odpowiedział policyant, palnąwszy go kijem trzymanym w ręku.

Wtedy Chusko przypomniał sobie, że parę dni przedtem pięciu nieregularnych żołnierzy z gwardyi namiestnika, zamordowało żonę i córkę generała rosyjskiego.

Wzruszenie więc jego zamieniło się w litość i obrzydzenie. Dzielny aż do ostateczności, na widok krwi z takim spokojem i chłodem przelewanej, patrzał ze wstrętem.

Uderzono w bębny, a następnie ozwały się komendy licznych oficerów i pułk grenadyerów otworzył szeregi w ten sposób, że w pośrodku zostawił długą ulicę którą mógł przejść wóz zaprzężony w dwa konie, prowadzone za uzdy przez kozaków. Na komendę dowódzców, grenadyerzy ustawili broń w kozły, wyjąwszy w pierw stemple z karabinów.

Z temi stemplami w ręku, stanęli w szeregu. W pewnych zaś odległościach pomiędzy grenadyerami, stali czerkiesi ze szwadronu, do którego należeli winni, z nahajkami w ręku.

Pięciu ludzi nagich aż do pasa, z gołemi głowami, z rękami w tył związanemi, prowadzono w czworoboku piechoty, w pośrodku którego, na koniu w galowym uniformie, zaledwie Cezar rozpoznał generała Swinina.

Dla dodania sobie odwagi, wypił generał dnia tego podwójną porcyę wódki, codziennego swego trunku. Twarz miał pąsową a oczy zdawały się wychodzić z oprawy.

Gdy już wszysko było gotowe podniósł szpadę, dobosze uderzyli w bębny, otworzył się czworobok i trzech kozaków odłączyło jednego z więźniów i przywiązało go za ręce do tyłu wozu, gdzie były umieszczone dwa bagnety w ten sposób, że niepozwalały mu zbliżyć się, zmuszając zarazem postępować z pochylonym naprzód grzbietem.

Człowiek w mundurze chirurga wojskowego, zbliżył się.

— Naprzód! wykrzyknął Swinin.

Wtedy kozacy wolnym i urzędowym krokiem poprowadzili konie. Jeden stempel błysnął w powietrzu i świszcząc, opadł na gołe ramiona więźnia, znacząc czarną pręgę krwi. Następnie drugi stempel wzniesiono, i drugie uderzenie padło obok pierwszego.

Widocznie Swinin zauważył że raz został wymierzony z pewną niedbałością, bo krzyknął:

— Silniej, psie, bo cię każę przywiązać do wozu.

Grenadyerzy nieoszczędzali już więcej więźnia, a chociaż czerkies taczał się jak pijany, najmniejsza jednakże skarga z ust jego nie wyszła. Naraz

jęknął boleśnie i krew zbryzgała mu ramiona; było to pierwsze głęboko wycięte uderzenie nahajką.

Kiedy prowadzono go mimo naszych podróżnych, mimowolnych świadków tej egzekucyi, był niczem więcej jak tylko jedną raną żyjącą, a charkot śmiertelny zastąpił już krzyki boleści. Stemple ciągle uderzały, ale świst razów był zmniejszony wskutek odbitego już ciała, a struga krwi znaczyła na piasku jego przejście.

Kozacy maszerowali zawsze tym samym krokiem, Swinin doglądał katów a doktór doglądał pacyenta. W końcu skazaniec padł na kolana i bagnety zorały mu piersi.

Wtedy doktór dał znak.

— Stój! krzyknął generał.

Odwiązano czerkiesa i rzucono na słomę tę masę poszarpanego ciała.

— Doktorze, staraj się go przywrócić do życia, odebrał tylko 317 razów, rzekł Swinin, ażeby więc jego rachunek był uregulowany, musi ich jeszcze 2093 otrzymać. Tymczasem sprawimy się z drugimi.

Wóz zatoczono w tył i drugiego więźnia doń przywiązano. Był to człowiek herkulesowej siły. Spodziewano się że ten przynajmniej 500 razów na pierwszem posiedzeniu wytrzyma, ale on, zebrawszy siły, z krzykiem rzucił się gwałtownie na bagnety i wóz ciągnął tylko trupa.

— Chłostać umarłego! krzyknął Swinin wściekły z gniewu, i zdjąć bagnety. Bijcie tego psa!

Wóz miarowym krokiem robił żałobny spacer.

Kobiety mdlały. Żołnierze rosyjscy przejęci litością, otwierali szeregi chcąc je przepuścić.

— Nie! nie! ryknął Swinin, trzeba ażeby te suki polskie widziały co je czeka, jeżeli jeszcze raz ośmielą się zrobić rewolucyą.

Musiano więc pozostać.

W końcu piąty skazaniec został odwiązany od fatalnego wozu i ciała nieszczęśliwych, z których dwóch jeszcze oddychało, włożono na mary i poniesiono.

Grenadyerzy obtarli stemple połami szarych płaszczów, i tłum przerażony mógł się już rozejść.

— Uciekajmy Adamie, uciekajmy, krzyknął Cezar, ach! to okropne.

— Trzeba ażeby Polak zawczasu przywykł do zapachu krwi, rzekł jakiś głos.

Młodzieniec szybko się odwrócił. Ale ten, który do niego przemówił, już się oddalił, był to człowiek średniego wzrostu, z czarnym wąsem, w zielonych okularach i w długim tużurku.

— Nie znam tego człowieka, ale głos jego gdzieś słyszałem, pomyślał sobie Cezar. Czy znasz Adamie tego faceta? dodał.

— Być może, odpowiedział tenże uśmiechając się.

W tej chwili generał moskiewski ze swego konia spostrzegł Cezara i zrobiony zakład przyszedł mu na pamięć. Dał znak policyantowi i, wskazując oddalającego się młodzieńca,

— Czy widzisz ten spiczasty kapelusz? zapytał.

— Widzę, Excellencyo.

— Pójdź więc za nim i przyprowadź mi go do kasyna wojskowego.

— O której godzinie, Excellencyo?

— Jest teraz trzecia; o czwartej tam będę. Dostaniesz rubla jeżeli mi go przyprowadzisz; lub dwa dni więzienia, w przeciwnym razie: rozumiesz!

— Rozumiem, Excellencyo.

I, zapuściwszy się pomiędzy kozackie konie, puścił się zbir na polowanie.

— Mój Boże! Już trzecia minęła, a ja powinienem być u Abrahama i na policyi, rzekł Cezar. Zdaje się, że nie będę miał dosyć czasu.

— Chodźmy prędzej, odprowadzę cię aż do mostu, a ztamtąd wrócę na wesele; tam spotkamy się odpowiedział Chusko.

Na rogu ulicy znikli policyantowi z oczu, lecz ten wiedząc w którą udali się stronę, przyspieszył kroku.

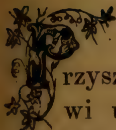




Patrz str. 91.

VI.

Żyd.



rzyszedłszy nad rzekę, wskazał Chusko Cezarowi ulicę którą ma pójść do Abrahama, a sam wrócił do miasta.

Pierwszą osobę, którą spotkał wracając, był właśnie tajny policyant Burkowski, wysłany za nimi przez generała.

Szpieg miał minę psa, co stracił ślad tropionej zwierzyny.

W chwili, kiedy Adam przechodził koło budki policyanta, usłyszał jak zbir pytał żołnierza czy niewidział przechodzącego tędy człowieka, w spiczastym kapeluszu.

Budnik wzruszył ramionami i przecząco potrząsnął głową.

Burkowski klnąc, puścił się w pogoń. Instynkt prowadził go ku rzece.

W połowie mostu spostrzegł młodzieńca idącego szybkim krokiem.

Szpieg wydał lekki okrzyk podobny do warczenia psa, i zaczął biedz szybko ku mostowi.

Ale widocznie, wszystko dzisiaj przeciw niemu sprzysięgło się, bo w tej samej prawie chwili, w której nadchodził, wartownik zamknął baryerę, i otworzono most dla przepuszczenia statku z amunicyą.

Ta czynność powtarzająca się co godzinę, nie trwała dłużej jak pięć minut, ale była dostateczną, ażeby stracił rubla a zarobił więzienie.

Wyrzucił też Burkowski całą litanię przekleństw w moskiewskim, niemieckim i polskim języku, ale to bynajmniej jego sprawy nie polepszyło.

Co zaś do Cezara, ten nie domyślając się że jest ściganym, wszedł na Pragę i po kilku zakrętach tam i sam, szedł sobie Brzeską ulicą.

Wszedłszy w cyrkuł żydowski, znalazł się rzeczywiście w jakimś odmiennym świecie.

Po wielu daremnych poszukiwaniach, przyszedł wreszcie na mały zabłocony plac, w rogu którego ze dwadzieścia skurczonych żydówek nad straganami jabłek, grochu i bobu siedziało. Zbliżył się do jednej z nich i zapytał:

— Czy nie moglibyście wskazać mi domu Mirolarskiego?

Zapytana kobieta podniosła głowę, spojrzała na *goja* nieufnym wzrokiem i potrząsnęła głową.

— To kupiec Abraham dał mi ten adres, mówił dalej młodzieniec.

— A dla czego dał panu ten adres? zapytała druga stara żydówka.

— Bo obstalowałem u niego ubranie.

— Ach! odpowiedziała, pan jesteś tym młodym panem. Ach! zapomniałam nazwiska.

— Z Atrady, powiedział Cezar.

— Ach! tak, tak, mówił mi o tem, dom o który pan pytasz, jest na ulicy Brzeskiej, pierwsza na prawo, w zaułku.

— Możecie mnie zaprowadzić?

— Ach! ja nie mogę, szlachetny panie, ale jeżeli pan zechcesz dać parę groszy Jośkowi, to on prostą drogą zaprowadzi, dodała zamykając rękę, w którą młodzieniec drobny pieniądz rzucił.

Widocznie nie wątpiła o szlachetności obcego pana, bo nie pytając więcej, przywołała Jośka.

— Zaprowadź tego pana do domu Milolarskiego, rzekła do dziecka, przyobiecał ci coś dać.

Oczy chłopca zabłysły chciwością i wyciągnął rękę.

— Już dałem, rzekł Cezar.

— Parę groszy dla Jośka, szlachetny panie, prosiła stara, on taki grzeczny.

— Na, masz, i chodźmy, odpowiedział podróżny.

W locie złapał żydziak rzucony mu pieniądz, owinął szmatą i włożył w głęboką kieszeń swego chałata.

Cezar nie czekając dłużej, przeszedł szybko plac i zapuścił się w wązką uliczkę, idąc za swym przewodnikiem.

Przyszedłszy nareszcie pod wskazany numer, Jośko zatrzymał się i zawołał:

Ruben! Ruben!

A gdy nikt nie odpowiadał, podniósł kamień i silnie nim w drzwi uderzał.

— Kto tam? zawołał jakiś świeży głos wewnątrz.

— To ja, Jozue, odpowiedziało dziecko.

— A co chcesz?

— Przyprowadziłem ci Noemi jednego pana.

Na chwilę zrobiło się cicho, potem żydówka chcąc zobaczyć na zewnątrz, otwořzyła lufcik.

— Ach! dobrze, dobrze (zaraz, zaraz,) rzekła otwierając drzwi.

Cezar nie widząc jeszcze młodych córek Izraela był nadzwyczaj zdziwiony pięknością Noemi.

Mogła mieć szesnaście lat, o smukłej kibici ściśniętej gorsetem z czarnego atłasu, przetykanego złotem i perłami; wielkie czarne oczy, ozdobione długiemi rzęsami, zgrabny nosek i doskonały profil twarzy, jak również czarne jak heban włosy, które pokrywał rodzaj turbanu w rozmaitych kolorach czyniły ją podobną do tych pięknych żydówek, które malarz artysta Horacy Vernet lubiał przedstawiać siedzące niedaleko fontanny albo harmonijnie ugrupowane pod stopami palm wschodnich.

— Czy tutaj panno mieszka Abraham? zapytał młodzieniec.

— Tak panie, odpowiedziała kłaniając się, mój ojciec wyszedł, ale niedługo powróci, i jeżeli pan raczysz wejść....

— Przepraszam, panią, ale ja mówię o Abrahamie, kolporterze, przerwał, nie przypuszczając, ażeby

piękna Noemi mogła być córką tej tak niezgrabnej i niechlujnej istoty.

— I ja również o nim, panu mówię.

— I pani jesteś jego . . . córką?

— Tak, panie, od czasu gdy wyszłam za mąż za ego syna Rubena, odpowiedziała, wprowadzając gościa do ciemnego i ciasnego korytarza, w końcu którego podniosła rodzaj draperyi zastępującej drzwi do vewnętrznych pokoi.

Cezar wszedł, coraz to więcej zdziwiony.

— Niech pan będzie łaskaw chwileczkę zaczekać, zekła Noemi, spuszczając zasłonę.

Samotna mieszkanka tego pokoju do którego zaedwie słabe i wątpliwe światło dzienne zaglądało, i gdzie zapach rozmaitych olejków i perfum wschodnich mieszany z odorem kwaśnej kapusty i skór owczych, rudny był do zniesienia, goj ciekawym rzucił doola wzrokiem.

W tej chwili znajdował się w głównej izbie mieszkania Rubena, żyda, milionera, w salonie, gdzie ogactwo, zamożność, dostatek i nędza stanowiły adziwiające przeciwieństwo. Spojrzał na wiszącą a drucie zakopconą lampę, na kryształowe lustro, i ył w stanie zrobić dokładny przegląd najciekawszeo w świecie muzeum, o jakiem mógłby zamarzyć hyba antykwaryusz. Nic tam nie brakowało: stare ziwaczne skrzynie w szczególniejszy sposób rzeźbioe, zapełnione były łańcuchami, naszyjnikami, droiemi kamykami, kością słoniową, medalionami, przeysznemi perskiemi dywanami, a rzucone niedbale na

posadzkę, poniewierały się, zmieszane z podartemi gałganami, szmatami, staremi obcasami, z podartemi cholewami, z czosnkiem i resztkami suchego chleba; o siedmiu gałęziach świeczniki, porcelany, na spodzie których pozostały jeszcze resztki pożywienia, książki prawne i stroje kobiece, a wszystko to mieściło się w wązkiej alkowie, niemającej powietrza i światła.

Blisko pół godziny przeglądał Cezar te ciekawe okazy w mieszkaniu bogatego Izraelity. Nareszcie, podniosła się firanka i dwóch czarno ubranych ludzi, których twarze przy słabem świetle lampy wydawały się żółte, o rysach odpychających, raczej się wślizgnęło aniżeli weszło.

Cezar poznał w jednym z nich Abrahama; drugi nie mógł być kim innym tylko jego synem Rubenem. Podobni byli do siebie i zdawało się, że w jednym są wieku.

Pomiędzy ośmnastym a sześćdziesiątym rokiem życia, mała jest różnica u żydów polskich. Opatrzność skazała ich na wieczną szpetność, a z dobrej woli, przydali niechlujstwo.

Co zaś do żydówek, rzecz ma się inaczej; wiele z nich jest nadzwyczajnej piękności pomiędzy czternastym a dwudziestym piątym rokiem; ale skończywszy te lata, stają się z nadzwyczajną szybkością odpychającemi, jak i ich mężowie.

Przed gojem którego wprowadziła Noemi, kolporter i jego syn skłonili się aż do ziemi. Obadwa milionerzy, żywiący się jedynie suchym chlebem i

surową cebulą, pozwoliliby sobie deptać po karkach cudzoziemcowi, jeżeliby tylko mogli z niego wydobyć choć jeden grosz więcej.

— No i cóż, Abrahamie, gotowy mój ubiór? zapytał Cezar.

— Tak panie, gotowy; bo i dlaczegóż nie miałby być gotowy, kiedy pięćdziesięciu robotników dzień i noc przy nim pracowało. Prawdziwie panie, królewskie to ubranie, cienkie złote naszywki, błyszczą jakby słońce, lamowanie . . .

— Pokaż-że mi je, bo się spieszę.

Ale żyd chciał jeszcze coś wytargować; zaczął więc wyliczać wszystkie przymioty tak pięknego ubrania, lamentując przytem, że nie tylko nic nie zarobił, ale nawet stracił na niem, odnosił się więc do hojności szczodrego pana, mówiąc:

— Nie zechcesz mnie pan, szlachetny panie wtrącić w biedę, i . . .

Zniecierpliwiony Cezar przerwał mu mówiąc, że do umówionej ceny, ani grosza nie dołoży.

Na takie stanowcze oświadczenie, żydzi zgłupieli; Abraham przedewszystkiem, poddał się najstraszniejszej rozpaczy, przynajmniej udawał takową, w głębi serca bowiem był przekonany, że oszukał cudzoziemca dając mu sukno w gorszym gatunku.

Po wielu korowodach, podczas których Ruben i jego ojciec ofiarowali Cezarowi przedmiota znajdujące się w pokoju, wychwalając ich wartość, Cezar przebrał się w czamarę i w rogatkę, zostawiając im

swój orginalny ubiór wraz ze spiczastym paryzkim kapeluszem.

W narodowem ubraniu daleko piękniej wyglądał, zadowolony też z niego, i wreszcie chcąc zamknąć stękającym żydom usta, rzucił im jeszcze kilka sztuk drobnej monety i wyszedł.

W pięć minut później, przybywszy nad brzeg Wisły, zamierzał przejść przez most.

— Przepraszam pana, nie spotkałeś pan na przedmieściu młodzieńca w spiczastym kapeluszu? zapytał go jakiś o ordynarnej twarzy człowiek, ocierając połą surduta, pot kapiący z czoła.

— Nikogo niespotkałem, dumnie odpowiedział młodzieniec, i poszedł dalej.

— Ach! nieszczęsny ten most! psi synu! klął Burkowski, grożąc pięścią Wiśle, biegnąc za moim rublem, złapałem dwa dni więzienia.

Pomyślawszy chwilkę dla pewności, wszedł w cyrkuł żydowski i przechodniów o spiczasty kapelusz pytał.

Stare niewiasty i dzieci, pomimo iż domyślały się o kogo pyta, przeczącą dawały odpowiedź.

Szpieg błagał, zaklinał, obiecywał, klął i groził, kopiąc dzieci i plując w twarz starcom, nic jednakże nie pomogło; przypomniał sobie wreszcie, że go generał Swinin w kasyno oficerskiem oczekuje i bądź co bądź, musi tam być,

I rzeczywiście, generał przybył tryumfujący, Z ulicy jeszcze spostrzegł siedzącego majora na balkonie; zbliżył się więc do niego.

Major grał w domino o piołunówkę z kapitanem, świadkiem policzka i zakładu.

— Czyś obstalował szampana, majorze? krzyczał ucieszony Swinin, tłukąc pięścią w stół.

— A dlaczego generale?

— Ponieważ przegrałeś zakład, mój drogi, zaśmiał się generał, siadając na krześle, które strasznie zatrzeszczało pod nim, złapałem ptaszka!

— Jakiego ptaszka?

— Ha! ha! ha! zaśmiał się powtórnie Swinin, to już pan zapomniałeś? Ha! ha! ha! trzymam pana *Amoa;* pewnie go sobie przypominasz, drogi majorze?

— Jakto, już? wykrzyknął major, a tak był wzruszony, że trzymaną w ręku kostkę utopił w szklance swego partnera.

— Ach, uważaj pan, włożyłeś swoje domino w mój grog, rzekł zimno kapitan.

— Och! jakto! przepraszam cię, mój drogi; Fedia, przynieś szklankę ponczu dla jego excellencyi.

Chłopiec pobiegł.

Generał śmiał się do rozpuku.

— I gdzież go pan spotkałeś?

— Na polu mokotowskiem!

— Niema dwóch godzin jak przechodził tędy, przerwał pułkownik Nazikow. Ale, powiedz mi pan, czy posiedzenie było bardzo wzruszające?

— Eh! nie bardzo, jeden z tych łotrów sam się zabił. Fedia! psi synu, podaj mi piołonówki i fajkę! Inni zaś daleko prędzej umierali aniżeli te psy polskie, nieobrażając was, pułkowniku Korf!

Osoba do której zwrócił się Swinin, był to przystojny, o szlachetnej twarzy i dumnem spojrzeniu młodzieniec, który siedząc przy sąsiednim stoliku, czytał gazetę,

— Nigdy nie zauważyłem ażeby Polacy byli tchórzami, odpowiedział, dumnie spojrzawszy na generała, a jednakże widziałem ich w ogniu.

Swinin zagryzł wargi, ponieważ nigdy nie widział innego ognia jak w swoim piecu, a rangę winien był tylko pewnej protekcyi, do której nie bardzo się przyznawał, podczas gdy pułkownik Korf zdobył swoje epolety ostrzem miecza.

Niektórzy z młodych poruczników uśmiechnęli się nieznacznie.

— Jeżeli ich nie widziałem jeszcze w ogniu, mruczał generał, to zobaczę ich tam wkrótce, i sądzę, że będę miał sposobność nie jednego z nich spalić. Czy tego pan sobie życzysz?

— Byłem zawsze żołnierzem, nie zostanę więc katem, odpowiedział pułkownik.

— To dobrze, mój drogi, przypomnę to sobie, mruczał Swinin czerwony ze złości. A tymczasem, jako pański naczelnik, rozkazuję panu pójść do aresztu.

Pułkownik nie odpowiadając, powstał i wyszedł.

Znalazło się kilku podłych oficerów co przyklasnęli Swininowi.

— Jeszcze jeden suki syn, rzekł generał kopnąwszy chłopca, który mu przyniósł fajkę. Zapal mi ją bałwanie!

Fedia był już przyzwyczajony do tych moskiewskich pieszczot, nic sobie więc z tego nierobił.

Wpół do piątej wybił zegar na kościele Św. Jana, kiedy chłopiec wszedł oznajmić jego excellencyi, że sługa policyjny oczekuje w przedpokoju.

— Przecież! wykrzyknął Swinin. Niech wejdzie. Kapitanie, i wy wszyscy panowie, pozwólcie przedstawić sobie jaśnie wielmożnego pana Amoa, czyli inaczej mówiąc, człowieka w spiczastym kapeluszu, którego jego wysokość Jan Aleksandrowicz raczył mi przyprowadzić.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się ku drzwiom.

Otworzyły się one przed Burkowskim i zamknęły się za nim.

Na okrągłej twarzy szpiega malował się przestrach i pomieszanie, zaledwie był zdolnym utrzymać się na nogach.

— No i cóż? zapytano ze wszystkich stron.

— Wprowadź także więźnia, bałwanie! zbliżając się krzyknął Swinin.

— Proszę o przebaczenie waszej excellencyi, rzekł cichym głosem szpieg, kłaniając się ze strachem, ale.... ja.... Niech wasza excellencya raczy mi przebaczyć ... ale człowiek ....

— Czy prędko skończysz? ryknął generał, a złapawszy go za kołnierz, wstrząsnął nim z całej siły. Gdzie jest więzień?

— Nie ... mogłem go ... jeszcze odnaleźć.... ale jeżeli ....

Nie miał czasu dokończyć. Generał silnym kułakiem zaczerwienił mu twarz i powaliwszy go, bił kijem i kopał.

— Ach!, łajdaku! ach! psie! ach! przeklęty! ja cię nauczę rząd zdradzać. Masz, łotrze! masz!

I bił bez litości.

Oficerowie niespodziewawszy się ujrzeć pana Amoa, zasiedli do gry na balkonie, zostawiając generała pastwiącego się nad swoją ofiarą.

— Udało mi się, zaśmiał się major zacierając ręce. Co pan powiesz na to, kapitanie?

— Masz pan szczęście, Grzegorzu.

— Tak, tak, na dzisiaj. Ale za to mi zapłaci ten pies Amoa, mruczał Swinin, wracając dokończyć swojej piołonówki. O! nie, to mu nie ujdzie na sucho.

*
* *

W najlepsze bawiono się u rodziców Elżbietki, gdy Cezar wszedł w ubiorze narodowym. Już była blisko piąta godzina. Chusko zbliżywszy się do Marty, coś jej szepnął do ucha.

— Jeszcze chwilę, odpowiedziała dziewczyna; zaraz po krakowiaku pojedziemy.

— Chcesz tańczyć krakowiaka? zapytał Chusko. To jest nieroztropnem w Warszawie.

— Ba! jesteśmy pomiędzy swoimi. Nie ma tu zdrajców a Cezar go jeszcze nie widział.

— Kto go zaśpiewa?

— Ja.

— Nie rób tego Marto; przyrzekłaś ojcu być roztropną.

— Tak, ale nie bojaźliwą.

I zwróciwszy się do Szczepana powiedziała:

— Zaczynajmy.

Natychmiast sformowane pary ustawiły się w koło; młodzież wybijała hołubce podkówkami a dziewczęta przyklaskiwały.

Szczepan trzymając toporek w ręku, wszedł w koło, skłonił się i stał nieporuszony.

Wtedy Marta zaśpiewała:

Ztamtej strony Wisły jest kościół w Krakowie,
W nim Święty Stanisław i Polscy Królowie.
Z tamtej strony Wisły jest Wandy mogiła,
Co to za swój naród życie poświęciła.

Płynie Wisła, płynie, w biegu się niezwróci,
O Wiśle i Wandzie Krakowiaczek nuci.

Hu! Ha! krzyknął Szczepan, szybko zakręcił się w koło, rzucił w górę toporek i nie przerywając tańca, z nadzwyczajną szybkością złapał go w locie.

Niech żyje Polska! chórem krzyknęła młodzież.

Marta śpiewała:

Od północy płynie i jak chmura bieży,
Carska tłuszcza dzikich, chciwych krwi żołnierzy;
Okrzyk brzmi do broni; biorą ludzie kosy,
Bogu powierzają — Polski, Litwy losy.

Długo bardzo długo i mężnie walczyli.
Bóg inaczej zrządził, Polski nieodbili.
Jedni na wygnaniu, drudzy legli w grobie,
Ojczyzna w niewoli a Polki w żałobie.

Płynie Wisła, płynie; w biegu się nie zwróci,
O rycerzach swoich, Polak piosnki nuci;

Dzieciom opowiada świetne Polski dzieje,
Często nasłuchuje, czy ten wiatr co wieje
Do dom nie przyniesie okrzyku do broni!
Za Wiarę i Ojczyznę! na poleskiej błoni.

Nowe oklaski otrzymała improwizatorka, a okrzyki: Nie, nie, ty nie zginiesz Polsko nasza droga! przybrały wyraz groźby.

Z trudnością tylko zdołała Marta uspokoić wzburzoną młodzież, zaśpiewawszy popularną w tym czasie śpiewkę warszawską.

— Kiihii! kiihii! krzyknął wpół otworzywszy drzwi, młodzieniec postawiony na posterunku na balkonie.

Błysnęły sztylety w rękach młodzieży, ale przechodząca ulicą patrol, prowadząc kilku pijaków i szpiega Burkowskiego, któremu generał Swinin zamiast dwóch dał dziesięć dni kozy, nie zatrzymując się przed domem, poszła sobie dalej.

— Czy zrobiłeś swoją deklaracyę w policyi? zapytał Chusko Cezara, wracając do domu.

— Tak wyszedłszy od Abrahama, wprost się tam udałem.

— I nie spotkałeś się z generałem wypoliczkowanym przez Narbuta, zapytała Marta.

— Cicho, cicho Marto; patrz koło tego krzaka.

— Ach! ten szpieg nie przeszkodzi mi powiedzieć, że Zygmunt Narbut postąpił sobie nieroztropnie, dając ci wtedy swoją kartę.

— A panna Marta śpiewając publicznie krakowiaka, zapomniała o danem przyrzeczeniu ojcu, od-

powiedział cudzoziemiec, który był tym samym jegomością w okularach, którego spotkali na placu wojennym.

Bez trwogi podała mu Marta rękę, którą z pewnym szacunkiem i poufałością pocałował.

— Wziąłem go za szpiega, szepnął do ucha Adamowi Cezar; a wy podobno go znacie.

— Rzeczywiście jest on szpiegiem ale go oszczędzamy.

— I macie racyę, ponieważ mógłbym was wszystkich posłać do cytadeli, odpowiedział cudzoziemiec; Martę za jej krakowiaka; Adama za pewne polowania w okolicach Piotrkowa; a ciebie, panie Cezarze Kirpowski za stosunki z tym nędznikiem Narbutem, jak również i za wizytę którą dzisiaj zrobiłeś w cyrkule żydowskim, gdzie dzięki zmianie twego ubioru, zdołałeś wymknąć się jednemu z najzdatniejszych policyantów.

— Mylisz się pan, nie mogłem mu wymknąć się ponieważ nie byłem ścigany.

— Pozwól pan sobie powiedzieć: że z rozkazu generała Swinina ścigano cię, i gdyby most na Wiśle nie był otworzony, o tej godzinie teraz siedziałbyś w cytadeli. Na policyi nie aresztowano cię, bo byłeś tam w narodowym stroju, gdy tymczasem zanotowano cię tam jako pana *Amoa*, w spiczastym kapeluszu, niebezpiecznego przestępcę politycznego.

— Doskonale panie, jednakże bardzo jestem zdziwiony, że cię tak moja osoba zajmuje, bo co do mnie, nie mam przyjemności znać pana.

— Och! to mi jest obojętnem, mój drogi panie, nazywam się Franc Muller, jestem rodem z Szwajcaryi i profesorem muzyki na fortepianie. Czy nie raczyłbyś pan przyjąć mojej karty?

— Dziękuję, dumnie odpowiedział Cezar, nie mam zamiaru brać lekcyi na fortepianie.

— A więc, panna Marta wręczy ją panu, rzekł profesor podając jej swoją kartę, którą dziewczyna uśmiechnąwszy się, schowała w rękawiczkę.

Nie mając chęci rozmawiać z cudzoziemcem, puścił Cezar cugle koniowi, wkrótce Adam i Marta pożegnawszy się z profesorem w czarnych okularach, dogonili go.

Około pagórka spotkali Włodzimierza Kirpowskiego i jego syna Michała.

— Czy byliście roztropni, moje dzieci? To było pierwsze jego zapytanie.

— O, tak, ojcze, bardzo roztropni odpowiedziała Marta.

— I nie mieliście żadnego nieprzyjemnego spotkania?

— Najmniejszego, odpowiedział Chusko.

— Wyjąwszy tego profesora, który mi się nie podobał, wyszeptał Cezar.

— Ach! zapomniałam, rzekła Marta, oto jego karta.

Z niechęcią wziął ją młodzieniec do ręki. Ale w tej samej chwili znikło niezadowolenie z jego twarzy.

Chusko i Marta głośnym wybuchnęli śmiechem.

Na karcie było napisane:

Z. C. Narbut.

— Prawdziwy głupiec jest ze mnie, niepoznając go, wykrzyknął Cezar.

— Teḿ lepiej, bo i inni go nie poznają, a tego właśnie potrzeba, naraz odpowiedzieli Adam i Marta.





Patrz str. 117.

VII.
Straszna noc.


adeszła zima.

Pod jej gronostajowym płaszczem, rozciągagającym się od gór Karpackich aż do morza Białego, znikły łąki i jeziora, rzeki i strumienie; zdawało się że zgasł głos natury i zrobiła się jedna niezmierna pustynia.

Z balkonu w Atradzie zdjęto zielone kwiecie; oko w dali widziało tylko śnieg i posępne lasy a gdzie niegdzie czarne malownicze krzyże i wioski kąpiące się w śniegu: ucho słyszało tylko długi świst lub jęk wiatru płaczącego pomiędzy bezlistnemi wierzbami i dębami, wrzask latających nizko wron i wycie zgłodniałych wilków w głębi wielkich puszcz.

Nie słyszano już piosnek wesołych żniwiarzy, ani ryku wracających wieczorem trzód; grobowe milczenie zaległo pola które czasami tylko dźwięczny ton dzwonka na Anioł Pański przerywał.

Śnieg padał wielkiemi płatami i natychmiast twardniał od strasznego zimna.

Była to zima w całym swoim majestacie, obraz wspaniałej śmierci.

Lecz życie nie zgasło; było tylko jakby w zawieszeniu. Uśpione rośliny pod grubym białym dywanem, oczekiwały pierwszych powiewów wiosennych, ażeby okryć się liściem i zakwitnąć. Wieśniacy w swych chatach, zebrani w około kominka reperowali stare rolnicze narzędzia lub robili nowe. A gdy noc nadeszła, zapalili przed obrazem Najświętszej Panny Częstochowskiej cienkie drzazgi sosnowe, i mężczyzni kończyli zaczętą pracę, dziewczęta przędły, a starzy opowiadali legendy.

Pierwszy raz w swojem życiu widział Cezar prawdziwą zimę. Cały dzień zabawiał się malarstwem, muzyką i czytaniem. Raz nawet zaczął pisać swoje pamiętniki, ale napisawszy stronę, zaniechał dla braku materyału.

Głupiec jaki będąc na jego miejscu, napisałby ze dwa tomy a być może, kazałby je nawet wydrukować.

Wieczorem, o ósmej godzinie, schodzono się na wieczerzę, ponieważ każdy z rodziny przez dzień cały miał swoje zajęcie.

Tadea prowadziła gospodarstwo domowe i na jej to barkach cały zarząd spoczywał. Poważna i inteligentna, zdawała się dla wielu trochę oziębłą, lecz pod tą maską obojętności, kryła się gorąca i energiczna dusza; słowem, była to niewiasta pełniąca sumiennie swoje powinności.

Mniej roztropna Marta, miała więcej wybujałą wyobraźnię; piękna, żywa, wykształcona, całą duszą oddała się pracy patryotycznej.

Cezar znalazł tu życie tak spokojne i ciche, że nawet na myśl mu nie przyszło szukać jakiego zajęcia.

Kirpowski zaś, wycierpiawszy wiele za sprawy patryotyczne, nie mięszał się do agitacyi narodowych, nie zajmował się polityką, żył odosobniony, pracując nad uregulowaniem rachunków gospodarskich. Ale gdzie szło o spełnienie obowiązku jako obywatel i Polak, tam był nieustraszony. Gdy chciano budować w Atradzie cerkiew prawosławną, opierał się temu wszelkiemi siłami.

Wściekał się namiestnik, groził, kłął, nic jednakże nie pomogło: lękał się wpływu Kirpowskiego.

,,Nie budź tego niedźwiedzia kiedy śpi, rzekł pro-konsul do Krapułowa, przy pierwszej sposobności, zapłaci podwójnie''.

Wskutek podobnego zapewnienia namiestnika, pozostawiono ks. Raskowskiego proboszcza w Atradzie w spokoju. Do Petersburga zaś doniesiono, że zwyciężono upór buntownika Kirpowskiego, i w Atradzie instalowano proboszczem popa schizmatyckiego, z wielką radością wiejskiego ludu wracającego na łono prawosławnego kościoła,

Krapułow nic na tem nie stracił.

Od tego bowiem dnia, co trzy miesiące, podpisując się Krapułowski pop, odbierał sto rubli przeznaczone dla prawosławnego misyonarza, i . . . chował je do swojej kieszeni. Był to jeden więcej sposób robienia postronnego dochodu.

Życie mieszkańców Atrady, jak mówiliśmy, płynęło bardzo spokojnie. Po wieczerzy rozmawiano

w saloniku, a o jedenastej godzinie wspólnie wraz ze służbą odmawiano modlitwy, kończąc je temi słowy:

„Boże zbaw Polskę!”

— Amen! odpowiadali przytomni, i udawano się na spoczynek.

Czasami, w dzień pogodny, Marta, kuzyn i bracia, wyjeżdżali bez celu na spacer, lub z fuzyą na ramieniu ścigali zająca.

Adam przygotowując się do nieuniknionej wojny, wprawiał się w ćwiczenie ciała. Przebiegał okolicę i nie myśląc nawet o tem, rozpoznawał lasy. Oprócz tego, około trzydziestu młodzieńców uczyło się pod jego kierownictwem ślizgać na łyżwach i robić rozmaite obroty w taki sposób, aby wrazie bitwy z kozakami uniknąć ich długich pik.

Dwa czy trzy razy Marta wzięła udział w takiej wycieczce i niezmiernie zadziwiła Cezara zimną krwią, zręcznością i robieniem bronią; widząc ją z karabinem w ręku, śmiało możnaby rzec, że całe życie, z nim tylko miała do czynienia.

— Dla czego częściej nie robisz z nami wycieczek? zapytał ją pewnego razu Cezar.

— Moją powinnością jest siedzieć w domu, odpowiedziała, a moje bronie są nożyczki i igła.

— Podejrzywam cię jednak Marto, że nie dla szycia lub haftów zamykasz się tak tajemniczo po kilka godzin dziennie w swoim pokoju.

— I mylisz się, kuzynie, bo właśnie dla haftów i dla szycia.

— A może co piszesz?

— Pisać, rzekła zdziwiona, i cóżbym pisała?

— Swoje pamiętniki, siostro?

— Och, idź sobie! nie sądziłam że tak smutne masz o mnie wyobrażenie.

— A więc, dla czegóż tak starannie ukrywasz swoje hafty?

— Jesteś ciekawy, kochany Cezarze; więc powiem, ci, że przygotowywam niespodziankę.

— Niespodziankę! i dla kogo?

— Dla ciebie i dla drugich .... Ach, otóż i psy biegną, chodźmy!

I zgrabnie przechyliwszy się naprzód, puściła się jak strzała po lodzie.

— Ta Marta jest tajemniczą istotą, mruknął sam do siebie Cezar, zmartwiony, że nie był wstanie odgadnąć jej sekretu.

I zawiesił fuzyę przez ramię.

— Pal, Cezarze! pal! krzyknął Grzegorz.

Ogromny zając wybiegłszy z jodłowych lasów wprost leciał na Cezara, lecz za nim tenże zmierzył; zwierzę uciekło.

— O czem myślisz, zapytał Chusko.

— Myśli o swoich pamiętnikach, złośliwie odpowiedziała Marta.

— A ty, Marto, o czem myślisz? trochę markotny zapytał Cezar.

W krótce się dowiesz, stanowczo i poważnie odpowiedziała.

Od tego dnia nie ośmielił się już pytać Marty o jej tajemniczą robotę.

Jak spokojne i monotonne pędzono życie w Atradzie, tak znowu w Warszawie, bawiono się wyśmienicie.

Jego excellencya namiestnik Królestwa, bez wątpienią czytał, że handlarze murzynów, dla utrzymania zdrowia towaru ludzkiego, gnijącego w zaduchu i ciasnocie na spodzie okrętu, wydają dla niego bale na pokładzie statku.

Rozkaz tańczenia wydany. W miejsce muzyki, tancznicy zostają smagani biczami przez majtków: środek to rozpalający, jakiemu nie ma podobnego.

A czy nieszczęśliwi, z wycieńczenia sił, z zaduchu i braku dostatecznych pokarmów padają znużeni, mało to kogo obchodzi: a gdy zbolałemi od kajdan członkami nie mogą już więcej poruszać, i jako o łaskę błagają by im pozwolono umrzeć w okowach, kapitan jest nieugięty.

Muszą tańczyć.

Dlaczegóżby i polacy również nie mieli tańczyć? pomyślał generał. Myśl ta, zdawała mu się genialną.

I była taką w istocie; zmuszając siłą arystokracyę i urzędników rabowanej, znieważonej i mordowanej ludności do przyjścia w świątecznych strojach na bale wydawane w salonach jej katów, dołączano w ten sposób, do barbarzyństwa obelgę. Europie przedstawiano w fałszywem świetle prawdziwe uczucia szlachty polskiej, w narodzie robiono rozdział, ponieważ znaczyło to tyle, co mówić ludowi: nie licz na twoich naturalnych naczelników, oni trzymają z nami; i gdy wy, pod drzwiami swoich znieważonych

kościołów płaczecie, oni, całując rękę zbroczoną krwią waszych dzieci, tańczą w salonach waszych prześladowców.

A że ta myśl potworna mogła shańbić cały naród, w czyn ją też natychmiast zamieniono.

Namiestnik oznaczył seryę wielkich balów, które, każda ze znaczniejszych rodzin w Warszawie, rozkazująco proszona, z kolei wydawać musiała.

Zaproszeni mieli do wyboru pomiędzy ucztą a więzieniem naprzód, a następnie wygnaniem.

Wielu wybrało więzienie.

Najśmielsi tylko, i najwierniejsi poddani, odważnie poszli na bal.

Nazajutrz w kronice *Gazety Warszawskiej* pisano: „Bal dany wczoraj przez Jego Excellencyę generała *** był okazały; kwiat polskiego towarzystwa pospieszył zapełnić salony, aby okazać że nie solidaryzuje z tą małą garstką gminu, która pod pozorem oswobodzenia Polski robi bunty, etc. etc. . . .

„Pomiędzy dystyngowanemi osobami, zauważyliśmy . . . . .”

Tu następowały w tej gazecie urzędowej, wydrukowane wielkiemi zgłoskami imiona i nazwiska ludzi, którzy byli poważani w narodzie.

Po za granicami zaś Polski, ci, którzy czytali te imiona, mówili: „Wyraźnie pan widzisz, że szlachta polska jest przeciwną ruchowi rewolucyjnemu, i otwarcie sprzyja Rosyi.”

I to było naturalnem, niepodobna bowiem było odgadnąć że książę X. mając synów uwięzionych

w cytadeli, był jedynie w celu ich uwolnienia, że hrabina Z. tańczyła walca ze śmiertelnie rozdartem sercem, aby uwolnić z wygnania męża, brata lub syna; a chociaż w tych ucztach brało udział kilkunastu zdrajców lub podłych, to większość jednakże siłą została do tego zmuszoną, jak ci murzyni na pokładzie okrętu, pod biczem srogiego kapitana, handlarza ciałem ludzkiem.

Wyroki spełniane na stoku cytadeli chociaż krwawe, mniej były hańbiące tych którzy je wydawali, aniżeli owe przymusowe zaproszenia na bale.

W liczbie zaproszonych gości na bal do namiestnika, najusłużniejszym i najwięcej nadskakującym, był bez zaprzeczenia, Frantz Muller, profesor muzyki na fortepianie.

Księżna Fedora i hrabina Tatiana których córkom dawał lekcye muzyki, nieomieszkały wystarać się o zaproszenie dla niego na bal urzędowy.

Szalone szczęście mu sprzyjało; wygrał w gierłasza od grubego majora tysiąc rubli. Widząc to generał Swinin, obliczył, że Frantz Muller grając tak znakomicie w karty, może z nich w jednym roku mieć najmniej dziesięć tysięcy rubli dochodu.

— W jaki sposób doszedł ten niemiec do tak znakomitej doskonałości w tej sztuce? myślał sobie generał. Bądź co bądź, muszę się od niego nauczyć.

Jak pomyślał tak i zrobił.

Pewnego wieczora, w początkach Stycznia, przegrawszy generał Swinin dwie partye, pociągnął swego przyjaciela profesora do okna.

— Ile pan żądasz za udzielenie mi kilku lekcyi? cichym zapytał głosem.

— Lekcyi na fortepianie, generale?

Swinin wstrząsnął ramionami.

— Za odkrycie twojego sekretu, powtórzył wyciągając pugilares.

— Nie posiadam żadnego sekretu.

— Och! och! jesteś dowcipnym. Chcesz tysiąc rubli?

— Lecz jakiż to ma być sekret?

— Niby to nie wiesz, mój drogi, wygrywać w karty.

Ręka generała wciskała Frantzowi banknot tysiąc-rublowy, lecz ten cofnąwszy się, odpowiedział:

— Na co się on panu przyda?

— Na co on mi się przyda? Doprawdy, dziwny z ciebie człowiek. Napełnię moje kieszenie a wypróżnię innych.

— Mój drogi generale, przykro mi to bardzo, lecz przysięgam ci, nie znam żadnego sekretu.

— Chcesz pan dwa tysiące rubli?

— To by było oszustwem, gdyż jak mówię, nie posiadam sekretu.

— Przynajmniej przyrzecz mi pan nigdy nie grać przeciw mnie, mówił uczciwy gracz; i tylko za to, oto sto rubli, a później . . . .

— Och, co do tego, zgadzam się chętnie, lecz jedynie przez przyjaźń, odpowiedział pan Muller, odpychając banknot.

Trzy razy go Swinin ucałował za tę bezinteresowność.

— A więc zgoda, będziesz pan moim partnerem.

— Bardzo chętnie, lecz na dzisiejszy wieczór już przyrzekłem komu innemu.

— Martwi mnie to; lecz jeżeli pan zechcesz, to zostawmy to na 7go bieżącego miesiąca, wydam w ten dzień bal, i zaproszę przez moich kozaków, najbogatszych Polaków w Warszawie.

— Jeżeli to panu nie zrobi różnicy, wolałbym bal 14go rzekł profesor, patrząc badawczo jakie wrażenie zrobią te słowa na generale.

— Ach! mój drogi, przykro mi to powiedzieć, odrzekł z dzikim uśmiechem, lecz 14go nie będzie balu.

— Czy jesteś pan pewnym generale? Bo hrabina Tatiana mówiła mi, że co ośm dni będzie bal, a moglibyśmy bardzo wygodnie w tym dniu zagrać, ponieważ będę . . . .

— Mój drogi, rzekł cichszym jeszcze głosem generał, nie będzie balu 14go Stycznia, lecz urządzimy na ulicach Warszawy polowanie z bagnetem i lancą. Nie pytaj mnie pan o więcej, bo chociaż nie jesteś Polakiem, nic więcej nie mogę ci powiedzieć w tej kwestyi. Tajemnica Stanu, mój drogi!

— Wszak pan wiesz dobrze, że wszystko co tyczy się Polaków, mało mnie obchodzi.

— Ach, przebacz pan, nie miałem zamiaru go obrazić, i wierz mi pan, że nigdy nie przyrównywałem go do tych ludzi. A więc na balu 7go nieprawda?

— Dobrze, 7go generale.

I rozeszli się.

Frantz Muller przeszedł się jeszcze kilka razy po salonie, a potem przekonawszy się, że jego przyjaciel Swinin zasiadł do zielonego stolika, wmięszał się w tłum gości, zarzucił płaszcz na ramiona, i nieznacznie, z czystem sumieniem, opuścił salę balową schodząc po schodach, pomiędzy dwoma liniami kozaków, policyi i szpiegów.

— Czy mam zawołać dorożkę? zapytał jeden ze strażników policyjnych, poznawszy przyjaciela jego excellencyi generała Swinina.

I natychmiast usunął wszelkie przeszkody.

Tym pilnym człowiekiem był Burkowski. Oprócz innych dość wyraźnych znaków, miał świeżą szramę na prawym policzku.

Na Zielony plac! rzekł głośno profesor.

Dorożkaż zrobiwszy półkole, pojechał ku Łazienkom.

Gdy minęli żelazne sztachety, Frantz kazał zajechać przed dom tancerki Bagratiew.

Sądzićby można że Muller lubiał zabawy, bo i tutaj tańczono. Jednakże nie był to bal urzędowy, przeważnie też bawili się sami Rosyanie, pułkownicy, generałowie, różnej broni oficerowie i urzędnicy moskale. Polaków zaledwie było kilku, i ci stanowili wyjątek. Jedni z nich należeli do falangi Wielopolskiego, inni znowu używając rozkoszy, zapominali o najświętszych obowiązkach Polaka i katolika. Co zaś do kobiet, te po większej części należały do personału

teatralnego, aktorki lub tancerki, w okazałych salonach pani Bagratiew, kończyły rozpoczęte za kulisami intrygi.

Frantz Muller miał na sobie niebieski mundur z orłem na guzikach, jaki podówczas urzędnicy nosili.

Idąc po świetnie uiliminowanych schodach pomiędzy dwoma szeregami prawdziwego lasu kwitnących pomarańczy i kamelii, szeptał sam do siebie:

— Ileż łez to kosztowało! Lud płaci to wszystko; dwa lata temu, ten pałac teatralnej bogini był mieszkaniem jednej z najzacniejszych rodzin w Warszawie. Skonfiskowano go jej. Wstyd i hańba!

Przeszedł kilka wspaniałych pokojów błyszczących od światła, napełnionych wonią i kręcącym się strojnym i wykwintnym tłumem.

W ostatnim była królowa balu, panna Bagratiew; dumne jej czoło zdobił diadem z dyamentów porwanych, przez jednego z jej wielbicieli generała Krułozowa, ze skarbca kościelnego Ojców Bernardynów. Otoczona tuzinem pochlebców rzucała im wymuszony uśmiech z koralowych usteczek.

Profesor zbliżył się do pani domu.

— Ach! panie Muller, jak dobrym jesteś, zaszczycając naszą ucztę swoją obecnością, rzekła podając mu rękę.

— Dla czegóż ona tak dobrze przyjmuje tego niemca? zapytał jeden z oficerów w masce senatora rzymskiego.

— Bo jest kronikarzem teatralnym, odpowiedział jego kolega przebrany za djabła,

— A ja myślałem, że jest profesorem muzyki.

— To nie przeszkadza jedno drugiemu.

W tej chwili zagrano walca, Bagratiew podała rękę Mullerowi i znikli w tłumie tańczących. Podczas tańca, rozmawiali.

W dziesięć minut później, Frantz Muller wysiadłszy z dorożki na Zielonym placu, wszedł po omacku na pierwsze piętro. W pokoiku, który tu zajmował, stało żelazne łóżko, prosty stół dębowy pokryty dziennikami, dwa krzesła wyplatane i w bardzo złym stanie fortepian.

Nad kominkiem zawieszona dubeltówka, a nad łóżkiem portret cesarza Aleksandra II, w uniformie generała ze wstęgą na piersiach.

Narbut, gdyż on to był pod przybranem nazwiskiem Frantza Mullera, zdjął zwierzchnie płótno pod którem był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ukląkł i długo a gorąco modlił się do Najświętszej Królowej Polski.

Nazajutrz Chusko otrzymal przez górala Szczepana ten jeden wyraz:

,,Przyjedź".

Pojechał natychmiast.

Narbut pisał właśnie fejleton teatralny pełen pochwał dla tancerki, kiedy wszedł przyszły jego szwagier.

— Otóż jestem, rzekł Adam, czy zaszło co nowego?

— Nowego, tak, lecz co, niewiem sam jeszcze. Cios spadnie w nocy z 14 na 15; wojska będą w po-

gotowiu w koszarach i piki kozackie są gotowe do uderzeń. Stanie się coś ważnego.

— Czy jesteś tego pewnym?

— Dowiedziałem się od Swinina, a Bagratiew to potwierdziła.

— Bez innych szczegółów?

— Nie mogłem pytać o więcej generała, a tancerka nic więcej nie wie.

— A więc! cóż?

— Twoi kosynierzy są gotowi?

— Większa połowa jest w górach, lecz za dwa dni możemy stanąć do boju.

— Zupełnie zorganizowani?

— Tak, pod imieniem Kosynierów. A strzelcy?

— Oddział Dzieci z nad Warty, na pierwszy znak powstanie. Czy masz broń?

— Kilkanaście skrzyń z amunicyą jest w miejscu bezpiecznem; karabinów mamy dosyć na początek.

— Ilu kosynierów mógłbyś postawić w linii w tej chwili?

— Siedmdziesiąt do ośmdziesięciu; czy uprzedzić innych?

— Nie, nie jesteśmy jeszcze dosyć pewni co to za spisek, bądź jednakże gotowym, jedynie, na noc z czter....

— Licz na mnie przerwał Adam; lecz pst!...

Ktoś szedł po schodach ciężkim krokiem, szabla i ostrogi tłukły się o nie.

Narbut włożył na nos czarne okulary, aby niemi zasłonić niebieskie oczy, i umoczywszy pióro w atramencie, rzekł półgłosem:

— Zobaczę się z panią Bagratiew i uprzedzę cię.

— Potem, podnosząc głos:

— Lekcye daję za dwa ruble na godzinę w mieście, a po za rogatkami . . . .

Gość przyszedłszy na górę, według zwyczaju, słuchał za drzwiami.

— Cena stała trzy ruble.

— Kiedy mógłbyś pan zacząć, zapytał Chusko.

— Myślę, że około 15.

— Nie wcześniej?

— Czy można wejść? grubym głosem zapytał Swinin, wścibiając głowę.

— Och, proszę, Excellencyo! z pośpiechem zawołał Muller.

Przyjacielsko podał mu rękę generał, spojrzał z najwyższym rodzajem wzgardy na Padleca, i rzucił się na jedyne jeszcze krzesło.

— A więc 15go powtórzył profesor, zwracając się do Adama w taki sposób, aby poznał że jego obecność jest zbyteczną.

— Chusko skłoniwszy się wyszedł.

Ani Swinin, ani Muller nie raczyli odpowiedzieć na jego ukłon.

Jeszcze nie zeszedł z trzech schodów, gdy usłyszał moskala wybuchającego głośnym śmiechem:

— Zaczniesz pan 15go dawać lekcye muzyki temu Padlecowi?

— Tak, Excellencyo.

— A ja, dam mu lekcyę tańca 14go. Ach! czy wiesz pan co mnie spotkało, wczoraj wieczorem, albo raczej dzisiaj rano, gdyż była już pierwsza po północy?

— Doprawdy że nie, Excellencyo.

— Szedłem w masce do Bagratiewy z Burkowskim, i wystaw pan sobie, wchodząc do salonu, cóż ja widzę? oto chłopak w śpiczastym kapeluszu w spodniach w kratki i w surducie, tańczy jak szalony; jest to ten sam *Amoa*, którego ten bałwan Burkowski nie potrafiwszy w sam czas przytrzymać, był przyczyną przegrania mego zakładu.

— Ach! zawołał Muller, spodziewam się, iż kazałeś go pan aresztować.

— O tak! mój drogi, o tej godzinie już jest w cytadeli.

— Wasza Excellencya go badała?

— Eh, gdzie tam! będę go badał za piętnaście dni, a być może za miesiąc. To buntownik, jestem pewny. I wystaw pan sobie, że to bydlę było tyle nierozsądnem i mówiło do Burkowskiego, że jest Rosyaninem i oficerem grenadyerów.

— Co za obmierzły kłamca! Pięknieś pan zrobił pakując go do dziury, pomimo tych protestacyi.

— Och, mój drogi; gdyby się słuchało tych łotrów Padleców, żadnego by nie powieszono.

I śmiał się generał głośnym, dzikim śmiechem ze swego mongolskiego dowcipu.

Całem sercem wtórował mu profesor. I tą razą

bardzo naturalnie, ponieważ w ubraniu Cezara poznał w dniu wczorajszym kadeta (podporucznika) świeżo przybyłego z Moskwy.

Abraham w celu spekulacyi, wyperswadował biednemu chłopcu, że na balu maskowym u tancerki Bagratiew, najlepiej przedstawi się w stroju francuzkim według ostatniej mody.

Handel ten o ile był korzystnym dla żyda, o tyle był fatalnym dla moskala.

Po wyświeceniu zaś całej sprawy, może drogo kosztować handlarza.

Celem rannej wizyty Swinina były nowe starania o nabycie sekretu Mullera. Frantz ze swej strony, starał się wszelkiemi siłami zręcznie wybadać generała, o przygotowującej się moskiewskiej wyprawie, na dzień 14go Stycznia.

Ani jeden ani drugi, nie dopiął swego.

W końcu, po powtórnem przyrzeczeniu, że będzie jego partnerem na balu 7go, moskal zabierał się do odejścia:

Wskutek gwałtownego ruchu jaki zrobił powstając, wypadł mu papier z kieszeni; Frantz pospieszył podnieść go.

— Ach! wybacz mój drogi, wykrzyknął generał, tak szybko odbierając papier, że jego przyjaciel zaledwie miał czas wyczytać:

„Sekretne instrukcye na dzień . . . . .”

— Szczęściem, że nie wypadł mi ten papier na ulicy, mówił generał kładąc go do kieszeni, te psy poczuliby z której strony wiatr wieje, a wówczas . . .

— Co wówczas? zapytał Muller.

— Wówczas nasze polowanie nie udałoby się, odpowiedział Swinin, wychodząc.

Przez cały ten tydzień i następny, robił Narbut prawdziwe nadludzkie wysilenia, ażeby ową fatalną wykryć tajemnicę. Jedynie namiestnik i kilku generałów ją znało; a że jej odkrycie groziło Syberyą, byli ostrożni. Nawet od Bargratiewy, pomimo znacznego wpływu jaki na nią wywierał, nic nie mógł dowiedzieć się,

Dopiero 12go wieczorem, ukłówszy jej miłość własną, dowiedział się Muller o całym tym piekielnym projekcie.

Było to już wprawdzie trochę zapóźno, dzięki jednakże szybkiej działalności emisaryusza, mniemanego profesora muzyki na fortepianie, przez noc i dzień następny, około trzystu młodzieży w wieku popisowym, opuściło miasto. Pomiędzy tą młodzieżą byli przyszli naczelnicy oddziałów powstańczych i przyjaciel Narbuta, Lelewel.

Góral Szczepan, zaniósłszy Adamowi ostrzeżenie aby był w pogotowiu, nie dał mu żadnej wiadomości o nastąpić mającym wybuchu w Warszawie, i wrócił nazajutrz do swojej chorej małżonki.

Może to być fałszywie puszczona przez moskali wiadomość, pomyślał sobie Adam, i dla tego nic nie wspominał o tem mieszkańcom Atrady.

Wieczorem 15go, odłożono bal spodziewany na inny dzień, a generałowie zebrani na tajnej naradzie u namiestnika, rozeszli się już dobrze po północy.

Tajemna agitacya działała w mieście, każdy oczekiwał jakiejś ważnej chwili. Ordynansi wojskowi przebiegali ulice galopem, wojsku nie pozwolono wychodzić z koszar, oficerowie w pełnych uniformach obejmowali dowództwo nad swemi oddziałami, czuć było w powietrzu niepewność i trwogę. Policyą i szpiegami zapełnione były rządowe pałace.

Około dziesiątej, wszystko ucichło; była to jedna z tej ciężkiej ciszy, zapowiadającej i poprzedzającej burzę. Pod przyduszonym chwilowo ogniem, nic nie pokoiło tej pozornej ciszy.

Mieszkańcy nieznając tajemnicy, spali snem błogosławionych. Frantz Muller wszedł jawnie do swego mieszkania. O jedenastej, zgasił lampę i stojąc przy dubeltowem oknie, czekał.

Plac targowy był pusty, zaledwie co kwadrans przeszedł się śpiący, otulony w swój płaszcz policyant, unosząc ręką szablę; zimno było przejmujące i śnieg dużymi płatami, padał bez przerwy.

Wybiła północ na zegarze katedralnym, — wpół do pierwszej, — pierwsza. . . .

— Wyrok bezwątpienia cofnięto, pomyślał Narbut.

I, znużony cało-dziennem bieganiem, miał się już położyć spać, gdy na jednym z rogów Zielonego placu spostrzegł szarą massę uzbrojoną w bagnety, lśniące przy świetle latarni.

Ta szara massa była przednią strażą pułku grenadyerów, który wkrótce zjawił się na placu, a następnie podzielony został na liczne oddziały. Każdy

z tych oddziałów w największem milczeniu zapuścił się w przyległą ulicę.

Na każdym placu w Warszawie podobne tym manewra odbyły się jednocześnie.

W pół godziny, całe miasto zostało zajęte przez wojsko.

Żołnierze biwakowali na placach, wyciągnięte łańcuchy szyldwachów łączyły wszystkie posterunki, a patrole konnicy i oddziału policyantów przebiegały ulice.

Gdy wszystko już było gotowe, rozpoczęto robotę.

Tę robotę, dzienniki moskiewskie nie wstydziły się nazwać *ochotniczym poborem do wojska*.

Na każdą ulicę, jeden oficer do werbowania był wyznaczony; miał swoją listę i był odpowiedzialnym za liczbę ochotników.

Swinin na czele swojego sztabu, dozorował poboru. W chwili kiedy miał dać sygnał, przyjechał na plac Zielony, a wzniósłszy swoją szablę, krzyknął:

— Idźcie!

Trębacze powtórzyli rozkaz z ulicy w ulicę, i w tejże samej chwili, słyszano gwałtowne uderzanie kolbami w bramy, przez wykonawców carskiego ukazu. Jeżeli natychmiast której nieotworzono, wywalano ją, a kozacy i pijane żołdactwo pakowało się do pokojów śpiących rodzin i wśród płaczu i jęków matek, żon, siostr i dzieci, porywało z łóżka śpiącego i pół-nagiego młodzieńca, bez najmniejszej uwagi na złożone chorobą osoby.

O! co za straszna była ta noc w Warszawie!

Gdy skompletowano listę, zarzucono kołdrę na ramiona rekrutów i pod silną eskortą policyi i kozaków prowadzono ich do najbliższego posterunku, a tam, bosi i obnażeni stali na śniegu i trzaskającym mrozie w czworoboku żołnierzy, gdy tymczasem inni żołdacy, napadali sąsiednie domy.

Żadne jeszcze miasto oblężone nie miało tak żałobnego widowiska. W domach, słychać było tylko jęki rozpaczy, prośby, obrzydliwe groźby, grubijańskie przekleństwa, tłuczenie mebli i rabunek; na zewnątrz, ulice zapełnione skrępowaną młodzieżą, przywiązaną postronkami do kulbak kozackich, bitą, okrwawioną, a za nimi postępowali starcy lub niewiasty odpychani knutem lub kolbą dzikiego żołdaka.

Narbut drżący z oburzenia i boleści, z zaciśniętemi pięściami, ze złamanem z bólu sercem patrzał na tę żałobną egzekucyę; łzy strumieniem płynęły mu po licu, w szalonym gniewie porwał nabitą dubeltówkę i zmierzył do stojących na placu żołdaków; gdy naraz, wrzask i hałas usłyszał na schodach.

To na niego przyszła kolej.

Już drogo miał sprzedać swoje życie, gdy myśl jak błyskawica, wstrzymała jego rękę; usiadł na łóżku i czekał.

Prawie w tej samej chwili drzwi na roścież się otwarły i, nie czekając rozkazu swego naczelnika, trzech kozaków porwało go za gardło.

Nie zajmując się wcale więźniem, oficer usiadł na stole Mullera i czytał listę.

— Numer 1, rzekł, Jan Kubolski.

— Tu, odpowiedział kozak, uderzywszy Narbuta w plecy rękojeścią nahajki.

Porucznik zrobiwszy krzyżyk, czytał:

Numer 2, Tomasz Kryziński. Gdzie jest Tomasz?

— Psie, gdzie jest Tomasz? zapytał kozak Narbuta, nowy mu raz zadając nahajką.

— Nie wiem, odpowiedział, a ja nie nazywam się Kubolski.

Moskal obrócił się ku mówiącemu.

— Ach! to pan, panie Muller; och! doprawdy, jestem bardzo zmartwiony .... Rozwiąż więzy, bałwanie, bydlę, suki synu, wykrzyknął oficer, wszak ten pan jest przyjacielem generała. Och! przebacz pan; to ten pies pomylił się. Wygrzmoć go pan, panie Muller, dobrze go wygrzmoć.

I dając przykład, z wściekłością uderzył po kilka razy w twarz kozaka.

— Racz pan wygrzmocić go sam, własną ręką; potłucz mu zęby.... Przyjaciel generała!.... Przebacz mi pan, panie Muller, ale my tak się spieszymy.... Czem mogę panu służyć? .... Precz ztąd łajdaki, precz, na wyższe piętro, psy!.... Jeszcze raz pana przepraszam ....

— Chciałbym mówić z generałem, rzekł Narbut; jest na placu, każ mnie pan do niego zaprowadzić.

— Ach, panie! ja sam pana zaprowadzę; lecz błagam, nie oskarżaj mnie pan, wiesz pan jak nam jest pilno.

— Żadnego zażalenia nie zrobię, chciałbym tylko z blizka przypatrzeć się tej robocie.

— O! tak, bardzo dobrze, z pewnością to pana zabawi.

— Nędznik! pomyślał Narbut, to mnie zabawi. A ma dopiero szesnaście lat.

Zeszedłszy razem ze schodów, przyszli na plac. Dosyć zadowolony z rezultatu expedycyi Swinin, grzejąc się przy ogniu biwakowym, palił papierosa.

— Eh! Eh! mój drogi, zawołał wyciągając rękę do profesora, zapomniałem cię uprzedzić, albo raczej lękałem się, abyś się nie przeziębił. Moi myśliwi dobrze robią obławę; w tym cyrkule polowanie idzie wyśmienicie. Zapalisz pan papierosa?

— Dziękuję, Excellencyo; tak rano nie mogę palić.

— Panowie Szwajcarzy, jesteście zniewieściali, ja dzień i noc palę, i jak tylko służba idzie dobrze, jestem kontent.

— A więc wszystko tak idzie jak pan sobie życzyłeś?

— O, tak, mój drogi, i jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy mieli daleko więcej rekrutów, aniżeli Jego cesarska mość sobie życzy; patrz pan tam, w tym czworoboku, mamy przeszło stu ochotników.

Masz pan także starców i dzieci.

— Tak, mój drogi, bierzemy wszystkich; a jutro w cytadeli, zrobimy wybór. W cyrkule żydowskim, powinno być jeszcze więcej zapału do spełnienia słu-

żby; Nabielkow zajmuje się tam rekrutowaniem: to musi być zabawne.

— Któż to jest ten Nabielkow?

— Ach! pan nie wiesz, to ten sam kadet od grenadyerów, który miał kapelusz spiczasty na balu u Bagratiewy. Biedak kupił ten ubiór od jakiegoś żyda. Wściekał się za ośm dni cytadeli, chcąc go więc wynagrodzić, pozwoliłem mu brać żydów w rekruty. Chcesz pan tam pójść i zobaczyć?

— Bardzo chętnie, lecz nie mam konia.

— Oh, to mała rzecz.

I zwróciwszy się w stronę gdzie stali kozacy:

— Pójdź-tu! krzyknął na jednego z kawalerzystów. Daj temu panu swego konia i swój płaszcz.

Kozak natychmiast zsiadł z konia.

— Za godzinę oddadzą ci go tutaj; tymczasem idź rekrutować.

Nie potrzebował kozak, aby mu dwa razy powtórzono: dla niego rekrutować, znaczyło rabować.

W kwadrans potem Swinin ze swoim przyjacielem wjechali w cyrkuł żydowski.

Tam, daleko gorsze działy się sceny i boleść więcej była przejmującą aniżeli na Zielonym placu. „Młodzież żydowska, żeniąc się prawie zawsze przed ośmnastym rokiem, miała liczne rodziny. A w obec znacznej liczby ofiar tej nocy, nieszczęśliwe kobiety i dzieci zostały popchnięte w ostatnią nędzę. W chwili aresztowania i odjazdu, straszne były jęki rozpaczy niewiast i ich usiłowania, aby wydrzeć swoich mężów z rąk oprawców; lecz ci, grubijańsko

i bez litości odpychając nieszczęśliwe, wydzierali mężów z ich objęć. Brutalnie odpychane, postępowały wraz z dziećmi za nimi, szlochając i przeklinając swoich prześladowców.

Dobrze się spisał Nabielkow. Dom Abrahama, pierwszy napadnięto.

Ruben przebudzony najściem grenadyerów, schował się pod kanapę, na której Noemi w pośpiechu, kupkę gałganów rzuciła.

Co zaś do Abrahama, ten spodziewał się okupem ochronić swój dom od rabunku.

Nieszczęściem, Nabielkow go poznał.

— Łotrze, gdzie jest twój syn? krzyknął podporucznik.

— Pojechał, wasza excellencyo?

— Tak, pojechał!..... Żołnierze bierzcie tego nędznika i rozwiążcie mu język.

Natychmiast czterech ludzi rzuciło się na starca, skrępowali go sznurami i przywiązali do stojącej ławy, a potem obnażywszy, okrutnie bili.

— Gdzie jest twój syn?

— Pojechał, szeptała ofiara.

— Ja cię nauczę mówić prawdę, suki synu, krzyknął oficer moskiewski, bijąc go z całej siły. Przynieście mi pochodnię.

---

1 Nadmienić musimy,— że wszystkie sceny z branki nocnej tu opisane, są prawdziwe. Autor czerpał je tak z raportów i pism rosyjskich jak i polskich w 1863 roku.

Jeden z żołdaków podniósł papiery, zwinął je w trąbkę i umoczywszy w oliwie, zapalił nad lampą.

— Czy będziesz teraz mówił? rzekł oficer przybliżając ogień do twarzy żyda.

— Nie, powiedział Abraham, i w tej samej chwili krzyknął boleśnie.

— Nie męcz pan mojego ojca, oto jestem, rzekł jakiś głos.

I, zrzuciwszy szmaty któremi był przykryty, stanął Ruben w rogu salonu.

— Przytrzymajcie go, rozkazał podporucznik.

— Pókim jeszcze żywa, nie zbliżajcie się! krzyknęła Noemi, a oczy jej błyskawice rzucały.

— No, no, gołąbko, nie bądź tak zawziętą, rzekł Burkowski i schwycił ją za kibić.

Lecz w tej samej chwili, krzyknąwszy boleśnie, odskoczył; żydówka długą szpilką przytrzymującą włosy, wykłóła mu oko.

Dwóch grenadyerów skoczyło do niej. Ruben porwawszy świecznik, jak by maczugą zasłaniał nim swoją żonę.

Była to chwila rozpaczliwej walki. Moskal, którego Noemi ugryzła w rękę, wystrzałem z pistoletu roztrzaskał jej głowę. Pół umarłego Rubena, zbryzganego krwią odważnej towarzyszki jego życia, poniesiono na ulicę.

W tym samym czasie wszedł Swinin.

— Co zaszło tutaj? zawołał.

— Te szelmy bunt podnieśli i skaleczyli mi człowieka, odpowiedział porucznik.

— Spalić tego psa i zrabować dom, ryknął Swininin; trzeba przykładu.

Czego żołdacy zabrać nie mogli, potłuki, podarli i połamali. Skrępowanego starca na owej ławce, ze szkaradnie opaloną brodą i włosami, z poparzonemi rękami i podeszwami u nóg, zostawili obok pół–nagiego trupa tej, którą wczoraj jeszcze nazywano piękną Noemi.

Była to iście moskiewska zemsta.

Muller widząc ohydną Polski wrogów robotę, stracił nadzieję utrzymania pokoju; chwila stanowcza nadeszła, pomyślał sobie.

Kiedy ze Swininem na plac Zielony wrócili, czwarta godzina wybiła i rekrutowanie się kończyło. Kozak nie wrócił jeszcze z wyprawy.

—A teraz, rzekł generał, skończywszy polowanie, pójdziemy się ogrzać.

— Jeżeli wasza excellencya pozwoli, chciałbym się przejechać jeszcze trochę, lecz nie wiem hasła.

— Paszkiewicz i Syberya, odpowiedział generał, nie zapomnij pan, bo mogliby cię jeszcze, mój drogi, zaciągnąć do wojska jako ochotnika.

— Dziękuję, generale, do widzenia.

— W Niedzielę, wiesz pan, jest bal u namiestnika.

— Tak, tak, wiem, dobra-noc, Excellencyo!

— Do widzenia, mój drogi, a nie złap kataru.

Na rogu placu, przywiązał Narbut konia, wszedł do swego pokoju, zdjął obraz zawieszony nad łóżkiem, oderwał złoto i drogie kamienie, a wizerunek

Najświętszej Panny ukrył na piersiach; potem wziąwszy karabin, zeszedł, wsiadł na konia, i truchtem pojechał na Krakowskie Przedmieście. Dom górala Szczepana był otwarty; zawołał, nikt nie odpowiadał. Czekał jeszcze chwilę, a wkrótce, przejeżdżał krakowską rogatkę.

— Kto tam! krzyknął szyldwach.

— Paszkiewicz i Syberya, odpowiedział podróżny, nie odwracając głowy.



VIII.

Tajemnica Marty.



mieszkańców Atrady sam tylko Chusko posiadał nieograniczone zaufanie Narbuta i wiedział o jego tajemnicy. Nie śmiejąc opuścić wioski, gdyż w każdej chwili, mógł przybyć posłaniec z nadzwyczaj ważnemi wiadomościami, czatował codziennie przy oknie patrząc na drogę warszawską, nie jedząc i nie śpiąc z niepewności i zmartwienia. Dnie w ten sposób bardzo wolno mu płynęły.

Każde ujadanie Nipa, rżenie konia, dźwięk gdzieś dzwonka w oddali, drżeniem go przejmowały; w nocy zrywał się gwałtownie i Tadea nieraz zmartwiona niespokojnością męża, słyszała jak przez sen wymawiał jakieś słowa bez związku lub wydawał rozkazy wojskowe, mięszając z nimi imiona Andrzeja i Polski.

Domyślała się czem jej Adam był zajęty i nieszczędziła serdecznych starań, by spędzić troskę z jego czoła. Lecz wszystko to czyniła z udanym spokojem, który był dla niej jedną więcej torturą.

Marta znowu, daleko więcej jak zwykle odosobniona w swoim pokoju, z żarliwością pracowała nad tajemniczą robotą. Gdy siadała do obiadu lub wieczerzy, oczy miała rozognione, widocznie myśl jaka ją zajmowała przy tajemniczej pracy, żywo oddziaływała na wyobraźnię dzieweczki. Chwilami, aby rozerwać umysł zajęty szlachetnem myśleniem, i jakby chciała zapomnieć sama o sobie, brała na ręce Andrzeja, pieściła, całowała go z uczuciem, kołysała, śpiewając przy tem dziecięciu stare narodowe piosenki, to znowu zagrała na fortepianie lub z burzliwą wesołością rozmawiała; potem nagle, bez żadnej przyczyny zamilkła i w tęsknej pogrążyła się zadumie.

W końcu nadszedł dzień 13go Stycznia.

Rodzina miała zasiąść do wieczerzy, gdy stary Magnus wszedłszy do pokoju, zbliżył się do Adama i coś mu szepnął do ucha.

Adam zbladł i w tej chwili wyszedł. Kilka minut upłynęło.

Powrócił z biletem w ręku, i nic nie mówiąc oddał go Kirpowskiemu.

Zasępiło się czoło starca. Powstał, położył rękę na główce Andrzeja, śpiącego na łonie matki, i głosem uroczystym a smutnym, rzekł:

,,Panie, wszechmocna Twoja ręka przygniata nieszczęśliwą naszą ojczyznę i podaje jej dzieciom gorzki kielich prześladowań do spełnienia. Oddal go Panie, jeżeliś go im nie przeznaczył. Bądź o Boże wola Twoja!"

— Cóż to za nowe nieszczęście nam grozi? zapytała Tadea tuląc syna do piersi.

— Branka, odpowiedział Chusko; po jutrze, w Warszawie, a dni następnych, we wszystkich miastach i wioskach polskich, moskale porwą kwiat naszej młodzieży, by ją posłać do Syberyi.

Cezar i jego kuzyni, badawczo spojrzeli na Adama.

— Czy ostrzeżono Szczepana? zapytała Marta swego szwagra.

— Tak jest; lecz powrócił, gdyż żona jego jest cierpiącą.

— Ojczyzna przed rodziną, rzekła dziewica z zaiskrzonem okiem.

— Narbut pisze do mnie, że godzina jeszcze nie nadeszła; trzeba czekać.

— Czekać! zawsze czekać! zawołała. Czyż brakło już mężów w Polsce?

— Wkrótce nie będzie żadnego, jeżeli wszyscy tak będą niecierpliwi jak ty, surowo odpowiedział Kirpowski.

— Na te ohydne prześladowania i gwałty, jest powinnością wszystkich Polaków odpowiedzieć....

— Cierpliwością, moja córko, przerwał poważnym i łagodnym głosem wchodzący ks. proboszcz Raskowski. Tak, cierpliwością jak Chrystus, taką, jaką On okazał Swoim oprawcom, gdy Go prowadzili na Kalwaryą.

— Chrystus, mój ojcze, wiedział że zmartwychwstanie, odpowiedziała z żywością.

— A któż ci może powiedzieć, córko słabej wiary, że Chrystus, który własną mocą zmartwychwstał, nie wskrzesi również i Polski, oczyszczonej przez męczeństwo?

Zrobiła się cisza w pokoju.

Chusko ją przerwał.

— Dotychczas jeszcze, mówił spokojnym lecz dobitnym głosem, pobór do wojska, nie wisiał nad naszemi głowami jako groźba, lecz jeżeli moskale w dwóch dniach zechcą wykonać tę niegodziwą i krwawą egzekucyę, niech się Bóg zmiłuje nad nami, bo za gwałty odpowiemy rozpaczą; nie pozwolimy mordować naszych braci.

— Nieszczęsni, co zamierzacie czynić? bezbronni, nie zorganizowani, podczas ostrej zimy: dziesięciu przeciw stu! z boleścią powiedział Kirpowski.

— Zamiast dźwigać ohydne kajdany na miejsce wygnania, umrzemy, tak jak umarli nasi ojcowie, z szablą i siekierą w ręku.

— Wasi ojcowie byli zorganizowani, uzbrojeni i posiadali sztandar.

— My także mamy broń, a krzyż cmentarny postawiony na śniegu, będzie nam służył za punkt zborny. Polacy już od dawnego czasu przywykli umierać pod stopami krzyża; czy nie tak, bracia?

Jednocześnie Cezar i szwagrowie uścisnęli rękę Adama, mówiąc:

— Jesteśmy gotowi.

Marta szybko wybiegła z pokoju; i natychmiast wracając, przyniosła pakiecik owinięty w szare płótno,

— Bracia, rzekła, rozrywając obwinięcie, potrzeba wam sztandaru, oto jest; haftowałam go własnemi rękami i jestem gotową krwią go moją zrosić.

I rozwinęła go.

Matka Boska Częstochowska z jednej strony, a z drugiej herby Polski, Litwy i Rusi, z dewizą „Boże zbaw Polskę”, elegancko haftowane na jedwabnej materyi, ozdobionej złotemi frendzlami, zdumiały rodzeństwo.

— Boże zbaw Polskę! naraz zawołali z uczuciem Włodzimierz i jego dzieci, schylając głowy z szacunkiem.

Przebudzony szmerem Andrzej, wyciągnął rączki do jaśniejącego obrazu.

— Ty także umrzesz w obronie sztandaru, rzekł Chusko, całując syna. Podnieś rączkę i przysięgnij.

— Tadea wziąwszy rączkę dziecięcia, położyła ją na świętym wizerunku, i głosem złamanym boleścią, mówiła:

— Ja, Andrzej Chusko, przyrzekam i przysięgam na święte Rany Matki Boskiej Częstochowskiej, Matki i Królowej Polski, być zawsze wiernym wierze ojców moich i Polsce, ojczyźnie mojej; i jeżeli będzie tego potrzeba, przysięgam cierpieć i umrzeć za nią tak, jak cierpieli i umierali za nią mój ojciec, moja matka i wszyscy moi krewni.

— Tadeo, dlaczego to mówisz? przerwał Chusko; jeszcze nie umarliśmy, Bogu dzięki, a jeżeli przyjdzie mi umrzeć z bronią w ręku, ty powinnaś żyć dla niego.

Potrząsła głową boleśnie i zwracając się do księdza:

— Mój ojcze, odpowiedziała, wszak dobra żona powinna dzielić los męża, czyż nie tak?

— Moja córko, rzekł ksiądz Raskowski, jest również powinnością matki zachować się dla swego dziecka. Wrazie nieszczęsnej wojny, którą niechaj Bóg raczy od nas oddalić, jeżeli by przyszło ci umrzeć, pomyśl co się stanie z Andrzejem? . . . biedne dziecię, dostawszy się w ręce moskiewskie, nie tylko że strastraciłoby życie, lecz zapomniałoby swojej ojczyzny i swojej religii.

— Mój syn, schizmatykiem i moskalem! z przerażeniem zawołała Tadea, wolałabym raczej — udusić go własnemi rękami.

I jakby przestraszona swojemi słowami, poniosła dziecię do kołyski okrywając je pocałunkami.

Boleść heroicznej matki wszystkich serca ścisnęła i wstrzymała wybuch uniesienia powodowany tajemniczą pracą Marty. Po wyjściu Tadei, rozmowa stała się poważną i uroczystą.

Okoliczności były nadzwyczaj krytyczne, przyszłość groźna.

Powstanie, uważane dotychczas przez Kirpowskiego jako fatalizm, w urzeczywistnieniu mało prawdopodobne, mogło wybuchnąć w każdej chwili, a najdalej w kilku dniach. Moskale wywołując je najniegodziwszemi sposobami, oddawna już byli przygotowani zgnieść je siłą. Partya, która główną rolę odgrywała w tym dramacie obliczyła, iż zmuszając

naród do wybuchu podczas ostrej zimy, będzie miała do pomocy przeciw swoim ofiarom, głód, nędzę i zimno.

Polacy przeciwnie, jednego tylko mieli sprzymierzeńca — rozpacz. Naczelnicy liczyli, że ona podwoi męztwo żołnierzy.

Tylko młodzież jedynie mogła się spodziewać po bitwie zwycięztwa. Patryoci, którzy jak Kirpowski, odbyli krwawą kampanją z 1830 r. nie łudzili się. Po bitwie, śmierci się spodziewali.

I wskutek tej bolesnej pewności, niektórzy wahali się, lecz i tych, mała była liczba.

Religia i ojczyzna żądały ofiary z życia; stary Włodzimierz spełnił ją natychmiast, heroicznie, bo kiedy Chusko rzekł doń:

— Mój ojcze, żeby cię bezużytecznie nie kompromitować, pójdę do lasu z moimi kosynierami.

Odpowiedział:

— Pójdziemy razem — gdy chwila nadejdzie; wpierw jednakże trzeba pomyśleć o bezpiecznem schronieniu dla Marty, dla twojej żony i dla dziecka.

— Ja mam uciekać! zawołała Marta, nie myślcie o tem; bronić będę sztandaru moją ręką zrobionego.

Nic nie pomogły przedstawienia i prośby; bohaterska dziewica koniecznie chciała być w oddziale z ojcem, z braćmi i z narzeczonym.

Co zaś do Tadei, nieuniknione starania około Andrzeja zmuszały ją szukać takiego schronienia, gdzie wolna od wszelkich trosk i niebezpieczeństw wojny, mogłaby się oddać wychowaniu dziecka. Chusko

przedtem myślał wysłać ją w góry, do Warszawy lub za granicę, obecnie zdecydował się aby pozostała w Atradzie, pod opieką ks. proboszcza Raskowskiego.

— Wasza Wielebność będzie jej obrońcą i opiekunem Andrzeja, rzekł do czcigodnego proboszcza.

— Niestety! odpowiedział, czyż mogę powiedzieć, jak długo tu zamieszkam? Moje miejsce jest wśród mojej owczarni, a od dziś za kilka tygodni, może moje owce będą rozproszone. Ach! moje dziecko, nie wiesz jeszcze co to jest wojna z moskalami.

— Ja bym radził wysłać ją za granicę rzekł Włodzimierz; zaledwie kilka mil nas od niej przedziela, a tam, przynajmniej jest podobieństwo, że będzie bezpieczną. Cezar może jej towarzyszyć, a potem wrócić do Paryża.

— Ja mam jechać do Paryża w tak ważnej chwili, — o, nie spodziewaj się tego mój stryju! Jestem Polakiem z krwi a Francuzem z urodzenia; nie ucieknę przed niebezpieczeństwem. Jestem kosynierem, i niech co chce nastąpi, nie opuszczę tchórzliwie oddziału.

— Dobrze Cezarze, dobrze, powiedziała Marta podając mu rękę.

— Prawdziwy to portret mojego brata, szepnął do księdza Kirpowski.

— Zdaje mi się, że go widzę, odpowiedział ks. Raskowski, jak stojąc na ziemi zasłanej trupami, broni jak lew do ostatka pragskiej rogatki.

Potem dodał:

— Podzielam pańskie zdanie; najroztropniej jest jeszcze, nim rozpoczną się kroki wojenne, wysłać panią Chusko z synem za granicę.

— Czy ksiądz proboszcz sądzi że moskale nie uszanują kobiet i dzieci?

— Nikogo nie uszanują, odpowiedział kapłan.

— A więc, mój ojcze, moją powinnością jest nie sprzeciwiać się jej wyjazdowi; pojedzie i nie zobaczę jej więcej.

— W niebie! odpowiedział kapłan. Dla Polaka, więcej jeszcze aniżeli dla wszystkich innych, ziemia jest wygnaniem.

Spuścił głowę Adam i łza jak perła stoczyła mu się po licu. Potem, głosem energicznym powtórzył:

— To jest moją powinnością, pojadą.

Włodzimierz, blady i zamyślony, podpierał rękami czoło; słowo powinność, zbudziło go z odrętwienia; powstał, poszedł do pokoju w którym siedziała jego córka i przywołał ją.

— Co, proszę ojca? zapytała.

— Przynieś dziecko.

— Śpi, czy mam go obudzić?

— Nie, pójdziemy.

I zwracając się do dzieci:

— Chodźcie ze mną, rzekł.

Weszli do pokoju gdzie pod okiem matki, spoczywał w białej jak śnieg kołysce, blond cherubinek. Oczy były zamknięte, lecz usteczka pół otwarte uśmiechały się aniołom.

Przyklękli w około kołyski; ksiądz tylko jeden stał.

— Ojcze, rzekł starzec, może już nie zobaczymy się więcej tak jak dziś zebrani na tym świecie, pobłogosław nas wszystkich po raz ostatni.

Sługa Boży wyciągnął ręce nad kołyską i rzekł:

,,Panie, za wstawieniem się niewinnego tego dziecka, zmiłuj się nad sługami klęczącymi przed Tobą; oddal łaskawie złe które im i naszej drogiej ojczyźnie grozi, i Wszechpotężną Swoją mocą potwierdź to błogosławieństwo w niebie, które ja tu, w Twojem Imieniu, wymawiam nad ich głowami.

,,Niech Bóg wszechmocny opiekuje się wami i błogosławi wam!

,,Niech Bóg wszechmocny opiekuje się Polską naszą ojczyzną i błogosławi jej!

,,Amen!" wszyscy odpowiedzieli.

I rozeszli się w milczeniu.

Dzień następny upłynął w smutnych przeczuciach. Nic ich nie przerwało. Widziano tylko snujące się w okolicach Atrady bezbronne oddziały młodzieży, która uciekła z Warszawy, lecz nie ściganej przez moskali.

Noc fatalna nadeszła. Po odmówieniu razem codziennych modłów za Polskę, Włodzimierz dodał litanię za konających: to było wszystko.

Tadea, noc całą nie mogąc zmrużyć oka, nad ranem zasnęła. Śniła o szczęśliwem życiu w Atradzie, w kółku rodzinnem; Polska była wolną i niepodległą, Chusko zwycięzcą, a mały Andrzej uśmiechał się

wdzięcznie, gdy naraz, suche uderzenie, a potem brzęk wybitego okna, gwałtownie ją przebudził i przestraszył.

Była dziesiąta godzina; słońce wesoło oświecało pokój i kołyskę, a synek z uśmiechem wyciągał do niej rączęta.

— To musiała być zmora, powiedziała sobie.

Jednakże szyba rzeczywiście była stłuczoną, i kilka kropli krwi znać było na szkle.

Nie mogąc sobie wytłomaczyć co by to było, zbliżyła się do okna i krzyknęła przestraszona, widząc na zewnętrznym gzymsie jastrzębia rozdzierającego szponem małą ptaszynę, która uciekając przed wrogiem, szybę przed chwilą wybiła.

— Biedna ptaszyna! szepnęła, schylając się nad kołyską synka; jest to niebios ostrzeżenie, ty także być może . . . .

Lecz wstrzymała się zdziwiona i zaczęła nadsłuchiwać. Teraz, wyraźnie płacz ludzki słyszała.

— Och! mówił ktoś, z rana, o czwartej godzinie . . . . Matko Boska . . . . kozacy . . . . Bili go do krwi . . . . . do cytadeli . . . . . nędznicy . . . . . mój Boże . . . . w Warszawie . . . .

— Mój Boże! cóż się to stało? krzyknęła Tadea, szybko drzwi otwierając.

Na kolanach, na środku pokoju, pół–odziana i w stanie strasznej rozpaczy, Elżbietka, młoda małżonka Szczepana, ze złożonemi rękami, błagała Kirpowskiego i jego dzieci, o pomoc i opiekę dla swego męża porwanego z domu przez kozaków i uwięzio-

nego w cytadeli, w celu wysłania go do armii syberyjskiej.

— Ach! mój dobry panie, sprawiedliwości! powtarzała, sprawiedliwości! Mnie nie chcą słuchać; całowałam ich stopy, czołgałam się u ich nóg, lecz jako wieśniaczkę, zamiast odpowiedzieć, bili mnie; patrz pan na moją twarz i na moje ramiona, są ślady knuta i pięści. Bili także moją matkę, a ojca uwięzili; lecz ciebie panie, z pewnością usłuchają.

A kiedy starzec, zdjęty współczuciem, wiedząc że w tej sprawie nic jej pomódz nie może, nie odpowiadał, zwróciła się do Marty.

— Siostro Marto, mówiła, ty zawsze taką dobrą byłaś dla mnie, ulituj się nademną i proś swego ojca, by mi zwrócił męża.

— Biedne dziecko, nic ci pomódz nie możemy, jesteśmy Polakami jak ty, i prześladowani jak ty, odpowiedziała dziewica, usiłując ją podnieść.

W tej chwili, spostrzegłszy Tadeę, szybko powstała, i biegła paść jej do nóg.

— Tadeo, dobra Tadeo, ty jesteś matką, ulituj się nademną, błagam cię na imię twego syna; proś za mną swojego ojca i swego męża.

— Mój ojciec i mój mąż może jutro zostaną uwięzieni, tak jak Szczepan, droga siostro; już tu raz byli kozacy i z pewnością jeszcze nas odwiedzą.

Elżbietka załamała ręce i zalała się łzami, wołając z rozpaczą:

— Panie, co robić, co robić?

— Modlić się, i zdać się na wolą Boską, moja córko, smutnie odpowiedział Włodzimierz.

— Walczyć i umrzeć, rzekł Chusko z uniesieniem; miara jest pełna.

— Jest przepełnioną, dodał uroczystym tonem, nowo przybyły.

— Narbut! zawołał Chusko. Powiedz nam coś widział, a może mój ojciec przekona się, że powstanie nie jest rewolucyą tylko uprawnioną obroną.

— Widziałem, odpowiedział narzeczony Marty, straszne sceny, jakich dopuszczali się rozwścieczeni żołnierze w zdobytem mieście; widziałem kozaków, najeżdżających domy śpiących obywateli, z szablą w dłoni, krępowali młodzież i starców bez różnicy, ciągnęli ich po śniegu, pokrytych krwią i śmiertelnemi razami; widziałem tych samych kozaków jak bili niewiasty i dzieci, tłukli meble i rabowali mieszkańców; widziałem oficerów zachęcających pijane żołdactwo do tych nadużyć; widziałem torturowanego i opiekanego powolnym ogniem ojca, którego chcieli zmusić by zdradził własnego syna, któremu ukryć się pomagał; widziałem zamordowaną młodą kobietę broniącą swego męża przed napaścią żołdaków; widziałem znieważone obrazy świętych, widziałem jak bluźniąc, darli je na kawałki i nurzali w błocie ulicznym; widziałem potrzaskane i wywalone drzwi kościelne i klasztorne; słyszałem krzyki wściekłości i krzyki rozpaczy, przekleństwa i prośby. Tak, to wszystko widziałem i słyszałem. A ty, Elżbietko, co widziałaś, co słyszałaś?

— Panie, co ty widziałeś i moje oczy widziały, co ty słyszałeś i moje uszy słyszały. Z rana, około

czwartej, spaliśmy jeszcze wszyscy snem smacznym, gdy naraz krzyki i jęki nas zbudziły; mój ojciec otworzył drzwi by zobaczyć co się stało. Prawdopodobnie kozacy myśląc że chce uciekać, z wściekłością rzucili się na niego, bili kolbami, przywiązali do ławki i pięściami mu zęby wybili. Szczepan pospieszył ojcu na pomoc, lecz z taką samą zajadłością rzucili się na niego, przewrócili i kopali nogami w twarz i piersi, i tak pokrwawionego zawlekli. I mnie bili, ponieważ wołałam o pomoc, sądząc że to są ci, którzy cierpią gorączkę krwi (czerkiesi). Wreszcie nadszedł jakiś oficer, na kolanach błagałam go o opiekę, lecz nie wysłuchawszy nawet, kopnął mnie w bok, upadłam, wtedy jeden z kozaków targał mnie za włosy a drugi ciągnąc złoty kolczyk który od siostry dostałam, rozdarł mi ucho.

— Ojcze, słyszałeś? zapytał Chusko.

— Opowiadaj, Elżbietko, mówił Narbut. Nim dobędziemy miecza, wpierw wszyscy musimy być pewni, że to już nie prawo lecz powinność zmusza nas do tego.

„Oficer trzymał listę w ręku; gdy kozacy wszystko już zrabowali, udawali że szukają kogoś, wtedy uderzając mojego ojca pochwą swojej szabli, krzyknął:

„— Stary buntowniku, twój syn Jan jest tu?

„— Nie, excellencyo, już od dwóch lat nas opuścił.

„— Gdzież więc jest, suki synu?

„— Na Kaukazie, w armii; mam świadectwo z policyi.

„— A drugi?

„— Mam tylko jednego.

„— A ten pies Padlec co za jeden?

„— To mój zięć.

„— Bierzcie go, rzekł do żołdaków, będzie służył jako zastępca.

„— Lecz, panie, mój syn jest żołnierzem i nie potrzebuje zastępcy.

„— Milcz, stary kruku. Brygadyerze, związać tego Padleca i zawlec do owczarni.

„Żołdacy skoczyli do Szczepana, stałam obok niego, ocierając krew płynącą po jego ciele; był prawie umarły; broniłam go, wówczas tak mnie zbito, że straciłam przytomność. Skoro przyszłam do siebie, nikogo nie było w domu; wszystkich poprowadzono do cytadeli. Naszych sąsiadów to samo spotkało, ulice były zapełnione płaczącemi niewiastami. To wszystko co wiem".

Nastało przerażające milczenie. Słuchacze byli oburzeni i do głębi serca przejęci tem opowiadaniem.

Narbut pierwszy je przerwał.

— Ojcze, powiedz nam sumiennie, czy myślisz że nie mamy prawa odpierać siłą gwałtów nam zadawanych i chronić się przed prześladowaniem wrogów?

— Tak, odpowiedział, jest to naszą powinnością.

— A więc, do broni! wykrzyknął z zapałem Chusko, i z hymnem Boże coś Polskę!

Narbut położył rękę na jego ramieniu, i —

— Jeszcze nie czas, powiedział.

Spojrzeli na niego zdumieni.

— Nie, powtórzył, jeszcze nie czas. Przygotowujmy się, lecz zaczekajmy jeszcze dzień lub dwa. Hasłem do powstania będzie odjazd ofiar na Syberyę; kaci mogą jeszcze mieć wyrzuty sumienia, dajmy im czas do poprawy.

— Panie, panie, jęknęła Elżbietka, uwolnij mego męża od wojska.

— Szczepan nie będzie służył w wojsku moskiewskiem, moje dziecko, rzekł Narbut; wracam do Warszawy wziąść ostatnie rozkazy, a Chusko tymczasem zawiadomi górali. Ty zaś, wraz z innemi niewiastami czekać będziesz u bramy cytadeli, i skoro tylko więźniowie ruszą w drogę, dasz mi znać na Zielonem placu. Wrazie, gdybyś mnie nie zastała w domu, zrobisz kredą krzyż na drzwiach; zrozumiałaś?

— Niech cię Bóg błogosławi, panie, będę posłuszną i uwiadomię cię.

— Idź więc, rzekł Narbut, czas nagli.

Poszła natychmiast.

— A teraz mówił młody naczelnik, zajmijmy się Tadeą. Czy już co postanowiłeś, Adamie?

— Tak jest, odpowiedział, dzisiaj jeszcze pojedzie z moim ojcem do Mysłowic; jest to najbliższa granica.

Tadea zbladła, i aby nie upaść oparła się o drzwi; ale nie płakała, nawet westchnienie nie wydobyło się z piersi bohaterskiej niewiasty.

— Kiedy mam jechać, Adamie? wyszeptała.

— Wieczorem, o tym samym czasie gdy wyjadę w góry.

— A czy nie mogłabym zostać w Atradzie dopóty, aż hasło do boju będzie wydane?

Chusko spojrzeniem zapytał Kirpowskiego i Narbuta.

Poruszeniem głowy, odpowiedzieli przecząco.

— A więc pojadę, powiedziała.

— A ty, Marto? zapytał Narbut.

— Ja zostanę, lecz tak stanowczo wymówiła, że narzeczony nie śmiał się jej sprzeciwiać; dodał tylko:

— Wiele wycierpisz, Marto.

— A ty? dumnie odpowiedziała.

— Niech się dzieje wola Boża! rzekł Kirpowski.

I dodał:

,,Błogosław tym, Panie, którzy dla chwały Twojego Imienia, idą na śmierć i męczeństwo''.

Potem, z Adamem i dziećmi, odprowadził Narbuta na dziedziniec, gdzie Magnus oczekiwał go, trzymając osiodłanego już konia.

Na dany znak przez dziedzica, zbliżył się stary sługa.

— Mój stary Magnusie, mówił Włodzimierz, dziś wieczorem, o siódmej, bądź gotowy, zawieziesz nas na stacyę do Piotrkowa, a jutro wyczyścisz mi moją szablę i moje pistolety.

— Dobrze, panie, skłoniwszy się, odpowiedział służący.

Tego samego wieczora, młoda kobieta w żałobie i z dzieckiem na ręku, jechała pociągiem wrocławskim ze starcem smutnym lecz nieugiętym.

— Oboje milczeli, starzec modlił się, matka płakała. Przejeżdżając obok klasztoru Jasnogórskiego,

posadziła wdowa śpiącego synka na kolanach, a potem unosząc go, mówiła z uczuciem:

— O, Matko sierot, oddaję Ci mego syna pod Twoją opiekę.

Te jedyne słowa wymówiła jadąc z Piotrkowa do granicy.

O tej samej godzinie, jeździec, okryty wojskowym płaszczem, na białym koniu, jechał milczącym lasem w góry Karpackie.

Mróz był siarczysty, wiatr jęczał pomiędzy drzewami, lecz jeździec nie myślał o mrozie ani o wietrze, dumał o Tadei. Od czasu do czasu, przy świetle księżyca, spoglądał na zegarek; a kiedy ten wskazał kwadrans na drugą, zdjął futrzaną czapkę i przeżegnał się. W tej samej właśnie chwili jego żona w żałobie i syn przejechali granicę: byli ocaleni.

O tej samej godzinie, w Warszawie, w pałacu namiestnika, jeszcze jedno światło błyszczało w jednym z okien tego ponurego budynku. To światło było od lampy postawionej na stoliku w gabinecie jego excellencyi.

W tym gabinecie trzech wyższej rangi oficerów, paląc papierosy, słuchało monotonnego artykułu, czytanego przez redaktora gazety urzędowej. Sam namiestnik podał myśl, a najgrawając się z boleści Polaków, zarazem mylił opinię publiczną po za granicą, co do owej branki nocnej.

— Przeczytajcie mi raz jeszcze, pierwszy ustęp. W ogóle zredagowanie jest zadawalniające; sądzę jednakże, że nic-by nieszkodziło, poprawić je raz jeszcze starannie; jak panowie, myślicie?

— O, tak, excellencyo! naraz odpowiedzieli Swinin i jego kolega Błagurow.

Pisarz pochylił się nad swoim rękopismem i nosowym głosem czytał z pewnym rodzajem obłudnej przesady:

„Dnia 15, w rannych godzinach, odbyła się branka do wojska w Warszawie, *spokojnie i w największym porządku.*

— Bardzo dobrze, pochwalił namiestnik.

„Jedynie tylko w cyrkule żydowskim, stawiono słaby opór, gdzie jeden z agentów policyjnych . . .

— Nie, nie, zmień to, moj drogi. Czyż nie tak panowie?

— O, tak, excellencyo!

— Pisz więc:

„Nie stawiono nigdzie oporu, i od trzydziestu lat, nie było jeszcze przykładu, aby rekruci z takim pośpiechem i ochotą, spieszyli pod sztandary Jego Cesarskiej Mości.

„Rekruci tymczasem zostali umieszczeni w ratuszu i w cytadeli, a dobry ich humor świadczy o jak najlepszem usposobieniu. Tem więcej, że szkoła porządku jaką przejdą w wojsku, uwolni ich od próżniaczego życia, które im dzisiaj ciężyć zaczyna.

„Wielu, w wieku popisowym nie wiedzących o dniu branki, albo też dla innych powodów nie obecnych pod ten czas w domu, zgłosiło się dobrowolnie do władz właściwych“.*

---

* Artykuł ten publikowano w gazecie urzędowej rosyjskiej, dnia 19. Stycznia 1863 r.

— Coraz to lepiej, Iwanie Pietrowiczu, jesteś pan tak zdolny do redagowania gazety urzędowej, jak Bagratiew do tańca, zarekomenduję pana księciu ***, mój drogi; jeszcze nie widziałem podobnie dobrze napisanego fałszu z rozkazu władz wyższych. Odpocznij sobie i zapal papierosa.

— Nie jestem zmęczony, wasza excellencyo, a mój artykuł zaraz będzie skończony.

— A więc, czytaj, czytaj, będziemy cię słuchali; co powiecie, panowie, na to?

— Doskonale, excellencyo! odpowiedzieli razem obadwa generałowie, kłaniając się nizko.

,,Nazajutrz przedstawiło się *czterdziestu dziewięciu ochotników*. Przygotowania jakie zrobiono w Warszawie na przypadek nieporządku, były zupełnie bezużyteczne''.

,,Zachowanie się wojska i policyi podczas poboru, *nadzwyczaj przykładne* i tak zadawalniające w stolicy, daje nadzieję, że w podobny sposób odbędzie się pobór w całej prowincyi, a anarchistyczne działania, w celu wywołania zaburzeń, pozostaną bez skutku''.

— Wyśmienicie! excellencyo, wyśmienicie! wykrzyknął Swinin, to nie jest artykuł lecz doskonała przemowa.

— W której łatwo jest poznać lwie pazury, dodał Błagurów.

Skromnie się skłonił namiestnik.

— To nie ja redagowałem panowie.

— Tak, ale ja tylko opracowałem i to niedokładnie, myśl waszej excellencyi, pospieszył odpowiedzieć Iwan Pietrowicz z pokorną hypokryzyą.

— Jak uważacie, panowie, czy może być publikowanem to sprawozdanie?

— O, tak, excellencyo! i wartoby tysiące egzemplarzy rozrzucić w Polsce i za granicą, rzekł Błagurów.

— Objaśni opinię publiczną, wtrącił Swinin zły, że nie mógł znaleźć lepszego przyrównania.

— Ja myślę że to nie zaszkodzi świętej naszej sprawie, rzekł namiestnik, uwalniając pisarza, który nim wyszedł, z pięćdziesiąt mu oddał ukłonów. Tak, sądzę, że Najjaśniejszy Pan będzie zadowolony ze sposobu, w jaki jego rozkazy zostały wypełnione, wprawdzie trochę siłą, lecz za to żaden z tych Padleców, nie ośmieli się ruszyć. Jeżeli lękacie się panowie by was zły pies nie ukąsił, pokażcie mu kij tylko. Oto moja polityka z tymi patryotami, kij, tylko kij, a jeśli się ośmielą opierać, lanca i karabin.

— I nie powstaną podli, ja za to ręczę, wykrzyknął Swinin. Pewnego razu, jadąc koleją żelazną, w wagonie, sam tylko jeden Rosyanin, miałem dziesięciu czy dwunastu Padleców towarzyszami podróży. Jeden z nich, chcąc popisać się z junakieryą, pozwolił sobie źle brzmiące słowo powiedzieć, zbliżyłem się do niego, i dałem mu dwa razy w twarz, mówiąc: Jest was dwunastu łotrów, lecz nie lękam się was. Żaden z nich nie ośmielił się wyrzec ani jednego słowa, a na pierwszej stacyi, zniknęli.

— W istocie, tę anegdotkę mi opowiadano, rzekł namiestnik, kręcąc papierosa, lecz bez tych szczegółów,

Generał zrozumiał że już ktoś namiestnikowi opowiadał jego awanturę na kolei z Narbutem, przerwał więc rozmowę w tej materyi, powtarzając tylko, że on wie z pewnego źródła, że żadnego nieprzyjaznego ruchu ze strony podłych Polaków, lękać się nie trzeba, i zaczął opowiadać tysiące podobnych przykładów.

Słabe pukanie do drzwi gabinetu przerwało opowiadanie.

— Wejść! rzekł namiestnik.

Był to kozak z warty pałacowej; oznajmił iż jakiś agent policyjny pragnie się widzieć z jego excellencyą w nader ważnej sprawie.

— Niech przyjdzie rzekł namiestnik.

A gdy generałowie zabierali się do wyjścia:

— Możecie zostać panowie, dodał. Ach! to ty Krapułów, sądziłem że jesteś w Piotrkowie.

— To z rozkazu jego excellencyi oberpolicmaj stra stawiłem się w Warszawie, odpowiedział urzę dnik, kłaniając się nisko.

— Dlaczegóż więc nie udałeś się do oberpolic majstra, jeżeli on cię wezwał?

— Ponieważ jego excellencya śpi jeszcze, odpo wiedział przebiegły łotr, a przechodząc mimo pałacu zauważyłem światło oznajmujące mi, że wasza excel lencya bezustannie pracuje dla dobra Najaśniejszeg Pana . . . .

— Mów prędzej. Co chcesz, i zkąd przyby wasz?

— Niech wasza excellencya łaskawie przebaczy moją śmiałość, byłem na mszy, i wracam . . .

— Na mszy! wykrzyknęli razem trzej generałowie.

— Na mszy, odpowiedział, przymrużając oczy.

— O tej godzinie wszystkie kościoły są zamknięte, i widać żeś za wiele wypił. Założyłbym się, że wracasz z szynkowni, bydlę?

— I w istocie byłem, wasza excellencyo, lecz tylko dla orzeźwienia się.

— A ztamtąd, poszedłeś na mszę, pijaku?

— Powiedziawszy prawdę, nie było to moim zamiarem, excellencyo, lecz będąc trochę rozgrzany, przed udaniem się na spoczynek, wyszedłem na ulicę. Przechadzając się tak, to tu, to owdzie, zauważyłem kilkanaście osób idących cichaczem po pod murami, a że jestem z natury ciekawym, szedłem więc za nimi, udając pijanego.

— I rzeczywiście nim jesteś, mruknął jak niedźwiedź, Błagurow.

Nie zważając na to szpieg, mówił:

,,Gromadka młodzieży przeszedłszy obok mnie, zapuściła się w Krakowskie Przedmieście; naturalnie, poszedłem za nimi. Przyszedłszy przed kościół Bernardynów, zatrzymali się aby mnie przepuścić; wtedy, zawsze śpiewając, zwróciłem się w sąsiednią ulicę, a potem chyłkiem jak wilk wróciłem i ukryłem się; już ich nie było.

— No i cóż? zapytał zniecierpliwiony namiestnik.

— Przyłożyłem ucho do drzwi i lekki jakiś szmer słyszałem w kościele.

— I wszedłeś?

— Drzwi były zamknięte, excellencyo.

— Bałwanie, warto było przyjść i mnie nudzić.

— Niech wasza excellencya raczy mi wybaczyć, lecz są drzwi i drzwi; nie mogąc wejść wielkiemi, poszedłem do bocznych.

— I te były otwarte?

— Gdzie tam, wasza excellencyo, były także zamknięte.

— Głupi bałwan! ryknął Swinin.

— Wówczas położyłem się na śniegu i zacząłem chrapać.

Generał mając szpicrutę w ręku, świsnął nią znacząco, Krapułow skurczył ramiona i dodał z pośpiechem:

„Dobrze sztukę odegrałem i dopiąłem swego. Dwóch ludzi przyszło; jeden z nich rzekł:

„— Uważaj!

„— Ba! odpowiedział drugi, śpi, jest pijany.

„I zapukał dwa razy, potem dwa razy, potem raz i drzwi się otworzyły. Kościół był oświecony i było w nim z jakie sto ludzi. Chrapałem ciągle. Co chwila przybywali, dwóch, trzech, małemi grupami, a zawsze pukano dwa razy, dwa razy i raz. Zaczynałem już marznąć i chciałem już także zapukać, gdy naraz spostrzegłem nadchodzącego pana w czarnych okularach, niejakiego profesora muzyki na fortepianie, który zapukał tak jak i inni . . .

— Frantz Muller? wykrzyknął zdumiony Swinin.

— Frantz Muller, którego prawdziwe nazwisko jest *Narbut*, odpowiedział szpieg tryumfującym głosem.

— Czy jesteś pewnym tego? ryknął generał.

— Tak, excellencyo. Od wczoraj go podejrzywałem, dzisiaj jestem pewnym. Nie chciano go wpuścić, więc powiedział:

,, – Jestem Narbut; powiedz Frankowskiemu.

,,Wtenczas, dwóch Polaków trzymało go za kołnierz przy drzwiach, a trzeci poszedł po naczelnika, który przyszedłszy podał mu rękę, mówiąc:

,,— Przepraszam cię, mój dzielny Narbucie, nasze szyldwachy nie znają ciebie; wejdź prędko, msza już się zaczęła.

— Nędzniku i ty go nie zabiłeś, wrzasnął oburzony Swinin,

— Byłem sam a ich stu, wasza excellencyo.

— Trzeba było przynajmniej nas natychmiast uprzedzić, rzekł namiestnik, gwizdnąwszy na kozaka.

— I zrobiłem, to skoro tylko byłem w możności, lecz Narbut jako przebiegły łotr, powiedział do swego przyjaciela Frankowskiego:

— Postaw jednego człowieka na straży przy tym pijaku, jeśli się przebudzi, zakneblować mu usta, a gdyby się opierał, udusić go.

— I pilnowano cię?

— Tak jest, excellencyo, aż do końca mszy.

— A potem?

— Potem, odpowiedział szpieg, wszyscy wychodzili gromadkami tak jak przyszli, profesor zaś, zbliżywszy się do mnie, zawiązał mi usta, tą oto chustką; związał mi ręce i nogi, a potem, kopnąwszy mnie jak psa, powiedział:

,,— Dobranoc Krapułow; a kiedy zostaniesz rozwiązany, polecam ci załączyć uszanowanie od Mullera–Narbuta generałowi Swinin.

— Nędznik! zginie z mojej ręki, mruczał gruby generał, fioletowy ze złości; upiekę go jak wieprza.

— Wyprostowany przy drzwiach, z ręką przy kaszkiecie, czekał kozak rozkazów Jego Excellencyi.

— Pułkownika Manimowicza, zawołaj, rzekł namiestnik.

Przyszedł natychmiast.

— Pułkowniku, weź stu kozaków, otocz kościół Bernardynów, zabierz wszystkich których tam znajdziesz: księży, kobiety i dzieci. Przeszukaj wszędzie, potłucz wszystko jeżeli tego okaże się potrzeba, i pod dobrą strażą, odeślij więźniów do cytadeli. Gdyby buntownicy ośmielili się stawić choćby najmniejszy opór, wziąść ich bronią. Idź.

Skłonił się oficer i wyszedł.

— Pan zaś, generale, mówił namiestnik zwracając się do Błagurowa, wydaj rozkaz zamknięcia rogatek miejskich i każ strzelać do tych, którzyby je chcieli przejść.

— Pan, Swininie . . . .

— Excellencyo, jeżeli pozwolisz, pójdę z Krapułowem szukać Narbuta. Jeżeli piekło nie będzie mi przeszkadzać, znajdę go, a jeżeli go znajdę . . . .

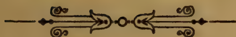
— Czyń z nim co chcesz, generale.

W kwadrans potem, zamknięto rogatki, podwojono straże, oddziały policyantów i wojska napadały domy podejrzanych Polaków, gdy tymczasem kozacy pod wodzą Manimowicza, pod pozorem rewizyi kościoła Bernardynów, rozbijali ołtarze i cymborya, przewracali krzyże, rujnowali groby, i współzawodnicząc z sobą w dzikiem obejściu się z zakonnikami, bili ich skrępowanych nahajkami, w sprofanowanym kościele.

Nazajutrz, o brzasku dnia, Polacy, świadkowie tych gwałtów, widzieli na wszystkich rogach ulic, przylepione przez policyę urzędowe plakaty, o nocnej brance. W czasie gdy je z niemą boleścią czytano, jakiś człowiek na Zielonym placu, zdarł plakatę i rzucił ją pod nogi, mówiąc:

— To za wiele!

— Trzymajcie go, krzyknął Krapułow, trzymajcie go, to Narbut!





Patrz str. 184—185.

IX.

Ostatnia uczta.



jeżdżając do Warszawy, przybrał Narbut nazwisko Frantz Mullera, najął sanki, i tak jak codziennie, z nutami pod pachą, wstępował do wielu domów, pod pozorem dawania lekcyi muzyki. Ani dorożkarz wożący go, ani oficerowie i liczna straż policyjna, nie podejrzywali, że jest jednym z najczynniejszych spiskowców; przyjaciela generała Swinin, w niebieskim mundurze i w czarnych okularach, pozostawiono w spokoju, przy zwykłych jego zajęciach.

Narbut korzystał z tej wolności; przez cały dzień widział się z wszystkimi naczelnikami ruchu, i pierwsze plany rozpocząć się mającej kampanii, z nimi ułożył.

W domu Frankowskiego zastał wielu młodzieży, odwiedził również tajemną drukarnią narodową w piwnicy, do której wejście zawalone było ogromnym mchem obrosłym kamieniem, i zkąd miała wyjść

proklamacya do narodu, zbijająca fałsze gazety rządowej.

W mieszkaniu Liskowicza, w obecności pięciu członków Komitetu Narodowego, przeczytał kopię ułożoną w gabinecie namiestnika, a odprzedaną mu, przez jednego z urzędników moskiewskich.

Nie było to wyjątkiem.

Sprzedaż tajemnic stanu, depesz szyfrowanych, telegramów, planów kampanii i wszelkich ruchów wojsk moskiewskich, podczas wojny w Polsce, stanowiła najświetniejszy przemysł.

Wielu wyższej rangi urzędników moskiewskich, przechadzających się dumnie po upadku powstania, z krzyżami lub orderami na piersiach, zawdzięczali jedynie swoje stanowisko i majątek, temu handlowi.

Nim więc namiestnik potwierdził zredagowany artykuł, a nawet nim go przeczytał, z tajemnej drukarni wyszła nań odpowiedź, zbijająca fałsze moskiewskie.

Odpowiedź tę, zatytułowaną: *Słowo na pożegnanie, ofiarom nocnej branki*, prawie wszyscy ludzie czytali.

Żaden z pomiędzy członków Komitetu Narodowego nie wątpił, że proklamacya namiestnika, znieważająca naród i publicznie szydząca z jego boleści, doleje oliwy do ognia i przygotuje wybuch do powstania, którego dwuletnie prześladowanie nie mogło wywołać.

Przedsięwzięto więc środki stosowne do okoliczności.

Ta bohaterska młodzież, idąca walczyć za wiarę i ojczyznę, nie tylko że była prawdziwie patryotyczną i dzielną, lecz była *chrześcijańską*, i tem imię swoje, nieśmiertelną sławą okryła.

Jak pierwsi męczennicy, przygotowywali się na śmierć okrutną w cyrku, tak i młodzież polska, idąc na bój śmiertelny, po odbytej spowiedzi, przystąpiła do wspólnej uczty — komunii świętej.

Skoro noc nadeszła, podczas kiedy namiestnik silił się ze swymi służalcami, współ-zawodniczącymi z sobą, w wymierzeniu jak najkrwawszej obelgi umierającej Polsce, około dwustu młodzieży, z narażeniem życia, stawiło się cichaczem w kościele OO. Bernardynów.

Księża również narażając życie, czekali na nich.

Głucho i ciemno było w Świątyni jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, w Katakumbach.

Wewnątrz, noc; na zewnątrz, śnieg zmarznięty, jakby białą zasłoną pokrywał budynek, i nie słyszano żadnego szelestu jak tylko szczęk bagnetów lub równe i ciężkie kroki koni.

Kaci umyślnie mniej pilne dawali baczenie; rogatki były niedbale strzeżone, a patrolom rozkazano aby pozwalały, niby nie widząc, opuszczać miasto bezbronnym buntownikom, którym zimno i głód wkrótce wymierzą sprawiedliwość.

W polityce moskiewskiej było wywołać ruch przed wiosną. Bo w ten sposób *pozbywali się* tych, których patryotyzmu i energii najwięcej się lękali. W lasach, śmierć ich czekała, straszna, nieunikniona,

a jeśliby ośmielili się z nich wyjść, zgniotą ich, wystrzelają, jako zbiegów lub buntowników. W każdym razie, Polskę *oczyszczą* z tych nicponiów.

Nic nie ma łatwiejszego jak zwyciężyć, kiedy się ma okrutnego sprzymierzeńca, w srogiej, trzaskającej mrozem zimie. Francuzi w 1812 r., tego doświadczyli. Zima zwyciężyła wielką armię.

Zamknięci w ciemnym starym kościele, gdzie coraz więcej ich przybywało, skazani na śmierć niechybną Polacy, klękali u stóp zakonników, spowiadając się ze swoich grzechów; idąc walczyć za świętą sprawę, chcieli być czystymi.

Pomiędzy spowiadającymi się, byli synowie majętnych rodziców, biedni wieśniacy, żołnierze i urzędnicy, artyści i studenci, panowie i słudzy.

Skoro otrzymali rozgrzeszenie, wszyscy byli chrześcijanami, ludźmi wolnymi i równymi w obec Boga i w obec ojczyzny; uklękli u stóp Ołtarza, zrezygnowani i w skupieniu ducha, i msza św. się rozpoczęła.

Była to chwila kiedy szpieg udając pijanego, upadł na śnieg, przed drzwiami kościoła; nie modlił się, czatował na zdobycz i obliczał cenę, jaką mu jej schwycenie przyniesie.

Już wiemy jak Narbut zniweczył jego zamiary; gorący patryota, mógłby zdeptać podłego węża, lecz był jednym z tych, którzy się bronią a nie mordują; więc mu darował życie, swoje narażając.

Potem, oczyściwszy się z grzechów, ukląkł wraz z braćmi przed ołtarzem Tego, Który rzekł: ,,Chodź-

cie do mnie, wszyscy nieszczęśliwi, a ja was pocieszę”, — i razem z wszystkimi otrzymał Chleb życia.

Po skończonej boskiej Ofierze, podali sobie ręce po raz ostatni i rozeszli się. W dwadzieścia minut później, oddalali się od Warszawy.

Narbut nie opuścił miasta; chciał, chociażby przyszło zginąć, wznieść pierwszy okrzyk: Do broni!

Przedewszystkiem chciał ocalić rekrutów.

Zajęty ważnemi sprawami, zapomniał o gadzie leżącym na śniegu.

Sznury, któremi skrępowano nogi i ręce Krapułowa, były silne; szpieg nigdy nie byłby w stanie, sam ich rozerwać, a mając usta chustką zatkane, nie mógł wołać o pomoc.

Już mróz go przejął do kości, gdy patrol nadeszła. Stękanie zwróciło jej uwagę. Jeden z żołnierzy przeciął jego więzy.

Natychmiast Krapułow zaczął trzeć śniegiem ręce i twarz dla wznowienia cyrkulacyi krwi; potem, zapewniwszy się że nie jest zmarzniętym ani rannym, badał starannie oczywisty dowód spisku, chustkę, którą mu usta zawiązano.

W pierwszej chwili, myślał ją złożyć na policyi jako świadectwo zbrodni, widząc jednakże że jest prawie nowa a do tego jeszcze jedwabna, wpakował ją do kieszeni, mrucząc pod nosem, że mu przyniesie dochodzik.

Zawsze to było zarobkiem.

Co zaś do kopnięcia nogą jakie otrzymał, nie myślał o tem więcej, już sam tyle razy skopał swoich

podwładnych i tyle otrzymał od swoich naczelników, że jedno więcej lub mniej kopnięcie, nie robiło dla niego żadnej różnicy.

Narbut po wyjściu z kościoła poszedł do tajemnej drukarni, dopilnować drukującej się odpowiedzi na artykuł namiestnika, ukazać się mający w gazecie rządowej; agent policyjny poszedł denuncyować patryotów.

Liczył wiele na swój raport; naprzód, marzył o szybkim awansie, następnie, cieszył się nadzieją powiększania swoich dochodów, gdyż nie wątpił, że jako następstwo tego co powie, pozwolą mu nachodzić domy prywatne.

Nieszczęściem, namiestnik nie raczył mu nawet powierzyć łupieztwa kościoła, gdzie miał nadzieję ściągnąć kilka złotych krzyżów lub kielichów; lecz jako wynagrodzenie za trwogę i trudy, specyalnie mu Excellencya polecił uwięzić profesora muzyki.

— Bez wątpienia, pomyślał sobie, buntownik ukrył się w jakim majętnym domu; a jeżeli go nie znajdę, tem lepiej, będę szukał w innym, a zawsze się obłowię.

To dowodzenie nie było bez racyi. Wyszedłszy z mieszkania Narbuta gdzie znalazł parę zeszytów nut i portret cara z wydartem okiem i poszarpanym policzkiem, poszedł do sklepu zegarmistrza w tym samym domu odbyć rewizyę, i jeszcze do trzech innych prywatnych domów zaszedł.

Parę garści rubli, cztery czy pięć zegarków, tabakierkę i pokrywę srebrną, jak swoje, schował do

kieszeni; rozumie się, że i generał, tak uczciwy jak jego przewodnik, również naładował cudzym towarem swoje kieszenie. I gdy tak dwaj dostojnicy idą Zielonym placem, spostrzegli wśród licznej grupy ludzi Frantza Mullera, w jego własnej osobie, zdzierającego dopiero co przylepiony przez policyanta afisz rządowy.

Ściganie natychmiast się rozpoczęło.

Na placu zapełnionym straganami, workami ze zbożem, główkami kapusty i zamrożonemi rybami, szybki bieg nie był bardzo łatwym, tembardziej, że Polacy chcąc przyjść w pomoc uciekającemu, pod pozorem zrobienia ścigającym miejsca, ustępując, zawadzali kozakom; zdyszany i zziajany gruby generał, zaledwie mogąc nadążyć, klął na czem świat stoi, torując sobie drogę pałaszem pomiędzy straganami.

Zwinniejszy Krapułow i zachęcony przez generała dziesięciu rublami, roztrącał ludzi, wrzaskiem kierując polowaniem.

Narbut miał pod mundurem dwa nabite pistolety, lecz chcąc ich użyć dopiero w ostatniej chwili, starał się tymczasem uciec. W tym celu zwrócił się nagle ku straganom, przeszkoczył przeszkody, a w ten sposób, nie tylko że oddalił się od swoich napastników, ale zniknął im z oczu, zmusił ich do zwrócenia się w inną stronę. Śmiały ten manewr, przynajmniej na pierwszy rzut oka, zdawał się rozsądnym, rozproszył bowiem moskali i oddalił ich od Kazimirowskiej ulicy, o co mu głównie chodziło.

W pierwszej chwili zdawało mu się że dopiął swego i przeskoczywszy wóz naładowany, uciekał w zamierzonym kierunku, kiedy naraz, spostrzegł przed sobą Swìnina z pistoletem w ręku, jak admirała na pomoście okrętu, stojącego na stole straganiarki.

— Zdrajco! ryknął generał, mierząc z pistoletu.

Gdyby Narbut mimowolnym ruchem nie schylił głowy, byłby zgubionym, kula świsnęła mu koło uszu i spłaszczyła się na bruku.

Ach! suki synu! krzyknął generał celując powtórnie.

Lecz tą razą nie zdążył wystrzelić: Narbut cisnął w niego ogromną głowę kapusty, pod której uderzeniem zachwiał się gruby generał i stracił równowagę, skutkiem przechylenia się ławy stojącej na kupie świeżo narzuconego śniegu.

Biegiem charta przyleciał Krapułow pomódz godnemu swemu naczelnikowi; lecz ciężki generał pociągnął go za sobą i obadwa upadli przy brzęku spadającego ze stołu żelaztwa; oślepieni śniegiem, a sądząc każdy z nich, że ma urojonego przed sobą wroga, ściskali się za gardła.

Wreszcie Krapułow kosztem swego surduta, zdołał wyrwać się z rąk naczelnika; ale gdy powstał już było zapóźno.

Narbut o jakie piećdziesiąt kroków przed nim, zapuszczał się w Kazimirowską ulicę.

— Do mnie! do mnie! krzyczał szpieg, mamy go; otoczyć dom Nr. 34.

Dom pod Nr. 34 był opuszczoną ruderą, poprzecinaną wązkiemi i ciemnemi korytarzami, wychodzącemi na puste zaułki. Przetrząśli go kozacy, nic nie znaleźli: nikogo nie aresztowali, nic nie ukradli. Gdy nadchodzący generał spostrzegł swego psa gończego ze spuszczonym nosem na kwintę, zapytał:

— Masz go?

— Nie, excellencyo, znowu wymknął się ten pies, mruknął zbir.

— To ty jesteś psem, bałwanie! Bo gdybyś mnie nie był zepchnął ze stołka, byłbym mu oberwał uszy.

— Ależ, excellencyo, przeciwnie, wszak ja pomagałem panu.... O jej! excellencyo! o jej!.... Miej litość nademną!.... O jej! o jej.

Swinin wziąwszy nahajkę z rąk kozaka, bił go z całej siły; bił długo, bił, dopóki nie zmęczył się.

W całym przebiegu swojej administracyjnej karyery, nie przypominał sobie Krapułow, aby kiedy otrzymał podobną gratyfikacyę. Długi czas nosił jej znaki i kulał przeszło dwa tygodnie.

Nieszczęście jednakże zawsze idzie w parze; w urwanej pole surduta była kieszeń napełniona skradzionemi z rana rzeczami, a to mu przepadło.

Tego samego jeszcze wieczora wrócił do Piotrkowa, przysięgając sobie, chociaż trochę zapóźno, nie wdawać się więcej z generałami, gdyż obcowanie z nimi nie zawsze jest korzystnem.

O Narbucie więcej nie było mowy.

Nazajutrz widziano na targu wieśniaka z długą brodą, w kożuchu i w sandałach, sprzedającego za-

mrożone ryby. Codziennie, przez cały tydzień, widywano go na tem samem miejscu, liczącego zarobione grosze, które następnie zawijał w szmatę.

Wieczorem 28, zabrał swój towar i nie powrócił więcej. Tego samego dnia, około piątej godziny, młoda wieśniaczka zrobiła kredą krzyż na drzwiach dawnego mieszkania Narbuta.

Moskale chcieli wywołać powstanie; wkrótce jednakże spostrzegli się, że nie zupełnie dopięli celu. Albowiem do powstania poszła nietylko młodzież, korzystając z ciemnych nocy, ale i ojcowie rodzin, wysłużeni oficerowie, ludzie doświadczeni, a nawet i Rosyanie opuszczali miasto aby się złączyć z powstańcami. Jedni szli ku Błoniom lasami; drudzy zbierali się pod Serockiem pomiędzy Bugiem a Narwią; inni zaś w okolicach Łomży.

Kosynierzy na wezwanie Chuski opuścili swoje góry i zebrali się w lasach Łowickich, śpiewając „Boże coś Polskę!"

Był to najpierwszy oddział uorganizowany i najpierw był ścigany. W nocy z 23 na 24 Stycznia, mieszkańcy Piotrkowa, słyszeli naprzód gdzieś w oddali silny ogień karabinowy, potem coraz bliżej i bliżej miasta, a w godzinę później, wpadli do miasta przerażeni grenadyerzy z pułku Murowa, bezbronni, niosąc na zrobionych na prędce noszach, ciało swego pułkownika.

Dzielni górale Chuski odniosłszy pierwsze zwycięztwo, dodali ducha Polakom. Walka rozpoczęta w okolicach miasta, skończyła się prędko. Moskale

zapoznawszy się z wieśniaczemi kosami, rzucali broń, ratując się ucieczką.

„*W całej guberni płockiej i w samem Płocku były krwawe starcia. Pod Ciołkowem całą noc trwała bitwa i z obydwóch stron, dużo było rannych. W tym samym czasie walczono pod Radzyniem, na Podlasiu i w okolicach Łomży.

Oddziały formowały się z robotników, z właścicieli mniejszych posiadłości, z rolników, studentów, i przybierały rozmaite nazwy: Narbut dowodził Dziećmi Rozpaczy, Chusko Kosynierami z nad brzegów Pilicy; inni Krakusami, Sandomierskimi Strzelcami, Obrońcami Częstochowy i t. p. Każdy z tych małych partyzanckich oddziałów, uzbrojony w karabiny, fuzye, lance, kosy, a nawet i kije, działał na swoją rękę; o armii narodowej nie można było jeszcze marzyć. Oddziały te, przenosząc się szybko z miejsca na miejsce, myliły wrogów nocnemi marszami, robiły zasadzki, rozbrajały pojedyńcze posterunki, i naraz znikały, nie zostawiając śladu po sobie. Polacy mając liczniejszego i dobrze uzbrojonego wroga przeciw sobie, często musieli się rozpraszać, aby znowu natychmiast zebrać się w innym, umówionym punkcie.

W obec tych Polaków, tych Padleców, jak ich nazywali kozacy, armia moskiewska znalazła się w położeniu lwa, niepokojonego przez komary. Napróżno jej liczne kolumny za nimi się uganiały.

---

* Prawdziwe; z raportów rosyjskich.

Namiestnik, obawiając się zanadto skompromitować w obec swego rządu, z powodu onej nocnej branki, która rzeczywiście wywołała powstanie, wściekał się z gniewu. Co zaś do Swinina, od czasu ucieczki Narbuta, gniew jego nie miał granic.

Po zrabowaniu Bernardyńskiego kościoła i uwięzieniu zakonników, posłano natychmiast telegraficzną depeszę do Petersburga. W tej depeszy, pisanej przez sprytnego Iwana, jednego z redaktorów urzędowej gazety warszawskiej, namiestnik, przekręcając fakta, mówił o silnem wzburzeniu w Warszawie, o carskich żołnierzach pomordowanych przez hordy zbójów, i o potrzebie dania surowego przykładu niegodziwym mordercom podburzanym przez komitet rewolucyjny.

Nie trzeba było więcej.

Natychmiast przyszedł rozkaz zgnieść powstanie i przestrachem powstrzymać rozwój onegoż.

Był to wyrok śmierci wydany przeciw całemu narodowi. Europa byłaby się nim oburzyła i zaprotestowała, gdyby była znała prawdę.

Rząd rosyjski zasłonił się niegodziwemi kłamstwami, przeciw powszechnemu potępieniu.

Europa tym kłamstwom uwierzyła i nie zaprotestowała.

Nie tylko Iwan umiał tworzyć oszczerstwa.

Dnia 25. Stycznia 1863 r., w dzienniku urzędowym petersburskim, zjawił się następujący artykuł:

„[1]W Warszawie, w nocy z 24, prawie wszystkie posterunki zostały zaatakowane. Żołnierze na wartach zostali pomordowani; lecz oddziały natychmiast, na rozmaite punkta rzucone, uśmierzyły rewolucyę. Wojsko poniosło straty w trzydziestu zabitych i dziewięćdziesięciu rannych. Partya rewolucyjna w Warszawie, chciała urządzić noc *Św. Bartłomieja* (to znaczy: wyrznąć moskali). I rzeczywiście, 22 i 23, były zaburzeuia w kilku prowincyach; napadnięto niespodzianie żołnierzy w garnizonach i śpiących pomordowano. Pod jedną wioskę, którą żołnierze dzielnie bronili, podłożyli powstańcy ogień, etc . . . .

— No, przecież! wykrzyknął uradowany Swinin, czytając manifest w kasyno oficerskiem Paszkiewicza, tą razą, mamy ręce wolne i białą kartę, zostawioną do działania. Panowie, oficerowie, będziecie mieli sposobność zemścić się za obrażony honor Rosyi.

I nie wypiwszy swojej piołonówki, pobiegł do pałacu gubernatora.

Jego excellencya rozpromieniony, przyjmował w przedpokoju życzenia generałów.

Pomimo dobrej chęci, nowoprzybyły nie byłby w stanie przecisnąć się przez tę kohortę oficerów w błyszczących mundurach, gdyby namiestnik nie kiwnął nań ręką, aby się zbliżył.

Był to znak łaski; rozsunął się tłum z szacunkiem by zrobić miejsce szczęśliwemu faworytowi, który

1 Te kłamstwa były rzeczywiście przez moskali głoszone.

wyciągniętą ku sobie rękę pana okrył pocałunkami. A potem ucałował buty zwierzchnika.

— Panowie, rzekł namiestnik, z majestatyczną powagą, w nader ważnych okolicznościach w jakich dzisiaj znajdujemy się, widząc nieprzyjaciół publicznego pokoju śmiało podnoszących głowy i otwarcie buntujących się przeciw ojcowskiej władzy rządu, który, aby nie karać, długi czas zamykał oczy na ich niegodziwe machinacye; dzisiaj, jestem szczęśliwy, widząc was wszystkich zebranych w około mnie, spieszących bronić podminowanego porządku publicznego i złożyć świadectwo nieograniczonego przywiązania do poświęconej osoby cesarza i świętej sprawy Rosyi.

Zatrzymał się chwilę by nabrać tchu, zobaczyć jakie wrażenie sprawiła jego przemowa i zarazem rzucić okiem na papier, na którym ręka Iwana wypisała ową świetną improwizacyę.

Z ochotą daliby mu słuchacze huczne oklaski, lecz przez szacunek, nie śmieli przerwać mowy.

,,Posunięte za daleko miłosierdzie staje się słabością, mówił w dalszym ciągu namiestnik, i oszczędzając buntowników niegodnych przebaczenia, Najjaśniejszy Pan zrozumiał wyższym swoim umysłem, że naraża na największe niebezpieczeństwa, swoich wiernych poddanych.

,,Czyż potrzeba więcej wam mówić? wszak sami znacie, panowie, tak dobrze jak ja, — synowie tej piekielnej machinacyi, nie życzą sobie nic więcej jak

tylko otoczyć wszystkich Rosyan, znajdujących się w Polsce, i wyrznąć ich.

Generałowie schylili głowy na znak zgadzania się z mówcą.

,,W tych więc okolicznościach panowie, miłosierdzie winno ustąpić miejsca sprawiedliwości, a Jego Majestat, oświecony moim raportem o ostatnich wypadkach, nauczony świeżemi zamachami Polaków, i uwiadomiony o niebezpieczeństwach, z których jedynie Opatrzność wyrwać was zdołała w nocy, podczas branki do wojska, raczył odezwać się do waszego męztwa i do waszego poświęcenia się dla Jego osoby.

Ostatnie słowa tak się podobały generałom, iż pomimo winnego szacunku dla przedstawiciela autokraty wszech Rosyi, cała kohorta jak jeden człowiek krzyknęła: Niech żyje cesarz!

Hurra, wykrzyknięte jednogłośnie, mogłoby zdziwić niejednego w innym kraju; lecz w armii rosyjskiej jest częścią mustry, i uczą tego w każdej szkole plutonu.

Jego Excellencya, chociaż nauczony doświadczeniem o wątpliwej szczerości podobnej manifestacyi, udał że jest do łez wzruszony. Potem, racząc spuścić nieco z tonu, zakomunikował swoim podwładnym rozkaz dzienny, który miał być czytany we wszystkich koszarach, oficerom i żołnierzom.

Ten rozkaz dzienny, inaczej mówiąc, nowy rodzaj ohydnego prześladowania Polaków, był właściwem wypowiedzeniem wojny.

Krew miała płynąć strumieniami w nieszczęśliwej Polsce.

Tego samego dnia, kowale wzięci przez kozaków gwałtem ze swoich warsztatów, zostali zaprowadzeni na dziedziniec cytadeli warszawskiej.

Na podwórzu leżały już przygotowane kajdany krótkie, lecz silne i ciężkie, kowadła i młoty.

Przed każdem kowadłem stało dwóch robotników z zawiniętemi rękawami i z młotem w ręku; żołnierze z osadzonymi na lufach karabinów bagnetami, otoczyli ich.

Przygotowywano zsyłkę ochotników do wojska.

Po dwóch przyprowadzano do kowadła: jednego z prawej, drugiego z lewej strony. Dobrowolnie lub zmuszeni siłą, nieszczęśliwi wkładali dłonie w rozwarte ogniwa kajdan i kładli je na kowadle.

Jeden z kowali zamykał ogniwo a drugi je nitował. A gdy parę okuto, wprowadzono ją w czworobok żołnierzy, a dwie inne ofiary popchnięto naprzód.

Jedni z nieszczęśliwych rekrutów bierne okazywali posłuszeństwo, drudzy płakali z wściekłości lub bólu, a inni opierali się z gniewem.

Kilku młodych oficerów przyglądało się tej robocie z ciekawą złośliwością; palili papierosy, gwarząc o kobietach, koniach i teatrze. Starsi wiekiem, ogłupieni długą służbą, z niecierpliwością oczekiwali końca operacyi, pragnąc pójść jak najprędzej na piołunówkę.

Co zaś do żołnierzy, ci byli posłuszni, ot, i to wszystko.

Wewnątrz cytadeli, słychać było sztuk uderzanych w takt młotów, grobowy brzęk kajdan, wrza-

ski i przekleństwa policyanłów bijących nieszczęśliwych.

Na zewnątrz, pod bramą, starcy, kobiety i dzieci stojąc na mrozie i wietrze, płacząc, modlili się; śnieg padał dużemi płatami; na stoku obmarzłej cytadeli, w około wesoło buchającego ogniska, pomiędzy bronią ustawioną w kozły, biwakowała sotnia dragonów, w podróżnej odzieży. Konie stały przywiązane do płotu.

W bogato umeblowanym saloniku, jego excellencya namiestnik w jedwabnym szlafroku, paląc turecką fajkę, raczył rozmawiać ze Swininem, gdy tymczasem generał-oberpolicmajster Muchanow, pracował przy stoliku w pocie czoła, przysposabiając nowy ohydny ukaz, pod imieniem reguł. Chwilami przerywał pracę, sypiąc podchlebstwami swemu naczelnikowi, rozkoszującemu się we własnem opowiadaniu.

— Czy będziesz wieczorem w teatrze, mój drogi? zapytał go namiestnik.

— Prawdopodobnie, nie, excellencyo; muszę tych djabłów ochotników wyekspedyować, a potrzeba, jak pan wiesz, mieć nad nimi oko.

— Jakto, nie są jeszcze w drodze? już siódma dochodzi.

— Jeszcze nie; jest ich więcej niż myślałem.

— Dwustu, ja myślę?

— Tak, dwustu; jest to liczba prawem przepisana, lecz jak pan wiesz, excellencyo, w drodze niektórzy umierają, przez ostrożność więc, kazałem z tu-

zin par dodać. To trochę oczyści miasto, i liczba rekrutów będzie rzeczywistą.

Ucieszony tym dowcipem namiestnik, powiedział:

— O ile więcej ty złapałeś, o tyle z pewnością Swinin każe rozstrzelać.

— Ba! odpowiedział generał, robię to samo co i Aleksander Muchanow, Polaków nie rachuję.

— Sądzę, przerwał oberpolicmajster, że pan poprowadzisz rekrutów?

— Nie, nie, Bogu dzięki, major Gregory ich poprowadzi, i zapewniam pana, że podczas obecnych mrozów, nie mam najmniejszej chęci spacerować po śniegu, aż do Moskwy.

— Nie będzie im tam ciepło, padlecom, z wesołym śmiechem, rzekł oberpolicmajster, dobre wydałem rozkazy. Lecz to mnie dziwi, iż pan, generale, nic z tem nie masz do czynienia?

— Ja, rzekł Swinin pokręcając wąsa, będę polował w lasach.

— Z czterema tysiącami harcowników, kozaków, lub dragonów, by wytępić zwierzynę, rzekł namiestnik.

— Ej, mój drogi, radbym mieć z sobą pułkownika Korf[1] dodał złośliwie generał. Wystaw pan sobie, ten gałgan ośmielił się ująć za Polakami w kasyno Paszkiewicza.

---

1 Pułkownik Korf był szlachetnym człowiekiem, ludzkim i sprawiedliwym. Ojciec zaś jego generał Korf był okrutnikiem i wrogiem Polaków,

— Wobec pana?

— Tak w obec mnie, bałwan; posłałem go do aresztu, lecz to nie dosyć, pragnę go wziąść z sobą, aby swojemi białemi rękami, upiekł z kilkunastu swoich dobrych przyjaciół.

— Dobrze, rzekł namiestnik, pozwalam ci zahartować jego serce. I zbliżając się do okna zawołał:

— Trębacze! panowie, trębacze! prowadzą rekrutów, salutują nam przechodząc.

Byli to oni w istocie.

Dwunastu kozaków z pikami do ataku, stanowiło przednią straż żałobnego orszaku, potem szło czterech dragonów z błyszczącemi trąbkami w ręku, major Gregory pomiędzy dwoma rotmistrzami i po plutonie kozaków i dragonów.

Przechodząc obok pałacu, trębacze zatrąbili a oficerowie salutowali szablami.

— Biedny Gregory, za godzinę będzie miał nos zmarznięty, żartował sobie namiestnik.

— Za dziesięć minut wsiądzie do swoich sanek i okryje się ciepłą skórą niedźwiedzią, pomyślał sobie Muchanów; jego żołnierze są bardziej godni pożałowania.

— Ach! otóż i nasi drodzy popisowi, wykrzyknął Swinin; smutne mają miny i brakuje im trochę zapału.

Zamiast dwustu było ich rzeczywiście dwustu dwudziestu czterech; formowali długą linię albo raczej niezmierne grono, ponieważ przez ostrożność, pomiędzy ofiarami po dwóch zakutemi w kajdany, przeciągnięta była długa żelazna sztaba od jednego

do drugiego końca kolumny, do której był przymocowany wóz z pakunkami. Musieli więc oprócz kajdan dźwigać sztabę i ciągnąć wóz.

Podwójny szereg dragonów zamykał kolumnę rekrutów, a za nimi zaraz jechało pięćdziesięciu kozaków uzbrojonych w szable, piki, fuzye i nahajki.

Ciężkim i regularnym krokiem postępowała żałobna procesya pustą zupełnie ulicą, gdyż już wybiła godzina, o której bez specyalnego pozwolenia, nikomu nie wolno było chodzić po ulicach. Kilkanaście niewiast szło za orszakiem: były młode, parę z nich niosło na rękach nowo narodzone dzieci, zawiniątko na plecach i pielgrzymi kij w ręku. Dzielne Polki, nie chciały się rozłączyć z mężami, wleczonymi na wygnanie.

Nie płakały, szły podtrzymywane religią, obowiązkiem i miłością; szły na wygnanie nie oglądając się, bez szemrania, bez skargi; wiedząc, że muszą walczyć z zimnem, z głodem, z nędzą i znużeniem w przerażającej, bo dziewięcio-miesięcznej podróży, bez innego wypoczynku jak na śniegu i deszczu, stać pod drzwiami więzień służących jako etapy rekrutom, bez żadnych innych źródeł do życia jak jałmużna częstokroć niewystarczająca.

Matki, płakały u stóp świętych obrazów w zrabowanych i pustych swoich domach; nie spodziewały się już więcej zobaczyć swoich synów, a surowo im wzbroniono pójść z nimi na wygnanie.

Przechodząc przed balkonem pałacu namiestnika, Polacy zdjęli czapki.

— Doskonale excellencyo! oni się panu kłaniają, wykrzyknął zdumiony Swinin; ja myślę doprawdy....

Okrzyk: Boże zbaw Polskę! trzy razy powtórzony, zagłuszył głos generała.

Nie mogąc odpowiedzieć inaczej na tę zuchwałą manifestacyę, Swinin pogroził buntownikom pięściami.

Spokojniejszy, przynajmniej pozornie, zwrócił się namiestnik z uśmiechem do Muchanowa.

— A teraz kiedy już poszli, chodźmy do teatru; już w pół do ósmej.

— Na wasze rozkazy excellencyo.

Bagratiew przewyższyła się tego wieczora, nigdy jeszcze tak dobrze nie tańczyła. Generałowie i oficerowie zarzucili ją deszczem kwiatów, lecz Frantz Muller nie napisał nazajutrz w kronice teatralnej, o świetnem powodzeniu tancerki.

* * *

Ze stu ludźmi, uzbrojonymi w karabiny i kosy, obozował Narbut dwie mile od Warszawy, w śniegu, na kraju lasu, pomiędzy drogą idącą z Warszawy do Modlina i Wisłą, pokrytą lodem.

Otaczająca go młodzież nie myślała o tancerce Bagratiew, przyszła tu umrzeć a nie bawić się, i nazywała się *Dziećmi Rozpaczy*.

Przytuleni jeden do drugiego aby się rozgrzać, po kolana w śniegu czekali, nieporuszeni i milczący.

Było pomiędzy nimi kilku Francuzów. Jeden z nich stary żuaw z Algieryi, imieniem Deodat, był doskonałym i równym Narbutowi strzelcem.

Kilku partyzantów na łyżwach, pełniło służbę adjutantów i na zwiadach.

Około dziesiątej, śnieg przestał padać i księżyc wydobywszy się z za chmury, oświecał pole.

Żałosny głos sowy dał się słyszeć na wierzchołku jodły, na który drugi zaraz odpowiedział.

Pikieta cofnęła się do lasu. W oddali na szerokiej drodze przecinającej bór, widziano niepewną i ciemną massę.

Ta niewyraźna massa zbliżała się wolno; od czasu do czasu, słychać było parskanie koni i błysk kozackich pik tu i owdzie.

Partyzanci pokładli się na ziemi, kryjąc w śniegu ostrza kos, aby ich nie zdradziły.

Sam tylko Narbut stał pod jodłą.

Jakiś cień zbliżył się do niego; był to tyralier.

— Polska! rzekł pół-głosem Narbut.

— Trzy oddziały, odpowiedział partyzant, stu ludzi w tylnej straży, więźniowie w środku, pomiędzy dragonami; nie można strzelać.

— Dobrze, rzekł naczelnik, jak długi jest konwój?

— Cztery wiorsty.

Drugi tyralier przybiegł i potwierdził wiadomości udzielone przez pierwszego.

— Komendant, dodał, jest w tylnej straży, w swoich sankach.

— Deodat! zawołał pół-głosem Narbut.

Żuaw podniósł się z ziemi.

Weź dwudziestu pięciu tyralierów i zrób zasadzkę na pięćdziesiąt kroków przed kosynierami; ja stanę pięćdziesiąt kroków za nimi. Nie strzelaj póki ja nie zacznę, i pal tylko do przedniej straży, gdyż nasi bracia są w środku kolumny.

Natychmiast rozkazy spełniono; dziesięć minut upłynęło.

Widety kozackie, rozmawiając głośno, przeszły o pół strzału pistoletowego.

Major Gregory, niespodziewając się żadnego niebezpieczeństwa, leżał w sankach skórą niedźwiedzią przykryty, i czytał romans przy świetle małej latarki.

W tylnej znowu straży, rotmistrz kozaków, sprzeczał się ze swymi oficerami o zasłudze cywilizacyjnej baletnic warszawskich, i przeklinał psów Polaków, że nie przyszli do teatru kiedy w balecie występowała księżniczka Tyflisu.[1]

Szczęściem, że nasz oddział odprowadzi więźniów tylko do Modlina, rzekł kapitan dragonów, mróz tnie doskonale, a pojutrze....

— A kto pana zapewnił, że jutro będzie pańskie? zapytał rotmistz.

— Bóg i Polska! krzyknął niespodzianie jakiś głos potężny.

I przy czerwonawem błysku wystrzału, poprzedzonym hukiem, stanęli jakby fantastyczne widmo, Narbut i jego towarzysze.

---

1 Od czasu rzezi w Warszawie, Polacy obchodząc żałobę narodową, nie chodzili do teatru. Rząd, dla zapełnienia sali teatralne, kazał bezpłatnie wpuszczać żołnierzy.

Rotmistrz kozaków, trzech oficerów i kilkunastu dragonów, spadli z koni uderzeni śmiertelnie, z luf prawie dotykających ich piersi.

Nim przerażeni moskale pomyśleli o obronie, powtórne strzały zrobiły zamieszanie w przedniej straży i kosynierzy z okrzykiem: Bóg i Polska! Śmierć katom! jak huragan uderzyli na konwój.

W jednej chwili, przerażeni kozacy, rzucając długie piki, uciekali przez pola. Dragoni, pomimo iż wielu swoich oficerów stracili i pomimo ciężkich płaszczów przeszkadzających im w ruchach, dotrzymali placu.

Opuściwszy więźniów których nie byli już w możności pilnować, obstąpili swego majora maszerującego pieszo przeciw nieprzyjaciołom, z szablą w dłoni i z okrzykiem:

— Do mnie, dzieci! niech żyje cesarz! zmiećmy tę hołotę!

Lecz ta hołota trudną była do zmiecenia.

Wstrzymani długiemi kosami okrutnie przeszywającemi na wskroś ludzi i konie, dziesiątkowani przez morderczy ogień strzelców, dragoni, otoczeni ze wszystkich stron i atakowani przez rekrutów uzbrojonych w piki kozackie, musieli się poddać.

Nie shańbił się major, legł jak żołnierz na polu bitwy, z szablą w dłoni i z twarzą zwróconą ku nieprzyjacielowi.

Zwycięzca Narbut, odebrawszy dragonom konie i broń, darował im życie.

W kwadrans potem, partyzanci znikli w gęstwinie leśnej, unosząc z sobą zabitych i rannych towarzyszy.

O świcie, silna kolumna moskiewska pod rozkazami pułkownika Nazikow, przybyła na teatr pierwszej bitwy wydanej przez Narbuta wrogom ojczyzny, lecz najmniejszego śladu powstańców nie znalazła; śnieg wszystko przykrył, jedynie tu i owdzie, pod białym jego płaszczem lekkie wzniesienie, wskazywało, że trup tam leży.

Naliczyli ich moskale trzydzieści trzy.

W rowie otwartym obok drogi do Modlina, pomiędzy jedenastą a dwunastą wiorstą, znajdują się ich kości.

A pół mili dalej, w lesie, pod stopami krzyża, spoczywa dwóch Polaków, poległych w boju.

Narbut dotrzymał słowa Elżbietce, uwolnił górala.

Nazajutrz Szczepan z żoną, na jednym koniu, przyjechali do Atrady.

Swinin na czele silnej kolumny wojska, kierował się w tę samą stronę.

Namiestnik wściekły że konwój rozbito, polecił generałowi jak najsurowszych użyć środków.

Dla Swinina zbytecznem były takie rozkazy.



X.

Moskiewska sprawiedliwość.



Nie bez powodu mianował namiestnik generała Swinina prezesem sądu wojennego w Radomiu, i komendantem wojsk rosyjskich w gubernii.

Nie było żadnej łaski w tym wyborze; zasługi generała przemawiały za nim.

Bo jeżeli nie posiadał żadnych zdolności wojskowych, jeżeli męztwo jego było podejrzanem, to znowu z drugiej strony, trudno znaleźć było człowieka brutalniejszego, podlejszego niewolnika, nikczemniejszego i najgłupszego wroga Polaków, któremu, można było z największą pewnością że usłucha, powierzyć misyę uspokojenia prowincyi gwałtami, niesprawiedliwością, kradzieżą i rozbojem.

W sztabie moskiewskim w tych czasach, można było rzeczywiście odróżnić niektórych wyższych oficerów ze szczególniejszemi przymiotami: Murawiew — wieszał, Berg — rozstrzeliwał, a Anenszow—palił ludzi; wszyscy więc zasłużyli się Jego Cesarskiej

Mości, lecz z pomiędzy oficererów niższych, Swinin przeszedł wszystkich w okrucieństwie.

Jego nominacya w nikim zazdrości nie wzbudziła. Polska była wielką a Polacy liczni, było więc dosyć posad do objęcia naraz, dla wykonawców wyższych rozkazów.

Już od długiego czasu ośmdziesiąt tysięcy moskali w Polsce pracowało, a dzienniki codziennie donosiły, że robota nie jest ukończoną.

Ach! gdyby naród polski miał tylko jedną głowę!

Szczęśliwym czuł się Swinin gdy otrzymał patent, mocą którego mógł bezkarnie męczyć i rabować Polaków; żądał upoważnienia i otrzymał je. W pierwszej chwili szalał z radości; potem pobiegł ucałować ręce Jego Excellencyi, i otrzymać ostatnie jego instrukcye.

Te instrukcye nadzwyczaj były zrozumiałe dla wszystkich dawców pokoju, od pojedyńczego kozaka aż do generał-poruczników, zawierały się one w trzech wyrazach:

Chłostać, grabić, zabijać.

Swinin nie był jednym z tych, którzy zapominają o podobnem poleceniu; przysięgał być posłusznym ojcowskim rozkazom najlepszemu z gubernatorów i żądał od niego jednej tylko łaski.

— Jakiej? zapytał namiestnik.

— Pozwól mi excellencyo wziąść z sobą pułkownika Korfa jako adjutanta.

— Strzeż się pan, generale, odpowiedział namiestnik, jest to oficer podejrzany, a nawet uwiadomiono mnie, że za bardzo łagodnie będzie występował przeciw powstańcom.

— Excellencyo, błagał Swinin, powierz mi go, a ja z niego zrobię żołnierza; zmuszę go do pracy, wszak przysłowie mówi: kując, staje się człowiek kowalem.

— Tam, do djabła, mój drogi, zaprzeczył namiestnik, wpadłszy w dobry humor, przecież ja nie żądam aby kuto Polaków, przeciwnie.

— Dlaczegóżby nie, excellencyo, jeżeli ich przepuścimy przez ogień by następnie zamiast młotem, spłaszczyć ich kolbą na kowadle?

— Coraz to lepiej, generale, widzę że dobrze jesteś usposobionym; idź, mój drogi, i kuj tyle ile ci się podoba.

Tego samego wieczora pułkownik Korf otrzymał zawiadomienie, że jest przydzielonym do kolumny generała. Nazajutrz, wojska opuściły Warszawę.

Piekielna kolumna, jak ją nazwał jej naczelnik, składała się z dwóch tysięcy żołnierzy, kawaleryi i piechoty, i z pół–bateryi artyleryi kozackiej.

Za kolumną postępowało pięć czy sześć próżnych furgonów, a jeden naładowany kajdanami i baryłką piołonówki, w którą generał na wszelki wypadek zaopatrzył się. Co zaś do próżnych wozów, były one niby to przeznaczone dla więźniów, a istotnie, dla przewiezienia do Warszawy sprzętów, zrabowanych u obywateli. Swinin zawsze żartowniś, mówił, że

byłoby niesprawiedliwem odmawiać więźniom pieszej przechadzki kiedy mają zdrowe nogi.

Pół wiorsty za tylną strażą piekielnej kolumny, jechało kilkanaście wozów, jedne za drugiemi, pokrytych rogóżkami, ciągnięte przez chude i wynędzniałe szkapy, o zagasłem oku, prawdziwe szkielety koni, prowadzone przez inne szkielety ludzkie, w długich, czarnych chałatach, zatłuszczonych i łatanych, z których kościste wyglądały głowy; ludzie ci mieli nogi poowijane szmatami, a na saniach buty pozwiązywane sznurkami, wódkę, zapasy herbaty, igły, nici i inne przedmiota przydatne dla żołnierzy podczas kampanii.

Najpierwszy, przewodnik tej zgłodniałej bandy, był nadzwyczaj szpetnym. Na chudej i wynędzniałej jego twarzy były ślady świeżych ran, a nabrzmiała i zeszpecona ogniem głowa, broda i brwi, podobne były do zakrwawionej kuli, z głębi której, dwoje zapadłych, zielonawych oczu, błyszczało chytrością, sknerstwem i nienawiścią.

Był to Abraham, bogaty jeszcze, pomimo iż dom mu zrabowano. Szedł za moskalami, osobistymi swoimi wrogami i swoimi katami, jak szakal idzie za lwem i tygrysem, bez wtrącania się do ich spraw, z uczuciem bojaźni by nie być pożartym i nadziei, otrzymania pozostałych resztek.

Każdy woźnica tej szczególniejszej bandy był kupcem; sprzedawał kozakom swój towar i nabywał od nich za bezcen zrabowane rzeczy; pod spodem wozów, były umieszczone niewidzialne skrzynki,

pełne prochu i kul dla powstańców, gdyby zostali zwyciężcami.

Abraham wszystkiego próbował; nie zważał że podobna podróż jest nużącą i niebezpieczną, byle tylko była korzystną.

Powstańcy nie myśleli o handlu. Porwali za broń, nie dla tego aby się z rabunku zbogacić jak kozacy, lub z handlu jak żydzi, lecz żeby stoczyć ostatnią walkę za świętą sprawę niepodległości ojczyzny.

O zwycięztwie nie podobna było marzyć.

Hańbiącego przebaczenia nie chcieli.

Jedynem ich życzeniem było umrzeć z chwałą, przygotowywali się też do boju jak pierwsi chrześcijanie męczennicy, przez modlitwę.

Sprawa ludu była sprawą Bożą; u stóp krzyży zatkniętych na wszystkich punktach tej nieszczęsnej ziemi, której każda piędź jest relikwią, błogosławili kapłani bronie.

Te bronie, były to po większej części siekiery i kosy, gdzie niegdzie karabiny, przemycane przez śmiałych patryotów, strzeleckie pojedynki w ukryciu przechowane, stare muszkiety wydobyte przed dwoma laty z pod stóp rozłożystego dębu, miejsca znajomego nie wielu osobom.

Nad brzegami Pilicy był zakopany jeden z takich zapasów, o którym tylko góral Jan, Szczepan i Chusko wiedzieli.

Były to karabiny i pistolety. A chociaż nie było w Polsce takiego obwodu, któryby nie posiadał swego

arsenału, nie było jednakże jednej nawet dobrej palnej broni dla dwudziestu żołnierzy.

Naczelnicy oddziałów rozdawali je najlepszym strzelcom, inni zaś, dzielili się kosami i siekierami.

Byli nawet tacy co nie mieli ani jednej ani drugiej. Grube kije były ich bronią.

Na dwie godziny przed bitwą pod Łowiczem, dziesięciu ochotników świeżo przybyłych do oddziału Chuski, nie miało innej broni jak kije. Moskiewski pułk Murowa z jedną armatą zbliżał się.

— Naczelniku, rzekł chłopiec piętnastoletni do Chuski, daj nam broń.

— Stańcie w pierwszym szeregu, rzekł dowódzca, macie kije i noże, nieprzyjaciel ma bagnety, idźcie po nie.

— Pójdziemy, dumnie wykrzyknęli chłopcy, i ze zdobytym bagnetem, zabierzemy armatę.

Bohaterska młodzież dotrzymała słowa. Z okrzykiem: Boże zbaw Polskę! rzucili się wraz z kosynierami na moskali. Ośmiu poległo, lecz jeden z pozostałych zagwoździł armatę gdy tymczasem jego kolega odebranym bagnetem grenadyerowi, ugodził śmiertelnie kanoniera w chwili, gdy lont przykładał.

Szalona ta odwaga zelektryzowała oddział.

Po skończonej bitwie, Chusko rozdzielał zabraną broń, pomiędzy swoich rycerzy.

— Nie chcemy jej, odpowiedzieli, potrzeba-by było naboi i czasu do nabicia, zostaw nam kosy, niemi, możemy pracować bez wytchnienia.

— A więc będzie ona dla tych towarzyszy, którzy się z nami połączą, rzekł Chusko.

Potem, pochowawszy poległych braci i nieprzyjaciół, oddalili się, zabierając broń i amunicyę.

Co zaś do jeńców wojennych, nie mogąc ich pilnować, uwolnili. W podobnych okolicznościach, moskale zostawszy zwycięzcami, nie uwalniali Polaków, wieszali ich i rozstrzeliwali, *jeżeli więzienie za nadto było oddalone*, często nawet bez tego powodu.

*
* *

Wyjąwszy Tadei bawiącej z synem za granicą, i Chuski przebiegającego z góralami okolice Warszawy, reszta rodziny Kirpowskiego mieszkała w Atradzie.

Nic się tu nie zmieniło, jedynie Włodzimierz, zawsze ostrożny i wszystko przewidujący, pewnej nocy, z dwoma synami i Cezarem, wyjechali sankami powożonymi przez Magnusa, w jak największej tajemnicy.

W tyle sanek była przyczepiona długa skrzynia dębowa w kształcie trumny; na przodzie, płyta kamienna z wyrzeźbionym krzyżem, dwa oskardy i dwie łopaty.

Pięciu ludzi, otulonych futrami, w czapkach zaciśniętych na oczy, jechało pogrążonych w głębokiem milczeniu. Służba spała już w domu, jedynie Marta czuwała.

Zamknąwszy jak najciszej bramę dziedzińca za ostatnim z tajemniczych podróżnych, weszła do swego pokoju,

Sanki oddaliły się bez hałasu i znikły w niewyraźnych cieniach lasu, przed którym pole śniegiem pokryte jaśniało.

O jakie dwie wiorsty za wioską, na rozdrożu, wznosił się czarny krzyż, smutny i opuszczony.

— Tam, rzekł Włodzimierz.

— Magnus wstrzymał konie, lejce obwiązał w około jodły i wziął jeden oskard.

Grzegorz, Cezar i Michał, wziąwszy pozostałe narzędzia, poszli za Kirpowskim do stóp krzyża.

— Do roboty, dzieci, powiedział, oznaczywszy miejsce.

Magnus i Grzegorz kopali ziemię oskardami, a Cezar z Michałem odrzucali ją łopatami; w krótkim czasie trzeba było podwoić siły, gdyż ziemia była zmarznięta.

W godzinę, dół był wykopany. Robotnicy spuścili trumnę, przysypali ziemią, dobrze udeptali, położyli ową płytę kamienną, i nasypali śniegu w taki sposób, aby wszelki ślad roboty zatrzeć.

— Nie zapomnijcie o miejscu i nie mówcie o niem nikomu, rzekł wówczas do synów Włodzimierz.

Podniósłszy ręce, odpowiedzieli:

— Przysięgamy.

— Znasz sekret Magnusie? dodał starzec.

— Znam, kapitanie.

— To dobrze, jedźmy.

— I wrócili do dworu, gdzie za dubeltowem w ganku oknem, Marta ich wyglądała.

Od owej fatalnej nocy, Chusko nie pokazał się w domu, wieści tylko dochodziły do Atrady, o jego zwycięztwach. W każdej chwili mógł zjawić się młody dowódzca; Cezar i szwagrowie z niecierpliwością go oczekiwali.

O Narbucie nic nie słyszano. Czy był zabity, więźniem lub ratował się ucieczką, nikt nie mógł powiedzieć. Niepokój opanował Martę, lecz dzielna dziewica kryła go w głębi serca.

Aby się coś o nim dowiedzieć, po kilka razy wysełała najzręczniejszych łyżwiarzy z Atrady, lecz, albo wcale nie wrócili, lub sprzeczne przynosili wieści.

Ta niepewność, ukrywana przed rodzeństwem, dręczyła ją niezmiernie.

Ostatnie zaś wypadki w Warszawie, i zniesienie pułku Murowa przez Chuskę, odurzały patryotyczną młodzież w Atradzie i w wioskach sąsiednich.

Zaraz na drugi dzień, po wysłaniu rekrutów do Modlina, Chusko zawiadomił kosynierów i strzelców zorganizowanych w okolicy Pilicy, aby byli gotowi.

„Moskale, pisał do Włodzimierza na zwitku papieru, w silnych kolumnach wychodzą z Warszawy drogą do Radomia; uważam na nich, postępując za nimi, z dzielnymi moimi góralami, i, jeżeli zboczą, jak nie wątpię do Atrady, przybędę prawie wraz z nimi. Unikamy obecnie bez korzystnej z nimi walki. Za kilka dni uścisnę was.

„Kosynierzy pozdrawiają swoich braci. Niech Bóg ma w Swej świętej opiece Polskę!”

W tym samym czasie, kiedy ten list czytano wszedł Magnus.

— Panie, Szczepan i Elżbietka pragną z panem, mówić.

— Marta z okrzykiem radości wybiegła do sieni, powitać mleczną siostrę.

— Twój narzeczony pobił moskali i uwolnił mego męża, zawołała Elżbietka, rzucając się jej w objęcia.

— Chodź siostro, chodź, mówiła Marta ciągnąc ją do saloniku. Chodź także Szczepanie; chodź, mój dzielny Magnusie.

Góral opowiedział o swojem uwolnieniu i o zwycięztwie naczelnika; Marta płakała z radości. Wszyscy z żywem zajęciem słuchali opowiadania Szczepana, podczas którego Marta ściskała ręce Elżbietki, a Magnus, z okiem zapłonionem, z zaciśniętemi pięściami, prostując się, odmładzał się opowiadaniem. Gdy Szczepan przyszedł do chwili, w której, powstańcy zerwawszy się na równe nogi, stanęli niespodzianie twarzą w twarz kozakom, a Narbut zakomenderował: Pal! i naprzód, marsz! starzec uniesiony zapałem, postąpił krok naprzód, krzyknąwszy:

— Boże zbaw Polskę!

— Niech żyje Polska! odpowiedziała młodzież.

— Niech Bóg błogosławi jej dzieciom! dodał Kirpowski.

Elżbietka również niektóre szczegóły opowiedziała o ucieczce Narbuta, o starcu sprzedającym ryby na Zielonym placu i o zsyłce rekrutów.

Każde słowo miało swoje znaczenie w tej smutnej historyi. Po skończonem opowiadaniu, podróżni zostali zarzuceni rozmaitemi pytaniami; zdawało się, że się obawiano aby czego nie zapomnieli.

— Co robi nasz naczelnik, Adam Chusko? zapytał Szczepan.

— Podobno iest w lasach Łowickich, odpowiedział Włodzimierz.

— I również pobili moskali, z kosami w ręku, zabrali im armatę, dodał Cezar.

— Ach, mój Boże! wykrzyknął góral boleśnie, moi towarzysze bili się bezemnie.

— Przybędziesz na czas, mój synu, rzekł smutnym głosem Kirpowski, wojna dopiero się rozpoczęła, i będą jeszcze krwawe bitwy.

— O, tak, ojcze, będą, bo polecił mi Narbut zawiadomić naczelnika, aby wszystkich patryotów zgromadził w Wąchocku.

— Dlaczego w Wąchocku a nie gdzie indziej? przerwał Grzegorz.

— Tego mi Narbut nie powiedział, odpowiedział Szczepan, i nie pytałem go o to. Rozkazuje, słucham. Jeżeli byś pan zobaczył Adama wpierw niż ja, powiedz mu to pan. Ja pójdę połączyć się z moimi braćmi.

— Jak to! nie odpoczniesz choćby jeden dzień? zapytał Michał.

— Bracie, jeżeli naczelnik ci powie: Idź, powiedz twemu dowódzcy że niebezpieczeństwo grozi braciom, czy odpoczywałbyś?

— Nie, rzekł Michał, spuszczając głowę, masz racyę.

— Czy Narbut także pójdzie do Wąchocka? zapytała Marta.

— Tak myślę, bo poszedł tą drogą; lecz nie znam jego zamiarów, odpowiedział góral, skłoniwszy się na pożegnanie.

Lecz Kirpowski go zatrzymał; prosząc i tłomacząc zarazem, że nim się znowu zapuści w lasy, wpierw musi koniecznie pcsilić się i odpocząć chwilkę.

Marta chciała Elżbietkę zatrzymać przy sobie.

— Nie, nie zostanę, odpowiedziała wieśniaczka, szłam za moim mężem na Sybir; teraz, moją powinnością jest pójść z nim do powstania.

— A co tam będziesz robiła?

— Będę pielęgnowała rannych, odpowiedziała.

— Dobrze, siostro! wykrzyknęła Marta, spoglądając na ojca; kiedy Polska jest w niebezpieczeństwie, tylko tchórze i zdrajcy zostają w domu.

— Nic nie odpowiedział Włodzimierz; bo już postanowił co ma czynić.

W godzinę potem, Szczepan i Elżbietka jechali przez pola, dążąc do Łowickich borów.

Droga była długa i niebezpieczna, lecz cóż to ich obchodziło? Dziedzic Atrady chciał im dać przynajmniej świeże konie, podziękowali, spiesząc się ze spełnieniem swojej misyi.

Kolumna moskiewska, przeciwnie, posuwała się wolno, wlokąc za sobą armaty i próżne jeszcze furgony,

paląc po drodze dla ogrzania się — chaty na pustkowiu stojące i folwarki, rabując wioski, mordując ludzi pod pozorem że są powstańcami, którymi najczęściej byli niedołężni już starcy lub dzieci dosyć nieroztropni, iż spodziewali się że ich wiek ocali przed prześladowaniem lub śmiercią.

Te małe egzekucye, nie zadawalniały Swinina; wolałby był rabunki większych rozmiarów, korzystniejsze i bez niebezpieczeństw. Lecz co robić? Rozciągnąć kolumnę dla zwiększenia linii operacyjnej, powiedział kapitan kozaków Pilardow. Dobry służbista cesarski i uważany za zdolnego, chociaż jego edukacya nie wiele kosztowała rodziców.

— Bo widzi, jaśnie wielmożny pan, mówił powstrzymując konia, my, dzieci stepów, mamy przysłowie: Im szersze grabie, tem więcej zgarną ziela.

— Eh! wiem ja o tem dobrze, lecz ci wściekli Polacy są wszędzie, przed nami, za nami, z boków; a jeżeli rozciągniemy kolumnę, jak mówisz, to tylko twoi kozacy na tem skorzystają.

— Padlecy są Padlecami, Wasza Wysokość.

— Padlecy tyle ile zechcesz, lecz tymczasem, na drodze do Modlina, ten biedny Gregory . . . .

— Ach! to niespodzianka.

— A sześciu kozaków których wczoraj posłałeś podpalić stodołę . . . .

— Jeszcze jedna niespodzianka.

— Idź do djabła, z twemi niespodziankami; te przeklęte łotry nic innego nie robią.

— W nocy, nie mówię; lecz w dzień, nie ma się czego obawiać, a jeżeli mi pan pozwolisz pojść trochę naprzód z pół–sotnią . . .

— Pozwalam ci być mi posłusznym, i rozkazuję ci nie udzielać mi więcej twoich rad; wiem co mam robić, zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem, Wasza Wysokość, rzekł kapitan wesoło.

I dając ostrogę koniowi, pojechał do swoich dońskich kozaków, zanieść im odpowiedź bojaźliwego Swinina.

Gdyby był Jaśnie Wielmożny posłyszał ich rozmowę, obraziłby się z pewnością; lecz szczęściem dla niego, a więcej jeszcze dla nich, że o spory kawał drogi byli oddaleni od Swinina. Jednym z tych, którzy się naśmiewali z grubego generała, był pułkownik Liski, zwany Słodki–Medowicz (słodki jak miód).

Ten pułkownik miał lat trzydzieści, miał piękny wąs i był bardzo uprzejmym; rozumie się, że pod tą powierzchowną ogładą, krył się dziki niedźwiedź.

Zawsze grzeczny i uśmiechnięty, przez roztropność, zgadzał się z okrucieństwami Murawiewa, i podzielał szlachetne uczucia pułkownika Korfa; wszystkim starał się dogodzić.

— Czy sądzisz, mój drogi, że nie mam racyi maszerować w kolumnie ściśniętej?

— Jakto, excellencyo, masz racyę!

— Mój drogi, nie jestem excellencyą, tylko jaśnie wielmożnym.

— Och, wiem, że pan nie przywłaszczasz sobie tego tytułu, lecz jestem pewnym, że na niego zasługujesz, i że wkrótce będzie panu przyznanym jako wynagrodzenie za chwalebną służbę, ja zaś, pragnę przyzwyczaić się tytułować pana....

— Jak daleko jeszcze jesteśmy od Piotrkowa?

— Pół trzeciej wiorsty wasza exc.... jaśnie wielmożny panie.

— Tylko tyle? No! kto wie, może tam spotkamy powstańców; pułkowniku Korf, każ kapitanowi Pilardow wstrzymać czoło kolumny; pan zaś, każ swoim grenadyerom zrobić wypoczynek; trzeba działać szybko, lecz roztropnie. Artylerya pójdzie naprzód, grenadyerzy w środku, a kozacy po bokach; co pan myślisz o tem, mój drogi?

— Jest to plan wyśmienity, jaśnie wiel. panie.

— A pan, pułkowniku Korf?

— Ja sądzę, generale, że zamiast bombardować miasto, trzeba się wpierw przekonać, czy mieszkańcy mają zamiar bronić nam wstępu.

— Ach, prawda, zapomniałem że pan jesteś obrońcą Polaków, dziękuję za przypomnienie. Poślij pięćdziesięciu kozaków na zwiady.

Spełnił rozkaz pułkownik.

Chusko ze swoimi kosynierami, nie chcąc narażać mieszkańców na zemstę moskiewską, stali po za miastem w lesie. Wszystka dzielniejsza młodzież poszła do lasu; zresztą, miasto było spokojne, władze rządowe pozostały na miejscu jak dawniej, a pięćdziesięciu kozaków stało garnizonem w koszarach.

Oddział z dwunastu ludzi, uzbrojony w dwie fuzye i parę kos, zapóźno ostrzeżony o zbliżaniu się moskali, uciekał do lasu i w drodze, niespodzianie spotkał się ze szwadronem Pilardowa.

Widząc przeciętą ucieczkę i niemożność zwycięztwa, postanowili umrzeć z chwałą; w tym celu, sformowawszy czworobok, zanucili: Boże coś Polskę!

Oprócz pik, mieli kozacy karabinki, z dziką więc radością, strzelali do tej żyjącej tarczy.

Jeden po drugim, upadali Polacy na śnieg krwią zbroczony. Z moskali jeden tylko kozak był zabity i jeden koń raniony.

Na odgłos wystrzałów, garnizon porwał za broń. Pilardow go spotkał w chwili, gdy wychodził z miasta, myśląc, że ma do czynienia z oddziałem Chuski.

Armia moskiewska również słyszała wystrzały, zbliżała się więc w szyku bojowym, z armatami na przodzie.

Swinin stracił głowę i pytał pułkownika Korfa o radę, ten myśląc również że będzie batalia, przygotowywał się spełnić swoją powinność, jak na mężnego oficera przystało.

Bez wzruszenia, jak gdyby szedł do tańca, pułkownik Liski stanął na czele swoich grenadyerów, zmieniwszy wpierw rękawiczki.

Nie lękał się śmierci, lecz rany, która-by go mogła zeszpecić.

Wkrótce harcownicy przybiegli galopem, oznajmując że to był tylko podjazd.

Generał, wściekły jak dziki zwierz, oświadczył że trzeba dać mieszkańcom surowy przykład.

Rozkazał z kałuży krwi podnieść trzech jeszcze oddychających Polaków i wrzucić na wóz.

Potem, zająwszy miasto, kazał sobie przyprowadzić starostę.

Był to starzec siedmdziesięcio–pięcio letni.

— Psie, buntowniku! krzyknął generał, targając go jedną ręką za siwą brodę, gdy drugą bił po twarzy, zapłacisz mi tysiąc rubli kary albo spalę miasto.

— Panie, nie jesteśmy buntownikami i zanadto biedni, abyśmy mogli zapłacić kontrybucyą.

— Kłamiesz, psie, wasi powstańcy nas napadli; potrzeba wam dać lekcyę. Płać, albo za godzinę nie zostanie kamień na kamieniu.

— Jesteś silniejszym i możesz nas wymordować; my nie jesteśmy w stanie zapłacić.

— Kto tu jest naczelnikiem policyi?

— Krapułow, jaśnie wielm. panie, odpowiedział porucznik, komendant garnizonu.

— Gdzież jest ten suki syn?

Drżący ze strachu i przeklinając swoją złą gwiazdę, przybiegł Krapułow.

— Ach! otóż i jesteś łotrze; długo każesz czekać na siebie. Ten nędznik jest buntownikiem, czyż nie tak?

— Jest buntownikiem, excellencyo.

— Słyszysz, łotrze! słyszysz? wykrzyknął Swinin, policzkując starca. I dodał, kłamie, mówiąc że nie ma pieniędzy.

— Ma skarb kościelny, rzekł Krapułow z wdzięcznym uśmiechem.

Na wyraz skarb, generał nie mógł powstrzymać wybuchu szalonej radości.

Starosta westchnął serdecznie.

Weź pięciu kozaków i szukaj skarbu, rzekł Swinin, do policyanta. Pan, pułkowniku Korf, każ kompanii grenadyerów postawić cztery szubienice na końcu tego placu.

Zbladł pułkownik, lecz jako żołnierz musiał być posłusznym. W mokrym śniegu wbito trzy pale, w jednej linii, o trzy kroki jeden od drugiego.

W tym samym czasie, w kościele napełnionym starcami, niewiastami i dziećmi, kapłan na stopniach ołtarza, odmawiał głośno modlitwy za konających.

Krapułow z pięciu kozakami, wstrzymał się w kruchcie; nie lękał się Boga, lecz lękał się ludzi. Szepnął coś jednemu z kozaków, ten wyszedł biegnąc, i w pięć minut powrócił z kapitanem Pilardow i pięćdziesięciu kozakami, trzymającymi nahajki w jednej, a gołe pałasze w drugiej ręce.

Bezpieczny* w ich obecności, delegat generała śmiało wszedł do kościoła, przeszedł kratki, zbliżył się do ołtarza, i otworzył cymboryum.

Krzyk zgrozy i oburzenia wydobył się z piersi zebranego ludu; kapłan jednym skokiem był przy oł-

---

*P r a w d z i w e. Dzienniki polskie, strona 116. Dzień spełnionego świętokradztwa, nazwisko księdza wikarego i nazwa miasta gdzie ten czyn został spełniony, z wielką skrupulatnością jest zapisany.

tarzu i jedną ręką zamknął drzwiczki cymboryum a drugą odepchnął Krapułowa bez wszelkiej ceremonii.

— Nieszczęśliwy! wykrzyknął, odejdź, to jest Przenajświętszy Sakrament.

— Precz ty sam, suki synu, ryknął Pilardow, odcinając jednem cięciem szabli rękę kapłanowi, i rzucając go gwałtownie pod kolumnę, gdzie kozacy go dobili, my tutaj, jesteśmy panami.

— Żołnierze, za drzwi tych Padleców; a jeżeli nahajka nie wystarczy, macie pałasze.

Rzuciło się na lud kozactwo, bijąc i mordując bez litości. Była to straszna scena zgiełku i zamieszania.

Krapułow z niej korzystał i z zimną obojętnością wyjął świętą puszkę, wyrzucił Przenajświetsze Hostye na zbroczoną posadzkę, a zawinąwszy w obrus zdarty z ołtarza kielich, patynę, puszki na oleje święte, krzyż, monstrancyę i relikwie, wyszedł ze znieważonego kościoła, niosąc na ramieniu świętokradzką zdobycz.

Kozacy również obłowili się, obdzierając niewiasty z łańcuszków, kolczyków i pierścionków. Była to mała dla nich zdobycz, spodziewali się jednakże powiększyć ją rabunkiem.

Na placu zaś, inna scena, obrzydliwa i krwawa odgrywała się. W czworoboku sformowanym przez batalion grenadyerów, rozkazał Swinin przywiązać do pali starostę i trzech umierających więźniów.

Potem, z dzikim wybuchem śmiechu, rzekł do pułkownika Korfa;

— Mój drogi (po raz pierwszy tytułował go tak poufale), przyrzekłem ci że będziesz walczył z Polakami i dotrzymuję mojej obietnicy. Oto czterech buntowników, których własną ręką zastrzelisz, potem, również własną ręką, podłożysz ogień pod ten dom tutaj. Idź, mój drogi, spełń twoją powinność.

— Zawsze ją spełniłem i spełnię ją zawsze, odpowiedział pułkownik.

I wszedłszy w czworobok pomiędzy więźniów i żołnierzy, zdjął czapkę i donośnym rzekł głosem:

— Panowie oficerowie i żołnierze, odebrałem hańbiący rozkaz od podłego i okrutnego generała; jako oficer, nie chcąc hańbić armii rosyjskiej, odmawiam stanowczo zostać katem. Żegnam was panowie; niech mi Bóg przebaczy.*

I kończąc te słowa, wyciągnął z zapasa rewolwer i głowę sobie roztrzaskał.

— Panie, zmiłuj się nad jego duszą i zbaw Polskę! wyszeptał starosta.

— Pal! ryknął Swinin, pijany ze złości.

Gdy opadły głowy ofiar, generał rozkazał kapitanowi Pilardow rzucić ciała męczenników na stos ułożonego drzewa.

— Czy i pułkownika? zapytał.

---

*H i s t o r y c z n e. Oprócz pułkownika Korfa, inny pułkownik rosyjski również odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru 15. Lutego w Piotrkowie, nie chcąc rozstrzelać swego siostrzeńca wziętego przez moskali do niewoli, po krwawej bitwie z powstańcami.

— Przedewszystkiem jego, niechaj się połączy ze swoimi przyjaciołmi ponieważ schańbił swój mudur.

W chwilę potem jeden z kozaków podpalił stos. Starosta oddychał jeszcze; lecz gdy płomień go ogarnął, uniósł się, i głosem silnym zawołał:

— Boże zbaw Polskę i oswobódź ją....

Nie skończył, lecz Bóg go zrozumiał.

Miasto wydano na rabunek żołdactwa; Swinin pozwolił dobrze pohulać kozakom, sam zaś, w spółce z Krapułowem, obiecywał sobie wkrótce znaleźć piękną sposobność, powiększenia swoich dochodów.

Nazajutrz, bardzo wcześnie, opuścili moskale miasto, udając się drogą do Radomia.

Zrobiwszy kilka wiorst, powierzył generał dowództwo nad główną kolumną majorowi Bolimow, a sam, z nowym swoim adjutantem pułkownikiem Liskim, Pilardowem i sotnią kozaków, udał się drogą prowadzącą w góry.

Piechota, artylerya i kilka sotni kozaków, idąc przez pola ku Atradzie, miały okrążyć wzgórza.

Około dziesiątej zrana, podczas gdy Kosynierzy, wedle rozkazu Chuski, opuścili wioskę i schronili się do lasu, tylko łyżwiarze ukryci w krzakach obserwowali ruchy nieprzyjaciół, Swinin z kozakami zjawił się niespodzianie przed dworem w Atradzie, który natychmiast otoczył,

— Kozacy i Krapułow! krzyknął przestraszony jeden ze służących, wpadając do pokoju, gdzie według codziennego zwyczaju czytał Włodzimierz Żywoty

Świętych ks. Skargi, a Marta kończyła wyszywanie kołpaka narodowego.

— Niech wejdą, smutnie odpowiedział starzec.

I zwróciwszy się do córki:

– Przychodzą zawcześnie, rzekł, jutro nie zastaliby tu nikogo.

— Niech się dzieje wola Boża! odpowiedziała. Otóż i są!

Z ganku słychać było brzęk ostróg i gruby głos Swinina, który mówił:

— Bardzo pięknie mieszka, ten Kirpowski, co pan na to powiesz, mój drogi?

— Zachwycająco, jaśnie wielmożny panie, a co za piękny widok z tego ganku!

— Och! widok, mało mnie obchodzi; niedbam o malownicze okolice, odpowiedział generał.

— Bądź rozsądną, Marto, szepnął do ucha swojej córce Włodzimierz.



XI.

Swinin w Atradzie.



Kosynierzy, na śniegu, bez ognia, podczas mroźnej nocy, biwakowali na skraju lasu, ciągnącego się z Łowicza aż do Piotrkowa.

Płomienie pożaru wznieconego przez moskali, wskazywały im, że nieprzyjaciel się oddalił.

Podnieśli złożone na ziemi kosy i weszli do miasta.

Kozacy zrobili w niem porządek.

W około drewnianych chat do połowy zwęglonych lub walących się pod rozszalałym płomieniem, kończącym je niszczyć, niewiasty, starcy i dzieci załamując ręce, płakali.

Na zakrwawiony i półstopiony żarem śnieg, zczerniały od popiołu i gruzów, moskale naumyślnie wysypali zapasy zboża i mąki; w domach niedotkniętych jeszcze płomieniem, meble były potłuczone, obrazy świętych zdeptane, a odzież w kawałki podarta.

Sprawiedliwość moskiewska tędy przeszła.

Przedewszystkiem przeszła ona w kościele gdzie Przenajświętsze Hostye znikły pod obcasem bluźnierców, depczących w krwi ofiar. Licznymi trupami kościół był zasłany.

— Kapitanie, zapytał góral, gdzie pochowamy naszych braci?

— Ci, którzy umarli w obronie Ołtarza, niech odpoczywają u stóp Ołtarza, odpowiedział Chusko.

Wyrwali kosynierzy kilka płyt kamiennych z posadzki, wykopali głęboki grób i złożyli w nim zwłoki męczenników; pasterza z owczarnią: potem, ostrzem siekiery wyryli krzyż na taflach, umieścili je we właściwem miejscu, i padłszy na kolana, modlili się.

— Bracia, rzekł Chusko, podnosząc się, krew rozlana nie zmywa się łzami, niechaj płaczą ofiar ci, którzy niezdolni są dźwigać broni; naszą powinnością jest pomścić ich. Naprzód więc, kosynierzy z nad Pilicy czekają nas w lasach Atrady; chodźmy połączyć się z nimi, a jeśli potrzeba, umrzeć także za Polskę!

Groźny okrzyk: Bóg i Polska! rozległ się pod sklepieniem spustoszonego kościoła. Górale chwyciwszy kosy, udali się za swoim naczelnikiem.

Przy wyjściu z miasta, gromadka z dziesięciu młodzieży przyłączyła się do bohaterskiego oddziału. Rozdano im broń zdobytą pod Łowiczem.

Zawieja śnieżna szalała, pędząc ku Wąchockowi.

Moskale maszerowali do tego samego punktu, lecz wolniej, ponieważ ich generał mając coś do zała-

twienia w Atradzie, tam właśnie w tej chwili się zatrzymał.

*
* *

Kirpowski spostrzegłszy wchodzącego Swinina do swego pokoju, powstał.

— Panie, rzekł do generała, jestem zmartwiony, że mnie prędzej nie uwiadomiono o pańskiej wizycie.

— I że nie zdołałeś zabezpieczyć się, nieprawda? zaśmiał się szyderczo generał, rzucając się na krzesło. Napróżno, mój panie, napróżno, jestem wojskowym i lubię zejść niespodzianie moich ludzi.

— Więc powinieneś pan być zadowolonym, z czego mocno się cieszę. Czy mogę przynajmniej dowiedzieć się o celu pańskiej wizyty?

— O, bezwątpienia. Wiem, mówił generał z głośnym śmiechem i znacząco spoglądając na Krapułowa, że masz pan liczną rodzinę, byłbym więc rad zapoznać się z nią, tembardziej, że dotychczas oprócz panny, nikogo jeszcze nie spostrzegłem; a zatem wątpię, aby wszystkie pańskie dzieci były tu obecne.

— Sądzę że są.

— To dobrze; każ pan ich tu wszystkich przywołać, rozumiesz, panie Kirpowski, wszystkich; mam listę a nie lubię czekać.

Włodzimierz nacisnął sprężynę dzwonka.

Wszedł Magnus.

— Powiedz moim synom ażeby tu przyszli.

— I prędko, dodał Swinin.

— Moi synowie są dosyć dobrze wychowani, by mi kazali na siebie czekać, przerwał Kirpowski.

— To też to zobaczymy, gderał Swinin, szukając w swoim pugilaresie zabrudzonej listy, którą mu wręczył Krapułow.

Skłoniwszy się elegancko Marcie, która zaledwie ruchem głowy odpowiedziała na powitanie podobnych ludzi, wszedł pułkownik Liski, w rękawiczkach i ze szkiełkiem w oku, a jako amator, przyglądał się malowidłu zawieszonemu na ścianie.

Dość nędzny ten obrazek przedstawiał wołu, a malował go Cezar.

— Znakomity to obraz, szepnął do ucha Pilardowi.

— Wolałbym obraz ozdobiony złotem i dyamentami, odpowiedział kapitan; te ramy nie warte ćwierć rubla, a co do płótna, nie ma ono u mnie żadnej wartości.

— Mylisz się pan; bo jak dla amatora, to płótno jest warte przynajmniej dwieście rubli.

Na wyraz dwieście rubli, Krapułow nadstawił uszu, a odpowiadając na pytania Swinina, rzucił na obraz chciwe spojrzenie.

— Dwieście rubli! żartujesz pan, pułkowniku; wszak jest mały jak dłoń, a kolorów nie ma nawet za trzy kopiejki. Ach! gdybyś mi pan mówił o portrecie naszego generała, ach! to co innego, zielony uniform z czerwonym kołnierzem rażący oczy, a kolory: niebieskie, biały, żołty, prawdziwe złoto na guzikach, na rękojeści pałasza i na orle u kaszkietu. Ach! tam malarz niczego nie szczędził.

— Tak, to prawda, za wiele nawet może nałożył.

— O nie, pułkowniku, ani tasiemki, ani guzika nie ma za wiele, prawdziwy to mundur generalski. A że twarz wcale nie jest podobną do oryginału, portret może służyć każdemu, potrzeba tylko zmienić nazwisko na nim napisane.

Uśmiechnął się pułkownik nic nie odpowiedziawszy.

Krapułow był czegoś niespokojny; podczas ostatniej swojej wizyty zauważył wiele kosztownych przedmiotów, drogocenne obrazy, z czystego srebra lichtarze, krzyż z kości słoniowej i inne, a teraz, wszystko to gdzieś znikło.

— Kto wie? myślał sobie, czy te ciężkie srebra, znajdujące się przedtem na stole, nie powędrowały tą samą drogą; może do powstańców, a może gdzie schowane.

Biedny człowiek, cierpiał niezmiernie; gorączka go paliła.

Nie mogąc już dłużej zapanować nad sobą, nachylił się do Swinina i szepnął mu do ucha:

— Excellencyo, czy jesteś pewnym że pierwszy tutaj przybyłeś?

— Co chcesz powiedzieć? mruknął jaśnie wielmożny, zdziwiony zapytaniem.

— Chcę powiedzieć że nie ma wielu kosztownych przedmiotów, które tutaj były. Patrz pan, kominek i ściany świeżo są ogołocone.

Generał rzucił w około siebie przestraszonym wzrokiem.

— To prawda, rzekł; któżby tu więc mógł. . . .

– Może schowali swoje skarby. . . .

— Zaraz się o tem dowiemy, przerwał Swinin, rzucając podejrzliwe spojrzenie na swego przyjaciela policyanta. Tak, dowiemy się, Iwanie Krapułow, powtórzył, i biada temu kto mnie okradł. Na mój pałasz! będzie tego żałował, ktokolwiek-by to był.

— Co do mnie, excellencyo, przysięgam panu . . .

— Dobrze, dobrze; tymczasem, podczas badania więźniów, zabraniam ci wyjść ztąd.

Żadnej nie było odpowiedzi, tylko Krapułow próbował uśmiechnąć się z pewnym rodzajem zadowolenia

Młodzież weszła.

Było ich trzech: Grzegorz, Michał i Cezar.

– Czy to wszyscy? zapytał Swinin, mierząc przybyłych pogardliwym wzrokiem.

— Są jeszcze moi służący, rzekł Włodzimierz.

— Nie masz pan więcej synów?

— Mam tylko dwóch.

— Jakto dwóch! przecież przyszło ich trzech; jak na Padleca, nie jesteś zręcznym kłamcą, panie Kirpowski, krzyknął wściekły generał.

— Na tę grubijańską obelgę, rumieniec wystąpił na czoło starca. Jednakże pohamował się i spokojnie odpowiedział:

— Mam tylko dwóch synów.

— A ja ci mówię, że masz ich czterech, suki synu, patrz, oto lista, a ty jesteś niezręcznym kłamcą.

— Gdyby mój wuj był moskalem, zawołał Cezar w uniesieniu, wiedziałby. . . .

Nie pozwolił mu Włodzimierz dokończyć zdania, które mogłoby go zgubić bez żadnej korzyści dla ojczystej sprawy.

— Milcz! rzekł surowym tonem.

Młodzieniec zbladł i umilkł.

Swinin z gniewem spojrzał na śmiałka mówiącego bez jego pozwolenia; lecz natychmiast zdziwienie nastąpiło po wściekłości.

Pod nowem przebraniem, poznał generał świadka policzka, który mu Narbut szczodrą ręką na kolei żelaznej wymierzył, przypomniał sobie przegrany zakład w kasyno Paszkiewicza i przysięgę, że strasznie się zemści na młodzieńcu; dziką więc radością zaiskrzyły się zielone jego oczy.

Ach! jestem szczęśliwy, żem cię odnalazł panie Amoa, szyderczym rzekł głosem, tembardziej, żem cię spotkał w innem przebraniu i pod innem nazwiskiem dlatego tylko, aby cię starzy znajomi odszukać nie mogli.

— Zawsze się nazywałem Cezarem Kirpowskim.

— I zawsze ubrany po polsku, nieprawdaż?

— Sercem jestem Polakiem a Francuzem z urodzenia.

— Francuz blondyn, z nazwiskiem Kirpowski i w odzieży powstańczej, doprawdy, bardzo to jest rzadkiem. A ty, Krapułow, co na to powiesz?

Na francuzkim jego paszporcie jest rzeczywiście napisane to co mówi, odpowiedział honorowy przyjaciel jaśnie wielmożnego.

Generał wzruszył ramionami.

— Panie Francuzie, mówił, jestem prawdziwie rad że cię widzę w dobrem zdrowiu i sądzę, że lubisz łagodny klimat; a że do tutejszego, trochę ostrego nie jesteś jeszcze przyzwyczajonym, pozwolisz, że cię odprowadzę do granicy.

— Ależ generale . . . .

— Och! darmo, panie, i z małą honorową eskortą jaka się należy temu, kto się nazywa Cezarem. Tylko, nie trzeba tracić czasu; pan wiesz zapewne, jak zimno w Moskwie zaszkodziło wielkiej armii waszego potężnego cesarza Napoleona I.

— Jednakże zdaje mi się, generale . . . .

— Pułkowniku Liski, każ z największemi względami zaprowadzić pana Francuza na stacyą do Piotrkowa tak, aby pierwszym pociągiem mógł się stawić w Warszawie. Pan ma zapewne serdecznych przyjaciół umieszczonych w cytadeli, otóż się tam dopóty zatrzyma, dopóki Jego Excellencya namiestnik nie raczy zaawizować jego paszportu do granicy pruskiej lub być może do Syberyi, dodał z uśmiechem.

— Do Syberyi! krzyknął oburzony Włodzimierz. Pan posyłasz do Syberyi niewinnego Francuza!

— Młodzież lubi podróżować, kochany panie Kirpowski, ja zaś czuję się szczęśliwym, że jestem w możności dogodzić pańskiemu synowcowi. Zresztą, jeżeli mu się niepodoba, to może się poskarżyć konsulowi potężnego swego narodu z Wiatki lub z Nerczyńska.

— Generale, to tylko jest żart, nieprawdaż? wykrzyknął boleśnie Włodzimierz. Niepodobna abyś pan w ten sposób traktował Francuza który . . . ,

— Czy skończysz, bałwanie prawić mi o twoich Francuzach! Jeżeli nie chcą wędrować do Syberyi, to niechaj siedzą w swoim małym kraiku, zamiast przynosić do naszego cesarstwa buntownicze ideje i organizować rewolucyę przeciw potężnemu carowi, który zgniecie waszą Polskę pod butem swoich kozaków. Słyszałeś, pułkowniku Liski?

— Tak, excellencyo, wszystko już gotowe!

Dziesięciu kozaków, z pałaszami w ręku, czekało przed gankiem.

— Pobłogosław mnie ojcze, rzekł Cezar, klękając u nóg starca.

Włodzimierz położył ręce na głowie więźnia i rzekł ze łzami:

— Niech Bóg zmiłuje się nad tobą i nad nami.

Z miłym swoim uśmiechem zbliżył się do nich pułkownik.

— Drogi panie, rzekł dotykając rękawiczką ramienia skazańca, jeżeli się pan nie pospieszysz, spóźnisz się na pociąg; już minęła ósma, obowiązkiem więc jest moim zawiadomić o tem pana.

— Niech go zaniosą, i skończmy raz! dodał Swinin.

Grzegorz i Michał stali osłupieni.

— Zostańcie z Bogiem, bracia! rzekł Cezar ściskając ich ręce.

I dodał:

— Gdzie jest Marta?

— Tu, odpowiedziała, niosąc z sąsiedniego pokoju futro, które mu na ramiona zarzuciła. To zaś

przyjm na pamiątkę odemnie, dodała, wsuwając mu w rękę obrazek i kilkanaście rubli. Idź z Bogiem, Cezarze! do zobaczenia, wkrótce, tu na ziemi lub w niebie!

— Żegnam cię, Marto! Bądź szczęśliwą z Narbutem, szepnął Cezar, całując dziewicę.

I poszedł z kozakami.

W chwili, kiedy przestępował próg, odwrócił się i wykrzyknął:

— Niech żyje Polska!

Pod pozorem ukarania go za ten czyn buntowniczy, a właściwie w zamiarze ukradzenia kosztownego płaszcza, poskoczył Krapułow za więźniem.

— Zostań tutaj, bałwanie, zawołał Swinin, potrzebuję cię.

— Z tym człowiekiem, nic nie można zarobić, mruknął policyant wracając.

— W chwilę potem, bryczka eskortowana przez sześciu kozaków, wyjechała z podwórza. Magnus wiózł swego pana na wygnanie.*

— Teraz, mówił Swinin, ze straszną zimną swoją krwią, kończmy robotę. Mówisz więc, Padlec, że masz tylko dwóch synów?

— Nie mam ich więcej.

---

* Ponieważ niektórzy z czytelników nie uwierzyliby może iż podobne sądy w Polsce się odbywały, wyraźnie mówimy, że to było faktem rzeczywistym, i dodajemy: że pewnego ojca dla tego tylko wysłano na Sybir że pobłogosławił syna idącego do powstania, a młodą niewiastę, że skubała szarpie dla rannych powstańców. (Dzienniki, Tom III, strona 29.)

— Przeczytaj listę, Krapułow.

— Włodzimierz Kirpowski, czytał policyant.

— To ja, odpowiedział dziedzic.

— Grzegorz Kirpowski i Michał Kirpowski.

— Obadwa bracia stanęli przy sobie.

— Tadea Chusko, z domu Kirpowska.

— Moja córka z synem mieszkają obecnie w Prusach, rzekł Włodzimierz.

Swinin spojrzał na Krapułowa z uśmiechem.

— Jan Chusko, czytał dalej.

Była chwila milczenia.

— Jan Chusko, powtórzył Krapułow.

Nikt nie odpowiedział.

— Czy nie wiesz ty gdzie jest Jan Chusko, komendant *Kosynierów?* zapytał Swinin Włodzimierza.

— Na honor, nie wiem, odpowiedział starzec.

— A ja wiem, zdrajco! krzyknął generał; zaraz załatwimy z sobą rachunki. Czy nie wiesz o tem, że ojcowie odpowiadają za swoich synów i za swoich zięciów? Czytaj dalej.

— Marta Kirpowska.

— Jestem, odpowiedziała.

— Patrz pułkowniku, jaka to piękna dziewczyna, zauważył Pilardow.

— Zachwycająca; ślicznie by się przedstawiała w balecie (w tańcu). . . .

— I dobrą by była żoną kozaka, mówił Pilardow. Widziałem ją na koniu, w Warszawie. Oddałbym za nią przypadającą mi część zdobyczy.

Krapułow czytał swoją listę, wywołując służących,

Połowa z nich poszła do powstania.

— Kapitanie Pilardow, rozkazał Swinin, każ związać, po dwóch, tych wszystkich łotrów, a osobno tego starego buntownika, którego dla przykładu, skazuję na rozstrzelanie, na placu, wprost drzwi kościelnych, jako winnego uczestnictwa, przynajmniej *przez bezczynność*, w buncie.*

— A teraz, przetrząsnąć dwór.

Na komendę: przetrząsnąć wszystko, daną przez Pilardowa donośnym głosem, rzuciło się kozactwo do wszystkich pokoi, wrzaskiem okazując swoją radość.

To bezwarunkowe posłuszeństwo, zadowolniło ich kapitana i Krapułowa.

Dla żołdaków, wszystko było dobre; co zaś do spekulanta wyższej rangi, ten bez straty czasu pobiegł do szafy, w której dawne rodziny przechowywały kosztowne srebra.

Szafa i wielki kufer były próżne.

Parę tygodni przedtem, znajdowało się w nich złoto i srebro.

Zdobycz Pilardowa również okazała się nie wielką.

Sam tylko pułkownik Liski był zadowolonym; raczej przypadek niż chciwość, zaprowadził go do

---

* Moskale rozstrzeliwali, wieszali lub palili wspólników przez bezczynność w buncie, to znaczy tych, którzy mogąc pójść do powstania, nie poszli. Murawiew–wieszatiel, w celu prędszego wymordowania Polaków, najniewinniejszych w świecie, był twórcą tego mongolskiego prawa.

sypialni Cezara gdzie znalazł eleganckie pudełko z drzewa różanego z kompletnym zapasem perfum.

— Ba! rzekł sam do siebie Liski, na Syberyi są mu one nieużyteczne, ja zaś będę miał pamiątkę.

I wziął je bez najmniejszego wyrzutu sumienia.

W Rosyi, wziąść w podobny sposób, nie nazywa się kradzieżą.

Swinin niecierpliwił się czekając w salonie, gdzie stosownie do jego rozkazów, powinny być wszystkie przedmiota złote i srebrne złożone na stole.

— Źle zrobiłem, wziąwszy kozaków z sobą, rzekł do pułkownika Liskiego; te draby są wyśmienitemi psami łowczemi . . . .

— Tylko nie umieją przynosić zdobyczy, przerwał pułkownik.

— Mój drogi, twój żart może jest i słusznym, rzekł Swinin; lecz ponieważ jestem odpowiedzialnym przed Państwem za wszystkie bogactwa powstańców, słusznie też dbam, by nic nie zginęło; daj przeto jak najsurowszy rozkaz, by każdy spełnił swoją powinność. I powiedz mi, mój drogi, co ty zabrałeś?

— Pudełko perfum, excellencyo.

— Fe! rzekł Swinin, nie lubię pachnideł. Idź pan natychmiast.

— Nie potrzeba było rozkazu generała do podniecania kozaków w rabunku; pod przewodnictwem Krapułowa i swego kapitana, łamali wszystkie meble, rozdzierali fotele, kanapy i materace, dziurawili ściany i posadzki, rozbijali beczki, by znaleźć to złoto, którego napróżno szukali.

Wyjąwszy srebrnego krzyżyka, starej czarki i pięć czy sześć kołder, nic nie znaleźli; ani jednej broni, ani jednej monety.

Swinin tupał nogami ze złości.

— Rozbójniku! co-żeś zrobił z twojem srebrem? krzyczał, brutalnie wstrząsając Kirpowskim.

— Żadnego srebra nie miałem, odpowiedział starzec.

— Podły, psie, kłamco, ukryłeś je, lecz powiesz mi gdzie.

I ścisnąwszy go za gardło, bił kułakami po twarzy.

— Nie miałem srebra.

— Jeżeli nie powiesz mi gdzie ono jest, każę spalić twój dwór i skonfiskuję twój majątek.

— Nie miałem srebra.

— Każę powiesić całą twoją rodzinę, uparty starcze, bałwanie. Słuchajcie, wy wszyscy, mówił, zwracając się do służby, powiedzcie mi gdzie ten stary nędznik ukrył swoje skarby i broń, a wszystkich was wolno wypuszczę.

Służba nic nie wiedziała.

— Pilardow, osmagaj mi tych hultajów by sobie łatwiej przypomnieli, ryknął chciwy Swinin; dam za to sto rubli twoim kozakom.

Żołdactwo nie kazało sobie tego powtarzać; nahajki świstały w powietrzu, znacząc krwawe ślady na ramionach, plecach i twarzach ofiar.

Jednakże i to okrucieństwo do żadnego rezultatu nie doprowadziło, a chociaż Swinin miał białą kartę

(to znaczy, iż wszystko co zechce może czynić), zaczął się obawiać czy nie idzie za daleko.

— Trzeba–by nam znaleźć choćby najmniejszy ślad spisku, rzekł do pułkownika wąchającego flakoniki, jeden za drugim.

— Mógłbyś pan kazać włożyć do jakiej skrzyni z parę karabinów, a potem ją w obecności wieśniaków kazać otworzyć, poradził pułkownik.*

— Doskonała myśl, mój drogi, każę natychmiast tak zrobić. Gdzież jest ten bałwan Krapułow?

Krapułow był niedaleko; wierząc słowom Liskiego że malowidło Cezara jest warte dwieście rubli, wlazł na krzesło by je dostać.

Zdejmując, spostrzegł że w grubych ramach urządzona jest skrytka, z której wydostał jedwabną amarantową materyę oblamowaną złotem.

Krzyknął radośnie, na co Marta okrzykiem przerażenia odpowiedziała.

Nad głowami kozaków i Polaków, Krapułow rozwinął sztandar polski, ze świętym Obrazem, z białym orłem, pogonią i Michałem Archaniołem.

Nie potrzebował już Swinin innych dowodów.

— Buntowniku! grzmiącym krzyknął głosem, czy i teraz zaprzesz się zbrodni?

I uderzył starca tak silnie w głowę, że krew trysnęła z pomiędzy siwych włosów.

---

* Moskale w 1863 i 1864 r., przy rewizyach odbywanych u obywateli ziemskich, podrzucali proch lub naboje, a potem, rozumie się, wiedząc gdzie je ukryli, łatwo znaleźli. Wtedy obywatela z całą rodziną wywozili na Sybir, a majątek konfiskowali.

Potem, obaliwszy go na ziemię, kopał nogami.

Grzegorz i Michał z zajadłością szarpali się w więzach, chcąc biedz ojcu na pomoc.

— Nie morduj mego ojca, wykrzyknęła Marta, to ja sama, własnemi memi rękami wyhaftowałam ten sztandar, i ja go tam schowałam; nikt o nim nie wiedział.

— Kapitanie Pilardow, każ przybić ten sztandar do piki kozackiej, postawimy go na placu w Atradzie i w około niego rozstrzelamy połowę tych buntowników dla przykładu, a resztę poszlemy do Warszawy, aby ich tam powieszono.

Potem dodał:

— Naładować wozy zdobyczą, a dwór i zabudowania podpalić.

Wgmieniu oka krwawe rozkazy podłego sędziego zostały spełnione, i ruszył pochód żałobny, złożony z dwudziestu dwóch więźniów, mężczyzn i kobiet, okrwawionych, prowadzonych na miejsce stracenia, pomiędzy dwoma szeregami kozaków.

Trzy wozy naładowane odzieżą, meblami, futrami i baryłkami wódki, postępowały, konwojowane przez kozaków.

Na czele kolumny, Krapułow, pieszo, niósł rozwinięty sztandar, pod którym więźniowie mieli umierać.

W chwili gdy Włodzimierz, idący pierwszy za Krapułowem, przestąpił próg dworu, podniósł spuszczoną głowę, i z wzrokiem utkwionym w święty wizerunek, zaśpiewał *De profundis*.

Jego dzieci i służba odpowiadały chórem.

— Jak już mówiłem do kapitana, zauważył Liski, jest to wielką szkodą że panna Kirpowska nie jest śpiewaczką w teatrze. Uważaj pan tylko, co za śliczny ma głos.

— Niech djabli wezmą śpiewaków i psalmy! odpowiedział generał brutalnym głosem; byłoby lepszem dla nas, gdyby byli powiedzieli gdzie mają ukryte swoje skarby, zamiast nas ogłuszać swoim żałobnym krzykiem, co pan myślisz o tem, kapitanie Pilardow?

— Myślę, jaśnie wielmożny panie, że piękny Świętojański ogień, będzie widzianym na dwadzieścia wiorst w około.

— Powinnibyśmy byli spalić starego w jego dworze, rzekł generał, z pewnym rodzajem żalu, i obrócił się na siodle aby nasycić oczy widokiem pożaru. Lecz czemuż dym z prawej strony jest większym aniżeli z lewej?

— Po prawej, są stodoły, jaśnie wielm. panie.

— Cudnie! cudnie! mruczał sobie pod nosem Liski: co za piękną operę możnaby z tego utworzyć: w pierwszym akcie chór więźniów, śpiewający *De profundis*; w drugim, wioska pokryta śniegiem i góry oświecone pożarem dworu; zanotuję sobie. Ach! cóż to znowu takiego? wykrzyknął.

Na widok płomieni niszczących mieszkanie dziedzica, kilku wieśniaków zrobiło alarm; dzwon brzmiał żałośnie, i ci wszyscy, którzy jeszcze pozostali w wiosce, starcy, kobiety i dzieci, spieszyli gasić ogień nie znając jego przyczyny.

Ksiądz proboszcz Raskowski z siekierą w jednej, a z wiadrem w drugiej, prowadził ich na podwórze.

Niektórzy z nich byli uzbrojeni w siekiery, inni w bosaki, a prawie każdy niósł wiadro lub konewkę.

Na krzyżówce spotkały się obadwa oddziały.

Była chwila panicznej trwogi tak z jednej jak z drugiej strony. Kozacy w przedniej straży, sądząc że są niespodzianie napadnięci, rozpierzchli się, i ich towarzysze to samo byli-by uczynili, gdyby wieśniacy, przestraszeni widokiem wroga, nie uciekli pierwsi.

Sam tylko ksiądz Raskowski pozostał na drodze. Porwało go żołdactwo i zawlokło przed generała.

— Nędzniku! wykrzyknął Swinin, widząc przed sobą katolickiego kapłana, zasługujesz abym cię natychmiast kazał rozstrzelać razem z tymi psami buntownikami, których chciałeś z rąk naszych uwolnić.

— Niech wasza excellencya we mnie uderza, odpowiedział kapłan, z ewangeliczną rezygnacyą, lecz niech oszczędza moją owczarnię. Pożar niszczy dwór w Atradzie, więc biegliśmy go ugasić.

— Ugasić go, psy; a kto wam dał prawo opierać się cesarskiej sprawiedliwości? wszak to w imię naszego najjaśniejszego i ukochanego monarchy, znieważonego przez buntowników, ten płomień został wzniecony.

— Mieszkańcy wioski nie znali przyczyny, odpowiedział kapłan, i nikt w tej wiosce nie wiedział, że Rosyanie są tutaj.

— Dosyć tego, milcz i ruszaj z tymi nędznikami; swojem oszukaństwem podburzyłeś lud, bo wy wszyscy, księża katoliccy, jesteście buntownikami.

— Nigdy nie podburzałem nikogo, bo mój Bóg zabrania mi . . . .

— Milcz, mówię ci i ruszaj. Niedługo dowiem się co mam sądzić o tobie z dawniejszego twego życia, i z twoich rozporządzeń wydanych na przyszłość.

Przestraszeni wieśniacy znikli; nic więcej nie zatrzymało konwoju.

Pod drzwiami kościoła w którym nieszczęśliwa ludność Atrady szukała schronienia, powstały jęki i płacz, gdy spostrzegli prowadzonych więźniów a z nimi i ks. Raskowskiego.

Zacny kapłan uspakajał ich, i radził rozejść się do domów.

Na placu, uszykowali się kozacy w szyku bojowym, wprost sztandaru zatkniętego, na drugim jego końcu.

— Niech tu wójt przyjdzie, krzyknął Swinin.

Na to wezwanie, zbliżył się starzec z białym jak śnieg włosem, o szlachetnej i dumnej twarzy.

— Poślij czterech ludzi dla wykopania dołu pod tym przeklętym sztandarem, rozkazał generał.

— Excellencyo, rzekł wieśniak, masz żołnierzy, mogą dół wykopać; tutaj, nikt się nie zgodzi pomagać w wykonaniu wyroku śmierci na naszych panach i dobrodziejach.

— Nie chcesz być posłusznym rozkazom twojego cesarza; czy wiesz jak ja karzę nieposłuszeństwo?

— Jesteś pan silniejszym i możesz mnie zabić, lecz nie zdradzę mojego dobrodzieja.

Pilardow stojący obok wieśniaka, ściągnął go nahajką po twarzy, mówiąc:

— Będziesz ty posłusznym, psie?

— Nie, rzekł wieśniak, ocierając rękawem sukmany krew, zalewającą mu oczy.

Groźny szmer niezadowolenia podniósł się w tłumie; mężczyzni uzbrajali się w kije, niewiasty zbierały kamienie.

Kozaków było tylko pięćdziesięciu.

Przestraszył się Swinin; posłał kozaka by zobaczył czy nie widać kolumny.

Posłaniec wrócił.

— Widziałem czarną massę, mówił, lecz śnieg przeszkadzał mi dobrze ocenić odległość; prawdopodobnie za pół godziny przybędzie.

Generał radził się Liskiego.

— Gdybym przemówił do tych osłów, pułkowniku, a tymczasem nadciągnie kolumna, i wtedy . .; co pan myślisz, mój drogi?

— Jakto, to doskonała myśl; a piękna wymowa waszej excellencyi . . . .

— Ach! mój drogi, nie jestem wielkim mówcą, lecz w danym razie, potrafię przemówić.

Potem zwracając się do wójta:

— Słuchaj, rzekł, przybierając wyraz dobroduszności, wróć do twoich braci i powiedz im, że nie chcę z nimi surowo postępować, przeciwnie . . . . . Jeżeli są rozsądni, porozumiemy się łatwo. Idź i powiedz im, że chcę z nimi mówić.

Wójt oddalił się, wstrząsając z niedowierzaniem głową, i wkrótce wieśniacy zgromadzili się przed kościołem.

Generał konno, zbliżywszy się do nich, wzniósł pałasz na znak milczenia i przemówił:

„Słuchajcie, dzieci, aresztowałem waszego dziedzica, tego złodzieja i innych z nim złodziei, przyprowadziłem go tutaj, abyście go sami, własnemi rękami ukarali, jak na to zasłużył. Słuchajcie! gdy wyłapiemy tych wszystkich złodziei i zniszczymy ich dwory, lasy i ziemie zostaną wam na własność oddane. Taka jest wola waszego ojca Aleksandra II, naszego cesarza. Starajcież się także, wyłapać tych wszystkich złodziei i mnie ich oddać; za każdego więźnia otrzymacie dwa razy tyle ile jej posiadacie.”[1]

Głuche milczenie nastało po tych słowach.

Po chwili znowu generał mówił:

„Są jeszcze inni nędznicy oprócz panów, są to powstańcy, którzy nic nie mają, psy, Francuzi, djabelskie dzieci; łapcie ich także, a otrzymacie nagrodę.[2] Przeznaczam trzy ruble za każdego powstańca oddanego w ręce władz wojskowych. Sami widzicie, bracia, że dla waszego dobra prowadzimy wojnę, dla zbogacenia was. Trzymajcie więc z nami: Niech żyje cesarz, nasz ojciec!”

---

1 W tak nikczemny sposób do włościan przemawiał pułkownik Pomerancow.

2 Proklamacya Murawiewa, ogłaszana we francuzkiem piśmie Moniteur.

— Niech żyje Polska! odpowiedzieli oburzeni wieśniacy.

Rumieniec gniewu wystąpił na twarz Swinina.

— Gdzie jest kolumna? zapytał Pilardowa.

— O wiorstę ztąd, za dziesięć minut nadejdzie.

— Tak, moi bracia, słusznie mówicie, prawił generał, niech żyje Polska wierna! niech żyją wieśniacy! lecz śmierć panom, śmierć szlachcie i rozbójnikom, którzy chcą was mordować! Ci właśnie ludzie są zdrajcami, zapytajcie tylko waszego katolickiego księdza: posłuchajcie go, on także do was przemówi.

I w istocie, ks. Raskowski prowadzony przez pułkownika Liskiego, zbliżył się do wieśniaków. Wtedy generał rzekł półgłosem:

— Księże, jeżeli chcesz siebie i swoją owczarnię ocalić, przeklinaj powstańców, albo, na mój pałasz! za godzinę nie zostanie tutaj ani jedno dziecko żywe, ani jeden dom cały.

Osłupieni wieśniacy czekali, zdając się na wolę Bożą.

— Bracia, prostując się, przemówił ksiądz proboszcz, dla ocalenia życia, rozkazał mi generał przeklinać ofiary; słuchajcie, bracia, błogosławię ich i błogosławię was: niech się spełni wola Boża.

— Kozacy, ryknął Swinin, zaprowadzić więźniów nad brzeg dołu, i za pierwszą oznaką buntu, rozstrzelać ich wszystkich!

— Naprzód, Padlecy! zakomenderował Pilardow, okładając nahajką Włodzimierza, całującego po raz ostatni swoją córkę Martę. Naprzód, psy!

Jak echo straszliwe, jakiś głos donośny na to odpowiedział:

— Kosynierzy, naprzód!

Wielu kozaków, uderzonych wystrzałami z za palisady, padło jak piorunem rażonych; a z wklęsłej drogi, z uliczek i z za domów, dwustu Polaków na raz wyskoczyło wywijając kosami i siekierami.



XII.

Moskiewska wdzięczność.



puszczając po raz ostatni Atradę, szedł Cezar ze złamanem sercem do oddalonej Syberyi.

Marzył o bohaterskiej śmierci na polu bitwy, wśród swoich, niedaleko sztandaru haftowanego rękami Marty, a tymczasem, bez wydobycia nawet miecza za sprawę narodową, szedł konać, smutny, nieznany, nieużyteczny ojczyźnie, w zimnych stepach, pod konwojem żołnierzy również nieszczęśliwych jak więźniowie; szedł razem ze złodziejami i mordercami, traktowany jak oni, bez nazwiska, którego nikt więcej nie wymówi, i z numerem wyszytym na płaszczu.

Biedny młodzieniec! wiedział że Syberya nie jest wygnaniem, lecz nicestwem ziemskiem, nicestwem pełnem boleści!

Magnus również to wiedział, i dla tego na białej jego brodzie marzły łzy płynące po cichu.

— Marsz, krzyczeli kozacy, bijąc go nahajkami, marsz, Padlec!

Ciężkim kłusem biegły konie po stwardniałym śniegu; wkrótce wjechano do lasu: była to najkrótsza droga, pomiędzy Atradą a Piotrkowem, w linii prostej, dogodna w zimie, bo bez płotów, bez rowów i strumieni.

Tędy przybył Swinin, rozkazując swojej kolumnie znacznie zboczyć z drogi w celu okrążenia lasu.

Siedząc w bryczce zadumany, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie rzucił Cezar ani jednego spojrzenia w około siebie: naraz konie zatrzymały się rżąc niespokojnie; dwa czy trzy wystrzały dały się słyszeć i kozacy niepewni kręcili się w koło, wrzeszcząc jak ptastwo spłoszone.

Cezar podniósł głowę; las w około niego był zapełniony powstańcami uzbrojonymi w karabiny i kosy; obok bryczki leżał zabity kozak, któremu pikę wyrwał Magnus. Z dymiącym jeszcze karabinem, i z okrzykiem: Bóg i Polska! nadbiegł Chusko.

Otoczeni żelaznem kołem moskale, nie próbowali nawet się bronić; sam tylko, naczelnik eskorty, dobył pałasza; nie mogąc uciekać, chciał się przynajmniej zemścić, i, skoczywszy do bryczki, podniósł rękę by uderzyć.

Byłby zginął Cezar, lecz koń kozaka zraniony w piersi piką starego Magnusa, spinając się gwałtownie, zrzucił jeźdźca.

Ta sama pika przybiła moskala do ziemi.

— Brawo! Magnus, zawołał Adam.

— Niech żyje Polska! odpowiedział starzec, któremu zapach prochu i krew płynąca zdawały się przywracać dawny zapał.

Straciwszy naczelnika i nie mając żadnego sposobu do ucieczki, kozacy rzucali bronie, prosząc o darowanie życia.

Wiedzieli, że Polacy nie uderzają w bezbronnego nieprzyjaciela.

— Chusko zabrawszy konie, darował im życie.

— Gdzie cię prowadzili? zapytał Adam kuzyna.

— Do Syberyi, odpowiedział.

— A gdzie cię aresztowali?

— W Atradzie, Swinin nas napadł z pięćdziesięciu kozakami.

— Jakto, nie ma tam całej kolumny?

— Gdy odjeżdżałem, byli tylko ci rabusie.

— Za godzinę, będzie ich przeszło tysiąc, zawołał Chusko; główna kolumna szła polem, lękając się kłopotu z armatami w gęstwinie; jest jeszcze czas ocalić naszych; naprzód, lasem, i niech Matka Boska Częstochowska ma nas w Swojej świętej opiece!

I pobiegli jak huragan.

Panie, rzekł Magnus, jedźmy; bez łyżw niepodobna by nam było ich dogonić, gdy bryczką przyjedziemy na czas.

— Dobrze, Magnusie, odpowiedział młodzieniec, spieszmy, ponieważ chcę walczyć.

— O, i ja także! zawołał Magnus, gwizdnąwszy na konie, które puściły się jak strzała.

Na prawo, w poprzek przerzedzonego lasu, od czasu do czasu, zjawiali się łyżwiarze z karabinem lub kosą na ramieniu, ślizgając się z niezmierną szybkością po zmarzniętym śniegu; z drugiej strony przez

mgłę, widać było kolumnę moskiewską, wlokącą armaty.

— Nieprzyjaciel! rzekł Magnus, wskazując ręką; wyprzedzimy go.

— Za późno! odpowiedział Cezar, pokazując furmanowi wznoszące się kłęby czarnego dymu.

— Zbójcy! ryknął starzec; spalili dwór.

— Kosynierzy także spostrzegli łunę; i już nie biegli, lecz jak wicher pędzili.

W chwili, gdy wybiegłszy z lasu, ostatni pagórek przebiegali, usłyszeli śpiew; wstrzymali się. Nie mogli zrozumieć co oznaczała ta żałobna melodya.

Kilku przestraszonych wieśniaków uciekało do lasu. Jedna z niewiast spostrzegłszy kosynierów, biegła do nich, wołając:

— Moskale! moskale! prowadzą więźniów do wioski.

— Tych ze dworu?

— Nie ma już dworu, spalony; idą do wioski.

— Matko, gdzie są Kosynierzy z Atrady? zapytał Chusko, zjawiając się niespodzianie.

— Ach! panie, wykrzyknęła, poznawszy go, ocal ich, są tam wszyscy.

— Kto? Kosynierzy? Mieli tutaj na mnie czekać.

— Kosynierzy z naszej wioski są z drugiej strony, lecz ja mówię o panu Kirpowskim i jego córce Marcie; zamordują ich.

— Słuchaj, matko, rzekł Chusko, odzyskawszy krew zimną w niebezpieczeństwie, idź, powiedz naszej młodzieży, że ja, Chusko, rozkazuję im ukryć się

w krzakach i czekać mojego sygnału; sam zaś będę ukryty na wklęśniętej drodze; zrozumiałaś?

— Zrozumiałam, panie.

— A więc idź, i powtórz im to, co tobie powiedziałem. Bracia, dodał, opuścić kosy i chyłkiem, aby was niespostrzeżono, postępować za mną.

W taki sposób, zakryci wzgórzem, zrobili z jakie pięćdziesiąt kroków oddzielających ich od ogrodzenia, a potem czołgali się aż do miejsca, zkąd słyszeli mowę Swinina i łoskot wyrzucanej ziemi przez kozaków kopiących grób.

Wreszcie Chusko dał znak, strzelcy wymierzyli lufy karabinów w otwory płotu; kosynierzy przykucnąwszy, lekko unieśli ostrza kos.

Krapułow stojąc pod polskim sztandarem, marzył o dwustu rublach za skradziony obraz, w kieszeni swego surduta miał parę srebrnych łyżeczek; co za piękny dzień! myślał sobie. Ja to odkryłem ten spisek generałowi i prawdopodobnie, mnie powierzą konwój więźniów do Warszawy; potem, nieznacznie zbliżając się do drzwi kościelnych aby ukraść jaki kielich, rzucił okiem na ogrodzenie, i stanął jak piorunem rażony.

Chciał krzyknąć, nie było już czasu: gwałtowne i bolesne uderzenie, jakby sztyletem w prawy bok, rzuciło go na ziemię, wśród wystrzałów, wściekłych okrzyków i szczęku stali.

Rozjątrzeni powstańcy okrucieństwami spełnionemi przez moskali w Piotrkowie i w Atradzie, jak grom spadli na karki kozaków, tnąc kosami bez

litości. Krew płynęła strumieniem po zdeptanym przez walczących śniegu. Chusko nie strzelał więcej; trzymając za lufę, wywijał karabinem młynka, a każde uderzenie rozbijało czaszkę: stosy trupów zaległy ziemię. Ściśnięci kozacy kołem kos, które co chwila się zwiększało, zasłaniali sobą drżącego ze strachu Swinina; zanurzając zaś swoje długie piki w tłumie walczących, wyciągali je złamane lub krwią zabarwione.

— Odwagi dzieci! odwagi! wrzeszczał Pilardow; trzymajcie się, kolumna nadchodzi! odwagi! jeszcze chwilę! uderzajcie w tych psów! uderzajcie!

I sam, chociaż okryty ranami, z gołą głową, w podartem odzieniu, walczył jak lew, na czele swoich.

Liski, również się nieoszczędzał; nie mogąc dosięgnąć nieprzyjaciela swoim pałaszem, porwał w obiedwie ręce pikę, kierując koniem kolanami, jak prawdziwe dziecko stepów.

— Po sztandar! wykrzyknął naraz, spostrzegłszy blisko siebie bezbronną Martę, rzucającą się ze swoim sztandarem, w tłum walczących.

I puściwszy się za nią, pchnął pikę z wściekłością.

Odbita lanca kosą górala, lekko zraniła ramię dziewicy; lecz koń kozaka rozpędzony, uderzywszy ją piersią, obalił na śnieg bezprzytomną, lecz sztandar trzymała w dłoniach.

Krzyk boleści wyrwał się ze wszystkich piersi powstańców, spieszących podnieść i bronić bohaterkę.

Pilardow korzystał zręcznie z tego zamieszania; zostawiwszy w rękach nieprzyjaciół pułkownika wysadzonego z siodła i zbroczonego, przerznął się z kilku kozakami przez szeregi harcowników polskich, i nim ci spostrzegli się, już umykał drogą przecinającą pole.

Swinin szedł jego torem; lecz teraz, nie myślał popisywać się. Uczepiwszy się rękami grzywy konia, z wypuszczonemi nogami ze strzemion, z hełmem tłuczącym go po karku, uciekał generał, wybrany przez Jego Excellencyę na komendanta armii najjaśniejszego cesarza wszech Rosyi.

Tyralierzy polscy wyszedłszy z osłupienia, puścili za nim kilkanaście kul.

Kozacy uciekali co koń wyskoczy. Swinin dążył za nimi, nie zwracając nawet uwagi na bryczkę jadącą galopem.

— Za późno! Magnusie, za późno! wołał Cezar nabijając pistolety zabrane kozakom ze swojej eskorty; za późno! ucichły wystrzały.

— Otóż tu jeden, naczelnik rozbójników, odpowiedzial furman, nie wstrzymując koni.

Tymczasem Swinin, czując się bezpieczniejszym, wyprostował się na siodle i zaczął przemyśliwać o zemście.

Spostrzegłszy bryczkę z dwoma ludźmi, jak sądził bezbronnymi, zmierzył z pistoletu do furmana i strzelił.

Magnus schylił głowę, kulka przeszyła mu czapkę i ugrzęzła w śniegu.

— Giń więc, nędzniku! krzyknął Cezar, strzelając do niego prawie o kilka kroków.

Gwałtowne wstrząśnienie wskutek raptownego wstrzymania bryczki przewróciło młodzieńca, i kula, przeznaczona dla generała, uderzyła jego konia, który się natychmiast obalił.

Moskal zanurzył się w śniegu; Cezar poskoczył do niego z drugim pistoletem w ręku.

— Nie zabijaj go pan, nie zabijaj, wołał Magnus: jeżeli który z naszych jest więźniem, będzie służył za wymianę.

Generał nie myślał się bronić; był cały siny i pocił się ze strachu.

Obadwa podnieśli go z ziemi i rozbroiwszy, jak bezwładną massę rzucili na bryczkę i odjechali. W kilka minut, stanęli na placu.

Plac był krwią zbroczony i pokryty potrzaskaną bronią i trupami kozaków i koni. W wykopanym przez kozaków grobie dla Kirpowskiego, powstańcy pochowali swoich poległych, a ks. Raskowski odmówił modlitwy. Z wozów Swinina zrzucono łupy skradzione w Atradzie, i umieszczono na nich rannych; umierających zaś Polaków i moskali, wieśniacy do swoich chat zanieśli.

— Mój ojcze! Marto! wykrzykął Cezar rzucając się w ich objęcia; nie spodziewałem się was więcej zobaczyć.

— To ty nas ocaliłeś, odpowiedział Włodzimierz; patrz, nasz grób; był już otwarty, mieliśmy umrzeć.

I przycisnął go do serca.

— Jakto, umrzeć! a kto was skazał na śmierć?

— Swinin, zobaczywszy sztandar Marty, znaleziony przez Krapułowa w ramkach obrazu.

— Podły! A więc on powinien teraz umrzeć.

Tchórzostwo go ocaliło tą razą, rzekł Chusko, uciekł z kilkunastu kozakami.

— A ja ci go bracie, przynoszę. Magnusie, pokaż im naszego więźnia.

Stary furman zdjął koc z bryczki i wyciągnął za nogi człowieka pół–umarłego ze strachu, a rzuciwszy go na ziemię, rzekł:

— Oto morderca naszych braci!

— Niech żyje Cezar! śmierć mordercy! krzyknęli kosynierzy, groźnie potrząsając kosami i siekierami.

Te wybuchy nienawiści zbudziły Swinina z odrętwienia. Twarz miał bladą, przerażoną, ze strachu dzwonił zębami, a oczy wypukłe, zdawały się na wierzch wyłazić z oprawy, czołgał się na kolanach załamując ręce i błagając przebaczenia; niewyraźne jęki wydobywały się z gardła.

— Związać go razem ze zdrajcą, rozkazał Chusko.

Dwaj górale zawlekli go do słupa, do którego pół–nagi Krapułow, był przywiązany.

Jeden z kosynierów zdjął z niego szubę futrzaną; drugi oderwał mu szlify, pas złocony i hełm i rzucił to wszystko pod nogi.

— Jeżeli wierzysz jeszcze w co, módl się i poleć swoją duszę Bogu, rzekł Chusko.

Twarz skazanego skórczyła się obrzydliwie, przytłumiony jęk całą był odpowiedzią.

Krapułow także był tylko trupem żyjącym bez czucia i myśli.

Było to strasznem.

Na rozkaz naczelnika, dziesięciu strzelców stanęło wprost generała.

Ustąpił się tłum wzruszony.

— Przygotuj broń! zakomenderował Chusko.

— Bracie, łaski dla nich! błagała przestraszona Marta.

— Nie, powiedział Chusko, nie zasługują na nią.

I łagodnie ją odepchnął.

– Dla honoru Polski, i twego ojca, łaski! powtórzył Włodzimierz, proszę cię!

I starzec padł do nóg młodego naczelnika.

Chusko odwrócił zwrok i zakomenderował:

— Cel!

— W Imię Chrystusa umęczonego za nas, w imię męczenników polskich pomordowanych za Wiarę, łaski dla prześladowców! rzekł wówczas ks. Raskowski, zasłaniając własnemi piersiami skazanych.

— Ustąp, mój ojcze, ustąp, nie ułaskawili ciebie, nie ułaskawili naszych braci; krew męczenników woła o zemstę! rzekł z uniesieniem Chusko.

– W imię Najśw. Panny, naszej Królowej i naszej Patronki, Tej, która nam dzisiaj dała zwycięztwo, w imię Tej, która przebaczyła katom Swojego Syna,

aski i przebaczenia dla katów Polski! mówił kapłan, vskaznjąc na sztandar ze świętym wizerunkiem.

Adam opuścił szablę i powiódł zwrokiem po cosynierach.

— Przebacz, przebacz, wołali górale, Matka Boska Częstochowska żąda tego.

— Dobrze! w imię Najśw. Panny i w imię Jej Jkrzyżowanego Syna, rozwiązać morderców.

Ogólny okrzyk radości był odpowiedzią na rozcaz naczelnika.

Przecięto więzy.

Oparci o słup więźniowie, chwilę stali nieporuzeni, jakby nie rozumieli co się z nimi działo.

Swinin pierwszy przyszedł do siebie. Padł do ıóg kapłana i całował je, płakał jak dziecko i wieczną vdzięczność przysięgał.

— To tylko w imię Matki Boskiej Częstochowskiej, czczonej tak przez Rosyan jak i przez Polaków, v imię Jej Ukrzyżowanego Syna miłowanego przez obydwa narody, przebaczają ci nasi bracia, powiedział Chusko. Czy wierzysz w Pana Boga i w Najświętszą Pannę?

— Wierzę, odpowiedział Swinin.

— Przysięgnij więc na te święte Imiona, że po naszem odejściu, nie zniszczysz tej wioski; przysięgnij uszanować ten kościół, niedopuścić rabunku, podpalania i morderstw.

— Na Chrystusa Pana i Najświętszą Jego Matkę, przysięgam to uczynić.

— A jeżeli z twojej przyczyny krew choćby jednego mieszkańca popłynie, gdyby chociaż jeden został więźniem, sam się skażesz na straszną karę.

— Przysięgam to na zbawienie wieczne! powtórzył kłaniając się nizko.

— Pod tymi warunkami jesteś wolnym, lecz biada ci, gdybyś złamał przysięgę.

— Niech mnie żywcem piekło pochłonie, jeżeli ją złamię, rzekł Swinin podnosząc rękę ku niebu.

Chusko spojrzał na ks. Raskowskiego i smutnie się uśmiechnął.

— Czy wielebny ojciec pójdzie z nami? zapytał.

— Nie, odpowiedział kapłan, zostanę z moją owczarnią. Niech was Bóg błogosławi i nagrodzi, moje dzieci.

— Naprzód, dzielni towarzysze! zakomenderował Adam; w innem znów miejscu, czeka nas walka i śmierć.

I powstańcy uszykowawszy się w szyku bojowym w około bryczek z rannymi, zaśpiewali „Boże coś Polskę". Wsiadł także do bryczki stary Włodzimierz, jego córka Marta z dumnie wzniesionym sztandarem, i lekko w nogę ranny Grzegorz.

Przed odejściem, wódz Kosynierów obróciwszy się, rzekł:

— Swininie, pamiętaj na twoją przysięgę.

— Niech będę przeklętym, jeżeli nie dotrzymam słowa! rzekł generał, podnosząc rękę.

W chwilę później, zwycięzki oddział, powiększony wieśniakami z Atrady, znikł w gęstwinie leśnej. W wiosce pozostali starcy, niewiasty i dzieci.

— Ojcze, rzekł wówczas wójt do ks. Raskowskiego, trzeba-by schować naczynia poświęcone służbie Bożej, bo moskale nadciągają.

— Więc myślisz, że pomimo swojej przysięgi . . .

— Właśnie dlatego, jestem pewnym, odpowiedział starzec.

I wskazując ręką generała wychodzącego z Krapułowem naprzeciw kolumny, dodał:

— Idzie przygotować zemstę.

— Spełniliśmy chrześcijańską powinność, rzekł kapłan, wchodząc do kościoła, a wziąwszy Przenajświętszy Sakrament, pospieszył do umierających.

Zaledwie kwadrans upłynął jak zacny ksiądz proboszcz chodząc od chaty do chaty, udzielał konającym powstańcom Komunię św., a wszystkim rannym bez wyjątku, pomoc, stosowną do ich smutnego stanu, gdy naraz gwałtowne wstrząśnienie, połączone ze strasznym hukiem zachwiało domy i potrzaskane szyby z brzękiem padały.

To kolumna moskiewska wchodząc do wioski, strzelała kartaczami, a na rozkaz Swinina, kozacy i grenadyerzy zbliżali się szybko w szyku bojowym, z nastawionymi pikami i bagnetami do ataku, dla wzięcia szturmem opuszczonej wioski.

— Mordować, rabować, palić, — hulajcie dzieci! wrzeszczał Swinin, pieniąc się ze złości. Śmierć rozbójnikom! śmierć mordercom!

To stało się w przeszło 50 wioskach. — Patrz Dzienniki, z 1 2 i 3 Stycznia.

Dzicz była posłuszną: wywalała drzwi, rozbijała meble, kłuła i siekła każdego bez litości. Nieszczęśliwi wieśniacy niespodzianie napadnięci w swoich chatach, tak okrutnie zostali bagnetami podziurawieni, że nie podobni byli do ludzi. Niektórzy z nich, przywiedzeni do szaleństwa biegli ku kościołowi, wydając jęki rozdzierające serce.

Podczas tej rzezi, ks. Raskowski opatrywał rany pułkownika Liskiego, któremu góral jednym cięciem kosy, prawie odciął lewą rękę.

— Mój bracie, rzekł kapłan do rannego, mordują moją owczarnię, muszę ją pójść ocalić; wrócę do ciebie jeżeli będę mógł.

Ze zdumieniem spojrzał ranny na sługę Bożego. Dotychczas nie widział żadnej różnicy pomiędzy kapłanem katolickim i schizmatyckim popem, głupim, brutalnym i bojaźliwym.

To było nowem dla niego zjawiskiem.

— Mój ojcze, rzekł podnosząc się na łóżku, będę ci towarzyszył; podtrzymuj mnie.

— Nie możesz chodzić, mój synu; pozostań tutaj, ja zaraz wrócę.

— Jeszcze nie wszyscy Rosyanie są krzywoprzysiężcami i niewdzięcznymi! zawołał z uniesieniem pułkownik, prostując się nagle. Ocaliłeś mi życie, nieopuszczę mego dobroczyńcy w chwili niebezpieczeństwa.

— Panie, rzekł kapłan, wznosząc ku niebu załzawione oczy, stokrotnie zapłać temu szlachetnemu

człowiekowi, dług wdzięczności za pasterza i jego owczarnię.

Nieugięty pułkownik szedł rozjątrzony, widząc straszne do koła zniszczenie.

Swinin na koniu, z zapłonioną twarzą, z pianą na ustach, poprzedzał katów, a wrzaskiem i groźbami, podburzał ich do rzezi.

Spostrzegłszy kapłana w komży i stule, idącego ku sobie, jak niegdyś Biskupi wychodzili przeciw barbarzyńcom, wstrzymał konia zdumiony i tyle zuchwały, że zawołał:

— Co chcesz odemnie, suki synu?

— Przypomnieć ci twoją przysięgę, generale, rzekł kapłan.

— I żądać łaski dla tych, którzy nam ocalili życie, excellencyo, dodał Liski.

— Ach! pułkowniku, otóż i pan zostałeś adwokatem, ryknął Swinin; lecz pan wiesz, że chcąc mówić ze mną, trzeba być w uniformie, a pański ubiór jest zanadto zaniedbany. Kapitanie Pilardow, każ zanieść tego człowieka do ambulansu, a wy, kozacy, osmagać mi tego naczelnika zbójów.

Żołnierze wahali się.

— Słuchać! wrzasnął generał.

— Ojcze,* nie możemy tego uczynić, wielu grenadyerów zawołało; jest księdzem, nie możemy go bić.

— Bałwany, boicie się księży; ja wam pokażę jak się ich bije.

* Historyczne. — Dzienniki, tom III, strona 49.

I wyrwawszy jednemu z kozaków nahajkę, ciął nią po twarzy i plecach kapłana, który ocalił mu życie.

— Zabij mnie, lecz oszczędź niewinnych, rzekł sługa Boży, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, a mówił to z taką powagą i spokojem, że kat ze złotemi szlifami po raz pierwszy uczuł coś nakształt wstydu.

Żołnierze, nie przyzwyczajeni jeszcze przelewać krwi księży, głośno szemrali. W parę miesięcy później, mało co sobie z tego robili.

Trzeba było jednakże zachować się przyzwoicie. Swinin zemściwszy się w sposób okrutny, odegrał rolę wspaniałomyślnego.

— Ty i wszyscy twoi, po tysiąc razy zasługujecie na śmierć, powiedział; wszelako, stosując się do najłaskawszych poleceń najjaśniejszego naszego monarchy, daruję wam życie. Idź do tych wszystkich, których swojemi jadowitemi słowami w błąd wprowadziłeś, i powiedz im, żeby opuścili swoje chaty. Miasteczko, w którem zuchwale pomordowano wiernych żołnierzy najjaśniejszego monarchy, musi być ogniem oczyszczone. Pójdź precz!

— Biedny lud, skazany na pewną śmierć z głodu i zimna! szeptał kapłan, ze spuszczoną na piersi głową.

I szedł do kościoła oznajmić zebranemu tam ludowi, straszny wyrok śmierci.

— Moje dzieci, rzekł wchodząc, upadnijmy po raz ostatni przed tym ołtarzem, i uwielbiajmy, bez

szemrania, chłoszczącą nas prawicę. Moskale spalą naszą wioskę.*

I padłszy na kolana, wyciągnął ręce ku niebu, i głosem rozdzierającym serce, po trzykroć zawołał:

„*Parce, Domine, parce populo tuo;*"

„Oszczędź, Panie, oszczędź Twój lud;"

— I odwróć od nas zagniewaną prawicę Twoją, Boże! odpowiedziały niewiasty i starce.

Potem, wszyscy wyszli na krwią zbroczony plac. Matki szlochając, dzieci do piersi tuliły; starcy z niemą rozpaczą opuścili na piersi białe jak śnieg głowy; w pośród nich stał ksiądz Raskowski i modlił się.

Moskale postępowali ciągle naprzód, rabując, tłukąc i paląc; za nimi pozostawały płomienie pochłaniające chaty. Ogromne kłęby dymu wznosiły się raz czarnym słupem pod niebiosa, jakby wzywały Boga na świadka, to znowu pędzone wiatrem, toczyły się po nad wioską jaśniejsze i przeplatane czerwonawym płomieniem, a wśród łoskotu walących się krokwi, słyszano dzikie wycia podpalaczy i niekiedy bolesne jęki rannych, błagających pomocy.

Kozacy unosząc wszystko co dało się zrabować, nie starali się nawet ocalić umierających swoich towarzyszy.

W ten sposób przyszli na plac kościelny. Dom Boży był murowany, więc jego ściany opierały się pożarowi.

---

* Prawdziwe.

— Na dzwonicę! wrzasnął Swinin.

Kozacy skoczyli z pochodniami do wnętrza Świątyni i wdarli się po schodach na wieżę.

Niemy z przerażenia tłum wieśniaków, cofał się wolno przed falą bagnetów; wszystkich spojrzenia były zwrócone na świątynię.

Naraz, kłęby czarnego dymu wydobyły się na wierzch i otoczyły dzwonicę; płomienie zabłysły wszystkiemi szparami, nastąpił wybuch podłożonych prochów, zabrzmiał po raz ostatni wstrząśnięty dzwon, i na szczycie wieży zajaśniał krzyż jak złoto w rozpalonym piecu, potem pochylał się zwolna, i głuchy łoskot dał się słyszeć.

— Tak zginie religia katolicka! rzekł Swinin; tak zginie . . . .

— Precz! precz, generale! wołał Pilardow; precz, kozacy! dzwon . . . .

Nie miał czasu dokończyć; niezmierna massa bronzu wyleciawszy przez rozpadliny muru, z wielkim hałasem spadła na kamienie i roztrzaskała się jak bomba, raniąc odłamami wielu żołnierzy.

W parę sekund potem, zawaliła się również chwiejąca się wieża, załamała dach, i pół-zniszczony już kościół gorącym gruzem napełniła.

Z pięknej i ludnej Atrady, nic nie pozostało jak tylko zwęglony popiół na zbroczonym krwią śniegu, osmolone zgliszcza, pokaleczone trupy i trochę ludności w żałobie, nielitościwie nahajkami kozaków pędzonej na pokryte lodem pola, aby tam, bez dachu, bez

chleba, bez żadnych zasobów do życia, konać powoli w uściskach głodu i zimna.

Swinin przebaczył, i porządek został przywrócony.

Piekielna kolumna posuwała się dalej, wyludniając kraj; za nią postępowały wozy, których mniejsza część służyła dla przewiezienia rannych, większa zaś, na łupy.

Żydzi jechali za niemi. Abraham już zrobił kilka dobrych interesów, lecz jego zapasy wódki zaczęły się wyczerpywać.

Szczęściem Swinin, nie znając dobrze kraju potrzebował pewnego przewodnika, aby nie w pakować się w niepodobne do przebycia wąwozy lub gęstwinę leśną, gdzieby mogli powstańcy zniszczyć jego armię. Wybrał więc Abrahama znającego doskonale okolicę, a żydowskie wozy były zakładem jego wierności.

Milioner torturowany przez moskali i ojciec, któremu zamordowali piękną córkę, porwali syna i spalili dom, za bardzo małą część łupu, zgodził się na haniebny handel.

Odtąd pochód piekielnej kolumny był pewnym i śmiałym, a każdy ze swoich etapów, znaczyła ona rabunkiem i pożogą; dwory, folwarki, pałace i wioski stawały się łupem płomieni.

W Suchedniowie, na drodze z Radomia do Kielc, mały oddział powstańców zdybany niespodzianie przez moskali, zdołał wymknąć się podczas nocy, zostawiając dwóch rannych, których kozacy podziurawiwszy jak przetak pikami, powiesili.

W tem mieście, tak jak wszędzie gdzie sprawiedliwość moskiewska przeszła, ani jeden dom nie został, tylko, czarnemi zgliszczami pokryta pustynia została.

Idąc z Suchedniowa do Wąchocka, trzeba było przejść parę wiorst lasu. Moskale wiedzieli że na tym punkcie jest rozrzuconych kilka oddziałów powstańczych jako zawiązek przyszłej armii narodowej, pod rozkazami generała Maryana Langiewicza.

Aby więc za jednym zamachem zniszczyć wszystkich powstańców, wysłano z Kielc silną kolumnę, która w Miechowie połączyć się miała z wojskami Swinina.

— Excellencyo, rzekł Pilardow do Swinina, skoro tenże dał rozkaz ruszenia w pochód, najmniej o dwie godziny wyprzedzimy kolumnę idącą z Kielc.

— Właśnie, oto mi idzie, rzekł generał; Mitwed dowodzi posiłkami; miasto nie jest bogate, a jeżeli przybędziemy w jednym czasie, trzeba-by się z nim dzielić łupami; spóźniwszy się, nie pozostanie nam nawet kości do ogryzienia.

— W drogę więc, Excellencyo, byśmy byli pierwszymi; zresztą, będzie nas dziesięciu na jednego, i powstańcy nie mają artyleryi.

Polacy wprawdzie nie posiadali armat, mieli jednakże dwóch dzielnych dowódzców Maryana Langiewicza i Chuskę, świeżo wyostrzone kosy, i zapał bohaterskich męczenników.

Już poprzedniej nocy kosynierzy Adama połączyli się z braćmi; czekano tylko na oddział Narbuta.



XIII.

Bitwa pod Wąchockiem.



Na szczycie żółtawej i czerwonawej góry, bogatej w żelazo i od wieków dostarczającej rudy do sławnych w kraju lejarni, wznosiło się parę lat temu, bogate i przemysłowe miasto, nad którem, jakby posępna forteczka o wysokich murach, panował klasztor Ojców Cystersów.

Był to Wąchock.

Dzisiaj nic nie pozostało z tego miasta, jak tylko ściany murów klasztornych zczerniałe od pożaru, kupa gruzu i kilka kolumn każdej wiosny coraz więcej przez topniejące śniegi, zagłębiających się w odmiękłej ziemi.

Z domów, z hut żelaznych, z obszernego kolegium i pamiątkowego kościoła, śladu nawet nie zostało.

Miejsce, na którem niegdyś stało to piękne i za możne miasto, wyglądało teraz zdaleka jak ogromna blizna. Sprawiedliwość moskiewska przeszła tamtędy

i trawa, zdeptana końskiemi kopytami potomków Atylli, nie wyrosła.

Moskale zowią to cmentarzysko *Przeklętem—Polem*. Polacy ze czcią je witają i nazywają *Wzgórzem—Męczenników*.

U stóp tej góry, jak okiem sięgnąć daleko, ciągnie się płaszczyzna pokryta leśnemi wzgórzami, po nad któremi jak olbrzym wznosi się Swiętokrzyzka góra.

W Lutym 3, 1863, miasto Wąchock już od kilku dni było zajęte przez powstańców, pod wodzą sławnego generała Maryana Langiewicza.

Urodzony w Poznańskiem 1827, był z kolei studentem, wojskowym i profesorem matematyki. W Paryżu zjawił się w chwili, gdy nadeszły wiadomości z Warszawy o brance nocnej. Całą duszą patryota, spodziewał się że naród na ostatnią obelgę odpowie okrzykiem do broni i zmaże w krwi wrogów wyrządzoną zniewagę. Krew braci płynęła; pragnął umrzeć wraz z nimi, i natychmiast opuścił Paryż.

W kilku dniach po przejściu granicy, udało mu się zebrać niewielki oddział ze zbiegów przed poborem, robotników i studentów; na czele tych ochotników, wytrzepawszy po kilka razy skórę oddziałom moskiewskim, ścigającym go, napadł niespodzianie garnizon rosyjski w Wąchocku i rozbrojony wypędził z miasta, w którym główną kwaterę założył.

Pod miastem stało obozem jego wojsko. Był to pierwszy zawiązek armii narodowej. Liczyła ona już 1,500 żołnierzy, albo raczej patryotów, gdyż składała

się ze starców których siły już nieodpowiadały odwadze, z dwunasto i piętnastoletnich dzieci zbiegłych ze szkół albo przybyłych z rodzicami, i kobiet opiekujących się rannymi.

Na wieży klasztornej powiewała chorągiew z Matką Boską Częstochowską i białym orłem. Klasztor ten, od dawien dawna zamieniony przez moskali na koszary, obecnie był główną kwaterą polskiego generała.

Powiew wolności przeleciał nad miastem; w każdym zakątku czuć było życie, radośny zapał, przygotowania wojenne i słychać było śpiewy religijne lub patryotyczne.

Na ulicach tak jak i na placu mnóstwo kręciło się nieustraszonych ochotników o siwych brodach lub jeszcze bez wąsów, lecz dumnych z niebieskiej bluzy z amarantowemi wyłogami, lub z wytartego munduru strzelca, w kołpakach lub krakuskach.

Tu podjazd kosynierów z przypiętemi łyżwami biegnie na zwiady; tam nowo-umundurowani ułani jadą na mustrę, lub rekruci wracając z pola ćwiczeń, z dumną niezgrabnością robią obroty; tu znowu konni ordynansi, z jednych koszar do drugich, pędzą galopem.

O każdej godzinie, pojedyńczo lub gromadkami, przychodzą ochotnicy, bądź to z miast i wiosek zniszczonych przez moskali, bądź od granicy austryackiej lub pruskiej, żądając broni i walki.

Oparty na baryerze niewielkiego placu zkąd widok był rozległy na płaszczyznę, mężczyzna trzydzie-

sto–sześcio letni, o szerokiem czole i myślącem oku, patrzał przez lunetę raz na pole ćwiczeń, to znowu na bory, jak gdyby chciał zbadać ich głębie.

W tył odrzucił burkę, i jakby nie czuły na przejmujące zimno, zdawał się tylko jedną myślą zajęty.

Za nim, trzymając za uzdeczkę konia, stał adjutant wsparty na pałaszu, czekając na rozkazy wodza.

— Przecież! rzekł nagle generał, składając gwałtownie lunetę.

— Narbut czy Chusko? bojaźliwie zapytał oficer.

— Kosynierzy Chuski, odpowiedział Langiewicz; obawiałem się czy nie zostali zgnieceni przez Swinina. Idą lasem; uprzedź Sokoła że nasi przyjaciele idą do Miechowa; i tam zatrzymają się.

— Jeździec lekko jak ptaszek wskoczył na konia i cwałem popędził we wskazanym kierunku, gdy tymczasem generał zwrócił spojrzenie w stronę, z której miał przybyć Narbut ze swoim oddziałem.

Na blado niebieskiem niebie spostrzegł coś nakształt białawego dymu.

— Nędznicy! rzekł wolno i z goryczą, przecięli drogę naszym przyjaciołom. Jednę więcej wioskę palą i braci naszych mordują: Matko Boska Częstochowska, Patronko uciśnionych, błogosław nam!

Chwilę jeszcze postał nieruchomy, potem wolnym krokiem idąc do klasztoru, wszedł do małej celki, mającej za całe umeblowanie pęk słomy, dwa stołki i stół dębowy, na którym leżały rozrzucone papiery i mapa województwa Sandomierskiego.

Przy drzwiach tego pokoiku, dwóch żołnierzy, z bronią przy nodze, stało na warcie.

Krótko popatrzał Langiewicz na mapę i uderzył pochwą swojej szabli w podłogę.

Wszedł żołnierz.

— Czy jest Bolesław Tokoło? zapytał wódz.

— Jest, generale.

— Niech przyjdzie.

I znowu popatrzał na mapę.

Prawie w tej chwili wszedł człowiek w wieku generała, o chudej twarzy, rysach grubijańskich i dzikich, z silnemi zmarszczkami na czole, z dużym wąsem i brodą ostrzyżoną jak szczotka.

— Jestem, powiedział.

— Znasz okolicę, Bolesławie?

— Już dwadzieścia lat poluję w tych lasach, odpowiedział.

— Boisz się śmierci?

Strzelec zrobił ramionami ruch przeczący.

— Uprzedzam cię, że prawdopodobnie zginiesz.

— Dobrze, generale.

— Nie, to nie jest dobrze, ponieważ potrzeba abyś naprzód spełnił polecenie, od którego zależy ocalenie jednego z naszych oddziałów.

— A więc, nie zabiją mnie, aż potem, generale; daj pan rozkaz.

I wyciągnął rękę.

— Tych rozkazów nie piszę, rzekł Langiewicz; mogłyby wpaść w ręce nieprzyjaciół. Oto jest biały

papier znakiem, który Narbut rozpozna; chociaż cię zna oddawna jako dobrego patryotę, będzie to twój list uwierzytelniający. A teraz, słuchaj uważnie i niezapomnij.

„Powiesz Narbutowi, żeby przyszedł ze swoim oddziałem natychmiast; moskale zbliżają się, nie ma czasu do stracenia. Gdyby nadszedł podczas walki niech, nie szukając mnie, naciera na nieprzyjaciela o strony wioski, jeżeli przeciwnie, nic nie usłyszy, niech wprost idzie do Wąchocka. Niezapomnisz?

— Nie, generale.

— Weź łyżwy, w lesie, lepsze są one niż koń i niezapomnij, że kozacy plądrują w okolicy.

— Przy pomocy Boskiej, przejdę, odpowiedzia strzelec, chowając papier za podszewkę czapki.

Langiewicz wydawszy jeszcze parę rozkazów w szedł i w towarzystwie dwóch ułanów, pojechał d Miechowa.

Około 250 Kosynierów, dumnych ze świeżo o niesionych dwóch zwycięztw, z rozwiniętym sztand rem, niepomnych o głodzie i znużeniu, radośny okrzykiem powitało braci, dążących na ich spotkan

Langiewicz i Chusko serdecznie uścisnęli so ręce.

— Witaj mi, bracie, rzekł generał; nie spodz wałem się ciebie tak prędko.

— Obawiałem się przybyć zapóźno na pole twy, odpowiedział Chusko. Kolumna moskiew idzie na Wąchock.

— I będzie tu jutro, odpowiedział generał. Ze szczytu skały widać pożar wiosek, które pali w swoim pochodzie.

— Tak, mordują i palą wszystko. W Atradzie kamień na kamieniu nie został, mego teścia wraz z całą rodziną i służbą już mieli rozstrzelać, gdy Kosynierzy w sam czas przybyli aby im życie ocalić. Swinin przysiągł oszczędzić mieszkańców i wioskę.

— I zostawiłeś tam krewnych? zawołał przestraszony Langiewicz.

— Nie, wszyscy przyszli ze mną walczyć w szeregach narodowych.

— I dobrze zrobili, ponieważ z Atrady zostały tylko ruiny; mieszkańcy wypędzeni nahajkami kozaków, po strasznej nocy spędzonej w lesie gdzie niewiasty i dzieci pomarzły, przy pomocy napotkanego oddziału strzelców, dostali się do sąsiedniego folwarku.

— Czy pewnym jesteś bracie, o tej nowej Swinina zbrodni?

— Zapytaj naszych strzelców, oni mi o tem donieśli.* Zresztą, potem co sam własnemi oczami w Rawskich lasach widziałem, a przedewszystkiem w Tomaszowie, nic mię nie dziwi; przybywszy w parę godzin po bitwie, w której moskale znieśli oddział powstańców, za każdym krzakiem słyszałem bolesne jęki umierających tak podziurawionych pikami, że nie

---

* Dzienniki, Tom I, strona 57. Opowiadanie naocznego świadka.

podobna było ich rozpoznać; tak postąpili moskale z rannymi. Co zaś do więźniów, tych zwycięzcy nie zaprowadzili do miasta; znaleźliśmy biedaków na wyrębie, po trzech, plecami do siebie związanych, z potrzaskanemi głowami, leżących w skrzepłej kałuży krwi.

— A jednakże przysiągł, na zbawienie swej duszy!....

— Przysiągł, Swinin? Tak, przysiągł po moskiewsku, to jest okłamał Boga i ludzi.

— Byłbym lepiej zrobił, gdybym go był rozstrzelał, szepnął Chusko, smutnie zwiesiwszy głowę; sądziłem, że ten potwór ma jeszcze trochę honoru, i jestem winnym krwi niewinnie przelanej.

Nic nie odpowiedział generał; przyglądając się dzielnym ochotnikom maszerującym pewnym i równym krokiem, jak starzy żołnierze.

Każda dziesiątka, przechodząc obok generała, prezentowała broń z okrzykiem: Bóg i Polska!

Langiewicz salutował szablą.

Teraz szli Kosynierzy, poprzedzani przez Szczepana, z kosą w ręce i gęślą na ramieniu.

— To jest mój kuzyn, paryżanin, rzekł Chusko, wskazując generałowi Cezara, żołnierze obrali go porucznikiem za to, że wziął do niewoli Swinina.

— Niech żyje Francya! krzyknął Langiewicz.

— Niech żyją Francya i Polska! odpowiedział pluton.

— A gdzież są twoi szwagrowie? spytał Adama generał.

— Jeden jest w oddziale tyralierów, drugi na wozie z rannymi.

— Ciężko ranny?

— Nie, otrzymał kontuzyę w nogę; lecz życzyłem sobie aby oszczędzał sił do przyszłej walki.

— Dobrze zrobiłeś. Ach! otóż i tyralierzy. Lecz cóż to za dziecko niesie piękny wasz sztandar?

— To jest Marta, moja bratowa, Joanna d'Arc polska,[1] przysięgła umrzeć w obronie sztandaru zrobionego swemi rękami.

— I pewnie, ta szlachetna dziewica chce walczyć w twoim oddziale?

— Nie, generale, ma stały zamiar dostać się do oddziału Narbuta, swego narzeczonego.

— Jedna więcej bohaterka, rzekł generał zwracając się do swego adjutanta.

— Chusko nie rozumiejąc co chciał generał powiedzieć, spojrzał na zapłonionego adjutanta.

— Widząc to generał dodał: ponieważ mój adjutant nazywa się panna Pustowojtów,[2] i jest córką oficera rosyjskiego. Urodzona w religii prawosławnej, popełniła zbrodnię zostając katoliczką.

— Prawdziwie, rzekł Chusko, zrzec się religii panującej i przyjąć prześladowaną, trzeba mieć męztwo pierwszych chrześcijan.

— Rosyjscy popi oskarżyli ją i podpadła surowej karze. Uwięziono ją naprzód w Lublinie, potem

1 Joanna d'Arc, bohaterka francuzka w walce z Anglikami.
2 Historyczne,

przesiedziała jedenaście miesięcy w lochu w Zamościu, i z rozporządzenia świętego i ojcowskiego Synodu prawosławnego, miano ją odesłać do schizmatyckiego klasztoru w Kijowie i tam męczyć aż do śmierci. Szczęściem, 24 Stycznia spotkałem w lasach lubelskich konwój kozaków, prowadzący więźniów. Bóg nam pobłogosławił i odnieśliśmy zwycięztwo. Niespodzianie zaskoczeni przez nas moskale, rzucając broń, ratowali się ucieczką. Pomiędzy ofiarami znajdowała się panna Pustowojtów i jej wuj, ten oto stary oficer, który przy niej stoi. Pozostali z nami, i dziś pełnią obowiązki adjutantów.

— Niespodziewałem się zastać Rosyan w twoim oddziale, bracie, rzekł Chusko.

— Jest tu ich kilku; lecz ze wszystkich cudzoziemców, najdzielniejsi są Francuzi.

— Bóg i Polska! krzyknęli strzelcy, przechodząc.

Langiewicz ściskając z uczuciem rękę swego przyjaciela, rzekł:

— Bracie, przy Bożej pomocy z twymi żołnierzami, możemy liczyć na zwycięztwo; a jakikolwiek los nas spotka, czy będziemy zwycięzcami lub zwyciężonymi, tam w górze napisano: *Polska nie zginie!*

Za oddziałem, pomiędzy dwoma ostatniemi dziesiątkami, jechały wozy, poprzedzane bryczką powożoną przez Magnusa.

— Otóż i mój teść, Władysław Kirpowski, rzekł Chusko w chwili, gdy starzec witał ukłonem generała.

Langiewicz zbliżył się do dziedzica, a przechylając się na koniu, z szacunkiem podał mu rękę.

— Już jestem za stary do walki, generale, rzekł Włodzimierz ze smutnym uśmiechem, lecz przyprowadzam całą moją rodzinę i proszę, byś mi pan pozwolił umrzeć pod cieniem narodowego sztandaru, z twarzą zwróconą ku wrogom.

— Doświadczenie nigdy się nie starzeje, panie Kirpowski, odpowiedział generał; w każdej armii, oprócz silnych ramion, potrzeba także i głowy, a pańskie rady, być może, daleko więcej przyczynią się do zwycięztwa aniżeli kosa, którą pan władać nie możesz. Za godzinę zbierzemy się na naradę, i jeżeli zmęczenie panu nie przeszkodzi, spodziewam się, że zechcesz być na niej obecnym.

— Jesteś pan wodzem tutaj, i cokolwiek mi rozkażesz, będę posłusznym.

Generał skłoniwszy się starcowi, zwrócił się do adjutanta.

— Zaprowadzisz konwój do klasztoru, dasz celkę temu panu zaraz obok mojej, i broń przywiezioną na wozach każesz złożyć na podwórzu koszar; potem, zajmiesz się panną Kirpowską, chorążem naszych braci. Do jutra uwalniam cię od wszelkiej innej służby.

I zawróciwszy konia, pojechał do obozu.

W około wielkich ognisk, żołnierze z obydwóch oddziałów siedząc grupami, opowiadali sobie swoje awantury, cierpienia, zwycięztwa i nadzieje.

Przechodząc obok jednej z takich grup, zkąd dochodził głośny wybuch śmiechu, Langiewicz trącił swego towarzysza w ramię i rzekł:

— Patrz, bracie, jeżeli się nie mylę, twój kuzyn spotkał znajomego pomiędzy Francuzami.

I w istocie, Cezar spotkał pomiędzy żuawami, kolegę ze szkoły sztuk pięknych, z dobrem sercem chłopca.

— Widzisz, mój drogi, rzekł Horacy Vernet do Cezara, my Francuzi, jesteśmy stworzeni do bagnetu. W pierwszej bitwie mieliśmy jeden karabin na dwóch; więc powiedziałem memu towarzyszowi, daj mi bagnet, a sobie zatrzymaj karabin, osadziłem tedy mój bagnet na długim dębowym kiju, i dalej naprzód, marsz!

— I jakiż był rezultat? zapytał Cezar,

— Doskonały, mój drogi, dwa wyborne karabiny z bagnetami i siedmdziesiesiąt naboi. Patrz, oto jedna z tych, ma jeszcze numer grenadyera; lecz zapewniam cię, że jej właściciel nie przyjdzie upomnieć się o nią.

— Jest to łatwy sposób nabycia broni.

— Łatwy, tak, lecz nie bardzo zdrowy. Pierwszą razą dostałem draśnięcie w piersi, drugą razą w lewe ramię, lecz za trzecią. . . . Ach! patrz, co to za miły staruszek, z białym włosem, w kożuszku i z długą kosą. Możnaby powiedzieć że to jest *Czas* przedstawiany w kalendarzach.

— Jest to Magnus, weteran z wielkiej armii, furman mego stryja Kirpowskiego a który. . . .

— Ach! prawda, zapewne jesteś żonatym z panną Famea, Damea; zresztą, wiesz dobrze, wszak mówiłeś mi w Paryżu.

— Nie, nie jestem jeszcze żonatym, szybko odpowiedział Cezar, rzucając do koła niespokojnym wzrokiem i zmienił przedmiot rozmowy.

O dziesięć kroków od niego, Chusko, Langiewicz i Sokół, z ożywieniem rozmawiali.

— Jednakże, niezaspokojony Horacy, mówił, przecież nie śniłem . . . .

— Pst, rzekł porucznik Kosynierów, oto jej mąż.

— Ach! rozumiem, przyjechałeś zapóźno; lecz powiedz mi . . . .

Głos trąbki przerwał rozmowę z wielkiem zadowoleniem Cezara.

— Wołają mnie na wartę; do widzenia. Służba przedewszystkiem, rzekł Horacy, zarzucając karabin na ramię.

Prawie w tej samej chwili, chorąży Kosynierów przeszedł z adjutantem generała. Dwie dziewice rozmawiały z sobą jak stare znajome.

Wielki chart kręcił się radośnie w około swej pani.

— Nip! zawołał Cezar.

— Wzięty był do niewoli przez kozaków Swinina, mówiła ucieszona Marta; biedne zwierzę, przegryzło sznurek i mnie znalazło.

Potem Marta ze swoją przyjaciółką poszły zwiedzić obóz, a Cezar usiadł przy ogniu obok Magnusa, opowiadającego młodzieży swoje przygody z 1812 r.

Jeszcze wielka armia nie przeszła granicy, gdy Cezar otulony burką, zasnął snem błogosławionych.

Tymczasem Langiewicz, Chusko, Sokół i znaczniejsi oficerowie zebrali się na naradę w dawnym refektarzu klasztornym.

Włodzimierz Kirpowski obecny na zgromadzeniu wypowiedział swoje zdanie, które naczelnicy z szacunkiem przyjęli.

Położenie było dość krytycznem; zjednoczona armia w Wąchocku, zaledwie 2,000 żołnierzy, po większej części w kosy i siekiery uzbrojonych, liczyła. Broń to była wyśmienita w walce, gdy szło na ostrze pałasza, ale bezskuteczna przeciw karabinowym strzałom grenadyerów, a przedewszystkiem, przeciw artyleryi.

Wszystkich polskich strzelców było zaledwie pięciuset, z których każdy miał tylko ośm do dziesięciu ładunków, nowo zaś uformowanych ułanów był szwadron.

Co zaś do trzystu świeżo przybyłych rekrutów, ci byli zupełnie bezbronni i mogli tylko zastępować poległych braci w początkach bitwy, lub zbierać z pola i opatrywać rannych.

To była cała siła armii narodowej.

Swinin otrzymał rozkaz zgnieść tę bohaterską garstkę. Dla łatwiejszego osiągnięcia celu, porozumiał się ze swoim kolegą z Kielc, generałem Mitwedem, którego z powodu okrucieństw i zwierzęcej odwagi, armia przezwała *Szarym–Niedźwiedziem.*

Kolumna Swinina, powiększona garnizonami z Piotrkowa i Radomia, liczyła tysiąc konnicy kozackiej i dragonów, dwa pułki grenadyerów, każdy po

1,500 ludzi, i sześć armat. Każdy żołnierz otrzymał sześćdziesiąt ładunków, a jaszczyki wrazie potrzeby, mogły dostarczyć raz jeszcze podobną ilość każdemu.

Siła generała Mitweda, tak w kawaleryi jak i w piechocie, wynosiła dwa tysiące pięćset ludzi i trzy armaty.

A więc sześć tysięcy pięćset żołnierzy dobrze wyćwiczonych i doskonale uzbrojonych, miało się spotkać nazajutrz z tysiąc pięciuset ochotnikami źle uzbrojonymi, źle odzianymi i źle karmionymi.

Przeszło czterech na jednego.

Tymczasem Langiewicz, pełen ufności, liczył jeszcze na zwycięztwo; prawda, że także liczył na posiłki Dzieci Rozpaczy, pod dowództwem nieustraszonego Narbuta.

Jedna rzecz go tylko dziwiła, to jest, że chociaż już od kilku dni uwiadomiony, nie przybywał. Oczekiwał go jednakże każdej chwili, i, dla przyspieszenia jego przybycia, wysłał. . . . Bolesława Tokoło.

Z Dziećmi Rozpaczy, zwycięztwo było więcej niż możebnem, było pewnem.

Rada wojenna trwała już od kilku godzin.

Postanowiono, że nim przybędą posiłki, powstańcy ograniczą się na bronieniu każdej piędzi ziemi swoich pozycyi, bez wystawiania się na niebezpieczeństwo w otwartem polu, tak, żeby w danej chwili, mogli działać zaczepnie, na wszystkich punktach odrazu.

W razie niepowodzenia, gdyż wszystko trzeba było przewidzieć, cofałaby się armia w dobrym porządku, ku górom Swiętokrzyskim.

Chusce, Prendowskiemu i Kosuskiemu, oddano komendy nad Kosynierami, strzelcami i ułanami.

Sokół miał prowadzić podjazdy, Langiewicz kierować bitwą.

Nazajutrz, 4. Lutego, jeszcze przed wschodem słońca, zatrąbiono pobudkę, i zaraz potem do zbioru; Polacy uzbrojeni i uszykowani w bataliony, stawili się wszyscy, wyjąwszy straży i głównych wart; potem, na placu w Wąchocku sformowali kolumnę bojową, wprost drzwi kościelnych szeroko otwartych.

Ołtarz był ozdobiony sztandarami i oświetlony jak w dnie świąteczne.

Msza św. rozpoczęła się zaraz, wśród ogólnego wewnętrznego skupienia ducha i głębokiego milczenia, przerywanego jedynie głosami dowódzców komenderujących: Na kolana! prezentuj broń!

W chwili gdy kapłan, stojąc w pośród tego klęczącego tłumu, podniósł ku niebu Przenajświętszą Hostyę, wszystkie czoła i sztandary pochyliły się przed Tym, który sam tylko, mógł dać zwycięztwo. Była to chwila porywająca i uroczysta.

Potem, gdy dwoma szeregami zbliżali się do świętego Stołu, by przyjąć komunię św., wzniósł się naraz poważny i melancholijny śpiew.

*
*   *

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie Panie bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,

Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń! i t. d.

*
* *

To lud bezbronny, mieszkańcy Wąchocka, żegnali braci idących na śmierć niechybną, za Wiarę i Ojczyznę.

Msza św. się kończyła; już chorążowie zbliżali się po zawieszone w około ołtarza sztandary, gdy ordynans przyjechawszy na plac galopem, zeskoczył z konia, spiesznie przebiegł ganek kościelny i zbliżywszy się do generała, szepnął:

— Moskale!

— Gdzie?

— Wiorstę od miasta, generale.

Kapłan zaczął czytać ostatnią ewangelię.

Langiewicz zaczekał.

— Ojcze, rzekł, skoro sługa Boży obrócił się, pobłogosław po raz ostatni idących na śmierć.

I obadwa przyszli aż do drzwi kościelnych.

— Na kolana! zakamenderował Langiewicz.

Kapłan rozłożył ręce.

— Niech Bóg Wszechmocny błogosławi wam w walce, niech ma Polskę w Swojej świętej Opiece, rzekł, i odmówił modlitwę.

— Amen! odpowiedzieli rycerze powstając.

Generał dał kilka rozkazów, jasnych, zwięzłych, szybkich, i ze swymi adjutantami pojechał na podwórze klasztorne.

Kolumny moskiewskie manewrowały w ten sposób, aby powstańców zamknąć jak w kleszczach; lecz Swinina była na przodzie.

Przybywszy na wystrzał armatni, rozwinęła się na płaszczyźnie, mając na obydwóch skrzydłach kozaków wyciągniętych pod las, grenadyerów w środku w pięciokrokowych odstępach, w tyle artylerya i furgony.

Gołem okiem nie można było rozróżnić batalionów podzielonych na kompanje, pomiędzy któremi, na tej samej linii, stali oficerowie w szarych szynelach, bez szlifów, z gołemi pałaszami w ręku.

Cała ta masa maszerowała śmiałym i równym krokiem jak na paradzie, w ukośnym kierunku do Miechowa.

Langiewicz ze swego obserwatoryum mógł objąć wzrokiem całe pole bitwy, najmniejszego też ruchu nieprzyjaciela nie stracił. Niezwruszony jak gdyby był z bronzu i z zimną krwią cechującą wielkich generałów, wydał rozkazy swoim adjutantom, którzy natychmiast galopem roznieśli je dowódzcom oddziałów.

Trochę w tyle, na placu, stał nieruchomy szwadron ułanów. Obok generała, Kirpowski, z dubeltówką w dłoni i szablą przy boku, badał obroty moskali.

Pod stopami wzgórza zatrzymali się grenadyerzy, podczas gdy ich dwie kompanje sformowawszy się w kolumnę, wdzierały się biegiem na pagórek wprost Miechowa.

Już przyszli na jakie sto kroków od pierwszych domów i dotykali prawie szańca ze śniegu usypanego podczas nocy dla zakrycia strzelców polskich, gdy ci, powstawszy nagle, dali do nich dwa razy ognia, raz po razu, i zmieszali ich szyki.

Skoro dym się rozproszył, Kirpowski widział jak szturmujący żołnierze cofnąwszy się, formowali swoje szeregi. Pomiędzy nimi a szańcem, pustym i milczącym, śnieg pokrywał rannych i zabitych, pomiędzy którymi leżał chorąży trzymający jeszcze swoją chorągiew.

Dwóch grenadyerów skoczyło do sztandaru; już mieli go podnieść, gdy podwójny wystrzał obydwóch trupem położył; w tym samym czasie, jeden ze strzelców przeskoczył przedpiersień, wyrwał sztandar z rąk umierającego, i, przeskoczywszy z powrotem wał, uniósł zdobyty znak w górę, wołając: Niech żyje Francya! Niech żyje Polska!

— Hurra! Francuzowi, odpowiedzieli powstańcy, lecz stary znajomy Cezara, nie zważając na niebezpieczeństwo, popisywał się bohaterską swoją junakieryą.

— Dosyć! dosyć! schyl się, rozkazał Sokół, ciągnąc partyzanta za rękę, nie trzeba moskalom służyć za tarczę celową.

— Mężny Francuz, szepnął Langiewicz, kierując znowu swoją lunetę po płaszczyznie.

Niemając żadnej nadziei wyciągnąć nieprzyjaciela z jego pozycyi, postanowił Swinin innego użyć sposobu; pozostając na płaszczyznie ze swoją artyle-

ryą wspieraną silną rezerwą, rozkazał przypuścić ogólny szturm do Miechowa.

Formowały się nowe nacierające kolumny, podczas gdy sotnie kozackie zrobiły ruch zwrotny, a potem na dany znak, wszystkie naraz po pędziły galopem i straszny rozpoczął się ogień karabinowy, na całej linii.

Blisko ćwierć godziny, z bohaterską odwagą bronili strzelcy swojej pozycyi, potem wystrzelawszy prawie wszystkie naboje, cofali się w dobrym porządku do wioski, unosząc swoich rannych.

W lesie, między drzewami, zaczęli się kozacy pokazywać.

Jeszcze nie było Narbuta.

Gdyby nadszedł w tej chwili, byłoby zwycięztwo.

Na przednich posterunkach walczono pierś z piersią, z przerażającą zaciekłością.

Chwila była stanowcza.

— Na koń, panie, rzekł Langiewicz do starego Kirpowskiego, i niech Bóg będzie z Polską!

Jak huragan przelecieli ułani obok kosynierów Chuski, drżących z niecierpliwości.

— Dzieci, wypędzić kozaków! krzyknął Langiewicz nie wstrzymując konia.

Z okrzykiem Bóg i Polska! rzucili się kosynierzy na wroga otaczającego strzelców.

Była to chwila strasznego zamieszania, ludzie i konie padali przebici i rozdzierani morderczemi kosami, zbroczonemi krwią.

— Tnij! tnij! wołał mężny Cezar upojony szałem,

I przed tymi śmierć niosącymi kosiarzami, padała jazda nieprzyjacielska, szereg za szeregiem, jak trawy na obszernych łąkach nad brzegami Pilicy.

Pilardow pienił się z wściekłości.

— Naprzód! krzyczał, naprzód! bij, bij; pierwszego który się cofnie, przebiję pałaszem, naprzód! Kozacy, zgnieść tych suki synów.

Lecz żołdacy nie słuchali już więcej; przerażeni widokiem bohaterów krwią zbryzganych, których kosy przecinały naraz piki i ręce, zatapiały się w piersiach koni, lub podcinały im nogi, mogąc zaledwie utrzymać swoje konie przestraszone zgiełkiem, cofali się w nieporządku, a wkrótce uciekali na wszystkie strony tak, że niepodobna ich było dowódzcom zgromadzić.

Nie ścigając zwyciężonych, falanga kosynierów pobiegła na pomoc strzelcom, mężnie opierającym się jeszcze wściekłym atakom grenadyerów moskiewskich.

Jak klin żelazny party nieprzezwyciężoną siłą, tak ona wcisnęła się w czworobok najeżony bagnetami, zmiatając wszystko po drodze.

Pozbawieni protekcyi swojej kawaleryi, rażeni z przodu celnemi strzałami strzelców, po bokach szarpani garstką ułanów pod dowództwem Langiewicza, nie mogli moskale wytrzymać tego trzeciego ataku; cofali się też, a raczej uciekali ku płaszczyznie, zostawiając na placu bitwy prawie wszystkich swoich oficerów, i ścigani przez Polaków uniesionych nieprzyzwyciężonym zapałem.

Rezerwa w szyku bojowym w około swojej artyleryi, z karabinem na ramieniu, czekała napadu powstańców. Przerażony Swinin, był niezdolnym dać jakikolwiek rozkaz; i że haniebnie nie uciekł z pola bitwy, zawdzięczał jedynie pułkownikowi artyleryi, rozkazującemu wysunąć naprzód działa, nabite kartaczami. W tej zbitej masie lecącej wprost na artyleryę, jeden wystrzał powinien zrobić przerażający wyłom.

Lecz napróżno Langiewicz, rozumiejąc niebezpieczeństwo, kazał trąbić do odwrotu; dwustu ludzi uniesionych zapałem otoczyło generała, podczas gdy kilkunastu partyzantów[1] zbierając rannych Polaków i moskali, niosło ich do wioski.

Powstańcy ścigając grenadyerów tą samą drogą, wołali:

— Na działa! na działa!

Dziwnem jakiemś szczęściem, uciekający moskale, utworzyli pewien rodzaj zasłony pomiędzy powstańcami a artyleryą, i ta skutkiem tego nie mogła na czas wystrzelić.

Dwóch młodzieńców na jakie dwadzieścia kroków wyprzedzało atakujących: jednym był Cezar, drugim malarz jego kolega, uzbrojony w skrzywiony już od uderzeń bagnet.

Nie można było wahać się dłużej, pułkownik kazał dać ognia.

---

1 Historyczne.

Kartacze zmietły naraz grenadyerów moskiewskich i powstańców.

— Nabijaj! krzyknął znowu pułkownik, i padł śmiertelnie ugodzony, bagnetem studenta.

W tym samym czasie, Cezar jednym zamachem kosy powalił artylerzystę, który chciał zagwoździć armatę.

Zacięta walka zawrzała w około dział, jedna armata trzy razy była zdobywaną i odbieraną.

W końcu moskale zdołali ją nabić, gdy Magnus odpychając kanoniera,* wetknął swoją czapkę w działo, wołając:

— Do innych, bracia, ta nie wystrzeli, jest ślepą.

Horacy stał obok niego.

— Brawo! poczciwy starcze! zawołał odbijając wycior armatni wymierzony przeciw weteranowi, i swym karabinem głębiej jeszcze wepchnął czapkę, niedopuszczając światła do naboi.

Pomimo wściekłego natarcia rezerwy z bagnetem w ręku, już cała artylerya miała wpaść w ręce powstańców, kiedy niespodzianie odezwały się trąbki powołujące do zbioru i dwóch adjutantów pędzących galopem rzuciło się w pośród walczących wołając:

— Polacy, do sztandaru, wróg atakuje Wąchock.

To druga armia nadeszła, armia generała Mitweda.

Langiewicz przewidział ten nowy atak, okopawszy się więc w wąwozie prowadzącym z płaszczyzny do gór Swiętokrzyskich, bronił z zaciekłością tego je-

* Historyczne.

dynego przejścia, przez które mogli wydostać się Polacy.

W pierwszym szeregu, Marta, obok swego ojca, strzelała do nacierających.

Z trudnością zdołał Chusko, powstrzymać swoich kosynierów; cofali się w końcu spiesznie, lecz w dobrym porządku, tak, że grenadyerzy nie śmieli ich ścigać.

— Ognia! ognia! ryknął Swinin, skoro spostrzegł że nie potrzebuje obawiać się powrotu powstańców.

Szczęściem dla bohaterskiego oddziału, tylko dwa działa jeszcze były przydatne, od wystrzału kartaczami, mało padło ofiar.

Niektórych jednakże dosięgły.

Za drugim wystrzałem, francuzki malarz idąc obok Cezara, odwrócił się i strzelił do nieprzyjaciela.

— Chodź i oszczędzaj ładunków, rzekł kosynier.

— Łatwo ci to mówić, mój drogi, odpowiedział Horacy Vernet, jednakże dam im już pokój, bo mój rachunek załatwiony. Słuchaj, rzekł, rozpinając kurtkę i pokazując Cezarowi strumień krwi płynący z piersi, weź na pamiątkę odemnie ten sztandar zdobyty na moskalach, i moje naboje dla pomszczenie mnie.

Potem ze smutnym uśmiechem dodał:

— Powiedziawszy prawdę, nie mam czego żałować, a jak na amatora dosyć ich nabiłem; zresztą, i tak moja karyera jako artysty jest zwichnięta.

— Oprzyj się na mojem ramieniu, rzekł porucznik, a przy pomocy którego z towarzyszy, zaprowadzimy cię do obozu.

Ranny potrząsnął głową.

— Szkoda czasu, mówię ci, mam ołów w boku, bądź zdrów i niech żyje Polska!

I usiadł na śniegu; Magnus i Cezar podnieśli go, lecz zaledwie kilka kroków zrobili, gdy ranny westchnąwszy głęboko, ugiął się pod własnym ciężarem.

— Niech Bóg przyjmie do świętej chwały duszę poległego w boju za Wiarę i ojczyznę, rzekł Cezar.

— Amen, odpowiedział Magnus żegnając się.

W pół godziny potem, strzelcy i kosynierzy, wsparci rezerwą Langiewicza, oddalali się w góry Swiętokrzyzkie, unosząc niektórych swoich rannych.

Przyszedłszy na najwyższy wierzchołek góry, i nim zapuścili się w wąwóz zakrywający przed wzrokiem płaszczyznę, generał zatrzymał się po raz ostatni, i patrzał przez lunetę na pole bitwy.

Już Miechów i Wąchock były jednym piecem pożerającym wraz z budowlami rannych Polaków, zostawionych w domach, spustoszonych i podpalonych przez moskali.[1]

Na płaszczyznie również Swinin mścił się za swoją porażkę, rozstrzeliwając tych, którzy jeszcze oddychali.

---

1 Okrucieństwa spełniane przez generałów rosyjskich były tak straszne, że Wielki książe Konstanty wydał rozkaz dzienny do armii potępiając barbarzyńskie postępowanie żołnierzy, a generałowi M... dał dymisyę.

— Ach! gdyby był Narbut nadszedł podczas bitwy, mówił Langiewicz, cieszyłaby się Polska wielkiem zwycięztwem.

— Więc nic pan nie wiesz o nim? zapytał Kirpowski.

— Nic, a nawet i Bolesław niepowrócił, jest w tem jakaś zdrada.

Nie pomylił się Langiewicz: był zdrajca pomiędzy Dziećmi Rozpaczy, i tym zdrajcą był Polak.



XIV.

Zdrajca.



eszcze miesiąc nie upłynął od czasu niegodziwej nocnej branki, dopełniającej miary zniewag, a już przebrała się cierpliwość ludu i cała Polska była w ogniu.

Terroryzm ciężył nad miastami uwieńczonemi w szubienice, zagrożonemi działami, przerażonemi przez codzienne i krwawe egzekucye; płonęły folwarki i wioski; wszędzie był obraz zniszczenia, wojny i śmierci.

Na pustej i milczącej płaszczyznie pod Wąchockiem, u stóp wielkiego czarnego krzyża, ludzie na pół zmarznięci odmawiali ostatnie, serce rozdzierające pacierze. Byli to starcy i młode matki przyciskające do zimnych piersi nowo–narodzone dzieci, jedyny skarb, zostawiony im przez wroga palącego ich domostwa. Dalej, widziałeś śnieg zdeptany i krwią zbroczony, pokryty trupami moskali i Polaków, kawałkami połamanej broni, powalonych koni i potrzaska-

nych wozów; żałobne to szczątki zaciekłej walki, bohaterskiego oporu. Potem, tu i owdzie, ofiary okrutnie podziurawione, rannych dobitych pikami lub umierających, szepczących ostatni raz imię drogiej ojczyzny. Jeszcze dalej, kolumny grenadyerów i sotnie kozackie, spieszące do odosobnionego folwarku, wioski lub dworu, w celu prowadzenia dzieła zniszczenia; oddziały partyzantów biegnących z takim pospiechem na śmierć, jak kozacy na rabunek; oddziały kosynierów ukrytych w zasadzce w krzakach i za drzewami; to znowu podjazd powstańców z szaloną odwagą zaczepiający piekielne kolumny; powstańców przebiegających z nadzwyczajną szybkością na łyżwach; albo w głębi niezmiernych puszcz, zamieszkałych dotychczas jedynie przez niedźwiedzie i żubry, świeżo przybywających ochotników, żądających od braci broni dla oswobodzenia ojczyzny, pomocy i opieki przeciw nielitościwemu wrogowi.

Taką była Polska w Lutym 1863 roku.

Chociażby najsławniejszem było konanie, jest ono zawsze chwilą uroczystą i straszną; lecz słów brakuje opisać konanie narodu polskiego.

Polska umierała szlachetnie, jak męczennicy w cyrku rzymskim, krwią zbryzgana, lecz stojąc, z ręką na sercu i wzrokiem utkwionym w niebo.

Przeszło sto tysięcy jej katów, oburzało się, że już tak długo krew jej nie płynęła.

Naród znoszący przez lat trzydzieści prześladowania i gwałty z bohaterską rezygnacyą, przywykli uważać jako niezdatny do obrony; przekonać się też

chcieli czy istotnie jest już trupem, bo w razie oznaki najmniejszego życia, gotowi byli rzucić się na niego i bez miłosierdzia go dobić. Dla tego też obelżywie kopnęli go nogą.

Spodziewali się słabego tylko oporu; Polska tymczasem odpowiedziawszy rykiem lwa, groźną powstała.

Moskale zrozumieli, iż jeżeli cofną się, zostaną zgubieni; wojna zaledwie rozpoczynająca się, niespodziewane przybrała rozmiary; na odgłos Bóg i Polska, wydany przez Narbuta i Chuskę, szlachta i wieśniacy dążyli pod sztandary narodowe; Mazowsze, Litwa, Ukraina i Podole pokryły się oddziałami, powiększającymi się co chwila wychodźcami; opór, zamienił się w powstanie.

To powstanie trzeba było przydusić i obalić Polskę, ogłuszając ją jednym zamachem maczugi; a potem ze spokojem nasycać się widokiem jej ostatnich konwulsyi.

Trzeba było przedewszystkiem postarać się aby Europa nie słuchała wołania narodu polskiego, przygłuszyć głos męczenników, aby czasami Francya, rzucając swój miecz na szalę, nie przechyliła jej na stronę sprawiedliwości.

Dano hasło, i podczas gdy kaci rzucali się na nieszczęśliwy naród, dzienniki podwajały kłamstwa, a generałowie okrucieństwa.

Przeciw rozpaczliwemu męztwu powstańców i zdolnościom ich naczelników, nie wystarczała jeszcze znaczna siła brutalna; moskale tocząc walkę gwałtami

i mordem, używali podlejszej przeciw powstańcom broni aniżeli kartaczownice i pika kozacka. Zdradą posiłkowała się tyranja.

Do podniecenia jej, niczego nie zapomniano, ani oszczerstw wzbudzających nieufność pomiędzy partyzantami i ich naczelnikami, ani przyrzeczeń, ani pieniędzy obudzających chciwość, ani zachęcania obietnicami majątków i haniebnych urzędów któremi hojnie szafowano.

Szpiedzy moskiewscy wciskali się do obozów powstańców aby ich zniechęcić do próżnej, jak mówili, walki, kusić, podawać ich imiona rządowi i wydawać tajemnice.

W tym samym czasie proklamacye redagowane w kancelaryi namiestnika i pod jego natchnieniem, zalewały prowincye; jedne były urzędowe i bezwstydnie podpisane, inne również urzędowe, lecz bez kompromitującego rząd podpisu, jedynie w celu okłamania opinii publicznej i rzucania potwarzy na tajemny Komitet Narodowy, któremu potem prasa rosyjska tysiące wyimaginowanych zbrodni przypisywała.

Te proklamacye podpalaczy, podczas tej nieszczęsnej wojny, każdy mógł czytać, na murach budynków w miastach, na drzwiach kościelnych,[1] i aż na pniach drzew, w lasach, gdzie je przylepiali bądź to szpiedzy moskiewscy, bądź ręce nieznane. Plakaty te, setkami tysięcy rozrzucane wewnątrz kraju, również ogłaszano

1 Rozporządzenie z 25. Lutego 1863 — Dzienniki tom I strona 107.

za granicą w pismach na żołdzie moskiewskim zostających, aby Europa uznała Polskę niegodną swego współczucia.

Warto ,,by było, aby ci", którzy jeszcze wątpią z której strony rzeczywiście była sprawiedliwość i szlachetność w tej okrutnej wojnie, przeczytali niektóre z tych potwornych afiszów, a które policya, szpiedzy a nawet i żołnierze, w najmniejszych nawet osadach rozrzucali.

Najwięcej ludzki i najzręczniej napisany, jest własnym tworem wielkiego księcia i opiewa:

,,Burmistrze i radzcy miejscy są obowiązani zatrzymać bezzwłocznie, każdą osobę należącą do zbrojnej bandy wichrzycieli, jak również wszystkich włóczęgów, i odesłać ich *pod strażą pewnej liczby wieśniaków*, najbliższym władzom wojskowym".

Był to mały rodzaj zaproszenia dla wieśniaków polskich, aby łapali tych, którzy umierali w obronie ich religii i ich ojczyzny; moskale liczyli, że dobrzy i wierni poddani cara, oszczędzą sobie pracy wleczenia więźniów zbyt daleko, i zapłacą im po swojemu.

Oto jest jedna z instrukcyi poufnych, jako dodatek do proklamacyi.[1]

(*Poufny.*)

Do naczelnika powiatu......

,,Jest bezpotrzebnem i kłopotliwem przysyłać tutaj tłum ludzi podejrzanych. Zresztą, wieśniacy

---

1 Rozporządzenie z 28. Lutego 1863. — Dzienniki, tom 1, strona 126.

nie bardzo *starają się* łapać ich i prowadzić aż tutaj, tak daleko, a wielu z nich ucieka w drodze lub wieśniacy ich uwalniają; *potrzeba więc zaradzić temu i zachęcić wieśniaków wiernych poddanych cesarzowi.*

„Dla tego też jesteś pan upoważnionym płacić w swoim powiecie obiecane wynagrodzenie za przyprowadzenie buntowników i ludzi podejrzanych; możesz pan sam, jeżeli uznasz to za potrzebne, wypłacać wynagrodzenie według własnego uznania, a mianowicie: *30 rubli* za naczelnika, *10 rubli* za *oficera* buntowników, *5 rubli* za *szlachcica*, *3 ruble* za *buntownika*, *2 ruble* za *podejrzanego* złapanego w miejscu, i *1 rubla* za *żyda* lub *wieśniaka*. — (Nr. 10112.)

Za Jego Excellencyę namiestnika
generał–adjutant *Nazimow.*
Kanclerz.
Szumanow."

O nikim nie zapomniano, żydzi polscy również mieli zapewnienie zarobienia 30 rubli jako cenę krwi w swoich *kantorach głów* egzystujących w każdym okręgu; a naczelnicy wojenni, zachęcając gorąco morderców i zdrajców, tych wiernych poddanych cesarza, do gwałtów na bezbronnych i niewinnych mieszkańcach miast i wiosek, napełniali swoje trzosy żądając od więźniów znacznego okupu, lub nakładając na ich majątki kontrybucye wojenne.

Rozesłano również specyalne plakaty do kolonij schizmatyckich, zakładanych przez rząd w katolickiej Polsce.

Z temi koloniami, składającemi się z ludności rosyjskiej, władze moskiewskie nie robiły żadnej ceremonii; wprost przez proklamacye czytane przez popów przy ołtarzach, podburzały lud dziki do rabunku, do morderstwa i do pożogi, obiecując go zbogacić nie tylko pieniędzmi, ale i majątkami ofiar; fanatyczni popi, za uskromienie buntu w Polsce obiecywali im dać w imieniu ojca-cara, ziemie i lasy, a za zniszczenie katolicyzmu, niebo.

Jest prawdą, że w tym samym czasie, gubernatorzy moskiewscy chcieli zmusić kapłanów katolickich do rzucenia klątwy na tych, którzy broń przeciw carowi podnieśli; jak również, że sam car próbował obietnicami, groźbą i zręczną dyplomacyą, nakłonić Ojca św. do potępienia zbrojnego powstania w Polsce.

Za tę cenę Moskwa obiecywała swoją pomoc świętobliwemu Papieżowi Piusowi IX.

Lecz Namiestnik Boga, Przedstawiciel sprawiedliwości na ziemi, Następca Apostołów i Męczenników pomordowanych za prawdę, z oburzeniem odrzucił haniebną propozycyę dyplomacyi; szlachetna Jego dusza oburzyła się, i trzy razy, *22 kwietnia*, *30 sierpnia i 12 września*, wzniósł głos za Polską, który Bóg usłyszał w niebie i ludzie na krańcach ziemi; błogosławił męczennikom polskim i napiętnował ich katów.

Katolicy na całym świecie przyklasnęli szlachetnemu i odważnemu protestowi świętobliwego Starca, oprawcy zostali wzgardzeni, Polacy pocieszeni i wysławieni. Nie dosyć na tem, Ojciec św. otoczony Kardynałami, w uroczystej procesyi za którą postępo-

wało wojsko papiezkie i wygnańcy polscy, prosił Boga o miłosierdzie nad Polską; Polacy w ojczystym swoim języku śpiewali litanię do Najśw. Panny Królowej Korony Polskiej, a Mgr. Marguerye, Biskup francuzki, w te odezwał się słowa:

,,Rzym, to serce ludzkości; Pius IX, to serce Kościoła. Gdy więc Rzym i Pius IX jednocześnie proszą Boga za bohaterskim narodem, to ludzkość i Kościół jednoczą swoje modły, wyciągają dłonie nad polskim narodem, błogosławią mu w walkach i cierpieniach by dać wymowne świadectwo, że sprawa Polski zasługuje na współczucie i modły wszystkich dusz katolickich, wszystkich serc uczciwych i szlachetnych."

Na ten szlachetny protest wysłany do dworów europejskich, moskale odpowiedzieli przez swego ambasadora w Rzymie, wzywając go jednocześnie do opuszczenia Wiecznego Miasta; odpowiedzieli również przez swój synod, każąc metropolicie moskiewskiemu wyrzec te obelżywe słowa, do cesarza rosyjskiego:

,,Świętobliwy monarcho,[1]

,,Lud twój został zaniepokojony nieporządkiem powstałym na *krańcach* twego obszernego cesarstwa, *w małym kraiku*, który już po kilka razy był *karany* za rozruchy, który *istnienie swoje jako królestwo zawdzięcza jedynie łasce twoim poprzednikom*, i który *za niezliczone twoje dobrodziejstwa*, odpowiada niewdzięcznością, wichrzeniem i buntem. *Rzecz* szczególniej-

---

1 Prawdziwe, ogłaszane w pismach rosyjskich.

sza i nigdy niespodziewana, że *pewne kraje*[1] które *nawet nie są ościenne* z naszym krajem, śmią podnosić głos utrzymując, że dla *ich spokoju*, trzeba rozszerzyć *gniazdo zawichrzeń*.

,,Twoje prawo i twoja *łaska* są obrażone! *godność* Rosyi jest zraniona!"

Generałowie moskiewscy byli jeszcze zuchwalsi, i do spełnianych gwałtów dołączali grubijańskie zniewagi.

Do ks. Arcybiskupa wileńskiego pisał Murawiew,[2] że każe aresztować i osądzić, *z całą surowością praw wojennych*, wszystkich kapłanów katolickich a *przedewszystkiem* proboszczów, za *najmniejszą* oznakę przychylności dla powstańców, —,,ich pierwszym obowiązkiem, pisał, jest uspakajać wzburzony kraj, i zmuszać wszystkich ludzi aby byli wiernymi swojemu monarsze."

Pułkownik Moller uważając się za dowcipnego i uczonego, pisał:[3]

,,Za zaburzenia te winię duchowieństwo katolickie *skłonne do rozbojów i buntu*, ponieważ całe duchowieństwo katolickie, *począwszy od Ojca Św. Piusa IX i Jego Kardynałów w Rzymie, aż do ostatniego proboszcza w najbiedniejszym kościele na Litwie*, jest buntowniczem.

---

1 Rzym.
2 Kuryer Wileński, gazeta urzędowa.
3 Cyrkularz wysłany do naczelnika powiatu Wilkomirskiego.

„Dlatego też postanawiam:

„Gdy *rozbójnicy* będą się zbliżać do wiosek, trzeba natychmiast przypominać księżom ich obowiązek.... Nie pozwolić *buntownikom przejść przez wioskę, chyba po trupach swoich księży*.

„A ja w takim razie, natychmiast doniosę Arcybiskupowi wileńskiemu i Papieżowi Piusowi *IX*, *aby ci księża–męczennicy wkrótce byli kanonizowani*.

„Księża, którzy nie postąpią według mojej woli, zostaną oddani pod sąd wojenny, *jako biorący czynny udział w powstaniu*.

Możnaby do nieskończoności przytaczać rozmaite rozporządzenia wydawane przeciw katolickiemu Duchowieństwu, gdyby nie wzdrygało się serce przepełnione oburzeniem i wstrętem.

Więc lepiej może nie mieszać szlachetnej krwi z błotem i podobnemi dowodami.

Lecz że są prawe serca, które wątpią jeszcze o okrutnem postępowaniu moskali z narodem polskim, dla tych więc trzeba dowodów pisanych, o których prawdomówności nikt nie mógłby powątpiewać.

Sposób pisania i wyrażania się, maluje człowieka; niech więc te prawe serca, znając teraz dokładnie sprawę, osądzą *tych ludzi*, którzy krwią pisali.

Takie ukazy i inne im podobne, były tysiącami rozrzucane w Polsce.

Wieśniak nie mógł zrobić kroku bez spotkania się z takiemi ohydnemi napaściami, szepczącemi mu:

— Zdradź, a dostaniesz złota.

— Zdradź, a dostaniesz ziemię.

— Zdradź, a będziesz wolnym, bogatym, właścicielem pałacu.

Po większej części, ludzie znalazłszy podobny papier, po przeczytaniu go ze wstrętem, darli ze złością w kawałki.

Nieszczęściem jednakże znaleźli się i tacy nędznicy, którzy dali się skusić.

Człowiek, który kilkanaście lat służył w armii rosyjskiej, był jednym z tej małej liczby polskich odszczepieńców.

Wyczytawszy na przylepionym afiszu iż na głowę Narbuta nałożona jest cena 30 rubli, uczuł się olśnionym.

Tym człowiekiem był Bolesław Tokoło; Litwin, tak jak i Narbut, wysłużywszy piętnaście lat w Ismaiłowskim pułku grenadyerów, otrzymał jako wynagrodzenie miejsce leśniczego w lasach rządowych. Tę posadę zawdzięczał głównie protekcyi Narbuta, porucznika w tym samym pułku, rannego w nogę przy oblężeniu Karsu, gdzie obok siebie walczyli.

Od tego czasu, często razem polowali w lasach, a jeszcze częściej rozmawiali o nadziejach Polski.

Tokoło był wówczas gorącym patryotą.

— Gdy nadejdzie czas, mówił pewnego razu Narbut, uformuję oddział; czy chcesz w nim być?

— Na życie i śmierć, poruczniku, odpowiedział leśniczy; i od dzisiaj uważaj mnie jako ochotnika.

— Zapomninasz że jesteś żonatym, Bolesławie.

— Jestem mężem i ojcem, mój poruczniku, lecz ojczyzna przedewszystkiem.

— Dobrze, nie zapomnę o tobie.

Na tem skończyła się rozmowa.

W dwa miesiące poźniej, spotkali się strzelcy.

— No i cóż, Bolesławie, czy zawsze jesteś zdecydowany.

— Zawsze; jest już czas poruczniku?

— Zbliża się, i jutro jadę do Warszawy, zorganizować Dzieci Rozpaczy.

– Czy mam pójść z panem?

— Nie, masz jeszcze czas; a gdy usłyszysz sygnał, weź swój karabin i przyjdź.

— Gdzie, poruczniku?

— Do Warszawy; a gdyby mnie tam nie było, idź do Atrady, Chusko ci powie gdzie jestem; znasz Chuskę?

— O, dobrze, wszak często pan mi o nim mówiłeś, szwagier panny Marty Kirpowskiej, tej która wkrótce będzie panią . . . .

— Tak, to ten sam, rzekł młodzieniec uśmiechając się smutnie, jeżeli moskale . . . . nie wspominaj moim siostrom o celu mojej podróży, nie trzeba je martwić,

Pomówili jeszcze chwilę i rozeszli się.

Wiele tygodni upłynęło. Noc fatalna nadeszła.

W parę dni po tem pojechał Tokoło do Warszawy, lecz Narbuta w niej nie zastał; nikt, nawet Swinin i jego excellencya namiestnik, nie wiedzieli co się z nim stało.

W szynku, zapełnionym dawnymi towarzyszami broni, dowiedział się leśniczy o powodach ucieczki Narbuta, i o gniewie namiestnika.

— Szkoda, że opuściłeś pułk, rzekł jeden z żołnierzy, jutro idziemy z grubym Swininem ścigać powstańców, i porucznik nam powiedział że w pałacach panów, znajdziemy czem wyładować nasze tornistry.

— Ba! wtrącił drugi, wszak on jest także Polakiem.

— Ja! Polakiem, jestem Litwinem a nie Padlecem, zawołał Bolesław, rozgrzany trunkiem.

— A więc słusznie mówię, tem gorzej dla ciebie żeś pułk opuścił.

— Lecz czy jesteś pewnym Dymitrze, że pozwolą wam rabować?

— Czy jestem pewny? Już przeszło 20 rubli zrobiłem podczas nocnej branki, a to był tylko początek.

— Tak, lecz buntownicy także będą rabować.

— A cóż chcesz żeby rabowali, bałwanie? ich pałace i ich kościoły do nich należą, nie mogą więc sami siebie okradać, gdy tymczasem dla nas wszystko jest korzystnem.

Głośnym śmiechem parsknęli podpici żołdacy, i każdy z nich, jako świadectwo prawdomówności Dymitra, pokazywał oszołomionemu Bolesławowi zegarki, szpinki, kolczyki, i chustki, pochodzące z ostatniego rabunku.

Pokusa była nadzwyczaj silną, więc Litwin chcąc jej uniknąć, wyszedł. Nie zrobił jeszcze dziesięciu kroków, gdy spostrzegł plakatę.

— Do pioruna! szepnął sam do siebie; byłbym lepiej zrobił zostając w domu.

— W istocie, odpowiedział jakiś głos ochrypły, bo pójdziesz ze mną na policyę.

Obejrzał się Bolesław i zobaczył przed sobą dwóch policyantów od stóp do głów uzbrojonych.

— Co chcesz odemnie? zapytał.

— Pokaż twoje papiery, powiedział jeden z nich.

— Nie mam ich.

— Gdzie mieszkasz?

— Nie jestem tutejszy.

— A więc, marsz do cytadeli, z drugimi.

— Jestem leśniczym, w służbie najjaśniejszego cesarza.

— Jesteś niczem więcej jak tylko psem Padlecem; marsz, albo jeśli nie....

I pogrozili mu pistoletami.

Próżno było się opierać, Bolesław pozwolił się prowadzić. Straszna walka w nim powstała: z jednej strony, więzienie, a może śmierć, z drugiej bogactwo i hańba.

— Zaprowadźcie mnie do generał-porucznika policyi, rzekł naraz, chcę z nim pomówić.

— To właśnie do niego prowadzimy cię, śmiejąc się, odpowiedzieli.

W kwadrans później, wprowadzono go do kancelaryi policmajstra.

— Excellencyo, kłaniając się pokornie, rzekł jeden z policyantów do generała, który czytał obróco-

ny tyłem do mówiącego, oto jeden z Polaków bez papierów, który . . . .

— Do cytadeli, wrzasnął policmajster nie odwracając się.

— Excellencyo, pragnę z panem pomówić i jeżeli raczysz mnie pan wysłuchać . . . .

— Czy nie słyszałeś? rzekł generał zniecierpliwiony.

Zbiry rzucili się na więźnia aby go wyprowadzić.

— Excellencyo, znam Narbuta, wyrywając się, wykrzyknął Bolesław.

Na to imię podskoczył policmajster; właśnie w tej chwili, czytał raport donoszący o porażce i śmierci majora Gregorego.

— No i cóż! rzekł żywo,

— Przyszedłem z propozycyą wydania go waszej Excellencyi.

— Ty mnie chcesz wydać Narbuta?

— Tak, excellencyo.

— I jakim sposobem?

— Znam go bardzo dobrze; służyliśmy w jednym pułku; nie ma tajemnicy dla mnie, i jeżeli wasza excellencya pozwoli mi pojść do niego . . . .

— Pójść do niego, rzekł generał, patrząc podejrzliwym wzrokiem na leśniczego; gdzie pojść do niego?

— Do obozu.

— A gdzie jest jego obóz?

— Nie wiem.

— Ach, tak! kpisz sobie ze mnie?

— Ale dowiem się wkrótce, mówił Bolesław, wszyscy powstańcy o nim wiedzą; pozwól mi pan pójść do powstańców i . . . .

— Jakie dasz zaręczenie?

— Jestem żonaty, mam żonę i dwoje dzieci, oni odpowiedzą za mnie.

— Gdzie są?

— W Warcie.

— To dobrze. Zaprowadźcie tego człowieka do więzienia; jeżeli skłamał, jutro będzie wisiał. Zaczekajcie chwilę.

Napisał szybko parę słów.

Zaprowadzić więźnia, i zanieść tę depeszę do telegrafu; słyszeliście?

Zbiry wyszli, wyprowadzając Bolesława.

W dwie godziny później, ober-policmajster otrzymawszy od generała Czypłow żądane wskazówki, naradzał się z namiestnikiem.

Nazajutrz wzięto Bolesława na nową indagacyę. Był blady, wystraszony i miał błędne wejrzenie jak więzień brany na tortury, pomimo iż ani rózek ani knutów nie dostał. Trapiły go wyrzuty sumienia.

W cytadeli, gdzie noc przepędził, więźniowie polscy uważając go jako nowego męczennika, serdecznie ściskali jego dłonie skowanemi swemi rękami, mówiąc: Chciałeś być naszym bratem w walkach, będziesz naszym bratem w cierpieniach. Cześć tobie, hańba tym którzy cię zdradzili!

Długi czas leżąc wyciągnięty na garstce na pół zgniłej słomy, pragnął zasnąć aby nie słyszeć pocie-

szeń braci, kłujących go jakby sztyletem, lecz sumienie nie pozwoliło mu się zdrzymnąć, nie dało mu pokoju, mówiąc: Zdrajco, hańba i nieszczęście wisi nad tobą!

Z rana, gdy kozacy przyszli po niego, powstał starzec ze swojej pościołki aby pobłogosławić dzielnego, idącego na śmierć, jak myślał, a więźniowie zanucili *De profundis*. Niezmierny żal ścisnął serce Bolesława, i wyszedł zrozpaczony.

Lecz wkrótce oburzył się sam na siebie. Już zapóźno żałować, pomyślał, i podniósł głowę. Złe odniosło zwycięztwo.

Oberpolicmajster nie spostrzegł na nim ani śladu zmartwienia, ani wewnętrznego niepokoju, był dobrze usposobionym.

Haniebny targ ukończono.

Tego samego jeszcze dnia, Tokoło nie wiedząc gdzie Narbut lub Chusko znajdują się, jechał do Atrady.

W drodze spotkał oddział z ośmiu lub dziesięciu ludzi idących do obozu pod Wąchockiem, więc poszedł z nimi, i w taki sposób, pełnił tymczasowe obowiązki kaprala–instruktora.

Wiadomo już jak w przeddzień bitwy generał wybrawszy go, posłał z pilnem wezwaniem do Narbuta.

Bolesław dumny i szczęśliwy że może poświęcić się dla braci, natychmiast ruszył w drogę.

Blizko godzinę szedł lasem, wprost na Węgrów, potem przyszedłszy do Kalwaryi, skręcił się w lewo ku Szarutom.

Szaruty była to nędzna wioszczyna, właściwie mówiąc folwark z kilku chałupami, pobudowanemi w około murowanego kościołka ze dzwonnicą, z której łatwo można było dozorować płaszczyznę.

Ułani moskiewscy pod dowództwem kapitana Frederikowa, wypędziwszy mieszkańców, zajęli wioskę i kościół, zrobiwszy z nawy kościelnej stajnię.

Bolesław nie zapomniał o ostrożności, bo zbliżając się do wioski, uniósł czapkę karabinem, i machał nią w szczególniejszy sposób.

Był to znak, aby doń nie strzelano.

U bramy wioski, szyldwach z bronią do ataku, zawołał:

— Kto tam?

— Paszkiewicz i Syberya! odpowiedział strzelec.

— Jak się nazywasz? zapytał stary brygadyer, wychodząc z pierwszej zaraz chałupy, z pistoletem w ręku.

— Bolesław Tokoło.

Widocznie moskale znali to imię, bo nie pytając więcej, rzekł:

— Chodź!

Razem weszli do izby gdzie trzech oficerów popijając herbatę z wódką, paliło papierosy.

— Jaśnie wielmożny panie, jest człowiek, rzekł brygadyer.

I wyszedł.

— Czy to ty zobowiązałeś się wydać Narbuta? zapytał kapitan, badawczo przyglądając się zdrajcy.

— Tak, ja, jaśnie wielm. panie.

Jeden z poruczników odwrócił się ze wstrętem.

— I przychodzisz w tym celu?

— W większym jeszcze, jaśnie wielm. panie, odpowiedział bezczelnie zdrajca; przyszedłem dać panu sposobność pobić dwa oddziały, i wziąść naraz dwóch więźniów, Narbuta i Langiewicza.

— Oficerowie porozumieli się szybko podejrzliwym wzrokiem.

— Wytłomacz się, rzekł kapitan.

— Oto w ten sposób, jaśnie wielm. panie. Dwie kolumny rosyjskie idą na Wąchock i zaatakują go jutro. Chusko jeszcze nie przyszedł. Langiewicz za słaby aby sam mógł stawić opór, wysłał mnie do Narbuta o posiłki. Jeżeli pan chcesz, pójdę mu powiedzieć aby pozostał w Węgrowie. Panowie z całą siłą uderzycie na niego, gdy tymczasem Jego Excellencya Swinin z łatwością pokraje w kawałki powstańców w Wąchocku, i . . . . .

— Masz dowód iż rzeczywiście jesteś posłany? zapytał Frederikow.

— Oto jest, odpowiedział zdrajca pokazując swój papier.

Kapitan zastanowił się chwilę.

— Ile? zapytał.

— Sto rubli, jaśnie wielm. panie.

— Żartujesz, wszak wiesz że jest tylko 30 rubli za naczelnika, i to z odstawieniem na miejsce. Za dwóch, zrobi 60 rubli, i jeszcze trzeba potrącić koszta transportu.

— Tak, jaśnie wielm. panie; lecz racz pan zauważyć, że ja sprzedaję panu nie tylko dwóch naczelników, ale i dwie armie.

— Dam ci, 80 rubli i twoją część zdobyczy.

— Zdobyczy! jaśnie wielm. panie, nie chcę zdobyczy; nie wiedziałbym gdzie ją sprzedać, i mógłbym się skompromitować.

— Co panowie o tem myślicie? zapytał kapitan pół–głosem.

— Przystań pan na sto rubli, kapitanie, rzekł jeden.

— Każ pan go rozstrzelać, odpowiedział drugi, na to tylko zasługuje.

Kapitan namyślając się, zakręcił parę razy wąsa·

Jeżeli jaśnie wielm. pan zgadza się, prosiłbym o pośpiech, wtrącił zdrajca, czas nagli.

— Zobowiązuję się na sto rubli, płatnych po podwójnem zwycięztwie, rzekł w końcu kapitan. Czy potrzeba ci zapewnienia?

— Nie odmówię bileciku, jaśnie wielm. panie.

Kapitan wydarł z pugilaresa i napisał:

"Zobowiązuję się oddawcy niniejszego biletu wypłacić sumę sto rubli, jeżeli swojem staraniem, przeszkodzi połączeniu się band powstańczych Chuski i Narbuta, i poda armii rosyjskiej sposób pobicia ich pod Wąchockiem i pod Węgrowem. — podpisano, kapitan Frederikow."

— A kto mi wypłaci te pieniądze i gdzie?

— Wszędzie, zaraz po otrzymanem zwycięztwie, lecz pod jednym warunkiem, że po widzeniu się z Narbutem, przyjdziesz tu jako zakładnik.

— Będę jutro rano, jaśnie wielm. panie, rzekł Bolesław chowając bilet.

I zaraz ruszył w dalszą drogę, kapitan zaś kazał porucznikowi Kausmin napisać szczegółowy raport, który jeden z ułanów zawiózł galopem pułkownikowi Popofosopulo, komendantowi kolumny wysłanej z Lublina.

Wracając z Kalwaryi, wyjął Bolesław nożem cegłę z podstawy figury stojącej przy drodze, ukrył kompromitujący go bilet, starannie umieścił cegłę w swojem miejscu, i szybko podążył do Węgrowa.

Przyszedł już pożno w nocy.

W Węgrowie tak samo jak w Szarutach, szyldwach zawołał: Kto tam!

Lecz ten szyldwach nie był moskalem tylko polskim kosynierem. Bolesław też po polsku odpowiedział: Honor i wolność.

W parę sekund wprowadzono zdrajcę do kwatery Narbuta i jego sztabu.

Widząc wchodzącego leśniczego, krzyknął radośnie młody dowódzca, i szybko powstał z za stołu, przy którym kończył dyktować rozkazy w podeszłym już wieku adjutantowi; ze szczerością i z promieniejącem obliczem, wyciągnął rękę do starego towarzysza i serdecznie dłoń jego uścisnął.

— Cóż ci jest? zawołał Narbut, ty drżysz cały. Jesteś rannym lub masz nam co złego donieść....

— Nie, naczelniku, to tylko radość widzenia pana, wyszeptał Bolesław.

I, aby przerwać nie miłą mu rozmowę, dodał, wyciągając z za podszewki czapki kartę ze znakiem Langiewicza:

— Przyszedłem do pana w poselstwie....

Narbut odsunął bilet.

Z tobą, nie potrzebuję podobnych zapewnień; mów tylko prędko, co żąda Maryan?

— Względem posiłków które....

— Których odemnie żądał, nieprawdaż? Wszystko już gotowe; za parę godzin pójdziemy, rozkazy już wydałem; będziemy wcześniej niż moskale.

— Właśnie przyszedłem powiedzieć panu, abyś pozostał w Węgrowie. Bitwy nie będzie w Wąchocku, i gdy odchodziłem, generał opuszczał miasto.

— Jakto, opuścił Wąchock! wykrzyknął Narbut gwałtownie; więc zrzeka się zwycięztwa! wszakże doskonała pozycya, a z posiłkami Dzieci Rozpaczy, mógłby być pewnym tryumfu. Czy jesteś pewnym żeś się nie pomylił?

— Naczelniku, o to własne jego słowa:

"Powiesz Narbutowi aby pozostał w Węgrowie. Opuszczam Wąchock, gdyż niepodobna jest go obronić, atakując naraz dwie armie moskiewskie na drogach kieleckiej i radomskiej; w kilku dniach, przyłączę Dzieci Rozpaczy do zwycięzkiej mojej armii i razem, z okrzykiem: Bóg i Polska! pójdziemy na Lublin.

— To już nie błąd, to szaleństwo, zawołał Narbut, uderzywszy nogą o podłogę; tak, to stracone zwycięztwo.

— Tak, tak, to dziwne, powtórzył stary oficer; zrobił błąd Maryan, wielki błąd zrobił.

— Któryby można jeszcze naprawić, wtrącił jeden z oficerów.

— Nie, smutnie rzekł Narbut, już Langiewicz opuścił swoje pozycye, i liczy na nas w swoich działaniach; dobrze zrobił uprzedzając nas, gdyż inaczej błąkalibyśmy się po lasach, bez żadnej korzyści dla kraju. Byle tyle Chusko został także uwiadomiony, dodał, gdyż inaczej....

— Właśnie przyszedł ze swoimi kosynierami, gdy odchodziłem, szybko przerwał Bolesław.

— Widziałeś ich? zapytał Narbut.

— Dali dopiero znać o sobie, odpowiedział Bolesław.

Narbut niespostrzegając zakłopotania posłańca, przechadzał się czas jakiś po izbie w milczeniu, potem stanąwszy przy stole:

— Bracia, przemówił, mojem zdaniem zostańmy tutaj; a gdy Maryan nadejdzie, wynagrodzimy to sobie; co o tem myślicie?

— Trzeba zostać, odpowiedział oficer; Polska jedno zwycięztwo mniej odniesie.

— Kapitanie, daj rozkaz aby ochotnicy wrócili do swoich kwater, rzekł Narbut; nie pójdziemy.

I zniechęcony pochylił głowę, potem, smutnie nią potrząsając:

— Bracie, rzekł do Bolesława, nie mogę ci nic więcej ofiarować jak tylko trochę kaszy i herbatę, nie jesteśmy bogaci; jedz i pij, potem okryjesz się swoją burką i prześpisz się z nami, dodał, wskazując mu wiązkę słomy, leżącą w kącie izby.

— Dziękuję, rzekł Bolesław, przyrzekłem Langiewiczowi zdać sprawę z mego poselstwa, i odchodzę.

— O tej godzinie, i bez odpoczynku?

— Ojczyzna przedewszystkiem, odpowiedział Bolesław. Co mam odpowiedzieć Langiewiczowi?

— Że zostaniemy tutaj; lecz niech Maryan się spieszy, bo jeżeli moskale w Lublinie dowiedzą się że mała nas tu jest liczba, nieomieszkają nas zaatakować.

— Szczęściem że nie domyślają się, rzekł jeden z oficerów.

— Nie wiedzą jeszcze, ale mogą się dowiedzieć, szemrał kapitan pełniący obowiązki sekretarza; potrzeba tylko aby pomiędzy nami znalazł się zdrajca.

— Zdrajca pomiędzy Dziećmi Rozpaczy! wykrzyknął wódz; niemożebne.

— W 1830 r. znaleźli się, odpowiedział kapitan, i byli to Polacy.

— W chwilę potem, Bolesław wracał z powrotem. Narbut odprowadził go do bramy miasta.

— Jeżeli zobaczysz Kirpowskiego lub kogokolwiek z jego rodziny, powiedz że stanę się ich godnym, rzekł, ściskając po raz ostatni jego rękę. Niech cię Bóg prowadzi! bracie.

W parę godzin później, wchodził zdrajca do Szarut, jako zakładnik za swoją zdradę.

Nazajutrz generałowie Swinin i Mitwed uderzyli na Langiewicza, pozbawionego posiłków których oczekiwał, i dla tego zwycięztwo pod Wąchockiem drogo okupionem zostało. Co zaś do pułkownika Popofosopulo, ten potajemnie opuściwszy Lublin, przyszedł w nocy do Szarut z trzema pułkami piechoty, z trzema szwadronami jazdy i z dziesięciu armatami, i zajął pozycyę w około wioski, o sześć wiorst od Węgrowa.

O szóstej rano, pikiety polskie w największym pospiechu wpadły do miasteczka zajętego przez powstańców, dając znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Prawie w tym samym czasie, gromadka z dwunastu jeźdźców, korzystając z ciemności, z okrzykiem Bóg i Polska, przerzynała się przez linię moskiewską, w której krwawą lukę lancami zrobiła.

Nim moskale, niespodzianie napadnięci, mieli czas wystrzelić do powstańców z których jeden niósł ztandar, ci już znikli na równinie.

— Ognia! krzyknął porucznik.

Błysk oświecił ciemności i grad kul świsnął około uszu nieustraszonych śmiałków.

— Cwałem! zakomenderował naczelnik; musimy się dostać.

Lecz prawie w tej samej chwili, powtórne wystrzały dały się słyszeć. Jeden z kawalerzystów stoczył się na śnieg.

— Czy jesteś ranną, Marto? zapytał Cezar, wstrzymując konia.

— Nie, odpowiedziała; lecz Strzałka zabita.

— Słyszano z tyłu głuchy łoskot jakby szum wichru, to szwadron ułanów, ścigał uciekających.

Szczęściem ciemność im sprzyjała.

--- Siadaj za mną z tyłu, rzekł Cezar, i szybko.

— Weź naprzód sztandar, kuzynie.

— Prędko, prędko, Marto, nadjeżdżają; podaj mi rękę.

— Niepotrzeba, odpowiedziała, wskakując na grzbiet konia. Ich towarzysze zatrzymali się; poczem natychmiast puścili się cwałem.

Lecz ułani moskiewscy tymczasem zyskali przestrzeń, a konie ułanów polskich z sił opadły.

— Otóż i oni! krzyknął naraz kapitan Frederikow. Ułani, ostrogę, ostrogę dajcie koniowi, i śmierć nieprzyjaciołom cesarza!

Pogoń stała się prawdziwie szaloną.

Jakiś porucznik moskiewski, lepszego mając konia jak towarzysze, wyprzedził ich o jakie pięćdziesiąt kroków, i już prawie dosięgał gromadkę uciekających. Koń Cezara, dźwigając podwójny ciężar, pozostał w tyle.

Odstęp zmniejszał się szybko.

Oficer nabił rewolwer.

— Pistolet, Cezarze, rzekła Marta.

--- Nie są nabite, odpowiedział.

Moskal był tylko o kilka kroków: wzniósł rewolwer i zmierzył do dziewicy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

KOSYNIERŻY.

XV.

Węgrów.



a pierwszem zbliżeniem się nieprzyjaciela, Narbut, nie znając jego sił, porozsyłał na wszystkie strony małe oddziały strzelców, łyżwiarzy, aby śledziły jego ruchy i starały się rozpoznać liczbę.

Dwie takie gromadki, złożone, każda z dwunastu ludzi, spotkały się w lasach Krasnejgóry, mniej więcej o wiorstę od Węgrowa, a że ciemność nie pozwalała im rozróżnić wojsk moskiewskich, i nie śmiejąc zaawanturować się zbyt daleko na równinę gdzie mogliby zostać otoczeni przez wrogów, zatrzymali się na skraju lasu.

Nie upłynęło jeszcze dziesięciu minut jak siedzieli ukryci w krzakach, gdy usłyszeli w oddali słabe i nieregularne wystrzały, a wkrótce zaraz głuchy i rozgłośny huk armatni.

— Poruczniku, rzekł jeden z ochotników, jedna z naszych dziesiątek została napadniętą, chodźmy jej na pomoc.

— Cicho, rzekł oficer, żadna z naszych dziesiątek nie mogła zaawanturować się tak daleko od obozu; bądźcie gotowi i czekajmy, coś nadzwyczajnego się dzieje.

Parę sekund upłynęło, hałas ustał.

Jeden z powstańców zdjął krakuskę, i przyłożył ucho do zmarzłego śniegu.

— Na Abrahama! zawołał, to konnica jedzie.

— Konnica! Czy jesteś pewnym, Rubenie?

— Tak, odpowiedział,

— Jeden ze starych strzelców z kolei przyłożył ucho do ziemi i słuchał.

— No cóż, zapytał naczelnik.

— Ma racyę, odpowiedział, konnica w największym galopie.

Zaczynało już świtać,

— Schować się za drzewa, zakomenderował porucznik; jeżeli to są nasi, muszą koniecznie jechać tędy, a nasz widok może ich przestraszyć. Rubenie, masz dobry słuch, posłuchaj więc jeszcze.

— Żyd położył się na ziemi; lecz za chwilę wstał, mówiąc:

— Już nic nie słychać.

— Masz bracie odmrożone ucho; trzyj je śniegiem i wciągnij czapkę na uszy, to rzekłszy stary strzelec, zajął jego miejsce.

Posłuchawszy chwilę, rzekł:

— Jacyś ludzie uciekają, a szwadron ich ściga.

— Poczem poznałeś? zapytał oficer.

— Z nieregularnego tententu pierwszych, z ciężkiego i nieregularnego galopu drugich.

— Jesteście gotowi?

— Tak, poruczniku.

— Nie mówić i nie ruszać się.

W minutę potem, wyraźnie dał się słyszeć tentent kopyt końskich, a wkrótce we mgle zarysowali się kawalerzyści.

W parę sekund później, można było rozróżnić ułanów i kosynierów na koniach, a trochę w tyle, na jednym koniu dwóch młodzieńców, z których jeden niósł sztandar, a tuż za nimi, moskiewskiego oficera. W chwili gdy oficer wymierzył rewolwer, rozległ się strzał.

Moskal uniósł rękę, strzelił w powietrze, przechylił się na grzbiet koński i w śnieg się stoczył.

Gromądka jeźdźców w tym samym czasie wpadła jak huragan do lasu.

Stary strzelec wypaliwszy, skoczył do konia, porwał go za uzdeczkę i zatrzymał.

Szwadron moskiewskich ułanów nadjeżdżał galopem.

— Batalion, zawołał oficer polski, jak gdyby komenderował dwustu ludźmi, ognia!

Ze dwadzieścia wystrzałów karabinowych padło z za drzew, i zrobiło zamieszanie w szeregach ułanów moskiewskich.

Lecz potrzeba było czasu do nabicia broni.

— Tyralierzy, tuj![1] wrzasnął oficer. Kosynierzy i ułani, do ataku broń!

Nie było ani kosynierów ani ułanów jak tylko te dwie dziesiątki Dzieci Rozpaczy; lecz moskale o tem nie wiedzieli. Kapitan Frederikow lękał się nieroztropnie zaawanturować, w poważniejszą bitwę; zwiedziony przez oficera polskiego, zawrócił swój szwadron, który natychmiast puścił się galopem, ścigany kulami powstańców.

Pomimo spiesznej ucieczki, dosyć mieli czasu moskale podnieść dwóch swoich rannych, zostawiając pięciu czy sześciu zabitych.

Uniesiony swoim instynktem Ruben, natychmiast po ucieczce moskali, zbliżył się do zabitego oficera rosyjskiego. Na palcu młodzieńca jaśniał pierścień z dyamentem a z pod otwartego płaszcza widać było gruby złoty łańcuszek i zegarek znacznej wartości.

Silną miał pokusę.

Odgadł to oficer polski.

— Rubenie, rzekł surowym głosem, pamiętaj na przysięgę; powstańcy nie obdzierają zmarłych.

— Wiem o tem, powiedział; lecz zabrawszy jego klejnoty, odebrałbym tylko pewną część majątku, który mi zrabowali; za godzinę kozacy go okradną.

— Każdego z nas moskale zrabowali, a w taki sposób jak mówisz, wszyscy bylibyśmy w prawie; lecz rozkaz naczelników jest zabierać tylko broń nieprzyjaciołom której nam brakuje.

---

1. Wstrzymać ogień.

Słysząc wymówione imię Rubena, Cezar i Marta obrócili się.

Panna Kirpowska pierwsza poznała syna Abrahama.

— Ty tutaj? zawołała.

— Tak, wielmożna pani, to ja; moskale, niech im Bóg pomiesza szyki, zamordowawszy moją żonę Noemi, opiekłszy mego ojca, zrabowawszy nasz dom, prowadzili mię na Syberyę; lecz pan Narbut mnie uwolnił; jednakże zostaliśmy zniszczeni szlachetna pani, tak, zniszczeni ze szczętem. Możebyś pani była łaskawą kupić odemnie ten rewolwer, jest to broń....

— I my jesteśmy zrujnowani, biedny Rubenie, przerwała z uśmiechem Marta.

— A ty, szlachetny panie, mówił żyd, pokazując Cezarowi rewolwer moskiewskiego oficera, nie zechcesz kupić odemnie pistoletu, którym ta szlachetna pani miała być zabitą? Będzie on pamiątką dla pana, pamiątką bardzo....

Cezar miał w kieszeni swego kożuszka pugilares z kilku banknotami.

— Na, masz, powiedział, i daj mi rewolwer.

Wyciągnął Ruben wychudłą rękę: był to banknot storublowy.

— Zwaryowałeś, kuzynie? mówiła Marta, sto rubli za rewolwer.

— To pamiątka, odpowiedział Cezar.

— To prawie za darmo, panie, prawie za darmo, stękał Ruben, pakując w kieszeń swego kożuszka sturublówkę z uczuciem rozkoszy.

Poczem jeźdźcy pojechali drogą wprost do Węgrowa, a strzelcy z wszelką ostróżnością zapuścili się w dolinę.

Przy wejściu do miasta, uzbrojeni mieszczanie z pośpiechem robili zasieki i sypali wały ze śniegu.

Niewiasty zaś i dzieci, pokończywszy pakować kosztowniejsze przedmioty na sanki, aby je uchronić przed chciwością nieprzyjaciół, spiesznie odjeżdżały w górzyste okolice Mokabudów.

Sam nawet Narbut naglił je do tego; widocznie był zdradzony, raporta żołnierzy wysyłanych na zwiady, przekonywały go o tem.

Gdyby tylko chodziło o ocalenie swego oddziału, mógłby z łatwością wymknąć się wrogom, których siły bez porównania większe, a przedewszystkiem liczna artylerya, nie dawały mu żadnej nadziei zwycięztwa. Lecz usadowiwszy się w małem miasteczku Węgrowie, wiedział że tem skompromitował mieszkańców, nie chciał więc ich wystawiać na wściekłość moskiewską.

Już kończył wydawać ostatnie rozkazy, gdy szyldwach stojący przy drzwiach jego kwatery, zawołał:

— Ułani polscy!

łomień nadziei zabłysnął Narbutowi, i wybiegł
ę.

y to Opatrzność przysyła mu Langiewicza na
? Dla Dzieci Rozpaczy, byłoby to zwycięztwo,
ń przedtem, zjawienie się Narbuta pod Wą-
n, byłoby ocaleniem armii Langiewicza.

Zamiast armii była tylko garstka kawaleryi; jednakże rad był się dowiedzieć, czy nie przynoszą jakich ważnych wieści.

Lecz naraz krzyknął radośnie. Tymi kawalerzystami byli Włodzimierz i jego rodzina: Grzegorz, Michał, Cezar i Marta, odprowadzeni przez siedmiu czy ośmiu nieustraszonych kosynierów Chuski.

— Przyjdzie Langiewicz? zapytał generał zbliżając się do nich.

— Czekał na ciebie wczoraj cały dzień, odpowiedział Włodzimierz, a teraz cofa się ku górom Swiętokrzyskim, po stoczonej bitwie w Wąchocku. Ach! mój synu, żeś nie przyszedł na czas!

— Bitwa! zawołał Narbut zdumiony. Była więc tam bitwa? Lecz dlaczego Maryan przysłał do mnie posłańca abym nie opuszczał moich pozycyi?

— Przeciwnie, wysłał kuryera abyś się spieszył z przybyciem.

— Ojcze, to niemożebne. Bolesław Tokoło mówił mi tutaj w obec całego mego sztabu; wybieraliśmy się, zatrzymał nas zapewniając, że Maryan zdecydował się opuścić swoje pozycye i tu złączyć się z nami.

— Nędznik! zawołała Marta, sprzedał swoich braci!

— Narbucie, Narbucie, mówił starzec, ostrzegałem cię, a ty mi nie wierzyłeś.

— Każ przyprowadzić tego zdrajcę, rzekł Cezar; przynajmniej sprawiedliwości trzeba zadosyć uczynić.

— Nie ma go tu, odszedł onegdaj, odpowiedział zrozpaczony generał, a oto i moskale nadchodzą. Biada mi, to moje zaufanie do niego zgubiło nas!

Spuścił głowę, i ze wstydu i bólu zapłakał.

Jeden z adjutantów przybiegłszy w największym pędzie:

— Bracie generale, rzekł, nieprzyjaciel przygotowywa się do ataku.

Ze strasznym gniewem wskoczył Narbut na konia, wołając:

— Śmierć i zemsta!

Gniew zmienił go do niepoznania; z zaiskrzonym wzrokiem, drżącą z wściekłości ręką ściskał rękojeść szabli.

— Generale, przemówił stary kapitan pełniący obowiązki sekretarza, dziś nie idzie o zwycięztwo, lecz o ocalenie twoich żołnierzy; pamiętaj, że dzisiaj powinieneś być głową a nie ramieniem.

I przytrzymał konia za uzdeczkę.

— Bracie, prosił Narbut, popełniłem błąd, dla przykładu, powinienem umrzeć.

— Dla przykładu, powinieneś żyć i naprawić go.

— Zastąp moje miejsce, ja muszę zginąć.

— Więc idź, i bądź także zdrajcą.

Narbut trzymał swoją szablę; na wyraz zdrajca, zbladł i zgrzytnął zębami.

— Zygmuncie! Zygmuncie! strwożona zawołała Marta.

Generał opuścił broń, i ściskając rękę kapitana, rzekł z uczuciem:

— Dziękuję ci bracie; dziś nie jestem godzien przelać mojej krwi za świętą sprawę, którą własną nieroztropnością skompromitowałem; stań na czele bohaterskiego zastępu, który poświęci się dla zasłonięcia odwrotu swoich braci.

— Bracie, zyskałeś więcej niż zwycięztwo, odpowiedział stary adjutant, uchylając krakuski z szacunkiem; my potrafimy umrzeć za Polskę, i, przyjdzie dzień, że nas pomścisz.

Potem, zwróciwszy się do Dzieci Rozpaczy, stojących na placu w szyku bojowym, w liczbie tysiąc dwustu, donośnym zawołał głosem:

— Z rozkazu generała, stu ochotników, gotowych na śmierć, niech wystąpi z szeregów!

Z groźnym okrzykiem hurra, armia zrobiła dwa kroki naprzód; oficerowie i żołnierze, żaden nie został w tyle.

Musiał sam Narbut wyznaczyć dziesiątki.

— Generale, wybierz nas! generale, to nasza kolej! wołali żołnierze.

— Uspokójcie się, dzieci, przyrzekam wam odwet inną razą; ja także zostaję z wami.

— Dzisiaj, generale; prosimy cię, bracie generale. Bóg i Matka Boska Częstochowska! Niech żyje Polska!

— Zostaniecie dla bronienia świętego obrazu naszej Patronki, zawołał Narbut, wskazując na sztandar niesiony przez Martę.

Lecz bohaterska dziewczyna chciała także walczyć, i protestowała przeciw rozkazowi swego narzeczonego, poruszając sztandarem.

Ażeby była posłuszną, potrzeba było wdania się Kirpowskiego. Doświadczony człowiek, pomimo męztwa, uznał odwrót koniecznym.

— Powinniśmy dać dobry przykład, rzekł do swej córki. Pójdźmy więc zająć nasze miejsca na czole armii. Chodź, Cezarze, ty należysz do oddziału Chuski, i ty także Magnusie.

— Panie, pozwól mnie staremu zastąpić jakiego młodzieńca, rzekł Magnus, obracając się z żalem za bohaterskim batalionem.

— Jesteś kosynierem, a ja twoim naczelnikiem; zapomniałeś już rozkazów?

Wyprostował się Magnus

— Gdzie mam pójść? zapytał.

— Chodź z nami, rzekł Włodzimierz, staniemy na froncie rezerwy.

— Nie jestem was godzien, mruknął Narbut, gdy defilowali (jechali w paradzie) przed nim.

— Więcej niż kiedykolwiek; dumni dzisiaj jesteśmy z ciebie, odpowiedział Włodzimierz, wskazując Martę.

— Ojcze, co mogę dla was uczynić? zapytał generał.

— Ojcze, żądaj aby nas przeznaczył do batalionu ochotników, zawołali naraz Michał i Grzegorz.

Zasępiło się czoło starca. Wzniósł oczy do nieba, przeżegnał się i odpowiedział:

— Poślij ich na . . . .

Nie mógł dokończyć.

Młodzieńcy po raz ostatni ucałowali siostrę i ojca błogosławiącego ich na drogę, i uścisnęli rękę Cezara i Narbuta.

Zaraz też trębacze dali sygnał do boju.

— Jezus! Marya! krzyknęło naraz stu ochotników.

I, biegnąc, złączyli się ze stu obrońcami barykady, podczas gdy tysiąc stu ich towarzyszy, smutnych lecz dumnych, uszykowanych w ściśniętą kolumnę wokoło sztandaru, wolno oddalało się drogą ku Makabudom, rojącą się niewiastami, dziećmi i sankami, dążącymi w góry.

Odgadł ten manewr pułkownik Popofosopulo. I, aby łatwo odniesione zwycięztwo było zupełnem, potrzeba było szybko zdobyć miasto, rzucić kozaków i ułanów dla przecięcia drogi oddalającym się, i wziąść ich pomiędzy konnicę i artyleryę.

Polowanie kapitana Frederikowa na Włodzimierzową gromadkę, ostrzegło Polaków, i pomieszało jego szyki.

Był nadzwyczaj rozdrażnionym.

— Bałwan! mówił sam do siebie, zasłużył abym go kazał na miejscu rozstrzelać. Po bitwie, porachujemy się.

Lecz najpilniejszą sprawą było zdobycie miasta.

Dlatego też wszystkie swoje siły; piechotę, jazdę i artyleryę, zgromadził na pół strzału armatniego,

O dziewiątej rozpoczęto ogień.

Przez dziesięć minut grad kul z dwudziestu dział burzył śnieżny szaniec, wywracał chaty, dziurawił kamienice, łamał drzewa i rył ziemię.

Ani jeden wystrzał nieodpowiedział na ten straszny ogień; miasto zdawało się opuszczone.

Z konia, badał pułkownik przez perspektywę rozwarty i bezludny wyłom, to znowu wzgórza wznoszące się poza miastem.

Naraz, spostrzegł na wzgórzu kolumnę Dzieci Rozpaczy, uszykowaną kompaniami i oddalającą się w dobrym porządku.

— Psy! psy! ryknął moskal. Myślą wymknąć się, lecz jeszcze jest czas.

I obracając się do swoich adjutantów:

— Zanieście, krzyknął, do komendantów kawaleryi rozkaz wspierać atak, a piechocie aby biegiem rzuciła się na barykadę dla oczyszczenia przejścia.

— Jedenasta kompania pułku Kostrowa i dwa pierwsze szwadrony ułanów, naprzód!

— Niech żyje cesarz! wrzasnęli moskale, pędząc jak huragan.

W tym samym czasie, dwie sotnie kozaków i piąty szwadron ułanów, w największym galopie otaczali miasto, w celu przecięcia odwrotu Dzieciom Rozpaczy.

Artylerya, postępując za piechotą, zbliżała się do bramy miasta.

Przez kilka minut nie słyszano nic więcej jak tylko głuchy łoskot spieszących do ataku mass.

Już kolumna atakująca dotykała walącego się szańca, kiedy jakiś głos donośny zakomenderował:

— Ognia na całej linii!

Dwustu Polaków leżących na śniegu, powstało jak jeden mąż. Zagrzmiał straszny ogień ręcznej broni i, w kilku sekundach, jedenasta kompania cała okryta chmurą dymu, została przerzedzoną morderczemi wystrzałami.

Wstrzymani zasiekami, dziesiątkowani kulami, moskiewscy ułani cofali się w nieładzie.

W tym samym czasie głos zawołał:

— Wstrzymać ogień!

Gęsta chmura dymu wznosiła się powoli. Z jedenastej kompanii ani jeden człowiek nie został; śnieg był zbroczony krwią, a wyłom milczący i opuszczony.

Pułkownik osłupiał z gniewu i zdziwienia.

Na jego rozkaz, cała piechota rzuciła się naraz ku wyłomowi, gdzie powtórnie została na parę kroków przywitaną wystrzałami. Zawahali się grenadyerzy nie zdecydowani; lecz na nowo poprowadzeni przez swoich oficerów, biegli z bagnetem w ręku.

Polacy byli przygotowani na atak; bez dania więc czasu oblegającym do przejścia szańca, rzucili się na nich, z okrzykiem: Jezus! Marya! a rąbiąc z zaciekłością, przebijając, kłując, stosy trupów kładli; okryci ranami, ociekli krwią i potem, gdy padali śmiertelnie ugodzeni, podnosili się raz jeszcze dla zadania wrogowi ostatniego ciosu.

Parci tym wściekłym natarciem grenadyerzy, cofali się dla sformowania kolumny po za armatami.

Popofosopulo pienił się ze złości.

Upatrzywszy stosowną chwilę w której jego artylerya była odkrytą, kazał strzelać kartaczami.

Kule armatnie i granaty zmiatały pole bitwy, straszną rzeź sprawiając.

Najpierwszy został ugodzony stary kapitan polski. Padając zawołał:

— Na działa, dzieci, na działa!

Z szalonem męztwem rzucili się powstańcy na artylerzystów; a gdy ci ginęli w obronie swoich armat, ułani pod dowództwem Frederikowa z całą zajadłością uderzyli; walka była straszną.

Michał Kirpowski walczył w pierwszym szeregu, obok swego brata. Raz zadany szablą, odciął mu rękę; ujął w lewą dłoń siekierę i strzaskał czaszkę dwom kanonierom w chwili, gdy jeden z nich przykładał lont zapalony do działa, które pięciu czy sześciu powstańców obracało przeciw szwadronowi jazdy moskiewskiej.

Grzegorz wydarłszy lont z rąk zabitego moskala, przyłożył go do kartaczownicy i zawołał:

— Pomszczę cię bracie!

Trysnęła błyskawica i kartacze zrobiły szeroką lukę w szeregach ułanów.

Frederikow upuścił pałasz, poniósł rękę do piersi i padł na stos trupów nieżywy.

Lecz już powstańców nie pozostało więcej jak z pięćdziesięciu, i to prawie wszyscy okryci ranami i otoczeni żelaznem kołem lanc i bagnetów; jeden za

drugim padali przeszywani razami, szepcząc jeszcze święte imię Polski!

Pułkownik kazał pozbierać lżej rannych i posłać do Warszawy, aby tam wyleczeni, skończyli na szubienicy dla przykładu.

Pomiędzy znaczną liczbą tych nieszczęśliwych, nieludzko wybranych na tortury, był Grzegorz drugi syn Kirpowskiego, i kapłan, którego kozacy powalili dwoma uderzeniami pięści gdy klęcząc przy jednym z dogorywających braci, dawał mu rozgrzeszenie.

Na rozkaz swego dzikiego naczelnika, ułani, kozacy i grenadyerzy, sformowani w kolumnę, ruszyli do opuszczonego miasta, tratując i depcząc po trupach polaków i moskali.

Ze szczytu pagórka, gdzie nieprzyjaciel nie mógł zamarzyć o ich ściganiu, Dzieci Rozpaczy widzieli zakończenie krwawego dramatu.

Podczas gdy ostatni z ich bohaterskich obrońców polegli, uklękli i z głową odkrytą w około sztandaru, wzruszonym głosem odmawiali modlitwy za konających.

Naraz ich generał powstał gwałtownie, gniewem zaiskrzyły mu się oczy i zadrżał z wściekłości i bólu.

U stóp pagórka spostrzegł ułanów i kozaków wysłanych jeszcze w początkach bitwy dla przecięcia im odwrotu.

— Bracia, zawołał, wskakując na konia, krew męczenników woła o pomstę; niebo nam same oddaje ich katów, przygotujcie broń!

I z tym szybkim rzutem oka jakim odznaczali się nieustraszeni naczelnicy partyzantów, wyznaczył pozycye kosynierom i strzelcom.

Włodzimierz nabił swoją dubeltówkę i stanął w pierwszym szeregu.

— Ojcze, rzekł Narbut, cofnij się w tył obok sztandaru.

— Mam dwóch synów tam — w dolinie odpowiedział starzec.

— A ja dwóch braci, zawołała Marta; niech kto inny weźmie sztandar, chcę walczyć.

Moja córko, rzekł na to Włodzimierz, łagodnie ją odpychając, pamiętaj że nie mam już nikogo prócz ciebie, miej więc litość nad mojemi siwemi włosami; już poświęciłem dwoje moich dzieci, nie narzucząj mi trzeciej żałoby.

— To ja, stryju, będę ci towarzyszył; moja krew tylko do Polski należy.

Magnus nie wyrzekł ani słowa, tylko palcem pociągnął po ostrzu kosy i badał jej kolec.

Broń była w dobrym stanie, poszedł więc za Włodzimierzem i Cezarem.

Niektórzy z ochotników ukryli się za drzewa, inni zaś pokładli się za wyniosłościami na śniegu.

Z jakie dwieście kroków za nimi, kozacy spostrzegli na wzgórzu siedzących na koniach Narbuta, Martę i siedmiu czy ośmiu ułanów polskich.

Radośne hurra wrzasnęli. Widocznie, ci ludzie byli samymi naczelnikami, pomyśleli; każda z tych głów była wartą 30 rubli: korzystny więc był interes.

Ażeby nie dzielić się zdobyczą z ułanami, nie czekając na nich, puścili się galopem.

— Niech żyje cesarz, i śmierć psom buntownikom! wrzasnął dowodzący nimi kapitan, dobywając pałasza.

— Śmierć tym łotrom! powtórzył młody oficer pełniący obowiązki adjutanta.

Cezar słyszał jak Włodzimierz szeptał:

— To ten co pierwszy przyjechał do Atrady; biedny chłopiec!

— Ojcze, mierz do kapitana, rzekł młodzieniec to jest....

Szwadron pędził galopem. Padł strzał; kapitan stoczył się z konia.

Na ten znak, zagrzmiały wystrzały z zasadzki.

Kozacy niespodzianie przywitani, zawahali się.

Naprzód! krzyknął porucznik, naprzód. Śmierć buntownikom!

Lecz już, według swego zwyczaju skoro nie byli popierani przez armię regularną, kozacy zwrócili konie.

— Tchórze! psy! naprzód! wrzasnął porucznik.

I, z piętnastu czy dwudziestu jeźdźcami, z pałaszem w zębach, z pistoletami w ręku, rzucił się na gromadkę w której byli Narbut i Marta.

— Nasza to kolej teraz, zawołał generał, ułani, na wroga!

— Polacy spuścili długie swoje lance w pół ucha końskiego, i jak w starożytnych turniejach, dwa oddziały starły się z sobą gwałtownie.

A wśród dymu i zawieruchy śnieżnej, unosił się po nad nimi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Uciekający moskale, znienacka zaskoczeni przez kosynierów, szybko spuszczając się z pagórka, sprawili popłoch w szwadronie ułanów, który zresztą, przywoływany przez trębaczy, zamiast nieść pomoc walczącym, co koń wyskoczy uciekał do Wąchocka.

Bitwa trwała zacięta, chociaż nierówne były siły.

— Do sztandaru! krzyknął naraz Włodzimierz.

Gwałtownie wstrząsany sztandar przez kilka minut, gdzieś się zapodział.

Cezar i Magnus z trzydziestu kosynierami pobiegli w najzażartszy bój szukać sztandaru.

Ułani polscy, otoczeni nieprzyjaciołmi, walczyli z bohaterską odwagą; lecz mieli godnego siebie nieprzyjaciela, oficerów moskiewskich i wyborowych żołnierzy z trzeciego pułku kozaków. W tej walce piersi z piersią, lance były nieużyteczne, więc szablami i siekierami rąbali jedni dla obrony, drudzy dla porwania sztandaru. Już moskale cofać się zaczęli, kiedy olbrzymi kozak, chwyciwszy drzewce sztandaru, podniósł pałasz by uciąć rękę Marcie starającej się go utrzymać.

— Do mnie, Narbucie! krzyknęła.

Szabla młodego generała złamała się i wystrzelił ostatni pistolet; wyprostował się więc na siodle i jedną ręką chwyciwszy za rękę moskala, drugą go ścisnął za gardło.

Trzymając się za bary, dwaj walczący ściągnęli się z koni, wlokąc za sobą sztandar ze złamanem drzewcem.

Zapomniawszy o swojem własnem niebezpieczeństwie, myślała Marta tylko o Narbucie i o stracie sztandaru; przechyliła się z konia i, przyłożywszy rewolwer do twarzy olbrzyma opierającego się kolanem na piersi Narbuta:

— Poddaj się, zawołała, albo zginiesz!

Kozak wyciągnął kindżał z za pasa; błysnęło jej ostrze przed oczami i pociągnęła za cyngiel zamykając oczy.

Moskal z roztrzaskanem czołem, upadł ciężko na żemdlonego Narbuta.

Marta narażając się na stratowanie kopytami końskiemi, wydostała z pod zabitego moskala swego narzeczonego; piersi jego i twarz krwią były zalane.

Krzyknęła przerażona.

— Odwagi, Marto! odwagi! otóż jesteśmy wołał Cezar, robiąc sobie z Magnusem i z kosynierami szerokie przejście aż w sam środek potyczki.

Ludzie i konie padali pod razami Dzieci Rozpaczy.

To już nie była bitwa, ale rzeź.

Polacy, brnąc po kolana w stosie trupów, rozgorączkowani, z zaiskrzonem okiem, z rozwianym włosem, bez litości i bez wytchnienia kłuli i siekli długiemi kosami odurzonych z przerażenia kozaków.

Dwóch czy trzech jeszcze oficerów, okrytych ranami z energią i rozpaczą broniło swego życia.

Jeden z nich młodszy i waleczniejszy, chciał przynajmniej drogo sprzedać swoje życie; zwalony z konia, którego Magnus jednym pchnięciem kosy powalił, rzucił się na Martę klęczącą przy omdlałym Narbucie i silny jej cios pałaszem wymierzył.

Szybki ruch ocalił jej życie; ostrze ześlizgnęło się po metalowej klamerce czamarki, zadrasnęło ją w szyję i znikło w fałdach odzieży.

Moskal powtórnie zamierzył się, lecz jakaś silna ręka schwyciła go, uniosła i rzuciła na śnieg.

I w tej chwili, Magnus postawił mu nogę na piersi i głosem ponurym rzekł:

Zginiesz, robaku!

— Przebacz mu, Magnusie! błagała Marta.

— Nie przebaczyli waszym braciom, odpowiedział starzec, wymierzając kolec kosy dla przybicia wroga do ziemi.

— Rozkazuję ci Magnusie, powtórzyła dziewica, wstrzymując broń morderczą.

I dodała:

— Poruczniku, poddaj się!

Za całą odpowiedź, podawał jej swój pałasz.

Marta wyciągnęła po niego rękę.

— Giń więc, psie! ryknął oficer, pociągając jednocześnie cyngiel pistoletu trzymanego w lewej ręce.

Kurek spadł z suchym łoskotem; lecz podsypka na panewce upadła, strzał nie poleciał.

— Ach! zdrajco, wrzasnął kosynier.

I nim Marta miała czas schwycić za rękę starca, już obcasem przygniótłszy wrogowi piersi, kosą przeszył jege serce.

— Cóż uczyniłeś Magnusie? ze zgrozą wykrzyknęła.

— Sprawiedliwość, odpowiedział, ocierając zbroczone ostrze, połą swojej sukmany.

Walka była skończoną; Dzieci Rozpaczy zajęli się zbieraniem rannych.

Nie bez trudu wydobyto Narbuta z pod stosu trupów.

Z braku wody, Marta, na kolanach obok swego narzeczonego, śniegiem tarła jego czoło. Smiertelna bladość pokrywała twarz mężnego naczelnika; jego żołnierze stali jakby piorunem rażeni.

— Jeszcze jeden męczennik! wyszeptał Cezar.

— Pozwól mi pani, rzekł Magnus, klękając z kolei, przemówię do niego; jeżeli mnie nie usłyszy, to znaczy że nie żyje.

I, przyłożywszy usta do jego ucha, silnym głosem zawołał:

— Generale, do sztandaru!

— Żyje! zawołał starzec radośnie, powstając.

— Gdzie jest sztandar? wyszeptał naczelnik, wodząc w około zdumionym wzrokiem.

— Tu, odpowiedziała Marta, pokazując mu chorągiew; oto jest.

— A . . . . nieprzyjaciel?

— Tam, generale, rzekł na to stary kosynier, ukazując końcem swojej kosy stos trupów o kilka kroków oddalony.

— Tam także, smutnie dodał Włodzimierz, wskazując na dolinie bataliony moskiewskie odchodzące do Lublina po spaleniu Węgrowa.

W pół godziny potem, powstańcy zeszli ze wzgórza i minąwszy dymiące ruiny tego co było miastem, poszli na bojowisko zbierać ciała męczenników, dla złożenia ich w wykopanym grobie pod stopami krzyża.

Włodzimierz Kirpowski stojąc na krawędzi grobu pomiędzy córką i synowcem, z bolesnem wzruszeniem przyglądał się zwłokom poległych. Kiedy przyniesiono ciało jego syna Michała, biedny ojciec, zdjął krakuskę z szacunkiem, badał ranę, przyłożył rękę do serca i długi czas szukał ostatniego jego bicia.

Potem, gdy przekonał się że już nie ma żadnej nadziei, pocałował go w czoło, zrobił znak krzyża świętego na zakrwawionych jego piersiach i rzekł:

— Idź z Bogiem synu, i do zobaczenia wkrótce; proś Boga za nieszczęśliwą swoją ojczyzną!

— Proś Boga za Polską i za nami! powtórzyli Cezar i Marta, całując także, po raz ostatni, zwłoki brata.

Z kolei zbliżył się Magnus; nie wyrzekł ani słowa, tylko przyłożył palec do rozwartej rany szlachetnego młodzieńca, i jego krwią, naznaczył sobie krzyż na piersiach.

Sto dziewięćdziesięciu dwóch Polaków, z których wielu strasznie było zeszpeconych, jednego za drugim, złożono do grobu. Pomiędzy nimi, nie znalazł Włodzimierz drugiego syna.

Ośmiu ochotników brakowało.

Może po skończonej bitwie wymknęli się do lasu, szepnęła Marta ojcu do ucha.

Starzec powolnym ruchem głowy zaprzeczył, i z bohaterską rezygnacyą wskazał niebo.

To Bóg zdziałał iż stary ojciec nie domyślił się, że owi ośmiu brakujący pozostawali w niewoli.

Skoro powstańcy usypali poległym towarzyszom mogiłę, uklękli w około niej, i odmówili za zmarłych pacierze.

Potem mówili:

,,Panie, zmiłuj się nad duszami braci naszych, poległych dla chwały Twojego Imienia, i przyjmij ich do królestwa niebieskiego.

,,Panie, uwieńcz nieśmiertelną koroną czoła poległych bohaterską śmiercią za Wiarę i Ojczyznę, i niechaj ich Twój krzyż zaprowadzi do wiecznego szczęścia.

,,Panie, nagródź męztwo naszych braci i udziel nam łaski umrzeć ich śmiercią.

,,Panie, i my również jak nasi bracia ofiarujemy Tobie nasze życie, przyjmij je Boże.

,,Panie, błagamy Cię, zmiłuj się nad nieszczęśliwą Polską!"

Po skończonych modlitwach, przysunął się Narbut do Włodzimierza.

— Ojcze, zapytał, czy jesteś pewnym że Langiewicz będzie w górach Swiętokrzyskich?

— Szedł tam gdyśmy go opuszczali; powinien już być teraz na miejscu; i bezwątpienia Swinin go ściga.

— Niech go Bóg strzeże, a jeżeli moskale nie znajdą przewodnika, Maryan ich zniszczy w wąwozach.

— Za złoto znajdzie się zdrajców, nawet w Polsce, wyszeptał starzec.

— Tą razą przynajmniej, nie będzie walczył bez nas, powiedział Narbut.

I, obróciwszy się do Dzieci Rozpaczy, wskazał im ręką oddalone góry których śnieżne szczyty słońce rumieniło, i głosem donośnym zawołał:

— Naprzód, Bracia! tam znajdziemy Maryana, i z pomocą Bożą, zwycięztwo!

— Boże zbaw Polskę! odpowiedzieli dzielni ochotnicy.

I, sformowawszy kolumnę, zapuścili się w głąb lasu.

Prawie w tym samym czasie, Swinin opuścił Wąchock, gdzie dwa świeże bataliony przyszły połączyć się z jego armią, i forsownym marszem podążał w góry Swiętokrzyskie, dla zupełnego zniesienia buntowników.

Abraham służył mu za przewodnika.

— Jeżeli mi pomożesz pojmać Maryana i Chuskę, dam ci 60 rubli i moją część łupów, mówił do niego generał; a jeżeli będziesz mnie włóczył tylko po la-

sach, bez żadnego skutku, każę cię ukrzyżować na jodle.

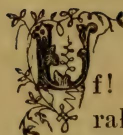
Żyd przysięgał się na Boga Izaaka i Jakóba, że doprowadzi jego excellencyę aż do pikiet powstańczych.

— Jeżeli wojna dłużej potrwa myślał sobie, to moskale więcej mi oddadzą aniżeli mi zabrali.



XVI.

Prawo w obec gwałtu.



Uf! co za mróz, Excellencyo! wykrzyknął generał Błagurow wchodząc do gabinetu gubernatora, 25% Reamur'a niżej zera i wiatr dął całą noc. Jadąc tutaj z cytadeli, odmroziłem nos i uszy. Co za zimno! jestem pewny że niemało polskiej zmarzniętej zwierzyny znajdzie się w puszczach.

— Biedni buntownicy, w istocie ciężką noc musieli przepędzić, rzekł z uśmiechem namiestnik.

Potem, pociągnąwszy z tureckiej fajki, puścił wolno kłęby dymu i dodał:

— Nieszczęściem, biedni nasi żołnierze również mają co cierpieć.

— Hm! odrzekł Błagurow, przestępując z nogi na nogę, z wdziękiem podobnym niedźwiedziowi uczącemu się tańczyć, ci Swinina, nie powinni bardzo narzekać.

— I dlaczego to, mój drogi?

— Oh! dlatego że Swinin nie poluje w czasie za-
wiei śnieżnej. I jestem pewny że o tej godzinie te-
raz, jego kolumna jeszcze wygrzewa się w jakiej po-
owie miasteczka.

— Kiedy buntownicy są w drugiej?

— Nie, nie, nie myślę tego; połowa domów za-
ęta jest przez wojsko.

— A druga?

— Dostarcza im opału, Excellencyo.

Namiestnik raczył rozśmiać się.

— I pan to myślisz, Błagurowie?

— Nieinaczej, i jestem prawie pewnym tego;
z nim nasi żołnierze mają dobre czasy.

— To pytanie, rzekł namiestnik z rodzajem szy-
lerstwa.

— Chcesz pan na to dowodu? mówił Błagurow
troche urażony.

— I owszem, proszę, z prawdziwą przyjemnością.

— Czy pozwolisz pan przeczytać sobie list pisa-
ny do mnie przez kapitana grenadyerów, młodego
jeszcze człowieka którego protegują?

— Czytaj, mój drogi, czytaj.

Generał wyciągnął z kieszeni arkusik papieru,
widocznie przyniesiony w intencyi zaszkodzenia
swemu przyjacielowi Swininowi, ponieważ wydawał
on niepochlebne świadectwo o faworycie jego excel-
lencyi, jako o niezdolnym naczelniku, którego śpie-
sznie należało zastąpić człowiekiem czynnym, spręży-
stym i roztropnym, takim, jak na przykład . . . . Bła-
gurow.

List był w ten sposób pisany:

,,Jaśnie Wielmożny Panie,

,,Racz pan przyjąć tysiączne dzięki za przyłączenie mnie do kolumny dowodzonej przez generała Swinina.

,,Odchodząc, lękałem się, że przyjdzie wiele wycierpieć w tej kampanii podjętej dla chwały naszego najmiłościwszągo cesarza i ojca, lecz szczęściem, płonne były moje obawy.

,,To nie jest wojna, to jest spacer wojskowy; nasze etapy są krótkie i tak dobrze obliczone, że trzy razy dziennie odpoczywamy.

,,Codziennie nasze jadło składa się z trzech potraw: na śniadanie pałac, na obiad miasto, a na wieczerzę wioska. Może nie rozumiesz pan?

,,Wyjaśnię lepiej: na każdy popas zatrzymujemy się w pałacu, w mieście lub w wiosce, które po zrabowaniu palimy: nic nie jest więccj zajmującego ani korzystniejszego.

,,Wychodząc z Piotrkowa, gdzie rozstrzelilişmy kilku buntowników, jedynie dla znalezienia okazyi do rabunku, poszliśmy do Atrady, gdzie powstańcy sfanatyzowani przez swego księdza zamordowali dwóch kozaków i ranili pułkownika Liskiego. Nasz generał raczył przebaczyć tym łotrom, lecz z kolei zakpiwszy sobie z Padleców, pół-nagich kazał wypędzić do lasu i spalić ich chaty. Sądzę, że wszyscy zmarzli, tembardziej że dużo było dzieci.

„Wieczorem, podczas gdy buntownicy używali chłodu, my ciepło i wygodnie spaliśmy w Tomaszowie, który również następnie spaliliśmy, wynagradzając w ten sposób naszych gospodarzy.

„Uśmiałbyś się pan serdecznie z zabawnych ich min, jakie robili, widząc że podkładamy ogień pod ich domostwa; bo że nie strzelaliśmy do nich wszedłszy do miasta, wyobrazili więc sobie, że nie mają czego się lękać.

„*Będąc zmuszeni powrócić do Kielc, przechodziliśmy przez dosyć duże miasteczko gdzie jakiś Polak, uzbrojony w kosę, pomimo rozpaczliwych usiłowań wstrzymującej go żony, rzucił się na nas; zabiliśmy ich oboje i spaliliśmy miasteczko.*

„*Naczelnikami band buntowniczych, są prawie sami księża; zabiliśmy ich pięciu. Życie jest obfite i łatwe, drobiu podostatkiem.*"[1]

„Jutro spodziewam się . . . .

— Ach! Ach! czy to już koniec? zapytał namiestnik, puszczając kłęb dymu.

— Tak, excellencyo; pokazuje się że to niewiele znacząca kampania, gdyż oprócz zabijania księży i jedzenia drobiu, nic więcej nie ma do czynienia, odpowiedział Błagurow.

— Jesteś zazdrosnym, mój drogi; strzeż się abyś snu nie stracił, rzekł namiestnik, znacząco mrużąc oczami.

---

1 List pisany przez oficera rosyjskiego, publikowany w Gazecie Petersburskiej.

W każdym razie, to nie wawrzyny Swinina przeszkodzą mi spać.

— Za całą odpowiedź, namiestnik wziął ze stołu arkusz papieru własną ręką zapisany, i podał mu go.

– Cóż to jest excellencyo?

— Artykuł, który wyjdzie dziś wieczorem w gazecie urzędowej, mój drogi, a ponieważ lubisz czytać, to mi go przeczytaj.

Na nagłówku stało: *Ostatnie wiadomości.*

— Ach! zawołał Błagurow, widocznie zmieszany.

– Czytaj dalej, rzekł namiestnik, zapalając świeże cygaro.

,,Wiadomości z prowincyi są jaknajlepsze; wczorajszy raport generał-gubernatora lubelskiego, donosi o świetnem i podwójnem zwycięztwie, odniesionem przez generała Swinina i pułkownika P. nad buntownikami, zgniecionymi przez kolumny rosyjskie w Wąchocku i w Węgrowie.

— Lecz kiedyż były te bitwy? zapytał generał.

— Czytaj dalej, mój drogi, a dowiesz się.

,,W Wąchocku dowodził buntownikami niejaki Langiewicz, dezerter pruski, a w Węgrowie fanatyk, imieniem Narbut.

,,Wojska rosyjskie nie przestraszywszy się przewyższającej liczby nieprzyjaciół, rzuciły się do boju z okrzykiem: Niech żyje cesarz, i w mgnieniu oka nader ważne zdobyły pozycye. Pole zasłane jest trupami poległych kosynierów i strzelców,

,,W jakie dziesięć minut, po rozpoczęciu ataku, powstańcy uciekając na wszystkie strony, pozostawili

r rękach naszych walecznych żołnierzy — broń, baaże, i przeszło pięćset niewolnika.

,,Langiewicza znaleziono pomiędzy umarłymi; [arbut zaś, jak mówią, zdołał dostać się za granicę.

,,W tej walce straciliśmy pięciu kozaków i trzech renadyerów. Rannych mamy tylko dwudziestu ięciu, pomiędzy którymi jest jeden oficer.

,,To świetne zwycięztwo, zawdzięcza się jedynie oztropności, odwadze i zimnej krwi generała Swinia, i otoczyło ono wieńcem chwały, skroń tego znaomitego oficera.

Błagurow wzruszył ramionami.

,,Od obecnej chwili, można kampanię w gubernii ıbelskiej uważać za skończoną, a w kilku dniach Mazowsze od band buntowników zostanie oczyzczone, tembardziej, iż wieśniacy, nie łudzący się ięcej, domagają się je ścigać.

,,Zapał żołnierzy jest godnym uwielbienia, a lunośći, przechodzi wszelkie pojęcia."

Błagurow położył na biórku papier, nie czyniąc ajmniejszej uwagi.

— No i cóż myślisz, mój drogi, o tym raporcie?

— O raporcie, excellencyo, myślę że jest zaadto piękny aby był prawdziwy.

— Jakto! pan, generał, i wątpisz o prawdziwoci urzędowego raportu?

— Niestety! excellencyo, ja sam redagowałem aporta podczas kampanii krymskiej, i co tydzień doosiłem o świetnych zwycięztwach nad . . . . Francuami.

Excellencya głośnym wybuchnął śmiechem.

— Wierzę, iż jest kilka drobnych niedokładności, i mówiąc między nami, jako namiestnik, byłem obowiązanym dodać cokolwiek do depeszy gubernatora. Potrzebnem to było dla zniechęcenia powstańców i ich przyjaciół na zewnątrz kraju; lecz podwójne zwycięztwo jest niewątpliwem, i tak niewątpliwem, że pułkownik P. pisząc do mnie o swojem powodzeniu w polowaniu, jako dowód, przyseła mi kilkunastu Padleców, dla zrobienia z nich przykładu.

— Przykład! przykład! sto tysięcy przykładów potrzeba zrobić, excellencyo, i gdybyś mi pan pozwolił, bez straty jednego żołnierza, bez jednego strzału armatniego, zamieniłbym w szubienice wszystkie drzewa, na dziesięć wiorst w około Warszawy.

— Oh! oh! a jaką bronią chcesz pan walczyć?

— Nożami, excellencyo, nożami i siekierami wieśniaków, którym pozostawiłbym majątki powstańców; cała ta nikczemna narodowość samaby się wytępiła.

Namiestnik wzruszył ramionami.

— A jeżeli wieśniacy odmówią napadać dwory i zabijać szlachtę?

— Powołam raskolników (sekta w Rosyi), i w całej Rosyi, gdzie są kolonie sekciarskie, każę popom ogłosić we wszystkich cerkwiach, następującą odezwę:

— Jakto! pan mi zaimprowizujesz odezwę!

— Nie, excellencyo, już ją ułożyłem; mam ją na sercu, w moim pugilaresie; otóż i jest. Czy raczysz pan . . . . .

— Czytaj więc, czytaj generale; rozumie się, jeżeli nie jest tak długa jak list pańskiego przyjaciela.

— Tylko cztery wiersze, excellencyo.

I, wzruszonym głosem, czytał:

,,Podajemy[1] do wiadomości całemu narodowi, iż wolą cara jest wytępić wszystkich katolików, tak panów jak i wieśniaków; ich ziemie i ich majątki, jako wynagrodzenie, zostaną oddane tym, którzy porwią za noże i siekiery.

,,Weźcie się wszyscy do roboty, a zostaniecie bogatymi; car was zrobi właścicielami i dziedziczną szlachtą, a my, (popi), błogosławić będziemy tym, którzy wezmą za noże w obronie tak świętej sprawy, dla wytępienia katolicyzmu.

,,Idźcie, uderzajcie bez litości; zniszczcie zaród herezyi na świecie. Bóg, kościół i car tego od was żądają.

Skończył, i spojrzał na namiestnika, by się przekonać jakie wrażenie jego odezwa zrobiła.

— Może to trochę za ostro, rzekł namiestnik.

— Excellencyo, odpowiedział Błagurow, naszym nieprzyjacielem w Polsce jest katolicyzm, tę więc przeklętą religię trzeba koniecznie z korzeniem wytępić.

---

1 Podobne odezwy bez podpisu, w setkach tysięcy egzemplarzy, zostały rozrzucone po schizmatyckich wioskach na Litwie.

— Nie przeczę temu, mój drogi, i sam jestem za-tem ażeby użyć wszelkich możebnych sposobów do jej wytępienia; lecz tę robotę trzeba wykonywać w cieniach nocy a nie w biały dzień; więcej nawet powiem, ta proklamacya, dostawszy się po zagranice kraju, mogłaby nas skompromitować, dla tego też nie podzielam tej myśli.

— Zaproponowałbym więc, rozrzucić ją bez podpisu; w takim razie, jeżeliby jaki egzemplarz dostał się zagranicę i nam robiono wymówki, możemy wyprzeć się natychmiast.

— I ze wstrętem, rzekł namiestnik.

— To się rozumie excellencyo.

— W istocie, myśl nie jest zła, i możnaby spróbować.

— Jeżeli wasza excellencya raczy mnie upoważnić, kazałbym wydrukować z parę tysięcy egzemplarzy, i....

— Radbym naprzód wyrozumieć wolę najjaśniejszego pana; w kilku dniach dam panu stanowczą odpowiedź; a tymczasem, uważam sobie za obowiązek powinszować panu tej gorliwości w służbie ukochanego naszego monarchy i ojca. Pan wiesz zapewne, że rząd cesarski stara się nakłonić Biskupa Rzymskiego, własnego ich Papieża, do ekskomunikowania buntowników.

— Tak, ten Papież, zamiast z szacunkiem schylić głowę przed rozkazami naszego ukochanego monarchy i ojca, ośmielił się napisać list w obronie tych Padleców Polaków.

— A nawet polecił odprawić nabożeństwa za Polskę i procesye; śmieszny to rodzaj protestu, dodał namiestnik, wyobraża on sobie zapewne, że się boimy jego niemocy; tymczasem to wszystko jest bardzo nudnem.

— Nudnem, excellencyo, i dlaczegóż? Cóż nas może obchodzić że Polacy słuszność mają za sobą, jeżeli my mamy siłę?

— Co do samych Polaków, mało mnie to interesuje co sobie o nas myślą, ale zewnątrz, poza Polską, musimy dbać o reputacyę, mój drogi. A jeżeli wszyscy księża na ziemi zaczną krzyczeć, Europa rzuci na nas kamieniem potępienia.

— Ba! nie wszyscy będą krzyczeć, excellencyo, wszak Feliński,[1] nie śmie odezwać się.

— Nie śmie, nie śmie, łatwo to powiedzieć. Ach! generale, nie wiesz ile ja go oszczędzam aby nie zawołał — precz z mordercami!

— Przyrzecz mu pan dekoracye, honory i pieniądze, a będzie siedział spokojnie.

— Wszystko próbowałem, ale z tymi psami[2] księżmi katolickiemi, nic dopiąć nie można; mają tylko jedno słowo na ustach: Sprawiedliwości, sprawiedliwości; nasi popi schizmatyccy są wyrozumialsi.

— To prawda, excellencyo; ja sam, tak jak wszyscy inteligentniejsi Rosyanie, gardzę duchowieństwem i religią, lecz trzeba oddać sprawiedliwość,

---

1 Ks. Arcybiskup Warszawski.

2 Tak moskale nazywają księży katolickich i w ogóle Polaków.

ponieważ jestto prawdą, że pomiędzy naszymi ortodoksami, od metropolity najlepiej uposażonego aż do ostatniego popa, są wszyscy pijacy, i nie znajdzie się jeden, któryby nie był pod obcasem gubernatora wojskowego, i nie spełniał ochoczo rozkazów cesarskich, uważając je świętszemi, aniżeli ewangelię.

— Dlatego że nie są wspierani przez Papieża cudzoziemca, mój drogi, który ich . . . . Ach! wyznam szczerze, dotąd nie śmiałem skazać na powieszenie choćby jednego księdza w Warszawie. Za pierwszą taką egzekucyą Feliński krzyczałby jak paw, i pisałby do swego Papieża, któryby znowu pisał i krzyczał na cały świat. W Petersburgu jest inaczej; gdy św. prawosławny Synod zbiera się na uchwały soboru, car wysełа ze swej ręki generała,[1] na prezydenta zgromadzenia; jeżeli są zawikłane jakie kwestye teologiczne, generał zdaniem swojem usuwa trudności; jeżeli metropolici są uparci, podnosi głos, brzęknie ostrogami, i koniec wszystkiemu; lecz duchowieństwem katolickiem . . . .

— I dlatego też excellencyo trzeba wytępić katolicyzm w Polsce; ani Biskupa, ani księdza nam tu nie potrzeba. Chcesz pan za jednym zamachem zmoskwiczyć Polskę, pozwól mi rozrzucić moją odezwę, a ja panu przyrzekam, że . . . .

1 Prokuratorem generalnym św. Synodu w Rosyi, jest generał kawaleryi, i on rozstrzyga w ostatnim stopniu, sprawy sumienia.

— Jego Excellencya Mgr. Feliński życzy sobie mówić z waszą excellencyą, rzekł jeden z adjutantów, wchodząc do gabinetu.

— Poproś pan, odpowiedział gubernator, zmieniając natychmiast wyraz twarzy.

I, zwracając się szybko do Błagurowa:

— Oto i bomba pęknie; przejdź pan do tego gabinetu, trzeba ażebym sam z nim mówił; zawołam pana po skończonej wizycie.

I, rzucając cygaro, poprawił szybko swoją toaletę, przyoblekając twarz dobrodusznym i stanowczym wyrazem twarzy.

Zaledwie zdążył Błagurow wślizgnąć się do sąsiedniego pokoju i przyłożyć ucho do klamki, gdy wszedł ks. Arcybiskup.

Mgr. Feliński był jeszcze młodym, stosownie do wysokiego stanowiska, jakie zajmował; wzrok jego zazwyczaj słodki i melancholijny, tą razą miał wyraz smutnej surowości i powagi, patrząc zaś na myślące i rozumne jego czoło, łatwo było odgadnąć, że goryczą była napełniona jego dusza.

Monsignor, nie spodziewałem się o tak wczesnej godzinie, być zaszczyconym pańską wizytą, rzekł namiestnik, powstając z grzecznym pospiechem i podsuwając fotel swemu gościowi; gdybyś pan mnie uwiadomił, byłbym szczęśliwym oszczędzić mu trudu, i sam stawiłbym się....

— Dziękuję waszej excellencyi za chęć oszczędzenia mi tej małej fatygi, przerwał prałat, lecz byłbym

panu daleko więcej obowiązanym gdybyś, uderzając w pasterza, oszczędził jego owczarnię.

— Wyznaję, Waszej Excellencyi, że wcale nie spodziewałem się wymówek, odpowiedział namiestnik, udając zdziwienie, proszę też o łaskawe wytłumaczenie.

Smutnie uśmiechnął się Arcybiskup.

— Jako Arcybiskup, jestem ojcem, panie, ojcem wielu nieszczęśliwych, niewinnie prześladowanych, za którymi mój obowiązek i moje serce nakazują mi upomnieć się.

— Tak, za Polakami wiernymi cesarzowi, gdyż spodziewam się, że tylko ci są waszemi dziećmi, i nie przypuszczam, aby inni niemi być mogli, Excellencyo; najjaśniejszy pan nasz cesarz, który także jest ich ojcem, nie pragnie nic więcej jak tylko ich dobra; co się zaś tyczy tych zbłąkanych buntowników, tych morderców....

— Wyrażenie jest za silne, panie, i wyznam otwarcie, że to nie Rosyanom wcale należy dawać im podobny przydomek.

— A dlaczego to, Monsignor?

— Czyż możesz pan pytać wtedy, gdy krew płynie strumieniem, gdy niewinna ludność, wypędzona ze swoich domostw, umiera setkami z głodu i zimna, gdy....

— Monsignor, zapominasz pan do kogo mówisz; jestem tu przedstawicielem najjaśniejszego pana i oświadczam, że najsurowsze rozkazy były wydane żołnierzom, aby jak najłagodniej z Polakami postępo-

wali, lecz w ostateczności, słusznego pozwalają sobie odwetu.

— Słuszny odwet, wielki Boże! westchnął Arcybiskup.

— Tak jest, Monsignor, słuszny, i kładę nacisk na ten wyraz, bo dotychczas Rosyanie byli ofiarami, a buntownicy mordercami; nie ma okrucieństwa któregoby nie spełnili. Jestto smutnym obowiązkiem karcić ich, lecz sumienie nakazuje ich ścigać. . . .

— Cały naród w morzu krwi pogrążyć, prześladować religię katolicką, sumienie wam nakazuje! Wszak zniszczenia katolicyzmu pragniecie. . . .

— Monsignor! Monsignor! tracisz pan krew zimną, którą powinieneś zachować, i rzucasz pan odgłos nikczemnych potwarzy. Jak to! my, prześladujemy katolicyzm! wkrótce to zobaczymy, a jeżeli są nieprzyjaciele, to są właśnie owi demagodzy, ten motłoch rewolucyjny skryty i związany w towarzystwo, włóczęgi, po większej części cudzoziemcy, na których, Ojciec św. Pius IX, poinformowany przez naszego posła, rzuci niezadługo pioruny i ekskomunikę.

— Przykro mi słyszeć podobne słowa z ust pańskich, excellencyo, bo pomimo waszych starań dla przerwania komunikacyi pomiędzy Rzymem a nami, otrzymałem ostatnią allokucyę (odezwę), Ojca św. Piusa IX.

Namiestnik zbladł; lecz zaraz zapanowawszy nad sobą.

*

— Allokucya o której pan mówisz jest fałszywą; ja także podobną otrzymałem, i na honor, zapewniam pana, że jest sfabrykowaną przez buntowników.

— A rabunek kościołów, wymordowanie księży, rozrzucanie proklamacyi w tysiącach egzemplarzy dla podburzenia złych namiętności, jest także fałszem, nieprawdaż?

— Nie rozumiem o jakich czynach Wasza Wysokość mówi.

— Dziwi mnie to, panie, gdyż są publikowane; przeszło dwudziestu kapłanów już zamordowano, Przenajświętsze Hostye rzucano na ziemię i deptano nogami, zrabowano kościoły i następnie spalono je; tutaj nawet, pod pańskiemi oczami, kościół Bernardynów i cytadela były teatrem świętokradzkich i strasznych widowisk, a w katedrze, dziesięciu czy dwunastu księży zakutych w kajdany wraz ze setką innych ofiar, są skazani na śmierć lub na Syberyę.

— Nie ma ani jednego, Monsignor.

— Moim obowiązkiem jest odwiedzić więźniów, i nie ma jeszcze godziny jak widziałem ofiary w dusznych i cuchnących celach więziennych.

— Ci, o których pan mówisz, Monsignor, nie są godni zwać się księżmi, są to fanatycy, co z krzyżem w jednej ręce, a z nożem w drugiej, podburzają lud do buntu i morderstwa.

— To, panie, jest nikczemną kalumnią; całą ich zbrodnią jest, że niosą pociechę tym, których wy prześladujecie.

— My nie prześladujemy nikogo, a pan, Excellencyo, pobierający pensyę od państwa, mieszkający w pałacu, zaszczycony rangą radzcy państwa, ozdobiony wielkim orderem św. Aleksandra, zdaje mi się, nie masz pan czego narzekać.

Pod biskupim płaszczem, Arcybiskup nosił swoje dekoracye; odpiął je, i rzucił na stół namiestnika.

— Co pan robisz, Excellencyo?

— Zwracam panu te oznaki, któremi chciałeś zamknąć mi usta, milczenia biskupa nie kupuje się; odbierz pan to, co do niego należy; co do mnie, zatrzymam mój honor i moją niezależność.

— Wasza Wysokość[1] obstając przy partyi, której bierze stronę, zapewne i do dymisyi podać się zechce? zapytał namiestnik zaledwie mogąc pohamować się w gniewie.

— Nieodzownie, panie.

— A więc, Monsignor, ja panu powiadam, że nie masz pan prawa tego uczynić, ponieważ godność radzcy stanu jest do godności arcybiskupiej przywiązana, i kto zatrzymuje jednę, musi i drugą przyjąć.

— W takim razie, jestem gotów zrzec się godności arcybiskupiej, zamknąć się w jednym z klasztorów i prosić Boga o przebaczenie, że uwierzywszy waszym obietnicom, nie myślałem przez czas niejaki o moim narodzie.

1 Cały koniec tej rozmowy jest faktem historycznym czyli prawdziwym, i był publikowany w różnych dziennikach; najp. ks. Arcybiskup Feliński podał się do dymisyi, i za to został zesłany na Sybir. Za staraniem Ojca św. uwolniony w r. 1883, mieszka obecnie we Lwowie, w Galicyi.

Już nie mógł powstrzymać się dłużej namiestnik;[1] z wściekłością tupnął nogą i wykrzyknął:

— Monsignor, dopóki będę w Warszawie, pan nie uczynisz coś podobnego, przysięgam! Czy wiesz pan o tem, że czyn, który pan chcesz popełnić, jest zbrodnią stanu i buntem przeciw monarsze? Ja panu rozkazuję pozostać Arcybiskupem i radzcą stanu razem.

— Obowiązkiem pasterza jest być tam, gdzie są jego owce; ja nie mogę opuścić mojej owczarni, muszę być z tymi, którzy chronią się przed prześladowaniem waszego rządu, muszę być z tymi, których wyjęliście z pod praw.

— Ach! ach! wykrzyknął namiestnik, uderzając pięścią w stół, więc to jest wojna religijna, którą nam wypowiadacie, wy, papiści. Dobrze! na szatana, będziecie ją mieli, będziecie ją mieli bezlitośną! Rosya jest dosyć potężna, aby do korzenia wytępić wasz katolicyzm, w waszym własnym kraju.

— Czyń, panie, czyń co chcesz, masz siłę, my mamy sprawiedliwość za sobą, a nasze królestwo nie jest z tego świata, rzekł Arcybiskup, i wyszedł.

— Błagurow! wrzasnął namiestnik.

— Jestem, odpowiedział generał.

— Słyszałeś?

---

1 Namiestnikiem Królestwa Polskiego był wówczas hr. Berg. — Car, za poradą Milutina, ministra wojny, przeznaczył na wielkorządców Polski, Litwy i Ukrainy, ludzi bez żadnych uczuć szlachetnych: Berg rozstrzeliwał, Murawiew wieszał a Anyszków żywcem ludzi palił i ze skóry obdzierał. Katkow zaś w swoim dzienniku, rząd do okrucieństw podburzał.

— Tak jest, excellencyo, wypowiedział panu wojnę.

— I przyjąłem ją. Ach! sądził że mnie przestraszy swoją dymisyą. Dobrze! niech się poda, niech pisze do cesarza, niech robi co mu się podoba! Słusznie powiedziałeś generale, że to tych bandytów księży, mnichów i papistów trzeba ścigać i wytępić; upoważniam pana do drukowania pańskiej odezwy, i rozrzucenia jej w wielkiej ilości. Ach! szlachta i księża złączyli się teraz, to dobrze, podłożymy ogień pod ich kościoły, pod ich pałace i dwory, i usmażymy, jak na to zasługują.

Mówiąc to excellencya, wielkiemi krokami przechadzał się po gabinecie; Błagurow tryumfował.

— Niebezpieczeństwa nie będzie w tej kampanii, myślał sobie, a wiele jest do zrobienia; przedewszystkiem potrzeba starać się, aby namiestnik nie pogodził się z Felińskim. Ach! wyśmienita myśl.

— Mówiłeś mi pan, excellencyo, że pułkownik P. przysłał panu kilkunastu więźniów w prezencie?

— Tak, pięć czy sześć par.

— A może jest jaki ksiądz, pomiędzy nimi?

— Tak, jest; Kapucyn i jeszcze jakiś inny.

— Dobrze! Gdyby wasza excellencya dla okazania Felińskiemu że go się nie obawia, kazała ich powiesić tu w Warszawie, byłby to dobry przykład *dany z góry*, dodał z szatańskim uśmiechem.

— Nie wiem, co oni zawinili.

— Powiesi się ich naprzód a potem się zobaczy, spiesznie podchwycił podły doradzca; w każdym razie,

jeżeli nie lękasz się pan gniewu pobożnego Arcybiskupa i ekskomuniki Piusa IX.

— Ja, miałbym lękać się tych.... Nikt temu nie wierzy.

— Hm! nikt, tego Polacy nie mówią.

— Doprawdy, i cóż oni mówią?

— Że nigdy rząd nie ośmieli się ukarać kapłana, ponieważ Papież jest silniejszym od cesarza, a namiestnik dobrze wie o tem.

— Ach! tak mówią. Dobrze! mój drogi generale, trzeba dobrze zacząć aby dobrze skończyć; w tej chwili ustanowię trybunał wojenny dla osądzenia buntowników, wziętych z bronią w ręku. Pomyślmy, kogo tu wybrać? Przedewszystkiem potrzebaby ludzi energicznych.

— Czyby wasza excellencya nie raczyła mnie przyjąć?

— Bezwątpienia, bezwątpienia. No, tak, oberpolicmajster, pan, Matuszkin.

— Jest trochę słabego charakteru.

— Zaprawimy go. Ach! doprawdy, a pułkownik Kornirow, ten jest doskonałym sędzią, mianowicie gdy podpity. Przyślij mi pan mego sekretarza dla opracowania wyroku, i poproś odemnie Muchanowa aby kazał wystawić z dziesięć szubieniec, w rozmaitych punktach miasta; najwyższą na placu przed pałacem arcybiskupim, zrozumiałeś mnie pan?

— Tak jest, excellencyo; chcesz pan aby Feliński z okna swego pokoju mógł przeczytać odpowiedź na

swoje morały; w kilku godzinach, wszystko będzie gotowe.

— I jutro, mój drogi, sprawiedliwości zadosyć się stanie. Idź więc, i bądź pewnym, że zapomnianym nie zostaniesz.

Tego samego dnia wieczorem, w dolnej sali cytadeli, czterech katów w uniformie wojskowym zasiadło za stołem czarnym suknem nakrytym, na którym leżała lista zawierająca dwadzieścia nazwisk, z których dziesięć było oznaczonych czerwonym krzyżykiem, a dziesięć czarną kreską. Czerwone — to kara śmierci, czarne — deportacya.

Los oskarżonych naprzód był postanowiony.

Imiona skazanych na śmierć były:

1. Henryk Abicht, 27 lat, urzędnik pocztowy w Wilnie.

2. Antoni Konarski, kapłan ze zgromadzenia OO. Kapucynów, 40 lat.

3. Grzegorz Kirpowski, obywatel ziemski, 16 lat.

4. Zygmunt Sierakowski, 40 lat, były oficer w armii rosyjskiej.

5. Antoni Heine, robotnik, 27 lat.

6. Franciszek Nowicki, obywatel ziemski.

7. Józef Kamiński, krawiec, 22 lata.

8. Teofil Raskowski, kapłan, 30 lat.

9. Józef Bachliński, szewc, 21 lat.

10. Michał Dolinga, wieśniak, 20 lat.

— Szkoda czasu badać ich, nieprawdaż, jaśnie wielm. panie? zapytał swego sąsiada Kornirow, już dobrze pijany.

— Dla formy, ale prędko, odpowiedział Błagurow, bo oczekują mnie w kasyno Paszkiewicza.

— I mnie także, jaśnie wielm. panie; przyrzekłem odwet Dymitrowi Baniusko, w domino. Lecz mówiąc prawdę, nie znam tych ludzi, jakże więc ich sądzić?

— A więc jedna racya więcej, zrobić z nimi znajomość, gdyż jutro już będzie zapóźno.

— Dla pana, być może, ale nie dla mnie, bo będę ich prowadził w eskorcie honorowej na miejsce uczty.

— Co za szczęście! a ja będę tylko zwyczajnym widzem. Ach! otóż i nasi przyszli *akrobaci.*

Małe drzwi się otworzyły i więźniowie po trzech związani, weszli pomiędzy dwoma szeregami kozaków, z pistoletem i gołą szablą w ręku.

Nie mając jeszcze zagojonych ran, zaledwie mogli stąpać biedacy; lecz na bladych i wychudzonych ich twarzach, jaśniał promień zapału i szlachetnej dumy.

Ustawili ich żołdacy wzdłuż muru, wprost sędziów, i pisarz zaczął czytać listę.

Pewnym głosem, każdy z nich odpowiedział — obecny.

Śledztwo rozpoczęło się natychmiast.

Była to tylko zwyczajna formalność, do której ani kaci ani ofiary, żadnej nie przywiązywali wagi.

W końcu zapytano każdego: co pan masz na swoją obronę? rzemieślnicy odpowiedzieli: Nie byliśmy w żadnym oddziale; aresztowano nas w domu.

— Gdzie robiliście odzież i obuwie dla powstańców, nieprawdaż?

— Pracowaliśmy dla tych, którzy u nas robotę zamówili; surdut nie może być uważany jako tajemnicza dostawa amunicyi, rzekł krawiec.

— Ani para, butów, dodał szewc.

— Trybunał to osądzi, odpowiedział oberpolicmajster.

I, zwracając się do księży:

— A wy? zapytał.

— Ja pełniłem obowiązki spowiednika pomiędzy powstańcami, lecz nie nosiłem broni, z której nie potrafiłbym zrobić użytku; przyjmuję śmierć i ofiaruję moje życie Panu Bogu na intencyę mojej ojczyzny, odpowiedział młodszy, ks. Teofil Raskowski.

Ojciec Konarski odmawiał różaniec; nie chcąc przerwać modlitwy, nic nie odpowiedział.

Najmłodszy z więźniów Grzegorz Kirpowski, miłe zrobił wrażenie na prezydencie, rozlaną słodyczą na szlachetnej swojej twarzy.

— Żądaj łaski, rzekł do młodzieńca, jesteś tak młody.

— Chłopiec podniósł głowę, i głosem drżącym ze wzruszenia, rzekł:

— Jestem młody, to prawda, lecz nasza sprawa jest stara.

— Masz ty też jeszcze matkę?

— Szczęściem tak dla mnie jak i dla niej, że mnie poprzedziła do nieba.

— Masz przynajmniej ojca, który cię z utęsknieniem oczekuje?

— Mój ojciec Włodzimierz Kirpowski, umarłby ze wstydu gdybym od was żądał łaski i przebaczenia. Zresztą, skończmy raz tę komedyę; potrafię tak umrzeć, jak umarł mój brat. Chociaż jestem młody, jak pan mówisz, lecz własną ręką zagwoździłem armatę i ubiłem czterech waszych artylerzystów.

— Temi głupiemi przechwalkami, to dziecko samo się potępia, rzekł Błagurow.

— A ja się spóźnię na partyę w domino, dodał pułkownik.

Prezydent spiesznie zakończył śledztwo; potem, powstając, rzekł:

— Trybunał wyda wyrok; żołnierze, wyprowadźcie oskarżonych.

— Niech żyje Polska! wykrzyknęły ofiary.

Jedyny to był ich protest.

W kwadrans potem, czworo sanek powiozło sędziów do kasyna Paszkiewicza, gdyż tego dnia nie było przedstawienia w teatrze.

Szczęściem dla nich, nazajutrz mogli się ubawić do syta: z rana, egzekucya, a wieczorem balet i wystąpienie Bagratiewy w kostjumie Estery.

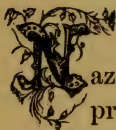
O tej samej godzinie, korzystając z ciemnej nocy, kolumna rosyjska, licząca dwa tysiące piechoty, trzy pułki kozaków i dragonów i sześć dział, prowadzona przez żyda Abrahama, zbliżała się do obozu powstań-

ców w górach Swiętokrzyzkich, gdzie już dzień przedtem Narbut ze swoim oddziałem, mając za przewodnika żyda Rubena (syna Abrahama), połączył się z Langiewiczem.



XVII.

Egzekucya w Warszawie.

azajutrz bardzo rano, smutne i bolesne było przebudzenie się Warszawy.

Od samego świtu cieśle moskiewscy, gdyż Polacy odmówili, kończyli na zmarzniętej ziemi stawiać szubienice. Z rozkazu namiestnika, dla skuteczniejszego *przykładu*, jak mówił, i dla *uwieńczenia* Warszawy, postawiono pięć szubienic na pięciu placach publicznych; na każdej po dwóch męczenników miało oddać szlachetne swoje życie. Zwyczajnie Berg lubował się w rozstrzeliwaniu Polaków, tego jednakże dnia, chciał sobie i swoim sprawić więcej zajmującą rozrywkę, i zarazem nasycić swoją zemstę dokuczając najp. ks. Arcybiskupowi, za to, że ośmielił się wystąpić w obronie prześladowanego narodu.

Szubienice wystawiono: na zmarzniętym stoku cytadeli, na Zielonym placu przed katedrą św. Jana, przed pałacem arcybiskupim, i naprzeciw balkonu przed pałacem namiestnika, tak, że jego excellencya

nie przeszkadzając sobie w zwykłych swoich zajęciach, z cygarem w ustach, mógł się przypatrywać widowisku, które dla partyi rosyjskiej, jak mówił, przysposobił, i nacieszyć się niem do woli.

Uderzenia młotów i siekier rozlegały się naraz w kilku miejscach gęsto zamieszkałych i tak zręcznie przez rząd wybranych naumyślnie, aby rodzice i krewni skazanych, jeżeli w Warszawie mieszkają, widzieli te przygotowania, nie wiedząc dla kogo są one przeznaczone. Bo myśl sprawienia strasznej boleści krewnym i przyjaciołom ofiar znienacka, niespodziewanie, napawała rozkoszą pozbawione wszelkich uczuć ludzkich, serca moskiewskie.

Silne patrole wojskowe przebiegały ulice zapełnione szpiegami i policyą, a posterunki zostały podwojone; pijane kozactwo, świszcząc nahajkami, pędziło galopem po ludniejszych ulicach i chodnikach, bijąc, znieważając i tratując przechodniów.

Moskwa hulała.

Błagurow tryumfował dnia tego; dumny z haniebnej roli, którą jako komendant eskorty miał odegrać, ubrał się w najpiękniejszy uniform, przypiął nowe naramienniki i pierś ozdobił całą bateryą tanich blaszek zwanych orderami, których miał ze dwanaście.

Widząc go tak przystrojonego, śmiałoby rzec można, że to jest pierś konia kirgizkiego ozdobiona amuletami w dzień rewii.

Dumny z tych ozdób, które za każdem poruszeniem się konia dzwoniły jak grzechotki pocztyliona

niemieckiego, przebiegał ulice, rzucając na smutnych i milczących przechodniów, pogardliwe spojrzenie. Dwóch adjutantów postępowało za nim od szubienicy do szubienicy, bo generał sam dozorował robotę do przygotowującej się *ceremonii*, i naglił do pospiechu.

O ósmej wszystko było gotowe; lecz że wyrok miał być spełniony dopiero o dziewiątej, mając więc jeszcze godzinę czasu przed sobą, pojechał do namiestnika zdać raport ze swoich czynności.

Excellencya podał mu rękę, mówiąc:

— Z przyjemnością widzę, że powietrze staje się łagodniejszem; a zatem i pańszczyzna będzie mniej przykrą.

— Ba! rzekł Błagurow, całując podaną sobie rękę, to nie jest pańszczyzna; zaledwie do jedenastej nam wystarczy.

— Po skończonej egzekucyi, rzekł namiestnik ze słodkim uśmiechem, zapraszam pana na śniadanie, to mi opowiesz *to* ze wszystkiemi szczegółami.

— Excellencyo, jesteś pan łaskaw na mnie, przyjmuję z wdzięcznością, bo właśnie przed pańskim balkonem zrobimy ostatnią stacyą.

— Ach! i kogo pan dla mnie przeznaczyłeś?

— Najlepszą część, po Felińskim, księdza i obywatela ziemskiego.

— Dobrze, mój drogi, książe K*** prosił mnie o bilet dla panny Bagratiew na te krwawe przedstawienie w pierwszych rzędach; czy nie mógłbyś wyszukać dla niej jakiego balkonu?

— Dlaczegoż nie! jest właśnie jeden na placu przed pałacem arcybiskupim; piękny będzie ztamtąd widok, i ten panu ofiaruję.

— Dziękuję, za pańską dobroć; oddaj jej ten balkon; ja nigdzie nie wyjdę, bo czuję się trochę zmęczonym.

— Przynajmniej nie chorym, excellencyo?

— Mój kochany, Rosyanin dzisiaj nie może być chorym.

Błagurow klasnął w dłonie.

— Excellencyo, jesteś pan wielkim jak antyk, zawołał, nie wiedząc dobrze co mówi.

I, całując w rękę swego naczelnika, szybko wyszedł, wskoczył na konia i galopem podążył do cytadeli.

Wojska już były zgromadzone na podwórzu wewnątrz cytadeli; pod bramą cisnęła się ludność milcząca i przerażona, byli to po większej części ludzie, którzy mając krewnych uwięzionych w cytadeli, nie wiedzieli, czy pomiędzy skazanymi na śmierć, dotychczas jeszcze nieznanymi, nie znajduje się ich ojciec, mąż, syn lub brat.

A ponad temi głowami, schylonemi boleścią ku ziemi, wznosiły się czarne ramiona pierwszej szubienicy.

Pierwsi z przybyłych Polaków, widzieli księży prowadzonych przez kozaków i spiesznie idących do więzienia dla udzielenia rozgrzeszenia skazanym, pojednania z Bogiem, i otworzenia nieba męczennikom za sprawę narodową.

Była to jedyna pociecha której im pozwolono: była ona niezmierną; lecz kaci widocznie nie przypuszczali tego.

Kwadrans, długi jak wiek upłynął.

W końcu, dziewiąta godzina wybiła.

Wielka brama zatoczyła się na swoich zawiasach i pokazali się kozacy konno, maszerujący równym krokiem, że spuszczonemi pikami do ataku.

Batalion grenadyerów postępował za nimi.

Kozacy rozpędzali nahajkami lud zgromadzony wokoło szubienicy, którą potem na znacznej przestrzeni, grenadyerzy żelaznem kołem bagnetów otaczali.

W tym samym czasie, z wieżyc wszystkich kościołów warszawskich zabrzmiał pogrzebowy głos dzwonów. Na ten znak, kapłani w żałobne ornaty przybrani wychodzili z zakrystyj i wolnym krokiem szli do ołtarzy, by odprawić mszę św. za zmarłych.

Mgr. Feliński tak rozkazał.

Na progu bramy cytadeli, ukazał się z kolei Błagurow; trzymał w ręku gołą szpadę i uśmiechał się w sposób okrutny; lecz Polacy nie zważali na generała i katów za nim jadących z kręgami sznurów, — nie; oni oczekiwali nieszczęsnego wozu.

Szedł wolno, wioząc dziesięciu ludzi, związanych po dwóch i siedzących jeden wprost drugiego, z gołą głową, o bladych twarzach i dumnem wejrzeniu.

Na widok ofiar, uczucie litości, wstrętu i oburzenia jak iskra elektryczna przebiegło tłumy, matki i żony mdlały, inne, wybuchnąwszy głośnym pła-

czem, wyciągały ręce; mężczyzni nie płakali, wyraz ich twarzy był straszny, odkryli głowy, i jednym ruchem — padli na kolana.

— Bywajcie zdrowi, bracia! módlcie się za nas! zawołał młodzieniec siedzący na fatalnym wozie; do zobaczenia, tam — w niebie! Boże zbaw Polskę!

— Boże zbaw Polskę! odpowiedział tłum groźnie powstając.

— Kozacy, ryknął przerażony Błagurow, rozpędzić tę hołotę! grenadyerzy, przygotować broń!

Tłum gwałtownie odparty piersiami koni, tratowany kopytami, cofał się w nieporządku, i głębokie nastało milczenie.

Jedna para skazanych zesiadła z wozów i weszła na rusztowanie śmiałym i pewnym krokiem.

Stanąwszy tam, obadwa ucałowali krucyfiks podany im przez spowiednika, a potem sami się ucałowali.

Na dany znak przez kata, jego pomocnicy ściągnęli z nich odzież, i ubrawszy ich w długie koszule z grubego płótna, w tyle im ręce związali.

W tej chwili dobosze uderzyli w bębny.

Błagurow dał znak szpadą i bębnienie ustało; wtedy, napuszonym głosem, wolno i wyraźnie przeczytał wyrok skazujący na śmierć Kamińskiego i Bachlińskiego, uznanych winnymi zbrodni stanu za szycie butów i błóz dla powstańców.

To czytanie trwało pięć minut.

Skoro skończył, dwóch pomocników kata założyło skazanym na głowy białe kaptury, a na szyje pętlice.

Zaraz potem usunięto pomost z pod nóg ofiar i dwa ciała w bieli, drgające konwulsyjnie, zawisły w powietrzu. Dla zagłuszenia charkotania umierających, ustawiona muzyka u stóp szubienicy, zagrała hymn moskiewski: Boże cara chroń!

— Boże, zmiłuj się nad Polską! odpowiedzieli na hymn skazańcy, siedzący na fatalnym wozie.

— Naprzód! krzyknął Błagurow, gdy kaci kończyli swoją robotę.

I żałobny pochód ruszył z miejsca, przeszedł pomiędzy tłumem, który odmawiając pacierze za konających, towarzyszył temu pogrzebowi od szubienicy do szubienicy, zatrzymując się jakoby na stacyach tej bolesnej drogi; a na każdej takiej stacyi, po *dwóch* Polaków tracono.

Gdy orszak przechodził mimo kościoła Św. Jana, naraz drzwi na roścież otworzły się i ujrzano uilliminowany ołtarz kirem okryty, a na progu świątyni duchowieństwo w żałobie, poprzedzone krzyżem i otaczające kołem ks. Arcybiskupa Felińskiego.

— Zamknąć drzwi! ryknął Błagurow, wściekły z gniewu.

Nim ten rozkaz zdołali żołdacy wykonać, Mgr. Feliński, w infule, i z pastorałem w ręku, stanął na samym progu świątyni, a wzniósłszy prawą rękę, błogosławił męczenników.

„*Benedicat vos omnipotens Deus, Pater et Filius et . . . . .*”

Głos jego był drżący ze wzruszenia, lecz silny; lud padł na kolana głośnym płaczem zawodząc.

Ostatnich słów nie słyszano; uderzenie w bębny zagłuszyło je; lecz Bóg usłyszał protest szlachetnego Pasterza, któremu powierzył swoją owczarnię, a skazani na śmierć, uczuli się pocieszeni.

Łzy wdzięczności dla szlachetnego Pasterza, potoczyły się po wybladłych ich twarzach.

Szubienica była wystawioną wprost kościoła. Tą razą stacya była krótka. Błagurow, w pośrodku lanc i bagnetów swoich żołdaków, czuł się bezsilnym w obec bezbronnego Kapłana, podpierającego się krzyżem.

Wóz toczył się po bruku; czterech tylko ludzi na nim siedziało gdy przybył na plac arcybiskupi.

Tam, moskale byli ostrożniejsi i podwoili siłę; od samego rana dwa bataliony otaczały szubienicę.

Błagurow był tyle podłym, że znieważywszy okrutnie jakiego starca, nic sobie z tego nierobił; teraz, nie miał nawet odwagi dokończyć haniebnej swojej czynności. Był niepewnym, lękał się; dopiero widok świeżego oddziału żołdaków, przysłanego z przezorności, dodał mu otuchy; zresztą, księdza Arcybiskupa nie było w pałacu.

Pomiędzy oficerami wolnymi od służby, wielu stało w oknach sąsiednich kamienic, przyglądając się egzekucyi nietyle dla widowiska, gdyż mieli już przy-

tępione szlachetne uczucia, ile z ciekawości, *jaką minę zrobi ksiądz Arcybiskup Feliński.*

Na balkonach, żony oficerów, rosyanki z urodzenia, owinięte w ciepłe futra, z lornetką w ręku, jakby w teatrze, rozmawiały o modzie i wieczorach, oczekując krwawego dramatu, wysokiego moskiewskiego smaku, na który je zaprosił elegancki generał.

— Masz pan program? spytała niedbale generałowa Kapuszinow, siedzącego obok szambelana Belatrowa.

— O tak, excellencyo! odrzekł szambelan, podając jej gładziutki papier, na którym były oznaczone stacye, wraz z nazwiskami ofiar.

— Ach! kapucyn i obywatel ziemski, Grzegorz Kirpowski, rzekła generałowa, znasz ich pan?

— Nie, excellencyo; lecz pani hrabina zapewne słyszała o Kirpowskim.

— Ja, nigdy w świecie; zkąd wnosisz pan o tem?

— Bo jest krewnym tego Mullera, co dawał lekcye na fortepianie . . . . .

— Nigdy mi o nim nie mówił, sucho przerwała hrabina.

I, aby przerwać niemiłą rozmowę dodała:

— Dreszcze mnie przejmują, gdy widzę te przygotowania.

— To tak jak mnie, rzekła księżna K.*; pewnego dnia gdy moje sanki przejechały łapkę mego małego pieska, dostałam nerwowego ataku. Och! ale też dobrze za to kazałam oćwiczyć rózgami mego furmana.

— Za broń! zakomenderowali dowódzcy.

Wszystkie lornetki zwróciły się na ulicę.

Niezmierny tłum Polaków złożony ze wszystkich stanów, z gołą głowa i odmawiając pacierze za zmarłych, w kilku minutach zapełnił plac.

— Ach! mój Boże, ci ludzie zasłonią nam widok, wykrzyknęła hrabina Filutin; doprawdy, policya nie powinna pozwolić. . . . .

— Czy nie znajdujesz, piękna królowo, że podobne wejście na scenę sprawia ogromny efekt? szepnął książe K.* do ucha baletnicy Bagratiew.

— To będzie wspaniałe, zimno odpowiedziała tancerka.

Cicho się zrobiło wsród tłumów, gdy kozacy utworzyli szpaler, którym miał wóz fatalny przejeżdżać.

Co to za ludzie idą pieszo za generałem? zapytała księżna.

— Kat i jego pomocnicy, z uśmiechem odpowiedział Belatrow.

— Ach otóż i wóz, wykrzyknęła generałowa, klaszcząc w dłonie, i jest czterech więźniów zamiast dwóch, jak nam przyrzeczono. Czy byłoby to grzecznością ze strony Błagurowa?

— Och! patrz, moja droga, rzekła hrabina, co za piękny młodzieniec! ach, to jest jeszcze dziecko z pięknym blond włosem; szkoda, że jest rozbójnikiem.

Nikt nie odpowiedział, każdy patrzał z natężoną uwagą na straszną scenę jaka się odgrywała.

Ofiary pewnym krokiem weszły na rusztowanie gdzie ich trzech pomocników kata rozwiązało.

— Do zobaczenia, Ojcze, tam, w górze, — i pobłogosław mnie, rzekł Grzegorz schylając czoło przed Ojcem Kapucynem.

Potem pocałowali się, i śmiałym krokiem wszedł brat Marty na pomost.

Stanąwszy tam, obrócił się do tłumu i czapkę rzucił pod nogi.

Stojąc tak z odkrytą głową, z włosami rozwianemi, z twarzą opromienioną zapałem, skrzyżował ręce na piersiach, i czekał swego wyroku.

Głębokie i religijne milczenie panowało na placu; pisarz rozwinął papier i rozpoczął żałobne czytanie.

W tem naraz krzyk rozdzierający dał się słyszeć z śród tłumu, i niewiasta w żałobie, z dziecięciem na ręku, biegła szykbo ku szubienicy, wołając:[1]

— Grzegorzu! mój bracie! Grzegorzu!

— Odpędzić tę niewiastę! wrzasnął Błagurow.

— Mój bracie! mój bracie! z jękiem powtarzała młoda niewiasta, odurzona boleścią.

Dwóch żołnierzy schwyciło ją za ramiona by wyprowadzić, lecz jej rozpacz wzruszyła ich.

— Odejdź, mateczko, odejdź, mówili; nie patrz jak umiera, odejdź.

I łagodnie ją odpychali.

Lecz nieszczęśliwa ciągle powtarzała:

---

1 Prawdziwe.

— Grzegorzu! mój bracie! mój biedny bracie!

Usłyszał Grzegorz ten miły głos; zbladł, zadrżał ze wzruszenia i wyciągnął ku niej ręce.

Przelękli się oprawcy aby im nie uciekł i rzucili się na niego.

Tymczasem grenadyerzy już odprowadzili jego siostrę.

— Bądź zdrową, Tadeo, i do zobaczenia tam — w górze! zawołał Grzegorz Kirpowski; idź, poszukaj naszych, i powiedz im że umarłem jak....

Grzmot bębnów zagłuszył głos.

Błagurow szpadą dał znak katom by przyspieszyli egzekucyę.

Szybko ściągnęli z młodzieńca odzież, i nie dając czasa do ubrania go w białą koszulę, owinęli mu sznurek w około szyi.

— Do zobaczenia, bracia! módlcie się za mnie, po raz ostatni wykrzyknął Grzegorz, i sam poddał szyję pod nieszczęsną pętlicę.

Ostatni krzyk słaby i przyduszony, dał się słyszeć z balkonu, zkąd Bagratiew przypatrywała się tej przerażającej scenie, i Polka upadła na śnieg zemdlona.

— Ta fanatyczka przerwała nam widowisko, z goryczą szemrała czuła hrabina Tatiana; zasłużyła aby ją kazano katowi oćwiczyć rózgami.

— Prawdziwie, dramat jest uzupełniony, z uśmiechem mówiła księżna K.* Ach! gdybym była poetką, napisałabym operę pod tytułem: *Narzeczona Po-*

wieszonego. Pani byłabyś zachwycającą w roli tej Polki.

— Księżno, odpowiedziała Bagratiew, przerażasz mnie pani, a usta jej drżały z niecierpliwości i wzruszenia, pozwól mi pani przejść . . . .

— Przedstawienie jeszcze nieskończone, nadobna tygrysico.

— Pozwól mi pani przejść, powtórzyła; czy nie widzisz pani, że ten potwór Błagurow kazał ją aresztować.

I, skoczywszy na schody a ztamtąd na plac:

— Nie ważcie mi się dotknąć tej niewiasty, krzyknęła do żołnierzy; to ja, Bagratiew, bronię ją.

— Pani, rzekł pokornie oficer, rozkaz generała jest stanowczy, i . . . .

— Niepozwalam, zrozumieliście mnie? I jeżeli dotkniecie jednego jej włosa, poskarżę się namiestnikowi.

Bagratiew w tym czasie była wszechwładną w Warszawie, i nie śmiano ją obrazić; oficer oddalił się dla zdania raportu generałowi.

— Dajcie jej pokój, jestto rozpieszczone dziecko, odpowiedział generał, z przymuszonym uśmiechem.

I, zwracając się do oprawców, rzekł:

— Następny!

Następnym był Ojciec Konarski. Wszedł na pomost, śmiało, bez junakieryi i oddał się w ręce oprawców; jego ofiara została spełnioną, nie myślał więcej o ziemi, patrzał w niebo i modlił się.

W chwilę potem, wóz odjechał, aby zrobić ostatnią swoją stacyę pod oknami namiestnika.

Jeszcze zwłoki ostatniego ze skazanych nie ostygły, kiedy kozak będący na służbie oznajmił namiestnikowi, jaśnie wielm. generała Błagurowa.

Wszystko się jak najlepiej odbyło; nikt nie zakłócił porządku, a opowiadana przy śniadaniu anegdotka o księciu K., zabawiła namiestnika.

We wszystkich towarzystwach rosyjskich, nie mówiono o niczem więcej jak o kaprysie Bagratiewy, a nawet zrobiono w kasyno Paszkiewicza kilkanaście zakładów, że tancerka tego wieczora tańczyć nie będzie.

Byli i tacy, co poszli złożyć wizytę p. Bagratiew, lecz drzwi znaleźli zamknięte.

Wieczór nadszedł, sala teatralna była zapełniona, lecz księcia K. nie było w jego loży.

Wkrótce Bagratiew ukazała się na scenie. Lecz zamiast bogatego kostjumu ofiarowanego jej przez księcia, miała na sobie skromną białą suknię z czarną przepaską; ani jednego klejnotu, ani jednego kwiatka.

Nigdy jeszcze nie była tak piękną i nigdy być może, nie pragnęła tyle tryumfów, co tego wieczora. Jej wdzięczny i lekki taniec wywoływał grzmot oklasków.

Trzy razy ją przywoływano.

Nazajutrz, parę minut przed godziną przechadzki jego excelencyi, sanie tancerki zatrzymały się przed bramą namiestnikowskiego pałacu.

W chwilę potem, Bagratiew została przez oficera służbowego wprowadzoną do salonu.

— Excellencyo, rzekła tancerka, pewnego dnia wasza excellencya raczyła mi przyobiecać, iż się przychyli do pierwszej mojej prośby; dzisiaj przyszłam błagać o dotrzymanie tej obietnicy.

— Przypominam sobie, panno, odpowiedział namiestnik, marszcząc brwi, i spodziewam się że nie zmusisz mnie pani abym ci przypomniał, że ta obietnica była daną pod warunkiem, że prośba nie będzie nierozsądną.

— Wasza excellencya sama to osądzi; ja zaś korzystając z jej szlachetności, proszę tylko o podpis pod tym paszportem.

— Jakto, panno! dla tak małej awanturki z księciem K., zamyślasz opuścić swoich wielbicieli? Nie przyjmuj go, nie pozwalaj mu się pokazywać na oczy, ale oświadczam pannie, że na jej wyjazd pozwolić nie możemy.

— Wasza excellencyo, okazałabym się prawdziwie niewdzięczną, gdybym chciała opuścić Warszawę; tembardziej po wczorajszem przedstawieniu, będąc tak łaskawie przez publiczność nagrodzoną.

— Lecz po cóż ten paszport? zapytał zdziwiony namiestnik.

— To dla biednej niewiasty, dla tej co wczoraj . . . .

— Co! dla siostry rozbójnika powieszonego z mego rozkazu, dla Polki, która śmiała publicznie za-

protestować przeciw sprawiedliwości rosyjskiej? rzekł z gniewem namiestnik.

— Wasza excellencyo, przysięgam panu że ona jest niewinną; nie ma jeszcze dwóch dni jak jest w Warszawie.

— Z powrotem, i zkąd przybyła, jeżeli łaska?

— Z Prus, excellencyo; oto jej papiery.

— Co tam robiła?

— Dowiedziawszy się o buncie, przyjechała w celu utrzymania swojej familii w posłuszeństwie. A widząc Piotrków spalony, Atradę spaloną, swój dwór spalony, nie znalazłszy swoich krewnych i nie wiedząc co się z nimi stało, przyjechała do Warszawy dla dowiedzenia się o ich losie; dwa dni dopiero tu była, kiedy wczoraj, na szafocie, poznała swego brata; och! ona wcale nie protestowała, excellencyo, lecz jest kobietą, płakała i zemdlała; oto cała jej zbrodnia; excellencyo, litości dla niej!

I tancerka padła na kolana.

Szybko namiestnik przejrzał papiery i tupnął ze złości.

— Nazywa się Kirpowska i jest żoną bandyty Chuski, gniewnie wykrzyknął; zasługuje po dziesięć razy na Syberyę, a panna śmiesz żądać dla niej odemnie paszportu?

— Excellencyo, nazwisko nie jest jeszcze zbrodnią; przysięgam panu, że nic nie wiedziała o spisku.

— Mało mnie to obchodzi; jej ojciec, jej mąż, jej bracia i jej siostra wszyscy są w powstaniu, niepoprawni buntownicy; nie chcę jej, na panny wstawie-

nie, posłać do cytadeli, ale kiedy przyjechała do Polski, nie wyjedzie z niej; to moje ostatnie słowo; powstań, panna.

— Excellencyo, błagała Bagratiew, paszport o który proszę nie jest wydany za granicę, tylko do Częstochowy, która jest zajętą przez wasze wojska. Sama, opuszczona od wszystkich, bez krewnych, bez przyjaciół, biedna wdowa, bo nie ulega wątpliwości, że teraz, o tej godzinie, waleczny Swinin pobił powstańców w górach Świętokrzyzkich, i prawdopodobnie kazał już rozstrzelać Chuskę, prosi więc o jednę tylko łaskę, o pozwolenie udania się do klasztoru dla opłakiwania swoich krewnych i błagania o błogosławieństwo niebios dla waszej szlachetności, dla waszej miłości. Podpisz, wasza excellencyo, podpisz, a ucałuję twoją rękę z wdzięcznością,

— Powstań, panno, rzekł namiestnik, łagodniejszym już tonem; nie u moich nóg jest twoje miejsce.

— Nie, excellencyo, pozwól mi się włóczyć u twych nóg i oblać je łzami. Nie podniosę się, dopóki nie raczysz podpisać, mówiła, zalewając się łzami.

— Co za naprzykrzone dziecko! rzekł namiestnik. Widzę że trzeba być posłusznym wszystkim panny kaprysom.

I, grubemi literami, napisał u dołu paszportu.

„Za szczególniejszem pozwoleniem generał-gubernatora Polski, w Warszawie."

„Generał Berg".

— Och! excellencyo, jaki pan jesteś dobry! wykrzyknęła Bagratiew, i porwawszy papier, z uczuciem ucałowała rękę namiestnika.

— Spodziewam się za to, że na przyszłym balecie przewyższysz się panna jeszcze w sztuce.

— Excellencyo, z wdzięcznym odpowiedziała uśmiechem, wdzięczność doda mi skrzydeł.

I szybko wybiegła.

Tadea przez ten czas, w apartamentach swojej protektorki czekając, modliła się do Boga o pomyślny skutek i o opiekę w swojem sieroctwie.

— Ach! biedna moja siostro, rzekła tancerka, ściskając Tadeę, prawdziwie czuję się dziś szczęśliwą ze sposobności zrobienia dobrego uczynku, pierwszego w mojem życiu; oto twój paszport; jest w porządku; lecz jedź, jedź natychmiast; bo kto wie czy jutro nie będzie już zapóźno!

— Niech ci Bóg nagrodzi, pani, odpowiedziała Tadea; modlić się będę za ciebie.

— O! tak, módl się pani, i bardzo; Bóg ciebie wysłucha, smutnie odpowiedziała tancerka, bo ja już oddawna zapomniałam o Bogu.

I w tej chwili, jakby idąc za natchnieniem niewidzialnej myśli, wzięła na ręce małego Andrzeja i okryła go pocałunkami. Potem, oddawszy go matce, pobiegła do swego pokoju, szukała czegoś pomiędzy klejnotami, i wróciła, niosąc maleńki krzyżyk ozdobiony dyamentami, który zawiesiła na szyi dziecięcia.

— Jestto krzyż katolicki, rzekła z pośpiechem, dla uniknienia odmowy; nauczysz pani swoje dziecię, modlić się przed nim, za mnie.

— Ta pamiątka, pani, jest zbyteczną, rumieniąc się, odpowiedziała Tadea, a prezent za kosztowny dla . . . .

— Ach! rzekła Bagratiew, zakrywając rękami pełne łez oczy, pani jesteś zacną niewiastą, a ja, ja, mój Boże, nieszczęśliwą tancerką.

— Święta Magdalena była również tancerką, pani, a Chrystus Pan pozwolił jej swoje stopy skropić wonnym olejkiem, bo miała serce szlachetne.

Niech mnie Bóg strzeże, abym dla szlachetnej niewiasty, która z taką odwagą stanęła w mojej obronie, miała inne uczucia jak nie wdzięczność i szacunek zachować.

— Mój Boże, mój Boże! jaka ja jestem dzisiaj szczęśliwa, wykrzyknęła Bagratiew, uniesiona dobrym swoim czynem. Jedź pani, jedź, już czas.

I, ucałowawszy ją po raz ostatni, odprowadziła do bramy, gdzie sanki już czekały.

— Nikogo nie przyjmuję, wchodząc do pokojów, rzekła do służącego.

Arcybiskup Warszawski również nie przyjmował dnia tego żadnego z katów Polski. Po kilku godzinach spędzonych na modlitwie u stóp krzyża, pod którym pragnąłby umrzeć, z miłości dla Chrystusa Pana, swego Boskiego Mistrza, usiadł przy małym stoliku i napisał list, godny prawdziwego pasterza, nie lękającego się oddać życie za swoją owczarnię.

Ów list zawierał te słowa:

,,Najjaśniejszy Panie,[1]

,,Było zawsze misyą Kościoła podnosić głos do możnych tego świata, w chwilach nieszczęść i klęsk publicznych. W imię więc tego przywileju i tej powinności, jaka mnie skłania jako pierwszego pasterza królestwa Polskiego, ośmielam się udać do Waszego Majestatu, dla przedstawienia niedoli mojej owczarni. Krew płynie strumieniami, a surowe karcenie, zamiast uspokoić umysły, rozjątrza je, i przyprowadza naród do ostatniej rozpaczy. Błagam Waszej Cesarskiej Mości, w imię chrześcijańskiego miłosierdzia, o zakończenie tej morderczej wojny. . . . .

. . . .

,,Czas nagli, każdy dzień stracony, żłobi coraz większą przepaść pomiędzy tronem i narodem. Nieczekaj, Najjaśniejszy Panie, stanowczego rozwiązania bitwy; bo miłosierdzie zdolne usunąć rzeź jest rzeczywistą i prawdziwą wielkością, więcej znaczenia mającą aniżeli zwycięztwo, które wyludnia kraj. Jedno wielkie słowo, godne wspaniałomyślności wielkiego monarchy, wystarczy aby nas ocalić; oczekujemy go z ust Waszej Cesarskiej Mości . . . .

. . . .

,,Wybacz, Najjaśniejszy Panie, mojej otwartości; lecz chwila jest uroczysta. Wybacz pasterzowi, który będąc świadkiem niezmiernych nieszczęść, ośmiela się wstawić za swoją owczarnią.

---

1 Dosłownie: — Patrz Dzienniki, tom II. str. 55.

„Waszej Cesarskiej Mości, najwierniejszy i najposłuszniejszy poddany,

„† **Zygmunt — Feliks,**

„*Arcybiskup Warszawski.*"

W chwili, kiedy ks. Arcybiskup kończył ten list, który dzienniki rosyjskie nazwały *grubijańskim* i *obelżywym*, jeden z Kanoników zapukał do drzwi gabinetu.

— Proszę, rzekł Prałat.

I przeczytał mu swoją prośbę.

— Monsignor, odpowiedział starzec, to swój wyrok wygnania na Syberyę, Wasza Excellencya podpisała.

– Wiem o tem, lecz to jest moją powinnością, rzekł smutnie Prałat. I napisał:

"*Bonus pastor dat animam suam pro ovibus suis.*"

— Niech się dzieje wola Boża! wyszeptał starzec.

I, odebrawszy list z rąk swego Arcybiskupa, poniósł go do kancelaryi.

Mgr. Feliński nie omylił się.

Odpowiedź cesarska nadeszła: była w niej surowa nagana dla księdza Arcybiskupa, dymisya i wyznaczone tymczasowo miejsce wygnania w Gatczynie, rezydencyi cesarskiej, o parę wiorst odległej od Petersburga.

Rozumie się, że wszystkie dzienniki rządowe pospieszyły donieść, że ksiądz Arcybiskup Feliński, przez czas chwilowego swego wygnania, w nowym swoim pałacu, traktowany jest z wszelkiemi honorami, przynależnemi jego dostojeństwu,

Potem,[1] kiedy już cała Europa wiedziała, że Mgr. Feliński, wskutek wspaniałomyślności cesarskiej, cieszy się największą możebną wolnością i otoczony jest szacunkiem, wpadła policya cesarska nocną porą do mieszkania Prałata, wrzuciła go na kibitkę, i uwiozła do Wiatki, w głębi Syberyi, aby tam sprawiedliwą wycierpiał karę za brak szacunku dla Jego cesarskiej mości, i pamiętał, że nie spełnienie wszystkich narzucanych przez rząd rosyjski powinności, na katolickiego kapłana i Polaka, jest uważane jako zbrodnia stanu.

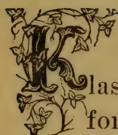


1 Historyczne. — Patrz wszystkie gazety z tej epoki.

*

XVIII.

Ojciec i Syn.



lasztor Świętokrzyzki podobnym jest do małej forteczki; grube jego mury opatrzone małemi okienkami bardzo podobnemi do strzelnic, wznoszą się z jednej strony góry albo raczej nagiej i jałowej skały, której podnóże gęsty las pokrywa, jakby chciał zakryć przed światem zakonników przybyłych szukać w tem dzikiem ustroniu spokoju i samotności.

Kilku braci kwestarzy, przynoszących do tego klasztoru jałmużnę, bez której niepodobnaby żyć w tej puszczy, pozbawionej wszelkiej roślinności; pobożni pielgrzymi, przychodzący pomódlić się na owej górze będącej jakoby kolebką chrześcijanizmu w Polsce; myśliwi na niedźwiedzie i wiewiórki, zapuszczający się w te ciemne bory: oto jedyni i zwyczajni podróżnicy, których można było napotkać w tej okolicy.

Drogi są mało uczęszczane, środki do życia prawie żadne, a kiedy śnieg białym swoim płaszczem pokryje ziemię, jest niebezpiecznie zapuszczać się na te

ścieżki często niewidzialne, otoczone urwiskami i bezdennemi przepaściami, gdzie najmniejsze zbłądzenie, lub krok fałszywie zrobiony, może być przyczyną śmierci.

Prowadzony przez śmiałego górala, obrońcę sprawy narodowej, Langiewicz nie wahał się w tej dzikiej okolicy szukać bezpiecznego schronienia dla bohaterskiej lecz zanadto osłabionej swojej armii, przeciw ścigającym ją kolumnom rosyjskim, zwycięzkim pod Węgrowem i pod Wąchockiem.

Tam, przynajmniej, myślał sobie, będę mógł czekać na Narbuta i Dzieci Rozpaczy, uczyć mustry żołnierzy, i oznaczyć tę miejscowość, jako punkt zborny dla małych oddziałów, rozproszonych w województwie Lubelskiem i na Mazowszu.

Podczas zimy, nadzwyczaj ostrej i dobrze dającej się we znaki w tej rozpaczliwej wojnie, spodziewał się zgromadzić więcej sił pod sztandarem Matki Boskiej Częstochowskiej, wystarać się o broń, i z wiosną, jak piorun uderzyć niespodzianie na moskali zgnuśniałych w swoich koszarach, i cios im zadać stanowczy.

Zjednoczyć w jedną armię wszystkie oddziały powstańcze było najulubieńszą myślą Langiewicza; nie wskutek ambicyi osobistej, gdyż nie wahałby się ani jednej chwili zostać szeregowcem, gdyby rząd narodowy dla dobra ogółu to mu rozkazał, lecz dla tego iż wierzył, że wielka wojna, gdzieby silna armia z armią nieprzyjacielską walczyła, daleko więcej przyniosłaby dla kraju korzyści aniżeli małe partyzanckie

oddziały, których naczelnicy, często osobistemi widokami wiedzeni, myśleli tylko o sobie jedynie.

Włodzimierz Kirpowski nie pochwalał tego planu; dowodził, i słusznie, że wielką armię daleko trudniej jest wyżywić w kraju zrujnowanym wojną, tembardziej że wszystkie znaczniejsze miasta są zajęte przez wojska nieprzyjacielskie. Gdy tymczasem, oddziały po dwudziestu do trzydziestu ludzi, mogą z łatwością znaleźć środki utrzymania w najmniejszym nawet folwarku, a ich liczba, zmuszając zawsze nieprzyjaciela do czujności, zmusza go zarazem do rozdrabniania swoich sił do nieskończoności. Małe takie oddziały, będąc w nieustannym ruchu, napadałyby niespodzianie moskiewskie konwoje, posterunki i bagaże, nużyłyby nawet większe kolumny podjazdowemi utarczkami, i zniechęcały jego żołnierzy, do podobnej, bez końca trwającej wojny. Włodzimierz Kirpowski, był również dobrym patryotą jak Langiewicz, lecz nabytem doświadczeniem nauczony, był przezorniejszym; obawiał się i słusznie, aby w licznych oddziałach połączonych w jedną armię pod zwierzchnikiem ustanowionym przez Rząd Narodowy, nie znalazł się jaki dowódzca, intrygujący w skutek zazdrości, po za jego plecami.

— Langiewicz jest zwycięzcą, mówił Chusko do Marty przed jej wyjazdem do Narbuta, lecz jakie korzyści przyniosą jego zwycięztwa? Moskale ściągną wszystkie swoje siły przeciw niemu; ulegnie przemocy, i Polska zostanie rozbrojoną odrazu. Daj Boże

bym się mylił w przypuszczeniach, lecz obawiam się, aby ten plan nie był zgubnym dla naszej Ojczyzny.

Przybywszy do Swiętego–Krzyża, stanął Langiewicz obozem na skraju lasu, a w klasztorze, oddawna opuszczonym przez zakonników, postawił posterunek z trzydziestu najcelniejszych strzelców.

Nazajutrz pościnano drzewa, porobiono zasieki i wały ze śniegu.

Na trzeci dzień, śmiali kontrabandziści przywieźli na saniach w dużych skrzyniach cztery tysiące sztuk broni. Napadnięci z nienacka przez Prusaków, w chwili gdy przechodzili granicę, dzielni ci patryoci, stoczyli prawdziwą walkę, w której stracili kilkanaście skrzyń z amunicyą.

A właśnie kul i prochu brakowało walecznym powstańcom zmuszonym po największej części uderzać z kosami w ręku na działa i strzelców moskiewskich.

,,Gdyby Polacy mieli dostateczną ilość amunicyi, rzekł jeden z oficerów moskiewskich, który w kilkunastu utarczkach potykał się z powstańcami, żadna armia w świecie nie oparłaby się im.”

Broń została radośnie przez oddział powitaną, ponieważ z jakie pięciuset ochotników nie miało innej broni jak kije, noże i niektórzy z nich siekiery.

— Bracia, rzekł Langiewicz, rozdając ją pomiędzy żołnierzy, zadowolnijcie się dzisiaj karabinami; nie mam ani prochu ani kul, lecz przyrzekam zaprowadzić was tam, gdzie to wszystko męztwem zdobędziecie.

— Pójdziemy! pójdziemy! krzyknęli ochotnicy z zapałem. Niech żyje nasz generał! Niech żyje Polska! Prowadź nas na wroga!

— Zaczekajmy naprzód aż przybędą nasi bracia, rzekł Maryan, dzień walki jest niedaleki i musi on być dniem zwycięztwa.

Zrana trzeciego dnia, pikiety naprzód wysunięte zrobiły alam; na drodze od Węgrowa silny oddział zauważono; tyralierzy ze szczytu skały gdzie stali na posterunku, spostrzegli kawalerzystów przebiegających polankę, prawdopodobnie kozaków.

Odezwały się trąbki w obozie, oficerowie wsiedli na konie; w mgnieniu oka każda dziesiątka stanęła na wyznaczonem miejscu gotowa do bitwy, gdy tymczasem Langiewicz, z lunetą w ręku, szybko wdzierał się na górę dla zbadania sił nieprzyjaciela.

Chwilę widziano go stojącego na cyplu góry, nieruchomego; potem wykrzyknął radośnie, dał znak czapką jakby na powitanie i przechylając się ku adjutantom, stojącym u stóp skały, wydał im swoje rozkazy.

Oficerowie służbowi biegiem zeszli z góry i wkrótce głośne oznaki radości, zabrzmiały w całym obozie.

To Narbut z Dziećmi Rozpaczy, których żyd był przewodnikiem, przybywał.

Ruben dotrzymał słowa swemu oswobodzicielowi, i zręcznym a śmiałym marszem, korzystając z ciemnej nocy, przeszedł w poprzek linię wyciągniętych pikiet, kolumny rosyjskiej.

Gęsty śnieg sprzyjał jego fortelowi, pokrywając ślad wytknięty stopami powstańców.

Jeden tylko kozak, nieruchomy na swoim koniu, zdawał się się słyszeć podejrzany szmer, bo nabiwszy pistolet, zawołał:

— Kto idzie!

— Ront* oficera, odpowiedział Magnus pół-głosem.

— Gdzie twoja latarnia? zapytał żołnierz na wedecie.

— Zaczekaj aż zapalę, odburknął po moskiewsku weteran.

I podczas gdy dwaj jego towarzysze udawali że robią ogień, zbliżył się czołgając; potem, zrywając się nagle, pchnął kosą w pierś kozaka.

Żołdak wydał westchnienie i ciężko na śnieg upadł.

Przekonawszy się że nie żyje, zabrał Magnus jego konia i broń, i pochód na chwilę przerwany, odbywał się dalej szybko i w milczeniu.

Zaledwie o dwieście kroków od miejsca gdzie ta scena odegrała się, można było rozpoznać dość liczną grupę ludzi owiniętych białemi płaszczami, siedzących w około ognia, którego płomień oświecał samotną izbę, stanowiącą główną kwaterę generala Swinina.

Jego Excellencya zjadłszy wieczerzę, popijał herbatę, paląc fajkę przy kominie na którym buchał wesoły ogień z jodłowych drewek, nie myśląc wcale, że

* Obchodzenie straży.

w tej chwili najbliższymi jego sąsiadami był Narbut i Dzieci Rozpaczy.

Sądził, że ci buntownicy zupełnie zostali rozbici przez pułkownika Popofosopulo, i kazał przywołać swego przewodnika Abrahama, dla dania mu ostatnich rozkazów.

Stary żyd, oszpecony torturami w Warszawie, stał pokornie schylony w ciemnym rogu izby.

Półsenny wyziewami wypitej wódki i trawieniem sutej kolacyi, w rozpiętym mundurze, z czapką na bakier, z nogami opartemi na stole zapełnionym butelkami i w pół leżąc na ławie pokrytej materacem, pogrążony był w błogiem odrętwieniu.

Ażeby dać znać o sobie, zakasłał lekko Abraham i skłonił się nizko.

— Jesteś tu, psie? rzekł w końcu Swinin.

— Tak, jestem, excellencyo.

— A po co tu przyszedłeś?

— Wasza excellencya kazała mnie zawołać.

— Ośle ty jakiś, pytam się, dlaczego kazałem cię zawołać.

— Nie wiem, wasza excellencyo.

— Bałwanie ty jeden, mruknął generał wypuszczając z ręki fajkę i zdrzemnął się powtórnie.

Przez pół godziny nie słyszano nic więcej w izbie jak chrapanie jaśnie wielmożnego i suchy kaszel żyda.

W sąsiednim pokoju, oficerowie rozmawiali, śmiali się i pili, grając w gerłasza.

— Aronie przebudzając się, mruknął Swinin.

— Jestem tutaj, jaśnie wielmożny panie.

— Podaj mi moją fajkę.

Żyd spełnił życzenie.

— Jaki ty jesteś straszny, rzekł generał, głośnym wybuchając śmiechem; nie przyjdzie ci łatwo ożenić się.

— Nie myślę o żeniaczce, jaśnie wielm. panie.

I dobrze robisz, bo jesteś zanadto brzydki; prawda że jesteś bogaty stary łotrze.

— Ja, bogaty, jaśnie wielm. panie! jęknął Abraham. Miałem trochę i wszystko straciłem.

— Policz swoje wozy i przyznaj, że od czasu jak jesteś ze mną dobre robisz interesa.

— Sprzedałem trochę gorzałki.

— Chcesz pewnie powiedzieć wody z wapnem, psie obrzydły, i na wagę złota ją sprzedajesz. Powiedz-no mi, ileś zarobił przy rabunku Wąchocka.

— Prawie nic, excellencyo, parę kożuchów poszarpanych, ot i to wszystko; prawie nic, doprawdy.

— A w zamku hrabiego Zamojskiego?

— Dwa małe obrazy i jeden egzemplarz Psalmów Dawida, na pargaminie pisanych.

— Co ty chcesz z tem robić do kata, śpiewać Psalmy twego króla Dawida?

— Mówiono mi że mogę je sprzedać pułkownikowi Liskiemu, amatorowi podobnych rzeczy.

— Słyszałem coś o naszyjniku z pereł, który . . .

— Fałszywych pereł, jaśnie wielm. panie.

— Fałszywe, to źle, bo chciałem zrobić z tobą handel.

— To jest, tak mówią, że są fałszywe; lecz chcę je pokazać znawcy aby ocenił, ponieważ mogą być . . .

— Były prawdziwe; tak, słyszałem to, i na los szczęścia ofiaruję ci za nie pięćdziesiąt rubli.

Na tę propozycyę dreszcz przejął Abrahama.

— Jeżeli są prawdziwe, to są warte dziesięć tysięcy rubli excellencyo.

— To też ci mówię że je biorę na ryzyko, rzekł generał ze złośliwym uśmiechem.

— Excellencyo, pan chciałbyś zniszczyć ojca familii.

— Jakiego ojca familii? Wszak masz tylko jednego syna i ten jest w armii.

— Na Mojżesza! padając na kolana wykrzyknął Abraham, przysięgam panu, że aby je nabyć, prowadziłem jeszcze handel i dałem za nie cały mój majątek.

— Ha! ha! ha! zaśmiał się generał, jakżeż to będzie z wykupem syna, kiedy jesteś zrujnowany?

— Trochę mi jeszcze pozostało, i to chętnie ofiaruję.

— Doprawdy?

— Przysięgam na brodę Mojżesza i Aarona.

Swinin stał poważnym, nalał sobie szklankę wódki i wypił ją duszkiem; był to zwykły jego sposób rozmyślania; myślał sobie, iż mając łaski u namiestnika, nie byłoby mu trudnem wymienić Rubena za jakiegokolwiek bądź Polaka, a w taki sposób stałby się właścicielem kosztownego naszyjnika.

— Słuchaj Abrahamie, gdybym ci oddał syna zupełnie wolnego od wojska, czy dałbyś mi ten naszyjnik? — szczególniejszym zapytał tonem.

— Oh! Excellencyo! uniesiony radością wykrzyknął Abraham, dałbym ich panu tysiąc, gdybym je posiadał.

— Tysiąc po dziesięć tysięcy rubli, zrobiłoby dziesięc milionów, mój biedny Roboanie.

— Abraham, proszę excellencyi.

— Abraham, Mojżesz, Jeremiasz, bałwan czy pies, żyd czy Polak, mało mnie to obchodzi; pozwolisz mi mówić, albo czy mam ci zęby wytłuc ażeby cię nauczyć słuchać, wtedy kiedy ja mówię! wrzasnął Swinin.

Stary kolporter skłonił się nizko.

Generał zaś mówił:

— Oprócz naszyjnika z pereł, prawdziwych czy fałszywych, taki jaki jest, co dasz mi jeszcze, jeżeli zwrócę ci syna?

Żyd pomyślał chwilę.

— Nie mam pieniędzy, powiedział, lecz moi współwyznawcy, przez miłosierdzie, pożyczą mi tysiąc rubli.

— Tysiąc rubli, skąpy psie! ty śmiesz mi ofiarować tysiąc rubli, mnie, generałowi, kawalerowi orderu św. Stanisława, prezydentowi sądu wojennego radomskiego, vice–gubernatorowi kieleckiemu! Przynajmniej dwadzieścia tysięcy rubli, inaczej nie raczę się nawet zająć tą sprawą.

Teraz przyszła kolej na Abrahama; przeszło godzinę targowali się; siły obydwóch przeciwników były równe; bo gdy jeden z nich miał władzę, drugi był przebiegłym.

W końcu dobili targu; za uwolnienie raz nazawsze od służby wojskowej Rubena i oddanie go w ręce ojca, obowiązał się Abraham dać w sekrecie, lecz za formalnem pokwitowaniem, jaśnie wielm. Swininowi: 1) Naszyjnik z pereł, będący własnością hrabiny Zamojskiej; 2) pięć tysięcy rubli w srebrze, i 3) weksel na drugie pięć tysięcy rubli, płatnych w przeciągu roku i podpisany przez dwóch odpowiedzialnych kupców.

— A teraz, rzekł Swinin zadowolony, jeżeli chcesz aby nasz handel szedł dobrze, postaraj się abym dostał Langiewicza, Narbuta i Chuskę.

— Wszak jaśnie wielm. pan widzi że dokładam starań, odpowiedział Abraham; bezemnie, nigdyby kolumna, w tak krótkim czasie, nie przyszła aż dotąd.

— A jak daleko jeszcze jesteśmy od Świętego Krzyża?

— Nie więcej jak ośm lub dziesięć wiorst excellencyo.

— A czy można ze Świętego–Krzyża powrócić tą samą drogą do Częstochowy.

— Droga wprawdzie jest przykra, lecz często robiliśmy ją obadwa, z Rubenem, idąc z jednego klasztoru do drugiego; i tam panie, dodał z zaiskrzonem chciwością okiem, znajdziesz pan skarby; tam obraz

Dziewicy, samemi dyamentami jest ozdobiony, a w zakrystyi, widziałem perły, prawdziwe perły, mierzone garncami.

— Widziałaś to, ty? rzekł generał rzucając ogniste spojrzenie na Abrahama.

— Tak, excellencyo, dotykałem tych pereł memi rękami, powtarzał żyd, czyniąc jednocześnie taki ruch pokrzywionemi palcami i z taką lubością, jakby się ich w tej chwili dotykał; zagłębiłem moje ręce w złocie; kąpałem je w kosztownych kamykach, w szmaragdach, rubinach, szafirach i dyamentach; tak, zagłębiłem w nich moje ręce aż po łokcie.

— Abrahamie, mój drogi Abrahamie, na moją duszę przysięgam, zwrócę ci syna! wykrzyknął generał, odurzony rozkoszą posiadania tak niezmiernych skarbów, które już za swoje uważał. Lecz koniecznie potrzeba mój drogi żydku, abyś nas tam zaprowadził przed Mitwedem, przed całym światem, przed samym nawet monarchą, jeźliby chciał tam pójść. Garncami perły i dyamenty aż po łokcie! co za kompania! Ty także, wierny mój Abrahamie, swoją część otrzymasz. No, chcesz żebym cię pocałował, mój najdroższy?

I, nie czekając odpowiedzi, klasnął w dłonie.

Adjutant przybiegł.

— Dymitrze Aleksandrowiczu, rzekł do niego Swinin, niech wojska będą gotowe do wymarszu o świcie; dłużej nie będziemy już czekać.

— Excellencyo, wszak o jedenastej generał Mitwed powinien . . . .

— Bez tych uwag, mój panie, wrzasnął Swinin, uderzając pięścią w stół, aż butelki zabrzękły, milcz i słuchaj co mówię.

Oficer skłoniwszy się, wyszedł.

— A teraz, idź spać, rzekł Swinin do żyda, bo i na mnie już czas, słyszałeś?

— Tak, excellencyo, odpowiedział Abraham i wysunął się cichaczem.

Zaledwie moskale zwinęli obóz i, dzięki swoim armatom, które często żołnierze byli zmuszeni przenosić na ramionach, wolno posuwali się naprzód, kiedy oddział Narbuta zbliżał się do obozu Langiewicza.

Chusko ze swymi kosynierami, wyszedł na ich spotkanie.

Dzieci Rozpaczy szli w szyku bojowym. Na ich czele jechał Narbut na koniu, z szablą w dłoni, a o kilka za nim kroków Marta, niosąca poszarpany kulami sztandar.

Obok niej jechał jej ojciec Włodzimierz, i waleczny Cezar.

Okrzykiem: Niech żyje Polska! powitały się wojska, potem, uformowały jedną linię ze sztandarem w środku, a oficerowie stanęli na skrzydłach swoich oddziałów. Generał w towarzystwie Narbuta i Chuski, zrobił przegląd małej armii.

Na dany znak przez naczelnika, Kosynierzy i Dzieci Rozpaczy złamali szeregi, i z hałaśliwą radością, nastąpiły powitania.

— Bracie, rzekł Langiewicz ściskajac rękę Narbuta, czekałem na ciebie, dlaczego nie przybyłeś?

— Dlatego że człowiek, którego do mnie przysłałeś był podłym zdrajcą i sprzedał nas.

— Zdrada! zawsze zdrada! cicho i boleśnie rzekł Kirpowski.

— A jednakże posiadał twoje zaufanie od dość dawnego czasu, ciągnął generał.

— Tak posiadał je, i posiadał je zupełne, jeżelim uwierzył temu nędznikowi, że ty, Maryanie, zmieniłeś swoje plany i opuściłeś Wąchock.

— Cóż więc powiedział ci, ten nieszczęśliwy?

— Przyszedłszy do mego obozu w chwili kiedy przygotowywaliśmy się do odejścia, zapewniał mnie że już opuściłeś swoje pozycye aby pójść do Radomia, zkąd miałeś następnie wrócić do Węgrowa dla złączenia się z nami, i dlatego kazałeś nam tam czekać na siebie. Potem pożegnał mnie mówiąc, iż musi wrócić i oznajmić ci, że twoje rozkazy zostały spełnione.

— Nie widziałem go więcej, rzekł Langiewicz.

— Wierzę ci, bo to nie do twego, tylko do moskiewskiego obozu poszedł, aby nas sprzedać.

— Jakto! i was sprzedał.

— Całąby Polskę sprzedał odrazu, gdyby tylko mógł. Z Węgrowa zgliszcza pozostały; a wąwóz Mokobudy stał się nowemi Termopilami, gdzie kwiat naszej młodzieży, dwustu bohaterów, szlachetne swoje życie ofiarowało, wznosząc zaporę własnemi piersiami pomiędzy kolumną moskiewską a resztą naszej armii.

— Dwustu! rzekł Maryan wzruszony.

— Tak, dwustu, bo ani jeden nie uszedł, a w tym mężnym legionie byli Grzegorz i Michał Kirpowscy.

— Biedny ojcze! wyszeptał Langiewicz ściskając dłoń starca.

— Generale, powiedz raczej biedna Polska! Szczęśliwi są ci, których Bóg pierwszych powołał do Siebie!

— Tak, szczęście i chwała męczennikom! lecz wstyd i nieszczęście dla mnie! wykrzyknął Narbut.

I, wyciągnąwszy szablę, chciał ją złamać.

— Bracie, rzekł Maryan, głosem stanowczym, twoja szabla nie należy do ciebie, tylko do Polski. Na jej ostrzu nie ma najmniejszej plamy, lecz ta o której mówisz, tylko w krwi wrogów ojczyzny może być zmytą.

— A więc aż do rękojeści ją zmyję, rzekł Narbut.

W tej chwili trębacze zatrąbili i wielki ruch stał się w obozie.

— Bracia, rzekł wówczas generał, zapraszam was na nabożeństwo żałobne za poległych pod Wąchockiem; pomodlimy się również i za tych co zginęli pod Węgrowem, modlić się będziemy w kościele, bo za Kościół oddali swe życie; chodźmy więc prosić Boga za nimi i za nami.

I, wziąwszy pod ramię Kirpowskiego, poprowadził go z szacunkiem do ołtarza, wzniesionego w środku obozu, na którym dwie świece woskowe i kilkanaście pochodni, już się paliły.

Po raz drugi ozwały się trąbki i powstańcy, uszykowani kompaniami, zajęli miejsce w około ołtarza, z bronią przy nogach, ze sztandarem na czele.

Za trzecim sygnałem, wyszło do ołtarza trzech kapłanów w żałobnych szatach, poprzedzanych krzyżem, który młode niosło chłopię, a za nimi postępował sztab małej armii.

Ksiądz celebrant zrobił znak krzyża świętego, żołnierze zprezentowoli broń, i rozpoczęła się święta Ofiara.

Głębokie milczenie zapanowało w całym obozie; pięć tysięcy walecznych, idących na śmierć, błagało Boga za poległymi towarzyszami broni.

Podczas podniesienia, ozwały się trąbki i bębny, a gdy kapłan wzniósł ramiona ku niebu, bronie i sztandar, i wszyscy ludzie jednocześnie, z pokorą padli twarzą na ziemię.

I wśród tej głuchej, otoczonej ciemnemi borami puszczy, nikogo nie było widać jak tylko kapłana, wznoszącego Przenajświętszą Hostyę.

Prawie w tym samym czasie, smętne tony gęśli zabrzmiały, i Szczepan, silnym i przejmującym głosem zaśpiewał:

Baranku Boży, który z wielkiej miłości, śmierć okrutną [poniosłeś za nas,
Błogosław tym, którzy idą na śmierć dla Twojej chwały.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,
Przebacz Twemu ludowi, przebacz Polsce!
Panie, Panie,
Zmiłuj się nad nami!

— Panie, zmiłuj się nad nami! Panie, przebacz nam! pięć tysięcy głosów naraz odpowiedziało.

A po tym uroczystym i przejmującym jęku, znowu głębokie milczenie aż do końca mszy św. nastało.

A kiedy skończyła się święta Ofiara, ksiądz kapelan Maćkiewicz, wszedłszy na urządzone wzniesienie, w krótkiej i rzewnej przemowie podniósł zasługę męczenników, a potem odmówił z całą armią modlitwy za umarłych.

* * *

Podczas kiedy Polacy modlili się, Swinin klął i bluźnił:

— Psy Polacy, przeklęty kraj, łajał, gdzie inaczej nie można podróżować jak na koniu, i to podczas trzaskającego mrozu, psi kraj. Ach! gdybym mógł dojść jak najprędzej do tych buntowników, a na moją duszę! dostawszy jednego z nich, kazałbym nagiego przybić gwoździami do jodły, aby tak skonał w uściskach mrozu.

A potem, zwracając się do Abrahama, rzekł:

— Czy nie przybędziemy tam dziś, żydzie?

— Tylko jeszcze trzy wiorsty mamy do zrobienia, excellencyo; ale drogi są złe i świeży śnieg jeszcze nie stwardniał.

— To ja widzę, że nie stwardniał, bo mój koń brnie w nim aż po piersi; łotrzy buntownicy, pójdź precz!

— Za godzinę, excellencyo, wydostaniemy się z wąwozu, i będziemy mogli zrobić odpoczynek.

— W wiosce?

— Nie ma tam wioski, excellencyo.

— A więc jest folwark?

— I tego nie ma.

— Co ty mi pleciesz, bałwanie! Kapitanie Pillardow, a jak tam z naszą artylerya?

— Jeżeli tak dalej będzie, excellencyo, to zostaniemy zmuszeni zostawić nasze armaty i jaszczyki.

— Ach! nikczemny zdrajco! sprzedałeś nas! ryknął Swinin, okładając żyda nahajką po plecach.

— Panie, miej litość nademną! jęczał Izraelita, dwieście kroków jeszcze a wyjdziemy z wąwozu.

— Lecz generał moskiewski kazał żydowi skrępować dłonie, i przywiązać go do swego siodła.

— Nędzniku! każę cię bagnetami przybić do drzewa, wyrwę ci język i wyłupię oczy, jeżeli nas mylnie prowadziłeś, mówił, pieniąc się ze złości. Kapitanie, prowadź pikietę naprzód, a zobaczymy czy mówi prawdę.

Pillardow dał koniowi ostrogę i w kilku skokach puścił się naprzód.

— Nie tędy, panie kapitanie, nie tędy; w lewo, w lewo, wołał Abraham.

Lecz kapitan nie słuchał go i śmiało jechał raz obraną drogą.

— Zawołaj go pan, excellencyo, zawołaj go, błagał żyd; jeżeli dalej pojedzie, zginie.

— Ba! rzekł Swinin, wzruszając ramionami; lepiej zna on drogę aniżeli ty.

— Excellencyo, zapewniam pana, iż tam śmierć znajdzie; tędy trzeba jechać.

I pokazał ręką w lewo.

— Tamta droga jest lepsza; widzisz kłusem jedzie, a teraz, jak....

— Na pomoc! krzyknął Pillardow, na pomoc!

Jego koń stał po grzywę w śniegu, a po chwili, już tylko uszy było widać.

Lecz zręczny kapitan jak prawdziwe dziecię stepu, jednym susem stanął na grzbiecie konia i uchwycił się gałęzi rosnącej tam jodły.

Kiedy kozacy nadjechali, z przerażeniem spostrzegli iż jest zawieszony nad głęboką przepaścią, w której znikł jego koń.

Za pomocą długiego sznura zwanego lasso, wydostali go omdlałego i z pokaleczonemi rękami.

Nad tą przepaścią w miejscach węższych potworzyły się niebezpieczne mosty z stwardniałego śniegu, i to pomyliło kapitana.

Widząc to Swinin, zrozumiał że jego życie jest w rękach przewodnika, i że roztropniej jest nie rozjątrzać żyda.

Od tej też chwili prowadził Abraham kolumnę tak jak mu się podobało.

Idąc tak jeszcze pół godziny, weszli na twardą drogę, po której konie i działa, z łatwością posuwały się naprzód.

O drugiej po południu, kiedy przednia straż moskiewska zaczęła otaczać wzgórze, Abraham, dotąd milczący od czasu katastrofy, rzekł do generała:

— Oto i klasztor, excellencyo.

Zmarznięty i półsenny Swinin ziewnął i spojrzał w około.

Lecz nic nie widział.

— Gdzież jest ten klasztor? zapytał.

— Na górze, na przeciw, trochę z boku excellencyo.

— I powstańcy są tam?

— Ich obóz powinienby być u podnóża góry, excellencyo; lecz z pewnością, są oni także i w klasztorze; ich sztandar powiewa w ostatnim oknie z prawej strony; i patrz pan, spostrzegli nas, bo ich pikiety dają znak kosami.

I w istocie, tyralierzy polscy oznajmiali nieprzyjaciela.

— Zapóźno! moi dobrzy przyjaciele, zapóźno! szydził Swinin; tą razą, trzymam was dobrze.

A obróciwszy się do Abrahama:

— Czy jesteś pewny, zapytał, że mi się nie wymkną?

— Mają tylko dwie drogi, excellencyo, ta którą zajęliśmy, a prowadzi ona z klasztoru do Miechowa, druga zaś u podnóża góry, prowadzi z jednej strony do Węgrowa, a z drugiej do Janowa.

— To dobrze, rzekł Swinin; ponieważ ztąd mogę jednocześnie zaatakować obóz i klasztor.

I natychmiast, żeby żaden z powstańców nie wymknął się, rozkazał trzem batalionom grenadyerów i dwustu kozakom pod dowództwem Pillardowa, zająć pozycyę u stóp góry.

— Uważaj tylko rzekł z szyderstwem, żeby mi który z nich nie uciekł; mogliby się błąkać po lesie,

bez przewodnika, a wiesz pan co w takim razie może się przytrafić.

— Przypominam to sobie, i zapłacą mi za to, mruknął kapitan oddalając się, aby spełnić rozkazy.

Pół godziny upłynęło, nim wszystkie przygotowania zostały ukończone i baterye usypane. Z obozu powstańców wyraźnie dochodziły sygnały trąbek, a nawet excellencya przez swoją lunetę mógł doskonale widzieć strzelców zasłaniających okna klasztoru snopami słomy i siennikami.

O trzeciej, kolumny stały gotowe do ataku.

— Czy spalić klasztor, generale? zapytał jeden z komendantów piechoty.

— Oszczędzaj go, mój drogi, bo nie mielibyśmy gdzie przespać się, żartobliwie odpowiedział Swinin; jedynie, staraj się go wziąść jaknajprędzej, gdyż strasznie nogi mi zmarzły.

— Kapitanie Nazikow, zechciej tym panom donieść o naszej wizycie.

Na ten rozkaz generała, błysnęło światło na pochyłości góry i kula armatnia lecąc ukośnie, uderzyła w posępny budynek. Snopek słomy zawieszony nad jednem z okien i kawał gzymsu odleciał.

W tym samym czasie dwie kolumny grenadyerów przypuściły atak z dwóch stron naraz, rozpoczął się ogień karabinowy ze strony moskiewskiej, powstańcy oszczędzali nabojów i dla tego ani jednego strzału nie dali.

— Spodziewam się że nie potrwa długo robota, kapitanie Postukow, rzekł Swinin do swego adjutan-

ta, i dobrze zrobiłem rozkazując naszym kozakom zaopatrzyć się w znaczny zapas sznurów; stosownie do tego ilu tych psów weźniemy, skrępujemy ich grupami od dziesięciu do piętnastu i zdrowszych pozostawimy dla zaludnienia Syberyi, słabszych zaś, poślemy naszym przyjaciołom do Warszawy i Wilna na najpierwszą ucztę wydaną dla patryotów. Co pan o tem myślisz, kapitanie?

— Jakto, excellencyo, jest to myśl na jaką pan sam tylko potrafisz się zdobyć, myśl.... wspaniała.... jakto!

Już to ten Postukow nie był znakomitym mówcą.

— Gdzież jest ten łotr Abraham? mówił dalej generał.

— Na swoich saniach, robi przegląd, excellencyo.

— Dziwny żyd, koniecznie chce zbogacić się przy mnie, lecz mało to mnie obchodzi, jestem kontent z niego, dobrze nas prowadził, to tylko mnie dziwi, że zdołał przecisnąć się ze swoim wozem.

— Żydowskie sanie wszędzie przecisną się, excellencyo.

Jestem bardzo rad z tego, bo mamy zakład pod ręką; ah! spostrzegam jakiś ruch w obozie, te zuchy robią przygotowania do ucieczki, jeźli nadejdą z tej strony, przywitamy ich kartaczami; powiedz-mi Nazikow, czy nie możnaby ich ztąd odeprzeć?

— Niemożebne, excellencyo, grenadyerzy są na przodzie.

I rzeczywiście, grenadyerzy zawsze posuwali się naprzód w ściśniętej kolumnie, tracąc daremno naboje, gdyż powstańcy leżeli ukryci za wałami śniegu.

Zabezpieczeni temi zaspami tyraljerzy z oddziału Narbuta i niewidzialni przez wroga, oczekiwali stosownej i stanowczej chwili jak strzelcy na czatach.

— Grenadyerzy, do ataku! zakomenderował dowódzca moskiewski.

— Bóg i Polska! odpowiedzieli powstańcy, z oddziału Langiewicza, dając ognia z opartych na śnieżnym szańcu karabinów.

Oficer moskiewski ugodzony kulą, padł twarzą na śnieg, lecz grenadyerzy z bagnetem w ręku biegli naprzód; w końcu, potrzeba było zatrzymać się przed szeroką fosą, gdzie każda kulka kładła człowieka.

Jeden z poruczników skoczył do przykopu ze swoją kompanią, chcąc się tam ukryć przed ogniem powstańców, w czem go dwie inne naśladowały.

— Bóg i Polska! krzyknęli Dzieci Rozpaczy.

I deszcz kul z przeraźliwym świstem spadł na moskali, ściśniętych jeden przy drugim; w jednej chwili fosa została zapełnioną trupami i umierającymi.

Swinin nic nie mógł zrozumieć z tego co widział.

Lecz zrozumiał dopiero, kiedy pięciuset Kosynierów Chuski, przeskakując palisady, rzuciło się na kozaków z okrzykiem:

— Bóg i Polska!

Langiewicz, Narbut, Chusko, Strzelcy, Kosynierzy i Dzieci Rozpaczy, wszyscy tam byli, i z zajadło-

ścią jak grom spadali na karki moskalom, uderzali i zabijali bez litości.

Od strony płaszczyzny, nie była to już batalia, lecz ucieczka w nieporządku; przerażeni moskale, potraciwszy głowy, uciekali na wszystkie strony zostawiając tak przestraszoną armię, że ich nawet nie broniła.

Drugi atak od strony klasztoru, również się nie udał; grenadyerzy, straciwszy swego komendanta i przeszło ośmdziesięciu swoich, wracali uciekając, także ścigani, przez małą załogę kosynierów.

Szczęściem dla Swinina, że pozycya jaką zajmował ze swoją artylerya, była prawie niezdobytą; mógł się na niej utrzymywać bez narażenia się na atak powstańców tak długo, aż rozbitki z jego batalionów i jego szwadronów, złączyłyby się z nim. Cofnął się tedy dwie wiorsty, zostawiając za sobą czterysta w zabitych i rannych, pomiędzy którymi było dwóch kapitanów i kilkunastu poruczników, i stanął obozem na drodze prowadzącej do Radomia, którą miał przybyć generał Mitwed z dwoma tysiącami ludzi i czterema armatami.

Kolumna ta zabłąkawszy się w puszczy, bardzo późno nadeszła, i straciła jedno działo w zaspach śniegowych.

— Jutro rano skończymy z tymi buntownikami, rzekł Swinin do swego kolegi, wskazując na szczyt Świętokrzyzkiej góry jaśniejący ogniem zapalonym przez zwycięzców; trzej naczelnicy są tam ze swymi

oddziałami i w ich krwi, przytłumimy powstanie.

— Jakto! i Narbut jest tam także?

— Jest, widziałem go, odpowiedział Swinin.

— Więc pan atakowałeś ich nie czekając na mnie? zapytał generał.

— Prowadziłem rekonensans i jeden z naszych batalionów, niespodzianie napadnięty przez buntowników, poniósł niejakie straty, wyszeptał Swinin. Jeden z naszych przewodników nas zdradził.

— Który?

— Niejaki Abraham, żyd polski.

— I wynagrodziłeś go pan jak na to zasłużył?

— Jeszcze go potrzebuję, lecz jest na oku, i nic na tem nie straci czekając, mruknął Swinin.

Mitwed był oddany pod rozkazy swego kolegi, nic więc nie odpowiedział, lecz pomyślał sobie: to już drugi raz zostałeś pobitym i ja cię ocalam, zrobię mój raport, a jeźli zostanę twoim naczelnikiem, no, to twoja kolej . . . .

— O czem myślisz, generale? zapytał Swinin, zgadując jego myśli.

— O jutrzejszej bitwie, odpowiedział.

Bitwy nie było. Langiewicz uwiadomiony przez swoich tyralierów, że moskale robią przygotowania do ataku, wziąwszy za przewodnika Rubena, udał się w nocy z całą armią do Ojcowa.

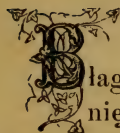
A kiedy nazajutrz wojska moskiewskie zajęły obóz powstańców nikogo w nim nie znalazły prócz swoich rannych, umieszczonych w szopach.

Zatrzymali się jedynie tyle czasu ile potrzeba było do spalenia klasztoru, i poszli drogą do Ojcowa, prowadzeni przez starego Abrahama, który swoją gorliwością chciał ułagodzić gniew Swinina.



XIX.

Hajdamacy.

łagurow także rozpoczął na swoją rękę kampanię, nie jako generał, lecz jako podpalacz; bezczelny do najwyższego stopnia, korzystając z nadarzającej się sposobności, postanowił zbogacić się kosztem kraju, w którym przebywał. Głównem jego zadaniem było rabować tyle ile się da, i mordować zakonników, co nadzwyczaj łatwem wówczas dla niego było.

Virtus post nummos, powtarzał, spluwając na swój właściwy sposób, przez ramię. *Naprzód ruble a potem cnota*, i aby je mieć, dodawał, jest najpierwszym warunkiem brać je tam gdzie są: w kościołach i w pałacach.

W żadnej części Polski, prócz okolic Warszawy, nie ma tyle kościołów i pałaców, co w powiatach kieleckim i radomskim. Z pewnością wolałby Błagurow szukać tego kruszczu w okolicach Warszawy, lecz generał Swinin już tam przeszedł ze swemi kozakami,

z Pillardowem, z Abrahamem i z całą żydowską bandą. Zbierać po ścierniku za nimi, znaczyło to samo, co mozolić się i tracić swój czas napróżno.

— *Piękne będziem mieli żniwo*, rzekł żartobliwy rabuś do namiestnika, przy pożegnaniu; i daleko lepiej pójść wprost tam, gdzie trawy jeszcze nie koszono.

— Gdzież wię pan zamyślasz udać się, mój drogi?

— Do Ojcowa, excellencyo.

— A bodaj cię! nie ma jak w Ojcowie, to ogród Polski!

— A ja lubię owoce, excellencyo.

— Przedewszystkiem złote jabłka, tak przynajmniej myślę generale; lecz wiesz pan, że Swinin nie będzie z tego kontent, ponieważ ten najlepszy kąsek zachował dla siebie.

— Właśnie, chcę go uchronić od niestrawności, excellencyo; jest skłonnym do apopleksyi, ostre więc powietrze i spacer, korzystnie wpłyną na jego zdrowie.

— Ach! to tak mój drogi, kogóż więc zamierzasz przypuścić do udziału w korzyściach? zapytał namiestnik z uśmiechem, który oznaczał: Spodziewam się, że o mnie nie zapomnisz.

— Większa połowa dochodu należy się rządowi, szybko odpowiedział generał, zapominając o swoim przyjacielu Swininie; biorę także ze sobą dobrego buchaltera, który będzie robił dokładny spis wszystkich łupów, a część należącą do kas państwa, złożę na ręce waszej excellencyi.

— Jestto piękna myśl, rzekł namiestnik z niezwykłą dobrodusznością.

I dodał:

— Kto jest tym buchalterem?

— Młody, bardzo dystyngowany oficer, porucznik kozaków Brutikow, który . . . .

— Jest pańskim siostrzeńcem, nieprawdaż?

— Nie wybrałem go jednakże dlatego że jest moim krewnym, excellencyo, lecz z przyczyny dobrego prowadzenia się; jest zuchem; chłopak ten nie ma jeszcze szesnastu lat, a już strzelał do buntowników, mężczyzn, kobiet i dzieci, bez najmniejszego wzruszenia; prawdziwy to żołnierz, ani czuły, ani nerwowy, podoba mi się.

Być może, iż excellencya jedynie w interesie *skarbu publicznego*, wolałby innego buchaltera, lecz tymczasem, rozumie się, nie zrobił żadnej uwagi, tylko zawsze z tą samą dobrodusznością, dodał:

— Z Częstochowy do Ojcowa nie jest daleko, nieprawdaż?

— Mały spacer, excellencyo, i jeżeli pan raczysz mnie upoważnić, to zrobię tam pielgrzymkę z memi kozakami.

— Ależ tak, mój drogi, trzeba naszych żołnierzy przyzwyczajać do pobożności; niech się pomodlą za pomyślność naszego cesarza.

— I za waszą, excellencyo; postaram się nawet przysłać panu parę dyamentów zdobiących płaszcz Dziewicy, a są szczególniejsze; sądzę, że wolisz pan

te relikwie aniżeli kości Swiętego lub jaki kawałek habitu zakonnika.

— Tą razą, zadowolnię się dyamentami, mój drogi, rzekł namiestnik z głośnym śmiechem; bo bardzo byłoby mi przykro pozbawić katolików ich szacownych relikwij.

Błagurow dopiął swego; a że jego proklamacye już zostały rozrzucone w setkach tysięcy egzemplarzy, pospieszył więc bez straty czasu do więzienia, wybrał trzydziestu bandytów najgorszego prowadzenia się, przebrał ich za wieśniaków, i z tą hałastrą, przybrawszy jeszcze sotnię kozaków, puścił się w drogę, by rozpocząć zbójecką kampanię.

Wybrane przez niego miasto Ojców jako punkt środkowy do operacyi, było miejscem odpowiedniem. Będąc tam zabezpieczony z dwóch stron piekielnemi kolumnami Swinina i Mitweda, nie narażał się na żadne niebezpieczeństwo, a nawet mógł ciągnąć znaczne korzyści z ich zwycięztw. Co więcej, podczas gdy wojska regularne ścigałyby powstańców, on, bez wielkiego trudu, napełniałby swoje wozy zdobyczą, w przyjaznej zaś chwili, mógłby nawet o wiele wyprzedzić swoich współzawodników i puścić swoje hordy do Częstochowy, tej ziemi obiecanej łupieżców.

Prócz tych powodów był jeszcze jeden daleko ważniejszy, co wpłynął stanowczo na postanowienie Błagurowa.

W okolicach Ojcowa mieszkała ludność trudniąca się kontrabandą, pensyonowani żołnierze pochodzenia rosyjskiego i schizmatycy, których żadne węzły

przyjacielskie nie łączyły z mieszkańcami, pijacy i okrutni, dla których nic nie było świętego, a bezkarność i zachęta rządu, mogła ich popchnąć do najszkaradniejszych wybryków.

Ci bandyci, których bojaźń kary zaledwie zdołała powstrzymać od gwałtów, radośnie powitawszy trzydziestu towarzyszy przybyłych z Warszawy, biegli gromadnie zaciągać się pod rozkazy generała, przyobiecującego im w imieniu rządu nie tylko bezkarność, ale nawet opiekę i wynagrodzenie.

A gdy armia *hajdamaków* była gotową, natychmiast rozpoczęła krucyatę z okrzykiem: Nasz car–batiuszka tego chce! nasz car–batiuszka tego chce!

Pierwszą ofiarą tej zbójeckiej bandy padł hrabia Poleliło w Wojłowicach, zacny patryota i Członek Rady Stanu.

Hrabia, jego dzieci, kilku krewnych i przybyły z sąsiedztwa pułkownik Dunin byli właśnie przy obiedzie, kiedy im doniesiono o zbliżaniu się nieprzyciela.

A że nie było powstańców ani w wiosce ani w okolicy, sądzili że nadciągający moskale są wojskiem przechodniem, i jedynie tylko z przezorności, damy z dziećmi udały się do pokojów na pierwszem piętrze, mężczyzni zaś, pozostali na parterze.

Wkrótce też nadciągnęła horda morderców, dowodzona przez Błagurowa na koniu; z wrzaskiem i groźbą, wywijając siekierami i nożami, oblegli pałac,

Hrabia zdziwiony[1] tym hałasem, zbliżył się do okna; lecz na widok tej rozjuszonej i pijanej tłuszczy, zrozumiał prawdę i zawołał:

— Nasza ostatnia godzina wybiła; bywajcie zdrowi, przyjaciele, umrę wraz z dziećmi.

Towarzystwo się rozbiegło.

– Do szturmu! ryknął Błagurow, puszczając swoją psiarnię na zdobycz.

W jednej chwili, mordercy zajęli pałac.

Stanisław Wójcikowski, kuzyn hrabiego, padł pierwszy ugodzony strzałem z pistoletu, obok swego syna, prawie zaraz zamordowanego.

— Smierć nieprzyjaciołom naszego cara–batiuszki! wrzasnął tłum hajdamaków, upity zapachem krwi, i jak szarańcza rzucił się do drugiego pokoju, gdzie pułkownik Dunin, z krzyżowanemi na piersiach rękami i czołem dumnie podniesionem, siedział na kanapie.

Pięć strzałów padło naraz, i trzy kulki ugodziły starca; jednakże nie upadł, i kiedy jeden z morderców zbliżył się z nożem w ręku, by go dobić, miał jeszcze tyle siły że odbił cios, i głosem energicznym zażądał, aby go zaprowadzono przed dowódzcę.

Dwóch ludzi schwyciwszy go pod ramię, wlokło do Błagurowa, podczas gdy inni postępując za nim, okładali go pięściami i kopali nogami.

Na balkonie, Brutikow paląc papierosa, dozorował *operacyi*.

---

1 Dzienniki, tôm I, strona 78.

*

— Poruczniku, rzekł przechodząc obok niego pułkownik, czyż nie wstydzisz się pozwolić bić, w swojej własnej przytomności, rannego starca?

— Milcz, Padlec, i ruszaj swoją drogą, odpowiedziało dziecko.

— Umie mówić nasz batiuszka, przywtórzyli sobie zbójcy. Marsz, Padlec.

I zaprowadzili go przed Błagurowa.

Właśnie jaśnie wielmożny jako znawca, cennego oglądał konia dopiero co wyprowadzonego, przez kozaka ze stajni.

— Co pan jesteś za jeden, i czego chcesz odemnie? wyniośle zapytał generał, robiąc swój przegląd.

— Jestem Walenty Dunin, dymisyowany pułkownik z gwardyi grenadyerów, obecnie obywatel ziemski i z wizytą. . . . .

— Co on mi tam śpiewa, ten bałwan . . . . Woniwoszka, otwórz pysk koniowi, niech zobaczę jego zęby.

— Patrz pan, w jak niegodny sposób, mówił dalej pułkownik, postępują pańscy żołnierze . . . .

— Trzeba było pozostać u siebie, a nie przyjeżdżać do pałacu gdzie strzelano do moich żołnierzy.

— Nikt nie strzelał, generale, zapewniam pana.

— Jakto, przecież dano przeszło sto strzałów.

— Ani jednej fuzyi nie ma w pałacu.

— Ja panu mówię, że strzelano; skończmy.

Rumieniec oburzenia wystąpił na czoło Polaka.

— Generale, wykrzyknął, skłamałeś pan, mówiąc że strzelano do pańskich żołnierzy, przysięgam to!

— Rozwalić łeb temu zuchwałemu psu, rzekł Błagurow, nie odwracając się.

Jeden z bandytów strzelił z pistoletu do starca i chybił.

— Łotrze! wrzasnął generał, patrz co zrobiłeś.

I pokazał mu konia, któremu kulka pijaka przeszyła nogę.

— Tysiąc rubli straconych przez twoją niezgrabność, każę cię powiesić!

O pułkowniku, którego wściekła dzicz dobiła nożami, nie było więcej mowy.

Mordercy dalej prowadzili krwawe swoje dzieło. Po rzezi nastąpił rabunek.

Cudownem zrządzeniem Opatrzności, nie przetrząsali pokoju do którego hrabia schronił się z dziećmi i odchodząc nie podpalili pałacu, jak to było w ich zwyczaju.

Pozostawiwszy jedenaście trupów w pałacu, złożyli łupy na wozy, i generał pod opieką Brutikowa wysłał je do Ojcowa, aby *sam*, po spisaniu inwentarza, zrobić ich podział.

Co zaś do gotówki, srebro mierzono czapką a złoto kielichem; było ośm takich miar; w kilka dni dopiero rozdzielił je generał pomiędzy bandę, opierając się na świadectwie swego buchaltera, że tylko pięć miar było.

Nikt nie zaprotestował przeciw temu.

W trzech dniach, pałac w Iwanowicach, własność hrabiego Stanisława Walewskiego, krewnego hr. Walewskiego, ówczesnego ministra we Francyi, jak ró-

wnież pałace w Bukowie, w Floryanie, w Dołobiznie, w Poganowie i wielu innych, były teatrem podobnych napadów.

„Pałac w Ojcowie, zabudowania aż do młyna i cała ta okolica tak żyzna, pisała w kilka dni po napadzie pewna ofiara, która zdołała wymknąć się z rąk siepaczy, jest jednem dymiącem się zgliszczem, wśród którego znajdują się ciała do połowy spalone. W wielu miejscach niepodobna rozróżnić placu, gdzie stały zabudowania; widocznem jest, że barbarzyńcy mongolscy przeszli tędy, niosąc jak zawsze — śmierć i zniszczenie.”

Kościół w Ojcowie zamienili hajdamacy na bazar i sprzedawali w nim krwawe swoje łupy. Codziennie jeden z bandydytów, siedząc na ołtarzu przez pięć godzin przedstawiał z dzikiemi drwinkami towary kupcom najwięcej za nie ofiarującym, podczas gdy Brutikow, jako prezydent tej licytacyi, zapisywał na białych kartach rejestrów chrztu, otrzymane pieniądze, które następnie wrzucał do stojącej obok skarbonki.

Nieszczęściem dla nich, mało mieli kupców, ponieważ Polacy ze wstrętem patrzeli na ten niecny handel. Banda niechlujnych żydów przybyłych z Polski i z Prus i kilku spekulantów oficerów, korzystało ze sposobności; codziennie też sanie, podobne do tych jakie miał Abraham, naładowane złupionym towarem, odjeżdżały do granicy pruskiej.

Co zaś do Abrahama, nierozsądnie postąpił sobie trzymając się Swinina, z Błagurowem prędzej mógłby się zbogacić; lecz obecnie najmniej obchodził go ma-

jątek, uwolnić syna od wojska, całem jego było marzeniem.

Nie same jednakże róże kwitnęły w armii bandytów rządowych; były chwile że im zabrakło towaru, wtedy napadali i rabowali tych, którym sprzedali poprzednio zrabowane rzeczy, a biada temu, kto śmiał się im opierać. Wszelkie skargi, chociażby jaknajsłuszniejsze były, wynagradzali kijami lub nożami.

Oficerowie rosyjscy nie lepiej byli traktowani, jeżeli cokolwiek ośmielili się zarzucić tym dzikim zwierzętom.

W Wielkiej,[1] kapitan rosyjski Tiedman został zamordowany przez własnych żołnierzy za to, że niepozwolił im rabować kościoła, na którego zrabowanie, dał im pozwolenie Błagurow.

W Rados,[2] zamordowali kapitana Kokuskina za to, że wydarł z ich rąk niewiastę, którą żywcem chcieli spalić na rozpalonych węglach.

— Żywi czy umarli, Polacy i Polki do nas należą! wrzeszczała ta potworna tłuszcza.

— Nasz car–batiuszka nam ich oddał.

Błagurow nie był już w stanie opierać się tej gwałtownej dziczy, którą sam wypuścił i podszczuwał, patrzał też na jej wybryki przez szpary lub zwalał winę na ofiary i na swoich własnych oficerów, oskarżając ich przed rządem, że zamiast rozgrzewać patryotyzm, trochę być może za gorący, nieudolnem

---

1 Historyczne. — Dzienniki, tom I, str. 129.

2 Historyczne. — Dzienniki, tom I, str. 130.

swojem postępowaniem osłabiali szlachetne uczucia, wiernych poddanych cara.

W wielu wypadkach, nie śmiejąc ukarać zuchwałych swoich opryszków, niezasłużone oddawał im pochwały.

Kiedy po złupieniu Preskowa,[1] hajdamacy pastwili się nad młodzieńcem pochodzącym ze starożytnej familii, rozbijając mu głowę kolbami, dla przekonania się jak mówili, czy życie w szlachcicu jest twardsze, generał odezwał się w sposób niegodny, hańbiąc na zawsze swoje imię. Był tyle bezwstydnym, że zawołał:

— Waleczni żołnierze, szlachetnie postąpiliście, dziękuję wam!

I obróciwszy się do oficera w podeszłym już wieku, który dzień przedtem, pozwolił sobie zganić okrucieństwa hajdamaków, rzekł:

— Tak trzeba przemawiać do walecznych.

— Do walecznych, tak, ale nie do morderców.

– Bałwan jakiś! mruknął sobie Błagurow, wzruszywszy ramionami i splunąwszy z pewnem rodzajem wzgardy; ci mordercy w trzech dniach przynieśli mi czterdzieści tysięcy rubli.

— Czterdzieści dwa tysiące pięćset trzy, poprawił Brutikow; i jeżeli Swinin nie pospieszy się, żniwo zastanie sprzątnięte.

— Bah! rzekł generał, jeżeli dobrze naciśnie, to jeszcze cokolwiek wydusi. Zresztą, dodał głośniej, aby być słyszanym od swojej świty.

1 Historyczne. — tom, II, Dzienniki str. 81.

„*Tarde venientibus ossa*; tym co późno przychodzą, dostają się same kości.

Naczelnik hajdamaków nie był wcale ograniczonym człowiekiem; w swoim czasie, pobierał lekcye łaciny przez dwa miesiące, od Francuza prowadzącego handel w Moskwie pachnidłami, i od tego czasu, uważał się wielkim uczonym.

Jako spekulant był daleko zręczniejszym; z trzech tysięcy franków jakie otrzymał od rządu wówczas gdy był jeszcze dowódzcą Izmaiłowskiego pułku, znalazł sposób odłożyć każdego roku na stronę, z jakie dwadzieścia tysięcy franków.

Prawda i to, że w Rosyi ranga pułkownika daleko więcej przynosi postronnego dochodu, aniżeli stopień generała. Zręczny pułkownik, potrafi napełnić swoją kasę, kosztem żołądków swoich żołnierzy. Przytem, jest tyle jeszcze sposobów do wyzyskania niewolników, zwanych sołdatami, że chyba tylko człowiek pozbawiony rozumu, nie korzystałby w Rosyi ze sprzyjających okoliczności i z tolerancyi, jaką każdy z wielkich dygnitarzy, cieszy się pod błogiemi rządami cara.

A kiedy już w spekulacyjnych swoich sprawkach posunął się Błagurow za daleko, oskarżono go w Petersburgu, i pułkownik został ukarany — szybkim awansem.

Jako człowiek praktyczny postarał się aby go wysłano do Polski, gdzie miał nadzieję na Padlecach, powiększyć swoje dochody.

Założywszy w Ojcowie główną swoją kwaterę, wysełał ztamtąd kolumny podpalaczy na wszystkie strony; zwykle sam tylko wtedy dowodził ekspedycyą, kiedy spodziewał się że będzie bardzo zyskowną; w przeciwnym razie, oczekiwał powrotu *swoich pszczół*, w głównej kwaterze.

Jako wynagrodzenie dla powracających z wyprawy, urządzał co wieczór na placu małe przedstawienia, którego wszystkie koszta ponosili Polacy: raz kazał jakiego Polaka powiesić przy blasku pochodni, to znowu rozstrzeliwać ofiary zawiązane w workach: ten ostatni rodzaj zabawy był mu najprzyjemniejszym i najczęściej go też powtarzał.

Miał jeszcze na jakie pięć dni roboty, licząc po pięć kościołów lub pałaców na dzień, kiedy pewnego poranku, kozacy wysłani przez niego na wyprawę, powrócili galopem, donosząc o zbliżającej się licznej bandzie powstańców.

Była to armia Langiewicza, prowadzona przez Rubena.

Przebiegły i mężny generał moskiewski wydał natychmiast rozkazy do . . . . ucieczki.

Hajdamacy naładowali sanie łupami, i zostawiwszy swoich chorych i rannych, spiesznie uciekali drogą do Staszowa.

Uszedłszy już z wiorstę drogi od miasta, przypomniało się naraz Błagurowowi że zapomniał zabrać ze sobą dwunastu więźniów, których miał spalić wieczorem, dla urozmaicenia widowiska.

— Możeby było jeszcze dosyć czasu powrócić i wyekspedyować ich na tamten świat, rzekł do Brutikowa.

— Ba! odpowiedział młokos, co nam z tego przyjdzie, a niebezpiecznie jest wracać.

— Zresztą, mniejsza o to, mruknął generał, żal mi jest tylko, żem zostawił księdza pomiędzy nimi.

W kwadrans później, mała armia narodowa serdecznie została powitaną przez mieskańców Ojcowa.

Langiewicz dowiedziawszy się że bandyci uciekli do Staszowa, postanowił ich ścigać; dlatego też tylko tyle czasu pozostawił swoim żołnierzom, ile potrzeba było na wytchnienie z męczącej podróży, na uwolnienie więźniów i przeniesienie rannych do domów obywatelskich.

Załatwiwszy to wszystko, puścili się w drogę: część armii pomaszerowała drogą do Miechowa, Kosynierzy zaś i Dzieci Rozpaczy do Staszowa.

Ruben, nigdy niezmęczony, zobowiązał się wyprzedzić bandę Błagurowa.

Chcąc skrócić drogę, puścili się przez lasy i skały, ścieżkami niepodobnemi do przebycia dla jazdy i artyleryi.

W kilku godzinach przebyli ostatnie pasmo wzgórz, u stóp których wiła się droga wprawdzie jeszcze niewidzialna, lecz wysokie słupy czarno i żołto malowane, wskazywały jej kierunek.

— Czy to tam? zapytał Chusko, dowodzący przednią strażą.

— Trochę dalej, rzekł Ruben; tu, bylibyśmy zdaleka spostrzeżeni, i wymknęliby się nam.

— Lecz i tak zobaczą nasz ślad, zauważył Cezar.

Ruben potrząsnął głową.

— Pójdziemy naprzeciw nich, odpowiedział.

— Jakto, wyprzedziliśmy ich?

— Idą pomału; zdaje się, iż mają dobrze naładowane sanie, mówił żyd, z błyszczącemi chciwością oczami.

Nadszedł też i Narbut.

— Czy to pewne, że nie przed nami? zapytał.

Chusko wskazał mu ręką biały kobierzec, świeżo spadłego śniegu.

— Chodźmy więc zająć nasze pozycye, rzekł Narbut, wskazując na las gęsto zarośnięty młodemi jodłami, i formujący nieprzejrzystą zasłonę.

Kilka wedet ustawiono na wzgórzu, za pniami drzew.

Pomyślawszy chwilę Błagurow, przyszedł do przekonania, iż wrazie pogoni, powstańcy, najpierw zaatakują jego straż tylną; wziąwszy też sotnię kozaków, wyprzedził swoją bandę.

Reszta konwoju, złożona z przeszło sześćdziesięciu sań, ciągnęła się w tyle długą czarną linią, przeszło pół wiorsty zajmującą.

Ta niezliczona ilość wozów, opóźniała pochód bandy; zimno było nieznośne; aby rozgrzać się, wysączył Błagurow do ostatniej kropli wódkę, którą niósł w swojej manierce.

— Przez te psie wozy spóźnimy się do Staszowa i nie zrobimy tam dzisiaj naszej roboty, rzekł z gniewem do Brutikowa, który nic nie mógł temu zaradzić; złą drogą udaliśmy się.

— Jest to jedyna możebna dla wozów; trzebaby je chyba zostawić . . . .

— Nasze łupy zostawić! zwaryowałeś, czy co; i na cóż zdałoby się *pracować?* No i cóż tam! co mi pokazujesz?

— Patrz, excellencyo, ktoś chowa się tam, tam — niżej, na wzgórzu.

— Gdzie?

— Za tą jodłą.

— Zapewne jaki wieśniak.

— Po sposobie w jaki nas obserwuje, ja myślę że to powstaniec.

— Byłoby to coś nadzwyczajnego, rzekł Błagurow, z widocznem jednak wzruszeniem.

I podniósł lunetę. Lecz zaraz wykrzyknął zdziwiony; zdawało mu się że rozpoznaje pana Mullera, ex–profesora na fortepianie, bywalca na balach warszawskich, redaktora *Motyla*, Mullera–Narbuta.

— To niemożebne, mówił sam do siebie, badając owo zjawisko; nie, to niemożebne.

— Któż tam jest, excellencyo? zapytał Brutikow.

— Djabeł, czy pokrewny jego, Narbut.

— Sam jeden?

— Sam czy w towarzystwie, to wszystko jedno; przepuśćmy naprzód tych, co im pilno, najbezpieczniej jest pozostać w tylnej straży.

I kazał zatrzymać się woźnicy i swoim kozakom.

Hajdamacy pewni że im żadne niebezpieczeństwo nie grozi, szli dalej spokojni, kiedy naraz jeden z powstańców nabił dubeltówkę, i padł strzał.

Na ten huk niespodziewany, wstrzymali się bandyci, niepewni co robić.

— Wskocz na sanie z pieniędzmi, i bądź gotów zawrócić konie na drogę do Miechowa, rzekł Błagurow do swego siostrzeńca.

Porucznik wskoczył na siedzenie i wziął lejce do ręki.

Lecz w tej chwili Chusko, zrozumiawszy że najmniejsze wahanie się może być ważnym błędem, wybiegł z ukrycia na drogę, wołając:

— Bóg i Polska!

Na to hasło, Dzieci Rozpaczy straszny ogień rozpoczęli, a Kosynierzy, jak huragan rzucili się na wroga.

— Kozacy, ocalcie sanie z pieniędzmi! wołał Błagurow, nie myśląc w tym popłochu o niczem więcej, jak tylko o swoich czterdziestu dwóch tysiącach pięćset trzech rublach.

Wśród zamieszania sprawionego nagłym atakiem Kosynierów, podczas gdy ludzie i konie padały i wywracano wozy, spostrzegł Cezar iż sanie eskortowane przez kozaków wysunęły się naraz z miejsca potyczki, i oddalały się szybko, ciągnione przez trzy konie pędzące galopem, które Brutikow ostrzem swego pałasza, zachęcał do biegu.

— Chusko! Chusko! zawołał, uwożą amunicyę.

— Amunicyę! wrzasnął dowódzca Kosynierów, nam jej potrzeba.

Bracia w pogoń! zatrzymać sanie!

I, uszykowawszy karabin na daleką odległość, mierzył chwilę i wypalił.

Jeden z koni zaprzężonych do sani obalił się.

— Przetnij lejce, szybko! szybko! krzyczał Błagurow.

Lecz kozacy, naciskani, gromadą uciekających bandytów, i zagrożeni kosami, pędzących jak wicher na łyżwach dwudziestu powstańców, uciekali, zostawiwszy sanie na drodze.

— Do sani, bracia! po amunicyę! wołał Cezar, wyprzedzając towarzyszy.

Brutikow zeskoczył z siedzenia, i próbował nożem przeciąć sznury.

— Prędko! prędko! krzyczał generał, za chwilę wpadną na nas.

Moskal zrobił rozpaczliwe wysilenie, i ująwszy lejce, wykrzyknął:

— Naprzód! naprzód!

Lecz Cezar już trzymał za uzdę konia, który wspinając się, wywrócił go, nie puścił jednak młodzieniec zdobyczy i wołał:

— Do mnie, bracia! do mnie! mamy ich!

— Nędzniku! ryknął Błagurow, wracając galopem dla ocalenia złota, oto dla ciebie!

I wystrzelił na parę kroków tylko.

Kulka świsnęła koło twarzy Polaka i utkwiła w śniegu.

Brutikow także z nabitym pistoletem w ręku, wychylił się z sani, by sprzątnąć tę żywą przeszkodę.

Już miał wystrzelić, kiedy coś jak błyskawica mignęło mu koło oczu; krzyknął boleśnie i schował zakrwawioną rękę. Jednem cięciem jakiś Kosynier odciął mu rękę.

Błagurow uciekał w największym pędzie konia, a powstańcy z nieopisaną radością zawrócili sanie na drogę do Staszowa.

Bandyci niespodzianie zaskoczeni, opuszczeni przez kozaków i przez swego generała, rzucając bronie, uciekali na wszystkie strony. Przeszło stu pięćdziesięciu towarzyszy, pozostawili na miejscu potyczki.

W niespełna pół godziny, stracił Błagurow cały owoc swej głośnej kampanii — swoje ruble; z pięćdziesięciu do sześćdziesięciu kozakami, ze wściekłością w sercu, jechał do Miechowa, przysięgając straszną zemstę tym *złodziejom*, co ośmielili się ukraść mu *jego pieniądze*.

Uszczęśliwionych Polaków z odniesienia tak świetnego zwycięztwa, smutne miało spotkać rozczarowanie; bo gdy na rozkaz dowódzców przetrząsnęli sanie zamiast spodziewanej amunicyi, znaleźli kosztowne meble, poświęcone służbie Bożej naczynia, złota i srebra poddostatkiem, lecz ani prochu, ani kul, ani jednego nawet naboju, tak im niezbędnie potrzebnych.

Owe czterdzieści dwa tysiące rubli Błagurowa mogły przydać się na zakupienie żywności dla wie-

śniaków, reszta była tylko zawadą. Odprzęgnąwszy też konie, pozostawili sanie z łupami na drodze, wyjąwszy dwóch czy trzech, na których umieścili swoich i nieprzyjaciół rannych.

Co zaś do moskali zabranych w niewolę, szlachetni Polacy, wedle swego zwyczaju, udarowali ich życiem i wolnością.

Pomiędzy tymi był i pewien kozak, co jednem pociągnięciem kindżału fatalną zadał Rubenowi ranę pod kolanem. I własna jego ofiara ocaliła mu życie wstrzymując siekierę, którą jeden z Dzieci Rozpaczy, obaliwszy go na ziemię, chciał mu łeb roztrzaskać.

Podobne łaskawe postępowanie nie było rzadkiem.

Na Matkę Boską Częstochowską, przysięgał moskal, iż więcej walczyć nie będzie z tymi, którzy tak szlachetnie i łaskawie, z nim postąpili.

Uniesiony nawet wdzięcznością, prosił jako o łaskę by mu pozwolono powozić sanie na których zbroczony Ruben, leżał rozciągnięty.

O tej samej godzinie, kolumny Mitweda i Swinina wszedłszy do Ojcowa, zaznaczyły swój pochód przerażającem okrucieństwem.

„Powstańcy, jak wiadomo, pozostawili kilkunastu chorych, umieszczonych w domach obywatelskich; otóż moskale porwali ich z łóżek i powiesili na drzewach. Niektórym jednakże, przed śmiercią, wyłupili bagnetami oczy.[1]

---

1 Historyczne. — Dzienniki, tom I, str. 89.

Potem, ażeby zatrzeć ślad swojej zbrodni, spalili miasto, nie zatrzymując się w niem dłużej jak godzinę, ponieważ Swinin spieszył się dostać Langiewicza, a więcej jeszcze wyprzedzić Błagurowa, który nic po za sobą nie pozostawiał do rabowania.

To złe postępowanie, dawnego przyjaciela, oburzało obydwóch generałów.

Abraham także był rozdrażniony; drżał z obawy, aby kolumny których był przewodnikiem, nie przybyły za poźno do Częstochowy; a może nawet daleko więcej gniewał się na hajdamaków aniżeli na Polaków, chociaż ci ostatni, unikając walki z moskalami, opóźniali przez to uwolnienie jego syna.

Na zrobioną przez niego uwagę, bo chociaż Swinin wielce szanował wysoką swoją rangę a więc i zdanie, nie mógł jednakże obejść się bez rady przebiegłego żyda, służącego mu za przewodnika w górach i gąszczach trudnych do przebycia; za jego więc poradą, postanowił aby obydwie kolumny, postępując jedna za drugą w niewielkiej od siebie odległości drogą miechowską, przesunęły się pomiędzy oddziałami Narbuta i Langiewicza w taki sposób, aby przeszkodziły połączeniu się tych dwóch oddziałów i każden z nich zniosły oddzielnie wpierw, nim powstańcy uplanowaliby wspólny atak na miasto zajęte przez silną kolumnę moskiewską pod wodzą generała Bagrationa.

Stosowny obrót natychmiast rozpoczęto.

Za zbliżeniem się nocy, podjazdy moskiewskie z prawego skrzydła doniosły generałowi iż w około samotnej szopy, spostrzegli ognie obozowe.

Zaskoczeni powstańcy nocą w gołem polu, zmęczeni rannym marszem i walką z bandytami, natrafiwszy opuszczoną szopę, umieścili w niej swoich i niespodziewając się napadu pobitych pod Świętym Krzyżem moskali, rozpalili ognie w około budynku, chcąc tak przeczekać do rana.

Swinin, dowiedziawszy się o ich obecności, zaraz wysłał adjutanta do przedniej swojej straży z rozkazem zatrzymania się, i kazał przywołać żyda.

Oczy Abrahama błyszczały radością.

— Co to za ognie? zapytał generał.

— Oddziałów Narbuta i Chuski, jaśnie wielmożny panie.

— Czy jesteś tego pewnym?

— Tak przynajmniej myślę, odpowiedział żyd, bo bardzo wątpię, aby to miały być wojska generała Błagurowa.

– A dlaczegóż–to?

— Ponieważ jeden z naszych, którego wysłałem naprzód w celu dowiedzenia się czegoś, powiedział mi iż słyszał śpiew: *Boże coś Polskę*.

— Jeżli pobili Błagurowa, rzekł Mitwed do Swinina, to powinniby mieć piękną zdobycz.

— I byłoby to sprawiedliwem, mruknął Swinin, ponieważ dosyć nas skrzywdził.

I zwracając się do Abrahama:

— Nie jest to czasami armia Langiewicza?

— Nie, excellencyo, jego armia poszła w lewo.

— A ta droga dokąd prowadzi?

— Do Staszowa, excellencyo.

— To dobrze! wracaj na swój posterunek.

— Excellencyo, nie zapomnisz pan o danej mi obietnicy uwolnienia . . . .

— Twego syna, tak, tak; skoro tylko dostanę Narbuta i Chuskę, przysięgam ci że twój syn Gedeon...

— Ruben, wasza excellencyo.

— Ach, mniejsza o to, będzie ci zwrócony.

— Potrzebaby więc excellencyo, natychmiast otoczyć dom konnicą; gdy inaczej, te psy spostrzegą się, uciekną i nie będzie dosyć czasu.

— Pójdź precz, ośle! nie potrzebujemy twoich rad.

— Abraham nie był wcale czułym na podobne komplementa, skłonił się nizko i wyszedł zacierając ręce z radości. Jedna myśl go tylko zajmowała: W końcu odzyskam syna.

Nie myślał o niczem więcej jak tylko o tych, których miał zdradzić dla ocalenia swego syna, a byli to jego dobroczyńcy.

Swinin i Mitwed szybko plan napadu ułożyli.

Postanowili otoczyć powstańców żelaznem kołem bagnetów i pik, z którego żaden z nich nie zdołałby się wymknąć.

I nie trudnem to było. Ponieważ przeciwko trzystu, głodnym, znużonym i zziębniętym powstańcom, generałowie moskiewscy mieli przeszło sześć tysięcy ludzi i armaty.

Tylko nocy czekali. A skoro nadeszła, kiedy mrok pokrył ziemię, wojska moskiewskie zaczęły posuwać się w milczeniu, rozwijając się w rozległe pół-

kole, którego dwa końce miały zamknąć obóz powstańców.

Narbut i Chusko, ustawiwszy pikiety i straże, poszli do szopy odwiedzić rannych polaków i moskali, których Marta z Elżbietką pielęgnowały.

Obok wiązki słomy na której leżał ranny Ruben, siedział ów kozak, któremu żyd ocalił życie.

To dzikie dziecię stepu, po raz pierwszy w swojem życiu uczuło swoją dzikość pokonaną ludzkością, biorącą natchnienie z religii. Był lepszym od swoich naczelników.

Na przednich posterunkach, Cezar i Magnus, siedząc na kupie śniegu, w baranich kożuszkach, w krakuskach na czoło wciśniętych, czuwali.

Naraz starzec trącił w ramię młodzieńca.

— Co to, Magnusie?

— Nie słyszałeś pan, poruczniku?

— To jeden z naszych koni parsknął.

— Nie, poruczniku, naszych koni nie ma po tej stronie.

— Baczność, bracia! rzekł Cezar pół głosem.

Czterech czy pięciu powstańców, leżących na śniegu, podniosło się. Nic nie widziano, lecz jakiś niewyraźny szmer w oddali rozpoznawano.

— Szczepanie! rzekł Cezar; masz swoje łyżwy?

— Mam, poruczniku.

— I pistolet?

— Mam także.

— Dobrze, pójdź i dowiedz się co to ma znaczyć; jeźli to jest nieprzyjaciel który nie spostrzegł jeszcze

naszych, szybko wracaj do nas; a jeźli idzie na nas, strzel — i nie zajmując się nami, uciekaj ku obozowi.

Kilka minut niepewności upłynęło.

Naraz błysk niespodziewany o paręset kroków zajaśniał, i zaraz rozległ się odgłos strzału.

— Do obozu! krzyknął Cezar, do obozu! to nieprzyjaciel.

I wszyscy spiesznie pobiegli, zaalarmować obóz.

Na pierwszy głos trwogi, okrzyk do broni! rozległ się po obozie i powstańcy, spoczywający w około ognisk, na równe zerwali się nogi.

Narbut i Chusko na czele swoich oddziałów, przygotowywali się do obrony, sądząc, że to Błagurow powraca w zamiarze zaczepki.

Nie domyślali się jeszcze, że to dwie armie postępowały, aby ich otoczyć.

Cezar też o tem nie wiedział.

Dzielny góral biegł wprost do Chuski, swego naczelnika.

— Generale, zawołał, ratuj oddział ucieczką i szybko, jeźli nie chcesz zostać otoczonym i wyciętym;: jest ich najmniej dziesięć tysięcy z armatami i z kawaleryą.

— Czy pewnym jesteś tego Szczepanie? zapytał Chusko.

— Tak, generale. Na Matkę Boską Częstochowską! opierać się jest niepodobieństwem. Słuchaj pan, to kozacy pędzą galopem; wkrótce będą tutaj.

Swinin i Mitwed, widząc odkryte swoje zamiary, rozkazali kawaleryi uderzyć na obóz, którego ognie, nie wskazywały korzystnej powstańców pozycyi.

O uniesieniu rannych, ani myśleć można było. Narbut pobiegł do szopy, lecz zaledwie zdążył uratować Martę i Elżbietę.

Ruben próbował podnieść się, ale chociaż nie był niebezpiecznie rannym, nie był w stanie utrzymać się na nogach i upadł na słomę, służącą mu za posłanie.

Narbut chciał wziąść na ręce swego przewodnika i unieść go.

— Ojczulku, rzekł kozak, sam ratuj się, i nie lękaj się o swoich rannych; darowali mi życie, powiem o tem moim braciom, i nie podniosą na nich ręki.

— Wróć pan do swoich żołnierzy, nalegał Ruben; nie ocalisz mnie, a sam zginiesz; niech Bóg Izraela błogosławi Polsce i skruszy jej kajdany.

Młody naczelnik serdecznie uścisnął rękę Rubena po raz ostatni.

— Weź pan ten papier, spiesznie wyszeptał ranny, wsuwając mu w rękę stu rublowy banknot, otrzymany od Cezara; jeźli żyć będę — oddasz mi go pan, a jeźli umrę, dasz go mojemu ojcu; przyrzecz mi to generale.

— Przysięgam, rzekł Narbut. Zostań z Bogiem.

I wyszedł, biegnąc do Dzieci Rozpaczy, którzy sformowawszy czworobok, silnym ogniem odpowiadali na atak kozaków.

Były to ostatnie naboje, co dopiero wystrzelili; jeszcze parę minut, a przeciw długim pikom kozackim nie będą mieli innej broni, jak tylko kolby swoich fuzyi.

Grenadyerzy moskiewscy i artylerya, spiesznie dążyli przez pola, na miejsce walki.

Wszelki opór był widocznie niemożebny.

Widząc to Narbut, dał rozkaz odwrotu ku górom, który przy sprzyjającej ciemności i dzielnej obronie Kosynierów Chuski zasłaniających armię, odbył się szybko i w dobrym porządku.

Przyznać trzeba, iż waleczni Kosynierzy nie oszczędzali strasznej swojej broni. Korzystając z ciemnej nocy, zakrywającej ich przed wzrokiem nieprzyjaciela, leżąc na ziemi, czekali nieporuszeni i milczący, nadsłuchując tententu koni; a kiedy go już mniemali na doniosłość swojej broni, rzucali się na wroga z kosą naprzód.

Stosy trupów znaczyły na płaszczyznie każde takie zgubne natarcie, szczególniej dla kawaleryi.

Za piątem, zdziesiątkowani kozacy, nie mogąc się nawet bronić w niespodziewanych potyczkach, i opadli na siłach przez przypuszczane ataki najczęściej w próżnię, przestali ścigać powstańców dobiegających już lasu, i wrócili do obozu, zajętego przez wojska moskiewskie.

Swinin był najpewniejszym że obadwa oddziały Narbuta i Chuski ma w swojej mocy. Lecz kiedy spostrzegł iż wszyscy Polacy wymknęli mu się, gniew jego nie miał granic. Bluźnił przeciw Bogu, przekli-

nał kozaków i groził Abrahamowi, przypisując jego zdradzie niepowodzenie.

Napróżno błagał o oszczędzenie rannych, wierny swojej obietnicy kozak, ocalony przez Rubena; generał rozkazał skrępować go jako zdrajcę i wyrzucić z szopy wszystkich Polaków.

A w tym czasie, kiedy żołdacy po grubijańsku wykonywali nieludzki jego rozkaz, Abraham, szczególniejszym instyktem swojej rasy wiedziony, poszedł do zostawionych na śniegu sani, i wsunąwszy się cichaczem pod grubą matę służącą jako pokrycie, szperał i macał długo z nieopisaną chciwością.

Naraz, krzywe jego palce namacały pod pokryciem sukiennem sztukę złota, potem dwie, potem trzy, a potem zagłębiły się w całej kupie zimnego kruszczu, którego dźwięk z lubością rozpoznawało ucho żyda.

Odurzony Abraham zagłębił w nim ręce aż po łokcie i zaczął rozkoszować się w tej złotej kąpieli z przerażającą radością, blizką szaleństwa.

Lecz natychmiast przypomniał sobie kozaków, że są w obozie, w około niego i w każdej chwili mogą go nadejść; zimny pot wystąpił mu na czoło, a zęby dzwoniły ze strachu.

Ostrożnie więc zsunął się ze sań i wstrzymując oddech spojrzał dokoła.

O trzydzieści kroków od niego, cisnęli się moskale w bezładnej gromadzie, na placu obok szopy, wrzeszcząc i rzucając przekleństwa na więźniów, których Swinin siedząc na koniu, o coś zapytywał. Tuż

obok skrępowanych Polaków, kilkunastu ludzi wbijało w śnieg pale. Przygotowywano się do egzekucyi; żołdactwo o niczem więcej nie myślało, jak tylko o wzięciu udziału w barbarzyńskiej zabawie.

Wtedy trochę uspokojony Abraham, przykucnąwszy za saniami, wygrzebał rękami i nożem dół w śniegu; potem, biorąc złoto garść po garści, układał je warstwami, z rozkosznem drżeniem.

Długi czas tak siedział pochylony nad swoim skarbem nie przykrywając go śniegiem, żal mu go było zostawić; wziął parę sztuk złota i wsunął je do ogromnej kieszeni swego chałata, potem jeszcze kilka, lękając się aby mu kto nie zabrał; nie wiedząc co czynić, walczył z dwoma uczuciami; wreszcie uległ pokusie i zaczął napychać kieszenie złotem, kiedy naraz ze dwadzieścia głosów zawołało:

— Abrahamie! Abrahamie!

Szybko śniegiem przykrył dołek, udeptał go starannie, potem położył kawałek rogóżki, i cały drżący, poszedł do zbiegowiska stojącego przed dzwiami szopy.

— Gdzież jest ten pies Abraham? gniewnie zapytał Swinin.

— Jestem, excellencyo, odpowiedział biedny przewodnik, z trudnością przeciskając się przez zwarte szeregi żołnierzy.

— Pójdź–tu, psie! ryknął generał. Znasz–ty naczelników powstańców?

— Których naczelników, excellencyo?

— Jakto, których naczelników! Narbuta i Chuskę, o nich to mówię.

— Znam ich, excellencyo.

— Popatrz więc, czy są tu.

— Błędnym wzrokiem rzucił Abraham w około siebie i nic nie widział tylko pale, do których były przywiązane worki z białego płótna, krwią poplamione. W każdym z tych worków był jeden Polak skazany na rozstrzelanie, na chybił trafił. Dzięki temu nowemu pomysłowi, każdy powstaniec, nim zakończył życie, parę kulek wpierw musiał otrzymać. Była to iście mongolska zabawa.

Wykręcanie się zaś nieszczęśliwych, związanych w workach bardzo *zabawiało* katów.

Abraham był już nieraz świadkiem podobnych egzekucyi, nie zrobiło to więc na nim najmniejszego wrażenia; dziwną tylko wydawała mu się twarzz excellencyi, na której, pomimo powściągania się, zwierzęcą radość dostrzegał.

— Pokażcie mu głowy, rozkazał Swinin.

Dwóch kozaków zbliżyło się do pierwszego worka, rozwiązali go, i odkryli twarz skazanego na śmierć.

Był to młody chłopiec w piętnastym roku o pięknej i bladej twarzy, na której śmierć już wyryła swoje piętno.

— Pić mi się chce! rzekł słabym głosem.

— Nie znam go, odpowiedział Abraham.

— Pić mi się chce! powtórzył ranny.

— Zawiąż worek; napije się własnej krwi, ryknął Swinin. Popatrzmy dalej.

— Pięć czy sześć worków, jeden za drugim, w ten sposób otwarto.

A za każdym żyd wstrząsał głową i powtarzał:

— To nie jest on.

— A więc wymknęli się obadwa? wrzeszczał Swinin.

Naraz Abraham krzyknął przeraźliwie.

W worku, skazanego na śmierć, poznał swego syna Rubena.

Swinin słysząc ten okrzyk, sądził iż ma w swojej mocy Narbuta lub Chuskę.

— Który z nich? z dzikim zapytał uśmiechem.

Lecz żyd nie słyszał go. Z żywością i siłą jakich trudno było po nim spodziewać się, rozdarł worek i starał się z niego wydobyć skazańca.

— Cóż tam robisz do licha? zapytał generał.

— Excellencyo, to mój syn, mój Ruben, którego przyobiecałeś mi pan uwolnić; to on excellencyo, on....

— Kto on? Twój syn pomiędzy powstańcami, stary zdrajco? Pójdźmy dalej, niech sprawiedliwości zadosyć się stanie.

— Excellencyo, wszak mi pan przyrzekłeś syna, pod warunkiem jeźli ci wydam buntowników; dwa razy już ich wydałem.

— Gdzież więc są, bałwanie, psie jakiś? Przypatrz się następnemu albo ja cię.....

I uniesiony złością, smagnął Abrahama nahajką po głowie.

Rzemień znowu świsnął w powietrzu, nową bruzdę w obrzydliwej i nabrzmiałej twarzy wyżłobił, i krew zalała oczy żydowi.

Lecz on nic nie widział, nic nie słyszał i nie czuł, z wściekłością odepchnął kozaków i głowę syna przycisnął do swojej piersi.

— Jakim przypadkiem dostałeś się pomiędzy powstańców? zapytał, przecinając nożem jego więzy.

— Ojcze, Narbut mnie uwolnił.

— Och, biada mi! zdradziłem twego dobroczyńcę, biada mi!

— Bić tego żyda, bić go aż na śmierć! ryknął Swinin.

Dwóch żołdaków rzuciło się na Abrahama i powaliło go na ziemię. Szamocąc się z nimi, kąsał ich i drapał paznokciami po twarzach; podobnym był do dzikiej bestyi, broniącej przed strzelcami swoje młode.

— Hi! hi! hi! śmiał się generał Mitwed z tej walki z buldogami i wołał: hardy żyd! brawo kozacy!

Ruben jęczał boleśnie i szamotał się, by zerwać pęta i pójść ojcu na pomoc.

Żołdactwo przyklaskiwało, sam nawet Swinin z zajęciem przypatrywał się tej zajadłej walce, kiedy naraz jeden z moskali urywając kieszeń Abrahamowego chałata, rozsypał na śnieg garść złotej monety.

Kilkunastu widzów poskoczyło podnieść pieniądze i w jednej chwili, pojedynek zamienił się na formalną bójkę pomiędzy łupieżcami.

Abraham puszczony przez jednego z przeciwników, korzystał ze sposobności i porwał drugiego za brodę, ściskając go ostremi jak szpony poznokciami za gardło.

Ruben nie przestawał szamotać się z całą wściekłością; sznury któremi był związany pokaleczyły mu ręce i krew z nich płynęła; w końcu, z ostatniem wysileniem rozpaczy, zerwał wprawdzie krępujące go więzy, lecz padł na ziemię, uwikłany w worku.

Wtedy próbował zaczołgać się do swego ojca, szamoczącego się jeszcze z wrogiem.

Na dany znak przez Swinina, jeden z żołnierzy ująwszy za lufę swego karabina, straszny mu cios zadał kolbą.

Ruben miał tyle jeszcze siły, że uniósł strzaskaną głowę i z jękiem bolesnym wyciągnął ramiona ku swemu ojcu.

— Abrahamie, krzyknął Swinin, weź swego syna, oddaję ci go!

Żyd puścił kozaka którego dusił, i z rykiem dzikiej bestyi, skoczył do moskala w chwili, gdy ten przygotowywał się dobić swoją ofiarę.

Grenadyer nie zdołał uniknąć napadu i padł na wznak z przeszytem sercem, nożem nieszczęśliwego ojca.

Potem, z jękiem rozdzierającym serce, rzucił się Abraham na martwe już zwłoki swego syna.

Musiano użyć gwałtu ażeby go oderwać i przywiązać do słupa, przy którym za podwójne morderstwo, kazał mu Swinin dwadzieścia nahajek wyliczyć.

Kozacy chcieli go zabić; generał sprzeciwiał się temu, gdyż jeszcze potrzebował przewodnika.

Całe ciało żyda było jedną raną; nie skarżył się jednakże.

Po tym niespodziewanym wypadku, zaczęto robić przygotowania do egzekucyi.

Po jej spełnieniu, Swinin rozkazał przeciąć sznury któremi ofiary były przywiązane do słupów.

— A teraz, rzekł, z szyderczym śmiechem, możesz wziąść swego syna, oddaję ci go, wolnego od służby, lecz zatrzymuję twoje sanie, jako zakład twojej wierności.

— Moją powinnością jest być wiernym cesarzowi naszemu ojcu i waszej excellencyi, wyszeptał Abraham kłaniając się nizko, i spodziewam się, że wasza szlachetność nie zechciałaby mnie zrujnować do szczętu.

Swinin trąciwszy łokciem swego kolegę Mitweda, rzekł półgłosem:

— Wszak mówiłem panu iż za złoto . . . .

— Ja myślę przeciwnie, iż zamierza nas zdradzić, przerwał Mitwed.

— No to zobaczymy, odpowiedział gruby generał, rozkazałem mieć go na baczności, bez zwrócenia jego uwagi.

I obróciwszy się do żyda.

— Zkąd wziąłeś to złoto, które znaleziono w twoich kieszeniach? zapytał.

— Z mojego handlu, excellencyo.

— Dobrze! każę ci je zwrócić jeżeli będziesz mi wiernym. Twój syn zdradził cesarza, sprawiedliwość wymagała aby był ukarany, zrób z jego ciałem co ci się podoba,

— Niech wasza excellencya przebaczy mi mój opór przeciw jego sprawiedliwości, rzekł żyd padając do nóg generałowi.

— Przebaczam ci tą razą, odpowiedział wspaniałomyślny moskal, odchodząc do szopy, którą raczył zająć dla siebie na mieszkanie.

— Całą noc przepędził Abraham na modlitwie i płaczu przy zwłokach swojego syna, a nad ranem pogrzebał go własnemi rękami, bez pomocy któregokolwiek z moskali. Śmiał się generał do rozpuku kiedy mu o tem jeden z oficerów doniósł i nazwał żyda *dziwakiem*.

I w istocie dziwny to był żyd, nie dlatego iż niechciał morderców mieć świadkami swojej boleści, ale że umarłemu szeptał do ucha tajemniczą i straszną przysięgę.

Nazajutrz, gdy trębacze zatrąbili do pochodu, przewodnik po raz ostatni padł twarzą na śnieg co przykrywał zwłoki tego, którego tak ukochał, potem powstał pokorny i bojaźliwy i jak zwykle, poszedł po rozkazy do generała komendanta piekielnej kolumny.

— Do Miechowa, rzekł Swinin, a znasz ty drogę?

— Znam, excellencyo.

— A więc naprzód?

I pomaszerowali.



XX.

Rochebrun i Dyktator.

igdy jeszcze Abraham, jako przewodnik, nie był tak gorliwym; zawsze w przedniej straży, obok Swinina idąc, jak pies był mu wiernym; bez wahania wskazywał najlepsze drogi, któremi kawalerya i artylerya, bez żadnych trudności iść mogły. Nie zaniedbał również uprzedzić generała jeżeli w sąsiedztwie znajdowała się wioska lub bogaty folwark, który kozacy z korzyścią złupić mogli.

Widocznie śmierć Rubena była dobrą nauczką dla tego żyda i wyrobiła w nim ten szczególniejszy charakter.

Sam tylko Szary-Niedźwiedź nie dowierzał mu, wszystko znajdował podejrzanem i przez zęby mruczał:

— Ten psi syn zdradzi nas!

— Ba! mówił Swinin, żartując z podejrzeń swego kolegi, trzymam go dobrze i jestem pewny, że mi się nie wymknie.

— Nie przyszłoby mu to bardzo trudno gdyby chciał, ponieważ jest zupełnie na wolnej stopie.

— Prawda, że jest zupełnie swobodny, lecz pilnuję jego sań.

— Czy tych, które ta wychudła szkapa ciągnie?

— Tak, tych samych, mój drogi; w nich bowiem znajduje się cały jego majątek, i prędzejby żyd pozwolił porąbać się w kawałki niż je zostawić.

— Ha! zobaczymy to na przyszłym etapie.

— Już piąty raz pan mi to powtarzasz, a jednak nie sprawdziło się pańskie podejrzenie.

I rzeczywiście. Abraham za nic w świecie nie opuściłby teraz piekielnej kolumny; nie dla złota pozostawał z mordercami swego syna, ponieważ był pewny, iż jeżeli Swinin zechce zabrać mu sanie, to zawsze powód do tego wynajdzie.

Jeżeli pozostawał z nimi, to tylko dla strasznej zemsty, którą przygotowywał.

Na drugim etapie, jeden z żydów z jego bandy musiał pozostać w tyle ze swemi saniami, ponieważ jego koń zgubił podkowę; pomimo najszczerszych chęci, nie mógł już dogonić swoich towarzyszy na następnym etapie.

Po dłuższym odpoczynku, kolumna ruszyła w pochód, nie troszcząc się wcale o marudera.

Ten biedny opuszczony chłopiec imieniem Eliasz, był krewnym Rubena i bratem Noemi.

Obawiając się aby go nie obrabowano, powierzył co miał kosztowniejszego, swoim współwyznawcom.

Zostawszy sam jeden w pustem polu, wyprzągł konia, wsiadł na niego i szybko dobiegłszy gór, zapuścił się w lasy.

Dążył także do Miechowa, lecz daleko krótszą drogą.

To miasto, ważne nie tyle z zamożności mieszkańców ile z położenia swego, miało silny garnizon, dowodzony przez pułkownika księcia Bagrationa i majora Niepolina, komendanta straży pogranicznej.

W tym zaś czasie, kiedy z jednej strony, Langiewicz, Narbut i Chusko zamierzali wziąść je niespodzianie w swoje posiadanie, a z drugiej, Mitwed i Swinin nadciągali ze swemi kolumnami aby w niem zadać cios stanowczy małej armii narodowej, oddział z pięciuset Krakusów, pod dowództwem swego organizatora, pułkownika Rochebrun (Roszbrun) Francuza, straszny szturm do miasta przypuścił.

Gdyby jeden z wieśniaków powodowany chciwością, nie był uprzedził komendanta garnizonu o zbliżaniu się żuawów, tak się ów oddział Krakusów nazywał, moskale niespodzianie napadnięci, ani jednej godziny nie zdołaliby się opierać; lecz już było zapisane że Polska w 1863, jak w 1830, i jak w czasie pierwszego rozbioru, miała paść ofiarą zdrady.

Często zbrodnia jednego podłego człowieka, więcej wpływa na byt i całą przyszłość narodu aniżeli bohaterstwo tysięcy męczenników.

Biada temu co popełnia taką zbrodnię! wieczną hańbą okrywa swoje imię, bo jest mordercą narodu.

*

Moskale wątpili w zwycięztwo, w uczciwej walce nie mieli odwagi stanąć pierś przeciw piersi, i dlatego za każdą razą wzywali do pomocy sztyletu i noża. Uderzona niem Polska zdradziecko, upadła; trzy razy została w ten sposób powalona na ziemię, ale nigdy zwyciężona.

Historya to powiada na przekorę rzucanym potwarzom.

*
* *

W tym samym czasie, kiedy po zamordowaniu więźniów i zabiciu Rubena, przygotowywał się Swinin do pochodu o godzinie szóstej rano, pięciuset żuawów i pięćdziesięciu ułanów polskich, pod dowództwem Francuza, Henryka Rochebrun (Roszbrun), exsierżanta 65 liniowego pułku francuzkiego, zaatakowało przednie posterunki moskiewskie, podwójne i silnie oszańcowane, wskutek ostrzeżenia danego przez zdrajcę.

Jednakże, pomimo tych ostrożności i liczebnej siły, moskale wyparci ze swoich szańców, szukali ocalenia w ucieczce.

Schronili się do niewielkiego kościoła na przedmieściu, i w nim zatarasowali się.

Roztropność radziła powstańcom odwrót, lecz nie słuchali jej, tylko swojego męztwa.

Z Francuzem na czele, widziani zdaleka, w niebieskich bluzach i z białym krzyżem wyszytym na piersiach, spieszyli do drzwi kościelnych, aby je uderzeniem siekiery wywalić.

Z okien grenadyerzy strzelili do nich na odległość lufy karabinowej.

Kulka uderzyła Rochebruna w nogę i lekko zraniła.

Otwór zkąd strzał padł był zanadto wysoko, aby go mógł człowiek dosięgnąć rękami.

— Janie, rzekł Francuz do jednego z żuawów olbrzymiego wzrostu, pomóż mi.

Olbrzym zgiął kolano przy murze, a kiedy oficer stał mu już na ramionach, podniósł się.

Wtedy Rochebrun[1] spotkał się twarzą w twarz z grenadyerami, którzy na widok niespodziewanie zjawiającego się nieprzyjaciela, cofnęli się strwożeni.

Lecz już było zapóźno.

Pułkownik miał tylko jeden rewołwer; z przerażającą zimną krwią, *strzelił pięć razy, raz po razu, a każdy strzał zabił człowieka.*

— Podaj mi drugi rewolwer! rzekł do żuawa.

Ale w tej samej chwili, kiedy Jan podawał mu swoją broń, drzwi zostały wyważone, pękły z łoskotem i Polacy cisnęli się do kościoła.

Wyjąwszy dziesięciu czy dwunastu grenadyerów, co zdołali uciec, reszta została wycięta.

Było to dziełem jednej chwili, i zwycięzcy żuawi puścili się w pogoń za uciekającymi.

Ci nieustraszeni rycerze, godni swego naczelnika, byli kwiatem studentów z uniwersytetu krakowskiego.

---

1 Streszczenie z pisma francuzkiego M o n i t e u r.

Pod dowództwem porucznika Tomkowicza, doszli aż do głównego rynku, zmiatając przed sobą kozaków i ułanów.

Lecz tam, trzeba się było zatrzymać.

Na tej samej ulicy wychodzącej z rynku, książę Bagration kazał wznieść silną barykadę, po za którą 7-y batalion strzelców w szyku bojowym, oczekiwał tej garstki walecznych, gotowy silnym przyjąć ją ogniem.

Bramy, zaułki i okna domostw były zamknięte; a klasztor i koszary wznosiły się po nad barykadą i ulicą, obstawioną tyralierami moskiewskimi.

Z rozkazu komendanta miasta, wszyscy Polacy byli obowiązani zamknąć się w swoich domach, pod karą śmierci.

Obawiano się, aby nie szli na pomoc swoim braciom. Ze złamanem z boleści sercem, byli posłuszni.

Natychmiast rozpoczął się ogień karabinowy.

Pod tym gradem kul, którego nie mogli uniknąć, żuawi polscy, zamiast wahać się i słabnąć na duchu, ze strasznym okrzykiem rzucili się na barykadę, próbując popodcinać słupy.

Moskale o dziesięć kroków stojąc za nią, w dobrej pozycyi, podwoili wystrzały; trupy padały jedne na drugie, krew zbroczyła belki, a żaden ze szturmujących, nie pomyślał o odwrocie.

Zamknięci w swoich domach patryoci, słysząc okrzyki żuawów, walczących do upadłego przy barykadzie, modlili się i płakali; Rosyanie zaś, milczący

i nieczuli jak maryonetki żelazne, nabijali broń i strzelali do powstańców, z okien wychodzących na rynek.

Żaden Polak nie byłby wyszedł żywy, gdyby nie naczelnik, który przybywszy na to miejsce nie bitwy, lecz rzezi, trochę zapóźno wskutek otrzymanej rany, osądził iż pozycya bez armat jest trudną do wzięcia, i nakazał odwrót.

Żuawi usłyszawszy trąbkę, cofnęli się unosząc rannych, zmniejszeni do małej garstki bo zaledwie pięćdziesięciu ludzi wynoszącej, którą tysiąc pięćset moskali nie ośmieliło się nawet ścigać.

Dwa powody ich wstrzymywały: lękali się zwyciężonych bohaterów, i pragnęli uroczyście obchodzić zwycięztwo, okupione zdradą.

Tym, którzy nie dają wiary barbarzyństwom spełnianym przez moskali w tej rozpaczliwej walce, przytoczymy wyciąg z raportu urzędowego naczelnika powiatu, do gubernatora wojennego radomskiego, generała Uzakowa.

„W pół godziny po odwrocie powstańców, żołnierze zaczęli strzelać do okien domów; potem, rozbijając bramy napadali mieszkania obywateli pod pozorem szukania powstańców, albo twierdząc, iż z tego domu padł do nich strzał, żądali pieniędzy, wyrzucali spokojnych mieszkańców na ulicę, bili ich bez litości, a obrabowawszy z kosztowności, tłukli i rozbijali meble.

„*W przywracaniu porządku*, wielu z nich dostawszy się do szynków lub piwnic napełnionych trunkami, piło je z chciwością. W tym stanie, nie słuchając

rozkazów swoich oficerów, dopuszczali się najhaniebniejszych wybryków; w wielu miejscach podłożyli ogień pod domy, i korzystając z trwogi, zatrzymywali bezbronnych na ulicy przechodniów, obdzierali ich, i mordowali w sposób okrutny.

,,W tem zamieszaniu, rozpoczęli swoją ohydną robotę od burmistrza, aptekarza, kilku urzędników i paru niewiast, zamordowawszy ich z rodzinami; potem, zmusili mieszkańców do opuszczenia miasta, pod które zaraz ogień podłożyli. Dzisiaj jest ono tylko jedną kupą gruzów, wśród których stoją samotne: kościół farny i klasztor."

Dalsze opowiadanie tego urzędowego raportu, jest zbyteczne; wiadomą przecież jest rzeczą, że w każdem mieście lub wiosce, gdzie moskale odnieśli zwycięztwo, czy ich generałowie byli ludzcy lub nikczemni, zawsze jedne i te same były następstwa bitwy: rabunek, rzeź, mordowanie więźniów, wypędzanie mieszkańców, pożar i świętokradztwo,

Nawet dzikie hordy Atylli i Dżengishana popchnięte do Europy i Azyi gniewem Bożym, nie popełniały tylu i tak strasznych okrucieństw, co cywilizowani Rosyanie, w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia, a przynajmniej, ci barbarzyńcy nie oskarżali swoje ofiary o zbrodnie, które sami popełniali.

*

* *

Eliasz przyszedłszy na wierzchołek góry Uniejowskiej, spostrzegł pożar; kwitnące miasto było ogarnięte morzem płomieni.

Przez pola szła garstka uzbrojonych ludzi, trochę dalej za nimi, kilkaset niewiast z dziećmi. Dążyli w góry.

Z drugiej strony, drogą do Częstochowy oddalała się armia moskiewska a za nią ciągnął się długi sznur wozów, naładowanych *godziwie zabranym łupem.*

Chwilę popatrzał Izraelita na tę smutną scenę i zdawał się namyślać co mu czynić wypada; potem, szybko zerwał się z miejsca i biegł wprost na płaszczyznę, do żuawów.

Rochebrun, ranny, jechał na koniu, w tyle swego oddziału; do niego szedł Eliasz dając znaki kapeluszem, zawieszonym na kiju.

Naczelnik spostrzegłszy tego emisaryusza, zdziwiony, zatrzymał konia.

— Panie, nadbiegając zawołał posłaniec, czy Langiewicz już przyszedł?

— Nie, odpowiedział Francuz; nawet nie wiem czy jest w drodze.

— Idzie z Chuską i z Narbutem, i nie powinnienby być ztąd daleko; Swinin go ściga nie znając jego sił, lecz dopiero za kilka godzin może tu nadejść.

— Kto ci to wszystko powiedział?

— Mój wuj Abraham, który mnie wysłał z tem zawiadomieniem do generała armii narodowej. Moskale będą szli przez wąwóz w lesie Brzozowym w którym dwustu walecznych może całą armię powstrzymać; daj mi pan konia, żebym mógł przybyć na czas.

— Dobrze, lecz powiedz mi wpierw, kto ty jesteś?

— Jestem Eliasz, siostrzeniec Abrahama i brat Noemi.

— A także, bez wątpienia, rzekł jeden z żuawów, jesteś synem Jeremiasza i żonaty.

— Nie jestem żonaty, a mój ojciec nazywa się Aaron.

— Żuawi rozśmiali się słysząc tę odpowiedź.

— Panie, zwracając się do dowódzcy, rzekł niezrażony żartami Eliasz, jeżeli chcesz aby moskale zostali pobici, każ mi dać konia, bo jestem zmęczony drogą którą zrobiłem, w przeciwnym razie przybędę zapóźno.

— Co myślisz o tem Marceli? zapytał naczelnik swego towarzysza.

— Że ten dziwak ze swoim rodowodem ze Starego Testamentu, jest filutem, i ma chęć ukraść nam konia.

— Sprzeda nas wrogom, dodał drugi, spluwając ze wzgardą na ziemię; gdyby Langiewicz rzeczywiście był w tej okolicy, tobyśmy o tem wiedzieli.

— A więc naprzód! rzekł Rochebrun, dając koniowi ostrogę.

– Niech Bóg skarze mnie ciężko jak Dathana i Abirona jeźli chcę was oszukać! wykrzyknął żyd z rozpaczą, padając na kolana, niech mnie ziemia pochłonie i niech Izrael odepchnie mnie od siebie, jeśli nie mówię prawdy!

I rwał włosy z rozpaczy.

Naczelnik znowu wstrzymał konia.

— Bracie, nie słuchaj go, rzekł ułan; jest to jeden z tych zdrajców co nas sprzedali.

— Panie, panie, konia! prędko konia! wy odniesiecie zwycięztwo a my będziemy pomszczeni; ci zbóje zamordowali mi siostrę, zrabowali mój dom, torturowali mego wuja, uśmiercili mego kuzyna, mordują waszych braci, palą . . . .

— Jak daleko ztąd może być Langiewicz?

— Nie wiem, ale nie powinienby być bardzo daleko; myślałem że go zastanę tutaj; idzie drogą do Ojcowa i z pewnością minie miejsce gdzie powinien zrobić zasadzkę; nie ma ani chwili czasu do stracenia.

Widocznie na twarzy żyda malowała się szczerość, bo Rochebrun, pomimo ostrzeżeń swego towarzysza ułana, zdecydował się w końcu uwzględnić jego prośbę.

— Niech Bóg Izraela wynagrodzi to panu! wykrzyknął Eliasz, i zaraz ze zręcznością kota wskoczywszy na konia, złapał się grzywy, i jak wicher popędził.

Dowódzca popatrzał chwilę za oddalającym się, potem, nagłem jakiemś natchnieniem powodowany, zakomenderował zmianę frontu, i mały oddział zostawiając ścieżkę którą szedł na boku, poszedł drogą do Ojcowa.

Pochylony naprzód i trzymający się grzywy żyd, jechał wciąż galopem.

Ujechawszy trzy wiorsty od Miechowa, spostrzegł konnicę; sądząc że to jest przednia straż Langiewicza, dawał znaki czapką aby się wstrzymali; lecz naraz sam się zatrzymał przerażony; ci kawalerzyści byli

kozakami, nadjeżdżającymi z gór, kłusem i w nieporządku.

Gdzież więc byłby teraz Langiewicz? Którą drogę obrał Swinin? Zkąd wzięli się kozacy na przodzie armii powstańczej? Tak myśląc Eliasz nie mógł zrozumieć co to wszystko znaczy i własnym oczom nie wierzył.

Tymczasem moskale zbliżali się coraz więcej, i tylko mała odległość od nich go dzieliła. Przypatrując się uważnie, rozpoznawał żołnierzy armii regularnej zmieszanych z dzikimi kacapami, uzbrojonymi w długie noże i siekiery, a na ich czele oficera którego znał w Warszawie, generała Błagurowa.

Żyd spojrzał w lewo i w prawo, szukając jakiej drożyny, którą mógłby uciec; lecz brzegi gościńca z obydwóch stron były prawie prostopadłe, tak że niepodobna było pomyśleć o wdzieraniu się na nie; zawrócić także nie chciał, więc czekał.

Położenie jego było krytyczne, ponieważ ze wszystkich kolumn piekielnych, hajdamacy mieli reputacyę najokrutniejszych, a ich naczelnik od czasu porażki w której tak niespodzanie całą swoją zdobycz utracił, był w wściekłym humorze.

Robił wrażenie starego dzika rannego i ściganego.

— Hola! zawołał, przechodząc obok Izraelity, stojącego w pokornej postawie na krawędzi drogi, zbliż się, psi synu!

Eliasz przyzwyczajony już do tych wdzięcznych nawoływań, zeskoczył na ziemię i szedł do generała,

trzymając w jednej ręce kapelusz, a drugą za uzdeczkę konia.

Widocznie Brutikow musiał znaleźć jego postawę dosyć jeszcze hardą, bo powitał go nahajką, wyrwał mu kapelusz z ręki i odrzucił daleko, a potem po raz drugi, smagnął przez plecy to *nikczemne błoto*.

— Jak daleko jesteśmy od Miechowa? zapytał generał.

— Mniej więcej pięć wiorst, excellencyo.

— Książe Bagration jest tam jeszcze?

— Nie ma go, excellencyo, poszedł do Częstochowy.

— Do Częstochowy! rzekł z gniewem Błagurow: i dlaczego?

— Dlatego że spalił Miechów.

— Co to za odpowiedź, nikczemny żydzie! ryknął generał, uderzając go w głowę strzemieniem; dlaczego spalił miasto?

— Ponieważ buntownicy chcieli je zająć.

— A więc są jeszcze buntownicy po tej stronie? wykrzyknął Błagurow, blednąc widocznie.

— Banda, która przybyła z Krakowa, teraz, cofa się do Brzeska.

— A ty, gdzie idziesz?

— Jego excellencya, książe Bagration, posyła mnie uprzedzić generała Swinina, aby pospieszył do....

— Tak, tak, zrabować Częstochowę, nieprawdaż? a my . . . .

— Excellencyo, przerwał Brutikow, pomiędzy nami a Swininem jest armia Langiewicza, a ten pies, może być szpiegiem buntowników.

To podejrzenie wywarło swój skutek.

— Ach! potrójny zdrajco! nie wymkniesz mi się! wrzasnął generał, a chociaż nie myślał tak jak siostrzeniec, był jednakże rad że znalazł powód do opóźnienia marszu swego współzawodnika; przyznaj się, że jedziesz do armii buntowników.

— Panie, przysięgam . . . .

— Milcz, przeklęty, i chodź z nami do Miechowa; tam przekonamy się czyś nie skłamał, a na twego Mojżesza! jeżeliś mnie chciał oszukać, upiekę cię aż do kości, owiniętego słomą.

— Panie, powiedziałem prawdę, i otrzymałem rozkaz spieszyć się.

— Ach! ty otrzymałeś rozkaz być mi nie posłusznym, psie jakiś! Hola! Piotrze Iwanowiczu, przywiąż mi tego zuchwalca do swego siodła; a jeżeliby nie chciał iść, zrozumiałeś? dodał ze znaczącym gestem.

— Zrozumiałem, excellencyo, rzekł kozak, i w mgnieniu oka omotał silnie swojem *lasso* rękę nieszczęśliwego Eliasza.

— A teraz, idźmy dalej swoją drogą, rzekł Błagurow, uradowany z zatrzymania posłańca do Swinina, i z przywłaszczenia sobie pięknego jego konia, którego sprzedaż, może mu po części powetować poniesioną stratę.

— Excellencyo, gdybyśmy tak trochę kazali biedz żydowi kłusem, dla rozgrzania go, zauważył złośliwie Brutikow.

— Prawda, masz racyę, rzekł generał, spróbujemy w jednym czasie konia i jego jeźdźca.

I kolumna ruszyła kłusem.

Zawieszony za lewą rękę do kuli u siodła swojego stróża, Eliasz próbował kilka minut biedz równie szybko z jego koniem.

Kozacy śmieli się z całych sił.

— To zając, mówili, patrzcie, jak dobrze biegnie.

I przechylając się z kulbak, bili go po nogach nahajkami.

Zdyszany, zaledwie mogąc oddychać, z ręką pokaleczoną od sznura, Eliasz biegł ciągle; lecz wkrótce siły go zaczęły opuszczać i pot wystąpił na czoło.

— Galopem! zakomenderował Błagurow, któremu przyjemność w torturowaniu człowieka dobry humor wróciła.

Nieszczęśliwy żyd krzyknął przeraźliwie; nogi mu naraz ustały i przy oklaskach, śmiechu i wrzasku tej dzikiej hordy, z jakie sto kroków był wleczony po śniegu, podczas kiedy kozak, zawieszonego u kuli siodła, z wybitą ze stawu ręką, z podwójną siłą okładał nahajką.

Ten żart okrutny byłby się ciągnął prawdopodobnie dopóty, dopóki koń zniecierpliwiony niewygodnym dla siebie ciężarem, nie byłby go rozerwał w kawałki; szczęściem dla żyda, gwałtownym ruchem

zerwał popręgi i jego pan wyrzucony z kulbaki, padł jak długi na ziemię.

Wściekły kozak ze spadnięcia, które przypisywał Padlecowi, wytłukszy doskonale krwią zbroczonego i bez przytomności rozciągniętego na śniegu Eliasza, przygotowywał się przywiązać go powtórnie po poprawieniu kulbaki, kiedy naraz krzyk trwogi usłyszał:

— Buntownicy!

I nie wiedząc nawet z jakim nieprzyjacielem mają do czynienia, Hajdamacy, kozacy, ich porucznik i ich generał, sądząc że znowu zostali zaskoczeni przez Chuskę i Narbuta, rozsypali się po lesie po obydwóch stronach drogi.

Mały oddział Rochebruna był jeszcze zanadto oddalony, aby mógł posłać kulki za uciekającymi.

Żuawi podnieśli leżącego na drodze Eliasza, sądząc go już nieżywym, gdy tymczasem był tylko w omdleniu; po natarciu śniegiem skroni i twarzy, przyszedł do siebie, otworzył oczy i rozpoznał swoich wybawców.

— Prędko! prędko! Langiewicz, wyszeptał.

— No i cóż! czy jeszcze myślisz że jest zdrajcą? smutnym głosem zapytał Rochebrun Marcelego.

— Przeciwnie, jest to zacny człowiek, odpowiedział Francuz. Każ mi dać konia, a sam go zaprowadzę do naszych braci.

— Nie, rzekł pułkownik, powierzam ci komendę nad żuawami, ja zaś z ułanami pojadę; będzie to karą dla ciebie przybyć po skończonej bitwie.

— A on?

— Ma polecenie do spełnienia; sam powinien dać instrukcye; jeżeli nie jest za bardzo osłabionym, posadźcie go przy mnie.

— Jedźmy! rzekł Eliasz, usiłując podnieść się.

W chwilę potem, ułani jechali galopem, a Marceli obróciwszy się do swoich żuawów, silnym głosem przemówił:

— Bracia, jeżeli nie przyspieszymy kroku, przybędziemy po bitwie, pułkownik to powiedział; chcecie iść zwykłym czy podwójnym krokiem?

Stoczyli walkę tego dnia, wielu było rannych i daleką jeszcze mieli drogę przed sobą; lecz wszyscy jednogłośnie odpowiedzieli:

— Biegnijmy, i niech Bóg ma Polskę w swojej opiece!

Po zrobieniu czterech wiorst biegiem, usłyszeli naraz, w oddali, niewyraźne strzały artyleryi i silny ogień ręcznej broni.

— Prędzej! prędzej! krzyknęło wiele głosów.

I mały oddział biegł chyżo i w milczeniu.

Huk armat ustał, wystrzały karabinowe stały się rzadsze, lecz wyraźniejsze, i ucho doskonale mogło rozróżnić pomieszaną wrzawę.

Żuawi wciąż naprzód biegli.

Naraz, jeden z tych co byli najwięcej na przodzie obrócił się, i wywijając swoim karabinem, zawołał:

— Baczność, kozacy!

— Wszyscy do lasu, i przygotować broń! zakomenderował Marceli.

Szwadron moskiewski, w nieładzie, ułani, artylerzyści i kozacy pomieszani, wielu bez broni, poprzedzani grubym generałem, z gołą głową, przerażonym i trzymającym się grzywy końskiej, nadjeżdżali co koń wyskoczy, ścigani przez garstkę ułanów polskich.

— Ognia! wrzasnął Marceli, kiedy już byli na pół strzału karabinowego.

Siedmiu czy ośmiu jeźdźców spadło inni przelecieli jak huragan, potrącając jedni drugich w pospiechu.

I nim żuawi zdążyli nabić broń powtórnie, znikli jak kamfora, jak również i ułani dążący za nimi, z okiem zapłonionem, z lancą do ataku, rzucając to upajające słowo:

— Zwycięztwo! zwycięztwo!

Pomiędzy wrogami powalonymi wystrzałami żuawów, było dwóch oficerów, z których jeden, nie był rannym, tylko zrzuconym z konia.

Był to mężczyzna od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, o twarzy więcej dzikiej niż okrutnej i noszący mundur kapitana kozaków; nie prosił o życie, żuawi mu je darowali; miał minę zdziwionego, a kiedy Marceli, któremu oddawał swoje pistolety i szablę, powiedział:

— Kapitanie, zatrzymaj przy sobie swoją broń, my tylko od ciebie żądamy słowa, że nie będziesz w tej wojnie walczył przeciw nam.

Wzruszył ramionami i rzekł:

— Jeżeli mnie nie zabijecie, pilnujcie mnie dobrze, bo przysięgam wam, iż za pierwszą sposobnością zemszczę się.

— Mordując tych, którzy panu darowali życie? zapytał Francuz.

— Tak, odpowiedział kapitan.

— I z pewnością tak zrobi jak mówi, odezwał się osiwiały już Polak; jest to dziecię stepu i nigdy nie zapomni pomścić się za otrzymane dobrodziejstwo jak i za zniewagę; trzeba go rozstrzelać.

— Związać mu ręce, odpowiedział Marceli, generał zadecyduje.

Kozak pozwolił skrępować się z najobojętniejszą miną w świecie, i żuawi, złączywszy się z ułanami wracającymi z pościgu, podążyli do lasu, w którym była bitwa.

Śnieg był pokryty rannymi i poległymi, których powstańcy zbierali, jednych aby pielęgnować, drugich aby pogrzebać w przygotowanym grobie, na krawędzi drogi.

Na środku pola bitwy, w czworoboku z ustawionych moskiewskich wozów naładowanych łupami, zamknięto tymczasowo około sześciuset więźniów, grenadyerów i kozaków po większej części, których pięćdziesięciu kosynierów i kilkunastu strzelców pilnowało.

Ci zwyciężeni, sądząc iż z pewnością zostaną pomordowani, z milczącą rezygnacyą oczekiwali swojego losu, przynajmniej żołnierze, bo oficerowie, wyjąwszy dwóch czy trzech, z pewną niedbałością zasie-

dli w około ogniska i zapalili papierosy jakby na drwiny ze zwycięzców.

Niektórzy z nich z tak zimną krwią rozmawiali o strategii i działaniach wojskowych, jakby tychże rezultaty, żadnego nie miały związku z ich obecnem położeniem.

— Gdyby generał okrążył ten wąwóz, rzekł jeden, z połową a nawet z czwartą częścią swojej siły, byłby odniósł stanowcze zwycięztwo; artylerya stojąc w złej pozycyi była paraliżowana w działaniach i. . . .

— Daj pokój, mój drogi, odezwał się drugi, błąd był w tem, że zamiast rozwinąć kolumny w lesie i rozsypać je w tyralierkę, szedł ściśniętemi; mój wuj, pułkownik, opowiadał mi, iż pewnego dnia na Kaukazie. . . .

— A ja, panowie, przerwał inny, utrzymuję, że całego tego nieszczęścia przyczyną jest ślepe zaufanie Swinina do tego obmierzłego żyda, któremu jakby na szyderstwo, zamordował syna w jego własnych oczach. Ten żyd zemścił się, i mówiąc między nami, na honor, miał racyę; nie przeszkodziłoby mi to wcale oberznąć mu uszy z przyjemnością, lecz doprawdy, rozumiem go. Przepraszam, Mikołaju Aleksandrowiczu, nie miałbyś pan papierosa dla mnie?

— Jakto nie, Michale Fedorowiczu, mam paczkę wyśmienitego tytoniu maryland i siedm czy ośm książeczek bibułki Job: więcej niż prawdopodobnie będę mógł wypalić, przed zbliżającą się chyżo śmiercią.

— Tak, to prawdopodobne, mój drogi; jesteś pan siedmnastoletnim starcem a ja dziewiętnastole-

tnim, lecz cóż robić, „jesteśmy z ziemi gdzie najpiękniejsze rzeczy, mają najgorsze przeznaczenie”, jak mawiał nasz profesor francuzkiego, w korpusie Kadetów.

— Ba! panowie, za kwadrans nie będziemy więcej czuli ani głodu ani zimna, których wyznam szczerze, strasznie się lękam, rzekł junkier, zdmuchując popiół ze swego papierosa. Ach! otóż i nowi towarzysze przychodzą dzielić nasz los; nie jestto przypadkiem nasz generał?

— Gdzie?

— W tej grupie powstańców, która przechodzi z przodu sań.

— Eh! to nie jest generał, tylko kapitan kozaków, rzekł Mikołaj Aleksandrowicz. Któżby to mógł być taki?

— Zaraz się dowiemy; on także skończył swoją karyerę wojskową, odpowiedział Michał Fedorowicz, zwijając papierosa.

Zaledwie sto kroków od miejsca gdzie jeńcy byli zamknięci, Langiewicz ze swoim sztabem, Narbut, Chusko, Włodzimierz Kirpowski i kilku jeszcze innych naczelników, zasiadłszy w około ogniska, radzili co im czynić wypada, aby osiągnąć jak największe korzyści, z odniesionego zwycięztwa. Badali niektórych jeńców o siły wojsk moskiewskich w okolicy i o zamiary generałów.

Żyd, bohater tego dnia, ponieważ staremu Abrahamowi zawdzięczano odniesione zwycięztwo, był

przytomny tem badaniom i wyświecał kłamstwa niektórych jeńców.

Siedząc na pniu obok Włodzimierza Kirpowskiego, podtrzymywał na kolanach głowę pokaleczonego Eliasza i czekał z niecierpliwością chwili, w której wprowadzą przed zebranych naczelników Swinina, ten człowiek był jego zdobyczą, był celem osobistej jego zemsty.

Dwóch ludzi było na świecie którym poprzysiągł zemstę i dla niej, bez wahania oddałby wszystką krew swoją aż do ostatniej kropli, oddałby wszystko złoto aż do ostatniej sztuki, pomimo iż je więcej szacował niż życie; jednym z nich był kadet Nabielkow ten sam, który go tak okrutnie w Warszawie ogniem przypiekał i sprawca zabójstwa Noemi, drugim był Swinin, morderca Rubena. Za cenę zwycięztwa do którego przyczynił się, żądał od powstańców tych dwóch potworów, by ich torturować własnemi rękami.

Lekko rannego Nabielkowa zaraz w początkach walki, uniósł z bojowiska i położył na saniach jednego ze swoich współwyznańców, dla *pielęgnowania* go i ukrycia przed zwrokiem powstańców. Izraelita sam opatrzył i obandażował ranę moskiewskiego kadeta, aby mu nie umarł przed czasem i poszedł szukać *drugiego*.

Nie znalazłszy go, powrócił i usiadł obok Kirpowskiego, spodziewając się że Swinin nie zdołał uciec.

Włodzimierz nie wiedział że ten szpieg, którego ściskał rękę, jest tym samym, który dla uwolnienia

Rubena od wojska, prowadził moskali pod Wąchock i do Swiętego Krzyża, i był sprawcą śmierci jego synów.

Być może, iż ten szlachetny ojciec wiedząc o wszystkiem dokładnie, byłby mu przebaczył, kochał bowiem więcej ojczyznę niż swoich własnych synów i był wyznawcą tej pięknej religii, która mówi: *Płać dobrem za złe.*

Tego boskiego przykazania i miłości, nie znał Abraham, religia żydowska uczyła go inaczej: *Ząb za ząb, oko za oko.*

Kiedy pikiety doniosły o zbliżaniu się żuawów, prowadzących dwóch jeńców, oczy mu się zaiskrzyły, twarz dziko wykrzywiła, a pod skurczonemi do szatańskiego uśmiechu ustami, ukazały się białe i ostre zęby.

— Może to on, szepnął do ucha swego siostrzeńca.

Pomimo cierpień, uśmiechnął się Eliasz złowrogo.

Rochebrun i Marceli zbliżyli się, z postępującym za nimi jeńcem.

To nie był on; jednakże Abraham nie przestawał gderać.

Kapitan nie stracił na minie, pewnym był siebie.

— Pańskie nazwisko? zapytał Langiewicz.

— Nie odpowiadam zdrajcom i buntownikom, odrzekł.

— Nie jesteśmy ani zdrajcami ani buntownikami i pan zdajesz się zapominać, że możemy go kazać rozstrzelać.

Każcie, ja waszych dosyć kazałem rozstrzelać.

— Odmawiasz pan powiedzić kto jesteś?

— Odmawiam.

— A ja panu powiem, generale, rzekł Abraham, to Pillardow, podpalacz Atrady, morderca mieszkańców Piotrkowa, rabuś pałaców, i . . . .

— Prawda, poznajemy go, wykrzyknęli naraz Narbut i Chusko.

— A pan, panie Kirpowski, przypominasz go pan sobie?

— Tak, rzekł starzec.

— Przyznajesz się, kapitanie?

— Nie uważam za potrzebne odpierać zarzutów, jestem w istocie kapitanem Pillardow, w służbie Jego Cesarskiej Mości, waszego pana, przekonałem się i oświadczam, że ten pies żyd jest zdrajcą, służył nam za przewodnika aż dotąd i zdradził nas teraz by z wami zarobić więcej pieniędzy, że zbogacił się na rabunku waszych braci, że sprzedał waszą krew, że wy jesteście nędznikami godnymi jedni drugich, i że nie zadługo zostaniecie powieszeni, jak na to zasługujecie. Jesteście zadowoleni, teraz?

— Swojemi obelgami nie zdołasz nas dotknąć, gardzimy niemi, surowo odpowiedział Langiewicz; zastanów się pan, i jeżeli chcesz abyśmy zwrócili ci wolność, przysięgnij, że od dnia dzisiejszego przez rok cały, nie będziesz walczył z naszymi braćmi.

— Nic wam nie chcę być obowiązany, nic nie przysięgam; zamordujcie mnie, a szybko.

— Odprowadzić więźnia rzekł Langiewicz, i mieć go na oku.

Potem zwracając się do Abrahama:

— Bracie, dodał, umieść swego siostrzeńca na saniach przeznaczonych dla naszych rannych i miej o nim staranie, póki nie postanowimy o losie jeńców.

— Panie, nie zapomnij pan, że Pillardow jest nędznikiem i mordercą, rzekł żyd, podnosząc się, posłuszny rozkazowi.

Pozostawszy sami, dowódzcy polscy naradzali się.

Co do szeregowców żołnierzy, tych postanowili rozbroić i uwolnić, ponieważ niepodobnem było ich pilnować i żywić.

A zwracając im wolność, każden z członków sądu wojennego spodziewał się, że ci sami ludzie, uzbrojeni w najbliższem miasteczku, za cztery lub pięć dni, pójdą przeciw nim. Ale, żeby temu przeszkodzić, był tylko jeden sposób, rozstrzelać ich tak, jak moskale rozstrzeliwali powstańców popadłych w swoją moc.

Jednogłośnie zadecydowano, żeby ich uwolnić.

Pozostali oficerowie; chwilę zastanawiano się, czyby ich nie wypadało zatrzymać w obozie jako zakładników. Chusko i Cezar byli za tem; Langiewicz przeciwnie, proponował aby ich uwolnić pod tem warunkiem, że więcej nie wezmą udziału w wojnie; Włodzimierz był za bezwarunkowem uwolnieniem: znał wartość moskiewskiej przysięgi i w rycerskiej swojej szlachetności, uważał ją prawie, za pewne

krzywoprzysięstwo. Więcej gwałtowny Narbut, żądał aby pomiędzy nimi wybrano winniejszych i ukarano według praw wojennych.

— Wszak nie wszyscy są żołnierzami, zawołał, są pomiędzy nimi prawdziwi mordercy i tych, sprawiedliwość nam każe ukarać.

— Nie ma czasu ich badać, a moglibyśmy stracić niewinnych zamiast winowajców, odpowiedział Włodzimierz.

— Tak samo oszczędzałeś, mój ojcze, Swinina w Atradzie, rzekł Cezar; Grzegorz i Michał pierwsi padli ofiarą jego zdrady i wiarołomstwa.

— Mój synu, lepiej być ofiarą niż katem.

— Taka szlachetność jest szaleństwem, wykrzyknął Chusko, uniesiony gniewem; ona podnosi na duchu zwyciężonych naszych nieprzyjaciół, podaje im na nowo broń w rękę, zachęca do zdrady i uzuchwala do bezkarnej zbrodni, żądam śmierci Pillardowa i pięciu najwinniejszych jego wspólników.

Zdania były podzielone; jedni z członków rady popierali Chuskę, drudzy Kirpowskiego. Langiewicz poddał całą sprawą pod głossy; szlachetność zwyciężyła; pięć głosów przeciw czterem, domagało się bezwarunkowego uwolnienia moskali; czterech przeciw pięciu rozstrzelania Pillardowa na placu bitwy; potem siedmiu przeciw dwom, zwołania na niego sądu wojenngo nazajutrz.

W godzinę później, uwolnieni żołdacy wraz z oficerami, którzy przysięgli rok cały nie służyć w armii

moskiewskiej, dążyli do Kielc, gdy tymczasem tryumfujący Polacy szli do Słonowska wioski o pół wiorsty odległej od Miechowa, gdzie stanęli obozem, i zkąd generał rozesłał proklamacyę, która wielkie wrażenie zrobiła w całej Polsce:

Proklamacya brzmiała:

,,Towarzysze broni!

,,Dwie armie ośmieliły się zaatakować was trzy razy; moskale, według swego barbarzyńskiego zwyczaju, nim rozpoczęli te bitwy, spalili wpierw miasta i wioski, aby liczne rodziny ginęły w lasach i polach, od głodu i zimna.

,,Towarzysze broni!

,,Wasze męztwo zmusiło wroga do haniebnej ucieczki.

,,Atrada, Siedlewice, Bodzentyn, Suchedniów, Góra, Wąchock, Święty-Krzyż i Miechów, okryły was chwałą!

,,Nie ustawajcie w tej bohaterskiej walce; bo w niej jest wasza niepodległość, w niej wasza wolność!

,,Nie wymieniam wszystkich mężnych, którzy spełnili swój obowiązek, gdyż musiałbym was wszystkich wymienić, nie mogę jednakże nie wspomnieć o panach: Deodacie, Marcelu i Rochebrunie, *dzieciach tej szlachetnej Francyi, pod której sztandarami nasi ojcowie tyle razy walczyli;* przelali oni krew za naszą szlachetną sprawę, jak prawdziwi żołnierze francuzcy, to jest jak bohaterzy. Podaję ich do rozkazu dziennego.

„Polska wam wszystkim dziękuje; kraj, który ma podobne dzieci, musi być wolnym i potężnym.

„*W obozie w Słonowsku.*

„Generał *Langiewicz.*”

Nazajutrz o pierwszej, prawie jeden za drugim przyjechało dwóch gońców, jeden z Warszawy, od Komitetu narodowego przywiózł Langiewiczowi nominacyę na dyktatora, jako wynagrodzenie za usługi oddane ojczyźnie; drugi z wiadomością, że moskale spiesznie wynoszą się z Częstochowy i z wiosek okolicznych.

Około trzeciej po południu, mała armia stanąwszy na froncie swego obozu w szyku bojowym, uformowała jeden czworobok w środku którego, wzniesiono ołtarz.

Po przemówieniu kapelana, dyktator złożył przysięgę narodowi; potem naczelnicy, Narbut, Chusko, Rochebrun, Włodzimierz, Marceli, Cezar, adjutanci i chorążowie, zbliżali się jeden za drugim do stóp ołtarza, a kładąc rękę na Ewangielii, głośno mówili:

— Przysięgam wierność Polsce, przysięgam posłuszeństwo generałowi Langiewiczowi, dyktatorowi!

Wówczas kapelan wziąwszy w rękę świętą księgę, stanął na wzniesieniu i głosem uroczystym zapytał:

— Bracia, czy przysięgacie wierność ojczyźnie i posłuszeństwo waszemu dyktatorowi?

— Przysięgamy! odpowiadali żołnierze.

Pomiędzy powstańcami było wielu Izraelitów; a że ich religia zabraniała im brać udział w ceremo-

niach katolickich, powierzono im przez ten czas straż w obozie i kapitana Pillardowa, który jeszcze tego wieczora, miał stanąć przed sądem wojennym.

Cezar ze swoją kompanią kosynierów, otrzymał rozkaz ich zmienić, aby również mogli przysięgnąć na biblię.

Zastał szyldwachów na swoich posterunkach oprócz czterech ludzi i Eliasza pilnujących więźnia, którzy, korzystając z ceremonii, wymknęli się saniami z obozu.

Pillardow znikł z nimi.

Straże obozowe widziały ich przejeżdżających, lecz nie zatrzymały, sądząc, że są upoważnieni przez generała. Tak się przynajmniej tłomaczyli.

Dyktator zabronił ich ścigać, mówiąc:

— Jeżeli są zdrajcami, lepiej żeśmy się ich pozbyli; jeżeli zaś, są prawdziwymi synami Polski, wrócą i wytłumaczą nam swoje postępowanie. Co zaś do Pillardowa, lepiej się stało że uciekł, bo nam oszczędził spełnienia smutnego obowiązku.

W pośród ogólnej radości armii, ten wypadek przeszedł prawie niedostrzeżony. Wieczorem cały obóz zajaśniał ogniami biwakowemi i odgłos pieśni patryotycznych rozlegał się wszędzie.

Sam tylko Langiewicz pomiędzy wszystkimi, lubo silił się okazać wesołym i ufnym, czuł cały ciężar odpowiedzialności spoczywającej na swojej głowie i z trwogą myślał o przyszłości.

Narbut marzył o nowych zwycięztwach, Chusko upojony ogólnym zapałem, widział w dyktaturze Maryana powstanie całego narodu, więc rzekł do siedzącego obok Cezara, pokazując na krepę którą nosił na ramieniu od czasu śmierci swoich szwagrów.

— Tą razą jeszcze, krew była zarodem życia.

Włodzimierz wsparty na ramieniu Marty, wolnym przechadzał się krokiem po pełnym życia i zgiełku obozie; zatrzymał się chwilę przed Szczepanem śpiewającym ,,Boże coś Polskę", i oddalił się eszcze smutniejszym.

— Ojcze, rzekła dziewica, zapomnijmy na chwilę o naszej boleści i myślmy tylko o tryumfie ojczyzny . . . .

— Biedne dziecię, przerwał starzec, niech Bóg sprawi abym się pomylił, lecz dzień dzisiejszy przedstawia się w moich oczach zgubnym dla naszej ojczyzny.

— I dlaczegoż to, ojcze?

— Dlatego że Polska ma tylko jednego wodza, moje dziecko, a zazdrość może być nasieniem zdrady.

— Więc sądzisz, ojcze, iż pomiędzy Polakami znalazłyby się tak nikczemne dusze . . . .

— Nie sądzę, moje dziecko, tylko przypominam sobie i jestem pewny, biedna Polsko, biedna Polsko!

I weszli do swego namiotu, nie rzekłszy więcej ani słowa.

W około trzaskających ognisk, powstańcy tańczyli, rozmawiali i śpiewali, obchodząc minione tryumfy i ciesząc się nadzieją przyszłych zwycięztw.

O kilka wiorst tylko od obozu, okrutna odbywała się scena.



XXI.

Stary zakon i nowy zakon.

araz po odejściu armii polskiej do Miechowa, Abraham, który z dwoma swymi współwyznawcami, pozostał w tyle pod pozorem zreperowania zaprzęgu swego konia, zbliżył się do sań, w których leżał kadet Nabielkow.

— Czy już poszli? zapytał ranny, unosząc rogóżki, pod którą skulił się milczący, w obawie aby nie zostać odkrytym.

— Nie potrzebujesz pan więcej obawiać się tych psów, odpowiedział Izraelita z odrażającym uśmiechem.

Potem dodał:

— Przyznaj pan, poruczniku, że jesteś mi winien nieograniczoną wdzięczność.

— To też cię godnie wynagrodzę natychmiast, skoro tylko dostanę się do mego pułku; moja matka bardzo mnie kocha i jest nadzwyczaj bogata, przyśle mi znaczną sumę pieniędzy, a . . . .

— Masz pan także ojca, poruczniku?

— Naturalnie, i będzie ci bardzo wdzięcznym.

— To on, zapewne przysłał panu ten okazały zegarek ozdobiony perłami, który spostrzegłem odpinając pański mundur, dla zobaczenia rany? mówił Abraham, utkwiwszy w młodzieńcu wzrok ognisty, który go dreszczem przejmował.

— Tak, i dam ci go, jak również i wszystkie kosztowności, które mam przy sobie, odpowiedział ranny, lękając się, aby żyd uniesiony chciwością nie zamordował go, i dodał, to będzie dopiero mała cząstka podarunku, jaki pragnę ci zrobić.

— Dziękuję, excellencyo, ten zegarek jest w istocie pamiątką, do której przywiązuję wielką wagę, ponieważ jest nadzwyczaj podobny do tego, jaki mój syn ofiarował w dzień ślubu, pięknej Noemi.

— A który zapewne zgubiła, nie prawda? zapytał kadet.

— Nie, wzięto go jej w okolicznościach, które panu później opowiem, i które zarazem wytłomaczą mu moje gorące przywiązanie do Rosyi, a szczególniej do ciebie, jaśnie wielmożny panie; lecz pan jesteś blady i masz minę cierpiącego, połóż się pan; tutaj, nie jesteśmy dosyć pewni, przeto zaprowadzę pana w miejsce, gdzie nikt nie będzie mu przeszkadzał; prześpij się pan, excellencyo.

I powiedziawszy to, spuścił zasłonę, a wkrótce potem Nabielkow czuł ślizgające się po śniegu sanie.

Podróż trwała długo i w milczeniu; oficer, lubo trochę zaniepokojony szczególniejszą miną swego

oswobodziciela, spał smacznie; wreszcie sanie zatrzymały się przed jakąś opuszczoną szopą, na drodze wiodącej do Staszowa.

W tem miejscu, śnieg był zbryzgany krwią w około pięciu czy sześciu słupów, na których wisiały jeszcze trupy, w przedziurawionych kulkami workach; tu i owdzie widać jeszcze było ślad ognisk obozowych i wszelkie oznaki wskazujące nie tak dawny pobyt armii Swinina.

Słońce już było dosyć wysoko, kiedy Abraham znowu otworzył zasłonę furgonu.

— Jak się dziś miewa, wasza excellencya? zapytał.

— Lepiej, dziękuję, lecz gdzież jesteśmy?

— Na ustroniu, gdzie onegdaj, generał Swinin kazał rozstrzelać mego syna Rubena, męża tej Noemi, o której wczoraj wspominałem panu; zapłaczesz pan słysząc historyę jej zegarka.

— Z ochotą, lecz mówiąc prawdę, nie gniewałbym się zjeść co bądź, czuję dobryt apetyt.

— Za chwilkę usłużą panu, excellencyo; patrz pan, moi towarzysze już nakrywają do stołu i rozpalają ogień; lecz przedtem, będę panu wielce obowiązany, jeśli raczysz podpisać ten oto papier.

— Weksel, bezwątpienia?

— Nie, panie, nie chcę twojego złota, lecz radbym mieć zaświadczenie twoją własną ręką podpisane, któreby mogło być dowodem moich bezinteresownych usług tobie wyświadczonych, kiedy połączę się z armią generała Swinina.

— To słusznie, bardzo słusznie; pokaż ten papier.

Na ćwiartce było napisane:

„Ja, kadet Nabielkow, zaświadczam niniejszem i oznajmiam zarazem, że Izraelita imieniem Abraham, przewodnik armii Jego excellencyi generała Swinina, wydobył mię z rąk buntowników i we wszystkich okolicznościach okazał się wiernym poddanym rosyjskim; z tego powodu wydaję mu niniejsze zaświadczenie i polecam go szczególniejszej łaskawości wszystkich oficerów armii cesarskiej i wszystkich urzędników Jego Majestatu tak cywilnych jak wojskowych.

— Potrzebaż dwoma rękami podpisać, mój zacny Abrahamie? zapytał oficer zachwycony i zdziwiony zarazem bezinteresownością swego wybawcy.

— Tylko jedną, jaśnie wielmożny panie, jeśli raczysz to zrobić.

— A dlaczegóż-by nie! podaj mi pióro.

Abraham umaczawszy je w małym kałamarzu rogowym, który wydobył z ogromnej swojej kieszeni, podał praporszczykowi.

Podniósł się Nabielkow z trudnością na łokciu i napisał:

„Z prawdziwem uznaniem i wdzięcznością, podpisuję to zaświadczenie”.

„Nabielkow”

„Kadet w Izmaiłowskim pułku grenadyerów”.

Żyd odśrubował część zewnętrzną kałamarza służącą jako piaseczniczka; starannie wysuszył pismo; potem, jako człowiek oszczędny, zsypał piasek w przeznaczonę na to przegródkę, zaśrubował wierzchnią

*

rogową rurkę, złożył papier w czworo, zamknął starannie w zatłuszczonym pugilaresie, stanowiącym część umeblowania spodniej kieszeni swego chałata i — skrzyżowawszy ręce na piersiach, pochylił się nad rannym, mierząc go długo jakimś dziwnym wzrokiem, a z ust kurczowo zaciśniętych, nabrzmiałych i zakrwawionych, wydobył się głośny i szyderczy śmiech.

A był tak strasznym, że kadet uczuł dreszcz przebiegający po całem ciele i zamknął oczy, jakby dla uniknienia szatańskiego widzenia.

Wtedy Abraham położył rękę na ramieniu rannego i szarpnął go tak grubiańsko, że krzyknął z boleści.

Patrz na mnie, psie, burknął żyd.

A kiedy kadet spojrzał na niego zdumiony:

— Poznajesz mnie? zapytał Abraham.

— Znam cię, jako przewodnika naszej armii.

— I dla której, wydałeś mi świadectwo, mojej wierności i przywiązania, czy nie tak?

— Tak.

— I nie przypominasz mnie sobie więcej?

— Nie.

— Krótką masz pamięć, Nabielkowie; lecz posłuchaj, przypominasz ty sobie tego nędznego żyda, to błoto, tego psa, który ci pewnego dnia sprzedał spiczasty kapelusz, dla przebrania się, i wskutek tego zostałeś wtrącony do więzienia?

— Jakto! byłbyś . . . .

— Ach! przypominasz sobie.... Wprawdzie już trochę zapóźno dla ciebie, lecz mało mnie to obchodzi.... Przypominasz sobie, jak chcąc zemścić się na tym robaku, ty, kadecie Nabielkowie, w parę dni później, wpadłeś do jego domu na Pradze, pod pozorem rekrutowania? Przypominasz sobie, w jaki sposób obeszłeś się z tym ojcem, broniącym swego syna? Jeźli nie pamiętasz, spojrzyj na moją twarz, jest odrażająca nie prawda? To ty ją taką zrobiłeś! kazałeś mnie rozciągnąć na ławie, podobnej do tej tu, i własnemi rękami, pochodnią zrobioną z papieru a umoczoną w oliwie jak ta, jaką moi współwyznawcy przygotowują w tej chwili, przypiekałeś mi twarz; wszak mam dobrą pamięć, nie prawda?

— Abrahamie! Abrahamie! łaski! miej litość nademną!

— A kiedy dopełniłeś swego barbarzyńskiego czynu, kiedy Noemi była już zamordowana, a Ruben, pół-umarły porwany przez twoich żołdaków, zrabowałeś mnie, podpaliłeś mój dom, przywłaszczyłeś sobie klejnoty zabitej z twego rozkazu mojej synowej, i ten sam zegarek, który śmiesz mi ofiarować; przypominasz sobie to wszystko, Nabielkowie?

— Na pomoc! na pomoc! wołał ranny, z największą trwogą.

Ochrypły śmiech Izraelity, całą był odpowiedzią na to rozpaczliwe wołanie.

I kwadrans cały, Abraham igrał w ten sposób ze swoją ofiarą, jak tygrys ze swoją zdobyczą, nim ją ostatecznie zamorduje.

— Litości! litości! powtarzał oficer.

Jak mnie traktowałeś, tak będziesz traktowany, odpowiedział niewzruszony Abraham, a kiedy z ciebie zrobię jedną odrażającą ranę, kiedy cię zostawię, żyjącego jeszcze, na pastwę krukom i wilkom, pójdę z twojem zaświadczeniem do twego ojca i do twojej matki, którzy cię kochają; oni mnie wynagrodzą za zamordowanie ciebie, słyszysz, Nabielkow, słyszysz?

Nieszczęśliwy nic już nie słyszał, lecz nie zrażony tem żyd, prawił dalej swoje.

— Gdybym cię był zostawił w rękach Polaków katolików, byliby opatrzyli twoje rany i zwrócili ci wolność, ukryłem cię więc przed nimi jedynie dlatego, by mi cię nie wydarli z moich rąk mściwych. Wtenczas głupcze, zamiast oczekiwać śmierci w moich saniach, w saniach twojej ofiary z Pragi, potrzeba ci było wołać o pomoc.

Przygotowania ukończono, i jeden z żydów zbliżył się do Abrahama.

— Wszystko jest gotowe, powiedział.

Oficer moskiewski stracił przytomność; jego oddech podobny był do charkotu konającego.

— Korzystajmy ze spokojnego snu tego baranka i rozbierzmy go, z szyderskim uśmiechem rzekł starzec; mundur jest nowy, szkoda więc psuć sukna; buty są dobre i piękna bielizna; odprujesz znaki — i sprzedamy za granicą.

— Jedna ostroga złamana i stare są naramienniki, burknął Symeon; to nic nie warte! otóż i pugilares....

— Związ mu naprzód ręce i nogi, a potem zobaczymy; tu masz sznurek.

W jednej chwili węzły zostały zrobione; Symeon spieszył się przejrzeć pugilares.

Nic nie zawierał jak tylko kilka listów.

— Złodziej! rzekł żyd ze wzgardą; nie ma nawet pół rubla przy sobie.

— Zostaw-że! na tych listach marki pocztowe, one nam wskażą adres jego rodziców; dobrze nam zapłacą, za naszą dobrą nad nim opiekę; teraz, weź go za ręce a ja wezmę za nogi.

W ten sposób zanieśli go na ławę postawioną nad grobem Rubena; tam wyciągnęli go i tarli śniegiem.

Działanie zimna ocuciło nieszczęśliwego; otworzył oczy i dziko spojrzał dokoła.

Abraham stał przy nim, z płonącą pochodnią w ręku.

— Litości! łaski! wyszeptał Nabielkow.

— Ani litości, ani łaski, odparł nieubłagany Izraelita, ale sprawiedliwość, według starego zakonu, a ona mówi: *Ząb za ząb! oko za oko!*

I zbliżył płomień do gołego ciała swojej zdobyczy.

Męka trwała blizko dwadzieścia minut, poczem Abraham oddalił się od swojej ofiary, w strasznym stanie znajdującej się; ale że życie jeszcze ją nieopuściło, zamknął się ze swemi wspólnikami w starej ruderze, oczekując na drugą zdobycz pożądaną przez jego zemstę.

Tą drugą ofiarą był — jak wiadomo — Pillardow.

Z rozkazu swego wuja, Eliasz z kilku towarzyszami, postanowili porwać go z obozu powstańców, jeżeliby to było możebne; wrazie, gdyby go Polacy uwolnili, ścigać i zasztyletować.

Ceremonia przysięgi nadzwyczaj sprzyjała ich zamiarom i tego samego dnia wieczorem, kapitan kozaków mocno skrępowany, został przywieziony do pustej szopy.

Sąd nie trwał długo i egzekucya nastąpiła zaraz; Izraelici, których po tyle razy smagał swoją nahajką, zmieniali się, aby mu za jedną razą oddać tyle ciosów, ile od niego razem otrzymali. Eliasza zanadto osłabionego do bicia, wyręczył jego wuj.

Przeszło pół godziny rzemienie spadały, i krew płynęła po szyi, po ramionach, po bokach i piersiach kapitana. Lecz oczy jego, chociaż nabrzmiałe z nadmiaru cierpień i wychodzące z opraw, wzgardę wyrażały, a na zaciśniętych ustach, rysował się jeszcze uśmiech politowania.

— To nie dosyć zabić go, wykrzyknął żyd, zelżyć go potrzeba. Excellencyo, otrzymaj tę zniewagę z ręki niewolnika.

I mówiąc to, umaczaną ręką w zakrwionem błocie, wymierzył mu policzek.

Pillardow zbladł, lecz zaraz dumnie wznosząc głowę, wybuchał dzikim i szyderskim śmiechem, plując w twarz swemu katowi. Byłaż-to junakierya, czy chęć rozjątrzenia tych, którzy go męczyli, aby jednem uderzeniem ciosu śmierć mu zadali? Nienawiść Abrahama odgadła ten zamiar.

— Ach! ryknął, ty pewnie myślisz, że chcę cię zabić, nie, nie, idź sobie! nie skończyły się jeszcze twoje cierpienia, octem obmyję twoje rany, krew zatrzymam; twoje konanie, to rozkosz moja; będzie długie, a chociażby i nie wiem jak długie było, zawsze krótkiem dla mnie będzie, ponieważ chcę, ja, aby wiecznem było. Bracia, przysposóbcie mokrą bieliznę, owińcie obnażone jego kości bandażami, odpocznijmy i wieczerzajmy. Kapitanie, mam jeszcze trochę tej wódki, którą tyle razy mi kradłeś, lecz skąpym nie jestem, chcesz wypić szklankę za zdrowie pokornego twego sługi? to doda ci siły do znoszenia jeszcze cierpień.

Konanie kozaka trwało dzień cały; dopiero wieczorem, zawsze przywiązany do słupa przy którym Ruben był skrępowany, dziki lecz nieustraszony kozak wyzionął ducha bez wyrzeczenia najmniejszej skargi, i z wzrokiem urągającym swoim katom, gdy mu już głosu zabrakło.

Kiedy noc nastała, Abraham sam odwiązał obadwa ciała i rzucił je na grób swego syna, mówiąc:

— Za twoją krew muszę przelać innych krew; spoczywaj w pokoju, przysięgam ci nie żyć jak tylko dla zemsty!

Potem, zgromadziwszy swoich towarzyszy, rozgarnął śnieg ostro zakończonym kołem, wydobył skarb, który tam zagrzebał i rozdzielił go pomiędzy swoich współwyznawców, nie zatrzymując nic dla siebie, z czterdziestu dwóch tysięcy rubli Błagurowa.

Dziwny to był widok jak ten starzec w łachmanach, klęcząc przed kupą złota, oświeconą ponurym płomieniem gałęzi jodłowych, brał z niej garściami sztuki złote i dzielił pomiędzy swoich wspólników, których oczy dziką radością pałały.

Potem, kiedy wszystko skończono.

— Idźcie bracia, rzekł do nich, przejdźcie granicę, i czekajcie lepszych dni; zanadto jesteście skompromitowani, by pozostać w Polsce. Niech Bóg Jakóba wam towarzyszy!

Eliasz ze swymi towarzyszami, chcieli go wziąść ze sobą.

— Nie! nie! odpowiedział, moje życie nie warte tej ceny jaką nałożyłem poświęcając je zemście; niczem więcej dziś nie jestem jak uschniętem aż do rdzeni drzewem, któremu bezbożni ucięli latorośle, stanowiące moje szczęście i moją dumę. Idźcie, wzmagajcie się, mnóżcie, wzrastajcie i zapomnijcie starca, którego jedyną myślą będzie ukarać sprawców swojej niedoli.

To postanowienie było niezachwiane, trzeba było być posłusznym. Mała gromadka oddaliła się w kierunku Wisły, która niedaleko Staszowa, stanowiła granicę austryacką, a on, ukrywszy starannie na spodzie swoich sani cztery czy pięć baryłek prochu, którego mu dostarczyli emisaryusze, zapuścił się w bory, aby zbliżyć się do drogi żelaznej, idącej z Mysłowic do Warszawy.

Gościńcem którym jechał, mógł spotkać się z moskalami, lecz mało to go obchodziło; dwaj jedyni

świadkowie jego zdrady, Nabielkow i Pillardow, już nie żyli, a w kieszeni swego chałata, miał zaświadczenie dobrych i wiernych usług. Z tem świadectwem, nie potrzebował lękać się moskali. Co zaś do Polaków, cóż miałby robić pomiędzy nimi?

Widział jak Langiewicz, na słowo, uwolnił sześciuset jeńców, a tryumfujący jego żołnierze, zbierali z bojowiska rannych nieprzyjaciół i pielęgnowali ich jak własnych braci, zamiast mordować jednego za drugim, czego nie zaniedbałby uczynić w podobnej okoliczności z hordami Swinina, Mitweda i Błagurowa.

Dla niego, ta wspaniałomyślność była niczem więcej jak tylko szaleństwem; nieubłagany wykonawca starego zakonu, które potwierdza zastosowanie strasznego przykazania: *Oko za oko, ząb za ząb!* nie mógł zrozumieć wzniosłego przykazania nowego zakonu: *Kochajcie się wzajemnie, i dobrem za złe płaćcie!*

Swinin, mordując bez litości Rubena, jedynego syna Abrahama, zrobił sobie z Izraelity godnego siebie przeciwnika, takiego przeciwnika, iż gdyby wszyscy powstańcy podobni mu byli, żaden carski żołdak nie wyszedłby z ziemi polskiej żywym.

Szczęściem dla katów, iż ich ofiary nie barbarzyństwem, lecz szlachetnością się kierowały, a zdradę, wspaniałomyślnością odpłacały.

Moskale bezwstydnie korzystali z tych uczuć; zwyciężeni poddawali się, będąc pewni uwolnienia; zwycięzcy, mordowali rannych i jeńców.

Nazywali to pozbyciem się kłopotu z nimi.

Jedynym powodem trwogi dla generałów moskiewskich w tej wojnie, tak nierównej, była mnogość oddziałów powstańczych, trudność wzięcia niewolnika i to, że Polacy ze swoich zasadzek niespodziewanemi napadami, znaczną liczbę żołnierzy zabijali.

Dyktatura Langiewicza była dla rządu carskiego niespodziewanem szczęściem.

Rewolucya już nie była hydrą, której każda ucięta głowa odradzała się; miała tylko jedną, i za jednem uderzeniem, można ją było powalić.

Ta głowa nazywała się Langiewicz.

Wszystkie siły moskiewskie, rozrzucone w Polsce, skupiały się, dla zgniecenia dyktatora.

Włodzimierz Kirpowski przewidział co miało nastąpić.

Zdrada i nikczemne współzawodnictwo, ułatwiły moskalom zwycięztwo.

Inna jeszcze okoliczność im sprzyjała; tą okolicznością była prawie niespodziewana odwilż.

Wiatr południowy, ogrzewając temperaturę, zmiękczył śnieg nagromadzony od paru miesięcy, mocne lody pokrywające rzeki załamały się, niziny stały się bagnami, i armia Langiewicza, wprowadzona w kłopot własną swoją liczbą, widziała się skazaną na nieczynność.

Oddziały odosobnione, posiłkując się długiemi łyżwami, mogłyby były prowadzić dalszą kampanię i prawdopodobnie przeszkodziłyby, a przynajmniej, sprzeciwiałyby się skoncentrowaniu sił moskiewskich;

lecz tam gdzie pięćdziesięciu ludzi łatwo przejść mo]gło, liczny korpus napotkał trudności.

Inna trudność powstała wkrótce: dla wyżywienia swoich żołnierzy, nie miał Langiewicz ani zapasów ani magazynów; siłą więc, aby nie umarli z głodu, musiał starać się o żywność w sąsiednich wioskach, naprzód za pieniądze, a kiedy tych zabrakło, prawie przemocą.

Wieśniacy zrujnowani naprzód przez moskali, potem przez własnych swoich rodaków, emigrowali, i okolice w około Miechowa wyludniły się; z niezadowolenia zaś w armii zręcznie korzystali zdrajcy, namawiając do opuszczenia szeregów.

Ludzie ambitni, w samolubnej nadziei wywyższenia się w razie upadku dyktatora, powoli pracowali nad klęską armii narodowej.

Pomiędzy tymi zdrajcami przez pychę, znajdował się jeden Polak–emigrant, który, bez żadnego innego prawa jak tylko z próżnej chełpliwości, ogłosił się prawdziwym dyktatorem, napadał gwałtownie Langiewicza w rozwlekłych proklamacyach, rzucał na niego obelgi w Polsce przed swymi, i zagranicą przez zjadliwe pisma, pozbawił go zaufania publicznego i zasiał rozdwojenie w narodzie wówczas, kiedy jedność była najpotrzebniejszą.

W tych trudnych okolicznościach, naczelny generał rozwinął wszystkie zasoby zdolności wojskowych, i okazał niczem nie zachwianą energię.

Nie mogąc zużytkować sił swoich, ani zaradzić potrzebom armii blizko dziesięć tysięcy ludzi wynoszącej, wysłał do Częstochowy rannych i chorych pod eskortą Kosynierów, Rochebruna do swego współzawodnika w celu porozumienia się, a w potrzebie, upoważnił nawet do połączenia się z nim, jeźli sprawa narodowa tego wymagać będzie.

List, publikowany przez mężnego komendanta Żuawów w dziennikach zagranicznych, da wyobrażenie o tym fałszywym dyktatorze, który swoją nieudolnością powszechnie znaną i zarozumiałością, przyczynił się wielce do niedoli swojej ojczyzny.

Otóż co pisał Rochebrun 14 kwietnia:

,,Krótką chwilę miałem myśl połączyć się z generałem***, lecz kwadrans z nim rozmowy wystarczył aby mnie przekonać, iż ten człowiek jest nieudolnym; zawsze poświęcał swoją ojczyznę swojej ambicyi i swojej pysze, nigdy zaś tej ambicyi i tej pychy swojej ojczyźnie.”

Bezczynność, do której Polacy wskutek odwilży zmuszeni zostali, ostudziła ich zapał; zniechęcenie jakie wielu ogarnęło po świetnych lecz bezużytecznych zwycięztwach, wyrodziło brak zaufania i niezadowolenie; zdrajcy, polacy lub moskale, wstępując w szeregi powstańcze jako nowi ochotnicy, jątrzyli nieustannie umysły.

Obrzucany różnemi niesprawiedliwemi podejrzeniami dyktator, tem większej boleści doznawał, im staranniej ją ukrywał. Smutek nim owładnął, bo czu-

jąc stygnące przywiązanie swoich żołnierzy, zaczynał tracić zaufanie w ich wytrwałość i w samego siebie..

Co do Włodzimierza, ten zawsze chłodny i ostrożny z innymi, nie ukrywał swego niepokcju przed Narbutem i Martą.

— Gangrena, mówił do przyszłego swego zięcia, szybką sprowadza śmierć, na nieszczęście, widzę nią dotkniętą naszą małą armię. Korzystniejszą była dla nas porażka pod Świętym-Krzyżem niż to zwycięztwo tak drogo w nieczynności odpokutowane.

Narbut ani chciał widzieć zła, ani w nie wierzyć.

— Za kilka dni, odrzekł, skończy się odwilż zupełnie, i rozpoczniemy kroki zaczepne; wówczas smutek naszych ludzi rozproszy się w marszach i potyczkach jak mgła pod promieniami słońca.

Starzec przecząco wstrząsnął głową.

— Lękam się raczej, mój synu, aby nasza armia nie stopiła się wraz ze śniegami; kiedy rozprzężenie wkradnie się między żołnierzy, trudno jest zaprowadzić porządek: każdy dzień sprowadza nową dezercyę.

Marta rzadko brała udział w tych rozmowach, słuchała w milczeniu i rozważała; podobną była do tych zwrotnikowych ptaków, które więdną w przymusowej niewoli i którym do życia koniecznie potrzeba powietrza i wolności.

To osłabienia ducha, energicznej dzieweczki, które aż dotychczas niezgodne było z jej usposobieniem, mocno zaniepokoiło jej ojca i narzeczonego.

Sądząc że w podróży otrząśnie się z odrętwienia i znękany jej duch obudzi się do życia, zaproponował jej ojciej aby z Adamem i z Kosynierami udała się do Częstochowy, zkąd łatwo mogłaby się dostać za granicę pruską i zamieszkać z siostrą i Andrzejem, aż do rozpoczęcia kroków wojennych.

Usłyszawszy imię Tadei, podniosła głowę i oczy jej zajaśniały radością, lecz zaraz cień smutku pokrył promieniejące oblicze; objęła ojca rękoma za szyję i odpowiedziała:

— Nie, nie, moją powinnością jest zostać.

— I dlaczego moja córko, dlaczego odmawiać sobie tej przyjemności, której ci niebo pozwala?

— Dlatego, że nie chcę ciebie, ojcze, opuścić, i że przysięgłam pozostać tam, gdzie będzie nasz sztandar; bezemnie, co się z tobą stanie, sam jeden, w twoim wieku, jeżeli zaskoczy cię ojcze choroba?

— Moje dziecko, nie zostanę sam jeden, Narbut jest także w obozie, a nawet wrazie gdyby był zmuszony opuścić go, Magnus mi jeszcze zostanie; zresztą, twoja nieobecność nie potrwa dłużej jak kilka dni, i . . . .

— Nie, mój ojcze, nie; nie opuszczę ciebie; Prusacy, jak mówią, zatrzymują na granicy naszych, i przeczucie mi mówi, że jeżeli wyjadę z Polski, nigdy już do niej nie wrócę.

— Więc idź do Częstochowy, tam przynajmniej, na Jasnej Górze, pomodlisz się do Boga za Polską, tam możesz . . . .

— Tu mam ważniejsze powinności, chorych i rannych pielęgnować, poważnym i stanowczym tonem odpowiedziała; kiedy moi bracia cierpią, nie opuszczę ich, aby szukać gdzieindziej dobrego bytu, na który ani ty ojcze ani Narbut nie zgodzicie się.

— Dobrze, niech tak będzie jak sobie życzysz, i niech cię niebo wynagrodzi, pociecho mojej duszy i dumo mojego domu, rzekł starzec przyciskając szlachetną córkę do swojej piersi.

I dodał:

— Ach! żeby wszyscy Polacy mieli twoje męztwo i podobne wyrzeczenie się samych siebie! i twoje poświęcenie!

*
* *

Nazajutrz, o brzasku dnia, Chusko opuścił obóz ze swymi Kosynierami, biorąc ze sobą Cezara, Szczepana i Elżbietkę, opiekującą się rannymi, jak siostra Miłosierdzia.

Ich odejście wielką próżnię zrobiło w obozie, ponieważ górale byli zarazem dzielnymi żołnierzami i wesołymi towarzyszami.

— Do zobaczenia, siostro, przy przyszłem zwycięztwie! rzekł Cezar do swojej kuzynki, całując ją po polsku.

— Do zobaczenia! odpowiedziała z uśmiechem łez pełnym.

I, ze szczytu pagórka, długi czas patrzała za małym oddziałem, oddalającym się szybko po pół–stopionym śniegu.

Z kosą na ramieniu, w rękawicach skórzanych i w długich bótach, przyzwyczajeni do podobnych wycieczek górale, maszerowali w pozornym nieporządku, lecz równym krokiem, śpiewając chórem, piosnki góralskie i hymny narodowe polskie.

— Co za szkoda, że nie spotkamy tutaj kozaków! rzekł Cezar do Chuski, byłoby to prawdziwie ciekawem widzieć ich obroty na tej płaszczyznie.

— Prędko by się one skończyły, bo konie ugrzęzłyby w błocie aż do piersi.

— Doprawdy?

— Bez wątpienia, a nawet my, pomimo naszych łyżew, ugrzęźlibyśmy po kolana, gdybyśmy się zatrzymali.

— A więc jesteśmy zmuszeni maszerować bez przerwy aż do Częstochowy?

— To jest niepodobnem.

— Więc cóż zrobimy?

— Zatrzymamy się w lasach gdzie śnieg jest twardszy albo w wioskach które napotkamy, a w braku lasów i wiosek na wzgórzach, których szczyty są już prawie wolne od śniegu.

— A jak daleko ztąd do Częstochowy?

— Około trzech dni drogi, z powodu zboczeń, które zmuszeni jesteśmy robić dla ominięcia rzek i bagien.

— Doprawdy, nigdy nie myślałem o zrobieniu podobnej podróży.

— Wierzę ci; my tu jesteśmy przyzwyczajeni, a chociaż jest ona nużąca, nie jest niebezpieczna, bo z największą pewnością nie spotkamy nieprzyjaciół.

— Kozacy! krzyknął jakiś głos.

Chusko zdumiony schwycił swój karabin.

— Gdzie są? zapytał.

— W lesie na lewo.

I rzeczywiście, można było rozróżnić po za drzewami, z trudnością idące konie, lecz bez jeźdźców.

Szczepan pierwszy, spostrzegł pomyłkę.

— To są łosie, zawołał.

I w istocie, stado tych zwierząt, wystraszone z legowiska przez strzelców, wychodziło z lasu na płaszczyznę.

— Towarzysze, to niebo obiad nam przysyła, rzekł Chusko; niech pięciu lub sześciu pójdzie ze mną, a inni przetną odwrót zwierzynie.

Cezar poszedł za kuzynem, a strzelcy, uzbrojeni w karabiny, szybko puścili się przeciw łosiom.

Pierwszy raz dopiero widział młody porucznik z blizka te dzikie zwierzęta, prawie tak wielkie jak woły, z wyniosłemi rogami o ciemnej sierci wpadającej w płową.

— Czy jesteś pewny twoich łyżw? zapytał go Chusko.

— Tak, odpowiedział Cezar; lecz jeżeli ciągle będziemy biedz naprzód na otwartem polu, stado ucieknie.

— Przygotuj się wpierw sam uciekać, odpowiedział strzelec, a przedewszystkiem pozwól mi strzelić samemu, a swoją kulę zachowaj na później.

— Myślisz więc? . . . . .

— Pst! szepnął Chusko, i baczność.

Łosie spostrzegłszy powstańców, z pewnem niedowierzeniem zatrzymały się; ich przewodnik stada, ogromne zwierzę o olbrzymich rogach, spoglądał na nich dzikiem okiem, z najeżoną siercią, i wywijając ogonem, kopał śnieg kopytem z wściekłością, wydając przytem rodzaj przytłumionego zrzędzenia.

Chusko nadbiegłszy na jakie pięćdziesiąt kroków, przyłożył karabin do ramienia, zmierzył w łopatkę zwierzęcia, strzelił i natychmiast uciekł, wołając:

— Strzeżcie się!

Na odgłos strzału, całe stado w największym pędzie wróciło napowrót do boru, zostawiając swego przewodnika, krwią zbroczonego.

Chwilkę, ranny samiec zdawał się wahać; potem skulił się naraz i biegł wprost na swego nieprzyjaciela. Pomimo szybkiego biegu zostałby strzelec niezawodnie dosięgnięty, gdyby się nie był skręcił w stronę gdzie śnieg był mniej stężały, który pękając pod stopami rannego łosia, opóźniał bieg jego.

Cezar nie mógł się powstrzymać i w chwili, kiedy łoś biegł przed nim na jakie trzydzieści kroków, posłał mu kulkę, która z suchym łoskotem spłaszczyła się na czole, zabezpieczonem konarami rogów.

Łoś ryknął przeraźliwie i zmieniając kierunek, natarł na nowego swego przeciwnika.

Lecz Cezar nie czekając ataku, zwrócił się ku lasowi.

— Tędy! na pole! wołał za nim Chusko, spiesznie nabijając karabin.

Lecz czy nie dosłyszał, czy też nie zrozumiał, uciekał w raz obranym kierunku, a tuż za nim gonił rozżarty łoś.

Już dosięgnął lasu, kiedy naraz końcem łyżwy zaczepił o wystający korzeń, i stracił rownowagę.

Szczepan nie miał innej broni jak swoją kosę, jednakże bez wahania przybiegł mu na pomoc; ale, nim niedoświadczony strzelec zdołał się podnieść, łoś uniósł go rogami i potoczył o jakie dziesięć kroków, potem, stanąwszy na tylnych nogach, posuwał się z wściekłem mruczeniem, aby go zgnieść potężnemi kopytami.

Byłoby już po Cezarze, gdyby góral nie był rzucił z nadzwyczajną zręcznością swojej czapki na głowę rozjuszonego zwierza, który zawsze na tylnych łapach, natychmiast rzucił się na niego.

Lecz Szczepan już odskoczył na bok, a kiedy łoś upadł na cztery nogi, jednem cięciem kosy, szybkiem i pewnem, przeciął mu przegub u jednej z tylnych nóg.

Zwierz widząc się bezsilnym, wydał ryk żałosny i płacząc, położył się na śniegu; tak czynią jelenie, do których gatunku i łoś należy.

Konanie zwyciężonego nie trwało długo; jednem uderzeniem noża, zakończył Szczepan jego cierpienia, i wkrótce przy jasnem ogniu, w około którego Kosy-

nierzy zrobili pierwszy odpoczynek, piekło się mięso podzielone na części; a zapomniawszy o znojach i niebezpieczeństwie, opowiadali sobie przygody myśliwskie, starając się rozweselić swego mężnego porucznika.

Po skończonym posiłku, daleko obfitszym aniżeli byli przyzwyczajeni, w dalszą udali się drogę. Cezar po otrzymanej nauczce dowiedział się, że łosie są silne i lekkie, że uderzają na myśliwych nie rogami, tylko przedniemi nogami, i że polują na nie zimą w czasie eodwilży, a w lecie w łodziach, na bagnach, gdzie łosie niepokojone przez muchy, zanurzają się aż po nozdrza, dla zerwania sitowia.

Rozumie się, że kuzynek Marty trochę zawstydzony swojem niepowodzeniem, postanowił korzystać z lekcyi na przyszłość, lecz łosie nie pojawiły się więcej, i nic szczególniejszego, oprócz sanek pędzących przez pole któremi śmiały woźnica zapuszczał się w tej porze, nie przerwało jednostajnej i nużącej podróży, póki Szczepan idący na przodzie nie zawołał, wskazując w oddali, punkt oświecony promieniami słońca na białym kobiercu śnieżnym:

— Jasna Góra! Jasna Góra!

— Matko Boska Częstochowska, Królowo Korony polskiej, módl się za nami! odpowiedzieli górale, odkrywając z szacunkiem głowy.

I natychmiast rozpoczęli śpiew: Boże coś Polskę, zbliżając się do tej złotej gwiazdy, która niczem innem nie była jak krzyżem na kopule sławnej świątyni, a który w miarę zbliżania się ich, zdawał się wyrastać z ziemi i wznosić się w lazurowe niebo, gdzie

wkrótce zjawił się tryumfujący, na szczycie wieży, sześć pięter wysokiej, służącej mu jako piedestał.

— Bracia, otóż nasz sztandar! wykrzyknął Chusko, wskazując na krzyż.

— Tak! tak! odpowiedzieli, a potem, padłszy na kolana: Matko Boska nasza Królowo, módł się za nami! dodali.



XXII.

Częstochowa.



Wiadomość o nominacyi generała Langiewicza, z nadzwyczajną szybkością rozeszła się po kraju. Patryoci byli nią zdumieni; jedni w dyktaturze zdolnego generała widzieli ratunek i zmartwychwstanie Polski, drudzy, smucili się, uznając to czynem niepolitycznym, a byli i tacy, co oburzali się, uważając się za pokrzywdzonych mówili, iż to niesprawiewie złożyć władzę prawie monarszą w jednego ręce, a ich usunąć od słusznej nagrody za głośne usługi oddane ojczyźnie.

Jakiekolwiek byłyby zapatrywania Polaków, to radość jaką okazywali moskale skoro dowiedzieli się o dyktaturze młodego generała, pokazywała, iż środek, który obrał Komitet Narodowy był zgubny i niepolityczny.

— Mamy ich teraz! wykrzyknął namiestnik na posiedzeniu swojej rady, tak, mamy ich; nie mają więcej jak jedną głowę, tylko jedną głowę!

Nieszczęściem, excellencyo, tę głowę nosi ten łajdak Langiewicz, który, jak mówią, zadał klęskę dzielnemu Swininowi.

— Mówiąc prawdę, rzekł jeden z niechętnych Błagurowowi, to Swinin po prostu został zmuszony cofnąć się, po porażce Błagurowa.

— Klęska, klęska; idźcie sobie panowie z podobnemi nowinami, odpowiedział namiestnik, mówiąc między nami, nie ma co oszczędzać czytelników gazet; dzisiaj, ja sam dałem do druku, że pod Swiętym Krzyżem, świetne odnieśliśmy zwycięztwo; uważajcie panowie, że ja, namiestnik, nie chcę zasmucać naszego ukochanego cesarza i ojca....

Na to słowo, zebrani generałowie z głębokiem szacunkiem pochylili głowy.

— A przedewszystkiem, mówił dalej namiestnik, nie trzeba sprawiać przyjemności tym łotrom Francuzom, którzy posyłają swoich ochotników i krzyczą przeciw nam; lecz mówiąc między nami, tak Swinin jak Błagurow, a Błagurow jak Swinin, dostali po skórze i dobrze dostali, wdzięczny jednakże im jestem, bo z tej porażki, daleko większe i więcej jak jedne, odniesiemy zwycięztwo.

Generałowie spojrzeli na siebie zdumieni.

— Tak jest, panowie, zacierając ręce, prawił im w dalszym ciągu namiestnik, bo przypuśćmy, że Langiewicz zostałby pobity i powieszony jak pies, którym jest, musielibyśmy jeszcze ścigać wszystkich innych psów wściekłych, zowiących się, Narbut, Chusko, Plater, Sierakowski, Taczanowski, Sokół, Rochebrun,

i tylu tych bandytów francuzów i polaków, których nie znam nazwisk, nie licząc już wszystkich księży katolickich i całego narodu. A zamiast tego, stajemy oko w oko z jednym człowiekiem i z jedną armią i z pewnością zgnieciemy rewolucyą za jednem uderzeniem maczugi. Co powiesz pan na to, kochany Muchanowie, wyglądasz jak gdybyś nie był dostatecznie przekonany?

— Excellencyo, lękam się czy ta jedność dowództwa nie pociągnie za sobą jedności działania, co podwoiłoby ich siły o . . . .

— Och! co do tego, nie obawiaj się pan niczego, przeciwnie, wydałem już rozkazy aby fałszywi zbiedzy osłabiali zaufanie do dyktatora i zręcznie podniecali zazdrość. Nie wiedząc więc o niczem patryoci polscy, bez hałasu, toczyć będą sznurek który przytrzymuje wiązkę, aż pewnego pięknego dnia, snop się rozsypie. Zna się historyę, panowie, i nie zapomina się o tem, że chcąc panować, potrzeba koniecznie różnić i siać niezgodę. Nie podzielasz pan mego zdania, generale Medowicz?

— Jakto nie! excellencyo, spiesznie odpowiedział, kłaniając się nizko, o czerwonej i okrąkłej twarzy moskal, pochlebniś zasłużony i unižony darmozjad. Jest to myśl bardzo piękna; bo i dlaczegóż nie miałaby być piękna? tak, bardzo piękna!

A że zakasłał mocno, zasłonił dużą ręką ogromne wąsiska, rzucając w około siebie przestraszonym wzrokiem, jak gdyby chciał błagać kogokolwiek o podpowiedzenie uwielbiających wynurzeń.

— Możnaby także wyciągnąć korzyści z rozmaitych sekt religijnych, zauważył pułkownik który w nic nie wierzył, lecz jako wierny poddany cara, był jednym z najgoretszych wyznawców schizmy. Gdyby się udało podburzyć wszystkie sekty, jedne przeciw drugiem, byłoby to doskonałe, bo, dodał, nie licząc żydów, jest okoły trzy miliony w Polsce protestantów, kalwinów i innych, i . . . .

Namiestnik powstał; z gniewem uderzył nogą w posadzkę, krzycząc:

— Bez wątpienia, bez wątpienia, tak powinnoby być, lecz jest inaczej; nieszczęściem, wszystkie te sekty, zamiast kłócić się pomiędzy sobą, jak przystoi ludziom wyznającym różne niedorzeczne błędy, przeciwne państwowym, podali sobie rękę na grobach ofiar naszego barbaryzmu; otóż tak, panowie, księża katoliccy, pastorowie protestanccy i rabini żydowscy porozumiawszy się z sobą, przeklinają nas, gdy tymczasem wszyscy Polacy, bez różnicy wyznań, dążą w szeregi powstańcze.

— To haniebne! wrzasnęli chórem, generałowie.

— A więc! tem lepiej, odpowiedział namiestnik łagodniejszym już tonem, ponieważ po odniesionem zwycięztwie, które będzie nie wątpliwem, zaczniemy ich wszystkich naraz nawracać, tak, będziemy ich wszystkich, bez różnicy, nahajką nawracać, bo aby Polska była rosyjską, musi być prawosławną, a ci z bandytów, którzy nie zechcą poddać się naszym *nahajkowym argumentom* (tu namiestnik zatrzymał się chwilę, aby się nasycić wrażeniem jakie sprawił), po-

szlemy ich na Sybir, gdzie brakuje rąk do zmiatania śniegu i wycinania lodu.

— To bardzo pięknie, rzekł pułkownik, wznosząc oczy do nieba, jak to było jego zwyczajem i w sposób tak samo uczuciowy, jak jego ukochana ciotka hrabina P*, prezydentka komitetu dobroczynności, zostającego pod szczególniejszą protekcyą jednej z wielkich księżniczek.

Pułkownik jako człowiek należący do arystokracyi moskiewskiej, nie wstydził się wyszydzać pomiędzy towarzyszami religii prawosławnej, ale jako siostrzeniec hrabiny, udawał pobożnego, nie dlatego aby zasłużyć sobie na nagrodę niebieską, ale by przez swoją hypokryzyę zdobyć ogromny majątek ciotki.

Niektórzy z generałów uśmiechnęli się widząc pobożną minę swego kolegi, przebaczyli mu to jednak dla szlachetnego w ich mniemaniu celu, co go do tego skłonił.

Zadłużony Medowicz widocznie nie dowierzał tej osobliwości, bo szepnął swojemu sąsiadowi do ucha.

— Nie myślałem że jest takim . . . . pobożnym.

— Och, to dla ogromnego spadku, odpowiedział mu.

— Ach, tak! to co innego, rzekł generał, co innego, tak, co innego.

I bujał się z zadowoleniem na swojem krześle.

Podczas tej ubocznej rozmowy, namiestnik rozwinął na stole mapę Polski, i w około Miechowa, leżącego prawie na granicy, wskazywał generałom miasta Janów, Opatów, Kielce i Olkusz, formujące ob-

szerne półkole, obwarowane i zajęte przez siły moskiewskie.

Ku każdemu z tych punktów, wojska moskiewskie, rozrzucone w całej Polsce, szybkim marszem dążyły.

— Widzicie, panowie, klatkę, do której zamkniemy nasze dzikie zwierzęta, robotę rozpoczęto i nic więcej nie wypada, jak tylko wzmocnić kraty, aby żaden z Padleców nie wymknął się z niej.

— Mają jednakże jeszcze jedną drogę otwartą, i co więcej, groźną pozycyę, którą mogą zająć, rzekł jeden z obecnych.

— Którą drogę? zapytał namiestnik.

— Częstochowę, zkąd mogą wziąść kolej żelazną z Warszawy i zrobić najazd na Kielce.

Rozśmiał się namiestnik.

— O tej godzinie teraz, generał Czengiery, z jedenastu kompaniami piechoty, czterema szwadronami kawaleryi i ośmiu działami, powinienby już zająć to miejsce, które w istocie, niesłusznie pominięto. Być może, iż artylerya jeszcze tam nie nadeszła, lecz konnica, która pierwej odjechała, jeżeli nie jest w mieście, to przynajmniej dosyć blizko, aby wyprzedzić wojska Langiewicza, zabarykadowane śniegami, a które, według ostatnich wiadomości, nie rozpoczęły jeszcze swoich ruchów.

— Czy te siły będą dostateczne do obrony fortyfikacyi?

— Do obrony, tak; lecz skoro odwilż ustanie i drogi będą podobne do przebycia, będziemy mieli

przynajmniej czterdzieści tysięcy ludzi skoncentrowanych do nieustannych poruszeń; pięćdziesiąt a nawet i sześćdziesiąt tysięcy dla zgniecenia tych buntowników, rozpędzenia ich armii i rzucenia szczątek do Wisły. Nim piętnaście dni minie, panowie, wojna zostanie ukończoną i we wszystkich kościołach warszawskich na wzgardę ich śmiesznej żałobie, zaśpiewamy papistom *Te Deum* urzędownie.

Pomimo nakazanego szacunku dla obecności Jego excellencyi, członkowie rady gorąco przyklasnęli.

— A teraz, panowie, najpilniejszą jest rzeczą porozumieć się co do działań, które powinny nas zaprowadzić do najbliższego niedalekiego zwycięztwa, zwycięztwa porządku, sprawiedliwości i ludzkości.

Generałowie przysunęli się do stołu dla wysłuchania instrukcyi, do których zastosować się mieli.

Rada trwała bardzo długo; trzecia po północy dochodziła kiedy się rozeszli.

*
* *

O tej samej godzinie, generał Czengiery którego marsz złe drogi opóźniły, po bardzo przykrej podróży, zbliżał się, ze swoją kawaleryą do Częstochowy.

Przypomniawszy sobie porażki Błagurowa, Mitweda i Swinina, wysłał naprzód z tuzin wedet, i pomimo tych ostrożności, posuwał się bardzo wolno, prowadząc ze sobą dwunastu czy piętnastu powstańców, których, dążących z księdzem do obozu Langiewicza, zabrał dnia poprzedniego z nienacka na drodze.

Ci powstańcy mieli być nazajutrz powieszeni w Częstochowie, a zawsze dla przykładu.

Oprócz tego, że ta egzekucya miała być zbawienną nauczką dla Polaków, był to jeszcze pewien rodzaj pokazywania narodowi, że chociaż moskale wynoszą się z jakiego miasta, to tylko dla tego, aby wkrótce do niego powrócić i zainstalować się w sposób dowodzący, że są panami.

Czengiery liczył że przez tę egzekucyę, powiększy się urok dla ojcowskiej władzy cara.

Zrabować skarbiec Jasnogórski byłoby z pewnością pożądańszem dla moskiewskiego generała i jego żołdaków, lecz czy to przez szacunek dla świętego miejsca, czy też lękał się oburzyć mieszkańców dotychczas jeszcze spokojnych i swoich własnych żołnierzy, dosyć, że namiestnik wyraźnie zabronił ruszyć cokolwiek ze skarbu kościelnego.

Zaledwie wiorstę od klasztoru, zwiady moskiewkie wracając tą samą drogą, doniosły o zbliżaniu się bandy buntowników, silnej od dwustu do trzystu ludzi, których straż przednia, zapuściła się już w las wprawdzie nie wielki, lecz tak gęsty, że niemożebnem było zejść z drogi, wytkniętej w gęstwinie leśnej.

Było to doskonałą łapką, jedna z tych rzadko trafiających się okazyi.

Był bowiem pewnym, że powstańcy, nie spodziewając się napadu, uzbrojeni tylko w kosy i jeden przeciw dziesięciu, skoro zobaczą długie piki kozackie, natychmiast rzucą swoją broń.

Ustawił więc Czengiery trzy ze swoich szwadronów na brzegu lasu, w miejscu, którędy mieli buntownicy wychodzić, i posłał pięciuset konnych, aby

z tyłu napędzili zwierzynę, w nieładzie, w urządzoną zasadzkę.

Kosynierzy nie domyślając się niebezpieczeństwa, szli z zapałem, z bronią na ramieniu i ze śpiewem na ustach, nucąc o Najświętszej Maryi Pannie Królowej Korony Polskiej.

Naraz dzikie hurra rozległo się po za tylną ich strażą, i z jednego końca drogi wysunął się szwadron kozaków, nadbiegający kłusem, gdy tymczasem straż przednia na której czele był Chusko z Cezarem widziała rozwijających się przed sobą w szyku bojowym, tysiąc pięćset kozaków, gotowych przyjąć uciekających, długiemi swemi pikami.

Nie było innego sposobu do wyjścia jak poddać się lub walczyć z rozpaczą.

— Bracia, zawołał Chusko, wywijają swoim karabinem jak maczugą, Matka Boska Częstochowska jest z nami! Bóg i Polska! naprzód!

— Bóg i Polska! naprzód! naprzód! krzyknęli Kosynierzy, przejęci ufnością, w boską swoją Opiekunkę.

I, jak huragan rzucili się na kozaków, zdumionych tem wściekłem natarciem, przebili ich linie, powrócili, uderzyli na zmieszane szwadrony, siekli, kłóli z nieopisanem uniesieniem, rozpędzili moskali, ścigali ich, odbili więźniów i nie przestawali uderzać aż kiedy Czengiery, w przestrachu pokazawszy plecy miastu Częstochowie, znikł z resztkami swoich szwadronów na łąkach, zalanych wylewem Pilicy.

Chusko wracając z pogoni, spostrzegł zdaleka Cezara, który, odłączywszy się od grupy Kosynierów, dawał mu znaki spiesznego przybycia.

Myśląc, że ma jakiego ważniejszego jeńca lub rannego Kosyniera, przyspieszył kroku.

Lecz Cezar połączył się już z towarzyszami; Adam nie żądając wytłomaczenia, wmieszał się szybko w tłum i krzyknąwszy radośnie, rzucił się w objęcia księdza Raskowskiego.

Zacny kapłan, od czasu barbarzyńskiego wypędzenia z Atrady, wiele cierpiał, więcej moralnie niż fizycznie: widział większą część swojej owczarni umierającą w lasach i boleść głębokiemi zmarszczkami poorała jego czoło; był wychudły i wynędzniały.

Umieściwszy w rozmaitych wioskach starców, niewiasty i dzieci, pozostałych przy życiu po zniszczeniu Atrady, poszedł z kilku młodymi ludźmi do lasu, przyłączył się do jednego z oddziałów i pełnił obowiązki kapelana do czasu, aż nie liczni partyzanci po stoczeniu bohaterskiej potyczki, rozproszyli się w rozmaite strony.

Piętnastu młodzieńców pozostałych z księdzem, próbowało połączyć się z armią narodową, i już zdawało się im że są ocaleni, kiedy pewnej nocy, kawalerya generała Czengiery niespodzianie otoczyła stodołę w której spali, i zabrała ich w niewolę.

Nielitościwie obili ich kozacy nahajkami, skrępowali i prowadzili na stracenia do Częstochowy.

Nazajutrz mieli już umrzeć, kiedy najniespodziewaniej nadszedł Chusko, by skruszyć ich pęta.

Z uczuciem przycisnął kapłan do serca naczelnika powstańców; łzy wdzięczności toczyły się po wybladłych jego policzkach, a wzrok wzniósł do nieba z niepodobnym do opisania wyrazem.

Wzruszony, nie mógł przez chwilę słowa wymówić, potem naraz, wskazując ręką złoty krzyż na wieży klasztornej, zawołał:

— Bracia, to nie zwycięztwo, lecz cudowne ocalenie! podziękujmy Opatrzności i zanieśmy pokorne modły do Matki Boskiej Częstochowskiej, Patronki Polski! [1]

— O Maryo, módl się za nami! odpowiedzieli Kosynierzy, padając na kolana.

Trzech tylko Kosynierów, z których jeden lekko był ranny, stali nieporuszeni.

— Bracia, dlaczego nie modlicie się także? zapytał kapłan.

— Ojcze, modlimy się wraz z naszymi towarzyszami, lecz jesteśmy Izraelitami i dziękujemy Bogu według przepisów naszego zakonu.

— Dobrze, dobrze, moje dzieci! odpowiedział kapłan z dobrocią, proście, i niech Bóg wszechmocny, Ojciec nas wszystkich, wysłucha waszych modłów.

I, powstawszy w pośrodku tych dzielnych Kosynierów, klęczących na bojowisku, złożył kapłan ręce, wzrok utkwił w krzyżu jaśniejącym w promieniach słońca, na wierzchołku Jasnej góry, i głosem wzruszo-

---

1 Historyczne. — Polska, 27 grudnia 1863.

nym odmówił tę modlitwę, którą podczas wojny, każdy powstaniec odmawiał tyle razy.

,,O Matko Boska, Opiekunko sierot i opuszczonych, błogosław tym, którzy w Tobie nadzieję pokładają, wspomnij Pani, na dawne łaski jakiemi ojców naszych obdarzałaś i weź pod swoją opiekę Polskę, w dniach gorzkiej niedoli!

,,Błagamy Ciebie, Matko, przez siedm boleści, które na Golgocie przeszyły Niepokalane Twoje Serce, nie dopuszczaj, aby szatan posiadł dusze tych, którzy Tobie zaufali; broń nas przeciw człowiekowi chciwemu krwi naszej, a nie znającemu litości!

,,Ulituj się nad nami, bo nasze życie strawione w boleści, a lata w konaniu, i nie mamy nikogo coby nam pomógł!

,,O Opiekunko nasza, błogosław nam i dopomóż, abyśmy za Twoją przyczyną i z Twojem imieniem na ustach, wypędzili zbójów pustoszących naszą ziemię, dziedzictwo Twojego Syna!

,,Zgnieć głowę węża, powikłaj piekielne knowania jego siepaczy i jego spólników, zdrajców swojej ojczyzny!

,,Tryumfuj raz jeszcze, o Matko Boska Częstochowska, Królowo połączonych na zawsze, Polski, Litwy i Rusi![1]

— Amen, odpowiedzieli Kosynierzy, powstając, a pełni ufności w cudowną pomoc Niepokalanej

---

1 Modlitwa rozdawana w Paryżu, we Francyi, podczas nowenny odmawianej na intencyę Polski w 1863 r.

Dziewicy, zwrócili oczy ku świętemu miejscu, do którego, przerwanym bojem, marsz rozpoczęli.

Na czele górali, sformowanych w kolumnę, szedł ksiądz Raskowski, podpierając się na ramieniu Cezara i Chuski.

Kapłan opowiadał młodemu porucznikowi historyę obrazu Najświętszej Panny, za której wstawieniem odnieśli zwycięztwo.

— Święta Helena,[1] mówił, matka Konstantego Wielkiego, znalazłszy cudownem zrządzeniem krzyż naszego Zbawiciela, miała to szczęście znaleźć i ten święty wizerunek, będący w posiadaniu kilku chrześcian, zamieszkujących domek św. Jana. Wydobyła go z wściekłych rąk obrazoburzców i oddała Karolingom; potem dostał go jeden z książąt ruskich, i długi czas obraz był na Rusi Czerwonej, aż Władysław, książę Opolski, odniosłszy za jego wstawieniem, prawdziwie cudowne nad Tatarami zwycięztwo, chciał go ponieść na Podole.

,,Początek podróży był nadzwyczaj łatwy, zdawało się, iż łaska boska sama wspiera zamiar, lecz kiedy przyjechano na Jasną–Górę, obraz stał się naraz tak ciężkim, że konie z miejsca ruszyć nie mogły, a koła wozu zagłębiły się w ziemi; wszystkie usiłowania aby jechać dalej, były daremne.

,,Władysław zrozumiawszy wolę nieba, wybudował kościół na tem miejscu, i powierzył go zakonowi świętego Pawła pustelnika.

---

1 Historya Polski, przez Cheve, tom I, str. 164.

— Ja sądziłem, rzekł Cezar, że ta tradycya pochodzi z czasu najazdu Szwedów?

— Coś podobnego stało się, mówił kapłan, mniej więcej w dwa wieki później, nie przez Szwedów, lecz przez Hussytów. Ci sekciarze, popchnięci chciwowością, już włożyli święty obraz na wóz, dla uwiezienia go; lecz chociaż mieli silne konie i sami pomagali zaprzęgowi, jednakże żadna siła nie była zdolną z miejsca poruszyć wozu.

„Rozwścieczeni byli heretycy. Jeden z ich naczelników, uniesiony gniewem, zbliżył się z gołą szablą, do cudownego obrazu, z bluźnierstwami na ustach, i podnosząc rękę, ciął z gwałtownością Najświętszą Dziewicę po dwa razy; nie mogąc zabrać obrazu, chciał go pociąć; lecz niespodziewanie, wydał krzyk pełen trwogi i cofnął się, cały drżący; krew jasna i czerwona wytrysnąwszy z rany zadanej na policzku Królowej nieba, skropiła twarz barbarzyńcy i oślepiła go.

„— Nieszczęście! nieszczęście! uciekając, krzyczeli Hussyci; niebo jest przeciw nam! nieszczęście! nieszczęście!

„W dwa dni później, cudowny obraz zanieśli katolicy do świątyni, a malarzom polecono zatrzeć ślady wyrządzonej zniewagi.

„Naprożno malowali farbami, bo zaledwie je położyli, zaraz spadały, odkrywając ranę; Najświętsza Panna nie życzyła sobie tego, mówi kronika.

— To był pierwszy cud Matki Boskiej Częstochowskiej, dodał kapłan.

— A ja byłem świadkiem ostatniego, odpowiedział Cezar.

— Pomiędzy tymi dwoma cudami, ciągnął swoje opowiadanie kapłan, było jeszcze wiele innych; najsławniejszy, to hańbiąca porażka Szwedów, których armia, przeszło ośm tysięcy ludzi licząca, została w 1655 odpartą od murów klasztornych, przez sześćdziesięciu ośmiu zakonników, pięćdziesięciu szlachty i stu sześćdziesięcin żołnierzy.

— Później, w 1770, w ostatnich czasach wojny o niepodległość, ośmiuset Polaków pod dowództwem generała Zamojskiego, potomka Andrzeja Zamojskiego, podczas pierwszego oblężenia, odparli armię moskiewską, prowodzoną przez okrutnego Derwicza.

,,Po długiem oblężeniu, podczas którego moskale przeszło trzy tysiące strzałów armatnich i przeszło sześćset bomb rzucili, ich generał został zmuszony cofnąć się, straciwszy przeszło tysiąc pięćset ludzi, sam wyznał tłomacząc swoją porażkę, iż niemożebnem było prowadzić do szturmu na klasztor żołnierzy, którzy zamiast maszerować w porządku, żegnali się i klękali, lękając się przekleństwa Najświętszej Panny.

— Czy było to pozornem czy też prawdziwem uczuciem bojaźni? zapytał Cezar.

— Było to naturalnem, mój synu, odpowiedział kapłan. Cuda Matki Boskiej Częstochowskiej są tak dowiedzione, że nawet schizmatycy lękali się doświadczyć mocy świętego obrazu, a rok rocznie, liczne pielgrzymki, liczące przeszło pięćdziesiąt tysięcy ludzi, przychodzą grupami po trzysta do czterysta osób, pie-

szo, z pieśnią na ustach, z Polski, z Węgier, z Austryi, i z Rosyi, prosić pomocy u naszej cudownej Patronki, Matki Boskiej Częstochowskiej.

— I to tłomaczy, dodał Chusko, dlaczego generałowie moskiewscy, aż do dnia dzisiejszego, nie śmieli, obawiając się buntu swoich żołnierzy, zrabować skarbca kościelnego.

— Czy ten skarb rzeczywiście jest znaczny?

— Jest ogromny! nieoceniony! odpowiedział Chusko, zwiedziłem go dwa razy z Tadeą i z dwoma naszymi męczennikami, jest to świetny stos złota i drogich kamieni. Od wieków, nie ma zdaje się, ani jednego króla polskiego, ani jednego cara moskiewskiego, któryby nie zbogacił skarbca kościelnego jakim drogocennym podarunkiem.

— W 1713, rodzina Sobieskich ofiarowała Najświętszej Pannie trzy aksamitne sukienki, jedną wyszywaną dyamentami, drugą rubinami, trzecią perłami. W 1672, wojewoda Sieradzki podarował monstrancyę z czystego złota, 22 funty ważącą, ozdobioną 2,366 dyamentami, 2,208 rubinami, 30 safirami, 80 szmaragdami i 214 perłami. Mógłbym przytoczyć więcej podarunków nie mniej kosztownych, lecz sam zobaczysz, i . . . .

— O, Matko Boska! o, nasza Królowo! obraz! obraz! wołali Kosynierzy, zdejmując czapki i klękając u stóp Jasnej–Góry.

Cezar podniósł oczy i wspaniały ujrzał widok: drzwi wielkiego kościoła na roścież były otwarte, tak że można było widzieć w głębi nawy ołtarz jaśniejący

złotem i światłem, a przed świętym przybytkiem wychodzącą procesyę mężczyzn i niewiast w żałobie, poprzedzanych duchowieństwem w szatach również żałobnych i krzyżem pokrytym krępą.

Procesya ta szła naprzeciw zwycięzkiego oddziału.

Vexilla regis prodeunt,
Fulget crucis mysterium,

szeptał ksiądz Raskowski schylając głowę z szacunkiem.

— Dlaczego nie dzwonią? i dla czego księża nie śpiewają? zapytał Cezar.

— Kościół jest w żałobie od czasu wygnania jego pasterza, odpowiedział kapłan, żadna więc uciecha na zewnątrz nie może być okazywana, jednakże *Te Deum* będzie odśpiewane w dowód wdzięczności.

Procesya przyszedłszy na jakie dwadzieścia kroków od Kosynierów, zatrzymała się, otworzyła szeregi, zrobiła miejsce wojownikom i bez wyrzeczenia jednego słowa, wróciła do świątyni.

Naprzód szedł chłopiec z krzyżem, potem niewiasty w żałobie, potem mężczyzni bez broni, potem duchowieństwo, a następnie Kosynierzy po trzech, poprzedzani uwolnionymi jeńcami i komendantem z gołą szablą w ręku, z orlim piórem u rogatki, jako godłem swojej władzy i symbolem męztwa.

Za ostatnim żołnierzem, zatoczyły się drzwi na swoich zawiasach i zamknęły się, księża przyklękając przed ołtarzem, udawali się do zakrystyi, by zdjąć żałobne szaty.

Na kolanach, pod milczącem sklepieniem, lecz jaśniejącem światłem i w obecności cudownego obrazu, umieszczonego nad ołtarzem, ćmiącego blaskiem jak Tabor, mężczyzni, niewiasty i dzieci, z czołem pochylonem ku ziemi, modlili się w milczeniu.

Nigdy może jeszcze Cezar nie czuł tak prawdziwie po chrześciańsku wzruszonej swojej duszy jak w owej chwili. Od dawna było jego życzeniem odbyć pielgrzymkę do Częstochowy i wpatrywać się w ten cudowny obraz, o którym tyle razy słyszał od matki będąc jeszcze dzieckiem; było to wprawdzie dla oddania czci Najświętszej Pannie, ale także i nie bez przymieszki ciekawości, by zobaczyć malowidło zrobione jak mówi podanie, przez świętego Łukasza apostoła, na stole, w domu świętego Jana.

Nie mówiąc już o cudowności tego obrazu, tylko jako o dziele sztuki, jest on bardzo piękny i każdego zwraca uwagę. Liski z pewnością uznałby go arcydziełem, godnem zająć honorowe miejsce w jakiem bogatem muzeum. Co zaś do Swinina, Błagurowa i Pillardowa, ci naturalnie wzgardziliby malowidłem, ale za to, oceniliby wartość dyamentów i kamyczków, które na sukience w krążku promiennym nad Panem Jezusem i Najświętszą Panną, są zgromadzone; zaostrzyłyby ich chciwość także złote ramy, delikatnie dłótkiem wyrzynane.

Szczęściem dla Cezara, że nie tylko był artystą, lecz także i przedewszystkiem polakiem i katolikiem. Utkwiwszy wzrok w cudownym obrazie, cały wzruszony, zapomniał o malowidle, myśląc tylko o Kró-

lowej i Opiekunce Polski. Zdawało mu się że ten obraz jest żyjący, że krew jeszcze płynie z ran otwartych na policzku, szablą heretyka zrobionych, i że wzrok Matki Boskiej Częstochowskiej, pełen nieskończonej miłości i smutku, skierowany jest na dół, na lud klęczący, z takim szacunkiem, w Jej przybytku.

Naraz, trąbki zagrały, wierni powstali, Kosynierzy sprezentowali broń, kapłani, w złotem błyszczące szaty przyodziani i niosąc wspaniałą monstrancyę, podarunek jednego z królów polskich, weszli na stopnie ołtarza otoczonego dymem z kadzielnic, przy poważnym i uroczystym śpiewie Boże coś Polskę, po którym zwycięzkie *Te Deum* ze wszystkich jednocześnie wydobyło się piersi; wzniósł się głos pod sklepienie, a odbijając się o nie, rozległ się w obszernej nawie hukiem, podobnym do grzmotu.

Nigdy jeszcze tak silne wzruszenie nie ogarnęło duszę Cezara; ukląkł na płytach kamiennych i modlił się długo.

Kiedy powstał, śpiewy ustały i tłum zaczął wychodzić.

Zmieszał się z nim i wyszedł z Adamem.

W chwili kiedy mieli przestąpić próg kościoła, jakiś głos niewieści wyszeptał imię Adama.

Zadrżał Chusko, a obracając się żywo, zawołał:

— Tadeo! droga Tadeo!

Nie pomylił się, była to ona w istocie, lecz wyciągnięte ręce Adama napotkały wpierw małego Andrzeja.

Przycisnął go do serca i okrył pocałunkami.

— Nie uduś go, nie uduś go, powtarzała Tadea, której schudzoną twarz, promień szczęścia rozjaśniał.

— Drogie dziecię, mój Andrzeju, jaki ty jesteś piękny! jak podrosłeś odkąd cię nie widziałem; poznajesz–ty mnie, mój Andrzeju?

Jako odpowiedź, dziecię objęło szyję ojca pulchniutkiemi rączkami.

— Poznał mnie, widzisz, Cezarze, poznał mnie, wykrzyknął Chusko uradowany; poznajesz twego ojca, mój aniołku ukochany.

I obsypywał go pieszczotami.

Matka była tak szczęśliwą szczęściem swego męża, tak dumną z zachowania się swego syna, że nawet nie spostrzegła iż o niej zapomniano.

A kiedy Cezar zbliżywszy się do niej, serdecznie uścisnął jej ręce, został uderzony zmianą jej rysów twarzy.

— Wiele wycierpiałaś, kochana Tadeo! odpowiedział.

— Niewiasta wskazując na męża i syna, odrzekła:

— Cóż to znaczy, jeżeli teraz tak jestem szczęśliwą?

I nachyliwszy się by pocałować dziecię, zajrzała mu w oczki.

Postawa Andrzeja była tak pełną wdzięku, jego uśmiech tak miły i pełen miłości, że Cezar klasnąwszy w ręce, zawołał:

— Ach, co za piękny obraz! potrzebaby pendzla....

— Rzeczywiście, Cezarze, rzekła matka z czarownym uśmiechem, Andrzej mógłby ci służyć za model do twoich obrazów. Czy przypominasz sobie jak w Atradzie. . . .

— Biedna Atrada, przerwał Cezar, wzruszony, nie zobaczemy jej więcej, moskale tamtędy przeszli.

— Och! żeby tylko tyle złego zrobili, blednąc wyszeptała Tadea, przypominając sobie śmierć brata.

I wybuchnęła płaczem.

— Odwagi, Tadeo! odwagi! krew należy do ojczyzny, a prawdziwa polka nie powinna płakać za tymi, co bohaterską polegli śmiercią, walcząc za wiarę i wolność.

— Dlaczego mówisz ci co polegli? zapytała z przestrachem; czy mój ojciec, Marta lub Michał mieliby też. . . .

— Nasz ojciec i Marta są w obozie Langiewicza i zdrowi, lecz Michał. . . .

— Czy także nie żyje?

— Jego dusza jest w niebie, rzekł Chusko z wyrazem uroczystego smutku, a jego zwłoki spoczywają obok zwłok Grzegorza, pod stopami tego samego krzyża, tam gdzie obadwa polegli dla ocalenia armii na polach Węgrowa.

— Grzegorz zginął pod Węgrowem, wykrzyknęła biedna matka, z pełnym boleści wyrazem, ach! więc nie wiesz. . . . On nie zginął w bitwie pod Węgrowem. . . . w Warszawie go. . . . zamordowali!

— Ten co ci to powiedział, zwiódł cię, Tadeo, odpowiedział Chusko, bo. . . .

Nieskończył, straszne podejrzenie powstało w jego umyśle.

— Nikt mnie nie zwiódł, Adamie, odpowiedziała wolno, bo ja sama byłam przy jege egzekucyi; mówił do mnie a ostatnie jego słowa były: Powiedz im, że umarłem jak chrześcianin!

Cezar i Chusko spojrzeli na siebie zdziwieni, a ich oczy mówiły: Zmysły straciła!

— Nie, nie, mówiła, robiąc ruch przeczący głową i kładąc rękę na piersi, jakby chciała przeszkodzić, by nie pękło jej serce; wiele wycierpiałam, lecz nie straciłam rozumu. Wierzcie mi, to co mówię, widziałam; słowa które wam przynoszę, słyszałam. Byłam niespokojną o was wszystkich, o ciebie, Adamie; nie mogłam żyć w takiej niepewności tysiąc razy gorszej niż niebezpieczeństwo i śmierć. Wróciłam na Mazowsze odszukać was; Bóg mnie poprowadził do Warszawy, na plac arcybiskupi, o godzinie w której przywieziono więźniów. Grzegorz był pomiędzy nimi, a niebo pozwoliło mi go poznać pod stopami szubienicy. On także, biedny brat, spostrzegł mnie i mówił do mnie na parę sekund przed śmiercią, nie jako żołnierz, lecz jako zbrodniarz, stracony . . . . ręką kata. Ach! to okropne! bardzo okropne, biedny brat!

Chusko był jak z nóg zwalony. Chwilę nie mógł wyrzec słowa; lecz naraz oczy mu ogniem zabłysły i potrząsając głową, zawołał:

— Mordercy i podli! kiedy my uwalniamy ich więźniów, opiekujemy się ich rannymi, oni męczą i mordują naszych braci. Biada tym, którzy wpadną

w moje ręce, bo nie będzie dla nich ani litości ani przebaczenia!

— I bardzo słusznie, to jest naszą powinnością, odpowiedział Cezar; moskale nie są ludźmi, są dzikiemi zwierzętami, które trzeba wytępić.

— A więc zemsta! ryknął Chusko, wskazując zaciśniętą pięścią dom, do którego wniesiono rannych kozaków; zemsta!

— Płać dobrem za złe, powiedział nasz Zbawiciel, odezwał się jakiś głos łagodny, lecz stanowczy.

— Któż to, tutaj, rzekł niecierpliwie Chusko, ośmiela się . . . .

Lecz, nie skończywszy zdania, pochylił głowę przed poważnym wzrokiem czcigodnego księdza Raskowskiego.

— I to w chwili, mówił dalej starzec, zbliżając się ze smutkiem, kiedy Królowa nieba dała twojej broni cudowne zwycięztwo, w chwili, kiedy pozwoliła małżonkowi i ojcu używać niespodziewanego szczęścia, chrześcianin, obdarzony wszystkiemi jej łaskami, ośmiela się zasmucać tę Matkę możną i szlachetną, postanowieniami niegodnemi człowieka z sercem i prawdziwego Polaka?

— Lecz, cóż chcesz, mój ojcze abym uczynił? wyszeptał Chusko.

— Spełń twoją powinność, mój synu, twoją powinność przedewszystkiem.

— Lecz jakaż to jest ta powinność? wtrącił Cezar.

— Jest napisaną w Ewangelii, mój synu: Płać dobrem za złe.

— I z tą maksymą, będziemy zawsze ofiarami.

— Lepiej być męczennikiem jak katem, odpowiedział kapłan.

Wpływ cnotliwego księdza Raskowskiego zdziałał tyle, że obadwa gorąci patryoci uczuli się zwyciężonymi.

— Niech się tak stanie jak sobie życzysz wielebny ojcze, rzekł Chusko z pokorą.

— Życzę sobie, mój synu, abyście stali się tak wielkimi w obec Boga jak mężnymi jesteście w obec ludzi.

I, zbliżywszy się do Tadei, której mąż oddał Andrzeja, wyciągnął nad ich głowami ręce, pokaleczone kajdanami i pobłogosławił matkę i dziecię.

W tym samym czasie, rozgłośny okrzyk radości, zabrzmiał na placu i z uniesieniem, z tysiąca piersi wydobyte: Niech żyje Polska! powitało sztandar narodowy, dumnie powiewający na szczycie wieży, po nad złotym krzyżem, godłem zwycięztwa i wolności.

Jasna-Góra jeszcze raz była w posiadaniu Polaków.

Ogólna radość tego dnia panowała w mieście a wieczorem, moskale mogli widzić, zdaleka, wieżę o siedmiu piętrach, jaśniejącą światłem.

O trzydzieści wiorst ztamtąd, pod mostem kolei żelaznej, niedaleko wioski Kłomnice, jakiś człowiek, korzystając z ciemnej nocy, skończył tajemniczą pra-

cę; ręce miał krwią zbroczone i czoło zroszone potem; lękał się, iż nie skończy jej na czas.

W końcu puścił belkę której trzymał się zawieszony, przywiązał szpagat umaczany w flaszeczce spirytusu, i, okrywszy się kożuchem, przyczaił się za krzewami jałowcemi.

Już od godziny siedział tak nieruchomy, kiedy w oddali toczenie pociągu dało się słyszeć, i, prawie zaraz, ostry świst maszyny donosił o zwolnieniu jego biegu, dla zatrzymania się w wiosce, gdzie wojska moskiewskie, wysłane z Warszawy, miały się skoncentrować.

Człowiek wydobył z kieszeni krzesiwo i zapalił kawałek hupki.

Nie więcej jak o dwieście kroków pociąg był oddalony od mostu, kiedy zatlił się knot przygotowany, nie dłuższy jak ćwierć łokcia.

Jednym skokiem ukrył się człowiek za ogromną jodłą i położył się na brzuchu.

Straszny huk rozległ się w tym samym czasie i most rozstrzaskany wyleciał w powietrze, rozrzucając na wszystkie strony pogięte szyny, żwir i kamienie; nadjeżdżająca lokomotywa wpadła w otwartą przepaść, pociągając za sobą wagony, napełnione moskalami.

Człowiek, który był sprawcą wybuchu, uciekał do lasu, gdzie ukrył swoje sanie. Tam, zatrzymał się, z dziką radością przysłuchiwał się krzykom rannych i umierających, wystrzałom nabitej ich broni i niewyraźnemu szmerowi, zawsze wtórującemu wiel-

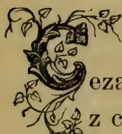
kiej katastrofie. Wówczas, pewny że dokazał swego, zatarł ręce i z szatańskim śmiechem wsiadłszy na sanie, oddalił się, szepcząc:

— Spoczywaj w pokoju Rubenie, śmierć twoja dostatecznie będzie pomszczoną! To dopiero początek, Swinina tam nie było, lecz na Boga Izraela przysięgam ci, i jego kolej nadejdzie!



XXIII.

Prokonsulowie.



ezar od dwóch dni bawiący w Częstochowie, z ciekawością połączoną z zachwytem przyglądał się z tarasy klasztornej, wspaniałemu widokowi odwilży w tym pięknym kraju.

Może jeszcze nigdy jak w obecnej chwili, nie żałował tak mocno, iż nie wziął się szczerzej do malarstwa.

Z wysokości na której stał, widział pola pokryte jeszcze śniegiem, a u nóg swoich toczące się fale półprzezroczystej mgły. Tu i owdzie, z tego mlecznego morza, wynurzały się przy odblaskach opalowych, czarniawe szczyty skał i zaokrąglone wierzchołki pagórków zdających się kołysać jak wyspy niezmiernego archipelagu.

Był to świat fantastyczny, obraz jaki jedynie widzieć można w krainie czarodziejskiej: cień i mgła śnieżna na dole, ciepło i światło na wierzchu.

Tu lato, tam zima.

Rodzaj cichego, lecz rozległego szmeru, towarzyszył przebudzeniu się natury; cały ten szmer zlewał się w jedną poważną i smętną melodyę. Igły na drzewach okryte szronem, kołysząc się słabe kruszyły pęta, a z gałęzi jodłowych jak deszcz dyamentów, jasne grudki lodu spadały; tysiące tych klejnocików zawieszonych na kończynie każdego listka, rozgrzanych słońcem, iskrzyło się wzdłuż każdej gałązki. Tu, na kamieniu lub na korzeniu, słabo szeleściły małe wodospady, utworzone z topniejących się śniegów; tam, szemrał strumień; trochę dalej, spadająca ze szczytu skały, massa śniegu lub bryła lodu, podmyta u spodu, toczyła się z głuchym łoskotem wzdłuż stromej przepaści; ptaki otrząsnąwszy swoje skrzydła, ze śpiewem dziękczynnem Stwórcy, wzbijały się w pas cienisty, by pod lazurowem zniknąć niebem; a w głębi doliny, w najciemniejszem jej miejscu, gdzie wyziewy najwięcej zgęszczały się, słychać było szum rozlanych wód Warty, której rozhukane fale potrącając się, ostatnie ze swych brzegów wyrywały lody.

Ta smętna melodya natury, niepojętem uczuciem upajała duszę Cezara, to też patrzał i słuchał, zdawał się nawet rozpoznawać ten ton poważny i smętny, chociaż go nigdy nie słyszał.

Naraz zadrżał i ręką przetarł oczy, jak gdyby chciał otrząść się ze snu.

O kilka kroków tylko, na ganku domu zamieszkałego przez Tadeę, góral, otoczony milczącymi towarzyszami, zaczął nastrajać gęśl swoją do jednej z pieśni, ulubionych przez Polaków.

Artysta całą duszą, i natchniony tą samą wspaniałą sceną co i jego porucznik, wydobył kilka smętnych akordów ze swego instrumentu, a potem, silnym i miłym swoim głosem rzewną pieśń *Duch Polski*, zaśpiewał: [1]

I.

Kłamią ci, co mówią, że duch Polski nie żyje, dlatego, że jest przytłumiony despotyzmem, jak płomień lampy pod podmuchem huraganu; on żyje, ognisty i dumny jak w dniach wolności.

II.

Duch Polski podobny jest do młodego męczennika o dumnej i bohaterskiej twarzy, który krzyż do piersi przyciska i oczy pełne miłości i nadziei wznosi do nieba w chwili, gdy kaci krępują jego ręce konopnym sznurem, u stóp szubienicy.

III.

Duch Polski jęczy i płacze podczas świetnych nocy miesięcznych w puszczach litewskich, w tym oceanie liści, gdzie tajemnicze echo sprawia szelest podobny do powstającego narodu.

IV.

Duch Polski wyraża się w spokoju i godności na wychudłych twarzach pielgrzymów, których kozacy bijąc knutem, wloką na wygnanie, daleko od grobów ich przodków. — On krążkiem promiennym wznosi się nad szubienicami męczenników i oświeca przerażającą samotność nocy.

---

1. Patrz Croise, 4 stycznia 1868.

V.

Duch Polski nie może umrzeć; tam, w mgle i w cieniu, słuchajcie bracia. siedząc nad brzegiem rzeki o wielkich wodach modli się i płacze, jak niegdyś Izraelici w niewoli babilońskiej.

VI.

Duchu Polski, wznieś oczy do nieba; tu, pod tą chmurą, na górze zbawienia, na tej świętej Jasnej-Górze, otoczonej światłem i kąpiącej się w lazurowem niebie, na skale, której piekło przemódz nie może, wznosi się siedmio-piętrowa wieża jak jasna latarnia morska. Duchu Polski, patrz i miej nadzieję, bo oto w szczycie dzwonicy jaśnieje krzyż złoty, na którym wyryte są słowa, że twoi synowie nigdy cię nie zapomną: w tym potężnym znaku jest siła i zwycięztwo, walczyłeś za krzyż, i przez krzyż będziesz zbawiony.

VII.

Nie, duch Polski jeszcze nie umarł, nie zginął; dzisiaj płacze, lecz jutro ryknie jak lew, w chwili walki Kosynierów; prośmy o pomoc potężnej naszej Matki, Matki Boskiej Częstochowskiej, Jej Syn był ukrzyżowany, a bezbożni powiedzieli, że umarł; lecz On odepchnął śmierć jak szmatę, którą rzuca się daleko — i dzisiaj żyje, panuje i rządzi światem. Odwagi bracia, duch Polski nie zginie.

— O Matko Boska Częstochowska, Królowo i Patronko Polski, módl się za nami! jednocześnie zawołali Kosynierzy, skoro góral przestał śpiewać.

I rozeszli się rozmawiając.

Cezar stał zadumany; ten głos wewnętrzny teraz zrozumiał, górale go wymienili, i zawsze pogrążony w zadumie, słuchał westchnień *Ducha Polski*.

— O czem myślisz? zapytał go ktoś z bliska.

— To pytanie obudziło go, obrócił się i spostrzegł Adama niosącego Andrzeja na ręku.

— Co za dziwna pora roku, ta wiosna w Polsce, odpowiedział, i jak mało podobną jest do wiosny we Francyi.

— To prawda, rzekł Chusko, uśmiechając się; lecz na Północy nie ma ani wiosny ani jesieni.

— Co mówisz? wierząc ci, zdawałoby, się, że tylko są dwie pory roku.

— Tak, mój kochany; a cóż to jest wiosna, jeżeli łaska?

— Zawsze słyszałem, iż to jest przejście z zimna do ciepła.

— Doskonale. To przejście nie istnieje już tam, jak nie istnieje przejście z ludu do arystokracyi, z ubóstwa do zamożności. We Francyi, macie mieszczaństwo, macie również klasę tak nazwaną zamożną; w Polsce, a jeszcze gorzej w Rosyi, jest się księciem lub wieśniakiem, Jobem albo Krezusem, samowładcą lub niewolnikiem, nie ma pośredniego stanu. Tak samo jest i w rozmiarze pór roku; przechodzi się nagle z jednej ostateczności w drugą; wczoraj była zima, dzisiaj lato. Pod biegunem północnym, jest jeszcze lepiej; pewnego pięknego rana ukaże się słońce na horyzoncie i przez sześć miesięcy, nie ma nocy; wtedy jest lato; potem nagle zniknie i przez drugie sześć miesięcy jest noc albo, jeśli wolisz, zima.

— Miałem studyować na miejscu ten fenomen, dzięki Swininowi, przerwał Cezar; i, bez twego wdania się, byłbym dziś w drodze do Syberyi.

— Kto wie, rzekł Chusko, czy wkrótce nie poślą nas tam razem?

— Do Syberyi?

— Tak, do Syberyi; czy nie wiesz, że to jest zwykły los obrońców ojczyzny i wolności.

— To dziwne; słuchając ciebie, nie dałoby się wiary że odnieśliśmy zwycięztwo, i że Langiewicz jest naczelnikiem armii narodowej . . . .

Dowódzca Kosynierów zrobił przeczący ruch głową.

— Lepiejby było bez dyktatora i bez armii narodowej, i Włodzimierz Kirpowski bardzo słusznie powiedział, że ta armia jest raczej niebezpieczeństwem niż pomocą.

— Czy otrzymałeś jakie niepomyślne wiadomości, że tak mówisz?

— Bardzo złe, odrzekł Chusko, zniżając głos; moskale gromadzą się w znacznej liczbie w około Miechowa, i co gorsza, że nasz obóz zapełniony jest tajną policyą i szpiegami, którzy bezczelnie wyzyskują zazdrość i zawiadamiają wrogów o wszystkiem co się dzieje; tej nocy nawet, otrzymałem przez zaufanego posłańca długi list Maryana z rozkazem, abym opuścił Częstochowę skoro moskale rozpoczną kroki zaczepne, i przyszedł niepokoić kolumny wrogów, nie zbliżając się do Miechowa, w odległości przeszło dziesięcio–wiorstowej na północ, podczas gdy Narbut

będzie w ten sam sposób działał na zachodzie, dla rozdzielenia ich sił.

— A Tadea?

— Stanowczo odmawia wyjechać po raz drugi z Polski; Matka Boska Częstochowska weźmie ją w opiekę, w Jej to potężne ręce oddaję moją żonę i Andrzeja.

— Czy ksiądz Raskowski także zostanie z . . . .

— Pojechał dziś rano przededniem, ze Szczepanem i trzema naszymi ludźmi.

— Dokąd pojechał?

— Do obozu pod Miechowem gdzie, jak mówił, jego pomoc duchowa jest potrzebniejszą niż tutaj, tembardziej, iż spodziewa się tam zastać wielu dawniejszych swoich parafian.

— Skończy także na Syberyi.

— Albo na szubienicy, co jest prawdopodobniejsze; dziś nie oszczędzają księży.

— A kiedy pójdziemy?

— To zależy od wiatru południowego; za trzy dni, jeżeli takie powietrze pozostanie; nie pójdziemy przed piętnastu dniami, jeżeli znowu mróz weźmie.

— Najlepiejby było w pośrodku.

— Ty nie masz ani żony ani dziecka, rzekł Chusko, całując swego Andrzeja z niewymowną czułością. Potem dodał:

— Niech się spełni wola Boska.

— Czy Tadea wie o tem?

— Nic jej jeszcze nie mówiłem, lecz jej serce wszystko odgadło; chciałbym to przed nią zatrzymać

w tajemnicy, ale jej oczy czytają w głębi mej duszy; wczoraj jeszcze....

— Generale, rzekł Szczepan, zbliżając się z ręką przy rogatce. posłaniec pragnie z tobą mówić.

— Zkąd przybywa, z Miechowa?

— Nie wiem, generale, lecz musiał iść doliną, bo cały zmoczony i zdaje się być bardzo znużony.

— Dobrze, idę; Cezarze, bądź łaskaw zanieść Andrzeja matce; ojczyzna przedewszystkiem.

I, pocałowawszy synka w czoło oddał go kuzynowi, i szybkim oddalił się krokiem.

Cezar trochę zapłopotany dzieckiem, którego nie umiał nosić, skręcił ku domowi.

Spostrzegła go Tadea, i śmiejąc się z jego niezręczności, wyszła na przeciw.

Zdaleka Andrzej wyciągał do niej rączki.

— Prawdziwie siostro, jestem złą niańką, rzekł młodzieniec, oddając jej syna.

— Więcej to warte dla Polski, że jesteś dobrym żołnierzem, odpowiedziała.

Gdzie poszedł Adam?

Do obozu, w interesie służbowym.

— Pewnie posłaniec przyjechał?

— Jakto! Już miałby nowy przyjechać?

— Dwóch tej nocy, Cezarze; czy niewiedziałbyś o tem?

Młodzieniec zwiesił głowę, nie odpowiadając.

— Przebacz, bracie, źle zrobiłam pytając cię, wojna to nie moja rzecz; lecz co chcesz, wygnanie pełne trosk i niepokoju zrobiło mnie podejrzliwą

i bojaźliwą. Ta odwilż przeraża mnie, ona bowiem paraliżuje ruchy naszej małej armii pod Miechowem, gdy tymczasem nieprzyjaciele korzystając, otaczają drogę żelazną warszawską jak również szosy kielecką i radomską; kiedy cofną się wody zalewające dolinę i drogi staną się niepodobne do przebycia, lękam się, czy Langiewicz wówczas nie zostanie zupełnie obsaczonym.

— Twoje obawy są niesłuszne, Tadeo, Maryan ma pod swemi rozkazami przeszło sześć tysięcy ludzi.

— Przeciw przeszło pięćdziesięciu tysięcom cóż to znaczy? i żeby chociaż dobrze byli uzbrojeni.

— Mają za sobą Boga i sprawiedliwość, Tadeo, i odniesiemy zwycięztwo.

— Może masz racyę, a byłabym zapewniona gdybym nie potrzebowała lękać się jak tylko o siebie, lecz jestem córką. siostrą, krewną, żoną i matką polską i o wiele osób, które mi są drogie, jestem niespokojna; pst! Chusko idzie.

Naczelnik Kosynierów nadchodził z zachmurzonem czołem i zmarszczonemi brwiami. Chwilę przechadzał się milczący, potem zatrzymał się, uderzył nogą i znowu chodził.

— Cezar i Tadea spoglądali na niego w milczeniu.

— Brzydzę się zdradą, wykrzyknął Chusko, to broń tchórzów.

— Mój Boże, znowu, zdrada! rzekła Tadea.

— Tak, zdrada i to zdrada, którą mnie przypisują; niewinny w tem jestem, lecz lękam się, czy to

nie zrobił jeden z naszych, ponieważ została wymierzoną przeciw moskalom.

— Jakto, przeciw moskalom, zawołał Cezar; och! wówczas....

— Cezarze, nie mów tak, przerwał surowo Chusko; zdrada, której się jest ofiarą, jest nieszczęściem, a całą jej korzyścią jest wstyd i hańba. Otóż w trzech dniach, na trzech różnych stacyach, zawaliły się mosty na drodze żelaznej pod pociągami wiążącemi wojsko; onegdaj pod Radomskiem, wczoraj pod Kamińskiem; podobno, jak mówił mi posłaniec, przeszło pięćdziesięciu moskali jest zabitych i prawie tyle rannych, pomiędzy którymi ma być generał Błagurow, organizator hajdamaków.

— Czy bardzo ranny?

— Tak, musiano mu odjąć obie nogi, a o tej godzinie, teraz, pewnie już nie żyje.

— Kto uderzał nożem, umarł od noża, odpowiedział Cezar: to sprawiedliwie.

— Biada temu, kto niebieskiej sprawiedliwości robi się narzędziem! z odrazą wyszeptała Tadea.

— I nie znają sprawcy, tego wykolejania? zapytał porucznik Kosynierów.

— Nikt o niem nie wie.

— No, to szczególniejsze.

— Aby coś podobnego zrobić w sposób tajemniczy, widocznie burzyciel mostów nie ufa nikomu jak tylko sobie, i jest silnym i energicznym; lecz jakież uczucie nim kieruje? chciwość z pewnością nie, bo nie korzysta z katastrof, a z naszej strony, jak również

i od naszych wrogów, nic się spodziewać nie może chyba strasznej kary.

— A może to jest jaki zapalony patryota, rzekła Tadea.

— Nie, patryota otrzymałby rozkaz od swoich naczelników, a żaden z nas nie rozkazałby podobnej zdrady.

— A więc nie jest to co innego jak zemsta, wykrzyknął Cezar, a tym człowiekiem jest Abraham.

— Żyd Abraham! Och! mój bracie, bardzo mało go znasz kiedy go tak znieważasz; bądź pewnym, że w mojem życiu nie spotkałam tak bojaźliwego i tak goniącego za zyskiem Izraelity.

— Wilczyca jest także tchórzliwem zwierzęciem, Tadeo, i przed dzieckiem ucieka; lecz niech strzelec spróbuje wydrzeć z jej paszczęki kawał mięsa co je pożera, lub porwać jej wilczątka które karmi, a nie zważając na siłę i broń swego przeciwnika, rzuci się na niego by go rozszarpać. Abraham miał złoto, moskale mu je skradli; miał piękną synowicę, zamordowali ją; syna porwali i w oczach umęczyli, pomimo obietnicy, iż oddadzą go ojcu. Zrujnowany, męczony, oszukany, samotny, stary Izraelita nie myśli o niczem więcej jak tylko o zemście; widziałem go tego samego dnia kiedy przez zręcznie urządzoną z jego strony zdradę, armie piekielne Swinina i Mitweda wpadły w naszą zasadzkę, ten żyd nie był podobnym do człowieka, jego oczy rzucały błyskawice nienawiści, a usta kurczyły się uśmiechem tygrysa. Spodziewał się, że Polacy pomogą mu w zemście, mordując wię-

źniów, a kiedy Maryan odmówił, żyd nas opuścił i poszedł sam jeden; lecz w dwa dni później, Pillardow jeden z morderców jego syna, znikł, uniesiony przez Izraelitów, i odtąd nikt o nim nie słyszał. Swinin, ten potwór, znalazł godnego siebie w nim przeciwnika; wprawdzie Abraham przegrał pierwszą partyę, lecz gra dalej, by ją odegrać; biada temu z nich, który wpadnie w pazury drugiego.

— Przesadzasz Cezarze, blednąc wykrzyknęła Tadea; to zanadto nikczemne, aby było prawdziwe. Adamie, to niepobne, nie prawda?

— Ja myślę, przeciwnie, że Cezar odgadł, odpowiedział Chusko i że dotychczasowe katastrofy są dopiero początkiem dzikiego dramatu, który w gwałtowny sposób się rozwiąże.

— To straszne! do prawdy, powtórzyła Tadea; ach! prawdę powiedział mój ojciec, iż lepiej być ofiarą niż katem.

I, jak gdyby te słowa zbudziły jej niepokój, zalała się łzami, całując Andrzeja.

* * *

O tej samej godzinie, raz idąc z wielką trudnością przez zalane pola, gdzie w błotnistej i zimnej wodzie brnęli aż do pasa, to znowu wdzierając się po wzgórzach, pod skwarem słonecznym, ścieżkami błotnistemi i ślizgiemi, trzej Kosynierzy i ksiądz Raskowski, wyszedłszy o brzasku dnia w przedsięwziętą tak heroicznie podróż, dążyli do obozu Langiewicza.

Pospieszali, aby nie przyjść zapóźno, bo tylko oni sami i Chusko, znali ważność niebezpieczeństwa grożącego armii narodowej.

To niebezpieczeństwo było nieuchronnem i bliskiem tak wewnątrz jak na zewnątrz; wewnątrz zdrajcy siali niezadowolenie i nieufność, a okłamując generała fałszywemi raportami, jednocześnie zawiadamiali wrogów o wszelkich tegoż zamiarach; na zewnątrz, pięćdziesiąt tysięcy moskali czatowało na zdobycz, pewnych, że im się nie wymknie; dzień i noc pilnowali wszystkich przejść, badając jak rychło po rozmokłych drogach będę mogli przeprowadzić groźną swoją artyleryę.

Pewni, że za jednym zamachem skończą z rewolucyą, nowi gubernatorzy warszawski i wileński posłali swoim zastępcom rozkazy straszne, nielitościwe.

Nazwiska tych dwóch namiestników cesarskich należą do historyi i na wieczne czasy pod jej pręgierzem zostaną.

Jeden nazywał się generał Berg.

Drugi Murawiew.

Obadwa przedstawiali w Polsce cesarza Aleksandra II, monarchę i ojca Polaków.

Posłano ich do Polski i Litwy dla zastąpienia gubernatorów nie dosyć okrutnych: excellencya, który już dał dowody energii podczas nocnej branki w Warszawie i w Wilnie, generał Nazikow, sprawca rzezi na Litwie, i wielu innych gubernatorów, w oczach łagodnego i ojcowskiego rządu, okazali nie dosyć tęgości charakteru.

Berg i Murawiew dali już dowody, i car, który dając powszechną amnestyą buntownikom, napisał: *Idziemy za popędem naszego serca i oświadczamy, iż nie chcemy naród polski czynić odpowiedzialnym za rewolucyę,*[1] mógł liczyć na wypróbowaną gorliwość *rozstrzeliwacza i wieszatiela*, wykonawców swojej sprawiedliwości i rozdawców swoich łask.

Obadwa byli już znani ze swej gospodarki; generał Berg służył w armii Paszkiewicza, tego, który *przywrócił porządek w Warszawie*, a pierwszemi jego słowami, wchodząc do nieszczęśliwego miasta, było podziękowanie, w imieniu cara, wojskom moskiewskim za to wszystko, co od dwóch miesięcy zrobiły, i energiczna nagana oficerom okazującym bojaźń wtedy, kiedy szło o rabowanie, podpalanie i mordowanie obywateli. Jego czyny odpowiedziały słowom; w kilku dniach więzienia dawnej stolicy zostały zapełnione ofiarami, które mordowano bez litości, do tego stopnia, że pomimo częstej wysyłki na Sybir, zjawił się w więzieniu tyfus w całej swojej grozie; codziennie umierało dwadzieścia do trzydziestu osób; generał–filantrop znalazł jednakże sposób zmniejszenia epidemii, bo, aby zmniejszyć liczbę nagromadzonyh stosami więźniów, skazywał codziennie pewną ich liczbę na rozstrzeliwanie.

Takim był generał Berg; swojemi okrucieństwami zasłużył sobie na przydomek rozstrzeliwacza, na

---

1 Manifest cesarski z 12 kwietnia 1863.

nienawiść powszechną, na ordery, pensye, pałace i był jednym z ulubieńców swego rządu.

Jednakże Murawiew przeszedł go jeszcze w serwilizmie i w okrucieństwie, znieważał skazanych pomnożył liczbę egzekucyi, zaprowadził system rządzenia przestrachem i szubienicami, wynalazł sposób wyrażania uczuć wierno-poddańczych carowi, mordowania więźniów torturami, prześladował duchowieństwo potwornemi gwałtami, znieważał boleść matek i żon, wymyślił powszechną konfiskatę majątków[1] na swoją własną i swoich siepaczy korzyść, ziemie, jedyne bogactwo których łupieżcy moskiewscy unieść nie mogli, Murawiew zagarnął dla siebie, a w nagrodę swoich zbrodni, otrzymał od cara wielki order św. Andrzeja, nadzwyczajne honory, pochwałę pisemną i co ze wszystkiego dlań najmilsze, to wiele złota za rzeki krwi przelanej.

Jak generał Berg w Warszawie, tak Murawiew w 1831 r. rządził w Grodnie; po trzydziestu dwóch latach nieobecności, chociaż Polacy go nie zapomnieli, spodziewali się jednakże że może z wiekiem dziki charakter złagodnieje. Lecz było inaczej; starzec o grubym karku, z twarzą ogłupiałą i dziką, stał się więcej ponurym, podejrzliwszym i krwi chciwszym.

---

1 Ukazem z 15 listopada 1867, publikowanym w pismach warszawskich, rząd nowo skonfiskowane majątki rozdał generałom moskiewskim. Na czele listy obdarowanych generałów, stoi nazwisko Milutina, ministra wojny, któremu dano 17 wiosek z ziemią i lasami w Pęczkowie. Generał Maniukin, sławny rabunkiem w Siemiatyczach, otrzymał 6 wiosek w Bielskim. Generał Semeka 9 wiosek w miechowskim, etc. etc.

Nie potrzeba było długiego czasu do rozczarowania się; w dzień jego przybycia na namiestnika do Wilna, kiedy jeden z generałów przedstawiał mu Polaków wziętych z bronią w ręku, tupnął gniewnie nogą i wykrzyknął: „*Nie potrzeba brać jeńców.*"

Ten rozkaz zrozumiał generał Toll, godny jego adjutant, a chcąc przypodchlebić się swemu naczelnikowi, kazał rannych powlec smołą, poobwijać słomą i zapalić; w raporcie zaś napisał: „Nasi żołnierze nikomu nie przepuszczają, *a także wcale nie mamy więźniów.*"[1]

Murawiew był zadowolony z pojętności swego podwładnego, lubiał być zrozumianym z pół–słówek i powiedział w Wilnie, na pewnym zgromadzeniu szlachty: zbytecznem jest wam tłomaczyć co o was myślę, *bo już mnie poznaliście.*

Dzisiaj cała Europa zna już Berga i Murawiewa, zbytecznem więc jest tłomaczyć dlaczego w tym samym czasie, w kancelaryach państwowych w Petersburgu, w tych pracowniach kłamstw ohydnych, wypracowywano manifest łaski carskiej i przygotowywano carskie dekreta ogólnej w Polsce amnestyi.

Bo potrzeba było oszukiwać świat.

Mordować w kraju.

Okazać się ojcem wielkomyślnym.

Działać jak kat bez litości.

Czyny pokazały jaką jest ta niegodziwa polityka, lecz zapóźno.

---

1 Prawdziwe; patrz Dzienniki polskie, tom II, str. 60.

Kiedy zasłona się rozdarła, już ofiary we własnej krwi broczyły.

W erze rewolucyi, mówili rzeźnicy, musi nastąpić era pokuty.

Berg i Marawiew osiągnąwszy władzę, mieli jednę myśl tylko, skończyć szybko z oporem, aby następnie odpoczywać przy jęku torturowanych ludzi i zbogacić się rabunkiem.

Generałowie moskiewscy, Dłotowski, Trepow, Zobołotki, Czengiery, Toll i pięćdziesięciu innych morderców, otrzymali rozkaz iść przeciw Langiewiczowi i rozbić armię narodową. Instrukcye jakie otrzymali były tak barbarzyńskie, że wielu z nich, znanych z nieludzkości, wprost odmówiło posłuszeństwa i pisało do Petersburga o dymisyę.

,,Chcemy służyć carowi, lecz nie jako kaci", ośmielili się powiedzieć.

Ten list otrzymał Berg w tym samym czasie kiedy setki *medali honorowych* rozdawał *Hajdamakom*. Namiestnik sam własną ręką dekorował zbójców z bandy Błagurowa i dziękował im za ich patryotyzm, lecz dymisyi podpisanych na liście oficerów nie przyjął, chcąc ich później *jako niegodnych wydalić ze służby*.

Ten przykład podniecając żarliwość nieludzkich katów, jednocześnie dodał bodźca lękliwym, Swinin będący na leżach w Kielcach i Mitwed w Rakłomiszkach żądali pójść pierwsi, i otrzymali rozkaz zajęcia Stobnicy, wioski zaledwie kilka wiorst odległej od obozu powstańców.

Kolumna piekielna Mitweda już od dwóch dni była w drodze, kiedy Swinin, pomimo gorącego patryotyzmu, wahał się jeszcze Kielc opuścić.

Wszystkie jego usiłowania by dostać przewodnika były bezowocne; mieszczanie powiadali, że nie znają drogi w lesie poprzecinanym dołami i bagnami, a wieśniacy w okolicy zupełnie znikli.

— Ten djabeł Mitwed znowu nas uprzedzi, powtarzał, chodząc gniewny po wieczerzy, w sali jadalnej; tak, uprzedzi nas, chociaż dalej ma; dostaniemy naganę od jego excellencyi namiestnika Berga. A w Stobnicy, cóż znajdziemy, pytam was? mniej niż nic. Ach! biedny ojczulku, jak jesteś nieszczęśliwy! dodał, rozczulając się niespodzianie nad swojem własnem położeniem; wszyscy cię opuścili! ty nawet, kapitanie Kapustin, nie lubisz mnie więcej; nie, już mnie nie lubisz!

I, załamawszy ręce, zaczął pijak płakać.

Pięciu czy sześciu oficerów, którym generał z okazyi swoich urodzin dał poznać, iż radby im zrobić honor swojem przybyciem na wieczerzę, patrzało na niego z uśmiechem. Za każdem daniem, które im proponował godny ich naczelnik chcąc ich uczcić na ich koszt, Swinin, naprzód poważny i formalny, szanujący swoją godność, stopniowo stawał się dobrodusznym, wylanym, wesołym, śmielszym, stosownie do liczby wypitych szklanek, a w końcu czułym, gniewnym i ogłupiałym. W tym ostatnim stanie, zsuwając się raz po raz ze swego honorowego krzesła, zniknął pod stołem, zkąd donośne chrapanie, wskazywa-

ło o obecności jednego z najnikczemniejszych pijaków w służbie najjaśniejszego cesarza wszech Rosyi, włącznie z Syberyą.

Nie bardzo mu było wygodnie pod stołem, więc wylazł i zaczął przechadzać się po komnacie, w rozpiętym mundurze, z wielkim orderem bujającym po plecach, z twarzą purpurową, najeżonym wąsem, wydając westchnienia i bełgocząc patetycznym głosem:

— Ach! biedny ojczulku! biedny gołąbku! wszyscy cię opuścili, już cię nikt nie lubi! Ach! biedny ojczulku!

I, zbliżywszy się do stołu wypił pełną szklankę wódki i rozpoczął na nowo swoje narzekania, a łzy jak groch wielkie spadały z ogłupiałych jego oczu.

Tego wieczora czepiał się kapitana Kapustina, o tak niespodziane opuszczenie.

— Excellencyo, odpowiedział w końcu adjutant do żywego temi wymówkami dotknięty, nie żądam nic więcej jak być panu użytecznym, lecz pomimo najszczerszych moich chęci, nie mogłem znaleźć przewodnika.

— Ach! nie mów tego, mój najdroższy, lepiej powiedz, że nie chcesz wyrządzić mi przysługi; patrz, Szary–Niedźwiedź z łatwością znalazł człowieka.

— Tak, excellencyo, bo mu posłano Tokołę z Warszawy.

— Ach! więc widzisz, że o mnie zapomniano, innym posłano przewodników, ale mnie nie. Biedny Swininie, chcą abyś zginął w borach, gdzie czeka cię

śmierć z głodu i zimna . . . . To strasznie . . . . Kapustinie, kochasz ty mnie jeszcze?

— Jakto! excellencyo, wszyscy cię uwielbiamy, odpowiedział porucznik Asiołka.

— A więc daj mi pić, pragnienie mnie pali.

— Nalej mu szklankę wódki i niech raz to się skończy, szepnął kapitan do ucha jednego z oficerów; inaczej, będzie płakał całą noc, i przeszkodzi nam zagrać.

Swinin wypróżnił pół szklanki i dusząc się wskutek czkawki, rzucił się na krzesło.

Chwilę siedział odurzony, potem znowu zaczął płakać, aż wreszcie zdrzymnął się na stole, oparłszy twarz w talerzu ze śmietaną.

Widocznie chłód go orzeźwił, bo podniósłszy oblicze pociesznie umazane, uderzył pięścią w stół krzycząc:

— Wszyscy jesteście zdrajcami i nieprzyjaciołmi cara, naszego ojca.

Nikt nie odpowiedział, w obawie przed kułakami.

— Chcę przewodnika, mówił dalej Swinin, przewodnika natychmiast; niech mi szukają Abrahama.

— Uciekł, excellencyo, rzekł pod-porucznik, który pierwszy raz dopiero miał zaszczyt częstować swego generała.

Swinin spojrzał dzikim wzrokiem, chwycił butelkę i rzucił ją w łeb śmiałka.

Nieroztropny oficer szczęśliwie uniknął ciosu i korzystając z chwili, w której straszny gość wyciągnął rękę po drugą butelkę, opuścił komnatę.

— Psy! wrzasnął generał, chcę Abrahama, natychmiast; to wy go ukryliście. Kapustinie idź po niego. Ty, dodał, zwracając się do swego sąsiada, nalej mi wódki.

Oficer był posłuszny i nalał mu pełną szklankę tęgiej wódki, w nadziei, że to już będzie ostatnia.

— Każę was wszystkich ze skóry obłupić, jak Polaków, padlecy, psie syny; jesteście niczem więcej jak nędznemi robakami, błotem moich butów, gderał Swinin, niosąc drżącą ręką szklankę do ust. Gdzie jest Kapustin?

— Poszedł po Abrahama, excellencyo.

— A jeżeli mi go w pięciu minutach nie przyprowadzi, każę go jutro rozstrzelać, tak, jutro, dziś nawet jeszcze, po skończonej uczcie.

— Excellencyo, rzekł Kapustin wchodząc, Abraham oczekuje pańskich rozkazów, oto on.

I pchnął żyda przed sobą, który na prawo i na lewo, kłaniał się uniżenie, nie bez pewnej obawy.

Było to prawdziwe przedstawienie teatralne.

Swinin zoczywszy żyda, wyprostował się jak lalka na sprężynie i z otwartemi rękoma, chwiejący się, postąpił ku Izraelicie, bełgocząc:

— Mój Abrahamku, drogi gołąbku, chodź, niech cię pocałuję.

— Abraham wolałby był dostać nahajką, czego się spodziewał, w miejsce tego czułego przywitania; lecz pomimo woli został ucałowany przez pijaka, któsy zmusił go następnie do wypicia, ze swej własnej szklanki, resztek pozostałej wódki.

Starzec tak jak wszyscy żydzi polscy czuł wstręt do mocnych trunków, próbując połknąć łyk, zachłysnął się i wykrzywił, czem do głośnego śmiechu pobudził oficerów.

Szczęściem Swinin przyszedł mu na pomoc.

— Psy! krzyknął, purpurowy z gniewu, zabraniam wam śmiać się z mego przyjaciela, i pierwszemu który się rozśmieje, łeb rozwalę. Usiądź tu, przy mnie, mój przyjacielu; ja sam naleję ci wódki; tu, tu, a jeśliby ktokolwiek śmiał szydzić z ciebie, powiedz mi zaraz, a uszy mu oberwę. Za twoje zdrowie, Abrahamie! za twoje zdrowie!

Wypił szklankę gorzałki, i oparłszy się o poręcz krzesła, przymrużył oczu, bełgocząc:

— Zostań tu, mój gołąbku nie pozwolę ci odejść.

Wódka wywarła swój skutek; schwycił swego przyjaciela za chałat, bełgocząc:

— Nie puszczę.... cię, mój goł....

I, zamknąwszy oczy, zaczął się zsuwać pod stół, według chwalebnego swego zwyczaju.

Niespodziewany powrót Abrahama był za nadto dziwnym, by nie obudził ciekawości gości.

Zaledwie Swinin zasnął, zaraz jego goście otoczyli starca i zarzucili go pytaniami.

Gdyby Abraham zechciał im powiedzieć prawdę, opowiedziałby jak po trzeciem wykolejeniu pociągu, podczas którego Błagurow został ciężko ranny, zostawił swoje sanki w lesie, i zabrawszy z sobą tylko łyżwy, kij i, mając w kieszeni zaświadczenie Nabielkowa, pędził galopem w stronę Kielc, raz dla oddalenia się od miejsca katastrofy i zmylenia pogoni, powtóre

dla zbliżenia się do mordercy swego i zemszczenia się na nim. Opowiadania zaś o szczegółach kary jaką Izraelita naznaczył i wykonał na Nabielkowie i kapitanie kozaków, z pewnością zainteresowałyby jego słuchaczy. Z powodów łatwych do zrozumienia, wolał ukryć prawdę, a opowiedzieć z góry przygotowaną bajkę.

,,Wzięty do niewoli przez Polaków, buntowników, z kilkunastu współwyznawcami i pięciu czy sześciu oficerami rosyjskiemi, byłem wraz z nimi, skazany przez Padleców, na straszne tortury.

,,Powleczony z nieszczęsnymi mymi towarzyszami, do obozu Langiewicza, zostałem wraz z nimi zamknięty do budy, zkąd co godzinę, z rozkazu dyktatora, kaci wyprowadzali jedną ofiarę na tortury. Śmierć kapitana Pillardowa była straszną; buntownicy, wyrwawszy mu język i wykłówszy oczy, odarli żyjącego ze skóry.

,,Dzień przeszedł na tych strasznych egzekucyach, i kaci spici krwią i winem, odłożyli na dzień następny wykonanie wyroku na dwóch nas jeszcze pozostałych przy życiu; lecz Bóg Izraela pozwolił mi, przeciąć więzy nasze ostrym kamieniem.

,,Długi czas czekaliśmy zachowując się spokojnie, aż dopiero kiedy szyldwach znużony zasnął, własnym nożem go zabiłem i uciekłem z Nabielkowem.

,,Po dwóch dniach błądzenia po lasach, dotarliśmy wreszcie do granicy, gdzie Austryacy przyjęli gościnnie znużonych. Po jednodniowym wypoczynku, wierny przewodnik armii rosyjskiej, zostawiłem mego

towarzysza, by znaleźć mojego dobroczyńcę, poprowadzić go do obozu buntowników i być świadkiem zniszczenia tych psów dzikich nieprzyjaciół Boga i świętej Rosyi."

Wszystkie te kłamstwa, poparte zapewnieniem, tak głośnemi zostały przyjęte oklaskami, że przebudzony niemi Swinin, przeciągając się mruknął:

— Zostań tu, mój gołąbku; nie opuszczaj mnie!

— Zostawiono w spokoju pijaka bełgoczącego pod stołem, by posłuchać dalszych awantur wiernego Abrahama.

Jednakże wszyscy oficerowie nie byli dosyć przekonani o prawdziwości tego opowiadania.

— To wszystko, panowie, jest bardzo piękne, lecz któż nas zapewnić może, że ten pies nie opowiada historyi na swój sposób? odezwał się niespodzianie Kapustin.

— Ach! excellencyo, jak pan możesz tak mówić! stęknął Abraham; czy sądzisz pan, że przyszedłbym sam oddać się w wasze ręce? musiałbym być chyba pozbawiony zmysłów.

— Tak; wszystko to bardzo pięknie opowiedziane, lecz zupełnie nic nie dowodzi, rzekł pułkownik Rapinow, znacząco potrząsając głową.

— Jest możebne, pospieszył dodać książę Serioja, pod–porucznik prawem urodzenia i na przekorę niesłychanych swoich głupstw, jest możebne jak powiedziała wasza dostojność że . . . . Jest możebne, mówię, że to jest nie . . . .

— Możebne, nie prawdaż przerwał Kapustin.

— To jest możebne to, co chciałem pewiedzieć, rzekł książe, rzucając do koła zadowolonym wzrokiem.

— Abrahamie! mój Abrahamku! nie opuszczaj mnie! znowu z pod stołu odezwał się Swinin.

— Pułkowniku, czy nie sądzisz pan, że lepiejby było wtrącić go do więzienia, aż do przebudzenia się excellencyi.

— Dlaczegoż nie, wszak to doskonała myśl, w kajdanach na nogach, dodał pułkownik huśtając się na krześle.

— Ależ excellencyo, jestem wiernym poddanym najjaśniejszego pana, którego niech Bóg ma w swojej opiece, i mam zaświadczenie.

— Zaświadczenie, od kogo?

— Od porucznika Nabielkowa, którego z narażeniem życia ocaliłem.

— I gdzież jest to zaświadczenie.

— Tak, gdzie ono jest? kłamco, powtórzył książę Serioja.

— Oto jest, excellencyo, odpowiedział Abraham, oddając pułkownikowi list podpisany przez Nabielkowa.

— Jego dostojność rozwinął papier, huśtając się zawzięcie, a na drugim końcu stołu Serioja groźnie zmarszczył lewą brew by utrzymać szkiełko które przyłożył do oka, aby lepiej . . . .

„Ja, kadet Nabielkow, oznajmuję i zaświadczam że człowiek imieniem Abraham, służący jako przewodnik w armii jego excellencyi generała Swinina . . . .

— Kto tu mówi o generale Swinin? zapytał głos z pod stołu.

Pułkownik czytał dalej:

,,Uwolnił mnie z rąk buntowników; zachowanie się jego pod każdym względem . . . .

— Panowie, zna który z was pismo Nabielkowa? zapytał czytający.

— Tak, zna je który z was? powtórzył Serioja.

— Ja, wasza dostojność, rzekł Kapustin, pochylając się nad ramieniem pułkownika, i oświadczam że . . . .

— Excellencyo, racz spojrzeć na podpis, błagał Abraham.

— Ach! tak, to jest jego; prawdziwy jego podpis; patrz pan tu, pułkowniku:

,,Z prawdziwą wdzięcznością podpisuję to zaświadczenie.

,,Nabielkow,

,,Kadet w pułku grenadyerów Izmaiłowskiego".

— I cóż to ma za znaczenie ten podpis Nabielkowa? zapytał Serioja swego sąsiada.

— Dla zapewnienia, że zaświadczenie przez niego wydane.

— Ach! tak, to prawda! rzekł książę, choć jeszcze nie zrozumiał.

— I co wasza dostojność myśli? zapytał Kapustin pułkownika.

— A co pan myślisz, kapitanie?

— Że trzeba go pilnować, póki nie przebudzi się excellencya.

— Dobrze, niech go przywiążą do nogi stołu.

— Lepiejby może było przywiązać go w stajni; ci żydzi są niechlujni.

— Excellencyo, już od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem; umieram z głodu, prosił starzec, prostując się.

— A więc siadaj, rzekł pułkownik, i wziąwszy ze stołu chleb, posunął go nogą ku proszącemu.

W chwilę potem, kozacy wyprowadzili go z komnaty i zamknęli w stajni.

— W każdym razie wykrzyknął Kapustin, dzięki temu idjocie, uniknęliśmy burzy, bo już zaczynała huczeć.

— Więcej niż burzy, obawiałem się podróży bez przewodnika, w tych przeklętych borach, rzekł na to pułkownik, lecz mówiąc otwarcie jak pan, kapitanie, widzę że ten bałwan, którego rodziny nie oszczędziliśmy, jest wielkim głupcem, że przyszedł do nas.

— Ba! rzekł Serioja, za rubla, cała ta żydowska hołota zamiecie ziemię przedemną.

— Nigdy nie wątpisz poruczniku.

— Na co mi to, mam trzy miliony pięćset tysięcy rubli majątku.

Wdzięcznie uśmiechnął się pułkownik i odpowiedział:

— Gdybyśmy zagrali małą partyjkę, mój książę?

— I owszem, excellencyo, z całą przyjemnością.

— Dobrze ten gołąbek zostanie oskubany, szepnął kapitan swemu sąsiadowi.

— Ba! odpowiedział mu kapitan grenadyerów, cóż lepszego można z takim głupcem zrobić, jeżeli go nie ograć; i bardzo słusznie że płaci, bo tylko temu winien swój stopień w wojsku.

Już słońce wysoko było na niebie, i książe Serioja przegrał pięć tysięcy rubli, kiedy dzielny i ponury Swinin przebudził się ociężały, z zapuchniętemi oczyma i w mundurze nie do pozazdroszczenia.

Wylazłszy z pod stołu, przetarł oczy i dumał, zupełnie zapomniawszy o swoim gołąbku, drogim, Abrahamie. Dopiero kiedy kozak służbowy oczyścił jego suknie i przypiął na piersiach ordery, adjutant generała, kapitan Kapustin, stawił się do raportu i oświadczył excellencyi o powrocie przewodnika.

— Spodziewałem się go, rzekł Swinin, bez zmarszczenia brwi, i stosownie do tego, zrobiłem postanowienie; niech mi go przyprowadzą, wybadam go i dam mu moje instrukcye.

Adjutant skłonił się z szacunkiem i wyszedł.

W chwilę potem, wprowadzono Abrahama. Generał przyjął go z powagą i surowo, tak jak wypadało naczelnikowi który sam się uszanuje, aby być od innych szanowanym. Pytał z godnością, żyd pokornie odpowiadał; w końcu, raczył rzucić okiem na zaświadczenie Nabielkowa, pogroził straszną karą jeśli wiernie nie spełni obowiązków przewodnika, i, milionerowi, któremu zniszczył cały majątek, ojcu, któremu wymordował rodzinę, obiecał dać pięćdziesiąt rubli gratyfikacyi i swoją protekcyę, jeśli okaże się wiernym i oddanym mu zupełnie.

Abraham zdawał się być zadowolonym z tych wspaniałomyślnych obietnic, nic więcej nie żądał, i wdzięczność swoją wyraził przysięgą wierności i nieograniczonego przywiązania.

Dla nędznego robaka jakim był, to było dostateczne.

W kilka godzin później, wojsko, które już oddawna czekało na przewodnika i co chwila spodziewało się go, wyrúszyło ku Stobnicy.

*
* *

Kolumna Szarego-Niedźwiedzia, prowadzona przez Bolesława, zdrajcę z pod Węgrowa, już od kilku dni była w pochodzie. Nie więcej jak parę wiorst od Wólki, pikieta zawiadomiła generała, że o jakie pięćset kroków od kolumny, trzech czy czterech uzbrojonych ludzi po za drzewami jodłowemi, idzie przez pole.

Od wyjścia z Kielc, dopiero pierwszych powstańców spostrzegli.

Mogła to być straż przednia; warto więc było mieć się na baczności.

Generał z jednym adjutantem pojechał galopem na czoło kolumny, która wówczas znajdowała się pod lasem na szczycie skalistego pagórka.

Nieustraszeni partyzanci przebiegli linię wzgórzy, prawie równoległych z tą, którą szli moskale. Dzięki perspektywie, Mitwed mógł nie tylko ich policzyć, ale nawet po ubiorze poznać, że trzej z nich należeli do strasznego oddziału Kosynierów, zorganizowanego przez Chuskę, gdy tymczasem czwarty, bezbronny,

z kijem w ręku, w czarnej sukni, zakasanej u kolan, nie mógł być kim innym jak księdzem katolickim, kapelanem jednej z band.

— Ach! gdybym miał dobry karabin, wykrzyknął generał, z przekleństwem niemieckiem, jak byłbym szczęśliwy zwalić z nóg tego psa buntownika.

— Zdaje mi się, excellencyo, że Tokoło ma wyśmienity, odpowiedział kapitan Sabakow; czy pozwolisz pan bym mu rozkazał spróbować, jest on najlepszym z naszych strzelców?

— Nie, niech mi go przyniesie, sam strzelę.

Posłuszny adjutant przyniósł karabin, i Mitwed, uzbrojony nim, zsiadł z konia i zaczołgał się aż do wyrębu, ostatniego kresu gdzie śnieg mógł jeszcze unieść człowieka. Tam, przyklęknął blisko jodły, oparł lufę na jej gałęzi, i czekał aż tarcza ludzka, do której strzelał dla zabawy, sama mu się jako cel przedstawi.

Czterech Polaków, nie myśląc w tym czasie o żadnem niebezpieczeństwie, i słuchając opowiadania ks. Raskowskiego o Matce Boskiej Częstochowskiej, odbywało nużącą swoją drogę, kiedy naraz szybki świst kulki, koło uszów usłyszeli.

— Kulka, krzyknął Szczepan, zdumiony.

— I wyszła z lasu; widziałem błysk, odpowiedział jeden z górali, który z tą zadziwiającą szybkością do jakiej są przyzwyczajeni ludzie wojskowi, odparł cios Mitweda, wysełając swoją kulkę bez celowania, jak mówią strzelcy, na chybił trafił.

Broń była dobra, oko strzelca wyśmienite; kulka świsnęła o dwa kroki od generała.

Było to z pewnością na los szczęścia; góral nawet nie domyślał się kto był ukryty w krzaku do którego strzelił.

— Zuchwalcy! wrzasnął Mitwed, trzeba ich dostać koniecznie; żywcem obedrę ich ze skóry, własnemi rękami. Poruczniku Baranko, weź dziesięciu kozaków i goń za nimi.

Powstańcy szli dalej swoją drogą, zwracając często głowy w stronę lasu dla przejrzenia go, lecz nie spieszyli się, szli jak przedtem.

Kiedy pluton kozaków wysłany za nimi wyszedł z lasu na otwarte miejsce, Mitwed widział jak zatrzymali się, przymocowali łyżwy, słowem, jak gdyby mieli zamiar uciekać przez pola, po drugiej stronie wzgórza.

— Prędzej! prędzej! krzyczał do kozaków, co koń wyskoczy pędzących.

Jakby trwogą przerażeni powstańcy, stali nieporuszeni; dwóch z nich, uzbrojonych w karabiny, zarzuciło broń na ramię, jak gdyby uważało ją bezużyteczną.

A jednakże woda pokrywająca wązką dolinę nie była bardzo wysoka, i przez jej przezroczystą powierzchnię, jeszcze niedotkniętą kopytami koni, widziało się szmaragdowe barwy trawnika.

Kozacy poprzedzani przez porucznika, wskoczyli w nią bez wahania; Polacy nieruchomi, patrzeli.

Naraz Tokoło, zbliżywszy się do wyrębu spostrzegł jeźdźców.

— Excellencyo, przywołaj ich, wykrzyknął, machając ręką. Stój, stój! trzęsawiska!

Mitwed nie zrozumiał go. Patrzy, aż tu koń porucznika kozaków zanurzył się po siodło, chwilę się poszamotał i znikł wraz z oficerem.

— W tył! w tył! krzyknął brygadyer.

Lecz już było zapóźno; wstrzymane gwałtownie konie grzęzły w tym lepkim szlamie, za miękkim do uniesienia, za trudnym do wydobycia się z niego, i który zdawał się nieznacznie wciągać w siebie z nieprzepartą siłą swoje ofiary. Kozacy stojąc na siodłach jak rozbitki na tonących barkach, dawali długiemi pikami oznaki pełne rozpaczy, przywołując towarzyszy na pomoc.

Chcąc dojść do nich, potrzebaby było rzucić na szlam plecione gałęzie, szybko przebiedz te niebezpieczne mosty i każde ratowanie powtarzać.

Ten środek nie był wystarczający dla ocalenia wszystkich, czterech znikło pomału w niezgłębionem bagnie; wieczorem, widziano jeszcze nad powierzchnią spokojnej i przezroczystej jak kryształ wody, wystającą pikę kozacką. Zdradziecka głębokość bagna przewyższała ją jeszcze.

Ale o tej godzinie, nikogo już nie było na wzgórzach, po których wiatr jedynie jęczał w jodłowych, ogołoconych z liści lasach.

Mitwed ze swoją piekielną kolumną wchodził do Stobnicy, a Polacy, po krótkim wypoczynku na jednej ze skał, wkrótce doszli do drogi bitej idącej do Suchedniowa.



XXIV.

Rozproszenie.


adszedł dzień nieszczęsny.

Dnia 27 marca 1863, na wszystkich drogach prowadzących do Ojcowa roiły się wojska moskiewskie.

Jak chmury przed burzą, zbierają się ze wszystkich stron, czarne i groźne, tak każdą drogą, bataliony moskiewskie, ponure i milczące dążyły.

Oprócz gwardyi cesarskiej, cała armia rosyjska była reprezentowana w tej nierównej walce: grenadyerzy w szarych mundurach z czerwonemi wyłogami; dragoni w niebieskich, uzbrojeni w szable i karabiny; ułani w zielonych, z długiemi lancami; artylerya konna i piesza; strzelcy finlandzcy; kozacy z armii regularnej i nieregularnej; hajdamacy w kacapskich kożuchach, przepasanych czerwonemi pasami, uzbrojeni w pistolety, topory i noże.

Na polach, zboże zaczynało się zielenić; w lasach, drzewa puszczały kiełki, ptaki witały powrót wiosny i cała natura przybrała weselną szatę.

Na drogach, kurz spowodowany krokami ludzi i koni, wznosił się i szarą swoją barwą otaczał bataliony; w promieniach słonecznych lśniły się lance, bagnety, i nic słychać nie było jak głuchy szum tych fal ludzkich, wzniesionych dla zniszczenia, rżenie koni, dźwięk trąbek, łoskot bębnów, turkot jaszczyków i armat z wyrytą na mosiężnej blasze, literą *A* w koronie, która w Rosyi, przypomina ohydny i barbarzyński napis: *Ultima ratio regum*, umieszczony na dawnych machinach wojennych.

*
* *

Tego samego dnia, pod pozorem zwiedzenia okolic obozu, Langiewicz i Narbut wdrapali się na szczyt jednej z gór; nic jeszcze nie zjawiło się na widnokręgu, lecz posmutnieli obadwa, wiedząc, że stanowcza zbliża się chwila. Czuli szpiegów w około siebie, którzy zdradzali ich plany, paraliżowali usiłowania, siali nieufność i zniechęcenie w tej małej armii, całej nadziei Polski, i lękali się, żeby ich żołnierzom nie zabrakło zapału i wiary w świętość sprawy, podczas bitwy.

Tego samego jeszcze rana, dwie nowe były dezercye; jednym z dezerterów był oficer rosyanin, drugim był . . . . . Polak.

Obadwa naczelnicy w milczeniu skierowali kroki ku osamotnionej skale, u stóp której oczekiwał ich

Włodzimierz siedzący z córką i z księdzem Raskowskim.

— Witajcie, bracia! rzekł starzec smutnym głosem, otóż mamy i wiosnę w całej swojej piękności.

— I drogi są już suche, odpowiedział Narbut.

Po tych słowach, wyrażających właściwie myśl inną, nastało głębokie milczenie.

Pierwszy je przerwał Langiewicz.

— Moim obowiązkiem, powiedział, jest zrobić to wszystko, co w ludzkiej jest mocy. . . . stoczymy bitwę.

— Przecież! wykrzyknęła Marta, i na jej blade policzki wystąpił rumieniec, a oczy zaiskrzyły się.

Starzec pocałował ją w czoło mówiąc:

— Niech nas Bóg ma swojej opiece! lecz . . . . .

— Nie widzę innego wyboru, przerwał generał, jak zaciętą walkę lub potrzaskanie naszych szabel i zdanie się na łaskę wroga.

— Poddać się! rzekła Marta, my, mamy poddać się moskalom! Mój ojciec nie miał tego na myśli.

— Nie widzę innego środka do wyjścia, rzekł wolno Langiewicz; czy miałbyś pan, panie Kirpowski lepszy sposób jak ten?

— Może, w smutnem naszem położeniu, byłoby rozsądniej spróbować dostać się pod Wieluń i następnie napaść znienacka nieprzyjaciela, tak jak pan to na ostatniej naradzie radziłeś.

Narbut ruch przeczący zrobił głową.

— Aby dopiąć tego, potrzebaby było, żeby nieprzyjaciel nie wiedział o naszym projekcie.

— Jakto! mieliby się już moskale na baczności?

— Wieluń jest zajęty od wczoraj i drogi przecięte, rzekł Langiewicz z gorzkim uśmiechem.

— Albo wziąść Stobnicę, rzekł stary patryota.

— Mitwed i Swinin wszystkie przejścia zajęli, rzekł ks. Raskowski; widzieliśmy ich kolumny dążące w tamtą stronę.

— Pozostaje nam jeszcze droga racławicka.

— Tysiąc piechoty i pięćset kozaków pod dowództwem jakiegoś pułkownika, otrzymało rozkaz zająć Racławice, zaraz na drugi dzień po naszej wojennej naradzie, na której właśnie była o tem mowa, rzekł Langiewicz.

— Panie! zawołał Kirpowski, jak to stać się mogło? byli więc moskale obecni na naszych radach wojennych?

— Tak, odpowiedział Langiewicz, byli obecni przez szpiegów; o każdem naszem słowie doniesiono im, każdy nasz plan został im sprzedany.

— A więc, w istocie, nic więcej nam nie pozostaje jak walczyć i umrzeć! rzekł starzec.

— Dobrze! więc umrzemy w około naszego sztandaru, a ostatni okrzyk nasz będzie: Bóg i Polska! z zapałem wykrzyknęła Marta.

— Bracia! rzekł Langiewicz, jesteśmy sami tutaj i tylko Bóg nas słyszy, posłuchajcie więc ostatniego mojego planu, nad którym już od kilkunastu dni myślę i który, jak sądzę jest dla nas jedyną deską zbawienia; odkryję wam go, lecz wpierw, przysię-

gnijcie nikomu go nie wyjawić, choćby to był nawet wasz krewny lub najlepszy przyjaciel.

Podnieśli ręce i odpowiedzieli:

— Przysięgamy!

— Nie wątpicie zapewne, rzekł Langiewicz, że moskale skierowali wszystkie siły swoje przeciw nam, jedynie dla mego tytułu dyktatora, bo w ich oczach jestem uosobnieniem tego, co oni nazywają rewolucyą. Mogę się mylić, lecz sam wierzę w to, co mówię.

— I my także wierzymy, odpowiedzieli Narbut i Włodzimierz.

— Gdybym nie był dyktatorem tylko generałem Langiewiczem, to chociażbym zginął na polu bitwy lub został ich jeńcem, małe by to miało znaczenie, lecz nie można pozwolić, aby jakiś Swinin wlókł za sobą w tryumfie dyktatora Polski, bo to osłabiłoby ducha w narodzie; nie dostaną mnie, i walczyć będziemy z takim zapałem jak dotychczas walczyliśmy, po polsku, a Bóg pozwoli, mam nadzieję, że polegnę; lecz jeżeli los wojny będzie dla nas nieprzyjaznym, to zamiast pozwolić otoczyć się w nowych Termopilach, broniąc się zawsze, cofać się będziemy aż do Wisły. Tam są bory i bagna niepodobne do przebycia dla armii, ale któremi oddziały zahartowane w potyczkach i prowadzone przez dobrych przewodników, zawsze z łatwością zdołają się wymknąć. Każdy naczelnik stanie na czele swojego oddziału i starać się będzie cichaczem wymykać ścigającym go moskalom, aby się znowu pojawiać na tylnych ich liniach; byłaby to wojna partyzancka, jak było przed

uformowaniem armii narodowej, co myślicie bracia o tem?

— Byłoby to może zbawieniem wszystkich, rzekł Kirpowski; lecz ten plan jest niepodobny do wykonania.

— I dlaczegóż-to?

— Dlatego, że dyktator jest pomiędzy Polakami, a żaden z tych, którzy mu przysięgli wierność, nawet dla ocalenia swego życia, nie opuści naczelnika.

— Nie będzie więcej dyktatora, rzekł Langiewicz.

Słuchacze osłupiali.

— Nie, mówił dalej Langiewicz, nie będzie dyktatora; wieczorem, korzystając ze zmroku, jedynie w towarzystwie moich adjutantów, dostanę się na drugi brzeg Wisły, na terytoryum austryackie, a ztamtąd, w innem miejscu wrócę do Polski, by zorganizować oddział partyzancki i znienacka napadać moskali; dopiero przez odniesione nad nimi zwycięztwo, dowiedzą się że dyktator, którego mieli za umarłego lub w ucieczce, stawia im czoło.

— Ale twoja armia, ci wszyscy twoi waleczni żołnierze, co zrobią, nie wiedząc co się stało z ich generałem? zapytał stary patryota.

— Dowiedzą się że poszedłem do Austryi, i odjeżdżając, zostawię wam proklamacyę, która ich objaśni o moich planach i rozkaże im rozejść się.

— A jeżeli nie uwierzą nam, rzekł Narbut, jeżeli okłamani przez ludzi przewrotnych, którzy sieją

nieufność w obozie, powiedzą że jesteś . . . . tchórzem lub zdrajcą. Myślałeś o tem, Maryanie?

— Tak, Zygmuncie, i na wszystko jestem zdecydowany. Nigdy, dla ocalenia życia, nie poświęciłbym dobrego mego imienia, lecz w Polsce, w ukochanej mojej ojczyźnie, nie ma ofiary przed którąbym się cofnął. Wprawdzie zostanę tchórzem i zdrajcą w oczach moich żołnierzy lecz nie mogąc ocalić ich ceną mojej krwi, ocalę ich ceną mego honoru.

— Generale, wykrzyknął Włodzimierz, otwierając ramiona, by go uściskać, dotychczas szanowałem cię jako dzielnego patryotę, dziś uwielbiam cię i błogosławię.

— Ach! gdyby wszyscy Polacy byli takimi jak ty, rzekł Narbut, uniesiony zapałem.

Ksiądz Raskowski wzniósłszy oczy do nieba, modlił się.

W tem Marta wskazując ręką w oddali

— Nieprzyjaciel! zawołała.

Nic jeszcze nie widziano; lecz od Racławic, jakby dalekie echo, dał się słyszeć przytłumiony huk wystrzałów armatnich.

— Jeszcze są daleko, lecz zbliżają się, odpowiedział Langiewicz; chodźmy do obozu i przygotujmy się do bitwy. Zrozumieliście mnie, nie prawda?

— Zrozumieliśmy i przystajemy, rzekł Narbut; dałeś nam przykład, będziemy cię naśladować; licz na nas.

Zeszli, kierując się ku namiotom, w około których ugrupowani powstańcy, przysłuchiwali się kanonadzie.

Zbliżanie się moskali obudziło odwagę uśpioną podczas tak długiej bezczynności, a co najważniejsza, że przy nadchodzącem niebezpieczeństwie, ci, którzy wczoraj zdawali się być zniechęceni, uczuwali na nowo wzrastającą ufność. To też gorącem hurra, powitali nadchodzącego dyktatora i jego towarzyszy.

— Zamiast przepłynąć Wisłę, przejdziemy po grzbietach moskali, rzekła cichym głosem Marta do ojca, wspierającego się na jej ramieniu.

— Kto wie? odpowiedział sam również zdziwiony tą niespodziewaną i szczęśliwą zmianą usposobień partyzantów. Polacy są waleczni, a Matka Boska Częstochowska potężna.

Dzień jednakże przeszedł, a pikiety ustawione na najwyższych cyplach gór, nie dały znać o zbliżaniu się moskali; wieczorem, kanonada trwająca od paru godzin, odrazu ustała, i od Racławic zaczerwieniło się niebo krwawą łuną, oznajmującą wielki pożar. Moskale pierwsi rozpoczęli bitwę, i Mitwedowi należał się ten honor.

Tego samego rana, wyszedłszy ze Stobnicy by pójść do Olkusza, spotkał niedaleko Racławic oddział młodzieży, którzy przeprawiwszy się przez Wisłę, dążyli do Wielunia.

Było ich zaledwie dwustu pięćdziesięciu i źle uzbrojonych, gdy tymczasem moskiewska kolumna

liczyła dwa tysiące ludzi, baterye artyleryi i sotnię kozaków do zasłaniania jej boków.

Szary–Niedźwiedź zaraz rozpoczął bitwę i, kiedy jego piechota strasznym ogniem karabinowym i armatnim razić powstańców zaczęła, kozacy próbowali zajść im tył.

Szczęściem dla patryotów, że zczerniałe mury zamku, opuszczonego po zrabowaniu i pożarze, wznosiły się w samym środku wioski; polacy widząc że ich otaczają, dobiegli szybko do owych zgliszcz, i w kilku chwilach zabarykadowali się w skrzydle, ocalonym od płomieni.

Moskale ich ścigali; lecz odparci wystrzałami luf prawie dotykających ich piersi, pozostawili pod murami improwizowanej forteczki, przeszło trzydzieści trupów.

Szary–Niedźwiedź ryczał z wściekłości; kazał strzelać z armat; lecz że mury były grube, kule też żadnej szkody nie wyrządziły oblężonym.

W końcu kozacy, wdrapawszy się na dachy chat, wyrywali z nich słomę by podpalić zamek; lecz i to im się nie udało; mury były z kamienia i twardej cegły, ogień nie miał co zająć; oblężeni zaś, ukryci za każdą szczeliną, celnemi strzałami kładli trupem tych, co ośmielili się zbliżyć pod mury z zapalonem łuczywem; grenadyerzy i kozacy odmówili narażać się dłużej na śmierć niechybną.

Mitwed przysiągłszy sobie, że odniesie zwycięztwo, kazał na nowo rozpocząć ogień działowy i karabinowy.

Od sześciu godzin trwała strzelanina, a kiedy noc nadeszła, moskale mieli stupięćdziesięciu dwóch ludzi poległych, znaczny zapas amunicyi wyczerpanej i co najważniejsza, że widząc bezużyteczność swoich usiłowań, stracili nadzieję zdobycia pałacu.

Nikt jednakże nie śmiał przedstawić tego generałowi, tak upartemu jak dzikiemu.

Pewien kapitan artyleryi ofiarował się pójść do Mitweda, który obawiając się niespodziewanej śmierci, bardzo roztropnie sobie postąpił, zatrzymawszy zbliżającego się, w pewnej odległości od siebie. Lecz skoro spostrzegł, że to oficer idzie ku niemu:

— No i cóż! ryknął, są powieszeni czy też upieczeni.

— Excellencyo, trzymam ich: żołnierze następują im na zęby, lecz nie widzimy dobrze gdzie strzelać.

— Ach! nie widzicie już, idyoci: dobrze, ja sam, postaram się wam o światło: podpalić wioskę.

— Lecz, excellencyo, mamy dużo rannych i . . .

— Co, jeszcze, zuchwały głupcze! Czy chcesz żebym ci łeb roztrzaskał? wrzasnął Mitwed, idąc do oficera z nabitym pistoletem i, uniesiony gniewem, chwycił go za kołnierz, wstrząsnął nim silnie i oderwał mu epolety.

Potem, zwracając się do adjutanta:

— Każ zakuć w kajdany tego zdrajcę, krzyknął; ty zaś, obracając się do porucznika kozaków, zapalmi te budy; ponieważ zmęczeni żołnierze, będą spali tutaj.

Na takie rozkazy, dane przez takiego dowódzcę, nie było się co wahać.

Grenadyerzy i kozacy podpalili chaty wieśniaków i przygotowywali się do rozłożenia obozem pod zamkiem.

Napróżno wieśniacy, zniszczeni pożarem, błagali o litość moskali. Ich jęki i płacz nie wzruszyły Szarego–Niedźwiedzia.

— Poszukać mi Tokołę i przyprowadzić go tutaj, zawołał, zwracając się do adjutanta.

Kilku żołdaków pobiegło po szpiega; moskale, którym zdrajca służył jako przewodnik, nie ufali mu i zawsze go mieli na oku.

Dwóch grenadyerów przyprowadziło go przed generała, który zaraz na wstępie zaczął mu robić wymówki i obrzucać go obelgami.

— Te psy, twoi rodacy już mi przeszło sto ludzi zabili, a teraz zaczynają strzelać do tych, co wbijają pale na przodzie obozu, jeśli to potrwa dłużej, ani jeden żołnierz mi nie zostanie; postaraj się o wstrzymanie ognia, albo cię każę przywiązać do pala.

Uśmiechnął się Bolesław.

— Excellencyo, jeżeli buntownicy mnie zobaczą, z daleko większą zaciekłością strzelać będą, ponieważ Chusko nimi dowodzi, a on wie, że ich przyjacielem nie jestem; lecz mam pewien skuteczny sposób na wstrzymanie tej strzelaniny.

— I cóż to jest za sposób?

— Excellencyo, kapitan Frederikow obiecał mi dobre wynagrodzenie, jeśli mu pomogę wziąść z nie-

nacka powstańców pod Węgrowem; zginął tam w bitwie, a kiedy po odniesionem przez Rosyan zwycięztwie, przedstawiłem kwit który mi wystawił, pułkownik uderzył mnie, mówiąc: Niech ci zapłaci ten, który ci obiecał.

— A cóż mnie to może obchodzić, bydlę jakieś?

— Excellencyo, żądasz pan odemnie tajemnicy, która jest moją własnością; jeżeli ją pan chcesz kupić, sprzedam za gotówkę, ręcząc za dobry skutek.

— Zuchwalcze jakiś! każę cię stłuc na miazgę za twój sekret.

— Ja zostanę zbity, a pańscy żołnierze zostaną zabici, rzekł Bolesław.

Jeszcze nie przytrafiło się Mitwedowi, aby mu kto podobny opór stawił. Zawahał się chwilę czy nie lepiejby było łeb rozwalić zuchwalcowi, lecz pomyślawszy, że nie miałby przewodnika w okolicy niebezpiecznej do przebycia, i słysząc ciągłe wystrzały, które dziesiątkowały mu żołnierzy, postanowił zużytkować podstęp polaka, któremu ze wszystkich cnót zdobiących jego rodaków, tylko niezłomny charakter pozostał, i, złagodniawszy zaraz, zapytał szpiega:

— Ile żądasz za swój sekret?

— Sto rubli, excellencyo.

— I ręczysz za skutek?

— Tak, ręczę.

— A jeżeli się nie uda?

— Odbierzesz pan sto rubli, i każesz mi dać sto batów.

— Kapitanie Timaszow, rzekł generał, wylicz temu człowiekowi natychmiast cztery banknoty po dwadzieścia pięć rubli; czy masz je pan w swojej kasie?

— Mam, excellencyo.

— Dobrze! a teraz, twój sekret?

— Excellencyo, sto rubli naprzód.

Twarz Mitweda zaczerwieniła się z gniewu; zachował się jednakże spokojnie, i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, czekał.

— Masz sto rubli, rzekł kapitan.

— Któremi niedługo cieszyć się będziesz, wyszeptał Szary-Niedźwiedź przez zaciśnięte zęby, z dzikim uśmiechem, gdy tymczasem zdrajca rachował pieniądze: potem dodał głośniej:

— Otrzymałeś swoje?

— Tak, excellencyo.

— Tajemnica?

— Słusznie excellencyo. Słyszysz pan tych wieśniaków co płaczą?

— Tak dobrze ich słyszę, że mam zamiar przez broń ich przepuścić, aby raz skończyć z nimi.

— Zamiast tego, excellencyo, rozkaż swoim kozakom przywiązać ich żywych, jednego do każdego pala; a buntownicy i powstańcy znajdujący się w zamku, nie ośmielą się strzelać do nas z obawy, aby ich nie dosięgli; ja za to odpowiadam.

Generał ani pomyślał o barykadzie ludzkiej; wyrzucił moskiewskie przekleństwo ze zwierzęcą radością i podał rękę szpiegowi.

Zdrajca uścisnął tę rękę.

Byli godnymi szanować się wzajemnie.

Nie upłynęło jeszcze dziesięć minut a strzelanina ustała.[1]

W godzinę potem, kozacy i grenadyerzy siedząc spokojnie po za ostrokołami, do który czterdziestu pięciu wieśniaków było przywiązanych w pół ciała, za ręce i nogi, odpoczywali po męczącej całodziennej robocie, w około ognisk obozowych.

Noc upłynęła w spokoju i cichości, a kiedy świtać zaczęło, artylerzyści, stosownie do rozkazu jaki otrzymali, wycelowali armaty, aby przez płoty żyjące, razić powstańców pełnemi strzałami.

Za ten pomysł Mitwed nie zapłacił, bo był jego własnym, i aby się ucieszyć ze skutku jaki on sprawi, o brzasku dnia kazał się przebudzić.

Na pierwszy wystrzał armatni, ani jeden wystrzał karabinowy nie odpowiedział; było więc widocznem, że powstańcy nie mając nabojów, zostali bezsilni: Szary-Niedźwiedź zacierał ręce z radości.

Wkrótce coraz większe światło dzienne, pozwoliło w jednym z okien rozeznać czarną chorągiew, zrobioną z szarfy.

Oblężeni chcą poddać się.

— Głupcy, rzekł Szary-Niedźwiedź, widocznie chcą nam oszczędzić amunicyi; ale pewnie myślą, że ocalą swoje życie, i mylą się; będziemy mieli uciechę.

I wysłał parlamentarza.

---

1 Historyczne. — Patrz Dzienniki, tom I, str. 165.

Porucznik w towarzystwie trzech ludzi zbliżył się do otworu który kiedyś był bramą, i którego barykada kulami armatniemi wywróconą została.

Nikt nie wyszedł na jego spotkanie; zwiedził ruiny, nie było nikogo, wrócił do bramy i dał znak pałaszem.

Dwudziestu grenadyerów, z nastawionym bagnetem, szybkim krokiem pobiegło.

— Wszędzie przeszukać! rozkazał oficer.

Żołdactwo rozbiegło się po zamku, nic nie znalazłszy oprócz tych słów węglem na ścianie: Boże Zbaw Polskę! a podspodem, krwią napisane: Chusko i Cezar.

W końcu, jeden z nich zeszedł do piwnicy, a nie znalazłszy napojów których szukał, przybiegł do oficera wołając, iż odkrył podziemie.

Porucznik je zwiedził i zauważył, że wychodziło się z niego w gęstwinę leśną, przez którą, po połamanych świeżo gałęziach, łatwo się można było domyśleć, że cały oddział powstańców wymknął się w nocy.

Mitwed z niecierpliwością oczekiwał rezultatu sławnego swego zwycięztwa; lecz kiedy dowiedział się o ucieczce obleżonych, gniew jego nie miał granic.

— Ci są zdrajcami! ryknął wskazując na wieśniaków przywiązanych do pali; zapłacą mi za wszystkich. Dzieci, pomścijcie waszych towarzyszy, pomordowanych przez buntowników!

Kozacy nie dali sobie powtorzyć tego potwornego rozkazu; nieszczęśliwi wieśniacy, przeszywani tysiącem uderzeń ich pik, wydawali jęki boleści i rozpaczy.

— Kłuj, kłuj! ryczał Mitwed, dając sam przykład dzikiemu żołdactwu, to są zdrajcy!

A kiedy moskale, prowadzeni przez Tokołę, który otrzymał sto rubli, opuścili Racławice, nic więcej za sobą nie zostawili jak ruiny, i stojących, w około tych zgliszcz zczerniałych, czterdzieści pięć trupów okrwawionych, podziurawionych, niepodobnych do rozpoznania, lecz stojących i przywiązanych do odrażającej baryery.

Takie to było pierwsze zwycięztwo moskali, w nowo rozpoczętej kampanii; ich popi śpiewali *Te Deum* we wszystkich cerkwiach cesarstwa, a przedstawiciele rządu, w galowych mundurach błyszczących złotem, spieszyli do kościołów prawosławnych podziękować rosyjskiemu bogu, za udzieloną armii protekcyę i świetne zwycięztwo, odniesione przez walecznych i wiernych żołnierzy najjaśniejszego cesarza wszech Rosyi, króla i ojca narodu polskiego.

Tego samego wieczora, w którym ta krwawa egzekucya się odbyła, trzydzieści tysięcy moskali obozowało o pół wiorsty od obozu Langiewicza.

Bitwa trwała trzy dni i tysiąc nowych męczenników przybyło Polsce, kiedy Langiewicz, raczej naciskany niż zwyciężony, zaczął się cofać.

Bo cóż miał zrobić lepszego, każdy z jego rycerzy padając, zostawiał próżne miejsce którego nikt zająć nie przyszedł, gdy tymczasem moskalom, posiłki nowych batalionów co godzinę przybywając, rozwijały się w linię w miejsce zniszczonych batalionów moskiewskich.

Nie mogąc poledz, cofał się Langiewicz, lecz cofał się jak lew raniony, zatrzymując się na każdym kroku dla wydania ryku i uderzenia z większą jeszcze zaciętością; za każdego poległego Polaka, dziesięciu moskali gryzło ziemię; każde więc swoje zwycięztwo jako porażkę policzyć mogli.

Nigdy jeszcze żołnierze nie okryli się taką chwałą jak ci zwyciężeni bohaterzy, a stary Magnus, wieczorem, ostrząc na szpicu skały swoją skrwawioną i poszczerbioną od uderzeń kosę, powtarzał z dumą.

— Widziałem pod Berczyną, lecz niczem to było w porównaniu; jaka szkoda, że nasi panowie Adam Chusko i Cezar Kirpowski nie byli z nami!

Czwartego dnia wieczorem, zatrzymali się powstańcy dla wypoczęcia na wzgórzu otoczonem borami i bagnem, o jakie pół wiorsty od Wisły; moskale również zatrzymali się o wiorstę od ich obozu, oczekując na posiłki, aby za jednem uderzeniem wszystkiemi swemi siłami, zgnieść armię narodową, a jej resztki zepchnąć do Wisły.

O północy, oprócz pikiet które się co godzinę zmieniały, wszyscy Polacy znużeni walką i kilkodniowym pochodem, leżąc na wilgotnej ziemi z bronią przy boku, spali snem twardym, kiedy, dziesięciu ludzi, milczących jak cienie, szybko wyszedłszy z obozu dążyło ku rzece, której wody, jeszcze niewidzialne, z głuchym łoskotem toczyły się na kraju lasu.

Noc była spokojna, niebo pokryte gęstemi chmurami i nic nie było słychać jak tylko coraz wyraźniejszy szum wody.

*

Naraz, stary Magnus idący na przodzie, wskazując ręką rzekł:

— Wisła!

Prawie w tejże samej chwili księżyc wyglądając z za chmury, oświecił swojem melancholijnem światłem rzekę, która spokojna w tem miejscu, rozlewała się między sitowiem jak srebrne jezioro.

Nikt nie odpowiedział; Kosynier zdjął czapkę, przeżegnał się i szedł dalej.

Brzegi rzeki niskie i zawsze bagniste, były do połowy zalane wodą i potrzeba było jak największych ostrożności, by uniknąć niewidzialnych trzęsawisk; Magnus i Narbut szukając gruntu swojemi kosami, brnęli w wodzie do kolan.

— Czy pewny jesteś przejścia? zapytał Kirpowski.

— Tak, panie, odpowiedział wierny sługa; wczoraj rozglądałem się, i oto są znaki, które porobiłem.

I wskazał na kępki połamanego sitowia.

Langiewicz nic nie mówił, szedł ze ściśniętem sercem, wielkość ofiary jaką czynił, przygniatała go.

W końcu przyszli do niewielkiej wyniosłości, na której wznosiła się nędzna lepianka, zbudowana na palach; do płaczącej wierzby była przymocowana mała łódka, kręcąca się przed pustkowiem przewoźnika, poległego wczoraj, w szeregach armii narodowej.

Magnus zapukał lekko do zniszczonych do połowy drzwi.

— Kto tam? zapytał głos kobiecy.

— *On!* odpowiedział starzec.

Niewiasta zaraz wyszła i nie wyrzekłszy ani słowa, z płaczem pokłoniła się dyktatorowi.

Potem, podniosła z ziemi parę wioseł i rzuciła je do łódki, mówiąc:

— Kto może wiosłować?

— Ja, rzekła Marta.

— Lecz napowrót?

— Także ja.

— Siostro, jesteś odważną, lecz czy pewną jesteś swoich sił? zapytała przewoźniczka, patrząc na dziewicę.

— Tak, ja ręczę za to, rzekł Włodzimierz.

— A więc, chodź ze mną.

— Bracia, bolesna chwila rozłączenia nadeszła, odezwał się Langiewicz; oto moja proklamacya, przeczytajcie ją armii. Niech Bóg ją i was ma w swojej opiece . . . .

— Maryanie, nie dasz nam jakich rozkazów?

— Moje instrukcye, albo raczej moje plany, wszyscy znacie; działajcie jak dotychczas działaliście, jako mężni obrońcy ojczyzny; to co zrobicie, dobrem będzie. Niepokójcie nieprzyjaciela, podzielcie się na oddziały, aby biały orzeł Polski rzucał się na zdumionych orłów moskiewskich, na wszystkich punktach naraz.

— Panie, łódka gotowa rzekła przewoźniczka.

Langiewicz zapałił się mówiąc; to słowo: łódka — gotowa, do smutnej rzeczywistości gwałtownie go przywiodło.

— Ojcze, pobłogosław naszym zamiarom po raz ostatni! wyszeptał, zginając kolano przed księdzem Raskowskim.

Kapłan wyciągnął ręce i rzekł:

— Niech będzie błogosławiony ten, co za swoją ojczyznę, do ostatniej walczył chwili! niech będzie błogosławiony ten, co własny swój honor poświęca dla ocalenia braci! bądź błogosławiony Maryanie Langiewiczu, dyktatorze Polski, męczenniku swoich powinności i wielkomyślnych zamiarów! Niech Matka Boska Częstochowska, tobie i twoim, towarzyszy w tem zgubnem przedsięwzięciu; niech cię broni od wszystkich niebezpieczeństw, i przyprowadzi cię zwycięzkim i sławnym, na tę świętą naszą ziemię!

Powstał dyktator, uścisnął ręce tych, co go odprowadzili, mówiąc:

— Żegnam was, bracia; wy przynajmniej wiecie że nie jestem podłym, ani tchórzem; żegnam was, a jeżeli niebo pozwoli, do widzenia. O! Polsko moja, co za straszna ofiara!

I, wskoczywszy do łódki, usiadł obok steru, podparłszy głowę rękoma.

Starzec, krewny i opiekun panny Pustowojtów, usiadł ze swoją wychowanicą, adjutantem generała, na drugim końcu łódki, a na znak: Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Narbut i Magnus odepchnęli od brzegu czółno.

— Bóg z wami! rzekła przewoźniczka.

I cztery wiosła spadając lekko, zanużyły się w wodzie.

Czółno sunęło się w milczeniu po srebrnej powierzchni, i wkrótce w gęstej mgle, wznoszącej się jakby zasłona, znikło.

Kwadrans upłynął; nic nie słyszano jak tylko szmer wiatru w lesie i lekki szelest sitowia.

Zatopieni w smutnych myślach Polacy, siedząc nad brzegiem rzeki, ani słowa z sobą nie wymienili.

Nareszcie, czarny punkt pojawił się na środku rzeki, i wkrótce czółno, w którem tylko dwie wioślarki siedziały, lekko dotknęło brzegu.

— Przecież! rzekł Włodzimierz.

— Wysiedli i nikt ich nie widział.

— Niech ich Bóg ma w swojej opiece! wyszeptał ksiądz Raskowski.

I, znowu przeszedłszy bagno tą samą ścieżką którą szli poprzednio, weszli do obozu, jeszcze przed świtem.

W około dogorywających ognisk, waleczni powstańcy spali.

Narbut zbliżył się do jednego ze śpiących i trącił go lekko.

— Co to? zapytał Szczepan, powstając.

— Obudź naczelników oddziałów, i powiedz im, żeby przyszli na naradę.

Zrobił co mu kazano.

W chwilę później, ze wszystkich stron obozu biegli oficerowie stanąć w około sztandaru, wytkniętego jako punkt zborny.

Pomiędzy nimi było wielu prawdziwych Polaków, lecz znaleźli się także i zdrajcy.

Skoro już wszyszy zgromadzili się, nastała chwila wahania i oczekiwanie, bo Langiewicz nie zjawiał się.

— Gdzież jest dyktator? zapytało kilka głosów.

Włodzimierz Kirpowski, jako najstarszy wiekiem, powstał, powitał zgromadzenie i odpowiedział:

— Bracia i panowie, dla bardzo ważnych powodów i w interesie armii narodowej, dyktator, Maryan Langiewicz, opuścił obóz i wam rozkazał, nim moskale zaatakują nas, rozejść się. Każdy z was ma poprowadzić swój oddział, dla rozpoczęcia tymczasowej wojny partyzanckiej, tam, gdzie mu się zdawać będzie najdogodniej.

Zdumieniem, a następnie groźnym szmerem, powitano to niespodziewane oznajmienie, które wywracało ostatnie nadzieje patryotów i niszczyło plany zdrajców, zdecydowanych tego samego dnia, wydać dyktatora, w ręce moskiewskie.

— Maryan jest zanadto szlachetnym, by miał uciekać w chwili walki, wykrzyknął popędliwy Cieszkowski; bracie Włodzimierzu, błagam cię, powiedz całą prawdę, został zamordowany?

— Nie, bracie, ksiądz Raskowski, Narbut, Marta i ja, przed godziną odprowadziliśmy go do Wisły, którą z dwoma adjutantami przepłynął, dawszy nam wpierw instrukcye słowne i . . . .

— Nie wierzymy ci, i nikogo innego nie słuchamy jak tylko naszego generała! ktoś zawołał.

— Jego rozkazy, są własną jego ręką pisane, mówił dalej starzec, i sądzę, że nie będziecie podej-

rzywać tego, komu to pismo powierzył, dodał, wskazując księdza Raskowskiego.

— A więc jest zdrajcą! ktoś krzyknął.

— Albo podły! powtórzył drugi.

— Jeżeli są zdrajcy i podli między nami, to ci, którzy znieważają naszego generała, i ja ich odkryję, wrzasnął popędliwy Narbut, dobywając szabli.

— Nie lękamy się ani ciebie, ani twoich wspólników, wrzasnął jakiś olbrzym również dobywając szabli.

Dwóch czy trzech jego towarzyszy naśladowało go; inni przeciwnie, stanęli po stronie Narbuta.

Gdyby nie kapłan, rozpocząłby się pojedynek, który później zamieniłby się w formalną bitwę, gdyż hałasem zbudzeni powstańcy, dążyli uzbrojeni na miejsce, gdzie zebrała się rada.

Nie tyle przekonani wzruszającemi słowami zacnego kapłana, szanowanego przez całą armię, co swoją niemocą, oszczercy, szemrząc, cofnęli się, i Narbut na żądanie drugich członków rady, mógł przeczytać proklamacyę dyktatora.

Czas naglił, większość dowódzców zdecydowała się być posłuszną rozkazom i każdy z nich wymienił prowincyę lub powiat, gdzie jak sądził, mógłby z korzyścią dla kraju działać; Cieszkowski wybrał lasy ciągnące się na południe od Częstochowy, Oksiński stronę północną, Taczanowski brzegi Warty, w okolicach Konina, Łapiński Kutno i jego okolice, Padlewski województwo Płockie, Rylski Litwę, gdzie już prowadził partyzantkę ksiądz Maćkiewicz, Taczanow-

ski, Jankowski i Sokół okolice Warszawy Lelewel i Lewandowski województwo Lubelskie; co zaś do Narbuta, ten zamierzał połączyć się z Chuską, który niepokoił tyły moskiewskie i z nim się porozumieć co do następnych działań.

Podczas kiedy waleczni patryoci spieszyli się umyślnie, zdrajcy działali powoli; zmieszawszy się z partyzantami, zbudzonymi niespodzianie i zmartwionymi ważną nowiną odjazdu Langiewicza, sieli nieporządek i zniechęcenie pomiędzy wojskiem, przedstawiając dyktatora jako podłego i zdrajcę.

To ohydne i zręczne korzystanie z okoliczności, łatwo znalazło posłuch pomiędzy powstańcami, a wtedy zdrajcy nie lękali się już wprost mówić, że jedyny sposób by uniknąć kary, jest poddać się moskalom, i natychmiast wysłać do nich deputacyę z propozycyą honorowej kapitulacyi dla armii Langiewicza, który, jak twierdzili, sprzedał ją za cenę krwi.

— Kirpowski, Narbut i ksiądz Raskowski ręczą jednakże swoją uczciwością, rzekł jeden z ochotników.

— Piękną gwarancyą mi wymieniłeś, odparł olbrzym z szyderczym uśmiechem, oni także są przekupieni.

— A proklamacya?

— Jestto papier podrobiony; wszyscy ci nędznicy zmówili się, by was oszukać, krzyknął zdrajca.

— Kłamiesz, nędzniku! wrzasnął jeden z ochotników, rozpychając tłum; kłamiesz! i to ja, Szczepan, mówię ci.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze?

— Jestem krewnym szyldwacha, którego zamordowałeś onegdaj wieczorem, by wyjść potajemnie z obozu.

Zdrajca zbladł okropnie; lecz zrozumiał, że jest zgubiony, jeśli nie odpowie na obelgę.

— Zapóźno przychodzisz ze skargą na mnie, zawołał; albowiem wiadomo, że i ty jesteś przekupiony.

— Powtarzam ci, rzekł Szczepan, że jesteś zdrajcą i mordercą, i dowiodę ci tego.

— Dowiedź więc! dowiedź! krzyknęli powstańcy; widziałeś go?

— Bóg tylko i ofiara widzieli go, lecz to wystarczy; ty, co oskarżasz drugich, dobądź sztyletu który masz za pasem.

— Tak, dobądź sztyletu, wielu zawołało.

Patrzcie, rzekł olbrzym; ostrze złamane, wiem o tem, lecz cóż to dowodzi?

— Toby nic jeszcze nie dowodziło, gdybym ja, Szczepan, nie wiedział gdzie jest druga połowa ostrza, na której jest wyryte całe twoje nazwisko; czy wiesz gdzie jest ona?

— Nie, złamałem w walce; to wszystko co mogę powiedzieć.

— Złamałeś sztylet uderzając nim szyldwacha, który ci chciał przeszkodzić nas sprzedać, i z jego to piersi wydobył chirurg drugą połowę ostrza; co powiesz na to, zdrajco?

— Zuchwałemu jak ty, oto moja odpowiedź! ryknął szpieg, rzucając się na górala z siekierą w ręku.

Lecz nim zdążył go uderzyć, starzec o białej brodzie schwycił go w pół, i jak piłkę rzucił na ziemię.

Tym starcem, był Magnus.

— Zrewidować go, rzekł, przygniatając mu piersi kolanem.

— Jestem oficerem, ryknął zdrajca, wyrywając się.

— Jeżeli jesteś niewinnym, każesz mnie rozstrzelać, rzekł Kosynier.

Szczepan powywracał kieszenie olbrzyma i przejrzał jego kołpak, lecz nic nie znalazł; już mieli go puścić, kiedy naraz góral spostrzegł złoty łańcuszek zawieszony na jego szyi, na końcu którego woreczek aksamitny zawieszony, schowany był pod koszulą.

— To jego medalik, nie ruszaj, jednocześnie zawołano.

— Tak, to moje relikwie, nędzniku, rzekł bandyta, szarpiąc się gniewnie.

— To się pokaże, odpowiedział góral; a jak nie, każesz mnie rozstrzelać.

I wydobył z woreczka papier w ósemkę złożony, który rozwinął, wołając:

— Bracia, oto jego relikwia; relikwia szatańska.

Straszny krzyk oburzenia i gniewu wyrwał się ze wszystkich piersi; ten papier był kwitem podobnym do tego, jaki otrzymał Tokoło od kapitana Frederikowa.

Sąd zrobiono w tej chwili.

— Niech ginie! wrzasnął tłum.

I nim oficerowie zebrani na naradę, dowiedzieli się o przyczynie zamieszania, trup olbrzyma, podziurawiony kosami, bujał na jodle z nieszczęsnym papierem przypiętym na piersiach, ostrzem sztyletu mordercy.

Odkryta zdrada olbrzyma i zasłużona kara jaką mu wymierzono, przeraziły jego wspólników i pomieszały im szyki.

Wyjąwszy dziesięciu czy dwunastu szpiegów, którzy już oddawna byli na żołdzie moskiewskim, żaden z Polaków nie chciał się poddać moskalom, lecz pięciuset przynajmniej, opuściło swoich dowódzców i skierowało się ku Wiśle by przejść granicę i w Austryi lub w Prusach, jeść gorzki chleb wygnania.

Inni, przekładając śmierć nad opuszczenie szeregów, pozostali; skoro się rozwidniło, nowe oddziały partyzanckie rozproszyły sie w kniejach leśnych, lub w gęstych sitowiach bagnisk, nie zostawiając nic w obozie, jak tylko trupa zdrajcy.

Moskale, którzy liczyli na pewne zwycięztwo, pocieszyli się publikując w dziennikach szumny buletyn. Według tego raportu, Rosyanie w liczbie pięć do sześciu tysięcy, po zaciętej bitwie rozpędzili piętnaście tysięcy powstańców; cała ta sprawa kosztowała ich kilku rannych i jednego kozaka, sławnego kozaka, bo od czasów Piotra Wielkiego, zabitego w każdym raporcie.

Trzeba przyznać, iż jeżeli to zwycięztwo mało kul armatnich kosztowało moskali na polu bitwy, to za to niezmierną ilość prochu spalono w Petersburgu,

i także urzędownie, jak donosiły dzienniki. Mużyki świętej Rosyi, przez miłość dla swego ojca zawsze zwycięzkiego i policyi, spijali się codziennie, przez cały tydzień.

*   *
*

Narbut wyszedłszy z obozu ze swoim oddziałem skierował się ku bagnom w okolicy Skalmierza, by ztamtąd śmiałym marszem przejść szosę warszawsko-krakowską, zajętą przez wojska moskiewskie, w zamiarze zapuszczenia się w lasy po drugiej stronie drogi, i forsownym marszem dostać się do Chuski, który jak domyślał się, z tamtej strony Warty obozował.

Swininowi nawet na myśl nie przyszło aby mógł zostać zaatakowanym w zasadzce, którą sam wybrał dla napadnięcia znienacka na uciekających powstańców, po zabraniu obozu; nie słysząc więc jeszcze strzałów armatnich, kazał wypocząć żołnierzom, a sam, znużony skwarem słonecznym, zasnął jak każdy śmiertelnik, pod cieniem jodły.

Bo i czegóż się miał obawiać? Przestrzeń między nim a obozem powstańców dwadzieścia tysięcy moskali zajmowało, po lewej jego stronie cała armia rozwijała się by zgnieść Langiewicza, po prawej zaś zasłaniał go jego współzawodnik Mitwed z dwoma tysiącami ludzi, broniąc przejścia Warty przeciw stu pięćdziesięciu lub dwustu Kosynierom Chuski.

Mitwed wyprosił sobie ten posterunek, nie bardzo zresztą niebezpieczny, dla ukarania w sposób przykładny zuchwałych obrońców zamku Racławickiego.

Jego excellencya generał Swinin spał więc snem smacznym i spokojnym, kiedy naraz okrzyk do broni: buntownicy! rozlegający się ze wszystkich stron, przebudził go tak nieprzyjemnie i niespodzianie.

— Co! co to jest, zerwawszy się na równe nogi, wykrzyknął, gdzie są? niech piekło pochłonie tych Padleców, lecz gdzież są?

— Tu, excellencyo, odpowiedział grenadyer, stojący na straży o parę kroków od śpiącego, nadchodzą....

— Bóg i Polska! wrzasnęło dwustu strzelców Narbuta, którzy czołgając się by nie być widziani, naraz powstali i dawszy ognia ze swoich karabinów o kilka zaledwie kroków, rzucili się w otwartą swemi kulami lukę, z okrzykiem:

— Bóg i Polska! Bóg i Polska!

Nigdy, nawet w Atradzie, Swinin nie widział śmierci tak blizko.

Powstańcy byli zaledwie o dziesięć kroków od niego kiedy ich spostrzegł, i, nim zdołałby nawet uciec, już ich nie było, przelecieli jak huragan, czuł tylko że jakiś straszny ciężar spadł mu na kość w czaszce, mgła zaćmiła mu oczy, runął jak bezwładny kloc na ziemię, zatoczył się w pyle i stracił przytomność.

Kiedy przyszedł do siebie, już przeszło godzina minęła jak powstańcy zapuścili się w lasy po drugiej stronie Warty, nie ścigani inaczej jak wystrzałami, gdyż wojska moskiewskie zdumione ich zuchwałością, nie śmiały puścić się za nimi. Wysłane zwiady w czas jakiś po przejściu, znalazły ślady krwi na zie-

mi i drzewach; widocznie, Narbut nie przeszedł beż straty.

To trochę ułagodziło wiele cierpiącego Swinina. Rozcięta bowiem uderzeniem kolby jego głowa, którą owiniętą bandażami, Abraham, szlochając, skrapiał zimną wodą, sprawiała mu niezmierne boleści; nogi, ręce i całe ciało miał potłuczone, trzy zęby wybite, oczy nabrzmiałe i krwią zaszłe.

Stan generała, któremu Szczepan swoim karabinem tak szczodrze przysłużył się, był wprawdzie opłakany, lecz boleści starego Abrahama, nie było granic.

Na kolanach, około oszpeconego ciała swego naczelnika, wierny Izraelita, wydając jęki rozdzierające serce, darł na sobie ubranie i targał brodę, którą knot Nabielkowa oszczędził.

— Ach! zbójcy! wykrzykiwał kalecząc sobie paznokciami piersi, co oni z nim zrobili! o! łotry, suki syny, przeklęci! Ach! jaśnie panie, powalili go, jak rzeźnicy wołu, jednem uderzeniem; ocal-go, jasny panie doktorze, ocal-go, wskrześ-go, jeśli tego potrzeba.

— Przestań wrzeszczeć, bałwanie, i ruszaj-mi po wodę, krzyknął chirurg kopnąwszy go, nie widzisz głupcze, że żyje?

— I pan go ocalisz, pan pewnym jesteś ocalić go? jęczał żyd.

— Pięściami wypędźcie-mi tę krzyczącą świnię, krzyknął do żołnierzy grzeczny lekarz.

— Abrahamie, wyszeptał Swinin, wody!

— Dobrze, mój dobroczyńco, dobrze, mój ojcze, natychmiast przyniosę, rzekł żyd odchodząc: nie zabili go, niech Bóg Jakóba będzie pochwalony.

I, wróciwszy z pełnym kapeluszem świeżej wody, obmył twarz rannego i odwilżył zgorączkowane jego usta z taką dobrocią, jaką tylko matka może okazać w pielęgnowaniu swego dziecięcia.

— Nie opuszczaj mnie, Abrahamie, powtarzał ranny.

— Ja, miałbym opuścić, Waszą excellencyę, ja, co nie mam nikogo na świecie prócz pana, o! nie, nigdy!

I rzeczywiście, skoro tylko nosze do przeniesienia Swinina do sąsiedniej wioski zostały przysposobione, Abraham z pełnym kapeluszem świeżej wody, szedł za nim, i, ulokowawszy się w chacie gdzie złożono generała, ośm dni i ośm nocy przy nim przepędził, prawie nie śpiąc i nie jedząc.

Dzięki silnej budowie ciała, Swinin wkrótce wrócił do zdrowia. Pewnego dnia, lekarz zapewniwszy się że Abraham oddalił się na całą godzinę rzekł do generała:

— Jakim sposobem, excellencyo, potrafiłeś sobie oswoić tego niedźwiedzia?

— Moja tajemnica, mój kochany, nie trudna do odgadnięcia; zniszczyłem go zupełnie i zabiłem mu syna,powstańca;teraz więc nie ma innego opiekuna jak tylko mnie, i nie chce mnie opuścić.

— Teraz rozumiem excellencyo, to mi wszystko tłómaczy.

— Czyż nie tak? śmiejąc się, rzekl generał. Ale, ale, mówił dalej, czy wie kto co o moim przyjacielu Mitwedzie?

— Od czasu przypadku jaki spotkał Waszą Excellencyę, objął naczelne dowództwo nad dwoma kolumnami, i, prowadzony przez swego psa gończego Tokołę ściga Narbuta, którego przyrzekł przyprowadzić przywiązanego, do ogona swego konia.

— Ta, ta, ta! gderał Swinin, on to zrobi, ten samochwał!? . . . . dobrze mu to mówić . . . . tak dobrze z tem mu się powiedzie, jak w Racławicach: stracić blisko dwustu ludzi przed nędzną chałupą, i nie wziąść ani jednego więźnia, ja, umarłbym ze wstydu. Mówiąc między nami, ten Mitwed zupełnie jest nie zdolny, jak pan myślisz?

— Oh! tak, excellencyo, cała armia jednomyślnie śmieje się z niego.

— Założyłbym się, że zabłąka się w lasach bez znalezienia śladów choćby jednego powstańca; zresztą, za trzy lub cztery dni, skoro czuć się będę zdrowszym, pójdę przetrząsać knieje z moim ogarem, który jest lepszym niż jego, i spodziewam się, że w sam czas nadejdę by go ocalić, jak to już tyle razy zrobiłem.

— Z pewnością, że tak będzie excellencyo, lecz nie męcz się excellencyo za wiele mówiąc o tych rzeczach, odpoczynek jest niezbędny do pańskiego wyzdrowienia, a wyzdrowienie waszej excellencyi dla Rosyi.

Generał raczył uśmiechnąć się wdzięcznie do lekarza, i wciskając jeszcze obandażowaną głowę w poduszki, rzekł:

— Może masz pan i racyę, zasnę więc trochę, marząc o sławnym Mitwedzie. Przyślij-mi pan, mego psa służbowego.

I zasnął w istocie, a tymczasem lekarz poszedł po Abrahama, bez którego nie mógł się obejść generał.

Żyd wszedł po cichu, chwilę wpatrywał się w rannego z dziką radością, i pewny że śpi, przykucnął w nogach łóżka szepcząc:

— Ciesz się Rubenie, wyzdrowieje i zachowam go dla ciebie.

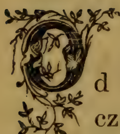
O kilka wiorst ztamtąd odbywał się straszny i niespodziewany dramat.

Jakby na przekorę wyrzeczonej opinii przez Swinina, Tokoło odkrył ślady Narbuta i jego oddziału.



XXV.

Ślub na grobie.



d dwóch dni manewrował Mitwed z nadzwyczajną żywością, by przeszkodzić Adamowi w przejściu Warty.

Próżną stratą czasu były te obroty, ponieważ naczelnik Kosynierów nie mając zamiaru przejść rzeki, wolał ze swymi stu kilkudziesięciu partyzantami trzymać cztery tysiące moskali w ciągłym ruchu, niż atakować z tak słabemi siłami, kolumny piekielne.

Chciał tylko wojną partyzancką opóźniać pochód batalionów moskiewskich dążących do obozu Langiewicza, nie zaniedbał też, czy-to w dzień, czy w nocy, zbliżać się z pozornemi ostrożnościami do brzegu rzeki i cofać się natychmiast, skoro moskale nadbiegali, by bronić przejścia.

Mitwed, nie domyślając się, że sam przez Polaków był oszukiwanym, ze zwyczajną sobie skromnością, uważał się, za najlepszego współczesnego taktyka.

Jednych tylko kozaków drogo kosztowała sława ich naczelnika; dla utrzymania bowiem swego honoru, ani jednej chwili wypocząć im niedozwolił: szczególniej adjutanci, byli pomęczeni.

Już od dwóch dni ta gra w chowanego trwała, kiedy porucznik Dmitri, już od czternastu godzin na koniu, oznajmił swemu generałowi że Kosynierzy, podczas nocy, na kilkunastu punktach nad brzegiem rzeki, pojawili się w sitowiu.

— Lecz przejść rzeki nie mogli, nie prawdaż? zapytał generał, który dopiero co wyszedł z namiotu, gdzie spał parę godzin; tak, dodał z pewnym rodzajem pychy, zabraniam im przejść; ja, widzisz pan, z nieprzyjacielem, zawsze taki jestem.

— Jak wielki Suwarow! wykrzyknął Krutusow, major pochlebca, dobijający się awansu, co powiecie, panowie?

— Że to jest pyszne, lecz za nadto nużące, odpowiedział porucznik, drzemiący ze zmęczenia na siodle.

Ta odpowiedź zbyt śmiała, z pewnością byłaby zapłacona przez generała uderzeniem nahajką w twarz, uchybiającego mu podwładnego. Szczęściem dla niego, że Mitwed w dobrym humorze, głośnym wybuchł śmiechem.

— Ach! mój chłopcze, ty jesteś znużony; no! to mi się podoba; ja zaś, widzicie panowie, nie jestem niewieściuchem, babą jak wy; jestem drugim Suwarowem, wiecie, tym Suwarowem, którego żołnierze nazywali Kukuryku, ponieważ w nocy, by śpiących

budzić, przebiegał obóz, udając koguta; czy nie prawda, majorze?

— O, tak! wykrzyknął Krutusów, klaszcząc w dłonie, o tak! co myślicie, panowie?

Rozumie się, że wszyscy oficerowie w nadziei szybszego awansu, o tak! wykrzyknęli jednogłośnie.

— Z generałem, to nie mała rzecz próbować przejść rzekę, mówił dalej major. Warta jest dłuższą niż szeroką, a Padlecy są tak przebiegli jak lisy, zwróć tylko oczy w inną stronę, a . . . .

— Tak! przerwał zadowolony Mitwed, przytakując głową.

— Tak! wszyscy oficerowie jednogłośnie przywtórzyli.

— Miał szczęście Napoleon że nie spotkał pod Berezyną Jego excellencyi, rzekł najstarszy z kapitanów; z pewnością nie byłby wrócił do Francyi, chociaż był Napoleonem.

Jego excellencya raczył smakować w pochlebstwach, któremi tak szlachetnie go darzono.

— W istocie, jest bardzo prawdopodobnem, odpowiedział, głaszcząc rude swoje faworyty, że Napoleon, podobnie jak teraz Chusko, nie przeszedłby rzeki. Jestem zmartwiony, że muszę ci się sprzeciwić panie cesarzu, ale nie przechodzi się rzeki, bo ja nie pozwalam. Jeśli możesz, próbój przejść ją siłą; lecz ostrzegam cię, jest nas dwóch, i jeśli ty zowiesz się Napoleonem, ja, nazywam się Mitwedem.

To piękne samochwalstwo widocznie musiało podobać się panom oficerom, bo gorącemi oklaskami je nagrodzili.

Sam tylko major był niezadowolony.

— Kto wie? myślał sobie, czy ten kapitan nie uprzedzi mnie teraz w awansie; nie ma tak znowu za wielu majorów. Gdyby mi jeszcze trochę zostawił czasu, znalazłbym i ja także coś o Berezynie; tym ludziom zawsze tak pilno, że aż człowiekowi depczą po nogach.

Faktem jednakże było, że Szary–Niedźwiedź z uśmiechem uderzył kapitana po ramieniu i nazwał go, mój kochany.

Smutny major męczył się nad wynalezieniem jakiego tłustego pochlebstwa, któremby mógł wszystkie poprzednie zakasować, kiedy Dmitri, prostując się na siodle, wykrzyknął:

— Słuchajcie! słuchajcie!

Głuchy łoskot, jak gdyby ognia batalionowego, a następnie wystrzałów na ochotnika, dał się słyszeć.

Chwilę, wszyscy osłupieli, potem wystrzały gdzieś w dali pomału ustawały, i głęboka nastała cisza.

Widocznie powstańcy byli w lasach, lecz zkąd przyszli? Czyby Kosynierzy przeszli Wartę?

Na tę myśl, krew uderzyła gwałtownie do głowy Mitwedowi.

— Dmitri, Sangiewski, Baranow, galopem! dowiedzcie się ryknął generał. Wy zaś panowie, pójdźcie ze mną; jakaś zdrada jest w tem.

I podczas gdy adjutanci puścili się w kierunku słyszanych strzałów, Szary-Niedźwiedź, otoczony swoim sztabem pobiegł na otwarte wzgórze, z którego przed pół godziną, oznajmiono o obecności powstańców.

Zaledwie sto kroków od rzeki spoczywało w krzakach pięćdziesięciu kozaków, pilnujących przejścia i gotowych narobić hałasu, za najmniejszem pokuszeniem się Chuski. Pomiędzy nimi był Tokoło ze swoim doskonałym karabinem.

Chciał się okazać gorliwym.

— Którędy przeszli? jak tylko go spostrzegł, krzyknął Szary-Niedźwiedź.

— Kto taki, excellencyo?

— Kosynierzy, ośle!

— Kosynierzy nie ruszyli się, excellencyo; są zawsze w jednem miejscu, zgromadzeni pod stopami krzyża.

— To niepodobna, odpowiedział generał, wszyscy tam być nie mogą, ponieważ bili się w lesie.

I jechał naprzód, na odkryte miejsce, między sitowie, z którego dobrze mógł widzieć okolicę ze swego konia.

— Nie zbliżaj się pan tyle, excellencyo; mają tam oni dwa czy trzy dalekonośne karabiny, i są dobrymi strzelcami, rzekł zdrajca.

— Ba! rzekł Mitwed, zwruszając ramionami, to nie ja ich, lecz oni mnie lękać się powinni.

I jechał dalej.

Major Krutusow znalazł tę junakieryę nie na miejscu, lecz że mu chodziło o awans, i że kapitan bez wahania postąpił naprzód, zdecydował się zrobić kilka jeszcze kroków.

Potem zatrzymał się za swoim naczelnikiem, w odległości jak najdalszej regulaminem przepisanej, starając się nim zasłonić.

Mitwed, nie domyslając się niebezpieczeństwa, nie poruszony na siodle, skierował lunetę na gromadkę Kosynierów i przypatrywał się im swobodnie.

— Czy myśli wasza excellencya że to oni? zapytał major, któremu to przypatrywanie zą długiem już się wydawało.

— Na djabelskie rogi! jestem tego pewny, tak pewny, że doskonale poznaję Chuskę w czerwonej czapce, z orlem piórem; w tej chwili coś mówił, teraz.... ach! teraz, przygląda się nam.... Gdybym miał armatę, nauczyłbym cię patrzeć na nas w ten sposób, psie, Padlecu!

— Excellencyo, nie jesteś pan czasami za blisko? wyszeptał major; mają broń dalekonośną, wiesz pan o tem?

— Ba! dosyć jesteśmy oddaleni, mruknął generał, nie spuszczając oka z Chuski.... Zdaje się, że wszyscy mnie spostrzegli, teraz, i moja twarz nie bardzo im się podoba.... Lecz jest coś także w sitowiu, co ich zajmuje; w tej chwili, wszyscy mają oczy zwrócone w tę stronę: zgadnij pan, majorze, co to jest?

— Doprawdy, excellencyo, nie mogę, odpowiedział Krutusow, starając się o ile możności zasłonić generałem.

— A ja, chociaż nie mam lunety, widzę wykrzyknął kapitan; to jeden z tych buntowników, czołgając się na brzegu, zbliża się ze swoim karabinem; patrzcie, prostuje się i mierzy do nas; miejcie się na baczności!

Kapitan mówił prawdę, bo kiedy Mitwed skierował lunetę na brzeg rzeki, spostrzegł w sitowiu stojącego górala, który mierzył do niego.

Generał dał koniowi ostrogę, który szybko rzucił się w bok w chwili, gdy błysk trysnął z karabina górala.

Gwałtowny ruch konia ocalił kawalerzystę; lecz kula, która miała uderzyć w piersi Szarego–Niedźwiedzia, trafiła o trzy kroki dalej, w czoło majora.

Poniósł rękę do głowy, krzyknął boleśnie, i upadł twarzą na ziemię.

Widocznie nie miał szczęścia; kapitan najstarszy w służbie, został mianowany majorem, tego samego dnia, na miejscu współzawodnika.

— Niech piekło pochłonie tych przeklętych! wrzasnął Mitwed uciekając. Co za broń! co za broń!

I, zapomniawszy o swojej roli Suwarowa, cofnął się o jakie sto kroków, nie zapytawszy nawet czy Krutusow zabity, czy tylko ranny.

Dopiero kiedy przekonał się że nie jest narażony na niebezpieczeństwo, zapytał się o majora.

Major nie mógł już zmartwić się tym brakiem uwagi, kula przeszyła mu głowę na wylot i wkrótce skonał.

Co za broń! co za broń! powtarzał Szary–Niedźwiedź, nie mogąc powstrzymać wzruszenia podobnego do bojaźni . . . . W końcu, nie przeszli, i to jest to, o czem chciałem się przekonać. A teraz, co mam do zrobienia tutaj . . . . nic . . . . wiem, co chciałem wiedzieć. Kapitanie, pilnuj dalej brodu, mnie wojsko oczekuje, i idę . . . . wydać rozkazy.

— Schować się w bezpiecznem miejscu, pomyślał sobie kapitan, kłaniając się i salutując pałaszem generałowi.

Polacy, obdarzywszy celnego strzelca głośnem hurra, sformowali się w kolumnę i cofnęli do lasu, lecz zamiast osłaniać swój marsz, jak zwykle robili, poszli w górę Warty, nie oddalając się od rzeki i, jakby dla pokazania swojej pozycyi, od czasu do czasu strzelali.

Już blizko pół godziny upłynęło od śmierci Krutusowa, a jeszcze adjutanci Mitweda wysłani na zwiady, nie wrócili.

Było to niezrozumiałe.

W końcu, powracali jeden za drugim, donosząc, że wystrzały które słyszano, były dawane przez żołnierzy Swinina do bandy buntowników, idących prawdopodobnie z obozu Langiewicza i starających się połączyć z oddziałem Chuski.

— A więc powstańcy przerznęli się przez kolumnę obserwacyjną? zapytał Mitwed.

— Tak, excellencyo, przerznęli się przez kolumnę, zabili ze trzydziestu ludzi i ciężko ranili generała.

— Bodaj go! . . . . lecz teraz, jesteśmy sami przeciw wszystkim, wykrzyknął generał, blednąc; ilµż też ich jest?

— Około sześćdziesięciu, według obliczenia pułkownika Aleksejewa.

— Nie więcej, wykrzyknął Mitwed, uspokojony i zadowolony z porażki swego przyjaciela, i to pięćdziesięciu bandytom pozwolił się ten bałwan Swinin napaść niespodzianie i pobić. Doprawdy, nie było potrzeby urządzać zasadzki z takim mozołem, by zostać pobitym! Pięćdziesięciu przeciw dwom tysiącom, no, nie mogę tego zrozumieć.

— Generał spał kiedy nadeszli.

— I żołnierze?

— Także spali.

— Ach! wszyscy spali! piękna armia, prawdziwie, i dobrze dowodzona. Czy przynajmniej teraz, przebudzili się?

— Przeniesiono generała do jednej z chat dla pielęgnowania go, a pułkownik Aleksejcw przygotowywa się do ścigania buntowników; nieszczęściem jednakże nie wie, w którą udali się stronę.

— Coraz to lepiej. Idźcie, panowie, każcie trąbić na zebranie, i na rogi Lucypera! zobaczą kto z nas dwóch, Swinin czy ja, jest godniejszym do objęcia naczelnego dowództwa i rozkazywania drugiemu.

Widocznie, Szary-Niedźwiedź nie mógł przebaczyć Swininowi, że był przez czas niejaki jego przełożonym.

Podczas kiedy trębacze na wszystkich punktach obozu trąbili i kozacy, którzy nie byli w zasadzce nad brzegiem rzeki, przygotowywali się do obławy, Mitwed wypytywał Tokołę.

Leśniczy znał wszystkie kryjówki leśne, liczbę i położenie wszelkich przejść, i jeżeli Padlecy nie pofrunęli jak ptactwo, przyrzekł odnaleźć ich ślad.

— Jeśli do jutra wieczora, dotrzymasz słowa, dostaniesz sto rubli, rzekł Mitwed, w przeciwnym razie, sto batów.

— Dobrze, rzekł zdrajca, wasza excellencya może przygotować pieniądze.

— Masz dwadzieścia pięć rubli zadatku, odpowiedział z godnością Szary-Niedźwiedź, i jeżeli będę zadowolony z ciebie, ten zadatek nie będzie ci potrącony.

— Chodźmy więc i nie traćmy czasu, rzekł zdrajca.

— Gdzie nas poprowadzisz?

— Tam, gdzie ich stracono z oczu; stu ludzi nie przejdzie w lesie, bez zostawienia śladu, a raz trop znalazłszy, wkrótce zmęczymy zwierzynę.

Tą zwierzyną był Narbut, jego dobroczyńca przyjaciel.

Kozacy pojechali kłusem.

Ujechawszy dwie wiorsty, spotkali pułkownika Aleksejewa, który od rana, nic nie odkrył.

— Excellencyo, rzekł do Mitweda, radziłbym panu pójść na lewo.

— Za waszem pozwoleniem, pułkowniku, pójdę na prawo, rzekł z szyderstwem Szary-Niedźwiedź.

I poszedł.

Było w pół do czwartej wieczorem, kiedy przyszli na drogę, żołnierze stojący na posterunkach, wskazali im wyrąb, w który zapuścili się powstańcy.

— Dobrze, rzekł Mitwed, to wszystko co chcę wiedzieć.

Tokoło zsiadł z konia i z największą starannością badał drzewa i krzaki; szedł i wracał, jak wyżeł szukający za tropem: Mitwed przyglądał się jego robocie.

— Tędy, rzekł naraz, i niech nikt mnie nie wyprzedza.

— Czy jesteś pewnym? zapytał Szary-Niedźwiedź.

— Tak! tak! rzekł, naprzód!

Przeszli las przerzedzony, potem wyrąb, potem znowu las przerzedzony; tam, na ziemi wilgotnej widać było ślady kroków i podeptaną murawę; na korze jodły była krew.

— Stój! krzyknął zdrajca; zatrzymali się tutaj, by odpocząć; pozwól mi pan zobaczyć którędy wyszli. Ach! tędy, tędy.

— Lecz ty wracasz po swoich krokach.

— Tak jak oni robili, excellencyo, aby nas omylić. Patrz pan, tutaj szli cofając się; to przebiegłe łotry. Widzisz pan tu kroki, które zmieniły kieru-

nek? Nie pomyliłem się; założyłbym się że poszli do przewozu.

— Woda jest głęboka w tem miejscu, i nie mogliby jej przejść.

— Są dwie łodzie, excellencyo, i w tej chwili słychać było z tamtej strony wystrzały.

— Z obozu Chuski?

— Tak, przywołujące ich; nieszczęściem, noc nadchodzi, i nic więcej rozeznać nie mogę.

— Obozujmy więc tutaj; jutro rano wrócimy do polowania.

— Jak pan rozkażesz, excellencyo; lecz, jutro nie znajdziemy nikogo; wszyscy przejdą rzekę.

— Cóż więc pozostaje nam robić?

— Pójść w prawo i szybko do przewozu, rzekł zdrajca; jeżeli ich tam nie znajdziemy, powrócimy tu jutro; jeżeli są, żaden z nich nam się nie wymknie.

— Znasz drogę?

— Pójdę z zamkniętemi oczyma.

— Dobrze, siadaj na konia i prowadź nas; kozacy kłusem!

Nie pomylił się strzelec.

Narbut, ostrzeżony wystrzałami Kosynierów, po zrobieniu marszów i kontr-marszów dla pomylenia tych, którzyby go ścigali, korzystając z nocy, skierował się ku rzece Warcie; domyślając się jednakże że jej brzegi są strzeżone, szedł wprost ku osadzie Białagóra.

Ta osada składała się z sześciu szałasów zrobionych z gałęzi, służących jako tymczasowe mieszkanie

dwunastu rybakom łowiącym łososie. Cztery niewiasty i ośmioro drobnych dzieci, uzupełniały tę kolonię.

Dwoje czy troje sieci i dwie łodzie stanowiły cały majątek mieszkańców osady.

Moskale oszczędzili tych osadników, lecz nie z litości, tylko dlatego, że darmo dostarczali ryb, na stół ich oficerów.

Zresztą, ci rybacy nie mieli ani broni, ani pieniędzy, nic, czegoby się można było obawiać lub pożądać. Ich bieda i ich użyteczność, ocaliły ich od rabunku i śmierci.

Zajęci wyciąganiem sieci i śpiewając tęskną piosnkę, kończyli swój dzień roboczy, kiedy, w około siebie, w przerzedzonym lesie, szybkie kroki usłyszeli.

W pierwszej chwili, myśląc że to moskale idą jak zwykle na rabunek, ukryli w sitowiu lepszą część połowu, i zaraz się wzięli do przerwanej pracy.

— Bracia, rzekł po polsku, jakiś głos dźwięczny i łagodny, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków! odpowiedział naczelnik rybaków, starzec z białą brodą, obracając się zdziwiony; kto jesteś i czego żądasz?

— Jestem obrońcą ojczyzny, odpowiedział Narbut, i przyjaciel Chuski; wróg nas ściga, nie mógłbyś mnie przewieźć na drugą stronę rzeki?

— Ciebie samego? zapytał starzec, ukrywając wzruszenie.

— Mnie i sześćdziesięciu moich towarzyszy, Dzieci Rozpaczy.

— Oddział Narbuta.

— Tak.

— Twój naczelnik jest z wami.

— Ja jestem Narbutem.

Tuż prawie obok mówiących, paliła się drzazga sosnowa zatknięta w piasku, wziął ją wieśniak i przybliżył do twarzy dowódzcy.

— Szczęśliwe moje oczy nim się zamkną, widziały tego, którego imie jest drogie dla każdego polskiego serca! wyszeptał; rozkazuj, nasze życie do Boga i ojczyzny należy.

I obróciwszy się do swoich towarzyszy:

— Bracia, rzekł, porzućcie wasze sieci a weźcie się do wioseł; ci, o których słyszeliście, są przyjaciołmi walecznego Chuski; ten, który stoi przed wami, jest Narbutem.

Na to imię, rybacy porzuciwszy robotę nadbiegli i zdejmując czapki, wzruszeni otoczyli naczelnika.

— Przygotujcie dwie łodzie, mowił wieśniak, szybko a cicho, nieprzyjaciel ich ściga.

— Wyciągnięto łodzie na piaszczyste wybrzeże, pchnięto je na falę i dwóch wioślarzy do każdej z nich wsiadło.

— Zawołaj twoich braci, rzekł starzec.

Narbut cicho gwizdnął. Trzeszcząc, rozwarły się krzaki, i jak cienie zbliżyło się sześciedziesięciu młodzieży, uzbrojonych w karabiny.

— Po dziesięciu, szepnął stary wieśniak, nasze łodzie nie mogą ponieść więcej osób.

— Sformujcie się dziesiątkami, i każda z kolei, rzekł naczelnik; niech pierwsza wsiada.

Za chwilę, dwie łodzie brzeg opuściły.

Parę minut upłynęło.

Łodzie wróciły i dwie drugie dziesiątki zabrały.

— Chusko jest na drugim brzegu, rzekli wioślarze, i zaleca jak najgłębsze milczenie.

Przejazd trwał bez przerwy; za każdą razą zmieniali się przewoźnicy.

Ich towarzysze, siedząc na kłodzie drzewa, rozmawiali po cichu o przebiegu wojny z Narbutem, Włodzimierzem i Martą.

Blisko trzy kwadranse w ten sposób upłynęły.

— Jakiś szmer słyszę, rzekł naraz jeden z rybaków; jakby konnicy.

Na brzegu czekało na łodzie jeszcze piętnastu ochotników; starzec zgasił płonącą drzazgę.

Noc była ciemna, tentent kopyt końskich zbliżał się: łodzie wróciły.

— Marto, i ty, ojcze, wsiadajcie, rzekł Narbut.

— Nie, rzekł Włodzimierz, jestem mniej użyteczny, pojadę ostatni; ty, Marto . . . .

— Nie pojadę bez ciebie ojcze, odpowiedziała dziewica.

Nie było czasu do stracenia; szósta dziesiątka wsiadła w łodzie.

Na brzegu zostało jeszcze pięciu powstańców, Narbut, Włodzimierz, Marta, Magnus i góral Szczepan.

Tentent kopyt końskich stawał się wyraźniejszy.

— Położcie się w sitowiu, rzekł stary wieśniak, wkrótce łodzie powinnyby wrócić.

I rzeczywiście, wioślarze dobywali sił; nie byli oddaleni więcej jak o dwadzieścia kroków od brzegu,

kiedy gwałtownie ugięły się gałęzie pod kopytami koni, i dał się słyszeć głos krzyczącego Mitweda:

— Otoczyć domy by nikt się nie wymknął!

Z dzikim wrzaskiem skoczyli do chat kozacy.

Nie zastali w nich nikogo prócz niewiast i dzieci.

W tej samej chwili, dwie łodzie przybiły do brzegu.

Powstańcy w nie wskoczyli.

— Do łodzi! krzyknął Tokoło; ognia do łodzi!

Pięć czy sześć strzałów padło jednocześnie, i kozacy rzuciwszy się z wściekłością, zdołali złapać linę tej, co była najbliżej brzegu.

— Do drugiej! do drugiej! ognia do drugiej! wrzeszczał zdrajca.

I wystrzelił z pistoletu.

Krzyk bolesny usłyszano jednocześnie z wystrzałem broni, a potem głuchy łoskot spadającego w wodę ciała.

— Ocal mego ojca! krzyknął jakiś głos.

Trysnęła woda po raz drugi, i, na powierzchni Warty, w sekundę potem, ukazała się czarna masa, która złapawszy się łodzi, mówiła:

— Mam go, płyńcie!

— Strzelać psy, strzelać! ryczał Mitwed.

Swisnęły kule, lecz nikogo nie dosięgły.

Moskale tymczasem wzięli sześciu jeńców z pierwszej łodzi: starca o białej brodzie i pięciu jego towarzyszy. Szary-Niedźwiedź spodziewał się że pomiędzy nimi znajdzie Narbuta lub któregokolwiek

z naczelników; dla przekonania się więc, kazał podpalić jedną chatę.

W Polsce nazywają to oświetleniem po moskiewsku.

Więźniowie już byli skrępowani; popchnięto ich a raczej rzucono przed generała, wraz z kobietami i dziećmi pół-nagiemi, przestraszonemi i płaczącemi.

— Nie ma nikogo więcej jak tylko to robactwo? rzekł Szary-Niedźwiedź, uderzajac pięścią w twarz strca.

— Nikogo więcej, odpowiedział Tokoło; przyszliśmy zapóźno.

— Zawsze przychodzi się za późno, ze złymi przewodnikami, gderał Mitwed, i, dodał, plując w twarz rybakowi, który ośmielił się spojrzeć mu w oczy, nie ma nikogo więcej w chatach jak tylko te chłopskie świnie?

— Nikogo więcej, powtórzył zdrajca.

Po akcencie mówiącego, wieśniak zrozumiał, że ten człowiek jest zdrajcą, spojrzawszy więc na niego ze wzgardą, rzekł:

— Między świńmi jak my i Judaszem jak ty, Bóg i ludzie osądzą.

— Potłucz mu zęby, temu zuchwałemu kaznodziei! wrzasnął Mitwed.

I, chwyciwszy Polaka za siwą brodę, tak silnie uderzył go w twarz kułakiem, że starzec upadł na kolana, a Tokoło kopnięciem w bok, obalił go na ziemię.

Jeden z rybaków, widząc to niegodziwe postępowanie ze swoim dziadkiem, nie mógł się dłużej powstrzymać,

Party rozpaczą, zerwał więzy krępujące mu ręce, odepchnął dwóch kozaków, którzy chcieli go powstrzymać, i, jednem uderzeniem pięści zwalił z nóg Tokołę; ogłuszony i skrwawiony zdrajca leżał wyciągnięty, obok dziadka rybaka.

— Trzymać tego nędznika! ryknął Mitwed, wyciągając ręce, by go uchwycić.

Ale, ani wielkie szlify generała, ani głos jego wyniosły, ani jego ogromne wąsiska, nie przestraszyły ani też żadnego wrażenia nie zrobiły na popędliwym rybaku.

Odepchnąwszy jedną ręką ramiona swego przeciwnika, drugą wyrznął w twarz po polsku, przedstawiciela Jego Cesarskiej Mości, tak, że mu wszystkie gwiazdy w oczach stanęły i potoczył się w błoto, obok swego przewodnika Bolesława.

— Łapać, łapać, zabić go, zabić go, wielu oficerów zawołało, ognia, ognia!

Lecz nim osłupiali kozacy zdążyli usłuchać, patryota robiąc sobie przejście pięściami, głową i nogami, skoczył do Warty i zanurzywszy się w wodzie, by kul uniknąć, upłynął nurkiem ze trzydzieści kroków, a potem wypłynął na wierzch w miejscu, gdzie wróg nie mógł go dostrzedz ani nawet domyślać się jego tam obecności.

To wyrachowanie nie omyliło go; kozacy przyszedłszy do siebie z osłupienia, puścili grad kul w kierunku w którym uciekał do przeciwnego brzegu, gdy tymczasem on trochę niżej przepłynął Wartę, bez żadnego niebezpieczeństwa.

Szary-Niedźwiedź przyszedł do zmysłów, lecz twarz miał spuchniętą i czerwono-fioletową; spostrzegłszy buntowników znieważanych i poniewieranych przez dzikich żołnierzy, szalonym uniósł się gniewem.

W podobnym przypadku, Swinin byłby karmazynowy i krew by mu uderzyła do mózgu i do oczu. Mitwed przeciwnie, był blady, a skóra jego zwyczajnie zabarwiona, stała się matowo-zielonawą, oczy zdawały się wychodzić z opraw i zamykały się do połowy, jak u oślepionego blaskiem świecącym w ciemności; stojąc wyprostowany, drżał na całem ciele jakby miał silną febrę i dzwonił zębami.

Chwilę przyglądał się więźniom z największą uwagą, nimi jedynie zajęty, nie mówiąc, nie ruszając się, jak gdyby lękał się rozproszenia wielkiej wagi myśli.

W końcu, a nie było to bez wysilenia, otworzył usta i głosem syczącym i przytłumionym, który zaledwie dosłyszeć było można, rzekł:

— Do drzewa . . . nago . . . nahajki.

W innych krajach żołnierze nie zrozumieliby tego; w Rosyi jest inaczej; żołdacy Mitweda bez wahania spełnili rozkaz.

Zdarli szaty z więźniów, do naga, nie wyłączając niewiast, i przywiązali ich przy najbliższych brzozach.

— Do roboby! rzekł Mitwed zbliżając się, by lepiej zobaczyć.*

---

* Ta straszna egzekucya odbyła się nad Wieprzem, 26 marca 1863. — Patrz Dzien. polskie, tom I, strona 153.

Krew co płynęła, bolesne jęki ofiar, którym kozacy podwójnemi razami szarpali ciało, zdawały się uspakajać rozdrażnione nerwy generała; dwa czy trzy razy raczył się uśmiechnąć i oczy błysnęły mu zadowoleniem — gdy starzec od strasznege uderzenia, które mu kawał skóry oderwało, wił się z boleści.

Jeśli tak dalej pójdzie wszyscy pomrą, rzekł jeden z lekarzy, jedno dziecko już . . . .

— Dosyć! ryknął Szary–Niedźwiedź, dosyć nahajek.

I dał znak szpiegowi, który z owiązaną chustą głową i z wybitemi zębami, zapomniał o swoich cierpieniach ciesząc się męczeństwem swoich braci.

Zbliżył się Tokoło.

— Która z tych kobiet jest żoną Padleca? zapytał go Mitwed.

— Ta, odpowiedział Bolesław wskazując młodą niewiastę z poszarpanemi plecami i piersiami, i, dodał, a tu jej dwoje dzieci.

— Zrobić z nich i ze starego bukiet, rzekł Mitwed.

Natychmiast kaci wbili na brzegu rzeki pal do którego przywiązali starca, niewiastę i jej dwoje dzieci.

— A teraz smoły.

— Ach! rzekł jeden z kozaków, zdaje się że zrobimy z nich pochodnię.

I z kilku kolegami, biegł od szałasu do szałasu za smołą, której rybacy używają dla zatykania szpar łodzi.

Przez ten czas Szary-Niedźwiedź dawał swoje ostatnie instrukcye dwom porucznikom.

Kaci natychmiast wzięli się do roboty.

Wlali w łódkę baryłkę żywicy, na wierzchu położyli gruby pokład słomy, pomieszany z wiórami drzewa sosnowego, potem z największą oględnością położyli ofiary oddychające jeszcze, związawszy im przedtem ręce i nogi; następnie przywiązany statek liną, ciągnęli po rzece pod wodę, o jakie sto kroków po za wioską.

Potem czekali.

Z rozkazu generała moskale uszykowali się w szyku bojowym wzdłuż Warty i, podczas kiedy lekarz starał się kordyałami przywrócić starego rybaka do przytomności, niewiastę i dzieci powlekano smołą; kozacy zaś skacząc w około ofiar śpiewali:

— Polska! Polska! dobry nawóz do zbogacenia ziemi żołnierzy rosyjskich! Polska moja! Polska nasza!

Na dany znak przez jednego z adjutantów, trysnął płomień na brzegu rzeki i oświecił statek, który pchnięty na środek rzeki, płynął z jej biegiem oświecając wody różowem światłem.

Wkrótce wśród tego pieca, spostrzeżono podnoszące się postacie ludzkie, które zaraz upadły wijąc się i wydając krzyki rozdzierające serce.

— Niech żyje cesarz, nasz ojciec! wrzasnęli kozacy tupiąc nogami.

— Niech żyje Polska! odpowiedział starzec z ostatniem wysileniem podnosząc głowę.

— Tokoło, zapal tego psa, krzyknął Mitwed.

Szpieg przytknął pochodnię do brody wieśniaka, którego głowę wieniec płomieni natychmiast otoczył. Męczennik spojrzał w niebo, głębokie wydał westchnienie i głowa mu na piersi opadła. Młoda niewiasta dłużej cierpiała; już ogień pochłonął jej ramiona i ręce, a ona jeszcze w konwulsyach strasznego konania się wiła.

Kozacy śpiewali jeszcze raz:

— Polska moja! Polska nasza! kiedy łódź spalona zatonęła na środku Warty.

Sycząc zgasły płomienie, rozwarły się wody i po jasności wymyślonej przez Mitweda, ciemna noc nastąpiła.

Wówczas wśród tych ciemności, usłyszano głos z drugiej strony rzeki, który mówił:

— Mordercy Polski, moskale, i ty synu Judasza, bądźcie przeklęci!

Ten głos wyszedł z piersi rybaka dążącego do oddziału Narbuta, by pomścić Polskę i męczenników.

Narbut nie był daleko.

Ze swego obozu na wzgórzu pokrytem lasem sosnowym, Kosynierzy i Dzieci Rozpaczy mogli widzieć płynącą po Warcie łódź, zapaloną z rozkazu Mitweda.

Lecz prawdopodobnie żaden z nich nie zwrócił na to uwagi; bo chociaż znali moskali ze srogości, nie mogli jednakże przypuszczać tak ohydnego barbarzyństwa.

Zresztą, sami byli świadkami wzruszającego i przejmującego widowiska.

Polakiem, którego na odjezdnem kulka Tokoły trafiła, był Włodzimierz Kirpowski.

Starzec ciężko ranny w piersi, wpadł do wody i z pewnością byłby utonął, gdyby nie Magnus.

Lecz, jak zawsze, nie zważając na niebezpieczeństwo, weteran skoczywszy prawie natychmiast do wody, miał szczęście go uchwycić, i, podtrzymując go jedną ręką, drugą trzymał się łodzi i tak pod gradem kul, przepłynął rzekę.

Na brzegu, wszyscy go oczekiwali z bolesną niepewnością.

— Co to jest? co się tam stało? wiele głosów pytało.

— Pan Kirpowski jest ranny, odpowiedział Magnus, który właśnie wdrapywał się na stromy brzeg rzeki, cały zmoczony i niosący omdlałego swego pana.

— Chusko, Cezarze, gdzie jesteście? wołała Marta.

— Tutaj, siostro. A stryj?

— Magnus go niesie, jest ranny, a może zabity; mój Boże, mój Boże, czy nie możnaby mieć światła?

— To niemożebne, gdyby moskale zobaczyli lub usłyszeli nas, bylibyśmy zgubieni, odpowiedział porucznik.

— Czy ranny może iść?

— Stracił przytomność.

— Cicho! rzekł Chusko pół-głosem; niech czterech ludzi zrobi nosze ze swoich kos i kożuchów, bo nie ma czasu do stracenia. A ty, Batory, biegnij ku

temu pagórkowi, a kiedy oddalisz się od nas z jakie pięćset kroków, zapal ogień na zebranie.

Góral pobiegł jak strzała, i zaledwie rannego, z którego woda i krew ciekły położono na noszach, które jego dzieci niespokojne i zmartwione otoczyły, silny buchnął płomień u stóp góry.

Prawie w tej samej chwili moskale, dotychczas na los szczęścia na wszystkie strony strzelający, myśląc bez wątpienia że Polacy są już daleko, zaprzestali ognia i zajęli się mordowaniem więźniów i podpalaniem wioski.

Powstańcy więc, korzystając z ciemności i milczenia, bez przeszkody dostali się na wzgórze.

Tam, przy ogniu, położyli ranionego starca, którego widząc twarz bladą, zamknięte oczy i sztywność członków, sądzili że nie żyje; lecz serce biło jeszcze i podnosiły się piersi od trudnego oddychania.

Ksiądz Raskowski ukląkł przy umierającym i rozpiął skrwawioną jego czamarę by krew zatamować, gdy tymczasem Marta, blada jak marmur, lecz z oczami suchemi i błyszczącemi gorączkowem blaskiem, nacierała nogi i ręce swego ojca, by resztki ciepła w nim utrzymać.

Powstańcy, milczący i z odkrytemi głowami klęczeli w około noszów; na hardych tych twarzach malowała się boleść, bo nie tylko rozsądnego i zdolnego naczelnika tracili, ale wszyscy Włodzimierza Kirpowskiego jako ojca uważali i kochali.

Z czapką w ręku, z długimi włosami spadającemi na ramiona z których jeszcze ciekła woda, Magnus,

na kolanach, utkwiwszy wzrok w swego pana i przyjaciela, szlochał jak dziecko.

— Biedny ojciec, szepnął Cezar, jaki zmieniony od czasu gdyśmy się z nim rozstali!

— Wiele wycierpiał, rzekł Chusko, ponieważ nigdy nie łudził się nadzieją.

— Mój ojcze! mój ojcze! nagle zawołała Marta.

Starzec otworzył oczy; przez chwilę patrzał niepewnym wzrokiem na tych co go otaczali jak ten, który z długiego omdlenia przyszedłszy do siebie, stara się zebrać wspomnienia, potem dwie plamy czerwone, szybkie, przemijające, wystąpiły na schudzone lica, niewysłowionej dobroci uśmiechem blade zarysowały się usta, i, słabym głosem wyszeptał, chcąc podnieść ręce:

— Marto! moje dziecko!

Spiesznie uchwyciła jego rękę i pocałunkami ją okryła.

— Nie tak nagle, moja córko, rzekł ksiądz Raskowski, nie męcz go, stan jego wymaga spokoju i bezwarunkowego odpoczynku.

Włodzimierz spojrzał w niebo.

— Pozwól jej zostać ojcze, rzekł, mój odpoczynek już nie na tym świecie, nasi męczennicy przywołują mnie do siebie; Ojcze, pozwól zostać jej przy mnie i łagodnie ją przyciągnął.

— Nie opuszczaj mnie ojcze, z płaczem zawołała.

Cezar, Narbut i Chusko także płacząc, zbliżyli się. Kirpowski pomyślał chwilę, a potem z wysileniem:

— Zygmuncie, rzekł.

— Czego życzysz sobie! mój ojcze.

— To ty powinieneś mnie zastąpić przy niej, żądałeś jej ręki, jesteście narzeczeni, czy zawsze chcesz być jej opiekunem i podporą?

— Tak, zawsze, w obec Boga to przysięgam.

— A ty, Marto, chcesz go wziąść za małżonka?

— Tak, wyszeptała.

— A więc włóżcie wasze ręce w moją rękę i przyrzeczcie mi, że tu, u stóp tego krzyża, tej samej jeszcze nocy, uświęcą wasz związek te same usta, które mi otworzą drogę do nieba . . . . przyrzekacie mi to?

— Przyrzekamy, ojcze.

— Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci, za tę ostatnią i niezmierną pociechę, za te starania jakiemi w ostatnich moich chwilach otaczaliście mnie: Narbucie, bądź dla niej podporą; Marto, bądź dla niego tem, czem twoja matka dla mnie była . . . . Bóg żąda . . . . Unieś-mnie, Magnusie, mój stary przyjacielu, duszę się . . . . jeszcze trochę . . . . zwolna, mój Boże, niech będzie błogosławione Przenajświętsze Twoje Imię! nie zostawię sieroty na . . . .

Suchy kaszel przerwał mu mowę i rana zaczynała się krwawić.

— Ojcze! rzekł umierający, przyjdź, przyjdź, wysłuchać mnie spowiedzi.

Kapłan łagodnie odsunął narzeczonych i nachylił się do jego ust.

Przez kilka minut cichy szept słyszano, potem powstał ksiądz Raskowski, wyciągnął ręce i wymówił

potężne słowa, które chrześcijanowi otwierają drogę do nieba.

Oczy Włodzimierza niebieskiem szczęściem promieniały, a twarz jego zdawała się przemienioną; wieniec nieśmiertelnej chwały już zdawał się otaczać czoło patryoty–katolika.

W tej ostatniej chwili, uniósł się jakby w mocnym śnie do połowy i, głosem natchnionym jasnością niebieską, rzekł:

— Zostańcie z Bogiem, bracia, bądźcie zawsze wiernymi Religii i Ojczyźnie, niech Bóg błogosławi waszym zamiarom i oswobodzi Polskę!

Potem uścisnął rękę księdza, swoich dzieci, Cezara; pobłogosławił raz jeszcze Narbuta i Martę, błagał Boga za Tadeą i jej synem, myśląc, że jeszcze są na wygnaniu, pocieszył Magnusa, klęczącego przy nim, i, zamykając oczy, wymówił ukochane imiona Matki Boskiej Częstochowskiej i Polski.

W tym samym czasie, na środku Warty, wzniosły się krzyki rozpaczy ku niebu, na które, na przeciwnym brzegu, dzikie wycia katów odpowiedziały.

— Polska moja! Polska nasza! wyli kozacy.

— Panie! Panie! przebacz im, bo nie wiedzą co czynią, wyszeptał umierający chrześcijanin.

Te były ostatnie słowa które anieli zebrali z ust męczennika, by je ponieść do stóp tronu Tego, który w nieskończonej swojej sprawiedliwości waży wszystkie czyny ludzkie, tak ofiar jak i ich katów.

Ksiądz Raskowski położył rękę na szlachetnem sercu, które po raz ostatni zabiło.

— Szczęśliwi ci, co umierają z Panem w pokoju! rzekł.

Wszyscy powstańcy uklękli i zmówili modlitwy za umarłych.

A zdala ciągle słyszano wściekłe krzyki:

— Polska nasza! Polska moja!

W kilka godzin później, złożono zwłoki patryoty w grób wykopany u stóp krzyża; ubranemu w czamarę, włożono w jedną rękę miecz jako symbol męztwa a w drugą, złożono na piersiach, krucyfiks — godło wiary.

Potem na grobie, który pobożne ręce przysypały ziemią, u stóp ołtarza z pnia cokolwiek ociosanego, waleczny Narbut i bohaterska Marta przyklękli związani stułą, by otrzymać błogosławieństwo kapłana.

W ten sposób żenili się chrześcijanie w pierwszych wiekach, na grobach męczenników w ponurych podziemniach Katakumb rzymskich.

Po skończonej żałobnej ceremonii, zebrali się naczelnicy na radę wojenną, której głównym celem były nowe działania i prowadzenie wojny partyzanckiej.

Postanowili rozłączyć się na nowo: Chusko, by podtrzymywać powstanie w okolicach Częstochowy; Narbut by przejść na nowo Wartę i podążyć do województwa Lubelskiego, i tam, wracającemu dyktatorowi, ułatwić rozpoczęcie kroków wojennych.

Niewiedzieli jeszcze że Langiewicz dzień temu, złapany z nienacka przez Austryaków, nie miał już wrócić do Polski.

Za nimi, podparty na swojej kosie, stał stary Magnus nieruchomy i cały zatopiony w boleści.

Już nie płakał, nie modlił się, nie słyszał i nie widział, wiatr rozwiewał jego długie białe włosy, a on stał nieczuły jak dąb uderzony piorunem, z utkwionem okiem w tę świeżo wzruszoną ziemię, gdzie spał jego porucznik snem wiecznym.

Ani pobożne śpiewy księdza kapelana, ani uprzejme słowa Marty, nie mogły go wyrwać z odrętwienia.

Myślano, że przygotowywanie do pochodu i szczęk broni zbudzą go jak te konie przyzwyczajone do bitew, co umierając, próbują podnieść się jeszcze, gdy je trębacz przywoływa.

Nic mu nie pomogło.

Chusko wziąwszy go za rękę, zmusił siłą do zajęcia miejsca w szeregu. Zrzędząc cichym głosem, pozwolił się prowadzić.

Wszystko już było gotowe, ksiądz Raskowski pobłogosławił powstańców i polecił ich opiece Matki Boskiej Częstochowskiej; przyjaciele i krewni pożegnali się po raz ostatni, i Dzieci Rozpaczy dowodzeni przez Narbuta i Martę, zeszli po cichu na brzeg rzeki, gdy tymczasem Cezar i Chusko, w towarzystwie księdza Raskowskiego, poszli drogą prowadzącą w Częstochowskie bory.

Noc jeszcze późna była i Magnus szedł w tylnej straży.

Na pierwszym odpoczynku spostrzeżono, że go tam niema.

Weteran opuścił szeregi.



XXVI.

Męczennicy.



Kiedy Polacy przygotowywali się do obrony, moskale z nie mniejszym zapałem, przygotowywali się do napadu. Minęły te dni, w których gubernatorowie szydząc, posyłali dwustu lub trzystu kozaków dla ścigania garstki buntowników, i kiedy Swinin liczył na miesiące Styczeń i Luty, na srogą zimę i inne okoliczności, co miały się przyczynić do wytępienia nikczemnego motłochu.

Ten motłoch zrobil się armią; po wiele razy zwyciężał jaśnie wielmożnych, wysokoście, excellencye i rozmaitych mandarynów tatarskich. Satrapi, zamieszkali w Warszawie, w Wilnie i Kownie, pocili się ze strachu w swoich ufortyfikowanych pałacach i otaczali je armatami i szubienicami. Codziennie Berg rozstrzeliwał w Warszawie, codziennie Murawiew wieszał w Wilnie, a to dla zwalczenia strachu przestrachem.

W Petersburgu nie było się lepiej zabezpieczonym.

Ze wszystkich stron Rosyi biegły wojska, by zalać Polskę: przeszło sto tysięcy ludzi przebiegało ten nieszczęśliwy kraj, a że jeszcze nie było ich dosyć, werbowano do pomocy bandytów. Złoto płynęło stosami na utrzymanie zdrajców i zorganizowanych szpiegów; podpalaczom posyłano medale, złoto i srebro; krzyże i ordery jak deszcz spadały na wszystkich shańbionych; reskryptami pochwalnemi dziękowano wszelkiej sromocie; w kancelaryach gubernatorów współzawodniczono o pierwszeństwo z gazetami urzędowemi w fabrykowaniu kłamstw i depesz ohydnych, by oszukać Europę i zohydzać w jej oczach Polaków, jak również rozrzucano setki tysięcy obrzydliwych proklamacyi po kraju, by przerażać patryotów.

W każdej rodzinie, ojciec był zakładnikiem odpowiedzialnym za czyny i ruchy swoich dzieci i swojej służby; w każdym domu policya umieściła odźwiernego dla szpiegowania. Urzędnicy cywilni i wojskowi zorganizowali wojnę w imieniu cara; popi, w każdej cerkwi prawosławnej, zachęcali do niej w imieniu Boga.

Jedno słowo, jedno westchnienie, wstążka w kolorach narodowych, ubiór polski, były zbrodniami stanu, przewidzianemi przez prawo, które je nieinaczej karało, jak konfiskatą majątku, deportacyą do Syberyi lub śmiercią.

Nosić żałobę po nieprzyjaciołach cara było surowo wzbronionem; jedynie można ją było nosić po ojcu, po matce, siostrze lub bracie; i to nazywało się

tolerancyą, którą Murawiew-wieszatiel uważał za słabość i pobłażanie.

W Wilnie, dzięki ohydnej działalności tego prokonsula, ofiary mnożyły się w każdej rodzinie tak dalece, że wkrótce połowa ludności chodziła w żałobie. Obrażony tem gubernator nazwał to buntowniczą manifestacyą, i rozkazał siłą zmuszać obywateli do podpisywania wiernopoddańczych adresów do cara, i wydawał bale, na które kozacy zaproszonych gości nahajkami spędzali.

Ażeby położyć koniec boleści, która nic sobie nie robiła z kar i więzienia, postanowił zakneblować ją obawą niesławy.

Ten wynalazek, tak potworny i haniebny, że uczciwe pióro nie ośmieliłoby się przepisać postanowienia, które zaraz nastąpiło, jest poświadczone temi słowy w jednym z większych dzienników angielskich:

„Z pewnego źródła dowiadujemy się, że ostatni rozkaz, wydany przez Murawiewa, poleca, aby wszystkie kobiety, noszące żałobę, *nie były uważane jako kobiety warte szacunku.*"

Taki był rozkaz publikowany i podpisany przez Murawiewa, namiestnika Litwy, radcy stanu, tego samego, do którego 11go września car pisał:

„W końcu,*) aby wam dać dowody *mej serdecznej wdzięczności*, za wasze nieustanne i zupełne wyrzeczenie się samego siebie, za waszą

*) Dzienniki polskie, tom 3, str. 218.

ofiarę dla ojczyzny, mianuję was kawalerem cesarskiego orderu św. Andrzeja apostoła, którego oznaki posyłam, i pozostaję zawsze waszym życzliwym, *Aleksander II.*"

Ten list należy do historyi.

Pewnego dnia, cesarz Neron, kiedy przedstawiano wyrok śmierci do podpisu, zawołał z boleścią:

,,Wolałbym nie umieć pisać!"

Pismo wystosowane do Murawiewa-wieszatiela, było także wyrokiem śmierci, wyrzeczonem nie przeciw kryminaliście zbrodniarzowi, lecz przeciw całemu niewinnemu narodowi.

Najlepsi nawet królowie, częstokroć się mylą: Bogu jedynie przysłuża prawo sądzić ich cele....

* *
*

Moskale naszedłszy obóz Langiewicza, zamiast armii podupadłej na duchu, nic nie zastali. Jeszcze raz wymknęli się im buntownicy przez bagna i lasy.

Nie powinni jednakże być daleko; generałowie carscy wszystko przewidzieli, po za bagnami i borami silne kolumny przejść pilnowały. Mitwed, Swinin, Popofosopulo, Egart, Pomeransow, Timofieew uformowali ze swych wojsk obwód, w który powiedziawszy prawdę, armia narodowa wejść jest zmuszoną, i tak odrazu skończy się z powstańcami.

Gdyby jakie oddziały partyzantów zdołały się wymknąć z pola bitwy, obława była gotową przyjąć ich końcami swoich pik.

Langiewicz rozkazawszy swoim ochotnikom rozproszyć się, pomylił tem czujność dowódzców moskiewskich i ocalił swoją armię.

Prawie na wszystkich punktach powstańcy przejść zdołali, jedni korzystając z nocy, drudzy, jak Narbut, przez niespodziewany i śmiały atak.

Zaledwie generałowie kierujący ekspedycyą przeciw dyktatorowi zdążyli przybyć do Umielowa, pierwszego teatru wojny i głównej szosy, gdy adjutanci galopem nadjechawszy, uwiadomili ich o porażce Swinina, o połączeniu się oddziałów Narbuta i Chuski i o najważniejszym wypadku z prowadzonej kampanii, bo o aresztowaniu Langiewicza przez Austryaków w chwili, gdy przygotowywał się wkroczyć do Polski.

Ta właśnie ostatnia nowina była najszczęśliwszą dla moskali. Aresztowanie dyktatora w oczach cesarskiego rządu było więcej jak zwycięztwem, było, jak myślano w tych czasach, ciosem zadanym rewolucyi, zniszczeniem wszystkich nadziei Polaków, zmuszeniem ich do powrotu do bezwarunkowego posłuszeństwa, sławnem nadejściem chwili, zmoskwiczenia kraju.

Raport wysłany do cara przez główno-komendeiującego i datowany z Góry-Zwycięztwa, nowe imię nadane przez skromnego redaktora, na wzgórzu Umielowskiem, było zredagowane w tym sensie.

Była w nim mowa o nowej erze, pomyślnie zaczynającej się dla Polaków wiernych swemu carowi i ojcu, o bohaterstwie żołnierzy, zaciętych bitwach,

zdatności generałów, ogromnej stracie powstańców, a przedewszystkiem o pewnym ataku dragonów, co rozbili czworobok, sformowany przez gwardyę doborową dyktatora i wpędzili tych fanatyków do Wisły, z których zaledwie trzech zdołało przepłynąć ją wpław, podtrzymując swego naczelnika ciężko rannego.

To szumne i nadęte opowiadanie o tej świetnej bitwie w piśmie rządowem, zajęło tyle miejsca, że redaktor został zmuszony opuścić ustęp z porażki Swinina i o połączeniu się oddziałów Narbuta i Chuski.

Dodał tylko w post-scriptum:

„Niektórzy bandyci korzystając z nocy, zdołali się wymknąć; jestem uwiadomiony w jakim kierunku się udali; generał Mitwed i pułkownik Timofieew ścigają ich.

„Bóg błogosławił armii Waszej Cesarskiej Mości."

Ten dopisek, w niejakiem przybliżeniu, był rzeczywiście wszystkiem, co było prawdziwem w raporcie generała.

* *
*

W nocy, w tym czasie, kiedy stary Kirpowski oddał piękną swoją duszę Panu Bogu, naprzód kolumna Swinina, a potem Timofieewa, połączyły się z kozakami generała Mitweda, nad brzegami Warty.

W taki sposób excellencya znalazłszy się na czele armii, nie wahał się ścigać około czterystu Polaków.

O brzasku dnia moskale poszli w górę rzeki aż do Koziobrodów, gdzie przeszli na drugą stronę.

Tokoło znając okolicę, poprowadził wojsko, którego haniebnym był przewodnikiem, do stóp wzgórza, na którego szczycie płonęły jeszcze ognie zapalone przez jego rodaków.

Szary-Niedźwiedź, jako człowiek przezorny, dla uniknienia wszystkich mogących zajść niespodzianek, podzielił swoją armię na trzy kolumny i sam, dla większej pewności, zajął miejsce w środkowej, nakrywszy głowę czapką żołnierza.

Zabezpieczywszy się tak, posuwano się naprzód w milczeniu i straż przednia zaczynała się powoli wdzierać na górę z karabinem w ręku gotowym do dania ognia.

Co chwila spodziewał się generał usłyszeć strzelaninę w gęstym i posępnym lesie: jednakże ani jednego strzału nie dano.

Czoła kolumn aż do przerzedzonego lasu przyszły nic nie spostrzegłszy: gołaźń również była bezludną.

Naraz jeden z tyralierów dał znak, u stóp wielkiego krzyża stał powstaniec jakby na straży, z gołą głową i oparty na kosie.

Ten człowiek, który widział nadchodzących nieprzyjaciół i przed którymi łatwo mógłby uciec, nie ruszył się.

Widocznie stał na warcie, i tam, o kilka kroków za nim, jak najpewniej, Kosynierzy i Dzieci Rozpaczy leżeli w krzakach, z karabinem przy ramieniu, gotowi do posłania gradu kul z przyłożoną lufą do

piersi, i podskakiwać, wrzeszcząc swoje straszne: Boże zbaw Polskę.

Pomiędzy nacierającymi było parę chwil niepewności; jeden z adjutantów pojechał zawiadomić generała.

— Niech pierwsza kolumna idzie naprzód biegiem, z zatkniętym na lufie bagnetem — odpowiedział, — lecz niech nie strzela dopóty, aż będzie na trzy kroki od tych psów wściekłych; każę wspierać jej ruch.

Oficer powrócił galopem dla zaniesienia rozkazów.

Odezwały się trąbki bojowe, tyralierzy cofnęli się po za atakującą kolumnę, której komendant, z podniesionym pałaszem, zachęcał do szturmu, wołając:

— Żołnierze, na bagnety!

— Niech żyje cesarz! — odpowiedzieli grenadyerzy, lecąc biegiem przez gołaźń.

W paru minutach stanęli pod stopami krzyża.

Szyldwach nie ruszył się, oficer dał ognia; kulka świsnęła koło uszu Polaka i w świeżo wzruszonej uwięzła ziemi.

Wówczas, jakby to znieważenie zerwało urok, który trzymał w osłupieniu Magnusa, krzyknął starzec strasznym, przeraźliwym głosem; jego kosa zaznaczyła szybkie jak błyskawica półkole, całym swym ostrzem zagłębiła się w piersi świętokradzkiego napastnika, ściągnęła go z siodła i przybiła na grobie.

— Śmierć! śmierć psu! zabij padleca! — ryknęli grenadyerzy, rzucając się na starca.

Lecz on, z zaiskrzonym wzrokiem, z zaciśniętemi zębami, wyciągnął swoją zakrwawioną kosę z piersi wroga i, z dzikim, urywanym śmiechem, kosił z rozpaczą, śmiejąc się ciągle swoim dziwnym i szalonym śmiechem.

W końcu złamała się jego kosa i wystrzał go obalił. Jeden z grenadyerów szedł go dobić, gdy jakiś kozak krzyknął:

— Nie, nie, zabił nam pięciu, trzeba go ukarać; ukrzyżujmy go!

— Ukrzyżujmy go! wrzasnęło dwudziestu rozjątrzonych żołnierzy.

I natychmiast poskoczyli do krzyża, poruszając nim gwałtownie, aż go wyrwali i położyli na ziemi.

Zapewnieni teraz o nieobecności nieprzyjaciela oficerowie, pozwolili im działać; jeden tylko podporucznik opierał się ich zamiarom.

— Nie ma o co robić tyle hałasu! mój kochany, rzekł jego kapitan, ten pies był przyczyną zamieszania w całej armii, zamordował tego biednego Fedorowicza i zabił pięciu ludzi; zasługuje na naukę.

— Niech żyje kapitan! — wrzasnęli kozacy. I chwyciwszy Magnusa, rozciągnęli go na krzyżu, przybili mu nogi i ręce bagnetami, które kolbami karabinów wbijali; potem, podniósłszy narzędzie kary, wpuścili je w dziurę, którą ziemią i kamieniami zasypali, i, tańcząc następnie w około, wrzeszczeli:

— Witaj! przeklęty Polaku, błogosław nas psie polski.

W tej chwili nadszedł Mitwed podwójnie wściekły, z ucieczki nieprzyjaciela i ze śmiesznej roli, jaką odegrał szykując armię w szyku bojowym przeciw jednemu biednemu warjatowi.

— Tu nie idzie o zabawę, krzyknął puszczając konia między żołnierzy, z których dwóch czy trzech przewrócił, trzeba, by mi ten pies powiedział, gdzie są jego wspólnicy, słyszysz padlec?

Zawieszony całym swoim ciężarem na swoich ranach, z przestrzelonem udem, ze zwieszoną głową na szlachetnej piersi, modlił się weteran z wielkiej armii Napoleona.

— Odpowiesz-mi? nędzny błaźnie, powtórzył Mitwed, gdzie są twoi wspólnicy?

— Panie, szeptał starzec, daj Twemu słudze mały kącik w królestwie Twojem obok dawnych jego panów.

— Będziesz mówił, zdrajco? ryknął Szary-Niedźwiedź kłując go w twarz końcem swego pałasza.

Weteran spojrzał w niebo i modlił się.

— Może nie rozumie po rosyjsku? rzekł jeden z kapitanów.

— Tokoło, suki synu! pytaj go, wrzasnął generał, no! pójdź-tu bydlę!

Leśniczy ukrył się w tłumie, lecz popchnięto go do stóp krzyża.

— Pytaj go, powtórzył Mitwed.

— Gdzie są Narbut i Chusko? wybełkotał zdrajca.

Na dźwięk tego głosu, zadrżał męczennik, rumieniec oburzenia wystąpił mu na lica, i aby być od wszystkich słyszanym, w moskiewskim języku odpowiedział:

— Precz, Judaszu!

Nie podobna było wydobyć z niego innej odpowiedzi.

Kozacy mu przyklasnęli; Tokoło zgrzytnął zębami.

— Przynieść drzewa! krzyknął Mitwed. I prostując się na siodle, w twarz uderzył męczennika.

— Matko Boska Częstochowska, Królowo Polski i Litwy, ulituj się nad duszą biednego Magnusa i uproś mu odpuszczenie grzechów, rzekł jeszcze stary rycerz, a potem dodał prawie niezrozumiałym już głosem: Tadeo Kirpowska, Włodzimierzu Kirpowski, Grzegorzu Kirpowski, Michale Kirpowski, którzy jesteście w niebie, módlcie się za mną. Mój Boże! mój Boże! zmiłuj się nademną i nad Polską!

Jego oczy otwierały się bez końca, stawały się nieruchome i szklanne, i zakrwawiona ślina zabarwiła mu usta.

— Drzewa! drzewa! krzyknął Mitwed.

Już było zapóźno, ogień pochłonął tylko trupa.

— Judasz znajdzie Narbuta! mruczał Tokoło, choćby w głębi piekła ukrył się.

* *
*

Dowódzca Dzieci Rozpaczy przeszedł Wartę, i, pod zasłoną gęstych lasów, skierował się ku Atradzie w podwójnym celu, naprzód, by wzmocnić swój oddział ochotnikami już gotowymi opuścić Warszawę pod rozkazami walecznego Remiżewskiego, który chciał się z nim połączyć, i, dla wydobycia skrzyni, do której Włodzimierz Kirpowski bardzo rozsądnie włożył złoto i kosztowne klejnoty, potrzebne dla zaradzenia potrzebom jego małej armii.

Z pięciu patryotów, którzy przed rozpoczęciem wojny ukryli ten skarb na wyrębie w lesie, tylko Cezar żył jeszcze; lecz Marta, Narbut, Chusko i Tadea również wiedzieli o kryjówce; nikt inny jak tylko oni znali tajemnicę.

Było niebezpiecznem wyjawić komukolwiek o tym kosztownym składzie, zachowanym jedynie na to, aby służył w ostatnich okolicznościach, ponieważ mógłby w niejednym chciwość obudzić; zdecydował się też Narbut nie ruszać go wcale, dopóki nie wzmocni swojej armii, teraz, chciał tylko dokładnie rozpoznać miejsce gdzie wznosił się krzyż przez Cezara mu wskazany.

Dziesięć dni upłynęło jak Dzieci Rozpaczy opuściwszy wzgórze, świadka śmierci Włodzimierza i męczeństwa jego wiernego sługi, przyszli na rozstajną drogę w lesie sosnowym i lipowym, gdzie tak często, w szczęśliwszych czasach, przechadzała się Marta z braćmi, z kuzynem i z narzeczonym.

Barbarzyńcy zniszczyli krzyż; lecz między jego szczątkami już mchem zielonym porosłemi, można

było rozpoznać miejsce, gdzie była płyta żałobna bez napisu umieszczona; kamień był nietknięty, nienaruszony, skarb też powinien być takim.

W tym czasie nie bardzo potrzeba było obawiać się niespodzianego najścia przez moskali, jeszcze oddalonych po nad granicą lub zamkniętych w Warszawie.

Nim więc przeszedł Narbut łąkę by stanąć obozem po nad brzegami Pilicy, kazał zrobić znużonemu oddziałowi wypoczynek, a sam, w towarzystwie mężnej swojej żony, udał się dobrze znaną drogą, prowadzącą do dawnego mieszkania Kirpowskich.

Marta chciała zrobić ostatnią i pobożną pielgrzymkę do kolebki swojej rodziny, tak szybko, niestety! w grób zamienionej.

Milcząca i wsparta na ramieniu męża, szła ku gołaźni leśnej; tam zatrzymała się i łzy twarz jej zrosiły.

Ach, co za smutna zmiana zaszła w tym krajobrazie, który zaledwie przed kilku miesiącami, Cezar z takim zapałem uwielbiał!

Prawda, przyroda była zawsze piękna i wspaniała, widnokrąg jak dawniej, majestatyczny i okazały. W niezmiernym okręgu wytkniętym borami posępnych jodeł i lip o liściach jasno-zielonych, rozpościerały się, jak okiem sięgnąć daleko, łąki pierwszemi wiosennemi kwiatami umajone, a w poprzek nieruchomej zasłony topoli i wierzb płaczących, jak srebrna wstążka, iskrzyła się Pilica, tocząca się w zakrętach przez płaszczyznę,

Lecz milczenie śmierci unosiło się nad tą naturą nie rozweseloną śpiewem kosiarzy ni rykiem trzód, którą nie ożywiała obecność człowieka.

Tam, gdzie zaokrąglała się wioska, zniszczona przez Swinina, nie wznosiło się nic więcej jak kilka ścian zczerniałego muru; i niekształtna masa gruzów, w około której ciężko latały gromady szarych kruków, było to wszystko co zostało z kościoła, w którym Marta, jej siostra i bracia byli ochrzczeni.

Na wzgórzu, gdzie niedawno wznosił się dwór z gankiem i ogrodami upiększonemi klombami kwiatów i krzewów, zamieszkały przez szlachetnego starca, bogatego, szanowanego, szczęśliwego, otoczonego dziećmi i służbą, wszystko znikło. Moskale przeszli tamtędy, i, na spustoszonem płaskowzgórzu, zczerniałe i rozsypane gruzy, wskazywały miejsce, gdzie była Atrada. Dom i jego mieszkańcy, wszystko znikło: budynek strawiony pożarem, rodzina wymordowana kulami lub szubienicą; z Włodzimierzem wygasła rodzina Kirpowskich.

— Biedna Atrada! szepnęła Marta.

— Biedna Polska! odpowiedział Narbut.

I szli dalej w poprzek ruin.

Weszli po chwiejących się schodach na również chwiejący się ganek.

— Tutaj była jadalnia, tam salon, a tu okno, przez które wyskoczyłeś w dzień, kiedy pierwszy raz Krapułow . . . .

— A tu jedno z kółek od wózka, w którym Tadea woziła Andrzeja.

— Droga Tadea! rzekła Marta z westchnieniem.

I nachyliła się, by podnieść jakiś przedmiot świecący z pomiędzy zwęglonych ramek . . . był to guzik mundurowy, na którym było napisane: Policya powiatu . . . . Ze wstrętem go rzuciła.

Trochę dalej, w pękniętym murze rosł zimowy brodawnik, grzejąc na słońcu swoje małe szare i pa chnące kwiateczki; Narbut zerwał dwa.

— Ten dla Tadei, rzekł.

A drugi dał Marcie.

Sierota ucałowała kwiateczek i schowała go na sercu.

Odbywali dalej smutną swoją pielgrzymkę, rozmawiając cichym głosem lub urywanemi słowami; potem, uklęknąwszy na gruzach, pomodlili się gorąco i, wracając do lasu, oddalali się od tego bezludnego i spustoszonego miejsca, którego już więcej ujrzeć nie mieli.

* * *

Tokoło w końcu odnalazł ślady oddziału Narbuta i, idąc za swoim nieomylnym instynktem strzeleckim, posuwał się naprzód w lesie prowadząc za sobą armię katów. Do pragnienia złota u tego szpiega, przyłączyło się jeszcze pragnienie krwi. Potrzeba mu było śmierci swego dobrodzieja, by zetrzeć zniewagę, jaką mu rzucił Magnus z wysokości krzyża, zowiąc go Judaszem!

Nieszczęściem nie mógł posuwać się tak prędko, jak ci, których ścigał. Trzeba było co chwila roz-

poznawać ślady zwierzyny ludzkiej i zatrzymywać się natychmiast, skoro noc nadeszła.

Te opóźnienia do rozpaczy doprowadzały polaka zaprzedanego moskalom. Chłodniejszy Mitwed okazywał zadowolenie z wiernych jego usług, i wskutek szczególniejszej łaski raczył na piersiach szpiega przypiąć medal honorowy, jakie tylko hajdamacy i wieśniacy mordujący swych dziedziców otrzymywali.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy zwiedzał Atradę, Narbut, który dotychczas nie chciał zapuszczać się na łąki, wysłał do Warszawy dwóch najśmielszych partyzantów przebranych za wieśniaków, a sam z oddziałem zajął niewielkie wzgórze, kąpiące się w Pilicy.

O świcie był na umówionem miejscu, a jego emisaryusze w Warszawie, gdzie Remiżewski ich oczekiwał.

Policya moskiewska także czuwała.

Nie upłynęło jeszcze godziny, jak dwaj Polacy wyszli z domu patryoty, kiedy wekslarz, osiadły dopiero od kilku dni, wprost domu Remiżewskiego, przedstawił się generał-gubernatorowi.

Chociaż ten człowiek nosił ubiór narodowy i zewnętrznie nic nie przemawiało za nim, przepuścili go kozacy z warty i oficer służbowy natychmiast go wprowadził.

— Już! wykrzyknął excellencya widząc go wchodzącego, czy odkryłeś co przypadkiem?

Uśmiechnął się wekslarz ohydnie i odpowiedział:

— To nie pierwszy raz pod przebraniem udało mi się pomieszać szyki spiskowcom; generał Swinin zna mnie bardzo dobrze.

— I rzeczywiście, nie powinienby zapomnieć o tobie, ponieważ razem mieliście być rozstrzelani w Atradzie.

— On zapomniał, lecz mnie przypomina o tem moja biedna ręka; Chusko, jak djabeł wściekły, złamał mi ją; jeżeli ten zbój o tem zapomniał, to ja pamiętam.

— Ba! zarobiłeś przecież na tem, bo dostałeś order i dobre miejsce szpiega, które ci więcej rubli przynosi niż twój stopień naczelnika policyi powiatowej przynosił ci kopiejek; czy tego za nic sobie nie liczysz, Krapułow?

— Excellencyo, nic więcej mi nie wypada jak wielbić cię za twoją dobroć i spodziewam się, że jesteś pan zadowolony z moich usług; od czasu mego powrotu do Warszawy, dostarczyłem panu przeszło dwadzieścia sztuk zwierzyny na szubienicę.

— To prawdopodobne, mój biedny Krapułowie, lecz wolałbym jakość stosowną do ilości.

Szpieg tylko się uśmiechnął.

— Po ilości, ofiaruję panu dobry gatunek zwierzyny.

— Doprawdy, kogoż więc?

— Małego staruszka, którego śledzić mnie pan osobliwie poleciłeś.

— Remiżewskiego?

— W jego własnej osobie, excellencyo, a z nim całą jego bandę.

— Ma więc swoją bandę, ten łotr?

— Dwustu pięćdziesięciu Padleców, excellencyo.

— I gdzież jest ta banda?

— W Warszawie, excellencyo.

— I znasz tych, co ją składają?

— Jeszcze ich nie znam, lecz wiem o której godzinie zbierą się tej nocy i w jakim celu.

— Krapułow, ty jesteś królem szpiegów; co chcesz abym uczynił dla ciebie?

— Excellencyo, miejsce głównego naczelnika dozorców więzienia w cytadeli jest opróżnione, przez śmierć zacnego Rapinowskiego, i jeśli . . . .

— Tak, tak, rozumiem; lecz ty wiesz jak wielu jest kandydatów na te posady w Rosyi; jest trzech emerytowanych pułkowników, a zresztą pensya jest nie wielka.

— To prawda, excellencyo, rzekł naiwnie szpieg, pensya jest mała, lecz są dochody.

— Tak, tak, wiem, że jesteś chciwym na dochody; zresztą, mało mnie to obchodzi, jeżeli wynajdziesz mi sposób wzięcia tych buntowników odrazu, przyrzekam ci miejsce, które sobie życzysz; lecz naprzód powiedz mi, w jaki sposób odkryłeś spisek?

— Excellencyo, największa zasługa w tem odkryciu panu się należy; czy przypominasz pan sobie, że zwróciłeś moją uwagę na majora jako na podejrzanego, i poleciłeś mi go śledzić?

— I ty za to żądałeś odemnie wekslarskiego sklepu, który jest na przeciwko jego bramy.

— To prawda, excellencyo; lecz oprócz tego jeszcze inne przedsięwziąłem ostrożności.

— Jakie?

— Wynająłem w domu, który zajmuje, mały zakątek obok jego gabinetu, na skład niektórych mebli.

— Mebli, ty?

— Tak, excellencyo, postarałem się o niektóre okazyą; wiesz pan, z handlu jest mały dochód.

— Rozumiem; mów dalej.

— Pomiędzy temi meblami i rozmaitemi innemi przedmiotami, był świderek; na próbę, zrobiłem nim parę dziur w przepierzeniu, bo już z natury jestem ciekawy i lubię wiedzieć, co robią moi sąsiedzi.

Z zadowoleniem uśmiechnął się generał.

— Kiedy już wszystko było gotowe, usadowiłem się w moim sklepie i, rzeczywiście, patrzałem na ulicę.

— A potem? mów prędzej.

— Major wychodził co rano, wracał w południe i znowu wychodził wieczorem; agenci uważali na niego zdaleka, ja, siedziałem w mojem składzie, coś mi mówiło: zostań tu, Krapułow; jednakże wkrótce zacząłem tracić cierpliwość i rzekłem sam do siebie: może lepiej pójść za nim. W końcu, dziś rano, zaledwie wyszedł z domu, kiedy dwóch wieśniaków przyszedłszy na plac, patrzało na lewo i na prawo, jak obcy, którzy czegoś szukają, a jest w ich interesie nikogo nie pytać o adres.

— Prawdopodobnie, emisaryusze.

— Jak pan rzekłeś, excellencyo. Nie straciłem ich z oczu; oni zaś, nie spodziewając się, że są strzeżeni, po chwilowej niepewności, weszli do domu; naturalnie, że poszedłem za nimi, i niosąc w ręku buty, wszedłem do mego pokoju.

— Dla otarcia z kurzu twoich mebli, nieprawda?

— Tak, ale także i dla innych powodów; przyłożyłem ucho do ściany.

— Ach! to nieładnie! rzekł namiestnik ojcowskim tonem.

— Już rozmawiali ze sobą, i nie słyszałem początku ich rozmowy, lecz jej koniec był dosyć interesujący; stary ma zorganizowaną bandę, z którą wyjdzie dziś wieczorem o jedenastej z miasta, aby połączyć się z Narbutem.

— Co, Narbut, ztąd niedaleko? rzekł generał zdziwiony.

— Tak, Narbut w swojej własnej osobie.

— I wiesz gdzie?

— Nie, lecz wiem, że ochotnicy mają wyjść małemi gromadkami, i zebrać się w wiosce Rabice.

— Czy wiesz jeszcze co więcej?

— Nic więcej, excellencyo; lecz zdaje mi się....

— Żebyś nie tracił czasu; to prawda, winszuję ci, możesz wrócić do swego sklepu; nie mów nikomu o . . . .

— Nie jestem głuchy, excellencyo, ale niemy; nie zapomnij pan, że miejsce dozorcy w cytadeli jest opróżnione.

— Przyrzekam ci je,

Ukłonił się nizko Krapułow i wyszedł cofając się i kłaniając za każdym krokiem.

Generał nacisnął sprężynę, jeden z adjutantów przedstawił się.

— Uprzedź pan barona Rotta i pułkowników Dagdę i Willanowa, rzekł namiestnik.

W pół godziny później, trzech oficerów wyższych, zgromadzonych w gabinecie Jego excellencyi, otrzymywali szczegółowe instrukcye i, tego samego jeszcze wieczora, jawnie opuścili miasto by pójść do Modlina, akuratnie na przeciwnej stronie wioski Rabice, w około której otrzymali rozkaz urządzić zasadzkę.

W dzień, wielu młodzieży, jeden za drugim, klękało w rozmaitych kościołach i otrzymywało rozgrzeszenie.

O jedenastej wieczorem, uzbrojeni w broń ukrytą pod płaszczami, przeskakiwali okopy na rozmaitych punktach, gromadkami po ośmiu lub dziesięciu, i, miarkując się jak mogli, kierowali się ku miejscu przeznaczonemu na zebranie.

O piątej rano, zebrali się w wiosce w liczbie dwustu pięćdziesięciu.

O w pół do szóstej, sformowani w kolumnę przez Remiżewskiego, opuścili Rabice, lecz prawie zaraz zostali niespodzianie otoczeni i z wściekłością zaatakowani przez dwa tysiące moskali, w lesie ukrytych.

Walka nie mogła trwać długo w miejscu odkrytem, tem więcej, że moskale bronią i liczbą silniejsi, znaczną mieli przewagę.

Jednakże bronili się zawzięcie. Remiżewski dał im przykład: raniony w głowę i w rękę, nie przestał dowodzić i bić się, próbując przerznąć się do lasu.

Kula*), zgruchotawszy mu kolano, zmusiła go zatrzymać się; oparł się plecami o drzewo i wołał:

— Do lasu, dzieci, i nie troszcie się o mnie; Witkowskiego mianuję waszym dowódzcą.

— A ja, ukarzę cię, buntowniku! krzyknął baron Rott, przyskakując do weterana z rewolwerem w ręku.

Remiżewski czekał na niego: dwa wystrzały zmieszały się w jeden i dwa trupy upadły jednocześnie na ziemię.

Wskutek nadzwyczajnych usiłowań, Witkowski przerznął się przez szeregi wrogów i Polacy znikli w lasach, zostawiając na polu bitwy trzydziestu zabitych i siedmdziesięciu trzech rannych, których kozacy dobijali szablami lub lancami.

W trzy dni później, wieśniacy w jednym grobie pochowali wszystkie ciała podziurawione, a kilku księży, przybyłych z Warszawy z narażeniem życia, odmówiło podczas nocy modlitwy kościelne nad zwłokami męczenników.

Nazajutrz po bitwie, Witkowski ze setką partyzantów połączył się z Narbutem na wysepce otoczonej wodami Pilicy. Moskale, prowadzeni przez swoich szpiegów tuż za nimi postępowali, a że ich

---

*) Historyczne. — Dzienniki, tom II, str. 49.

kolumny szły wzdłuż rzeki, przecinały w ten sposób drogę między Atradą a obozem małej armii.

Narbut mógłby jeszcze wymknąć się lewym brzegiem rzeki, lecz to sprzeciwiało się jego planom; korzystając więc z ciemnej nocy, przeszedł rzekę trochę niżej i dostał się do boru, który z jednej strony kąpał się w wodach Pilicy, a z drugiej łączyła go z lasami Atrady odkryta płaszczyzna poprzecinana strumieniami.

Pozycya była wyśmienita, z jednej strony zasłoniona rzeką, a z drugiej skałami i tak ukryta, że obóz powstańców nie mógł być spostrzeżony z prawego brzegu Pilicy.

Nie znając ani sił powstańców, ani planów ich zdolnego generała, pułkownicy Dagda i Willanow zatrzymali się w przerzedzonym lesie ze strony płaszczyzny.

Narbut nie miał się ich czego lękać; bo gdyby spróbowali przedzierać się przez las, byliby zgubieni; gdyby rozdzielili się w celu otoczenia go, wystawiliby swoje podzielone, a więc zanadto słabe oddziały na pewną porażkę; gdyby znowu posunęli się od strony rzeki, zostawiliby mu wolne przejście do Atrady; wrazie zaś jeśliby się uparli pilnować płaszczyzny, Polacy mogliby, w każdym czasie, wymknąć się przez rzekę.

Więc dowódzca Dzieci Rozpaczy czekał.

Dwa dni upłynęły, a moskale ani jednego poruszenia nie zrobili; jedynie zdawało się pikietom ukry-

tym po za drzewami, że ich siły znacznie się wzmogły świeżem wojskiem.

I w istocie tak było; Mitwed przyszedł ze swoją kolumną zawsze prowadzoną przez Tokołę, który przysiągł odnaleźć swego dawnego protektora, choćby, jak mówił, w głębi piekła szukać go musiał.

Generał moskiewski, który jeszcze nosił na twarzy plamę czerwonawo-niebieskawą, wyciśniętą ręką dzielnego rybaka nad brzegami Warty, nie przestawał zachęcać szpiega.

On także chciał zemścić się.

Zrobił radę wojenną ze swoimi kolegami. Ci nie znając sił powstańców i dokładnego miejsca, w którym się okopali, odmówili nierozważnego zapuszczenia się w lasy.

Wszyscy jednakże pragnęli raz skończyć.

Tokoło podał im sposób.

Pewnego rana, z pułkownikiem Timofiewem, przebranym jak on za rykaba, wsiedli do małej łódki i na środku rzeki zapuścili sieci.

Wkrótce byli wprost obozu.

— Ohoo! łódź, kto idzie? krzyknął jeden ze stojących na pikiecie powstańców, ukryty w sitowiu, cofnijcie się, bo dam ognia.

— Jesteśmy biednymi rybakami, moskale zabronili nam wyżej zarzucić sieci, odpowiedział Tokoło, poproś swego naczelnika, by nam pozwolił tutaj łowić, a podzielimy się z wami rybami.

— Oddalcie się albo strzelę, powtórzył partyzant na pikiecie.

— Proś lepiej swego naczelnika, aby nam pozwolił zarobić na życie; cóż złego robimy ci bracie? prosił rybak.

— Po raz trzeci, oddalcie się!

— Przynajmniej pozwól nam ściągnąć nasze sieci. Jesteśmy ubogimi Polakami, nie zechcesz nam, myślę, krzywdy wyrządzić?

— Spieszcie się, rzekł partyzant, prawo wojskowe tak nakazuje.

Dwaj ludzie niby to się spieszyli wyciągnąć swoje sieci, lecz w taki sposób, aby się dosyć zbliżyć dla dokładnego przejrzenia obozu.

Obóz był na wzgórzu zniżającym się ku rzece, i jednym rzutem oka cały można było objąć.

— Jest ich mniej więcej trzystu — szepnął pułkownik.

— A woda w tem miejscu nie bardzo głęboka, nie ma jej nawet do pasa, dodał Tokoło.

Tymczasem dwóch partyzantów poszło uwiadomić Narbuta.

Tokoło spostrzegł, że biegnąc schodzili z góry.

— Pułkowniku! rzekł rzucając w łódź sieci, dowiedzieliśmy się już dosyć, a możemy być poznani; weź pan wiosło i płyńmy szybko, jeśli nie chcemy służyć za cel tym chłopakom.

— A więc płyńmy! rzekł oficer siadając i silnie zaczęli robić wiosłami.

Właśnie ten pospiech obudził podejrzenie w Narbucie, który przyszedłszy nad brzeg, zawołał do nich:

— Tutaj, bracia, wylądujcie tutaj.

— Tak, tak! czekaj na nas! odpowiedzial Tokoło podwajając sił.

— Stój! bo strzelemy, rzekł Narbut.

— Silniej! silniej! pułkowniku, powtórzył szpieg.

Łódź szybko ślizgała się po wodzie; żeby ją jednakże lżejszą uczynić, leśniczy sieci rzucił do wody.

— Ognia! ognia! krzyknął Narbut, to są szpiedzy.

Kilkanaście kulek świsnęło uciekającym koło uszu, nie drasnąwszy ich.

W chwilę potem zniknęli po za skałami, które w tem miejscu znajdują się w Pilicy.

— Mamy ich! rzekł Tokoło, kładąc wiosło; lecz nie ma czasu do stracenia.

I, wyskoczywszy na brzeg, poskoczyli do koni, które przed odpłynięciem przywiązali do drzew, i co koń wyskoczy, pędzili aż do obozu.

W chwilę potem, zagrały trąbki w obozie moskiewskim i pięć sotni kozaków pobiegło kłusem, by się usadowić na drugim brzegu Pilicy, wprost odkrytego przez Tokołę brodu.

Na grzbiecie, za każdym jeźdźcem siedzial piechur.

Był jeszcze drugi bród o parę wiorst wyżej; lecz moskale, żeby nie tracić drogiego czasu, wpław przebyli rzekę.

Wielu ludzi zostało uniesionych prądem, dosyć silnym w tem miejscu, niektórzy z nich utopili się; lecz że pułkownikowi było bardzo pilno, szedł dalej, nie zajmując się niezręcznymi.

— Umieści się ich na liście poległych w bitwie, rzekł do kapitana.

— A jeśliby nie przyszło do bitwy?

— Zrobi się ją w raporcie! odpowiedział zniecierpliwiony dowódzca.

O sto kroków w tyle brodu, kawalerzyści zatrzymali się w niewielkim wąwozie, podczas kiedy grenadyerzy posuwali się naprzód czołgając się między nadbrzeżnemi krzakami, które otrzymali rozkaz zająć w tajemnicy, aż do nadejścia Mitweda.

Szary-Niedźwiedź pragnął zupełnego zwycięztwa i dla osiągnięcia go, przedsięwziął najskrupulatniejsze ostrożności.

— Kiedy się gra w pieniądze, mówił do oficerów, którzy przyszli do niego po rozkazy, lepiej jest bić karty niż pozwolić je wziąść swemu sąsiadowi. Gdyby mój przyjaciel Swinin był tak zdolnym jak ja, nie zostałby pobitym ani przez Langiewicza, ani obdartym przez Gregorego; lecz, dodał, on już niedołężny.

I zaczął wydawać swoje instrukcye.

Tymczasem spieszna ucieczka fałszywych rybaków obudziła podejrzenie Narbuta.

Z jego rozkazu, dziesięciu strzelców przeszło rzekę, by pilnować drugiego brzegu zarosłego borem, co z obozu trudno było uczynić.

W kwadrans potem wrócili, oznajmując, że łąka z tej strony jest wolna.

Narbut wszedł na pagórek: był stroskany i zamyślony.

— No i cóż! zapytali naraz Marta i Witkowski.

— Byli to znowu zdrajcy, zawsze zdrajcy!

— Polacy?

— Przynajmniej jeden z nich, bo jak szyldwach doniósł, mówił akcentem litewskim.

— Ach! blednąc, rzekła Marta, jesteśmy zgubieni! tym człowiekiem nie może być kto inny jak Tokoło; odnalazł nasze ślady; Mitwed jest tutaj.

— Jeśli tak jest, to tak być i musi, szepnął Narbut, spuszczając głowę na piersi, za godzinę będziemy otoczeni; on zna wszystkie ścieżki.

I, z wyrazem silnego zniechęcenia, dodał:

— Jesteśmy zgubieni!

— Zgubieni! wykrzyknęła Marta, nie mamy już broni, sztandaru, odwagi? Zygmuncie, zapominasz, że jesteś Polakiem.

— Ach! gdyby nic więcej jak tylko mojej krwi potrzeba było! rzekł Narbut, pokrzepiony w zwątpieniu przez żonę; masz racyę, Marto, oni mają siłę, lecz Bóg jest z nami. Bracie, może jeszcze mamy dosyć czasu, każ zatrąbić na zbiór; jeśli łąka jest wolna, dostaniemy się do borów po drugiej jej stronie; jeśli wróg pokaże się, zrobimy sobie drogę kosami. Pospiesz się, a ja tymczasem zabezpieczę bród z pięćdziesięciu naszymi.

I zeszedł ku Pilicy, by je przejść, nim nieprzyjaciel zajmie jej brzeg.

Na brzegu rzeki gromadka partyzantów przyglądała się kozakowi niesionemu wraz z koniem silnym prądem; nieszczęśliwy nie umiał pływać; uczepiwszy

się grzywy swego rumaka, starał się utrzymywać na powierzchni wody.

Dwóch Polaków skoczyło do brodu, ku któremu tonącego woda niosła i, skoro tylko do nich nadpłynął, schwycili go i przyprowadzili do brzegu, bez oporu.

Sądząc, że go zamordują, padł do nóg Narbutowi prosząc o łaskę.

Naczelnik zadowolnił się wybadaniem go.

Dla ocalenia życia wszystko moskal powiedział.

— Jest ich po drugiej stronie pięciuset jezdnych i tyluż piechurów, rzekł wskazując wysokie drzewa, po za któremi byli ukryci grenadyerzy.

Już było zapóźno próbować szczęścia, by przejść Pilicę.

— A z drugiej strony, ilu? zapytuł Narbut.

— Pięć tysięcy, odpowiedział żołnierz.

W tej chwili Witkowski zeszedł ze wzgórza na czele Dzieci Rozpaczy, sformowanych w kolumnę w około sztandaru, rękami Marty haftowanego.

— Stój! krzyknął Narbut biegnąc do nich; to tutaj walczyć będziemy. Bracia, przypomnijcie sobie dzisiaj liczne wasze zwycięztwa. Moskale sami przychodzą wyzywać wasze męztwo pod waszemi okopami i dać wam sposobność do odniesienia nowego, świetniejszego od innych zwycięztwa; na kolana dla otrzymania Boskiego błogosławieństwa dla armii.

Kapłan wystąpił z szeregów i odmówił modlitwy, podczas których grzesznicy broń sprezentowali.

Potem powstali i zanucili: Boże coś Polskę.

Była chwila milczenia; drzewa przestały się poruszać; w tylnej straży, jak zwykle, Szary-Niedźwiedź patrzał na zegarek; napad miał być przypuszczony do dwóch stron obozu, w jednym czasie.

Kiedy wskazówka wskazywała trzy kwandranse na jedenastą, podniósł pałasz.

— Naprzód, śmierć buntownikom! wrzasnęli oficerowie.

I z okrzykiem niech żyje cesarz, kolumna grenadyerów skoczyła do brodu, biegiem, z bagnetem osadzonym na lufie karabina.

— Bóg i Polska! odpowiedzieli powstańcy, strasznym witając ich ogniem.

W jednej chwili woda pluskająca pod stopami moskali, krwią się zafarbowała, lecz nie wstrzymali się, biegli po trupach.

Za nimi postępowali kozacy po ośmiu, z pikami do ataku, wydając dzikie wycia.

Sformowani w czworobok najeżony kosami, nieporuszony jak żyjąca forteca, Polacy strzelali do napastników.

Moskale padali, lecz nie tchórzyli, ciągle szli naprzód zostawiając za sobą długą linię zabitych i rannych, których miejsca z zimną krwią zajmowali towarzysze z następnych szeregów.

Kiedy czoło kolumny nie było więcej jak tylko o kilka kroków oddalone, powstańcy przestali strzelać i dwie masy z nieopisaną wściekłością, rzuciły się jedna na drugą.

Kosy strasznie zagrały. Narbut porwał jednę i zapomniawszy o swojej roli naczelnika, dał przykład żołnierzom. Było to zamieszanie straszne, nielitościwe, walczący całemi szeregami padali i straszne stosy ciał leżały pod stopami, co je deptały.

Ani krzyku, ani słowa, ani żałosnych jęków nie było słychać, tylko zgrzyt żelaza o żelazo, uderzenia ciężkie jakby maczugi i wrzask przytłumiony.

W końcu zdziesiątkowani, rozbici, zgnieceni, grenadyerzy moskiewscy musieli ustąpić przed tą wściekłą falangą i rozpierzchając się pchali przed sobą kozaków do rzeki, gdzie powstańcy z okrzykiem tryumfu gonili za nimi.

Lecz już pięciuset innych nieprzyjaciół szło od brzegu przeciwnego, prowadzonych przez Timofiejewa.

Powstańcy cofnęli się aż do brzegu; tam jeszcze zaciętsza rozpoczęła się bitwa.

Naraz, wśród zamieszania, Narbut spostrzegł człowieka z siekierą w ręku dobijającego rannego powstańca. Gniewem zaiskrzyły mu się oczy i rzucając się strasznym skokiem, rozepchnął tłum, co go oddzielał od Tokoły, obalił go na ziemię i wydarłszy zdrajcy broń, którą spełnił ostatnie morderstwo:

— Podły! wykrzyknął, bądź ukarany.

Zaledwie leśniczy zdążył wyciągnąć rękę dla zatrzymania zgubnego ciosu, siekiera spadła, spotkała rękę, którą przetrąciła i świszcząc, zagłębiła się w piersi, szkaradnie przedtem poznaczywszy twarz szpiega.

Prawie w tym samym czasie, podziurawiony bagnetami, upadł Narbut, lecz na kolanach, ciężko ranny, bronił się jeszcze trzymaną w ręku siekierą.

Najpierwsza Marta, spostrzegła jego niebezpieczeństwo.

— Do generała! krzyknęła, biegnąc mu z dobytą szablą na pomoc.

— Do generała! do sztandaru! krzyknęli powstańcy.

I, wskutek wściekłego natarcia, zdołali odbić swego mężnego dowódzcę i własnemi zasłonić go piersiami.

Lecz dla nich wszystkich ostatnia godzina nadeszła; i, podczas gdy nowe pułki moskiewskie przybywające z drugiej strony obozu zgniotły szczątki niezwyciężonej falangi, grenadyerzy, nie śmiejąc się narażać z bliska na wściekłość gromadki powstańców walczących w około swego sztandaru, z zimną krwią, na dziesięć kroków odległości, tych mężnych Polaków wystrzelali.

Marta pierwsza została ugodzona, kula trafiła ją w czoło; padła w objęcia umierającego męża.

Ostatnim jej ruchem było przyciśnienie sztandaru do serca, ostatniem słowem: Biedna Polsko! tam, w niebie!

— Dziękuję Ci, mój Boże! że nas razem powołujesz, rzekł Narbut całując pokrwawionemi ustami czoło swojej szlachetnej towarzyszki. Najświętsza Panno! ocal naszą ojczyznę.

Prawie w tym samym czasie kula przeszyła mu serce, wyzionął ducha szepcąc: Mój Boże, umieram za ojczyznę.*)

Nie puszczając pałaszy, jedenastu co go otaczało, zanucili hymn *Boże coś Polskę*.

Za każdym głosem co zgasł, śpiew stawał się słabszym.

Ostatni, który upadł, był także ostatnim z Dzieci Rozpaczy.

Zwycięztwo Mitweda było zupełne.

Obdzierając Narbuta, znaleziono na jego piersiach stary obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Ażeby głośniejszem uczynić to zwycięztwo, Jego Excellencya namiestnik pozwolił duchowieństwu katolickiemu i mieszkańcom Warszawy oddać ostatnią posługę męczennikom.

Przeszło cztery tysiące osób odwiedziło nowe polskie *termopile* i ofiary owinięte poszarpanym sztandarem, pochowano w jednym grobie u stóp krzyża, przyciśniętym wielkim kamieniem, na którym może pewnego dnia będzie napisane:

„*Polacy umrą, lecz Polska żyć będzie!*" **)



*) Historyczne. — Patrz Dzienniki, tom II, str. 137.

**) Historyczne. — Patrz Dzienniki, tom II, str. 137.

XXVII.

Niełaska Swinina.



Dzięki swojej silnej budowie i niezmordowanym staraniom swego kochanego Abrahama, generał Swinin szybko wracał do zdrowia. Mniej otyły i pobladły wskutek stracenia krwi, współzawodnik Szarego-Niedźwiedzia, co do zdrowia, więcej zyskał niż stracił w potyczcze z Kosynierami.

Ta awantura, mało bohaterska, odmłodziła go o jakie dwadzieścia lat, i gdyby go nie było drażniło owe swe czasowe zastąpienie w służbie przez generała Mitweda, byłby łatwo pocieszył się po porażce; mając bowiem zręczność w redagowaniu raportów, mógłby przy lepszej sposobności zamienić ją na zwycięztwo.

Lecz Szary-Niedźwiedź ścigał Adama w okolicach Częstochowy i to było dla niego nieznośnem. Skarb Częstochowski i życie Chuski były jego własnością, i nie ścierpiałby gdyby inny a nie on miał go dostać.

Zmuszony ukrywać swój gniew, szydził z Szarego-Niedźwiedzia.

— Biedny Mitwed, rzekł pewnego rana, ściga dwa zające naraz, to zawiele dla jaśnie wielmożnego, który nigdy nie był w stanie dosięgnąć jednego. Wiesz pan, doktorze, że Narbut już przeszedł Wartę?

— Tak, excellencyo, i dwie bandy złączywszy się w jednę, na nowo, jak mówią, rozłączyły się.

— Tam do djabła! Jaśnie wielmożny musi być wielce zakłopotany ściganiem jednej na północy a drugiej na południu; to mi przypomina historyę, którą mi opowiadał ten biedny Błagurow, którego mocno żałowałem; był osieł, mówił, nie wiem już w jakim kraju, który jednocześnie był głodnym i spragnionym; postawiono przed nim w równej od siebie odległości kubełek z wodą i kubełek z sianem, a biedne zwierzę było zakłopotane, nie wiedząc co wybrać, wodę czy siano i zdechło z głodu i z pragnienia. Dziwnym człowiekiem był ten Błagurow; zginął podczas wykolejenia pociągu.

— Jeszcze gorzej, excellencyo, bo miał dwa uda strzaskane i strasznie przez dwa dni cierpiał.

— Lepiejby było, w istocie, gdyby był zginął na polu bitwy, on i inni, ponieważ wiele było ofiar.

— Trzydziestu zabitych na jeden raz, a przez tydzień przeszło stu.

— Nieodkryto jeszcze sprawcy tych nieszczęść; szkoda, wartoby go było żywcem obedrzeć ze skóry i toczyć w soli takiego nędznika, odrzekł Swinin; Abrahamie, daj mi się napić.

Wierny sługa napełnił pół szklanki wódką i poniósł z szacunkiem swemu opiekunowi i panu.

— Tak, chciałbym żeby go złapano i mnie oddano do ukarania, mówił w dalszym ciągu generał.

— I cóżbyś pan z nim zrobił, excellencyo?

— Ja, mam więcej niż jedną cięciwę na moim łuku, lecz sądzę, że najlepszą karą dla niego byłaby śmierć głodowa; ta męka może się cały tydzień przedłużyć.

— Piętnaście dni i więcej, rzekł doktor, nawet roczniki lekarskie, donoszą, że niejaki Pavlo Pavli, korsykanin, żył sześćdziesiąt jeden dni bez jedzenia.

Stary żyd, oddawszy generałowi szklankę z wódką, usiadł w najciemniejszym kąciku chaty; zielonawe jego oczy iskrzyły się w cieniu jak kota czychającego na łup; uśmiechnął się słuchając.

— Czy wiadomo, którego z dwóch, Narbuta czy Chuskę, Mitwed zdecydował się ścigać? zapytał Swinin, mlaszcząc językiem i nadymając policzki.

— Zupełnie, excellencyo, ściga Narbuta.

— I zawsze ku Częstochowie?

— Nie, przeciwnie, idzie ponad Pilicą ku Warszawie, lecz mówiąc prawdę, w tej chwili niewiadomo gdzie się znajduje jeden i drugi.

— A Chusko?

— Włóczy się ciągle w około Częstochowy.

— Wolałbym tego drugiego, lecz zresztą są krewnymi i zaczniemy od Chuski, bo dla tego chowam mały przyjacielski podarunek.

— Prawdziwie, znasz go pan? rzekł major, któremu nie obcą była porażka Swinina w Atradzie i grożące mu niebezpieczeństwo.

— Tego buntownika już wiele razy pobiłem, prawdziwy zbój, który pomordował naszych chorych i męczył naszych rannych żołnierzy, odpowiedział Swinin kręcąc wąsa, nie znam go innym, rozumiesz pan.

— Myślałem, że wasza excellencya spotkała go w Atradzie, gdzie pułkownik Liski....

— Ach! ten dobry Liski, co się z nim stało? spiesznie przerwał generał, został raniony w Atradzie, tak mi się zdaje: dobry żołnierz, lecz słabego serca, zniewieściały, umarł czy wyleczył się?

— Wyleczył się, excellencyo, lecz bez ręki i opuścił służbę.

— Powinienby ją był dalej pełnić; ci czuli ludzie, nic nie warci, to tak jak pułkownik Korf, który w przystępie czułości, łeb sobie roztrzaskał; a co robi Liski?

— Ma śliczne miejsce, excellencyo, jest dyrektorem teatrów warszawskich.

— Dyrektorem teatrów, jak mój przyjaciel Gedenow w Petersburgu, musiał mieć dobrą protekcyą, prawdopodobnie jakiej hrabiny Tatiany albo metropolity Filareta w Moskwie. Dyrektorem teatrów, pułkownik, który nie miał innej zasługi jak to, że pozwolił sobie uciąć rękę... w końcu i Mitwed stał się równym mnie w stopniu... no, teraz przyznać trzeba, szczególniejsze rzeczy widzi się na tym świecie....

Są tacy, co mają szczęście, inni zaś, którzy .... Ja, naprzykład, doktorze, gdyby nie ten nieszczęśliwy przypadek, co na kilka dni sparaliżował moje zamiary, miałem piękne widoki przed sobą, trzymając dwóch naczelników band powstańczych tak, że wymknąć mi się nie mogli; lecz nie mam szczęścia, nie mam szczęścia.

— Z pańskiemi zdolnościami wojskowemi, mógłbym nawet powiedzieć z pańskim geniuszem, zmusisz je pan do przyjścia, excellencyo.

— Mój kochany, do tego potrzeba abym wyzdrowiał, to może będzie i lepiej; lecz powiedz mi pan otwarcie, jak prędko myślisz będę mógł objąć na nowo dowództwo?

— Ale, generale, to jest zależnem.

— Zależnem, od czego?

— Muszę zwrócić uwagę waszej excellencyi, że codzienne używanie wódki podtrzymuje zaognienie i że ....

— Więc potrzeba, abym pił czystą wodę jak ta świnia Abraham; jeśli pan nie masz innego lekarstwa, nic nie zrobisz ze mną, wódka jest niezbędną dla mnie w tym kraju, nieszczęściem, ta co ją sprzedają tu, w tej okolicy, nic nie warta, za słaba i dlatego pisałem do Warszawy, żeby mi przysłali zapas, lecz tu nie o to chodzi; ile dni myślisz pan potrzeba mi jeszcze dla odzyskania sił?

— Najmniej ośm dni, excellencyo.

— A najwięcej?

— Piętnaście; nie więcej.

Generał głośnym wybuchnął śmiechem.

– No, mój kochany, dzięki twoim lekarstwom, za ośm dni, odbędę pielgrzymkę do Częstochowy i rozprawię się z Chuską po grecku.

– Po grecku? rzekł doktor zdumiony.

– Tak, mój kochany, po grecku! Człowiek zmuszony siedzieć w domu jak ja, staje się uczonym, przedewszystkiem, jeśli się otrzymuje wizyty starego kapitana Blumenwala; wystaw pan sobie, ten szalony niemiec czyta książki . . . starożytne, jak je nazywa; pewnego razu zapytałem go, jakie tortury były używane w tych czasach.

— Rozumie się, że knut.

— Nie, mój kochany, coś lepszego jeszcze.

— Lepsze niż knut, a więc kije?

— Ani jedno, ani drugie, wyżłobienie.

Abraham przygotowywał uspakajający napój dla swego chorego: mięszaninę araku z wódką, a to mu nie przeszkadzało przysłuchiwać się rozmowie.

— Nie mogę tego zrozumieć, rzekł doktor.

— Wierzę, odparł Swinin poważnie; ja sam tego nie rozumiałem.

— Co się tyczy tortur, nie mam o tem żadnego pojęcia, mówił lekarz ze szczerością.

— A jednakże bardzo to jest piękne, i pierwszy Polak, co wpadnie mi w ręce, będzie mi służył do przejścia z teoryi w praktykę. Otóż na czem się to zasadza: Bierze się więźnia, na przykład, Padleca, zdejmuje się z niego ubranie, potem przywiązuje się do słupa i całe jego ciało powleka się . . . .

— Smołą, widziałem jak to robił generał Toll, potem zapala się i....

— Ba! rzekł Swinin z lekceważeniem; nie tylko widziałem, ale sam to, więcej niż dziesięć razy robiłem, i mówię panu, że w tem nie ma nic nowego ani zabawnego. W starożytnych czasach byli ludzie w wynajdywaniu tortur; zamiast posługiwać się smołą, używali miodu.

— Na Mazowszu nie brak miodu: nigdy jeszcze nie widziałem tyle dzikich pszczół, co w okolicznych borach; lecz, mniejsza o to, przyznać muszę, że nie rozumiem.

— Czy wiesz, mój drogi, kto lubi miód?

— Wszyscy ludzie, ja myślę, a przedewszystkiem miód pitny jest wyśmienity.

— Lubi, nie odnosi się ani do ludzi, ani do trunku; jakie zwierzę przekłada miód nadewszystko?

— Szare niedźwiedzie i muchy.

— A więcej jeszcze niż szare niedźwiedzie i muchy?

— Doprawdy, że nie wiem.

Swinin nie mógł powstrzymać wybuchu tryumfującego śmiechu.

— Pszczoły, mój kochany, pszczoły.

— Jest to możebne; lecz w tem wszystkiem....

— Nie mogłeś pan wymyślec tortur przez wyżłobienie, mój kochany doktorze, Grecy byli przemyślniejsi, powlekali miodem skazanego i przywiązywali go w sąsiedztwie ula; naturalnie, pszczoły przylatywały dziesiątkami, setkami, tysiącami, ssąc

miód i kłując żądłami pacyenta; potem, że także lubią i ciało, wystrzygają je powoli, każda wycina w tej jednej żywej ranie kawałek, który następnie wyrywa, i pomału, wijącego się z bólu, obgryzają godzinami, całemi dniami, aż do chwili, w której będzie nie tylko umarłym, lecz szkieletem; rozumiesz teraz, doktorze? Spróbuję tych tortur, bo to musi być zajmujące.

— Jakto! to bardzo oryginalne, excellencyo; i to na pewno na Chusce chcesz pan zrobić doświadczenie?

— Nie wiem jeszcze, bo to zależeć będzie od czasu, jaki mu będę mógł poświęcić; wreszcie, rozumiesz pan, mój kochany, że trzeba także zważać i na opinią publiczną, bo wielu bałwanów zawsze krzyczy o spełnianych przez nas okrucieństwach.

— Jak długo skazany może wytrzymać podobną mękę?

— To, mój kochany, zależy od pszczół; jeżeli jest gorąco, to myślę, najwięcej dwa dni.

— To dobrze! pomyślał sobie Abraham, przygotowując napój; mam lepszy sposób, praktyczny w każdej porze roku i miesiąc trwający.

— Excellencyo, wielkie zwycięztwo, wykrzyknął, wchodząc młody porucznik, Narbut nie żyje i Dzieci Rozpaczy wytępieni.

— Któż to u djabła panu powiedział? spytał młodzieńca głosem surowym generał, któremu ten zapał z powodzenia się komu innemu wcale się niepodobał.

— Warszawska gazeta urzędowa, rzekł porucznik, pokazując dziennik.

— Jakiem prawem śmiesz pan w obec mnie czytać ten dziennik? wrzasnął Swinin, blady z gniewu.

— Był do mnie adresowany, excellencyo, wyszeptał zmieszany młodzian.

— Dobrze, panie; daj mi ten papier, i pójdź do aresztu; posiedzisz w nim piętnaście dni, zrozumiałeś mnie pan?

Porucznik był moskalem, skłonił się i wyszedł, nie śmiejąc się nawet tłomaczyć.

Generał wziął gazetę i zaczął czytać cichym głosem; był w niej wydrukowany raport Mitweda, donoszący o wielkiem zwycięztwie, a zaraz pod raportem przypiski z pochwałą dla Szarego-Niedźwiedzia.

— Są ludzie, którzy mają więcej szczęścia niż talentu, mruknął generał, gniotąc z gniewem papier.

Doktor nie rzekł ani słowa.

— Daj mi mój napój, ośle, i nałóż mi fajkę, rzekł Swinin do żyda cierpkim tonem.

Szybko mu Abraham posłużył, i dostał za to kopnięcie nogą.

— Doktorze, wynajdź sposób, abym mógł najpóźniej po jutrze dosiąść konia, bo pojadę do Częstochowy, by uprzedzić tego bałwana Mitweda; tak, pojadę.

— Obawiam się excellencyo, że nie wytrzymasz pan na koniu.

— A więc pojadę w powozie; droga jest dobra, Abrahamie, nie prawda?

— Tak, excellencyo.

— To ja, to wszystko zrobiłem i nie pozwolę nikomu zbierać owoców z mojej pracy, mówił w dalszym ciągu generał, okradziony przez mojego zastępcę, nie mogę pozwolić, by mnie Szary-Niedźwiedź dalej okradał. Patrz, doktorze, czytaj ten raport i powiedz mi, czy to podobna łączyć tyle próżności z taką zarozumiałością; jestem pewny, że w tem nie ma ani słowa prawdy. Ale niech mnie piekło pochłonie! jeśli nie dam nauczki, temu dziwakowi; jestem jego przełożonym i niech mówi co chce, nie pozwolę mu wejść pierwszemu do Częstochowy.

— Lecz Częstochowa już jest zajęta przez pułkownika Egarta, odparł zimno doktor, kładąc gazetę na stole.

— Zajęta, ryknął Swinin, uderzając pięścią w stół, zajęta bez mego rozkazu; pięknym atramentem napiszę do niego, do tego pułkownika; doktorze, zawołaj mi kozaka, poszlę go natychmiast.

— Radzę panu nie spieszyć się z tem bardzo, bo może go to drogo kosztować, odrzekł doktor szyderczym tonem, porzucając naraz pokorną postawę podwładnego.

— Bałwanie, słuchaj co mówię i uwolnij mnie od swoich rad, ryknął Swinin, któremu twarz poczerwieniała od złości.

— Proszę pana być grzeczniejszym ze mną, odparł doktor, powstając, i, dodał, z szyderskim uśmiechem, unikaj pan wzruszeń, bo mogą one opóźnić jego wyzdrowienie.

— Zuchwalcze, każę cię zakuć w żelaza i pod sąd wojenny oddać.

— Który mnie bez wątpienia odda na pastwę pszczół, tak po grecku, jak to pan mówiłeś, nie prawda? Dobranoc, mój przyjacielu, jadę do Częstochowy.

— Ten człowiek oszalał, rzekł Swinin, zdumiony podobnem zuchwalstwem.

I, nie mając siły podnieść się, porwał butelkę i rzucił nią w odchodzącego.

Doktor uniknął uderzenia i wracając szybko, świsnął dwa razy szpicrutą po plecach swego chorego; potem, obróciwszy się, wyszedł, mówiąc:

— Abrahamie, daj mu uspakajającego napoju i każ mu przeczytać wiadomości urzędowe.

— Dziś jeszcze wieczorem każę cię powiesić, psie jakiś! bełkotał generał, którego krew dusiła, powiesić, spalić, rozćwiertować! łotrze, zbóju, złodzieju, przeklęty, Polaku! Abrahamie, idź uprzedzić audytora!

Audytorem był kapitan niemiec; przyszedł zaraz.

— Kapitanie, rozkazuję ci natychmiast okuć w kajdany doktora wojskowego Marulowa, krzyknął Swinin.

— Wybacz, excellencyo, chłodno odpowiedział audytor, lecz nie otrzymałem rozkazu być mu posłusznym, to ja zastępuję pana tymczasem, i przyszedłem go uwiadomić, że za godzinę jadę połączyć się z jego excellencyą generałem Mitwedem.

— Pan także, zwaryowałeś, kapitanie.

— Nie, excellencyo, lecz muszę byś posłuszny moim naczelnikom.

— Nie jestem więc już twoim naczelnikiem?

— Nie, excellencyo, rzekł kapitan, nic nie tracąc ze swojej zimnej krwi; widocznie nie czytałeś pan wiadomości urzędowej?

— Gdzież więc jest, ta sławna wiadomość?

— Zaraz pod raportem o zwycięztwie nad Pilicą; patrz pan, tu w tem miejscu, mówił kapitan, podając Swininowi gazetę.

Generał rzucił okiem na nieszczęsny ustęp; były tylko te słowa:

,,Na mocy nadzwyczajnych swoich pełnomocnictw, generał Berg, namiestnik Królestwa Polskiego, generał-porucznik Jego Cesarskiej Mości, etc., etc., etc."

,,Dekret:

,,Art. 1. Generał Swinin jest odwołany ze swoich obowiązków.

,,Art. 2. Generał Mitwed, posunięty na stopień generała dywizyi, jest wykonawcą tego dekretu.

,,Podpisnano: *Berg*."

Swinin krzyknął albo raczej zawył z wściekłości i jak piorunem rażony, bezsilny opadł w fotelu.

Przegrał stawkę przeciw swemu współzawodnikowi.

W godzinę później, sotnia kozaków opuściła wioskę, w której zostawiła, nie zajmując się nim więcej, swego ex-generała, popadłego w niełaskę.

Trzy czy cztery linije wystarczyły, by zniszczyć nadzieje i zostawić w zapomnieniu dzikiego i okrutnego komendanta pierwszej kolumny piekielnej. Pochlebcy i dworusy oddalili się od tej obalonej potęgi, by swoje hołdy w widokach osobistych i służalczość ponieść nowej potędze, a kiedy Swinin przyszedł do siebie z omdlenia, nie spostrzegł nikogo więcej przy sobie, jak tylko swego odrażającego lecz wiernego niewolnika.

Jeden tylko Abraham nie opuścił go.

— Nigdybym nie przypuszczał, aby to bydlę było tak do mnie przywiązane, pomyślał sobie generał, a dla zagłuszenia bólu, daj mi pić, rzekł do niego.

Żyd postawił butelkę na stole.

— Te psy, rzekł z westchnieniem chory, popijając małemi łykami, wszystko mi zabrali, niepodobna ścigać Chuskę, niepodobna pójść do Częstochowy; źle zrobiłem nie poszedłszy tam wprost, zamiast im pomagać. Zresztą, już się stało, lecz ten Mitwed mnie zniszczył.

I popijał sobie.

– Tak, zniszczył mnie, zupełnie mnie zniszczył, mówił dalej, zapalając się pod podwójnym wpływem zmartwienia i wódki. Powiedz-mi, Abrahamie, ty, co jesteś moim przyjacielem, powiedz, co mi radzisz, proszę cię, bo ty mnie kochasz, ty kochasz swego Swininka, i nie myślisz opuścić go jak inni, nie prawda Abrahamie? Przyrzecz, że mnie nie opuścisz.

— Ja, miałbym opuścić pana, excellencyo, nigdy, przysięgam; wolałbym wpierw umrzeć po tysiąc razy.

— Widzisz więc, widzisz, mój gołąbku, bełgotał generał, który pił nieustannie szklanka za szklanką, jak dobrze zrobiłem każąc rozstrzelać twego syna, bo teraz nikogo jak tylko mnie masz do kochania.

I uścisnął mu rękę.

Uczuwszy ten przeklęty uścisk, zadrżał starzec, jakby za dotknięciem jadowitego gadu, skórczyły się jego źrenice i tylko z wielkiem wysileniem wycedził przez ściśnięte zęby:

— To prawda, excellencyo, że nie kochałbym pana podobnie.

— Widzisz, widzisz, parsknął dzikim śmiechem pijak, zabiorę cię z sobą do Warszawy, każę powiesić Mitweda, a ty zostaniesz pułkownikiem.

Zaczął gadać od rzeczy, coraz więcej plątał mu się język, przymknęły się oczy, i wreszcie oparłszy głowę w fotelu, chrapał.

Abraham był z nim sam jeden, mógłby go zabić i pomścić się, chwilę popatrzał na niego z przerażającym wyrazem nienawiści, potem pokiwał głową, mówiąc:

— Nie, to nie tutaj.

I wyszedł.

Wioska po odejściu moskali była zupełnie opuszczoną, gdyż wieśniacy, którzy przed moskiewskiem okrucieństwem pouciekali, jeszcze nie wrócili. Starzec długi czas szukał czegoś w stajniach, wozów było podostatkiem, lecz konie uprowadzili kozacy; w końcu Abraham znalazł trzy w tak opłakanym stanie, że nie pokusili się o nie rabusie; przyniósł

trochę siana zostawionego przez żołnierzy i dał schudzonym koniom; wybrał najlepszy z wozów, nakładł słomy, włożył baryłkę z wódką, siekierę, parę noży, sznury, dwie czy trzy pary kajdan, trochę zapasu z kaszy, potem wszedł do izby, gdzie Swinin chrapał i oczekiwał jego przebudzenia się.

* *
*

Wiele wypadków miało miejsce w Polsce od czasu uwięzienia Langiewicza przez Austryaków; po osłupieniu powstałem wskutek tego nieszczęśliwego zdarzenia, nowy nastąpił zapał. Polacy zdecydowani zwyciężyć lub umrzeć brali za broń; nowe powstańcze oddziały zjawiały się na różnych punktach, na Wołyniu, na Podolu, na Ukrainie i na Litwie, a na okrutne groźby gubernatorów moskiewskich, męczeński naród odpowiedział manifestem Komitetu Narodowego Litewskiego.

,,Wojna narodowa będzie trwała na wszystkich punktach Polski, póki ostatni żołdak moskiewski wypędzony nie zostanie, póki jedno serce szlachetne w polskiej piersi bić będzie." *)

Wojna stała się jeszcze zawziętszą; przeciw rozpaczliwemu męztwu patryotów, liczne bataliony postawili moskale, przeciw kosom — kartaczownice, przeciw rycerskiej wspaniałomyślności — zdradę i podstęp, przeciw szlachetności — barbarzyństwo.

W każdym dniu było parę bitew stoczonych; często w tych spotkaniach górę odnosili Polacy, lecz

---

*) Historyczne.

każde ich zwycięztwo, jak powiedział jeden wielki mówca, było zwycięztwem śmiertelnie ranionem.

Luki nie mogły zapełniać się, waleczni synowie Polski grób znajdowali we własnej sławie.

Armia moskiewska, przeciwnie, bezustannie wzrastała, ze wszystkich stron nadchodziły jej posiłki, i, gdyby te niezmierne siły caratu nie były dostateczne w tej nierównej walce, mocarstwa, które podzieliły się z Moskwą ziemią Jagiellonów, pilnowały granic i wspierały armię oprawców.

Jedynie tylko niektórzy Francuzi ofiarowali swoje szable, w obronie wolności i sprawiedliwości.

Między tą bohaterską młodzieżą wielu, tak jak Rochebrun, Yung de Blankenheim, Buffet, Roux, Chausse, Deodat, Lejars i znaczna liczba innych, krwią swoją zapłacili dług zaciągnięty przez Francyę u swej nieszczęśliwej siostry.

Im opór był uporczywszy, tem więcej nieubłagane były jego następstwa, co kaci nazywali karą; do morderstw dołączyli rabunek, zniewagi, zbeszczeszczenie rzeczy świętych; żołnierze, Raskolnicy, Hajdamacy, kaci i dozorcy więzień, rzucali się na swoje ofiary.

W miastach, gdzie silne garnizony uniemożliwiały wywołanie powstania i gdzie przeto nie było nawet pozoru do podobnych okrucieństw, moskale nie opuszczali żadnej sposobności, by podburzyć naród; obrzucali obelgami i bili najspokojniejszych przechodniów, więzili kapłanów, przerywali modlitwy w kościołach, strzelali do okien, rabowali piwnice

i sklepy. W Pułtusku, w Mińsku i gdzieindziej, coś gorszego jeszcze robili: widziano szyderskie procesye pijanego kozactwa, w pokradzionych ornatach i kapach, przebiegających ulice z nahajką w jednej ręce, a w drugiej z poświęconemi służbie Bożej kielichami napełnionemi wódką, zatrzymujących przechodniów, by ich zmusić do picia z nimi, i bijących okrutnie tych nieszęśliwych, którzy oburzali się na te haniebne zniewagi.*)

Komendanci rosyjscy śmiali się i pozwalali na wszystko żołdakom, a tym, co się skarżyli, odpowiadali: to *dziecińswo*.

Uważali się silniejszymi i chcieli wytępić naród.

Nawet Częstochowa nie była zabezpieczona od profanacyi. Pewnego rana trzy kompanie piechoty i sotnia kozaków, dowodzone przez pułkownika Egart, po zajęciu opuszczonego miasta, otoczyły kościół i klasztor.

Księża modlili się u stóp ołtarza; kozacy ich porwali, lecz odmówili podnieść rękę na skarb; trzeba było ustąpić przed ich trwogą religijną i opuścić miejsce święte, przedmiot chciwości dowódców.

Pułkownik chcąc zemścić się, rozkazał siekierami wywalić drzwi otwartego klasztoru i wziąść szturmem również otwarte cele. Zakonnicy, którzy nie myśleli nawet uciekać, zostali w brutalny sposób do sali kapitulnej zawleczeni.

---

*) Historyczne. — Dzienniki, tom 3, str. 63.

Pułkownik tam ich oczekiwał, z pistoletem w jednej ręce, z gołym pałaszem w drugiej.

— Nędznicy! krzyknął, podli spiskowcy, wszyscy zasłużyliście na śmierć, i, po tym świetnym wstępie, obsypał ich obelgami, wymawiając z wściekłością, że w pacierzach swoich odwoływali się do Najświętszej Panny jako do arcyksiężniczki Litewskiej, jak gdyby Litwa nie należała do samego tylko cesarza wszech Rosyi.

Kapłani milczeli, bo i cóż mieli odpowiedzieć?

Pułkownik zaś spostrzegł, że wystawił się na śmieszność; chcąc więc szybko skończyć sprawę, zwrócił się gorliwy przedstawiciel cara do żandarma i rzekł:

— Wskaż-mi naczelników buntowników.

Żandarm pierwszy raz widział wielebnych zakonników, nie mogąc więc ich oskarżać, milczał.

— Wskaż-mi naczelników, powtórzył rozjątrzony pułkownik.

Na chybił trafił żandarm wskazał siedm czy ośm ofiar.

— Wziąść ich i zakuć w kajdany, krzyknął moskal.

Żołnierze byli posłuszni; okuto zakonników jak jakich zbrodniarzy i poprowadzono na dworzec kolejowy, zkąd, pod dobrą eskortą, wysłano ich dla osądzenia do Warszawy.

Niektórzy z nich w lochach pomarli, inni dziś pracują w kopalniach syberyjskich.

Nazajutrz po spełnieniu tego bohaterskiego czynu, otrzymał pułkownik telegraficzną wiadomość, że Kosynierzy przeszli Wartę o kilka wiorst poza Częstochową, i rozkaz zajęcia drogi.

Zamiarem Chuski było wpaść do miasta i obwarować się, nim nadejdą wrogowie. Położenie klasztoru samo przez się było doskonałe, a roboty porobione przez moskali wokoło klasztoru, czyniły to miejsce o tyle ważniejszem, że panowało na raz nad koleją żelazną i nad biegiem Warty.

Nieszczęściem dla Polaków, przybyli zapóźno.

Chusko, od czasu rozłączenia się z Narbutem, staczając liczne z wrogami potyczki, opóźnił się w marszu; w każdej z tych bitw był wprawdzie zwycięzcą, lecz przez te zwycięztwa stracił wiele drogiego czasu, i oddział jego liczył zaledwie pięćdziesięciu ludzi.

Kiedy w końcu przyszli Kosynierzy nad brzegi Warty, już sztandar moskiewski powiewał na świętej wieży.

Cofać się było niepodobieństwem; dwie silne kolumny, jedna z Kielc a druga z Miechowa idące, zagradzały mu drogę. Trzecia zaś szła wprost na Kosynierów forsownym marszem z Wielunia.

Położenie było krytyczne.

W środku trójkątu, którego trzy kąty zajmowali moskale, Polacy znaleźli się zamknięci w rodzaju wyspy zewsząd odkrytej, mając przed sobą drogę żelazną, a z trzech innych stron rzekę, którą byli otoczeni.

Aby nieprzyjaciołom wymknąć się, pozostały im jedynie dwie drogi, obie niebezpieczne: przejść drogę żelazną lub wązki bród, i starać się dostać do wielkich borów, o wiele wiorst odległych.

Chusko podążył wprost ku drodze żelaznej.

Tam go wstrzymała nieprzewidziana przeszkoda; wody rzeczne, zasilone topniejącemi śniegami, zalały rowy bardzo szerokie, a na jakie sześć stóp głębokie, wykopane wzdłuż pochyłych nasypów.

Cezar zaproponował je przepłynąć.

— Niepodobna, odpowiedział Chusko, stracilibyśmy naszą amunicyą, a każdy nasz nabój jest kosztowny.

— A więc, cóż robić?

— Most z tej jodły, rzekł naczelnik wskazując drzewo odosobnione o jakie sto kroków.

Górale pobiegli, ścięli drzewo i przywlekli je nad brzeg rowu.

Już wspólnemi siłami postawili ten most, gdy głuchy łoskot dał się słyszeć, a za nim przeraźliwy świst maszyny; był to pociąg napchany żołnierzami z garnizonu częstochowskiego, który na znak dany przez szyldwachów pilnujących drogi, przyjechał opanować nasyp.

W każdym oknie, jak w strzelnicach cytadeli, widziano błyszczące lufy karabinów, znajdujących się w wagonie grenadyerów.

Pociąg posuwał się z umiarkowaną szybkością, gotowy zatrzymać się wprost zagrożonego punktu.

Wobec takiej przeszkody, wszelkie kuszenie się przejścia rowu byłoby szaleństwem.

Jednakże rozjątrzenie Kosynierów było tak silne, że wielu wołało: Do szturmu! do szturmu! i, nie czekając aż ich towarzysze dobrze oprą na drugim brzegu drzewo, trzech czy czterech z nich skoczyło do wody, płynąc jedną ręką, a w drugiej trzymając kosy.

— W tył! w tył! wołał Chusko. Do brodu! dzieci, do brodu! jest jeszcze czas.

Pływacy nie usłuchali go. Dostawszy się na brzeg przeciwny, wdzierali się na nasyp z okrzykiem: Do szyn! do szyn!

Za ich przykładem poszło z dziesięciu gorętszych, którzy narażając się na zgniecenie pod wagonami, przechodzili po niepewnej kładce, a ztamtąd biegli na drogę żelazną.

W tej chwili nadjechała lokomotywa, wyrzucając w około siebie kłęby gorącej pary, którą maszynista naumyślnie wypuścił, by zatrzymać pociąg.

W tym samym czasie, zasłonięci ścianami wagonów moskale, rozpoczęli silny ogień karabinowy prawie dotykając lufami nieroztropnych nacierających.

Jedni padli od pierwszych zaraz strzałów, drudzy, zapóźno przekonawszy się o bezsilności swoich kos przeciw tej ruchomej fortecy, biegnąc, schodzili ze zbroczonego krwią nasypu.

Chusko, który nie mógł powstrzymać zapału nierozważnych, chciał przynajmniej zasłonić ich odwrót,

— Ognia do wagonów! krzyknął, celować w okna!

— Raczej ognia do lokomotywy! krzyknął Cezar, i niech ich ona sto mil poniesie.

Grzmiącem hurra powitano tę komendę, i z dziesięć luf wymierzono do nieszczęśliwego maszynisty.

Lecz natychmiast podniesiono je.

Szczepan miał tę samą co i Cezar myśl, i, poświęcając się dla ocalenia wszystkich, zamiast zejść z nasypu wraz z innymi, skoczył na stopnie maszyny, straszną swoją kosą obalił maszynistę i palacza, i starał się puścić pociąg naprzód całą siłą pary, aby się rozbił wraz z nim i z wrogami o pierwszą napotkaną przeszkodę.

Było to bohaterstwo posunięte aż do szału.

W chwilę potem, byliby moskale zgubieni a Polacy ocaleni; lecz odważny młodzieniec nie wiedział, że dwóch żołnierzy przeznaczonych do pilnowania maszynisty, siedziało skurczonych w budce trochę w tyle, i, podczas kiedy nieobznajmiony z mechanizmem lokomotywy szukał sposobu do puszczenia jej całą siłą naprzód, jeden z kozaków strzelił do niego.

Uderzony kulą między łopatki, upadł Szczepan na kolana, krzyknąwszy boleśnie.

Lecz chociaż umierający, próbował podnieść się, i, zaciśniętą ręką inny uchwycił kurek.

Tą razą był właśnie ten, co miał dodać pary w strasznej swojej mocy.

Nie było już czasu, siły go opuściły i osłabiona ręka ciężko spadła na podłogę, gdzie skrwawioną głową uderzył o nieruchome koła machiny.

Dwunastu kosynierów zostało zabitych a przeszło trzydziestu rannych w tej rozpaczliwej walce, w której, wyjąwszy maszynisty, żadnemu moskalowi nic się nie dostało.

Po śmierci Szczepana, powstańcy stracili nadzieję przejścia drogi.

Pozbierali rannych i szybko pobiegli ku brodowi, dokąd Chusko chciał ich przed kwadransem poprowadzić.

Ten kwadrans opóźnienia był znowu straconą sposobnością.

Nadchodząca bowiem z Kielc kolumna zdążyła przejść Wartę i wziąść z boku walczących, gdy tymczasem druga kolumna rozwijała się po drugiej stronie brodu, by bronić Polakom przejścia, przez które jedynie wymknąć się mogli.

Kosynierzy zbliżając się do brodu, spostrzegli w niewielkiej odległości szwadron moskiewskiej kawaleryi, pędzący galopem.

Za jaką bądź cenę potrzeba było wstrzymać kozaków.

Chusko nie wahał się ani chwili.

— Bracia! rzekł, niektórzy z nas muszą poświęcić się dla ocalenia drugich. Żądam czterdzieści mężnych serc, gotowych umrzeć wraz ze mną.

Wszyscy ofiarowali się z zapałem.

Cezar pierwszy dopominał się, że jemu, a nie dowódzcy należało umierać.

— Jako wódz mam prawo rozkazywać, a twoim jest obowiązkiem być mi posłusznym, odpowiedział Chusko stanowczo. W imię tej władzy, jaką pełnię poraz ostatni, rozkazuję ci z twoim oddziałem pójść w lasy, bez odwracania się, chociażby co bądź nastąpiło, nie wolno ci nieść pomocy, ani nawet zatrzymać się chwilę, by na mnie zaczekać. W imię ojczyzny, bądź posłusznym. A wy, bracia, odtąd, uznajcie mężnego Kirpowskiego waszym dowódzcą.

— Bóg z tobą, bracie, rzekł Cezar ściskając mu rękę, niech cię Matka Boska Częstochowska ma w swojej opiece.

— Niech cię Bóg prowadzi! odrzekł Chusko, ocal się dla naszej ojczyzny, i, dodał, dla Andrzeja i Tadei.

— Męczennicy, naprzód!

I, gdy Cezar biegiem dostał się do brzegu rzeki, Chusko i pięćdziesięciu jego mężnych towarzyszy, sformowawszy czworobok, oczekiwali ataku szwadronu, który galopem, z lancą w pół ucha końskiego, nadjeżdżał.

Straszna rozpoczęła się walka.

Trzy razy kozacy przypuszczali atak do tego jak mur niewzruszonego czworoboku i trzy razy cofali się, nie mogąc go złamać. Potem, nie śmiejąc już sami przypuszczać ataku, czekali na grenadyerów, by na nowo rozpocząć walkę.

Kosynierzy skorzystali z tej przerwy i cofnęli się na niewielkie wzgórze, zarosłe jałowcem, poza którem rozsypali się, by nabić swoje karabiny.

Wtedy zmienił się front bitwy.

Bataliony moskiewskie, zmuszone wziąść szturmem pozycyę bronioną przez niewidzialnego nieprzyjaciela, po kilku nieużytecznych wystrzałach, sformowały się w kolumnę nacierającą.

Dobosze uderzyli w bębny i zaczęli wchodzić na wzgórze.

Wówczas Polacy cofali się, lecz wolno, broniąc każdej piędzi ziemi, korzystając z każdego pagórka, z każdego krzaka, z każdego pnia drzewa, i celnemi strzałami dziesiątkowali ściśnięte szeregi swoich nieprzyjaciół.

Potrzeba było licznym wojskom moskiewskim przynajmniej dwóch godzin do wyparcia tej garstki zrozpaczonych patryotów.

Naraz rozległ się głos Chuski.

— Do Warty! krzyknął.

Ogień karabinowy nagle ustał, i kiedy grenadyerzy, zdziwieni tem milczeniem, przyszli na krańce zagajenia jałowcowego, spostrzegli, że śmiali partyzanci, zasłonięci wklęśnięciem ziemi, zeszli ze wzgórza, i biegli do brodu.

Wystrzały z ręcznej broni na chybił trafił, nie wstrzymały uciekających, w liczbie około trzydziestu, którzy, machając zbroczonemi krwią kosami, skoczyli do rzeki i przepłynąwszy ją, ciągle biegli naprzód ku

wielkim borom, w których oddział prowadzony przez Cezara, już znikł oddawna.

Zostali ocaleni.

Naraz niespodzianie z lasu, w którym szukali schronienia, wysunęła się kolumna moskiewska zwabiona wystrzałami, i spostrzegli przed sobą ścianę z bagnetów.

Nie wstrzymując się ani chwili, rzucili się Polacy na tę żyjącą ścianę, w której zrobili szeroki wyłom kosami, z okrzykiem:

— Bóg i Polska!

— Ognia! ognia! — wrzasnęli oficerowie moskiewscy.

Grad kul skosił trawy i zsiekł krzaki wokoło Kosynierów.

Trzech powstańców padło, dwóch śmiertelnie ugodzonych, trzeci ranny w nogę.

Ranny był Chusko.

Moskale po czerwonej konfederatce z białem orlem piórem, poznali naczelnika.

Krzyknęli hurra i rzucili się na niego.

— Bóg i Polska! krzyknęli Kosynierzy grupując się wokoło swego naczelnika, podczas kiedy dwóch z nich starało się unieść go.

— Bracia, ocalcie się a mnie zostawcie! Błagam was! Rozkazuję wam! wołał Chusko.

— Nie, nie! Niech żyje Polska! Śmierć moskalom! odpowiedzieli Kosynierzy ściskając się, by swemi piersiami zasłonić kochanego naczelnika.

— Hurra! hurra! wrzeszczeli moskale. Śmierć Padlecom! Niech żyje car!

I kręcąc się w około Kosynierów zdaleka, jak psiarnia w około rannego lwa, strzelali do bohaterskiej grupy.

Korzystając z ostatnich nabojów, zrozpaczeni powstańcy unosząc wodza, zaczęli znowu uciekać.

— Bracia! bracia! błagał ranny, uciekajcie, zostawcie mnie! Niech żyje Polska! zostawcie mnie.

Ogień karabinowy nie ustawał.

Kula uderzyła w piersi jednego z tych, którzy nieśli Chuskę, drugi wziął wodza na ręce, lecz prawie w tej samej chwili został także ugodzony kulą.

Obadwa upadli na skrwawioną ziemię.

Chusko, sam jeden, uniósł się do połowy; w jednej ręce trzymał szablę, a w drugiej pistolet.

Otoczyli go grenadyerzy, wołając:

— Poddaj się!

— Nie! odpowiedział ranny; niech żyje Polska! niech żyje wolność!

I, wystrzałem z pistoletu, roztrzaskał głowę jednemu z kozaków.

Moskale jednakże nie śmieli go zabić, ponieważ otrzymali rozkaz wziąść go żywcem; lecz on wolał poledz na polu bitwy niż dostać się w ich ręce, i dlatego bronił się zawzięcie, niosąc na prawo i na lewo straszne ciosy szablą.

Wkońcu, jeden z grenadyerów uderzeniem kolby w głowę, obalił go, i dwadzieścia rąk naraz rozbroiło i skrępowało go.

Z pięćdziesięciu Polaków, którzy przed kilku godzinami poświęcili się dla ocalenia braci, on sam

jeden, z tej strasznej walki, pozostał przy życiu; moskale go oszczędzili, jak starożytni Rzymianie oszczędzali królów wziętych do niewoli, aby ozdabiali ich tryumfy, nim na ofiarę ich zabili.

Moskale, naigrawając się z ofiar oddychających jeszcze, dobijali je, a naczelnika rzucili na wóz, który otoczyło kozactwo, niosące na pikach głowy pomordowanych powstańców; potem przeszedłszy Wartę, skierowali się ku Kłomnicy.

W dwa dni później, jaśnie wielmożny Piotr Iwan Krapułow, mianowany głównym naczelnikiem dozorców w cytadeli, zapisał w swojej księdze więźniów, pod numerem *43,292*, buntownika Adama Chusko, który, z rozkazu Jego Excellencyi generała Berga, nim zostanie posłany na szubienicę, ma zrobić spacer na wozie konwojowanym przez wojsko, po główniejszych ulicach miasta . . . dla przykładu.

— Ach! rzekł dozorca więzień, spoglądając z nienawistnym uśmiechem na swego nowego stołownika, przecież, przyszedłeś tu Padlec, mam próżny pokoik od kilku godzin, dam ci go. A że Chusko spojrzał na niego ze wzgardą, dodał:

— Twój przyjaciel ksiądz Raskowski zajmował go rano, lecz o tej godzinie teraz, buja się na szubienicy na placu powązkowskim, z kilkoma swemi parafianami; nie spotkałeś ich przypadkiem?

Więzień zbladł okropnie, ksiądz Raskowski był w oddziale dowodzonym przez Cezara; miałby ten oddział być także zniszczonym?

— Kłamiesz, rzekł Chusko, przymuszając się do uśmiechu.

— Ach! ja kłamię, psie jakiś, burknął Krapułow, czytaj własnemi oczyma, głupcze, suki synu, i pokazał mu na nieszczęsnej liście nazwisko zacnego księdza proboszcza z Atrady, który, ocalając życie podłego swego kata, sam swoje naraził.

— Cześć męczennikom! wyszeptał Chusko, schylając głowę. O mój Boże! niech się stanie wola Twoja, a nie nasza!

— Zaprowadźcie go do psiarni i zakujcie w dubeltowe kajdany, rzekł Krapułow do dwóch swoich pomocników; jest to niebezpieczne zwierzę.

Pachołcy, przeklinając, powlekli go ciemnym korytarzem, na dolne piętro i tam wepchnęli go do wilgotnej i dusznej celi, mającej za cały mebel nędzny tapczan, potem, bez litości, cierpiącemu okropnie od ran zadanych, opasali ciężkim łańcuchem spuchniętą nogę, ręce i przepasawszy go nim następnie w około bioder, przykuli do ściany, zaledwie pozwalając mu rozciągnąć się na ziemi.

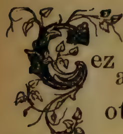
Potem, żegnając go z szyderstwem, wyszli, zatrzasnęli ciężkie drzwi dębowe za sobą i na trzy spusty je zamknęli.

— Biedna Polska! biedna Tadea! biedny Andrzej! jęknął Chusko, upadając bezwładnie na ziemię.



XXVIII.

Zemsta Abrahama.



Cezar, rozstawszy się z Chuską, stosownie do otrzymanych rozkazów, zapuścił się w lasy ze swoim oddziałem.

Polacy szli szybkim krokiem nie oglądając się, drżąc za każdym oddalonym wystrzałem, i nie zatrzymując się, z obawy, że nie mogliby się oprzeć życzeniu pomagania braciom umierającym za nich, nad brzegami Warty, lub przynajmniej pomszczenia ich.

Wszyscy bolesne zachowywali milczenie; łzy rosiły męzkie twarze młodszych, nie myślących nawet o ich ukryciu, najstarsi zaś wiekiem przygryzali siwe wąsy, by ukryć wzruszenie i z wściekłością ściskali drzewca swoich wyszczerbionych kos.

Szli już tak przeszło godzinę, wprost przed siebie, zawsze lasem, milczący i niemi, nadsłuchując, lecz nic już nie słysząc.

Naraz, po lewej stronie, spostrzegli przez drzewa długą i wysoką drogę koloru brunatnego, drogę kolei żelaznej.

Między drogą i lasem była gołaźń szeroka pięćset kroków, długa wiorstę.

— Gdybyśmy zatrzymali się tutaj, rzekł Cezar do księdza Raskowskiego, może Chusko . . . .

Nie śmiał dokończyć.

— Nie, rzekł kapłan, wzruszonym głosem, jeśli Bóg go ocalił, połączy się z nami gdziekolwiek; jeśli przeciwnie, już nie żyje, stracilibyśmy czas kosztowny. Naszym obowiązkiem jest połączyć się z braćmi po drugiej stronie kolei; później, będzie to niemożebnem.

— Kto wie, czy droga żelazna nie jest strzeżona, jak tam niżej?

— Możnaby posłać strzelców na zwiady.

— Aby bezpożytecznie dali się zabić, jak przy natarciu pociągu częstochowskiego. To są lwy, których nikt nie może powstrzymać, gdy poczują zapach krwi.

— Jednakże, odparł ksiądz, ta ostrożność jest konieczna.

— Tak, jest konieczna; lecz zamiast posłać kogo, sam pójdę. Jeśli ma kto umrzeć, lepiej niech nim będzie ostatni Kirpowski.

I przywołał porucznika Kosynierów.

Był to człowiek około czterdziestu lat; dobrego wzrostu i mężny wojownik.

— Co pan rozkażesz, naczelniku? spytał porucznik.

Cezar zbladł na to słowo; aż dotychczas, sam tylko Chusko zwany był naczelnikiem.

— Zastąpisz mnie chwilę, bracie, rzekł, może na zawsze; każ nabić broń, zbierz nasz oddział na gołaźni leśnej i czekajcie.

— Jak długo, naczelniku?

— To będzie zależne. Pójdę, z pięciu lub sześciu naszymi, zbadać drogę żelazną poza tym lasem przerzedzonym; jeżeli droga jest wolna, dam wam znak i przyjdziecie, gdy ja tymczasem z towarzyszami oderwiemy szyny; jeżeli droga jest zajęta, powrócę do was; zrozumiałeś, bracie?

— Tak, naczelniku; lecz w przypadku, gdyby cię napadnięto?

— Nie przychodźcie mi na pomoc, i idźcie dalej swoją drogą; to wam rozkazuję.

— Dobrze, naczelniku, lecz zawiadom pan Kosynierów, bo jestem pewny, że nie usłuchają mnie.

— Jednakże byli posłuszni Chusce, którego zastępuję.

— I to właśnie tego my żałujemy, rzekł porucznik, uderzając kolbą karabina w ziemię; gdybyśmy go byli nieopuścili, nie zginąłby może, lub my wszyscy z nim.

— Kto przekłada jednego człowieka nad ojczyznę, ten nie jest Polakiem, surowo odrzekł Cezar.

Nic nie odpowiedział porucznik, tylko spuścił głowę.

— Zbierz oddział! rozkazał Cezar.

I, podczas gdy porucznik spełniał jego rozkazy, rzekł do księdza Raskowskiego:

— Mój ojcze, bądź łaskaw wysłuchać mnie spowiedzi i dać mi rozgrzeszenie.

Kiedy powstał, Kosynierzy już byli zgromadzeni na skraju lasu; przyszedł do nich, i wybrawszy pięciu, którzy mieli mu towarzyszyć, powtórzył powstańcom te same instrukcye, jakie przed chwilą dał porucznikowi.

Żaden z Kosynierów nie śmiał zaprotestować; jedynie jeden z nich, wyszedłszy z szeregów, zbliżył się do wodza, i rzekł pół-głosem:

— Naczelniku, strzeż się, w tej chwili zdawało mi się spostrzedz między drzewami grot piki kozackiej, lśniący się w słońcu; są kozacy w lesie, i....

— Cicho! przerwał Cezar, kładąc palec na ustach. Już zapóźno, aby przekonać się, a co najważniejsza, że nam zostawiają dosyć czasu do przejścia.

Potem, obróciwszy się do księdza Raskowskiego, podczas kiedy partyzant szedł zająć swoje miejsce w szeregu, rzekł:

— Żegnam cię, ojcze; jeśli nie wrócę, bądź opiekunem Andrzeja i Tadei.

— Bóg nie opuści ani wdowy, ani sieroty, odrzekł kapłan.

I pobłogosławił tych, co mieli odejść.

— Czy bronie nabite? zapytał Cezar.

— Tak, naczelniku.

— Wówczas, naprzód! rzekł.

I garstka ludzi pobiegła ku drodze żelaznej...

Już byli w środku gołaźni, kiedy porucznikowi Kosynierów, stojącemu na czatach, zdawało się, iż słyszy rżenie konia na wyrębie.

W tem miejscu las był tak gęsty, że niepodobna było cokolwiek rozróżnić.

Strzelcy ciągle na zwiady wychodzili.

— Ojcze, rzekł zastępca Cezara do księdza Raskowskiego, zdaje mi się, że w tym bukiecie jodeł jest coś podejrzanego; co robić?

— Zostań na swoim posterunku, rzekł ksiądz; pójdę zobaczyć.

— Ostrożnie, bo mogą być bliżej niż myślimy; w każdym razie, na najmniejszy hałas, będziemy tam.

Przeżegnał się kapłan i poszedł w gęstwinę. Przez kilka minut głucha była cisza; Polacy nadsłuchiwali, z nabitym karabinem w ręku i gotowym do strzału.

Przy końcu gęstwiny był mały wyrąb, potem wysokie drzewa jodłowe, a potem znowu gęsta knieja; kapłan przeszedł wyrąb i bardzo ostrożnie szedł w las. Z drugiej strony, przez gałęzie, zdawało mu się spostrzegać coś podejrzanego i, podparłszy się na pniu, wysunął naprzód głowę, by zobaczyć.

W tej samej chwili sznur świsnął wokoło jego uszu, upadł mu na ramiona i otoczył go wokoło ciała: został wzięty na *lasso*. Silne szarpnięcie przewróciło go twarzą na ziemię i dwóch kozaków ukrytych za drzewami, powlokło go w gęstwinę.

— Wróg! wróg! krzyknęła ofiara, zapomniawszy o sobie, a myśląc tylko o towarzyszach.

Nie było już czasu, jeden z bandytów przywiązał koniec sznura do siodła, i rozbójnicy, wywijając długiemi pikami, popędzili w przerzedzony las, z dzikiemi wrzaskami.

Właśnie Cezar ze swemi kosynierami byli zajęci odrywaniem szyn, kiedy te dzikie wrzaski zmusiły ich odwrócić głowę.

Ze dwudziestu nieregularnych jeźdzców, na półdzikich koniach, pędziło galopem przez polankę, ku drodze żelaznej; jeden z nich wlókł za sobą jakąś massę czarną nieforemną, która pył krwią broczyła i bruzdę głęboką w trawie wyciskała.

Kozacy przyjechali do stóp drogi.

— Ci rozbójnicy idą na nas, rzekł Cezar; bracia, przeskoczmy rów i uderzmy na nich.

Bandyci nie widząc ich ukrytych za zawadą i nie podejrzywając nawet, że tam są, zatrzymali się niepewni, co im czynić wypada.

Nie byli więcej jak pięćdziesiąt kroków od gromadki powstańców oddaleni, kiedy Cezar naraz spostrzegł ową zakrwawioną massę, wleczoną przez jednego z tych potworów; jej ubiór w kawałki podarty, był ubiorem, jaki noszą kapłani; co zaś do twarzy, była obróconą ku ziemi, i zresztą, niepodobną była do rozpoznania.

— Ognia do nich! ryknął młody dowódca; ja biorę tego na siebie.

I pociągnął cyngiel swego karabina.

Trzech kozaków spadło z koni, inni rozpierzchli się jak spłoszone ptastwo.

— Nabij! krzyknął Cezar, ja podniosę naszego Ojca, który może jeszcze żyje.

I, podparłszy się na kosie, jednym susem przeskoczył rów.

Koń stepowy, który obwąchiwał i obracał trupa swego kawalerzysty, widząc zbliżającego się obcego człowieka, podniósł głowę i nastawił uszu, ciężko oddychając.

Ksiądz Raskowski jeszcze oddychał i mógł słabo poruszać członkami.

Zatrzymał się Cezar sądząc, że spłoszone zwierzę uspokoi się, lecz ono patrzało na niego, z pół zgiętemi przegubami, gotowe uciekać za pierwszym ruchem.

Czas naglił jednakże, a ofiara konała.

— Towarzysze, krzyknął młodzieniec, spróbuję przeciąć sznur, mierzcie do konia, i jeśli się ruszy, strzelajcie wszyscy razem.

Zniżyli karabiny i jeden z nich odpowiedział:

— Idź!

Cezar zrobił skok i ostrze kosy w połowie przecięło *lasso*; w tym samym czasie trzy wystrzały padły razem.

Chociaż koń śmiertelnie raniony, miał jeszcze dość siły uciekać, ciągnąc za sobą umierającego kapłana.

Bez wahania skoczył za nim Cezar z podniesioną kosą, gotowy uderzyć.

— Wróć, naczelniku! wróć! krzyknęli powstańcy.

Lecz on, uniesiony zapałem, ciągle biegł nie zauważywszy kozaków, którzy nie obawiając się już kul, przygotowywali się rzucić na niego.

Z drugiej strony polanki, biegli również Kosynierzy w ściśniętej kolumnie, z okrzykiem i gotowi dać ognia.

W końcu, raniony koń obalił się, i Cezar pospieszył do księdza, którego nie opuściło jeszcze życie, puginałem przeciął jego więzy, które w ciele głębokie i krwawe wyżłobiły brózdy.

— Baczność, naczelniku! zawołano ze wszystkich stron.

Obrócił się i o dziesięć kroków od siebie ujrzał kozaków, chwycił swoją kosę i odbijając pikę gotową go uderzyć, pchnął w bok strasznem swojej broni ostrzem jednego z kawalerzystów.

Jeszcze minuta, a byłby ocalony.

— Do mnie! wykrzyknął; niech żyje Polska!

W tej samej chwili, *lasso* wyrwało mu broń z ręki, a drugi rzemień obwinął mu się wkoło pasa i prawego ramienia, i uczuł się uniesionym w powietrze i rzuconym na siodło konia biegnącego galopem.

— Hurra! niech żyje cesarz! wrzasnęli kozacy, uciekając przed nadbiegającymi powstańcami.

— Strzelać! bracia, strzelać! krzyczał Cezar, szamocząc się.

Na los szczęścia strzelili Kosynierzy, zabili lub ciężko zranili kilkunastu ludzi i koni, lecz nie dosięgli tych, co uprowadzali dwóch jeńców.

Kiedy porucznik, którego naczelnik zrobił swoim zastępcą, przybiegł na miejsce, gdzie bandyci zostali ostatniemi strzałami prażeni, kozacy już znikli w lesie, w kierunku Piotrkowa, a między trupami na krwią zbryzganej trawie, Kosynierzy, zamiast znaleźć swego Ojca i swego naczelnika, znaleźli krzyżyk mosiężny kapłana i strzaskaną kosę ostatniego z Kirpowskich.

Tego samego wieczora, szczątki walecznego oddziału Kosynierów przyłączyły się do oddziału Oksińskiego, niedaleko Częstochowy. Dzielni górale, straciwszy w jednym dniu dwóch naczelników i kapelana, i widząc połowę swoich braci poległych w trzech po sobie następujących bitwach, za nadto słabi, by dalej toczyć walkę pod imieniem Kosynierów, które sławą okryli, przyłączyli się do oddziału niedawno sformowanego.

Partyzanci oddziału pod imieniem Matki Boskiej Częstochowskiej, z radością i dumą przyjęli w swoje szeregi dawnych żołnierzy mężnego Chuski; znali ich czyny, i wiedzieli, co są warte podobne posiłki.

Wieczór przeszedł na pogawędce przy ogniskach obozowych, opowiadano sobie świetne czyny nieustraszonego Narbuta i bolesną historyę tej rodziny, która nie miała już innych zastępców na ziemi, jak wdowę i sierotkę.

Jednakże Cezar nie poległ, ani nawet został rannym, lecz cóż to znaczyło? Moskale wzięli go do niewoli, a jeńcy rosyjscy, tak jak umarli nie wracają. Kozacy, którzy jego i księdza Raskowskiego porwali,

oddali ich naczelnikowi stacyi, za cenę trzech rubli, przyznanych za każdego księdza i za każdego oficera buntowników, wziętych żywcem, z bronią w ręku.

Za oficera pułkownik żadnej nie robił trudności w wypłaceniu przyrzeczonej sumy: było to pięknym czynem posłać Jego Excellencyi namiestnikowi jeńca zdrowego, który mógł długo wytrzymać tortury, na jakie skazywano psów buntowników, dla przykładu wiernym poddanym Jego Cesarskiej Mości i dla zbawiennej nauki dla tych, co mieliby chęć naśladować bandytów powstańców.

Co zaś do księdza Raskowskiego, była rzecz inna, trzeba się było długi czas handlować.

— Co u djabła, krzyczał pułkownik, waląc pięścią w stół w szynkowni, w której prowadził ten handel ludzkim towarem, nie mogę ci zapłacić jak za żywego, bo ten pies umiera; patrz, krew zewsząd płynie i nie rusza się.

— A ja, jaśnie wielmożny panie, zaręczam, że żyje, a że nie rusza się, to tylko przez złośliwość i żeby nam psotę wyrządzić; lecz proszę, uważaj pan, czy nie żyje.

I nie ruszając się z miejsca, końcem swego pałasza ukłuł konającego.

— Widzisz pan, że prawda to, co mówiłem, rusza się jeszcze, patrz pan!

— Podły! mruknął Cezar, nikczemny morderca.

Obrócił się pułkownik, plunął w twarz swemu jeńcowi, potem, dawszy rozkaz do rzucenia go do wagonu, na nowo rozpoczął handel o porucznika.

To niegodne skąpstwo pomyślnym skutkiem uwieńczone zostało, gdyż kozak opuścił od żądanej ceny pół rubla, i pułkownik otrzymał pokwitowanie, jak gdyby całą sumę zapłacił.

Nietylko Krapułow umiał postronne robić dochody.

W samej rzeczy, więźniów było tyle, że i tem się nie gardziło.

Pułkownik jednakże żądał więcej.

— To zaledwie opłaci mi mój tytoń i moją wódkę, mówił z goryczą. Za czasów Błagurowa handel szedł lepiej, lecz nie trwało to długo. Gdyby nie te brzydkie wypadki kolejowe, zarobiłbym pięć razy tyle.

Szczęściem dla niego, że kozak chciał przepić na miejscu zarobione pieniądze, więc pułkownik, sprzedając wódkę zaprawioną wapnem, miał przynajmniej dziesięć razy tyle na niej zarobić.*)

Handel skończono. Jaśnie wielmożny szybko wysłał więźniów do Warszawy, lękając się, czy kapłan będzie mógł tam przybyć na czas, by jeszcze żywym pójść na szubienicę.

To samo martwiło i Jego Excellencyę namiestnika Królestwa, nie dlatego, żeby z natury był okrutnym, ale dlatego, że gorliwy w służbie Jego Majestatu Aleksandra II., ojca Polaków, twierdził, że ciągłe egzekucye, spełniane na Polakach, są środkiem

---

*) W Rosyi powiększej części oficerowie wyższej rangi utrzymują bufety czyli wyszynki na stacyach drogi żelaznej.

prawdziwie ojcowskim utrzymania miasta Warszawy w karbach posłuszeństwa dla monarchy.

Lecz Bóg chciał, aby męczeństwo jego sługi było zupełnem; na zgniłem barłogu w więzieniu dodał księdzu Raskowskiemu tyle siły, że mógł powstać i modlić się głośno, podczas gdy go na szafot prowadzono.

Moskale oprowadzali po mieście swoją ofiarę tak szkaradnie zeszpeconą, której po barbarzyńsku odrywali kawał po kawale koszuli przylepionej do ran, dlatego jedynie, aby go ubrać w suknie kapłańskie, łatwiejsze do poznania, jak jego szmaty.

Ten, który na własną swoją zgubę, ocalił Swinina, Krapułowa i jeszcze wielu innych potworów zażartych na jego życie, pozwolił się wlec w jak najbrutalniejszy sposób dzikim żołdakom, nie skarżąc się na swój los.

Umarł jak chrześcijanin i jak Polak, bez trwogi i bez junakieryi, spokojny i łagodny wobec śmierci samej, powtarzając tę modlitwę tak często z szafotów wznoszącą się do nieba:

— Mój Boże, przyjmij moją duszę i zmiłuj się nad Polską.

Wprowadzono go na rusztowanie, wznoszące się na środku placu, założono pętlicę na szyję, a potem zwłoki jego wrzucono w dół u stóp szubienicy wykopany, i szwadron kawaleryi udeptał ziemię, dla shańbienia skazanego.

Męczennik był już w chwale niebieskiej, i padłszy do stóp tronu Tego, który sądzi królów, błagał

Go, wraz z tysiącami męczenników za swoją ojczyzną, nie dbając o shańbienie, co sromotą okryło jego sędziów.

Co zaś do Cezara, wszystkie lochy były zapełnione, i codzienna służba katowska na wiele tygodni zapewniona, więc założono mu kajdany na ręce i nogi, przykuto do długiej żelaznej sztaby, i wraz z innymi jeńcami wysłano do Brześcia Litewskiego, a ztamtąd do Syberyi.

Sąd wojenny skazał go na Sybir, pomimo, iż ten trybunał wcale go nawet nie widział; było jedno próżne miejsce przy żelaznej sztabie, więc je zapełniono. Gdyby był wóz ze skazanymi na szubienicę przejeżdżał w tym czasie, i jakie miejsce było na nim nie zajęte, wsadzonoby go również na wóz bez ceremonii.

Prawa w Rosyi są pisane jedynie dla ludzi, a nie dla psów wściekłych, których nie warci są Padlecy.

To już poraz drugi opuszczał Cezar Warszawę, by pójść na wygnanie; pierwszy raz Chusko go uwolnił, lecz teraz już nie miał więcej ujrzeć swojej ojczyzny.

Z rodziny Kirpowskich nie ma już nikogo prócz wdowy i sieroty; pierwsza, ze starganemi siłami, piła z kielicha goryczy, drugie, nie umoczyło jeszcze w nim swoich ust, ale przez swoje urodzenie zostało skazane pić z niego z kolei.

Tadea była jeszcze w Częstochowie, kiedy doszła ją wiadomość o klęsce nad brzegami Warty; wyjechała natychmiast z dziecięciem na ręku.

Moskale, wierni zwyczajowi dodawania więcej blasku swoim zwycięztwom, pochowawszy cichaczem swoich poległych i sprzątnąwszy swoich rannych, pozwalali ludności okolicznej zwiedzać pole bitwy, i pogrzebać po chrześcijańsku poległych Polaków.

Tą razą uwielbienie, jakiem sami moskale przejęci byli dla walecznych powstańców, przewyższyło zwykłe barbarzyństwo kozaków, i kiedy wdowa Chusko przyszła na teatr rzezi wraz z dwoma czy trzema innemi zakwefionemi i w żałobie damami, przyjęto je z należnemi ich płci i ich niezmiernej boleści, względami.

Między niemi była siostra jednej z ofiar; znalazłszy ciało swego brata podziurawione więcej niż dziesięciu uderzeniami piki, nie mogła łez powstrzymać.*)

Jakiś stary wieśniak stał blisko niej.

— Siostro, rzekł, nie płacz tak bardzo, bo twoje łzy mogą spostrzedz moskale.

— Masz racyę, odpowiedziała, przyklękając przy zwłokach, by je raz ostatni ucałować, jest szczęśliwszy od nas, i otarła łzy.

Tadea, blada lecz panująca nad sobą, szła od trupa do trupa, każdemu przyglądała się, szukając swego męża i obawiając się go znaleźć.

— Pani masz także brata tutaj? spytał jeden z oficerów moskiewskich.**)

---

*) Historyczne. — Dzienniki, tom 2, strona 131.

**) Historyczne. — Dzienniki, tom 2, strona 134.

— Wszyscy, co walczyli za Polskę, są moimi braćmi, odpowiedziała.

— Wielu poległo po drugiej stronie Warty, mówił porucznik, a inni przy atakowaniu kolei żelaznej.

— Pójdę tam także, rzekła.

— Zostali wczoraj pogrzebani, i nie znajdziesz ich pani, rzekł moskal, odchodząc.

Tadea poskromiła wzruszenie całą siłą woli, i zbliżyła się do niego:

— Panie, wyszeptała, możesz mi pan powiedzieć, czy komendant Kosynierów został zabity?

— Jak się nazywał?

— Chusko.

— Tak, po drugiej stronie rzeki, od uderzenia piką Piotra Bogdanowa, krzyknął przejeżdżający kozak.

Strasznie zbladła Tadea, a ściskając syna w objęciu, rzekła:

— Mój Boże, dodaj mi siły do życia dla niego, lecz ani jednej łzy nie wylała, ich źródło już było wyschnięte.

Nazajutrz pojechała do Warszawy i tam zamknęła się w małym domku, niedaleko kościoła św. Jana, postanawiając resztę życia poświęcić wychowaniu Andrzeja, i modlitwie za duszę męża, ojca i braci pomordowanych przez moskali i za Polskę, nieszczęśliwą swoją ojczyznę.

*　　*
*

Abraham również żył jak samotnik, nie w Warszawie, lecz na opuszczonym folwarku Strakowskim, nie dla modlitwy, lecz dla zemsty.

Wszedłszy, kilka dni przedtem do izby, w której Swinin spał odurzony trunkiem, mściwy Izraelita wszystko przygotował do wykonania zamiaru, dawno już ułożonego, i z niecierpliwością oczekiwał przebudzenia się pijaka.

— Abrahamie! zawołał wreszcie Swinin.

— Jestem, excellencyo.

— Czy długo spałem?

— Sześć godzin, excellencyo.

— Sześć godzin, psie, sześć godzin, mruczał generał, i zadrżał, spostrzegłszy na stole nieszczęsną gazetę urzędową.

— Ach! rzekł boleśnie, wszyscy mnie opuścili.

I ten człowiek, tak srogi dla drugich, zaczął szlochać jak dziecko, wyrywając sobie włosy.

— Nie wszyscy pana opuścili, excellencyo, ja panu zostałem, rzekł Abraham przymilającym się tonem.

— Cóż chcesz, żebym zrobił z tobą, bydlę?

— Będę pana pielęgnował, excellencyo, wszak pan wiesz, że nie mam nikogo prócz ciebie.

— Słuchaj, Abrahamie, rzekł Swinin, zawieziesz mnie do Warszawy, do Jego Excellencyi namiestnika, zobaczę go, pomówię z nim, oskarżę tego psa Mitweda, postaram się, że go wyślą na Sybir, namiestnik wróci mi mój stopień, a ja ciebie wynagrodzę.

— Nie żądam wynagrodzenia, generale, jestem teraz dosyć bogaty.

— Ty jesteś bogaty! ty, wykrzyknął Swinin, wytrzeszczając swoje wielkie oczy, jak przyszedłeś do majątku?

— Niech wasza excellencya mi wybaczy, lecz odkryłem skarb generała Błagurowa i . . . ukryłem go. Gdybyś pan raczył podzielić go ze mną . . . .

— Pójdź-tu, pójdź, mój gołąbku, do mego serca, rzekł generał, tak, przebaczam ci . . . czy wielki?

— Najmniej pięćdziesiąt tysięcy rubli, a może i więcej.

— Abrahamie, ty jesteś moim zbawcą, ja ciebie zawsze kōchałem, pożyczysz mi dwadzieścia tysięcy rubli, albo trzydzieści, jeśli zechcesz, dam ci rewers, a z tem otrzymam napowrót moją rangę w wojsku i będę cię protegował; będziesz jaśnie wielmożnym, dziedzicznym szlachcicem, excellencyą nawet, kasyerem banku polskiego, czem tylko zechcesz. Idź po swój skarb, mój gołąbku, idź, podzielimy się jak bracia, ty sam zrobisz podział.

— Na nieszczęście, nie ma go tutaj, excellencyo.

— A więc gdzież jest? spytał generał z niepokojem.

— O parę wiorst ztąd, w kryjówce.

— A czy jest dobrze schowany?

— Ja go sam zakopałem, przy pomocy jednego z moich towarzyszy, który później został zabity; ukryliśmy go w wyschłej cysternie i przykryliśmy kamienną taflą, której jeden człowiek nie jest w stanie podnieść.

— Ja ci pomogę, jestem silny, lecz co za nieszczęście, że nie mogę jeszcze chodzić!

— Mogę pana zawieźć aż na miejsce, a potem poniosę go do skrytki; chyba, że wolisz pan, abym tam sam pojechał?

— Nie, nie, pojadę z tobą, wykrzyknął generał, lękając się, by mu żyd nie uciekł z pieniędzmi; i, wysilając się, powstał; lecz zaraz siadając w fotelu rzekł:

— Nie mamy bryczki.

— Jest już gotowa, i konie znalazłem.

— A więc zaprzęgnij je i jedźmy, rzekł generał.

Abraham wyszedł natychmiast.

— Tak, tak, idź, głupcze, i jeśli choć jednego rubla ze swego skarbu zobaczysz, możesz powiedzieć, że ci się udało, mruczał sobie pod nosem generał, z szyderczym śmiechem.

— Ciesz się, Rubenie, zostaniesz pomszczony, myślał Abraham zaprzęgając konie do bryczki, z tyłu której zawiesił drabinkę i dwa żelazne drągi.

— Wszystko gotowe, excellencyo, rzekł, wchodząc do izby.

Z trudnością wyprostował się Swinin, i, oparłszy się jedną ręką na ramieniu swego wiernego sługi, a drugą na swoim pałaszu, powlókł się do bryczki, na którą żyd go podsadził i sam usiadł obok niego.

— Wio! krzyknął woźnica, szarpiąc sznurami, które mu za lejce służyły.

Konie kłusem pobiegły.

— Dlaczego jedziesz bocznemi drogami? spytał go Swinin po małej chwili.

— Ażeby uniknąć spotkania z Padlecami, generale, odpowiedział żyd.

Już było ciemno, kiedy przyjechali do zniszczonego folwarku, który niegdyś musiał być znacznym.

Abraham zsadził z bryczki swego towarzysza i zaniósł go do pustego domu, w którym wiatr, przeciskając się przez rozpadliny w murze, jęczał przeraźliwie. Szczęściem, było to w czasie, kiedy zimna nie potrzeba się było obawiać.

— To dziwne, rzekł Swinin, zdaje mi się, że już tu kiedyś byłem w tej dziurze.

Głos Abrahama drżał trochę, gdy mu odpowiedział:

— Rzeczywiście, excellencyo, przyszliśmy tu wieczorem wówczas, kiedy niespodzianie naszedłeś Kosynierów po ich zwycięztwie nad Błagurowem.

— I tu znalazłeś skarb?

— Tak, excellencyo.

— Prawda, przypominam sobie, że podczas szarpania się twego z kozakiem, wypadło ci parę sztuk złota z kieszeni.

— Inne są tu, obok, w cysternie.

— Pójdziemy tam?

— Już za ciemno, jutro rano; przygotuję wieczerzę, a potem pójdziemy spać.

— Masz racyę, jestem bardzo głodny.

Uśmiechnął się Abraham szatańskim uśmiechem, rozpalił ogień na kominku i przygrzał w garnku kaszę.

Dwaj przyjaciele razem wieczerzali, potem Abraham przyniósł wiązkę siana, posłał generałowi, i gdy ten położył się do spoczynku, sam wyciągnął się przy nim na ziemi, okrywszy się swoim chałatem.

Gdy nazajutrz Swinin otworzył oczy, już słońce

wszystkiemi szparami zaglądało do ruiny; w chwilę potem wszedł Izraelita.

— Kiedy pan zechcesz, excellencyo, rzekł.

— Choćby zaraz, odparł Swinin podnosząc się.

I, podparty na ramieniu swego towarzysza, powlókł się do cysterny.

Była to dziura kwadratowa, dziewięć stóp głęboka a piętnaście szeroka, o ścianach gładkich i prostopadłych, wyłożona kamiennemi taflami, na których woda deszczowa dawniej rynnami sprowadzana, pozostawiła szlam na kilka cali gruby.

Pompa, służąca do czerpania wody, widocznie niedawno była usunięta, a nawet z rana, Abraham ustawił drabinkę dla łatwiejszego zejścia do otworu.

— Zniosę pana na plecach, rzekł do generała.

— Jestem za ciężki, odpowiedział Swinin.

— Nie, nie, nie lękaj się pan, nalegał żyd.

I, z niepodobną do wiary żywością, zeszedł po drabinie, nie ugiąwszy się nawet pod ciężarem.

— Nie widzę śladów, rzekł excellencya, badając grunt.

— Ja je znajdę, odparł Abraham, pójdę po drągi i robota pójdzie nam szybko.

Generał tymczasem usiadł na ziemi.

Wyszedłszy na górę, żyd wyciągnął drabinkę, usiadł na brzegu cysterny ze spuszczonemi nogami, i wybuchnął śmiechem.

Ten śmiech miał coś tak dziwnego i tak przerażającego w sobie, że Swinin zadrżał i z niespokojnością podniósł głowę.

Abraham, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, gorącym mierzył go wzrokiem, pełnym szyderstwa i nienawiści.

— Przynieść-że szybko drągi, rzekł generał.

— Drągi! zaśmiał się szyderczo żyd, głupia potworo, czy nie rozumiesz jeszcze, że do mnie należysz, że jesteś tu, niedaleko grobu gdzie spoczywa mój syn Ruben, którego zamordowałeś, i że cię zawiozłem w te pustkowie, świadka twoich zbrodni, aby się pomścić na tobie. Ach! jak pięknie spojrzałeś na mnie! to dobrze, jesteś moim, i tu, w tym dole, z którego nie wydostaniesz się, umrzesz z pragnienia i głodu, najdłuższa z mąk, bo może przeciągnąć się sześćdziesiąt dni; sześćdziesiąt dni! rozumiesz, bydlę krwi chciwe?

— Nędzniku! ryknął Swinin przestraszony; i, prostując się, szedł chwiejący się koło muru, jak gdyby chciał po nim wydostać się.

— Tak, tak, próbuj, próbuj! porozdzieraj palce, pokalecz czoło, cierp! cierp jak najwięcej! twoje męki będą dla mnie radością. Ach! oddawna już czatowałem na ciebie! i dziś mam cię, zobaczę cię, o każdej porze dnia, konającego, własnemi oczyma. Ciesz się, Rubenie! Swinin jest tu, blizko twego grobu, i przyrzekam ci go, tak jak dostałeś Nabielkowa, mordercę twojej żony, i Pilardowa, twego kata.

— Przekleństwo ciąży na mnie, ryknął nieszczęśliwy, złapany w matnię, i z głuchym jękiem rzucił się na ziemię.

Abraham nie oderwał od niego wzroku, był spragniony cierpień i okrutnego konania swojego wroga.

Tak cały dzień przeszedł, a kiedy noc nadeszła, żyd wyciągnął się na brzegu otworu; nie mogąc nic dojrzeć, słuchał, by ani jednego jęku nie stracić.

O świcie spostrzegł go Swinin, siedzącego, ze strasznym uśmiechem, i rzucającego na niego nienawistne spojrzenie.

Głód zaczynał szarpać wnętrzności więźnia, próbował wzruszyć swego dozorcę; i czołgał się na kolanach w swojem więzieniu, błagając go przebaczenia, prosząc i płacząc.

— A ty przebaczyłeś memu synowi? zlitowałeś się nademną? wszak szydziłeś z mojej boleści? odpowiedział Abraham. Ząb za ząb, oko za oko, bądź ukarany tak, jak zgrzeszyłeś.

Po prośbie nastąpiła wściekłość, a po wściekłości osłabienie.

Około południa Abraham oddalił się na chwilę, potem przyszedł niosąc trochę kaszy, którą jadł wobec nieszczęśliwego.

— Psie! mówił piszczącym głosem, smakując powoli swój obiad, ile rubli dałbyś mi za łyżkę kaszy? Patrz, jak kurzy się, a jaka dobra! mam jej pod dostatkiem. A ta woda, patrz, jak czysta? Chcesz napić się jej, Swininie? Chodź do mnie, mój gołąbku, chodź excellencyo, zjemy obiad razem!

Trzeci i czwarty dzień przeszedł w ten sam sposób, w strasznych cierpieniach, tem boleśniejszy, że

nielitościwy mściciel szydził i zniewagami obrzucał swoją ofiarę.

Trochę zielska rosnącego na spodzie cysterny pożarł moskal. Ryczał w torturach i tarzał się po ziemi z wściekłością gryząc pięści, albo drapał ziemię paznokciami, jak gdyby ziemia mogła mu dać jakie pożywienie. Ale wszędzie napotkawszy tylko kamienie, złorzeczył.

Te tortury trwały ośm dni i ośm nocy, i nareszcie generał zaczął konać.

To było zbyt wcześnie. Przestraszony Abraham rzucił mu kawałek chleba umaczanego w wodzie.

Konający, zebrawszy siły, zaczołgał się w to miejsce, gdzie chleb upadł i ugryzł go z chciwością; lecz nie mogąc przełknąć ugryzionego kawałka, upadł omdlały, trzymając przedmiot swojej chciwości zębami i paznokciami.

Z rana dziesiątego dnia znałazł go Abraham leżącego twarzą na ziemi, ze skórczonemi rękoma, z zaciśniętemi szczękami i bez przytomności. Żyd lękał się, aby nie umarł. Wstawił drabinę, zeszedł do cysterny, obrócił go, przekonał się, że serce jeszcze biło, i widząc, że niepodobna przywrócić go do życia, ukłuł swego wroga końcem noża w policzek.

Umierający nie otworzył oczu, lecz zadrżał.

— Już czas, rzekł żyd; i, wyszedłszy z cysterny poszedł po sznurek, którym związawszy swego więźnia, zarzucił go sobie na ramiona, i poniósł na grób swego syna; tam rzucił go przy palu, przy tym sa-

mym, przy którym przed kilkoma tygodniami męczył Pillardowa.

Wówczas, przykucnąwszy u stóp swojej ofiary, obdarł go z odzieży, która już była w kawałkach, przywiązał stojącego do złowrogiego pala, zawiesił mu na szyi ordery, a u nóg położył pałasz, hełm i naramienniki, jego oznaki wojskowe. Potem poszedł do chaty i przyniósł pudełko kwadratowe, zamknięte korkiem zrobionym ze słomy, i dzbanek z miodem, którym wysmarował twarz, szyję, piersi i członki generała.

Potem, położywszy na ziemi o kilka zaledwie kroków od tego żyjacego trupa pudełko, które było jednem z tych ulów wiejskich, zawieszonych w lasach lipowych,szybko wyjął korek, a sam usunął się w miejsce bezpieczne, zkąd mógł przypatrywać się dziełu swojej zemsty.

Pszczoły od półtora dnia w więzieniu trzymane, wkrótce gniewnie wyleciały. Chwilę, wahając się, brzęcząc jak chmura bujały w powietrzu. Potem, nagle znęcone zapachem miodu, opadły Swinina, pokryły jego gołe piersi jakby złotym, poruszającym się pancerzem, kąsając go z zażartością i kłując na wszystkich naraz miejscach jadowitemi żądłami.

Pod temi ognistemi ukłuciami, przedziurawiającemi zarazem ciało, umierający, zbudzony z odrętwienia strasznem cierpieniem, kręcił się jak robak ziemny pod nogą, która go gniecie, przerażający charkot wydobył się z jego piersi, a oczy rozwarłszy się niezmiernie, przewracały się w swoich oprawach.

— Swininie, to ja, Abraham, mszczę się! krzyknął Izraelita. Już dziesięć dni, jak cię zabijam. Swininie, poznajesz mnie? Ja, ojciec Rubena, którego zamordowałeś, jestem twoim katem.

Generał jęknął po raz ostatni, straszne przerażenie wykrzywiło schudzone jego oblicze, zamknęły się oczy i głowa bezwładna opadła.

— To co pszczoły zostawią, będzie dla kruków i dla wilków, — z szyderczym śmiechem krzyknął Abraham.

I zaprzągłszy konie do wozu, odjechał szepcząc:

— Teraz, mój synu, jesteś pomszczony; zostali mi jeszcze siostrzeńcy w Warszawie, powrócę do handlu i będę dla nich pracował.

KONIEC.

Date Due

DEMCO-293
